Powieść autorki bestsellerów
Słowik oraz *Zimowy ogród*

KRISTIN HANNAH

Firefly Lane

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

CZĘŚĆ I

- Rozdział 2
- Rozdział 3
- Rozdział 4
- Rozdział 5
- Rozdział 6
- Rozdział 7
- Rozdział 8

CZĘŚĆ II

- Rozdział 9
- Rozdział 10
- Rozdział 11
- Rozdział 12
- Rozdział 13
- Rozdział 14
- Rozdział 15
- Rozdział 16
- Rozdział 17
- Rozdział 18

CZĘŚĆ III

Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22

CZĘŚĆ IV

Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37

*

Podziękowania

KRISTIN
HANNAH

Firefly Lane

Z angielskiego przełożyła
Daria Kuczyńska-Szymala

Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
FIREFLY LANE

Wydawca
Urszula Ruzik-Kulińska

Redaktor prowadzący
Iwona Denkiewicz

Redakcja
Maria Wirchanowska

Korekta
Ewa Grabowska
Marzenna Kłos

Copyright © 2008 by Kristin Hannah
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Daria Kuczyńska-Szymala, 2021

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Warszawa 2021

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Akces

Dystrybucja
Dressler Dublin Sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
tel. + 48 22 733 50 31/32
www.dressler.com.pl

ISBN 978-83-813-9831-2

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Książkę tę dedykuję „nam”. Dziewczynom.
Przyjaciółkom, które pomagają sobie nawzajem przetrwać
trudne chwile, mniejsze i większe, z upływem kolejnych lat.
Wiecie, kim jesteście.
Dzięki.

Ludziom, którzy tworzą tyle moich wspomnień:
mojemu ojcu Laurence’owi,
bratu Kentowi, siostrze Laurze,
mężowi Benjaminowi i synowi Tuckerowi.
Dokądkolwiek się udacie,
Pozostaniecie w moim sercu.

I mojej mamie, która jest inspiracją wielu moich powieści,
a szczególnie tej.

Najwierniejszym zwierciadłem jest stary przyjaciel
George Herbert

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

1

Nazywano je dziewczynami z Firefly Lane. Choć od tego czasu minęło ponad trzydzieści lat, gdy leżała teraz w łóżku i wsłuchiwała się w szalejącą na zewnątrz śnieżycę, miała wrażenie, jakby to było wczoraj.

W zeszłym tygodniu (bez wątpienia najgorszych siedmiu dniach jej życia) utraciła zdolność zachowania dystansu wobec własnych wspomnień. Ostatnio w jej snach zbyt często pojawiał się rok 1974 – znów była nastolatką dorastającą w cieniu przegranej wojny, jadącą na rowerze obok swojej najlepszej przyjaciółki w takich ciemnościach, że czują się niewidzialne. Miejsce było istotne tylko jako punkt odniesienia, ale pamiętała je niezwykle dokładnie: meandrująca wstęga asfaltu otoczona z obu stron rowami z mętną wodą i zboczami zmierzwionej trawy. Zanim się poznały, ta droga zdawała się prowadzić donikąd – zwykła wiejska droga nosząca miano jakiegoś owada, którego nikt nigdy w tym surowym zielono-niebieskim zakątku świata nie widział[1].

I wtedy każda z nich zobaczyła to oczami tej drugiej. Gdy stanęły razem na zboczu wzgórza i zamiast wysokich drzew, wypełnionych mętną wodą zagłębień w skałach i odległych zaśnieżonych szczytów ujrzały wszystkie te miejsca, w których się kiedyś znajdą. W nocy wymykały się ze swoich sąsiadujących ze sobą domów i spotykały na tej drodze. Na

brzegu rzeki Pilchuck paliły wykradzione papierosy, płakały do słów *Billy, Don't Be a Hero* i mówiły sobie o wszystkim, splatając swoje istnienia tak, że pod koniec lata nikt już nie wiedział, gdzie zaczyna się jedna z nich, a gdzie kończy druga. Dla wszystkich, którzy je znali, stały się po prostu TullyiKate i przez ponad trzydzieści lat ta przyjaźń była główną podporą ich życia: mocną, solidną i trwałą. Z upływem dekad zmieniała się muzyka, ale obietnice złożone przy Firefly Lane pozostały.

Najlepsze przyjaciółki na zawsze.

Wierzyły w trwałość i niezmienność tego przyrzeczenia, wierzyły, że pewnego dnia jako staruszki będą się bujać w fotelach na skrzypiącej podłodze i wspominać ze śmiechem dawne czasy.

Teraz już oczywiście wiedziała. Przez ponad rok wmawiała sobie, że jest okej, że da sobie radę bez najlepszej przyjaciółki. Czasem nawet w to wierzyła. Ale wtedy słyszała muzykę. Ich muzykę. *Goodbye Yellow Brick Road*. *Material Girl*. *Bohemian Rhapsody*. *Purple Rain*. Wczoraj, gdy robiła zakupy, supermarketowa wersja *You've Got a Friend* sprawiła, że popłakała się przy rzodkiewkach.

Odsunęła kołdrę i wstała z łóżka, starając się nie zbudzić śpiącego męża. Przez chwilę wpatrywała się w niego w pełnym cieni półmroku. Nawet we śnie miał zmartwiony wyraz twarzy.

Wzięła telefon, wyszła z sypialni i przeszła pogrążonym w ciszy korytarzem na taras. Patrzyła na szalejącą na zewnątrz burzę i zebrała się na odwagę. Gdy wybierała doskonale znany sobie numer, zaczęła się zastanawiać, co powie swojej niegdyś najlepszej przyjaciółce po tych wszystkich miesiącach milczenia, od czego powinna zacząć. „Miałam koszmarny tydzień…", „Życie mi się rozsypuje…" albo po prostu: „Potrzebuję cię".

Telefon zadzwonił po drugiej stronie ciemnej, wzburzonej zatoki Puget.

---

1 *firefly* (ang.) – świetlik, robaczek świętojański, *lane* (ang.) – droga.

CZĘŚĆ I

Lata siedemdziesiąte

Dancing Queen

young and sweet,
only seventeen

2

Dla większości kraju rok 1970 był rokiem niepokojów i zmian, lecz w domu przy Magnolia Drive panowały porządek i spokój. Dziesięcioletnia Tully Hart siedziała na chłodnej drewnianej podłodze, budując chatkę z bali dla maleńkich laleczek Little Kiddles, które spały na różowych chusteczkach higienicznych Kleenex. Gdyby była w swoim pokoju, nastawiłaby płytę Jackson Five na adapterze Close ‘N Play, ale w salonie nie było nawet radia.

Jej babcia nie przepadała ani za muzyką, ani za telewizją, ani za planszówkami. Głównie – tak jak teraz – siedziała w bujanym fotelu przy kominku i haftowała kolejną makatkę. Robiła ich setki, w większości z cytatami z Biblii. Przed Bożym Narodzeniem oddawała je do kościoła, gdzie sprzedawano je na świątecznych kiermaszach.

A dziadek… Cóż, był bardzo cichy. Od czasu udaru nie opuszczał łóżka. Czasem dzwonił dzwonkiem i to były jedyne chwile, gdy Tully widywała swoją babcię śpieszącą się. Na pierwszy dźwięk dzwonka uśmiechała się i mówiła: „Ojej”, po czym wybiegała tak szybko, jak tylko pozwalały jej na to obute w kapcie stopy.

Tully sięgnęła po żółtowłosego trolla. Nucąc cichutko, sprawiła, że zatańczył z Calamity Kiddle do melodii *Daydream Believer*. W połowie piosenki rozległo się pukanie do drzwi.

To był tak niespodziewany dźwięk, że Tully przerwała zabawę i podniosła wzrok. Poza niedzielami, gdy zjawiali się

państwo Beattle, żeby zabrać je do kościoła, nikt ich nigdy nie odwiedzał.

Babcia odłożyła makatkę do różowej plastikowej torby przy fotelu i wstała. Przeszła przez pokój powolnym krokiem, szurając stopami, co weszło jej w nawyk w ostatnich latach. Gdy otworzyła drzwi, zapadła cisza i dopiero po długiej chwili rozległo się: „Ojej". Głos babci brzmiał dziwnie. Tully zerknęła z ukosa i zobaczyła wysoką kobietę z długimi włosami w nieładzie i z uśmiechem, który szybko zniknął. To była chyba najpiękniejsza kobieta, jaką Tully widziała: mleczna cera, ostry, szpiczasty nos, wysokie kości policzkowe, delikatny podbródek i przepastne brązowe oczy, które mrugały jakby w zwolnionym tempie.

– Tak się wita dawno niewidzianą córkę? – Kobieta odsunęła babcię, podeszła prosto do Tully i pochyliła się. – To jest moja mała Tallulah Rose?

Córkę? To znaczy…

– Mamusia? – szepnęła Tully z zachwytem, nie mogąc w to uwierzyć.

Tak długo na to czekała, tyle o tym marzyła. Że jej mama wróci.

– Tęskniłaś za mną?

– Och, tak – odpowiedziała Tully, starając się nie roześmiać. Ale była taka szczęśliwa.

Babcia zamknęła drzwi.

– Przejdziemy do kuchni na filiżankę kawy?

– Nie wróciłam na kawę. Wróciłam po córkę.

– Nie masz grosza przy duszy – powiedziała babcia znużonym tonem.

Matka wyglądała na zirytowaną.

– Nawet jeśli?

– Tully potrzebuje…

– Chyba wiem, czego potrzebuje moja własna córka. – Matka Tully spróbowała się wyprostować, ale nie bardzo jej to wyszło. Chwiała się, a jej oczy wyglądały dziwnie. Zaczęła nawijać na palec pasmo długich, falujących włosów.

Babcia podeszła do nich.

– Wychowywanie dziecka to wielka odpowiedzialność, Dorothy. Może gdybyś się tutaj wprowadziła i poznała Tully, byłabyś w stanie… – urwała, a potem zmarszczyła brwi i powiedziała: – Jesteś pijana.

Mama zachichotała i mrugnęła do Tully.

Tully też mrugnęła. Picie nie jest takie złe. Jej dziadek dużo pił, zanim zachorował. Nawet babcia czasem wypiła kieliszek wina.

– Dziś są moje urodziny, mamo, nie pamiętasz?

– Twoje urodziny? – Tully zerwała się z podłogi. – Poczekaj – powiedziała i popędziła do swojego pokoju.

Serce łomotało jej w piersi, gdy przeglądała zawartość szuflady z błyskotkami, rozrzucając wszystko dokoła i szukając naszyjnika z makaronu i koralików, który zrobiła dla mamy w szkółce niedzielnej w zeszłym roku. Babcia zmarszczyła brwi, gdy go zobaczyła, powiedziała, żeby nie robiła sobie zbytnich nadziei, ale Tully nie potrafiła. Od lat żyła nadzieją. Wsunęła naszyjnik do kieszeni i pobiegła do salonu, by usłyszeć, jak jej matka mówi:

– Nie jestem pijana, mamo droga. Widzę swoje dziecko po raz pierwszy od trzech lat. To miłość mnie tak upaja.

– Od sześciu lat. Miała cztery latka, gdy ją tu podrzuciłaś.

– Tak dawno? – odparła mama. Wydawała się szczerze zaskoczona.

– Wróć do domu, Dorothy. Pomogę ci.

– Tak jak ostatnim razem? Nie, dziękuję.

Ostatnim razem? To mama już kiedyś wróciła?

Babcia westchnęła, a potem się wyprostowała.

– Jak długo masz zamiar mi to wypominać?

– Takich rzeczy nie da się zapomnieć. Chodź, Tallulah. – Mama zatoczyła się w kierunku drzwi.

Tully się zamyśliła. To nie tak miało wyglądać. Mama jej nie przytuliła, nie pocałowała ani nie zapytała, jak się miewa. I przecież wiadomo, że najpierw Tully musiałaby się spakować. Wskazała na drzwi swojego pokoju.

– Moje rzeczy…

– Nie potrzebujesz tego materialistycznego gówna, Tallulah.

– Co? – Tully nie zrozumiała.

Babcia przyciągnęła ją do siebie. Pachniała słodko i znajomo, talkiem i lakierem do włosów. To były jedyne ramiona, które ją obejmowały, to była jedyna osoba, która sprawiała, że Tully czuła się bezpieczna. Dziewczynka nagle poczuła strach.

– Babciu? – zapytała, przytulając się do niej. – Co się dzieje?

– Idziesz ze mną – powiedziała mama, chwytając framugę drzwi, żeby złapać równowagę.

Babcia wzięła wnuczkę za ramiona i lekko ścisnęła.

– Znasz nasz numer telefonu i adres, tak? Zadzwoń, jeśli się czegoś przestraszysz albo będzie źle. – Płakała.

Widok silnej i spokojnej babci, która płacze, przeraził i zdezorientował Tully. Co się dzieje? Czy zrobiła coś nie tak?

– Przepraszam. Babciu, ja…

Matka zawróciła, chwyciła ją za ramię i mocno potrząsnęła.

– Nigdy, ale to nigdy nie mów „przepraszam”. To żałosne. Chodź.

Wzięła Tully za rękę i pociągnęła w stronę drzwi.

Dziewczynka, potykając się, ruszyła za nią. Z domu, po schodkach i na drugą stronę ulicy, do pordzewiałego volkswagena busa pokrytego kwiatowymi kalkomaniami i z wymalowaną na boku gigantyczną żółtą pacyfką.

Drzwi się otworzyły i z wnętrza pojazdu wypłynął szary dym. Przez ten mętny tuman Tully dostrzegła w środku trzy osoby. Czarny mężczyzna z olbrzymim afro przewiązanym czerwoną bandaną siedział za kierownicą. Z tyłu znajdowała się kobieta w kamizelce z frędzlami i spodniach w pasy, z brązową chustką na jasnych włosach, a obok niej mężczyzna w dzwonach i wyświechtanym T-shircie. Podłogę busa wyścielała włochata brązowa wykładzina, na której walały się fajki, puste butelki po piwie, opakowania po jedzeniu na wynos i taśmy szpulowe.

– To mój dzieciak, Tallulah – oznajmiła mama.

Tully nie zaprotestowała, ale nienawidziła, gdy zwracano się do niej pełną wersją imienia. Powie to mamie później, kiedy będą same.

– Ale czad – rzucił ktoś.

– Jak dwie krople wody, Dot. Odlot.

– Wsiadać – burknął kierowca. – Spóźnimy się.

Mężczyzna w brudnym T-shircie pochylił się, chwycił Tully w pasie i wciągnął ją do busa. Dziewczynka ostrożnie przycupnęła na podłodze. Mama wspięła się do środka i zatrzasnęła drzwi. Bus pulsował jakąś dziwną muzyką. Tully zdołała wyłapać tylko kilka słów: *something happening here*… Dym rozmywał kontury, trudno było zaczepić o cokolwiek wzrok.

Tully przesunęła się bardziej w kąt, żeby zrobić mamie koło siebie miejsce, ale ona usiadła obok kobiety w chustce. Natychmiast zaczęły rozmawiać o świniach, marszach i o jakimś Kent[2]. Tully nic z tego nie rozumiała, a dym sprawiał, że kręciło jej się w głowie. Gdy mężczyzna obok zapalił swoją fajkę, westchnęła rozczarowana. Usłyszał to i odwrócił się w jej stronę. Dmuchnął chmurą szarego dymu prosto w jej twarz i uśmiechnął się.

– Wyluzuj, mała.

– Zobacz, jak moja matka ją ubiera – stwierdziła z goryczą mama. – Jak jakąś lalkę. Jak ma być prawdziwa, skoro nie może się pobrudzić?

– Racja, Dot – odpowiedział mężczyzna, wydmuchując dym i odchylając głowę do tyłu.

Wtedy mama po raz pierwszy spojrzała na Tully. Spojrzała tak naprawdę.

– Zapamiętaj, dzieciaku. Życie nie polega na gotowaniu, sprzątaniu i niańczeniu dzieci. Życie to wolność. Robienie tego, co chcesz. Możesz, kurwa, zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych, jeśli zechcesz.

– Przydałby się nowy prezydent, to na pewno – wtrącił kierowca.

Kobieta w chustce poklepała mamę po udzie.

– Tak właśnie jest. Podaj mi to bongo, Tom. – Zachichotała. – Hej, prawie mi się zrymowało.

Tully zmarszczyła brwi, czując w głębi brzucha nowy rodzaj wstydu. Myślała, że wygląda ładnie w tej sukience. I wcale nie chciała zostać prezydentem. Chciała być baletnicą.

Ale najbardziej pragnęła tego, żeby mama ją kochała. Przesuwała się w bok, aż znalazła się na tyle blisko, by móc jej dotknąć.

– Wszystkiego najlepszego – powiedziała cicho, sięgając do kieszeni. Wyciągnęła naszyjnik, nad którym tyle pracowała i tyle się męczyła, naprawdę, ciągle naklejała brokat, choć inne dzieci już dawno poszły się bawić. – Zrobiłam to dla ciebie.

Mama złapała naszyjnik i zacisnęła na nim palce. Tully czekała i czekała, aż podziękuje i go założy, ale nie zrobiła tego. Siedziała tam tylko, kołysząc się do muzyki i rozmawiając z przyjaciółmi.

Tully w końcu zamknęła oczy. Z powodu tego dymu chciało jej się spać. Przez większość życia tęskniła za mamą, ale nie tak,

jak się tęskni za zgubioną zabawką czy przyjaciółką, która przestała przychodzić się pobawić, bo coś jej się nie spodobało. Tęskniła tak naprawdę. Zawsze to czuła w środku, tę pustą przestrzeń, która doskwierała w ciągu dnia i szarpała bólem w nocy. Tully obiecywała sobie, że jeśli mama kiedykolwiek wróci, to będzie bardzo grzeczna. Idealna. Cokolwiek złego zrobiła albo powiedziała, naprawi to. Najbardziej na świecie pragnęła sprawić, żeby mama była z niej dumna.

Jednak w tej chwili nie wiedziała, co robić. W jej marzeniach zawsze odchodziły razem, tylko we dwie, trzymając się za ręce. „Już jesteśmy" – mówiła jej mama ze snów, gdy wspinały się na wzgórze do swojego domu. „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej". A potem całowała Tully w policzek i szeptała: „Tak bardzo za tobą tęskniłam. Nie było mnie, bo…".

– Tallulah, obudź się.

Tully gwałtownie się zerwała. Łupało ją w głowie i bolało w gardle. Gdy próbowała zapytać, gdzie są, tylko zachrypiała. Wszyscy się roześmiali i wysypali się z busa rozbawieni.

Na ruchliwej ulicy w centrum Seattle pełno było ludzi, którzy śpiewali, krzyczeli i trzymali tablice z napisami: CZYŃCIE MIŁOŚĆ, NIE WOJNĘ albo: NIE, DO DIABŁA, NIE JEDZIEMY. Tully nigdy nie widziała tylu osób w jednym miejscu.

Mama wzięła ją za rękę i przyciągnęła do siebie.

Resztę dnia wypełnił Tully widok ludzi wykrzykujących slogany i śpiewających jakieś pieśni. Cały czas była przerażona, że wypuści dłoń matki, a tłum porwie ją ze sobą. Nie poczuła się lepiej, gdy pojawili się policjanci, bo mieli broń przy pasach, pałki w rękach i plastikowe tarcze, które zasłaniały ich twarze.

Ale tłum tylko szedł, a policja tylko patrzyła.

Gdy zaczęło się ściemniać, Tully była zmęczona i głodna i bolała ją głowa, ale szli cały czas, kolejnymi ulicami. Tłum się zmienił; nie było już tablic, tylko picie. Od czasu do czasu

docierały do niej jakieś urywki rozmów i zdania, ale nic z tego nie rozumiała.

– Widzieliście te świnie? Mieli ochotę powybijać nam zęby, ale my zachowaliśmy spokój, chłopie. Nie mogli nas tknąć. Hej, Dot, oddaj już tego skręta.

Wszyscy wkoło zaśmiali się, a mama najgłośniej. Tully nie rozumiała, co się dzieje, i okropnie bolała ją głowa. Tłum gęstniał wokół nich, ludzie cieszyli się i tańczyli. Skądś zaczęła dobiegać muzyka.

I wtedy nagle poczuła, że jej dłoni nikt nie trzyma.

– Mamo! – krzyknęła.

Żadnej odpowiedzi. Nikt się do niej nie odwrócił, choć wokół było mnóstwo ludzi. Przepychała się między nimi, wołając mamę, aż zabrakło jej tchu. Postanowiła pójść tam, gdzie ostatni raz ją widziała, i poczekać przy krawężniku.

Ona wróci.

Łzy szczypały ją w oczy i spływały po twarzy, gdy siedziała tam i starała się być dzielna.

Ale mama nie wróciła.

W następnych latach Tully próbowała sobie przypomnieć, co się potem stało, co zrobiła, ale ci wszyscy ludzie dokoła byli jak chmura, która przesłaniała jej wspomnienia. Jedyne, co pamiętała, to że szła po brudnym betonowym krawężniku zupełnie pustą ulicą, aż zobaczyła policjanta na koniu.

Był bardzo wysoko, zmarszczył brwi na jej widok i powiedział:

– Hej, mała, jesteś sama?

– Tak. – Tylko tyle zdołała powiedzieć, żeby się nie rozpłakać.

Zabrał ją z powrotem do domu na Queen Anne Hill, a tam babcia przytuliła ją mocno, pocałowała w policzek i zapewniła, że dziewczynka niczemu nie jest winna. Lecz ona wiedziała swoje. Dzisiaj musiała coś zrobić źle, nieodpowiednio się

zachować. Następnym razem, gdy mama wróci, Tully bardziej się postara. Obieca, że zostanie prezydentem i już nigdy, przenigdy za nic nie przeprosi.

Tully zdobyła listę wszystkich prezydentów Stanów Zjednoczonych Ameryki i nauczyła się ich nazwisk na pamięć. Całymi miesiącami opowiadała, że zostanie pierwszą kobietą prezydentem; porzuciła nawet lekcje baletu. W swoje jedenaste urodziny, gdy babcia zapaliła świeczki na torcie i śpiewała cienkim głosem nieco łzawą wersję *Happy Birthday*, Tully raz po raz zerkała na drzwi, myśląc: *Na pewno teraz!*, ale nikt nie zapukał i telefon też nie zadzwonił. Później, otoczona opakowaniami po prezentach, starała się nadal uśmiechać. Przed nią na stoliku do kawy leżał album na wycinki. Prezent był kiepski, ale babcia zawsze dawała jej takie rzeczy – coś co ją zajmie i sprawi, że będzie cicho.

– Nawet nie zadzwoniła – powiedziała Tully, podnosząc wzrok.

Babcia westchnęła ze znużeniem.

– Twoja mama… Ona ma problemy, Tully. Jest słaba i zdezorientowana. Musisz przestać udawać, że jest inaczej. Ważne jest to, żebyś ty była silna.

Słyszała tę radę milion razy.

– Wiem.

Babcia usiadła na wytartej kwiecistej sofie obok wnuczki i zaprosiła ją na swoje kolana. Tully to uwielbiała. Wtuliła się w nią i przyłożyła policzek do miękkiej babcinej piersi.

– Wolałabym, żeby z twoją mamą było inaczej, Tully, i to najszczersza prawda pod słońcem, ale to stracona dusza. Już od dawna.

– I dlatego mnie nie kocha?

Babcia spojrzała na nią z góry. Okulary w czarnych rogowych oprawkach mocno powiększały jej bladoszare oczy.

– Ona cię kocha, na swój sposób. I dlatego ciągle wraca.

– To nie wygląda jak miłość.

– Wiem.

– Ona mnie chyba nawet nie lubi.

– To mnie nie lubi. Dawno temu coś się wydarzyło i ja nie… Cóż, teraz to nieistotne. – Babcia mocniej przytuliła Tully. – Pewnego dnia będzie żałować tych wszystkich straconych lat z tobą. Jestem tego pewna.

– Mogłabym jej pokazać mój album.

Babcia odwróciła wzrok.

– Byłoby miło. – Po dłuższej chwili ciszy dodała: – Wszystkiego najlepszego, Tully. – Pocałowała ją w czoło. – Pójdę teraz sprawdzić co z dziadkiem. Kiepsko się dzisiaj czuje.

Gdy babcia wyszła z salonu, Tully siedziała, wpatrując się w pustą pierwszą stronę swojego nowego albumu. Byłby idealny na prezent dla mamy pewnego dnia, żeby pokazać jej, co straciła. Ale czym Tully mogła go wypełnić? Znalazła zaledwie kilka swoich zdjęć, zrobionych przez przyjaciół mamy na imprezach albo wycieczkach, ale niewiele. Babcia miała za słabe oczy do tych malutkich wizjerów w aparatach. I przechowywała tylko jedno zdjęcie mamy.

Dziewczynka wzięła długopis i ostrożnie zapisała datę w prawym górnym rogu, a potem zmarszczyła brwi. Co jeszcze? *Kochana Mamo. Dziś były moje jedenaste urodziny…*

Od tamtego dnia zaczęła zbierać pamiątki ze swojego życia. Zdjęcia szkolne, z imprez sportowych, bilety do kina. Przez lata, jeśli tylko miała dobry dzień, śpieszyła do domu, opisywała go i wklejała rachunek czy bilet, które potwierdzały, gdzie była i co robiła. Z czasem zaczęła nieco koloryzować, żeby lepiej wypaść.

To nie były tak naprawdę kłamstwa, tylko lekkie ubarwianie. Żeby pewnego dnia jej mama powiedziała, że jest z niej dumna. Tully wypełniła cały album, a potem następny i następny. W każde urodziny dostawała nowy, aż stała się nastolatką.

I wtedy coś się zmieniło. Nie wiedziała co dokładnie, może chodziło o to, że jej piersi urosły szybciej niż innym dziewczynom, a może zmęczyła się zapisywaniem swojego życia na kawałkach papieru, które nikogo nie interesowały. Gdy miała czternaście lat, skończyła z tym. Włożyła albumy małej dziewczynki do kartonowego pudła, wsunęła je do szafy i poprosiła babcię, żeby już ich nie kupowała.

– Jesteś pewna, skarbie?

– Tak.

Tully nie zależało już na mamie i starała się w ogóle o niej nie myśleć. W szkole mówiła wszystkim, że jej mama zginęła w wypadku na łódce.

To kłamstwo ją uwolniło. Przestała kupować ubrania w dziale dla dziewczynek i zaopatrywała się teraz w dziale młodzieżowym. Wybierała obcisłe, odsłaniające brzuch koszulki, które podkreślały jej piersi, i dzwony z obniżonym stanem, w których świetnie prezentował się jej tyłek. Musiała chować te ubrania przed babcią, ale to nie było trudne; puchowa kamizelka i szybkie pożegnanie umożliwiały jej wyjście z domu w tym, w czym chciała.

Nauczyła się, że jeśli będzie się dobrze ubierać i odpowiednio zachowywać, to najfajniejsze dziewczyny będą się chciały z nią zadawać. W piątkowe i sobotnie wieczory mówiła babci, że będzie u koleżanki, a szła na rolki na Lake Hills, gdzie nikt nigdy nie pytał jej o rodzinę ani nie patrzył jak na „biedną Tully”. Nauczyła się palić papierosy i nie kaszleć. Żuła gumę, by pozbyć się ich zapachu z ust.

W ósmej klasie była jedną z najpopularniejszych osób w gimnazjum, a posiadanie tych wszystkich przyjaciół pomagało. Gdy była zajęta, nie myślała o kobiecie, która jej nie chciała.

W niektóre dni nadal czuła… może nie samotność… ale to coś. Zagubienie. Jakby wszyscy inni ludzie, z którymi się zadawała, byli tylko w zastępstwie.

Dziś był taki właśnie dzień. Siedziała na swoim zwykłym miejscu w szkolnym autobusie i słyszała brzęczenie rozmów dokoła. Wszyscy gadali o sprawach rodzinnych, a ona nie miała nic do powiedzenia. Nie wiedziała, co to kłótnie z młodszym bratem, wspólne zakupy z mamą czy szlaban za pyskowanie rodzicom. Na szczęście autobus szybko dojechał na jej przystanek, więc wysiadła, żegnając się wylewnie z koleżankami, śmiejąc się do nich i machając. Udając. Ostatnio często to robiła.

Gdy autobus odjechał, poprawiła plecak i ruszyła w długą drogę do domu. A kiedy skręciła za róg, zobaczyła to.

Po drugiej stronie ulicy przed domem babci stał zdezelowany czerwony volkswagen bus. Z boku nadal miał ponaklejane kwiaty.

---

2 4 maja 1970 roku w mieście Kent w Ohio po kilkudniowych protestach przeciwko amerykańskiej interwencji w Wietnamie Gwardia Narodowa zastrzeliła czterech studentów i raniła dziewięciu (przyp.tłum.).

3

Było jeszcze ciemno, gdy zadzwonił budzik. Kate Mularkey jęknęła i nie ruszyła się z łóżka, wpatrując się w skośny sufit. Na myśl o szkole poczuła mdłości.

Ósma klasa była dla niej wielkim rozczarowaniem, a rok 1974 okazał się kompletnie do niczego. Tkwiła na towarzyskiej pustyni. Dzięki Bogu został już tylko miesiąc nauki. Tyle że lato wcale nie zapowiadało się lepiej.

W szóstej klasie Kate miała dwie najlepsze przyjaciółki. Wszystko robiły razem – pokazywały swoje konie w klubie 4-H[3], chodziły do ogniska i jeździły rowerami od domu do domu. Gdy skończyły dwanaście lat, wszystko się zmieniło. Jej koleżanki oszalały, nie da się tego inaczej określić. Paliły maryśkę przed lekcjami, wagarowały, za to nigdy nie opuściły żadnej imprezy. Kate nie chciała im towarzyszyć, więc się od niej odcięły. Koniec, kropka. Tymczasem „grzeczne” dzieciaki nie zbliżały się do niej, bo przecież należała do ćpunek. Jej jedynymi przyjaciółmi stały się książki. Przeczytała *Władcę pierścieni* tyle razy, że mogła recytować całe strony z pamięci. Nie jest to umiejętność, dzięki której zyskiwałoby się popularność.

Wstała z łóżka z westchnieniem. W malutkiej łazience, na którą niedawno przerobiono garderobę, wzięła szybki prysznic i zaplotła długie jasne włosy w warkocz, a potem założyła kanciaste okulary w rogowych oprawach. Były beznadziejnie

niemodne – teraz fajne dzieciaki nosiły okrągłe bez oprawek – ale tata powiedział, że na razie nie stać ich na nowe.

Na dole podeszła do tylnych drzwi, podwinęła nogawki dzwonów i włożyła olbrzymie czarne gumowce, które stały na betonowych schodkach. Poruszając się niczym Neil Armstrong, przeszła po głębokim błocku do szopy za domem. Ich stara klacz przykuśtykała do ogrodzenia i zarżała na powitanie.

– Hej, Miodunko – powiedziała Kate, dorzuciła siana i podrapała konia po aksamitnym uchu. – Tęskniłam za tobą – dodała i to była prawda.

Dwa lata temu były nierozłączne. Kate jeździła na swojej klaczy przez całe lato i zdobyły mnóstwo nagród na Festynie Hrabstwa Snohomish.

Ale wszystko się zmienia. Kate już to wiedziała. Koń mógł się nagle zestarzeć i okuleć. A przyjaciółka równie szybko mogła stać się obcą osobą.

– Pa! – Poczłapała z powrotem po ciemnym błocie podjazdu na ganek i zostawiła tam brudne gumiaki.

Gdy otworzyła drzwi, trafiła w sam środek pandemonium. Mama stała przy kuchence w wypłowiałej kwiecistej podomce oraz kosmatych różowych kapciach i paląc mentolowego papierosa Eve, wylewała ciasto na prostokątną elektryczną patelnię. Sięgające ramion brązowe włosy związała w dwa cienkie ogonki kawałkami jaskraworóżowej wstążki.

– Nakryj stół, Kate – powiedziała, nie patrząc na nią. – Sean! Schodź na dół!

Kate zrobiła, co jej kazano. Ledwo skończyła, a matka już stała przy niej i nalewała mleko do szklanek.

– Sean, śniadanie! – zawołała znowu w stronę schodów. Tym razem dodając magiczne słowa: – Nalałam mleko.

W ciągu kilku sekund ośmioletni Sean zbiegł po schodach i dotarł do beżowego stołu z kropkowanego laminatu.

Zachichotał, gdy potknął się o szczeniaka labradora, który niedawno dołączył do rodziny.

Kate już miała usiąść na swoim zwykłym miejscu, ale przypadkiem zerknęła przez kuchnię do salonu. Przez duże okno nad kanapą zobaczyła coś, co ją zaskoczyło: na podjazd naprzeciwko wjeżdżał volkswagen bus.

– No, no.

Wzięła swój talerz i stanęła przy oknie salonu. Popatrzyła na trzy akry ich ziemi i dom naprzeciwko. Był niezamieszkany, odkąd ktokolwiek pamiętał.

Usłyszała za sobą kroki matki; głośne na udającym podłogę z cegły linoleum w kuchni i ciche na zielonej jak mech wykładzinie salonu.

– Ktoś się wprowadza naprzeciwko – oznajmiła.

– Naprawdę?

Nie. Zmyślam.

– Może będzie tam dziewczynka w twoim wieku. Byłoby miło, gdybyś miała przyjaciółkę.

Kate zagryzła wargi, żeby nie powiedzieć czegoś niemiłego. Tylko matkom się wydaje, że w gimnazjum łatwo zawrzeć przyjaźń.

– Wszystko jedno. – Odwróciła się gwałtownie i zabrała talerz na korytarz, żeby w spokoju dokończyć śniadanie pod obrazem przedstawiającym Jezusa.

Tak jak się spodziewała, mama przyszła za nią. Stanęła pod wytapetowaną ścianą z *Ostatnią wieczerzą* i nic nie mówiła.

– Co? – warknęła Kate, gdy już nie mogła dłużej wytrzymać.

Westchnienie mamy było tak ciche, że ledwo słyszalne.

– Dlaczego ostatnio ciągle się sprzeczamy?

– To ty zaczynasz.

– Mówiąc „dzień dobry” i pytając, „co słychać”? No doprawy, wredna ze mnie wiedźma.

– Ty to powiedziałaś.

– Wiesz, że to nie moja wina.

– Co?

– To, że nie masz przyjaciół. Gdybyś…

Kate odeszła. Na Świętego Judę, jeszcze jedna gadka w stylu „gdybyś się bardziej postarała”, a puści pawia. Na szczęście – choć ten jeden raz – mama za nią nie poszła, tylko wróciła do kuchni i zawołała:

– Pośpiesz się, Sean. Autobus szkolny Mularkeyów odjeżdża za dziesięć minut.

Brat Kate zachichotał. Kate przewróciła oczami i poszła na górę. Co za obciach. Dlaczego jej brat codziennie śmieje się z tego samego durnego dowcipu? Odpowiedź przyszła jej do głowy błyskawicznie: bo ma przyjaciół. A dzięki przyjaciołom życie staje się prostsze.

Schowała się w swoim pokoju i czekała, aż usłyszy dźwięk silnika starego forda kombi. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, była podwózka do szkoły przez mamę, która wołała głośno „do widzenia” i wymachiwała rękoma niczym uczestniczka teleturnieju *Dobra cena*. Każdy wie, że bycie podwożonym do szkoły przez rodziców to towarzyskie samobójstwo. Usłyszawszy powolny chrzęst opon na żwirze, zeszła na dół, pozmywała naczynia, zebrała swoje rzeczy i wyszła z domu. Świeciło słońce, ale padający zeszłej nocy deszcz pozostawił na podjeździe kałuże wielkości samochodowych opon. Staruszkowie w sklepie żelaznym już pewnie gadają o powodzi. Błoto lepiło się do grubych podeszew podrabianych butów Earth, więc Kate szła bardzo wolno. Tak się starała nie pobrudzić tęczowych skarpetek, że dotarła aż do końca podjazdu, zanim zauważyła dziewczynę stojącą pod drugiej stronie ulicy.

Była piękna. Wysoka, z dużym biustem, długimi, kręconymi, kasztanowymi włosami i twarzą księżniczki Karoliny z Monako: jasna cera, pełne usta i długie rzęsy. I to jej ubranie: dżinsy dzwony z niskim stanem zapinane na trzy guziki, z kolorowymi wstawkami na dole, które maksymalnie poszerzały nogawki; buty na korkowej platformie z dziesięciocentymetrowymi obcasami, a do tego różowa marszczona bluzka o ludowym kroju z rozszerzanymi rękawami, która odsłaniała co najmniej pięć centymetrów brzucha.

Kate przytuliła książki do piersi, żałując, że nie wycisnęła wczoraj wieczorem pryszczy. I że ma zwykłe dżinsy Sears Rough Riders.

– Cz-cześć – powiedziała, zatrzymując się po swojej stronie drogi. – Autobus staje tutaj.

Czekoladowobrązowe oczy, mocno podkreślone czarnym tuszem i błyszczącym niebieskim cieniem do powiek, popatrzyły na nią, niczego nie zdradzając.

Właśnie wtedy nadjechał autobus. Skrzypiąc i zgrzytając, zatrzymał się z szarpnięciem. Chłopak, w którym się kiedyś podkochiwała, wystawił głowę przez okno i krzyknął:

– Hej, Kootie, już po powodzi. – I się roześmiał.

Kate pochyliła głowę i wsiadła do autobusu. Klapnęła na swoje zwykłe miejsce na przodzie – sama – i trzymała głowę schyloną, czekając, aż nowa dziewczyna ją minie, ale nikt się nie zjawił. Gdy drzwi zamknęły się z łoskotem i autobus gwałtownie ruszył, odważyła się obejrzeć na drogę.

Najatrakcyjniejszej dziewczyny na świecie nigdzie nie było widać.

Tully od razu czuła, że tu nie pasuje. Tego ranka przez dwie godziny wybierała ubranie – strój godny magazynu „Seventeen” – i nic jej nie odpowiadało.

Gdy przyjechał szkolny autobus, podjęła błyskawiczną decyzję. Nie pojedzie do szkoły w tych wieśniackich ciuchach. Snohomish może i jest położone mniej niż godzinę jazdy od Seattle, ale z jej punktu widzenia równie dobrze mogłaby się znajdować na Księżycu. Tak obco się tu czuła.

Nie.

Do diabła, nie.

Przemaszerowała po wysypanym żwirem podjeździe i otworzyła drzwi tak gwałtownie, że uderzyły o ścianę. Wiedziała już, że dramatyzowanie jest jak dobra interpunkcja: podkreśla nasze racje.

– Chyba się naćpałaś – powiedziała głośno, uświadamiając sobie o sekundę za późno, że jedynymi osobami w salonie są faceci od przeprowadzki.

Jeden z nich zatrzymał się i rzucił jej zmęczone spojrzenie.

– Hę?

Wyminęła ich, zahaczając o szafę tak, że usłyszała, jak przeklinają pod nosem. Nie żeby ją to obeszło. Nienawidziła tego uczucia, gdy rozsadza ją złość. Nie pozwoli, by jej tak zwana matka sprawiła, że Tully poczuje się poskręcana w środku, nie po tych wszystkich razach, kiedy ją porzuciła.

Matka siedziała w głównej sypialni na podłodze i wycinała obrazki z „Cosmo”. Jak zwykle długie falujące włosy miała w nieładzie. Przytrzymywała je tylko obrzydliwie staromodna skórzana opaska z koralikami. Nie podnosząc wzroku, otworzyła magazyn na kolejnej stronie, gdzie nagi i uśmiechnięty Burt Reynolds zakrywał sobie przyrodzenie jedną dłonią.

– Nie pójdę do tej obciachowej szkoły. To banda wieśniaków.

– Och. – Mama przewróciła stronę, a potem sięgnęła po nożyczki i zaczęła wycinać kwiaty z reklamy szamponu Breck. – Okej.

Tully miała ochotę wrzasnąć.

– Okej? Okej? Mam czternaście lat.

– Ja mam cię kochać i cię wspierać, skarbie, a nie ci się przeciwstawiać.

Tully zamknęła oczy, policzyła do dziesięciu i powtórzyła:

– Nie mam tu żadnych przyjaciół.

– To znajdź sobie nowych. Ponoć w poprzedniej szkole byłaś wyjątkowo lubiana.

– Daj spokój, mamo, ja…

– Chmuro.

– Nie będę cię nazywać Chmurą.

– W porządku, Tallulah. – Mama podniosła wzrok, by upewnić się, że jej przekaz dotarł. Dotarł.

– Nie pasuję tutaj.

– Wiesz, że to nieprawda, Tully. Jesteś dzieckiem ziemi i nieba, pasujesz wszędzie. Bhagawadgita mówi…

– Wystarczy. – Tully wyszła, choć jej matka nadal mówiła.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, było wysłuchiwanie jakichś nawiedzonych tekstów, których miejsce było na dziwacznych fluorescencyjnych plakatach. Wychodząc z domu, zwinęła matce z torebki paczkę Virginia Slims i wyszła na drogę.

Przez tydzień Kate obserwowała nową dziewczynę z oddali.

Tully Hart była tak fajnie, tak odważnie inna; jakaś jaśniejsza od całej reszty na bladozielonych korytarzach szkoły. Nie miała ustalonej godziny powrotu do domu i nie obchodziło jej, że

przyłapano ją na paleniu w lesie za szkołą. Wszyscy o tym mówili. Kate słyszała cichy podziw w ich głosach. Dla dzieciaków, które dorastały na farmach mlecznych i w domach robotników z papierni w dolinie Snohomish, Tully Hart była egzotyczna. Każdy chciał się z nią zaprzyjaźnić.

Błyskawiczna popularność sąsiadki uczyniła wyobcowanie Kate jeszcze trudniejszym do zniesienia. Dziewczyna nie wiedziała, dlaczego ją to tak boli. Wiedziała za to, że codziennie rano, gdy stały na przystanku ramię w ramię, a mimo to tak bardzo od siebie odległe, rozdzielone ziejącą przepaścią milczenia, czuje rozpaczliwe pragnienie uznania ze strony Tully.

Nie żeby to kiedykolwiek mogło nastąpić.

– …zanim zacznie się *Carol Burnett Show*. Już gotowe. Kate? Katie?

Kate podniosła głowę z blatu stołu. Zasnęła w kuchni nad otwartą książką do wiedzy o społeczeństwie.

– Hę? Co? – zapytała, wsuwając z powrotem okulary na nos.

– Zrobiłam zapiekany makaron z wołowiną dla naszych nowych sąsiadów naprzeciwko. Chciałabym, żebyś im zaniosła.

– Ale… – Kate próbowała wymyślić jakąś wymówkę, cokolwiek, co mogłoby ją od tego wybawić. – Oni są tu już od tygodnia.

– No to się trochę spóźniłam. Ostatnio miałam urwanie głowy.

– Mam za dużo pracy domowej. Niech Sean idzie.

– Sean raczej nie nawiąże tam przyjaźni, prawda?

– Ja też nie – odparła Kate z żalem.

Mama spojrzała jej w oczy. Brązowe włosy, które rano tak starannie zakręcała i zaczesywała, oklapły w ciągu dnia, a makijaż się starł. Teraz jej okrągła twarz o wydatnych policzkach wydawała się blada i zmęczona. Fioletowo-żółta

szydełkowa kamizelka – prezent pod choinkę z zeszłego roku – była krzywo zapięta. Wpatrując się w Kate, mama podeszła i usiadła przy stole.

– Mogę coś powiedzieć, ale żebyś na mnie od razu nie naskoczyła?

– Raczej nie.

– Przykro mi z powodu Joannie.

Tego nie było nawet na liście rzeczy, których Kate mogła się w tym momencie spodziewać.

– To nieważne.

– Ważne. Słyszałam, że zadaje się teraz z mocno zabawowym towarzystwem.

Kate chciała powiedzieć, że nic a nic jej to nie obchodzi, ale ku własnemu przerażeniu poczuła łzy w oczach. Ogarnęły ją wspomnienia: ona i Joannie na wyścigu Octopus na festynie, siedzące przed boksami w stajni, rozmawiające o tym, jak wspaniale będzie w gimnazjum. Wzruszyła ramionami.

– No.

– Życie bywa czasem trudne. Zwłaszcza gdy ma się czternaście lat.

Kate przewróciła oczami. Jeśli jednej rzeczy mogła być pewna, to akurat tego, że jej matka nie ma bladego pojęcia, jak trudne bywa życie nastolatki.

– Bez jaj.

– Będę udawać, że tego nie słyszałam. To nie będzie trudne, bo nigdy już tego nie usłyszę. Jasne?

Kate żałowała, że nie jest taka jak Tully. Ona by się tak łatwo nie wycofała. Pewnie zapaliłaby w tym momencie papierosa i niech jej matka spróbuje coś powiedzieć.

Mama pogrzebała w workowatej kieszeni spódnicy i znalazła papierosy. Zapalając jednego, obserwowała Kate.

– Wiesz, że cię kocham i cię wspieram i nigdy nie pozwoliłabym, żeby ktoś cię skrzywdził. Ale, Katie, muszę cię o to zapytać. Na co ty czekasz?

– O co ci chodzi?

– Spędzasz większość czasu na czytaniu i odrabianiu pracy domowej. Jak ludzie mają cię poznać, skoro tak się zachowujesz?

– Oni nie chcą mnie poznać.

Mama delikatnie dotknęła jej dłoni.

– Nigdy nie jest dobrze siedzieć i czekać, aż ktoś lub coś odmieni twoje życie. I dlatego kobiety takie jak Gloria Steinem palą staniki i maszerują na Waszyngton.

– Żebym znalazła przyjaciół?

– Żebyś wiedziała, że możesz być, kimkolwiek zechcesz. Twoje pokolenie ma tyle szczęścia. Możesz zostać, kim chcesz. Ale czasem musisz podjąć ryzyko. Pójść krok do przodu. Jedną rzecz mogę ci powiedzieć na pewno: zwykle żałujemy w życiu tego, czego nie zrobiliśmy.

Kate usłyszała dziwny ton w głosie mamy, smutek, który zabarwił słowo „żałujemy”. Ale co jej matka mogła wiedzieć na temat walki o popularność w gimnazjum? Od dekad nie była nastolatką.

– Ta, jasne.

– To prawda, Kathleen. Pewnego dnia zrozumiesz, jaka jestem mądra. – Mama uśmiechnęła się i poklepała ją po ręce. – Zwykle człowiek orientuje się wtedy, gdy po raz pierwszy prosi swoją matkę o przypilnowanie własnych dzieci.

– O czym ty mówisz?

Mama się roześmiała, ale Kate nie wiedziała dlaczego.

– Cieszę się, że sobie o tym porozmawiałyśmy. A teraz idź. Zaprzyjaźnij się ze swoją nową sąsiadką.

Taa, już to widzę.

– Włóż kuchenne rękawice. Zapiekanka jest gorąca – poradziła mama.

Świetnie. Jeszcze te rękawice.

Kate podeszła do blatu i spojrzała na czerwonobrązową breję zapiekanki. Przygnębiona przykryła ją folią, zawinęła jej brzegi pod spód, a potem założyła grube pikowane niebieskie rękawice, które uszyła ciocia Georgia. Przy tylnych drzwiach wsunęła stopy w skarpetkach w podrabiane earthy i ruszyła błotnistym podjazdem.

Dom po drugiej stronie ulicy był długi i niski, w stylu rancza, miał kształt litery L i stał tyłem do drogi. Gont na dachu porastał mech. Jasne deskowanie na ścianach wymagało malowania, a rynny wypełniały liście i patyki. Olbrzymie krzewy rododendronów zasłaniały większość okien, dzikie jałowce tworzyły kolczastą barierę biegnącą wzdłuż domu. Nikt się nie zajmował tym ogrodem od lat.

Kate zatrzymała się przed drzwiami od frontu i głęboko zaczerpnęła powietrza.

Trzymając zapiekankę jedną ręką, z drugiej ściągnęła rękawicę i zapukała.

Niech nikogo nie będzie w domu, proszę.

Niemal natychmiast usłyszała kroki w środku.

Drzwi otwarły się i zobaczyła wysoką kobietę w zwiewnej podomce. Na czole miała indiańską opaskę z koralikami. W uszach dwa różne kolczyki. Jej spojrzenie wydawało się jakieś nieostre, jakby potrzebowała okularów, których nie miała, ale i tak była piękna w wyrazisty, a jednocześnie kruchy sposób.

– Tak?

Dziwna pulsująca muzyka zdawała się dobiegać z kilku miejsc naraz. Światła były wyłączone, tylko kilka lampek lava bulgotało i migotało na zielono i czerwono.

– Dz-dzień dobry – wydukała Kate. – Moja mama zrobiła dla was zapiekankę.

– Dobra! – odpowiedziała kobieta i cofnęła się. Potknęła się i omal nie upadła.

I nagle za drzwiami pojawiła się Tully. Sunęła z gracją i pewnością siebie gwiazdy filmowej, a nie nastolatki. W jasnoniebieskiej minisukience i białych kozaczkach wyglądała tak, jakby mogła już prowadzić samochód. Nic nie mówiąc, chwyciła Kate za ramię i zaprowadziła ją przez salon do kuchni, w której wszystko było różowe: ściany, szafki, zasłony, kafelki blatów, stół. Gdy Tully na nią spojrzała, Kate wydało się, że dostrzega w tych ciemnych oczach coś jakby przebłysk zażenowania.

– To twoja mama? – zapytała Kate, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Ma raka.

– Och. Przykro mi – zdołała wydukać Kate.

W kuchni zapanowała cisza. Zamiast nawiązać z Tully kontakt wzrokowy, Kate wbiła wzrok w stół. W życiu nie widziała tyle śmieciowego jedzenia w jednym miejscu. Ciasteczka Pop-Tarts, pudełka płatków Cap’n Crunch i Quisp, chipsy Fritos, prażynki Funyuns, biszkopty z kremem Twinkies, ciastka Zingers i popcorn w cukrze Screaming Yellow Zonkers.

– Kurczę. Chciałabym, żeby mama pozwalała mi to wszystko jeść.

Kate natychmiast pożałowała wypowiedzianych słów. Zabrzmiały bardzo niefajnie. Żeby zająć się czymś – i mieć na co patrzeć, zamiast na nieodgadnioną twarz Tully – postawiła zapiekankę na blacie.

– Jeszcze gorąca – powiedziała, co było oczywiste, bo przecież trzymała ją w przypominających wieloryby rękawicach.

Tully zapaliła papierosa, oparła się o różową ścianę i przyglądała się jej.

Kate zerknęła na drzwi prowadzące do salonu.

– Nie przeszkadza jej, że palisz?

– Jest zbyt chora, żeby się przejmować.

– Ojej.

– Chcesz dymka?

– Yyy… Nie, dziękuję.

– Taa. Tak myślałam.

Na ścianie wymachiwał ogonem czarny kot z zegara Kit-Kat.

– Pewnie musisz wracać do domu na obiad – powiedziała Tully.

– Ojej – odparła znowu Kate, co zabrzmiało jeszcze bardziej gapowato. – Racja.

Tully poprowadziła ją przez salon, gdzie jej mama leżała teraz na sofie.

– Do widzenia, dziewczynko z naprzeciwka z miłym sąsiedzkim podejściem!

Tully otworzyła drzwi. Zapadająca noc w obramowaniu framugi wyglądała jak rozmazany fioletowy prostokąt, zbyt jaskrawy, by był prawdziwy.

– Dzięki za zapiekankę – powiedziała. – Nie umiem gotować, a Chmura jest, że tak powiem, ugotowana.

– Chmura?

– To najnowsze imię mojej mamy.

– Och.

– Fajnie by było, gdybym umiała gotować. Albo jakbyśmy miały kucharza czy coś. Skoro mama ma raka. – Tully spojrzała na Kate.

Powiedz jej, że możesz ją nauczyć. Zaryzykuj.

Ale nie mogła. Lęk przed odrzuceniem był porażający.

– Cóż… To na razie!

– Nara.

Kate minęła Tully i wyszła w mrok.

Była w połowie drogi do ulicy, gdy Tully za nią zawołała.

– Hej, poczekaj.

Kate powoli się odwróciła.

– Jak się nazywasz?

Kate poczuła iskierkę nadziei.

– Kate. Kate Mularkey.

Tully się roześmiała.

– Jak „malarkey”?[4] Żartujesz?

Kate już dawno nie bawiły reakcje na jej nazwisko. Westchnęła i ruszyła w stronę ulicy.

– Nie chciałam się śmiać – powiedziała Tully, ale wcale nie przestała.

– Jakby mnie to obchodziło.

– Okej. Bądź wredna, czemu nie?

Kate szła dalej.

---

3 4-H – założona na początku XX wieku organizacja edukacyjna, której celem jest wszechstronny rozwój dzieci i młodzieży. Nazwa pochodzi od angielskich słów Head, Heart, Hands, Health (głowa, serce, ręce, zdrowie).

4 *malarkey* (ang.) – brednie, bzdury, głupstwa.

4

Tully patrzyła na odchodzącą Kate.

– Nie powinnam była tego mówić – stwierdziła, słysząc, jak jej głos niknie pod olbrzymim rozgwieżdżonym niebem.

Sama nie wiedziała, dlaczego to zrobiła, dlaczego nagle poczuła chęć, by wyśmiać sąsiadkę z naprzeciwka. Z westchnieniem weszła do domu. Gdy tylko znalazła się w salonie, otoczył ją dym trawki i zaczął szczypać w oczy. Mama leżała na kanapie z rozłożonymi rękoma i nogami, z jedną stopą na stoliku do kawy, a drugą na poduszkach oparcia. Usta miała rozchylone, ślina zebrała się w kącikach ust.

I dziewczyna z naprzeciwka to widziała. Tully poczuła gorącą falę wstydu. W poniedziałek w szkole wszyscy będą o tym gadać. „Tully Hart ma matkę ćpunkę". Właśnie dlatego nigdy nie zapraszała nikogo do domu. Jak się trzyma coś w tajemnicy, to lepiej to robić w samotności. Oddałaby wszystko, żeby mieć taką mamę, która robi kolację dla obcych ludzi. Może właśnie dlatego śmiała się z nazwiska sąsiadki. Zaniepokoiła ją ta myśl, więc głośno zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Obudź się, Chmuro.

Mama gwałtownie wciągnęła powietrze i usiadła.

– S-so się dzieje?

– Pora na kolację.

Chmura odsunęła włosy z oczu i spróbowała skupić wzrok na ściennym zegarze.

– A co my jesteśmy w domu opieki? Piąta jest.

Tully była zaskoczona, że mama orientuje się w ogóle, która jest godzina. Poszła do kuchni, przełożyła zapiekankę na dwa białe talerze CorningWare i wróciła z nimi do salonu.

– Proszę – powiedziała, podając matce talerz i widelec.

– Skąd to masz? Ugotowałaś?

– No raczej nie. Sąsiadka przyniosła.

Chmura rozejrzała się dokoła załzawionymi oczami.

– Mamy sąsiadów?

Tully nie chciało się odpowiadać. Jej matka i tak zawsze zapominała, o czym rozmawiały. Normalna rozmowa nie była możliwa i zwykle Tully to nie przeszkadzało – miała taką samą ochotę na rozmowę z Chmurą jak na oglądanie czarno-białych filmów – ale teraz, po wizycie tamtej dziewczyny, Tully dotkliwie odczuła swoją odmienność. Gdyby miała prawdziwą rodzinę – mamę, która robi zapiekanki i każe je zanosić sąsiadom – nie czułaby się taka samotna. Usiadła na jednym z workowatych pufów w kolorze musztardy obok kanapy i powiedziała ostrożnie:

– Ciekawe, co teraz robi babcia.

– P-p-pewnie te okropne makatki „Chwalmy Pana". Jakby miały ją s-s-sbawić. Ha. Jak tam w szkole?

Tully gwałtownie uniosła głowę. Nie mogła uwierzyć, że mama właśnie zapytała ją o jej życie.

– Mam dużo przyjaciół, ale… – Zmarszczyła brwi. Jak wyrazić niezadowolenie? Tak naprawdę wiedziała tylko, że jest tu samotna, nawet pośród licznych nowych znajomych. – Cały czas czekam, aż…

– Mamy keczup? – rzuciła mama, wpatrując się w swoją porcję zapiekanego makaronu i szturchając go widelcem. Kołysała się jednocześnie w rytm muzyki.

Tully zezłościła się na samą siebie, że czuje rozczarowanie. Jak mogła oczekiwać po matce czegokolwiek?

– Idę do siebie – powiedziała, wstając z pufa.

Zanim zatrzasnęła drzwi swojego pokoju, usłyszała jeszcze:

– Zamiast keczupu może być ser.

Późno tego wieczoru, długo po tym, jak już wszyscy poszli spać, Kate zakradła się na dół, włożyła wielkie gumiaki taty i wyszła na zewnątrz. Nabrała ostatnio zwyczaju wychodzenia z domu, kiedy nie mogła zasnąć. Olbrzymie czarne niebo nad jej głową było usiane gwiazdami. Poczuła się pod nim mała i nieistotna. Samotna dziewczyna patrząca w głąb pustej drogi, która prowadzi donikąd.

Miodunka zarżała i przytruchtała do niej.

Kate wspięła się na ogrodzenie.

– Hej, mała – powiedziała, wyciągając marchewkę z kieszeni parki.

Zerknęła na dom po drugiej stronie ulicy. O północy nadal paliły się tam światła. Tully pewnie imprezuje z tymi swoimi znajomymi. Śmieją się, tańczą i gadają o tym, jacy są cool.

Kate oddałaby wszystko, żeby choć raz zaproszono ją na taką imprezę.

Miodunka szturchnęła ją w kolano i prychnęła.

– Wiem. Mogę sobie pomarzyć. – Dziewczyna z westchnieniem zsunęła się z ogrodzenia, poklepała klacz ostatni raz i wróciła do łóżka.

Kilka dni później, po kolacji złożonej z ciasteczek Pop-Tarts i płatków Alpha-Bits, Tully wzięła długi gorący prysznic,

starannie ogoliła nogi i pachy i wysuszyła włosy, prostując je tak, że od czubka głowy aż po końcówki nie było ani jednej falki czy zagięcia. A potem podeszła do szafy i stała przed nią, próbując wymyślić, co włożyć. To była jej pierwsza impreza w liceum. Musiała się odpowiednio zaprezentować. Z gimnazjum nie zaproszono żadnej innej dziewczyny. Tylko ją. Zaprosił ją Pat Richmond, najprzystojniejszy chłopak z drużyny futbolowej. Byli na hamburgerach w zeszłą środę, jego paczka i jej. I wystarczyło im jedno spojrzenie. Pat zostawił tłumek swoich rosłych kolegów i podszedł prosto do Tully.

Widziała, że się zbliża, i omal nie zemdlała. Z szafy grającej leciało *Stairway to Heaven*. Jakby było mało romantycznie.

– Mógłbym mieć kłopoty przez samo rozmawianie z tobą – powiedział.

Starała się sprawiać wrażenie dojrzałej i obytej, gdy odpowiadała:

– Lubię kłopoty.

Ten uśmiech, którym ją obdarzył… Nigdy czegoś takiego nie widziała. Po raz pierwszy w życiu poczuła, że jest tak piękna, jak wszyscy jej zawsze mówili.

– Pójdziesz ze mną na imprezę w piątek?

– Powinno się udać – odpowiedziała. Tak mówiła Erica Kane w serialu *Wszystkie moje dzieci*.

– Podjadę po ciebie o dziesiątej. – Przysunął się bliżej. – Chyba że o tej porze nie wolno ci być poza domem, dziecinko?

– Wolno. Firefly Lane siedemnaście.

Uśmiechnął się znowu.

– Tak przy okazji, jestem Pat.

– A ja Tully.

– No to do zobaczenia o dziesiątej, Tully.

Tully nadal trudno było w to uwierzyć. Przez ostatnie dwa dni obsesyjnie myślała o swojej pierwszej prawdziwej randce.

Do tej pory spotykała się z chłopakami tylko w grupie albo na szkolnych potańcówkach. Ale to było coś zupełnie innego, a Pat był już właściwie mężczyzną.

Mogli się w sobie zakochać, zdawała sobie z tego sprawę. I wtedy, trzymając go za rękę, nie czułaby się taka samotna.

Podjęła decyzję, w co się ubrać.

Dżinsy dzwony z obniżonym stanem i trzema guzikami, dziergany top z głębokim dekoltem i ulubione buty na korkowych platformach. Niemal godzinę poświęciła na makijaż, nakładając kolejne warstwy, aż wyglądała naprawdę seksownie. Nie mogła się doczekać, kiedy pokaże Patowi, jak potrafi być ładna.

Chwyciła paczkę papierosów mamy i wyszła ze swojego pokoju.

W salonie Chmura spojrzała nieprzytomnie znad czasopisma.

– Hej, już prawie dz-dz-dziesiąta. Dokąd się wybierasz?

– Kolega zaprosił mnie na imprezę.

– Jest tutaj?

No jasne. Jakby Tully miała zamiar kogokolwiek zapraszać do środka.

– Umówiłam się z nim przy drodze.

– Och. Spoko. Nie budź mnie, jak wrócisz.

– Dobrze.

Na zewnątrz było ciemno i zimno. Po niebie ciągnęło się gwiezdne pasmo Drogi Mlecznej.

Tully czekała koło skrzynki na listy przy głównej ulicy, przestępując z nogi na nogę, żeby się rozgrzać. Dostała gęsiej skórki na nagich ramionach. Pierścionek pokazujący nastrój na jej środkowym palcu zmienił kolor z zielonego na fioletowy. Próbowała sobie przypomnieć, co to oznacza.

Na wzniesieniu po drugiej stronie drogi śliczny wiejski domek jaśniał na tle ciemności. Każde okno było niczym

drobina ciepłego, roztapiającego się masła. Pewnie wszyscy siedzieli w środku, skupieni wokół wielkiego stołu, i grali w Ryzyko. Tully była ciekawa, co by zrobili, gdyby ich pewnego dnia odwiedziła, pojawiła się po prostu na ganku i powiedziała „cześć".

Usłyszała samochód Pata, zanim zobaczyła światła. Ryk silnika sprawił, że zapomniała o rodzinie po drugiej stronie ulicy i wyszła na drogę, żeby pomachać. Zielony dodge charger zatrzymał się obok niej. Auto zdawało się pulsować i wibrować w rytm muzyki. Tully wsunęła się na miejsce pasażera. W środku było tak głośno, że Pat nie usłyszałby nawet, gdyby coś powiedziała. Uśmiechnął się do niej, wcisnął gaz i wystartowali niczym rakieta, by popędzić cichą wiejską ulicą.

Gdy skręcili w żwirową drogę, zobaczyła w dole imprezę. Dziesiątki aut z zapalonymi światłami zaparkowały w olbrzymim kręgu na pastwisku. Z czyjegoś radia samochodowego dudniło *Taking Care of Business* Bachman-Turner Overdrive. Pat zaparkował w zagajniku ciągnącym się wzdłuż ogrodzenia.

Wszędzie byli młodzi ludzie; zbierali się wokół ogniska i przy metalowych beczkach z piwem ustawionych na trawie, w której walały się przezroczyste plastikowe kubki. Przy stodole grupka chłopaków grała w touch ball. Był koniec maja, jeszcze daleko do lata, więc większość imprezowiczów miała na sobie kurtki. Tully zaczęła żałować, że nie wzięła swojej.

Pat mocno ściskał jej rękę, gdy prowadził ją przez tłum par w kierunku beczki, a potem nalał im po pełnym kubku piwa.

Trzymając swoje, Tully dała się zaprowadzić do spokojniejszego miejsca za kręgiem samochodów. Tam Pat rozłożył swoją bejsbolową kurtkę na ziemi i zaprosił Tully gestem, żeby usiadła.

– Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, nie mogłem uwierzyć – powiedział, siadając blisko niej i popijając piwo. – Jesteś najładniejszą dziewczyną, jaka kiedykolwiek mieszkała w tym mieście. Wszystkie chłopaki cię chcą.

– Ale masz mnie ty – odpowiedziała, uśmiechając się.

Miała wrażenie, że tonie w jego ciemnych oczach.

Pociągnął duży łyk piwa, właściwie opróżniając kubek, a potem odstawił go i pocałował Tully.

Całowała się już z chłopakami. Zwykle były to nieudane, nerwowe próby podczas jakiegoś wolnego tańca. Ale to było coś innego. Usta Pata były jak magia. Westchnęła ze szczęścia, szepcząc jego imię. Gdy się odchylił, patrzył na nią z czystą, pełną radości miłością w oczach.

– Cieszę się, że tu jesteś.

– Ja też.

Dokończył piwo i wstał.

– Idę jeszcze po browar.

Stali już w kolejce do beczki, gdy nagle Pat zmarszczył brwi.

– Hej, ty w ogóle nie pijesz. Myślałem, że lubisz imprezy.

– Lubię. – Uśmiechnęła się nerwowo.

Nigdy dotąd nie piła, ale on jej nie polubi, jeśli się będzie zachowywała jak dziwaczka, a rozpaczliwie pragnęła mu się podobać.

– Do dna – powiedziała, przysunęła plastikowy kubek do ust i wypiła duszkiem całą zawartość. Gdy skończyła, odbiło się jej i zachichotała.

– Ekstra.

Z drugim kubkiem poszło łatwiej, a przy trzecim Tully zupełnie straciła smak. Gdy Pat przyniósł butelkę wina Annie Green Springs, też sobie pociągnęła. Przez niemal godzinę siedzieli na jego kurtce, mocno przytuleni, pili i rozmawiali. Nie znała ludzi, o których opowiadał, ale to nie miało znaczenia.

Ważne było to, jak na nią patrzy, i to, w jaki sposób trzyma jej rękę.

– Chodź – szepnął. – Zatańczymy.

Zakręciło jej się w głowie, gdy wstała. Zachwiała się, a w tańcu co chwila się potykała. W końcu się przewróciła. Pat się roześmiał, wziął ją za rękę, by pomóc jej wstać, i zaprowadził ją do ciemnego, romantycznego zakątka wśród drzew. Chichocząc, szła za nim niezdarnie, a gdy wziął ją w ramiona i pocałował, gwałtownie wciągnęła powietrze.

Czuła się wspaniale. Gorąca krew buzowała w jej żyłach. Przylgnęła do Pata jak kotka, zachwycona uczuciem, które w niej wywoływał. Zaraz przerwie, spojrzy na nią i powie „Kocham cię", jak Ryan O'Neal w *Love Story*. Może nawet Tully nazwie go studencikiem. Ich piosenką będzie *Stairway to Heaven*. Będą opowiadać wszystkim, że poznali się, gdy…

Jego język wsunął się do jej ust, rozpychał się i gmerał niczym macka obcego. Tully już nie czuła się dobrze. Coś było nie tak. Chciała, żeby przestał, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu, bo nie miała czym oddychać.

Błądził dłońmi po całym jej ciele: po pośladkach, biodrach, szarpał biustonosz, próbując go rozpiąć. Usłyszała, jak stanik uległ z obrzydliwym cichym pyknięciem i Pat już ugniatał jej pierś.

– Nie… – jęknęła, próbując odepchnąć jego dłonie. Nie tego chciała. Chciała miłości, romantyzmu i magii. Kogoś, kto by ją kochał. A nie… tego. – Nie, Pat, przestań…

– Daj spokój, Tully. Przecież wiesz, że sama chcesz. – Popchnął ją, a ona potknęła się, upadła twardo na ziemię i uderzyła się w głowę. Wszystko jej się rozmazało przed oczyma. Gdy odzyskała wzrok, Pat leżał między jej nogami. Przytrzymał jej obie dłonie jedną ręką i przygwoździł ją do ziemi.

– Tak właśnie lubię – powiedział, rozchylając jej kolana.

Podsunął do góry jej top i wbił wzrok w nagie piersi.

– O, tak… – Objął jedną pierś i mocno ścisnął brodawkę. Drugą dłoń wsunął w spodnie, aż pod bieliznę.

– Przestań. Proszę… – Tully próbowała się wyswobodzić, ale jej wicie się tylko go podniecało.

Grzebał palcami między jej nogami, poruszał nimi w środku.

– No dalej, skarbie, rozluźnij się.

Zaczęła płakać.

– Nie…

– O, tak… – Położył się na niej całym ciężarem, wciskając ją w mokrą trawę.

Płakała tak mocno, że czuła smak własnych łez, ale jemu to nie przeszkadzało. Jego pocałunki się zmieniły – były mokre, ssące, gryzące. Bolały, ale nie tak bardzo, jak sprzączka paska, która uderzyła ją w brzuch, gdy go rozpinał, czy jego członek, którego mocno w nią wbijał…

Zacisnęła powieki, czując rozdzierający ból między nogami, jakby skrobano ją od środka.

I nagle koniec. Pat stoczył się z niej i leżał tam, przytulając ją i całując w policzek, jakby to, co właśnie zrobił, miało coś wspólnego z miłością.

– Hej, ty płaczesz. – Delikatnie odsunął jej włosy z twarzy. – O co chodzi? Myślałem, że tego chcesz.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Jak każda dziewczyna, wyobrażała sobie, jak kiedyś straci cnotę, ale w marzeniach to nigdy nie wyglądało tak. Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Miałabym chcieć tego?

Zmarszczył brew.

– Daj spokój, Tully. Chodźmy potańczyć.

Sposób, w jaki to powiedział, jakby był poirytowany jej reakcją, jeszcze pogorszył sprawę. Zachowała się nie w porządku, podnieciła go, a tak właśnie kończą dziewczyny, które igrają z ogniem. Wpatrywał się w nią jeszcze przez minutę, a potem wstał i podciągnął spodnie.

– Mniejsza z tym. Chcę się napić. Chodźmy.

Przewróciła się na bok.

– Odejdź.

Czuła, że on stoi obok, że patrzy na nią z góry.

– Zachowywałaś się tak, jakbyś tego chciała. Do diabła, nie możesz uwodzić chłopaka, a potem go odrzucać. Dorośnij, mała. To twoja wina.

Zamknęła oczy i zignorowała go. Ulżyło jej, gdy sobie poszedł. Po raz pierwszy cieszyła się, że jest sama.

Leżała tam, czując się zraniona, załamana, a przede wszystkim głupia. Po mniej więcej godzinie usłyszała, że wszyscy się zbierają, włączają silniki, a opony ruszających aut rozrzucają na boki żwir. Ona jednak nadal tam leżała, nie potrafiąc zmusić się do wstania. To wszystko jej wina, miał rację. Była taka głupia. A chciała tylko, żeby ktoś ją pokochał.

– Głupia – syknęła, siadając wreszcie.

Ubrała się powoli i spróbowała wstać. Ruch sprawił, że poczuła mdłości i natychmiast zwymiotowała na swoje ulubione buty. Gdy skończyła, pochyliła się, żeby podnieść torebkę, przycisnęła ją do piersi i ruszyła w długą, bolesną drogę ku szosie.

O tej porze w nocy nie jeździły żadne samochody, a jej to odpowiadało. Nie chciała nikomu wyjaśniać, dlaczego ma we włosach sosnowe igły, a buty pobrudzone wymiocinami.

Przez całą drogę do domu przeżywała na nowo to, co się wydarzyło – sposób, w jaki Pat uśmiechał się do niej, gdy zapraszał ją na imprezę, jego delikatny pierwszy pocałunek, to,

jak z nią rozmawiał, jakby się dla niego liczyła, a potem ten drugi Pat, Pat o brutalnych dłoniach, rozpychającym się języku i natarczywych palcach, z twardym fiutem, którego wepchnął w nią bez ceregieli.

Im więcej o tym myślała, tym bardziej samotna i opuszczona się czuła. Gdyby tylko miała kogoś zaufanego, z kim mogłaby porozmawiać. Może to złagodziłoby jej ból. Ale oczywiście nikogo takiego nie miała.

To była kolejna rzecz, którą będzie musiała trzymać w tajemnicy, tak jak szurniętą matkę i nieznanego ojca. Ludzie powiedzieliby, że mogła się tego spodziewać, skoro jako gimnazjalistka poszła na licealną imprezę.

Gdy zbliżała się do swojego podjazdu, zwolniła kroku. Myśl o powrocie do domu, o samotności w miejscu, które powinno być dla niej schronieniem, o kobiecie, która powinna ją kochać, stała się nagle nie do zniesienia.

Stary, siwy koń sąsiadów przytruchtał do płotu i zarżał do niej.

Tully przeszła na drugą stronę drogi i weszła na wzniesienie. Przy ogrodzeniu zerwała garść trawy i wyciągnęła ją do konia.

– Masz, koniku.

Koń obwąchał trawę, prychnął miękko i odbiegł.

– Ona lubi marchewkę.

Tully gwałtownie spojrzała do góry i zobaczyła, że jej sąsiadka siedzi na górnej belce ogrodzenia.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Jedynym dźwiękiem było ciche rżenie klaczy.

– Późno jest – powiedziała dziewczyna od sąsiadów.

– Tak.

– Lubię tu być w nocy. Gwiazdy są takie jasne. Czasem, gdy wpatrujesz się w niebo wystarczająco długo, mogłabyś przysiąc, że te małe białe kropki latają dokoła niczym świetliki. Może

dlatego ta ulica tak się nazywa. Pewnie myślisz, że jestem dziwadłem, skoro mówię takie rzeczy.

Tully chciała coś odpowiedzieć, ale nie mogła. Gdzieś głęboko, głęboko w środku zaczęła się trząść i musiała całą uwagę skupić na tym, by nie dygotać.

Ta dziewczyna – Kate, przypomniała sobie Tully – zsunęła się z ogrodzenia. Miała na sobie za duży T-shirt z aplikacją Partridge Family, która zaczęła się odklejać. Gdy szła, jej kalosze aż mlaskały w błocie.

– Hej, nie wyglądasz najlepiej – rzuciła. Aparat korekcyjny sprawił, że „sz" zabrzmiało jak „s". – I cuchniesz rzygami.

– Nic mi nie jest – odparła Tully, która cała się usztywniła, gdy Kate podeszła.

– Wszystko w porządku? Na pewno?

Ku swojemu przerażeniu Tully zaczęła płakać. Kate stała przez chwilę, przyglądając się jej zza swoich kujońskich okularów. A potem, nic nie mówiąc, przytuliła ją.

Tully wzdrygnęła się w pierwszym odruchu. To było coś zaskakującego i obcego. Chciała się odsunąć, ale poczuła, że nie może się ruszyć. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio ktoś tak ją obejmował, i nagle przywarła do tej dziwnej dziewczyny i bała się ją puścić. Bała się, że bez Kate odpłynie niczym S.S. Minnow i rozbije się na morzu.

– Na pewno jej się poprawi – powiedziała Kate, gdy płacz Tully trochę ucichł.

Tully cofnęła się i zmarszczyła brwi. Zrozumiała dopiero po chwili.

Rak. Kate myślała, że ona martwi się o mamę.

– Chcesz o tym pogadać? – zapytała Kate, zdejmując z zębów aparat i odkładając go na pokryty mchem słupek ogrodzenia.

Tully spojrzała na nią. W srebrzystym świetle księżyca w pełni dostrzegała w powiększonych soczewkami zielonych

oczach Kate wyłącznie współczucie i chciała porozmawiać, chciała tak bardzo, że aż ją od tego mdliło. Ale nie wiedziała, jak zacząć.

– Chodź – powiedziała Kate i zaprowadziła ją w górę wzniesienia na krzywy ganek swojego domu. Usiadła tam i naciągnęła wytarty T-shirt na kolana.

– Moja ciocia Georgia miała raka – powiedziała. – To było okropne. Straciła wszystkie włosy. Ale teraz już jest dobrze.

Tully usiadła obok niej i odłożyła torebkę. Poczuła odór wymiocin. Wyciągnęła papierosa i zapaliła go, żeby przytłumić ten zapach. Zanim się zorientowała, powiedziała:

– Poszłam dziś na imprezę nad rzeką.

– Tę dla licealistów? – Kate chyba była pod wrażeniem.

– Zaprosił mnie Pat Richmond.

– Ten rozgrywający? No, no. Moja mama nie pozwoliłaby mi nawet stanąć w tej samej kolejce co chłopak z maturalnej klasy. Jest beznadziejna.

– Wcale nie.

– Uważa, że osiemnastoletni chłopcy są niebezpieczni. Mówi o nich „penisy z rękami i nogami". Powiedz, że to nie beznadziejne.

Tully popatrzyła na pole przed nimi i wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Sama nie wierzyła, że chce powiedzieć tej dziewczynie, co się dzisiaj wydarzyło, ale prawda paliła ją od środka jak ogień. Jeśli się od tego nie uwolni, spłonie.

– On mnie zgwałcił.

Kate odwróciła się ku niej. Tully poczuła, że zielone oczy obserwują jej profil, ale nie ruszyła się, nie zmieniła pozycji. Wstyd tak ją przytłaczał, że nie chciała oglądać jego odbicia w oczach Kate. Czekała, aż tamta coś powie, że nazwie ją idiotką, ale cisza trwała i trwała. Tully nie mogła już tego wytrzymać. Spojrzała w bok.

– Wszystko w porządku? – zapytała cicho Kate.

Tych parę słów sprawiło, że Tully przeżyła wszystko na nowo. Łzy napłynęły jej do oczu i świat się rozmazał.

A Kate znowu ją przytuliła. Tully pozwoliła, by ktoś ją pocieszał po raz pierwszy, odkąd była małym dzieckiem. Gdy się wreszcie odsunęła, spróbowała się uśmiechnąć.

– Będziesz cała mokra.

– Powinnyśmy komuś powiedzieć.

– Nie ma mowy. Powiedzą, że to moja wina. To będzie nasz sekret, okej?

– Okej. – Kate zmarszczyła brwi, gdy to mówiła.

Tully otarła oczy i zaciągnęła się papierosem.

– Dlaczego jesteś dla mnie taka miła?

– Wydawało mi się, że jesteś samotna. A ja wiem, jakie to uczucie.

– Naprawdę? Ale ty masz rodzinę.

– Oni muszą mnie lubić – westchnęła Kate. – Ale w szkole wszyscy traktują mnie tak, jakbym była trędowata. Miałam przyjaciółki, ale… Pewnie nie masz bladego pojęcia, o czym mówię. Jesteś taka popularna.

– To tylko znaczy, że wielu ludziom wydaje się, że mnie znają.

– Chciałabym tak.

Zapadła cisza. Tully dokończyła papierosa i zgasiła go. Były tak różne, ona i Kate, tak pełne kontrastów, jak to ciemne pole skąpane w blasku księżyca, a rozmawiało się z nią tak łatwo. Tully omal się nie uśmiechnęła i to w najgorszą noc w swoim życiu. To naprawdę było coś.

Przez następną godzinę siedziały i od czasu do czasu się odzywały, ale głównie milczały. Nie powiedziały nic szczególnie ważnego ani nie zdradziły sobie już żadnych sekretów.

Wreszcie Kate ziewnęła, a Tully wstała.

– Będę spadać.

Zeszły z ganku i ruszyły do drogi. Kate zatrzymała się przy skrzynkach pocztowych.

– No to na razie.

– Na razie.

Tully stała przez chwilę nieruchomo, czując się niezręcznie. Chciała objąć Kate, może przytulić się do niej i powiedzieć, jak bardzo jej tej nocy pomogła, ale nie miała odwagi. Dzięki matce dobrze wiedziała, co znaczy podatność na zranienie, i czuła się zbyt krucha, by zaryzykować poniżenie. Odwróciła się i ruszyła do domu. Gdy była w środku, poszła prosto pod prysznic. Tam, pod strugami gorącej wody, pomyślała o tym, co się stało tego wieczoru – do czego dopuściła, bo tak bardzo chciała być cool – i rozpłakała się. Gdy skończyła, a płacz uwiązł jej w gardle niczym twardy supeł, starannie schowała wspomnienie tej nocy. Upchnęła je gdzieś w głębi razem z pamięcią o tych czasach, gdy Chmura ją porzuciła, i natychmiast zaczęła o nim zapominać.

5

Po odejściu Tully Kate długo nie mogła zasnąć. Wreszcie odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka.

Na dole znalazła to, czego potrzebowała: małą figurkę Matki Boskiej, wotywną świecę w czerwonym szklanym lichtarzyku, pudełko zapałek i stary różaniec babci. Zabrała wszystko do siebie na górę, urządziła ołtarzyk na komodzie i zapaliła świeczkę.

– Ojcze Niebieski – zaczęła się modlić z pochyloną głową i złożonymi dłońmi – czuwaj proszę nad Tully Hart i pomóż jej w tym trudnym czasie. I ulecz, proszę, jej mamę z raka. Wiem, że możesz im pomóc. Amen. – Odmówiła kilka zdrowasiek, a potem wróciła do łóżka.

Jednak wierciła się i przekręcała z boku na bok przez całą noc, śniąc o spotkaniu z Tully i zastanawiając się, co się wydarzy rano. Czy powinna zagadać dziś do Tully w szkole, uśmiechnąć się do niej? A może miała udawać, że nic się nie zdarzyło? Popularnością wśród rówieśników rządzą ścisłe reguły, tajemne kody zapisane niewidzialnym atramentem, które potrafią odczytać tylko takie dziewczyny jak Tully. Kate wiedziała jedynie, że nie chce popełnić błędu ani się ośmieszyć. Zdawała sobie sprawę, że czasem popularne dziewczyny kumplują się w sekrecie z dziwadłami – uśmiechają się do nich i mówią „cześć”, gdy nie są w szkole albo jeśli ich rodzice się przyjaźnią. Może tak właśnie będzie z nią i z Tully?

Ostatecznie przestała próbować zasnąć i wstała. Włożyła szlafrok i zeszła na dół. W salonie tata spojrzał na nią znad gazety i uśmiechnął się.

– Dzieńdoberek, Katie Scarlett. Chodź tu i uściskaj swojego staruszka.

Usiadła mu na kolanach i przyłożyła policzek do szorstkiej wełny koszuli.

Tata wsunął jej kosmyk włosów za ucho. Widziała, że jest zmęczony. Tak ciężko pracował, biorąc po dwie zmiany w fabryce Boeinga, żeby mogli pozwolić sobie na coroczny wyjazd na kemping.

– Co tam w szkole?

Zawsze o to pytał. Kiedyś, dawno temu, odpowiedziałaby mu. Powiedziałaby: „Nie za dobrze, tato”. I poczekała na jakąś radę, pocieszenie czy cokolwiek z jego strony. Jednak taka reakcja nie następowała. Tata słyszał to, co chciał usłyszeć, a nie to, co ona mówiła. Mama twierdziła, że to dlatego, że pracuje w fabryce tyle godzin.

Kate mógł irytować ten brak uważności, ale tak naprawdę sprawiał, że kochała ojca jeszcze bardziej. Nigdy na nią nie krzyczał, nie kazał być ostrożną ani nie przypominał, że sama jest odpowiedzialna za własne szczęście. W tym specjalizowała się mama. Tata po prostu kochał ją po cichu, bez względu na wszystko.

– Dobrze – odpowiedziała, potwierdzając kłamstwo uśmiechem.

– No a jakżeby inaczej? – odparł, całując ją w skroń. – Jesteś najładniejszą dziewczyną w mieście, co? A twoja mama dała ci imię po największej literackiej bohaterce wszech czasów.

– Tak, bo ja mam mnóstwo wspólnego ze Scarlett O’Harą.

– Zobaczysz – powiedział ojciec, chichocząc. – Jeszcze kawał życia przed tobą, panienko.

Spojrzała na niego.

– Myślisz, że będę ładna, jak dorosnę?

– Ach, Katie – odparł. – Już teraz jesteś pięknością.

Wzięła te słowa i schowała pieczołowicie w kieszeni jak kolorowe, polerowane kamyczki. Od czasu do czasu, gdy szykowała się do szkoły, czuła je, obracała w palcach.

Zanim była ubrana i gotowa do wyjścia, dom opustoszał. Autobus rodziny Mularkeyów wyjechał z bazy.

Była tak zdenerwowana, że przyszła na przystanek za wcześnie. Każda mijająca minuta zdawała się trwać wieczność, a Tully się nie pojawiała. Nawet gdy autobus podjechał i gwałtownie się zatrzymał.

Kate spuściła głowę i zajęła miejsce na przodzie.

Przez cały ranek wypatrywała Tully w szkole, ale jej nie zobaczyła. W czasie lunchu minęła szybko tłum popularnych uczniów, którzy wpychali się do kolejki, gdy tylko chcieli, i usiadła przy jednym z długich stołów na samym końcu kafeterii. Dzieciaki po drugiej stronie stołówki śmiały się, rozmawiały, rozpychały, natomiast stoły w polarnej strefie towarzyskiej były żałośnie ciche. Kate, podobnie jak siedzący wokół niej, rzadko podnosiła wzrok. To była jedna z umiejętności ułatwiających przetrwanie, których niepopularne osoby uczyły się bardzo szybko: gimnazjum jest jak dżungla w Wietnamie, najlepiej schylić się i być cicho. Była tak skupiona na swoim lunchu, że gdy ktoś podszedł do niej i powiedział „cześć”, aż podskoczyła na krześle.

Tully!

Nawet w taki chłodny majowy poranek miała na sobie kusą minispódniczkę, białe kozaczki, lśniące czarne rajstopy i odsłaniający ramiona obcisły top. Na dekolcie kołysało się kilka łańcuszków z pacyfkami. Włosy lśniły miedzianym blaskiem. Wielka sznurkowa torba zwisała na biodrze.

– Powiedziałaś komuś o zeszłej nocy?

– Nie. Jasne, że nie.

– Czyli jesteśmy przyjaciółkami, tak?

Kate nie wiedziała, czym jest bardziej zaskoczona: pytaniem czy bezbronnością w spojrzeniu Tully.

– Jesteśmy przyjaciółkami.

– Świetnie. – Tully wyjęła z torby paczkę biszkoptowych ciasteczek Twinkies, a potem usiadła obok Kate. – To pogadajmy o makijażu. Potrzebujesz pomocy, a ja nie jestem suką. Naprawdę. Po prostu znam się na modzie. To dar. Mogę wypić twoje mleko? Dobre. Dzięki. A będziesz jeść tego banana? Mogłabym przyjść do ciebie po szkole…

Kate stała przed drogerią, sprawdzając, czy na ulicy nie ma kogoś, kto mógłby znać jej mamę.

– Jesteś pewna? – zapytała.

– Absolutnie.

Marna to była pociecha. W dniu, w którym oficjalnie zostały przyjaciółkami, Kate dowiedziała się o Tully jednej istotnej rzeczy: to była dziewczyna, która planuje. A jej dzisiejszy plan miał sprawić, że Kate stanie się piękna.

– Nie ufasz mi?

I oto ono, wielkie pytanie. Było jak wyrzucenie pięciu takich samych wyników w grze w kości: gdy tylko Tully je zadawała, Kate przegrywała grę. Musiała ufać swojej nowej przyjaciółce.

– Oczywiście, że ufam. Tylko że nie wolno mi się malować.

– Uwierz mi, jestem w tym tak dobra, że twoja mama nawet nie zauważy. Chodź.

Tully pewnym krokiem ruszyła przez drogerię. Wybrała cienie do powiek i róż, które miały pasować do Kate, a potem –

ku jej zaskoczeniu – za wszystko zapłaciła. Gdy Kate próbowała protestować, Tully odpowiedziała beztrosko:

– Jesteśmy przyjaciółkami, nie?

Gdy wychodziły ze sklepu, szturchnęła ją ramieniem.

Kate zachichotała i odpowiedziała tym samym. Przeszły przez miasto i ruszyły brzegiem rzeki do domu. Cały czas rozmawiały. O ubraniach, o muzyce, o szkole. Wreszcie skręciły ze starej drogi i znalazły się na podjeździe przed domem Tully.

– Moja babcia byłaby przerażona, gdyby to zobaczyła – powiedziała Tully, sprawiając wrażenie zażenowanej. Rododendrony przy domu rozrosły się do rozmiarów balonów na gorące powietrze. – To do niej należy ten dom.

– Odwiedza was?

– Nie. Woli poczekać.

– Na co?

– Aż mama znowu o mnie zapomni. – Tully przeszła nad stosem gazet i ominęła pojemniki na śmieci, a potem otworzyła drzwi. W środku było aż gęsto od dymu.

Mama Tully była w salonie. Leżała na sofie z półprzymkniętymi oczami.

– Dz-dzień dobry – powiedziała Kate. – Jestem Kate, z domu naprzeciwko.

Pani Hart spróbowała się podnieść, ale nie dała rady.

– Cześć, sąsiadko.

Tully złapała Kate za rękę, pociągnęła ją przez salon do swojego pokoju i zatrzasnęła za nimi drzwi. Od razu podeszła do stosu płyt, wyciągnęła *Good Bye Yellow Brick Road* i włączyła adapter. Gdy rozbrzmiała muzyka, rzuciła Kate gazetkę „Tiger Beat” i przysunęła krzesło do toaletki.

– Gotowa?

Kate znów zaczęła się denerwować. Wiedziała, że będzie mieć przez to kłopoty, ale jak miała zdobyć przyjaciół i stać się

popularna, jeśli nie podejmie ryzyka?

– Gotowa.

– To dobrze. Siadaj. Najpierw zajmiemy się twoimi włosami. Trzeba zrobić pasemka. Maureen McCormick je sobie robi.

Kate spojrzała na odbicie Tully w lustrze.

– Skąd wiesz?

– Czytałam w zeszłym numerze „Teen".

– Pewnie robi je u profesjonalistki. – Kate otworzyła „Tiger Beat" i spróbowała skupić uwagę na artykule (*Wymarzona dziewczyna dla Jacka Wilda – to mogłabyś być ty!*).

– Cofnij to. Przeczytałam instrukcję dwa razy.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że skończę łysa?

– Właściwie zerowe. A teraz bądź cicho. Czytam instrukcję. Znowu.

Tully podzieliła włosy Kate na pasma i zaczęła psikać je preparatem Sun-In. Prawie godzinę zajęło, zanim była usatysfakcjonowana.

– Jak skończę, będziesz wyglądać jak Marcia Brady.

– Jak to jest być lubianym? – Kate nie chciała o to pytać, po prostu jej się wymknęło.

– Sama zobaczysz. Ale dalej będziesz moją przyjaciółką?

Kate się roześmiała.

– Bardzo śmieszne. Hej, ale to piecze.

– Naprawdę? To niedobrze. I zaczęły ci wypadać włosy.

Kate starała się nie krzywić. Jeśli wyłysienie miało być ceną za przyjaźń z Tully, była gotowa ją zapłacić.

Tully sięgnęła po suszarkę i zaczęła owiewać włosy Kate strumieniem gorącego powietrza.

– Dostałam okres! – oznajmiła, przekrzykując szum suszarki. – Więc przynajmniej ten dupek nie zrobił mi dziecka.

Kate usłyszała ton brawury w głosie przyjaciółki i dostrzegła ją też w jej oczach.

– Modliłam się za ciebie.

– Naprawdę? – zapytała Tully. – Kurczę. Dzięki.

Kate nie wiedziała, co odpowiedzieć. Dla niej modlitwa była jak mycie zębów przed pójściem spać, to było coś, co się po prostu robi.

Tully wyłączyła suszarkę i uśmiechnęła się, ale wyglądała na zaniepokojoną. Może z powodu odoru palonych włosów.

– Okej. Idź pod prysznic i spłucz to.

Kate posłuchała. Kilka minut później wyszła spod prysznica, wytarła się i ubrała.

Tully od razu chwyciła ją za rękę i zaprowadziła na krzesło.

– Wypadają?

– Trochę – przyznała Kate.

– Jeśli wyłysiejesz, ogolę się na łyso. Obiecuję.

Tully czesała i suszyła jej włosy, a Kate bała się spojrzeć. Zamknęła oczy i pozwoliła, by głos Tully wtopił się w szum suszarki.

– Otwórz oczy.

Kate powoli podniosła powieki. Z takiej odległości nie potrzebowała okularów, ale nawyk sprawił, że nachyliła się do przodu. Dziewczyna w lustrze miała proste włosy blond z jaśniejszymi pasemkami, idealnym przedziałkiem i starannie wysuszone. Po raz pierwszy były miękkie i lśniące, a nie cienkie i oklapnięte. Białe pasemka podkreślały zieleń oczu i kolor ust. Kate wyglądała niemal ładnie.

– Och! – powiedziała. Czuła tak wielką wdzięczność, że nie potrafiła powiedzieć nic więcej.

– Poczekaj, aż zobaczysz, co mogą sprawić tusz i róż – odpowiedziała Tully. – I korektor na te pryszcze na twoim czole.

– Zawsze będę twoją przyjaciółką – oznajmiła Kate. Wydawało jej się, że wyszeptała to niedosłyszalnie, ale gdy Tully szeroko się uśmiechnęła, wiedziała, że ją usłyszała.

– Dobra. A teraz zajmijmy się makijażem. Widziałaś moją golarkę?

– A po co ci golarka?

– Do twoich brwi, głuptasku. O, tu jest. Zamknij oczy.

Kate się nie wahała.

– Okej.

Kate nawet nie zadała sobie trudu zasłonienia twarzy, gdy przyszła do domu. Aż tak pewnie się czuła. Po raz pierwszy w życiu wiedziała, że jest piękna.

Tata był w salonie, siedział w swoim regulowanym fotelu La-Z-Boy. Gdy Kate weszła, podniósł wzrok.

– Dobry Boże – powiedział, odstawiając z brzękiem drinka na niski stolik w stylu francuskim. – Margie!

Mama wyszła z kuchni, wycierając dłonie w fartuszek. Miała na sobie swój codzienny strój: bluzkę w oliwkowo-rude pasy z poliestru, brązowe sztruksowe dzwony i marszczony fartuszek z napisem „ Miejsce kobiety jest w domu… i w senacie”. Gdy zobaczyła Kate, znieruchomiała. A potem powoli rozwiązała fartuszek i rzuciła go na stół.

Nagła cisza sprawiła, że do pokoju wpadli Sean i pies, potykając się jeden o drugiego.

– Katie wygląda jak skunks – stwierdził Sean. – Fuuuj.

– Idź umyć ręce przed kolacją – powiedziała ostrym tonem mama. – Natychmiast – dodała, gdy się zawahał.

Sean burknął coś i poszedł na górę.

– Margie, czy ty pozwoliłaś jej zrobić to coś z włosami? – zapytał tata z salonu.

– Zajmę się tym, Bud – odpowiedziała mama, marszcząc brwi, gdy Kate przechodziła przez pokój. – Zrobiła ci to ta dziewczyna

z naprzeciwka?

Kate skinęła głową, starając się przywołać tamto uczucie, że jest piękna.

– I to ci się podoba?

– Tak.

– Cóż. W takim razie mnie też. Pamiętam, jak ciocia Georgia ufarbowała mi włosy na czerwono. Babcia Peet była wściekła. – Uśmiechnęła się. – Ale powinnaś była zapytać. Jesteś jeszcze dzieckiem, Kate, bez względu na to, co sobie z koleżanką myślicie. Ale co wyście zrobiły z twoimi brwiami?

– Tully mi je ogoliła. Żeby je wyregulować.

Mama starała się nie uśmiechnąć.

– Rozumiem. Cóż, to się załatwia pęsetą. Powinnam cię była tego nauczyć, ale myślałam, że jesteś jeszcze za młoda. – Poszukała wzrokiem papierosów. Znalazła paczkę na stole, wysunęła jednego i zapaliła. – Po kolacji pokażę ci, jak się to robi. I myślę, że odrobina tuszu i błyszczyku do szkoły nie zaszkodzą. Pokażę ci, jak zrobić makijaż, który wygląda bardziej naturalnie.

Kate uściskała mamę.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też. A teraz zajmij się chlebem kukurydzianym. I, Katie, cieszę się, że masz przyjaciółkę, ale nie łam już zasad, okej? Bo właśnie przez to dziewczęta wpadają w kłopoty.

Kate od razu przypomniała się impreza licealistów, na którą poszła Tully.

– Dobrze, mamo.

W ciągu tygodnia Kate dołączyła do grona popularnych uczniów. Koleżanki zachwycały się jej nowym wyglądem i nie

odwracały się już na jej widok. Skoro była przyjaciółką Tully Hart, to znaczy, że jest w porządku.

Nawet rodzice zauważyli różnicę. Podczas kolacji Kate nie była już taka cicha jak zawsze. Dosłownie usta się jej nie zamykały. Opowiadała jedną historię za drugą. Kto z kim chodzi, kto wygrał w tetherball, kto musiał za karę zostać po lekcjach za noszenie koszulki z nadrukiem MAKE LOVE NOT WAR, gdzie Tully się ostatnio strzygła (w Seattle u niejakiego Gene'a Juareza – ale fajowo, nie?) i jaki film grają w ten weekend w kinie samochodowym. Po kolacji, gdy razem z mamą zmywała naczynia, dalej opowiadała o Tully.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznasz. Jest super cool. Wszyscy ją lubią, nawet zielarze.

– Zielarze?

– Trawiarze. Ćpuny.

– Och. – Mama odebrała od niej szklane naczynie na pieczeń i wytarła je. – Popytałam trochę o tę dziewczynę, Kate. Ona próbuje kupować papierosy od Almy w drogerii.

– Pewnie kupuje je dla matki.

Mama odstawiła wytarte naczynie na blat z kropkowanego laminatu.

– Zrób coś dla mnie, Kate. Uważaj na siebie, przebywając z Tully Hart. Nie chciałabym, żebyś przez nią wpadła w kłopoty.

Kate wrzuciła zrobiony na szydełku zmywak do spienionej wody.

– Nie wierzę. Tyle razy mówiłaś mi o podejmowaniu ryzyka. Przez lata powtarzałaś, że powinnam mieć przyjaciół, a gdy tylko kogoś sobie znalazłam, ty nazywasz ją dziwką!

– Wcale nie nazwałam jej…

Kate wybiegła z kuchni. Przy każdym kroku spodziewała się, że matka zawołała ją i da jej szlaban, ale jej dramatycznemu wyjściu towarzyszyła cisza. Wpadła do swojego pokoju

i zatrzasnęła drzwi. A potem usiadła na łóżku i czekała. Jak mama przyjdzie, to pożałuje. Tym razem to Kate będzie silna.

Ale mama się nie pokazała i około dziesiątej Kate poczuła wyrzuty sumienia. Może sprawiła jej przykrość? Wstała i przeszła przez pokój. Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Natychmiast rzuciła się na łóżko i przybrała znudzoną pozę.

– Tak?

Drzwi otwarły się powoli. Stanęła w nich mama. Miała na sobie sięgającą do ziemi czerwoną aksamitną podomkę, którą kupili jej na gwiazdkę w zeszłym roku.

– Mogę wejść?

– Jakbym mogła o tym decydować.

– Możesz – odpowiedziała cicho mama. – To mogę wejść?

Kate wzruszyła ramionami, ale przesunęła się, żeby zrobić mamie miejsce.

– Wiesz, Kate, życie…

Kate nie zdołała powstrzymać grymasu. Tylko nie kolejna przemowa o życiu.

Mama zaskoczyła ją, bo się roześmiała.

– Okej. Żadnych przemów. Może jesteś już na to za duża – przerwała, dostrzegłszy ołtarzyk na komodzie. – Nie robiłaś ich, odkąd Georgia była na chemioterapii. Kto potrzebuje twoich modlitw?

– Mama Tully ma raka, a ona została z… – Szybko zamknęła usta, przerażona tym, czego omal nie zdradziła. Przez większość życia mówiła swojej matce wszystko, ale teraz miała najlepszą przyjaciółkę i powinna być ostrożniejsza.

Mama usiadła na łóżku obok Kate, tak jak to zawsze robiły po kłótni.

– Raka? To spore obciążenie dla dziewczynki w tym wieku.

– Tully daje sobie radę.

– Na pewno?

– Ona daje sobie radę ze wszystkim – odpowiedziała Kate, nie kryjąc dumy.

– Jak to?

– Nie zrozumiesz.

– Jestem za stara, tak?

– Wcale tak nie powiedziałam.

Mama delikatnym muśnięciem odsunęła Kate włosy z czoła. Ten dotyk był tak oczywisty jak oddech. Kate zawsze czuła się, jakby miała pięć lat, gdy mama to robiła.

– Przykro mi, że pomyślałaś, że osądzam twoją przyjaciółkę.

– I powinno ci być.

– A tobie jest przykro, bo byłaś dla mnie okropna, prawda?

Kate nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Tak.

– Coś ci zaproponuję. Może zaproś Tully na kolację w piątek?

– Pokochasz ją. Jestem o tym przekonana.

– Na pewno – odpowiedziała mama i pocałowała Kate w czoło. – Branoc.

– Branoc, mamo.

Kate jeszcze długo po wyjściu mamy i zanurzeniu się domu w nocnej ciszy leżała i nie mogła zasnąć, bo była zbyt podekscytowana. Nie mogła się doczekać zaproszenia Tully na kolację. Potem obejrzą sobie serial *I Dream of Jeannie* albo zagrają w Operację, albo poćwiczą robienie makijażu. Może Tully będzie nawet chciała zostać na noc. Mogłyby…

Puk.

…pogadać o chłopakach i całowaniu, i…

Puk.

Kate usiadła. To nie był ani ptak na dachu, ani mysz w ścianie.

Puk.

To mały kamyk ciśnięty w szybę!

Odrzuciła kołdrę, przypadła do okna i szybko je otworzyła.

Tully stała u niej na podwórzu z rowerem.

– Złaź – powiedziała, o wiele za głośno, ponaglając ją gestem dłoni.

– Mam się wymknąć z domu?

– Yhy.

Kate nigdy czegoś takiego nie robiła, ale nie mogła się teraz zachować jak tchórz. Fajne dziewczyny łamią reguły i wymykają się z domu w nocy. Przecież to wiadomo. Wiadomo też, że można mieć przez to kłopoty. I właśnie o tym mówiła mama. „Uważaj na siebie, przebywając z Tully Hart".

Kate nic to nie obchodziło. Najważniejsza była Tully.

– Już idę.

Zamknąwszy okno, poszukała wzrokiem ubrania. Na szczęście ogrodniczki leżały w rogu, starannie złożone pod czarną bluzą. Szybko wyskoczyła z piżamy ze Scooby-Doo i ubrała się, a potem wyszła na korytarz. Gdy mijała sypialnię rodziców, serce biło jej tak mocno, że aż zakręciło jej się w głowie. Schody skrzypiały złowieszczo przy każdym kroku, ale wreszcie się udało. Przy tylnych drzwiach zawahała się na tyle długo, by zdążyć pomyśleć: *Mogę mieć przez to kłopoty*, i otworzyła drzwi.

Tully czekała. Trzymała najcudowniejszy rower, jaki Kate kiedykolwiek widziała. Miał kierownicę typu baranek, wąziutkie siodełko na klasycznej ramie i mnóstwo różnych kabelków.

– Rany – powiedziała.

Trzeba by naprawdę mnóstwo pracować w wakacje, żeby kupić sobie taki rower.

– To szosówka – powiedziała Tully. – Babcia dała mi ją w zeszłym roku na gwiazdkę. Chcesz się przejechać?

– No co ty?! – Kate cicho zamknęła za sobą drzwi. Pod wiatą znalazła swój stary różowy rower z kierownicą w kształcie litery U, ozdobiony kwiecistymi naklejkami, z bananowożółtym siodełkiem i białym wiklinowym koszykiem. Był beznadziejnie niefajny. Rower małej dziewczynki.

Tully nawet nie zwróciła na to uwagi. Wsiadły i wyjechały rozmiękłym i nierównym podjazdem na asfaltową drogę. Tam skręciły w lewo i przyspieszyły. Na Summer Hill Tully powiedziała:

– Zobacz. I zrób tak jak ja.

Zjeżdżały ze wzgórza, jakby miały skrzydła. Włosy Kate powiewały, oczy łzawiły. Czarne drzewa dokoła szeptały na wietrze. Gwiazdy migotały na czarnym aksamicie nieba.

Tully odchyliła się do tyłu i rozłożyła ramiona. Spojrzała na Kate i powiedziała ze śmiechem:

– Spróbuj.

– Nie mogę. Za szybko jedziemy.

– I o to chodzi.

– To niebezpieczne.

– Daj spokój. Wyluzuj, Katie. Bóg kocha odważnych. – I cicho dodała: – Zaufaj mi.

Teraz Kate nie miała wyboru. Zaufanie to element przyjaźni; Tully nie będzie się zadawać z cykorem.

– No dalej – powiedziała Kate sama do siebie, siląc się na stanowczość.

Wzięła głęboki oddech, odmówiła modlitwę i rozpostarła ramiona.

I pofrunęła. Żeglowała przez nocne niebo w dół wzgórza. W powietrzu czuć było pobliską stadninę, pachniało końmi i świeżym sianem. Słyszała obok śmiech Tully, ale zanim zdążyła się uśmiechnąć, coś poszło nie tak. Przednie koło

natrafiło na kamień; rower zaparł się niczym byk i przekręcił w bok, zahaczając o koło roweru Tully.

Kate krzyknęła, chwyciła za kierownicę, ale było za późno. Znalazła się w powietrzu – tym razem frunęła naprawdę. Asfalt był coraz bliżej, uderzyła o niego mocno i przejechała po nim, aż wylądowała w błotnistym rowie i znieruchomiała. Tully przetoczyła się po jezdni i wpadła na nią. Rowery z grzechotem przewróciły się na asfalt.

Oszołomiona Kate wpatrywała się w ciemne niebo. Bolało ją wszystko. Chyba zwichnęła lewą kostkę. Była spuchnięta i obolała. Czuła miejsca, w których skóra zeszła płatami po kontakcie z jezdnią.

– To było niesamowite – powiedziała Tully ze śmiechem.

– Żartujesz? Mogłyśmy się zabić.

– Właśnie.

Kate skrzywiła się z bólu, gdy spróbowała wstać.

– Powinnyśmy wyjść z tego rowu. Może nadjechać samochód…

– Ale nie było super? Poczekaj, aż wszystkim opowiemy.

Wszystkim w szkole. To dopiero będzie historia, z Kate jako jedną z jej bohaterek. Ludzie będą uważnie słuchać, wzdychać och i ach, dopytywać: „Wymknęłaś się z domu?”, „Z Summer Hill bez trzymanki?”, „Na pewno kłamiecie…”.

I nagle Kate też się zaśmiała.

Pomogły sobie nawzajem wstać i podniosły rowery. Gdy dotarły na drugą stronę drogi, Kate właściwie zapomniała, że się poobijała. Poczuła się nagle jak zupełnie inna dziewczyna: odważniejsza, śmielsza, gotowa spróbować wszystkiego. I co z tego, że po takiej nocy mogą być kłopoty? Cóż znaczy skręcona kostka czy zakrwawione kolano wobec przygody? Przez ostatnie dwa lata przestrzegała wszelkich zasad i spędzała weekendowe wieczory, siedząc w domu. Koniec z tym.

Zostawiły rowery na poboczu i pokuśtykały w kierunku rzeki. W świetle księżyca wszystko było mleczne i piękne – srebrzyste fale i poszarpane skały wzdłuż brzegu. Tully usiadła przy zbutwiałym, pokrytym mchem zwalonym pniu, w miejscu, gdzie trawa była gęsta jak kudłaty dywan. Kate usiadła obok niej, tak blisko, że ich kolana niemal się stykały. Razem wpatrywały się w rozgwieżdżone niebo. Pieśń rzeki unosiła się ku nim niczym śmiech młodej dziewczyny. W tym momencie, gdy świat był tak cichy i nieruchomy, wydawało się, że wiatr wstrzymał swój chłodny oddech i zostawił je tutaj całkiem same, w miejscu, które do tej pory było tylko jednym z zakrętów wylewającej każdej jesieni rzeki.

– Zastanawiam się, kto nadał nazwę naszej ulicy – powiedziała Tully. – Nie widziałam tu żadnych świetlików.

Kate wzruszyła ramionami.

– Przy starym moście jest Missouri Street. Może jakiś pionier tęsknił za domem. Albo się zgubił.

– A może to magia. To może być magiczna ulica. – Tully odwróciła się do niej. – A to mogłoby oznaczać, że przyjaźń była nam przeznaczona.

Kate aż przeszedł dreszcz, tyle w tym było mocy.

– Zanim się tu przeprowadziłaś, uważałam, że to zwykła droga, która donikąd nie prowadzi.

– A teraz to nasza droga.

– Jak dorośniemy, możemy pójść wszędzie, dokąd zechcemy.

– Miejsce nie ma znaczenia – dodała Tully.

Kate usłyszała w głosie przyjaciółki jakiś smutek, którego nie rozumiała. Odwróciła się ku niej. Tully wpatrywała się w niebo.

– Myślisz o swojej mamie? – zapytała niepewnie.

– Staram się o niej nie myśleć. – Nastąpiła dłuższa przerwa, a potem Tully zaczęła grzebać w kieszeni w poszukiwaniu paczki Virginia Slims i zapaliła papierosa.

Kate postarała się nie krzywić na dym.

– Chcesz macha?

Kate wiedziała, że nie ma wyboru.

– Mhm. Pewnie.

– Gdyby moja mama była normalna… to znaczy nie chora, powiedziałabym jej, co się stało na tamtej imprezie.

Kate zaciągnęła się ostrożnie, rozkasłała mocno i odparła:

– Dużo o tym myślisz?

Tully oparła się o pień, odbierając papierosa. Po dłuższej chwili powiedziała:

– Mam koszmary.

Kate żałowała, że nie wie, co powiedzieć.

– A twój tata? Z nim możesz porozmawiać?

Tully unikała jej spojrzenia.

– Ona chyba nawet nie wie, kto nim jest. – Ściszyła głos. – Albo dowiedział się o mnie i uciekł.

– To okropne.

– Życie jest okropne. Poza tym ja ich nie potrzebuję. Mam ciebie, Katie. To ty pomogłaś mi to przetrwać.

Kate się uśmiechnęła. Ostry zapach dymu wypełniał przestrzeń między nimi, kłuł w oczy, ale nie przeszkadzało jej to. Ważne, że była tutaj ze swoją najlepszą przyjaciółką.

– Po to się ma przyjaciół.

Następnego wieczoru Tully czytała ostatni rozdział *Outsiderów*, gdy usłyszała, że mama krzyczy na cały dom:

– Tully, otwórz te cholerne drzwi!

Zatrzasnęła książkę i przeszła do salonu, gdzie Chmura siedziała rozwalona na kanapie i paliła bongo, oglądając *Happy Days*.

– Przecież jesteś tuż przy drzwiach.

Matka wzruszyła ramionami.

– To so?

– Schowaj to.

Z dramatycznym westchnieniem Chmura pochyliła się i wsunęła bongo pod niski stolik przy kanapie. Tylko ślepy by go nie zauważył, ale niczego więcej nie można było od niej oczekiwać.

Tully odsunęła włosy z twarzy i otworzyła drzwi.

Stała za nimi drobna, ciemnowłosa kobieta, która trzymała przykryte folią naczynie do zapiekanek. Intensywnie niebieski cień do powiek podkreślał jej brązowe oczy, a różowy róż – nałożony zbyt hojnie – stwarzał iluzję ostrych kości policzkowych na jej okrągłej twarzy.

– Ty musisz być Tully – powiedziała głosem, który był wyższy, niż można się było spodziewać. To był dziewczęcy głos, pełen entuzjazmu i pasował do iskier w jej oczach. – Jestem mamą Kate. Przepraszam, że przychodzę bez zapowiedzi, ale wasz numer był ciągle zajęty.

Tully domyśliła się, że matka zdjęła słuchawkę z aparatu przy łóżku.

– Och. – Przyniosłam dla ciebie i twojej mamy zapiekankę z tuńczykiem na kolację. Przypuszczam, że nie ma zbytniej ochoty na gotowanie. Moja siostra miała raka kilka lat temu, więc wiem, o co chodzi. – Uśmiechnęła się, stojąc w miejscu. Po chwili jej uśmiech zbladł. – Zaprosisz mnie do środka?

Tully zamarła. *To się źle skończy* – pomyślała.

– Hm… Pewnie.

– Dziękuję.

Pani Mularkey minęła ją i weszła do domu.

Chmura leżała rozwalona na sofie. Na brzuchu miała drobiny marihuany. Uśmiechając się niewyraźnie, spróbowała usiąść,

ale jej się nie udało. Na porażkę zareagowała paroma przekleństwami, a potem się roześmiała. W całym domu cuchnęło trawką.

Pani Mularkey zatrzymała się. Na jej twarzy widać było konsternację.

– Jestem Margie z naprzeciwka – powiedziała.

– A ja jestem Chmura – odparła matka Tully, ponownie próbując usiąść. – Fajnie cię poznać.

– I wzajemnie.

Przez okropnie niezręczną chwilę po prostu się na siebie patrzyły. Tully nie miała wątpliwości, że bystre oczy pani Mularkey dostrzegają wszystko – bongo pod stolikiem, torebkę po tropikalnych konopiach Maui Waui na podłodze, przewrócony, pusty kieliszek od wina i pudełka po pizzy na stole.

– Chciałam też dać znać, że zwykle jestem w domu i chętnie zawiozę cię do lekarza czy po zakupy. Wiem, jak chemioterapia wpływa na człowieka.

Chmura zmarszczyła lekko brwi.

– Kto ma raka?

Pani Mularkey spojrzała na Tully, która miała ochotę zwinąć się w kłębek i umrzeć.

– Tully, pokaż naszej fajowej sąsiadce z jedzeniem, gdzie jest kuchnia.

Tully właściwie pobiegła do kuchni. W różowym piekle stół zaścielały opakowania po śmieciowym jedzeniu, w zlewie piętrzyły się brudne naczynia, a przepełnione popielniczki stały dosłownie wszędzie. Kolejne dowody ich żałosnego życia, które zobaczy matka jej najlepszej przyjaciółki.

Pani Mularkey minęła ją, pochyliła się nad piekarnikiem, postawiła naczynie z zapiekanką na ruszcie, a potem zamknęła drzwiczki biodrem i odwróciła się, by przyjrzeć się Tully.

– Moja Katie to dobra dziewczyna – powiedziała po chwili.

Zaczyna się.

– Tak, proszę pani.

– Modliła się, żeby twoja matka pokonała raka. Ustawiła nawet w swoim pokoju ołtarzyk.

Tully wbiła wzrok w podłogę, zbyt zawstydzona, by odpowiedzieć. Jak miała wyjaśnić, dlaczego skłamała? Żadna odpowiedź nie będzie wystarczająco dobra, nie dla takiej matki jak pani Mularkey, która kocha swoje dzieci. W tym momencie do palącego wstydu dołączyła fala zazdrości. Może gdyby Tully miała matkę, która by ją kochała, kłamstwo nie byłoby takie proste i takie niezbędne. A teraz straci jedyne, co ma dla niej znaczenie: Katie.

– Uważasz, że okłamywanie przyjaciół jest w porządku?

– Nie, proszę pani. – Wpatrywała się w podłogę tak intensywnie, że delikatny dotyk dłoni unoszącej jej brodę zupełnie ją zaskoczył.

– Będziesz dla Kate dobrą przyjaciółką? Czy taką, która wpędzi ją w kłopoty?

– Nigdy nie skrzywdziłabym Katie.

Tully chciała powiedzieć coś więcej, może opaść na kolana i przysiąc, że będzie dobra, ale była tak bliska łez, że wolała się nie ruszać. Patrzyła w ciemne oczy pani Mularkey i dostrzegła w nich coś, czego się nie spodziewała: zrozumienie.

W salonie Chmura z trudem dotarła do telewizora i zmieniła program. Tully widziała ekran po drugiej stronie zagraconego pokoju: dziennikarka Jean Enersen relacjonowała aktualności.

– Ty to robisz, tak? – powiedziała cicho pani Mularkey, jakby się obawiała, że Chmura może podsłuchiwać. – Opłacasz rachunki, robisz zakupy, sprzątasz. Kto za to wszystko płaci?

Tully z trudem przełknęła ślinę. Nikt dotąd nie przejrzał tak jej życia.

– Babcia co tydzień przesyła czek.

– Mój ojciec był pijakiem i całe miasto o tym wiedziało – powiedziała pani Mularkey łagodnym głosem, który pasował do jej spojrzenia. – I do tego był podły. W piątki i soboty moja siostra Georgia musiała chodzić do knajpy i ściągać go do domu. Przez całą drogę z baru bił ją i wyzywał. Była jak ci klauni na rodeo, którzy zawsze wchodzą między kowboja i byka. W trzeciej klasie liceum rozumiałam, dlaczego zadawała się z nieciekawym towarzystwem i za dużo piła.

– Nie chciała, żeby ludzie patrzyli na nią z litością.

Pani Mularkey pokiwała głową.

– Nienawidziła takich spojrzeń. Ale ludzie są nieważni. Tego się właśnie nauczyłam. To, kim jest twoja matka i jakie życie prowadzi, nie określa ciebie. Ty możesz dokonywać własnych wyborów. I nie masz się czego wstydzić. Ale musisz mieć wielkie marzenia, Tully. – Spojrzała przez otwarte drzwi na salon. – Jak taka Jean Enersen z telewizji. Kobieta, która osiąga w życiu tak wiele, wie, jak dążyć do tego, czego chce.

– A skąd mam wiedzieć, czego chcę?

– Miej oczy otwarte i rób to, co należy. Idź na studia. I ufaj przyjaciołom.

– Katie ufam.

– Więc powiesz jej prawdę?

– A jeśli obiecam, że…

– Jedna z nas jej powie, Tully. I to powinnaś być ty.

Tully głęboko zaczerpnęła powietrza i wypuściła je. Choć wyznanie prawdy było wbrew jej instynktowi, tak naprawdę nie miała wyboru. Chciała, żeby pani Mularkey była z niej dumna.

– Okej.

– Dobrze. W takim razie widzimy się jutro u nas na kolacji. O piątej. To będzie twoja szansa, żeby zacząć wszystko od nowa.

Następnego dnia po południu Tully co najmniej cztery razy zmieniała ubranie, próbując dobrać odpowiedni strój. Zanim się wyszykowała, była już tak spóźniona, że musiała przebiec całą drogę do ulicy i pod górę.

Drzwi otworzyła jej mama Kate. Miała na sobie fioletowe dzwony z gabardyny i pasiasty sweterek w serek z rozszerzanymi rękawami. Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Ostrzegam, u nas panują hałas i szaleństwo.

– Uwielbiam hałas i szaleństwo – odpowiedziała Tully.

– W takim razie świetnie się wpasujesz.

Pani Mularkey objęła Tully ramieniem i poprowadziła ją do salonu o beżowych ścianach, ze zgniłozieloną wykładziną dywanową, jaskrawoczerwoną sofą i wielkim czarnym fotelem. Ściany zdobiły jedynie oprawiony w złotą ramkę obrazek przedstawiający Jezusa i podobizna Elvisa, za to na szafce z telewizorem stały dziesiątki rodzinnych fotografii. Tully natychmiast przypomniał się telewizor w jej domu. Leżały na nim przepełnione popielniczki i puste opakowania po papierosach. Żadnych rodzinnych zdjęć.

– Bud? – powiedziała pani Mularkey do muskularnego, ciemnowłosego mężczyzny, który siedział na regulowanym fotelu. – To jest Tully Hart z naprzeciwka.

Pan Mularkey uśmiechnął się i odstawił drinka.

– No, no. Czyli to o tobie tyle słyszałem. Miło, że z nami jesteś, Tully.

– To mnie jest miło.

Pani Mularkey poklepała ją po ramieniu.

– Kolacja będzie dopiero o szóstej. Katie jest na górze w swoim pokoju. To ten na poddaszu. Jestem pewna, że macie mnóstwo do obgadania.

Tully zrozumiała przekaz i pokiwała głową, niezdolna wydobyć z siebie głosu. Teraz, gdy już tutaj była, w tym ciepłym domu, w którym pachniało domowymi posiłkami, stojąc przy najbardziej idealnej matce na świecie, nie mogła sobie wyobrazić, że mogłaby to wszystko stracić, nie być tu mile widziana.

– Nigdy więcej jej nie okłamię – obiecała.

– Dobrze. A teraz biegnij. – Rzuciwszy jej na pożegnanie uśmiech, pani Mularkey przeszła do salonu.

Bud otoczył żonę ramieniem i przyciągnął do siebie na fotel. Ich głowy natychmiast się do siebie przysunęły. Tully poczuła niespodziewanie tak intensywną tęsknotę, że nie mogła się ruszyć. Wszystko byłoby inaczej, gdyby miała rodzinę taką jak ta. Nie chciała się jeszcze odwracać.

– Oglądacie wiadomości?

Pan Mularkey spojrzał na nią.

– Zawsze.

Pani Mularkey się uśmiechnęła.

– Jean Enersen zmienia świat. Jest chyba pierwszą kobietą, która prowadzi wieczorne wiadomości.

– Zostanę dziennikarką – oznajmiła nagle Tully.

– Wspaniale – pochwalił pan Mularkey.

– Tu jesteś – powiedziała nagle Kate, która pojawiła się obok Tully. – Miło, że daliście mi znać, że już przyszła – dodała głośniej.

– Właśnie mówiłam twojej mamie i tacie, że zostanę reporterką – wyjaśniła Tully.

Pani Mularkey aż się rozpromieniła. W jej uśmiechu Tully widziała to wszystko, czego jej w życiu brakowało.

– Czy to nie wspaniałe marzenie, Katie?

Kate przez chwilę wyglądała na zdezorientowaną. A potem wzięła Tully pod rękę, wyciągnęła ją z salonu i poprowadziła po

schodach. W swoim małym pokoju na poddaszu podeszła do adapteru i zaczęła przerzucać stosik płyt. Zanim wybrała – *Tapestry* Carole King – i nastawiła, Tully była przy oknie i patrzyła na lawendowy zmierzch.

Fala adrenaliny, która zalała ją przy składaniu tamtego oświadczenia, opadła, pozostawiając rodzaj cichego smutku. Wiedziała, co powinna teraz zrobić, ale na samą myśl robiło się jej słabo. *Powiedz jej prawdę. Jeśli nie, zrobi to pani Mularkey.*

– Mam nowe numery „Seventeen" i „Tiger Beat" – powiedziała Kate, wyciągając się na niebieskiej kosmatej wykładzinie. – Chcesz przejrzeć? Możemy zrobić sobie quiz *Czy mogłabyś zostać dziewczyną Tony'ego DeFranco*.

Tully położyła się obok niej.

– Pewnie.

– Jean-Michael Vincent jest taki seksowny – zachwycała się Kate, przerzucając kartki, by odszukać stronę ze zdjęciem aktora.

– Podobno okłamywał swoją dziewczynę – odparła Tully, zerkając na przyjaciółkę z ukosa.

– Nienawidzę kłamców. – Kate przewróciła kolejną stronę. – Serio chcesz być reporterką? Nigdy mi nie mówiłaś.

– Tak – odpowiedziała Tully, wyobrażając to sobie tak naprawdę po raz pierwszy. Może stałaby się sławna. I wtedy wszyscy by ją podziwiali. – Tylko że ty też byś musiała. Bo my wszystko robimy razem.

– Ja?

– Będziemy zespołem jak Woodward i Bernstein, tylko lepiej ubrane. I ładniejsze.

– No nie wiem…

Tully ją szturchnęła.

– Owszem, wiesz. Pani Ramsdale powiedziała przy całej klasie, że fantastycznie piszesz.

Kate się roześmiała.

– To prawda. Okej. Ja też zostanę reporterką.

– Jak będziemy sławne, to opowiemy Mike'owi Wallace'owi, że udało nam się dlatego, że trzymałyśmy się razem.

Po tych słowach w milczeniu przeglądały czasopisma. Tully dwa razy próbowała wspomnieć o swojej matce, ale Kate jej przerywała, a potem ktoś zawołał „Kolacja!" i umknęła jej szansa na oczyszczenie.

Przez cały posiłek – najlepszy, jaki w życiu jadła – czuła ciężar swojego kłamstwa. Gdy posprzątali ze stołu, umyli i wytarli naczynia, napięcie sięgnęło zenitu. Nawet marzenie o telewizyjnej sławie nie mogło go złagodzić.

– Wiesz co, mamo – powiedziała Kate, odkładając ostatnie białe naczynie CorningWare. – Przejedziemy się z Tully na rowerach do parku, dobra?

– Nie dobra, tylko dobrze – odpowiedziała jej mama, sięgając do kieszeni na gazety w fotelu La-Z-Boy, żeby wyjąć program telewizyjny. – I bądźcie z powrotem przed ósmą.

– Oj mamo…

– Ósma – rzucił tata z salonu.

Kate spojrzała na Tully.

– Traktują mnie jak dziecko.

– Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście. Chodź, pójdziemy po rowery.

Zjechały na złamanie karku wyboistą główną drogą, śmiejąc się przez cały czas. Na Summer Hill Tully rozpostarła ramiona. Kate zrobiła to samo.

Gdy dotarły do parku nad rzeką, rzuciły rowery pod drzewa, położyły się na trawie, jedna obok drugiej, i wpatrywały się w niebo, wsłuchując się w szmer wody płynącej wśród skał.

– Muszę ci coś powiedzieć – odezwała się pospiesznie Tully.

– Co?

– Moja mama nie ma raka. Jest ćpunką.

– Twoja mama jara trawkę? Akurat.

– To prawda. Zawsze jest na haju.

Kate odwróciła się ku niej.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Okłamałaś mnie?

Tully była tak zawstydzona, że nie potrafiła spojrzeć Kate w oczy.

– Nie chciałam.

– Ludzie nie kłamią przez przypadek. To nie jest jak potknięcie się o krzywą płytę chodnika.

– Nie wiesz, jak to jest być zażenowanym własną matką.

– Żartujesz? Szkoda, że nie widziałaś, co moja mama włożyła na kolację w zeszłe…

– Nie – przerwała jej Tully. – Nie wiesz.

– To mi powiedz.

Tully rozumiała, o co Kate ją prosi. Chciała prawdy, z której zrodziło się tamto kłamstwo, ale Tully nie wiedziała, czy potrafi to zrobić, przelać cały swój ból w słowa i rozdać jak karty. Trzymała te wszystkie sekrety przez całe życie. Gdyby opowiedziała Kate, jaka jest rzeczywistość, i straciła ją jako przyjaciółkę, nie zniosłaby tego.

Z drugiej strony, jeśli nie powie prawdy, straci tę przyjaźń na pewno.

– Miałam dwa latka – powiedziała wreszcie – gdy moja mama pierwszy raz porzuciła mnie u babci. Poszła do miasta po mleko i wróciła, jak miałam cztery lata. Gdy miałam dziesięć lat, znowu się pojawiła i ja myślałam, że to znaczy, że mnie kocha. Tym razem zostawiła mnie w tłumie na ulicy. Następnym razem zobaczyłam ją jako czternastolatka. Babcia pozwala nam tutaj mieszkać i co tydzień przesyła nam pieniądze. To potrwa,

dopóki moja mama znowu się nie urwie, co z pewnością nastąpi.

– Nie rozumiem.

– Oczywiście, że nie rozumiesz. Moja mama nie jest taka jak twoja. Nigdy dotąd nie byłam z nią tak długo. Prędzej czy później znudzi się i ruszy dalej beze mnie.

– Jak matka może zrobić coś takiego?

Tully wzruszyła ramionami.

– To chyba ze mną jest coś nie tak.

– Wszystko z tobą w porządku. To ona nawala. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego mnie okłamałaś.

Tully wreszcie na nią spojrzała.

– Chciałam, żebyś mnie lubiła.

– Ty przejmowałaś się mną? – Kate wybuchnęła śmiechem. Tully już miała ją zapytać, co w tym takiego zabawnego, ale Kate spoważniała i powiedziała: – Żadnych więcej kłamstw, jasne?

– Oczywiście.

– Zawsze będziemy najlepszymi przyjaciółkami – oznajmiła solennie Kate. – Okej?

– To znaczy, że zawsze będziesz przy mnie?

– Zawsze – odpowiedziała Kate. – Bez względu na wszystko.

W sercu Tully rozkwitło niczym egzotyczny kwiat nowe uczucie. Jego pełen słodyczy zapach zdawał się unosić w powietrzu. Po raz pierwszy w życiu Tully czuła się z kimś całkowicie bezpieczna.

– Zawsze – powtórzyła. – Bez względu na wszystko.

Kate będzie wspominała lato po ósmej klasie jako najlepszy czas w swoim życiu. Co weekend bez marudzenia spełniała

poranne obowiązki i pilnowała brata do piętnastej, gdy jej mama wracała ze sprawunków i wolontariatu w radzie 4H. Wtedy Kate była wolna. Większą część weekendu miała dla siebie.

Razem z Tully jeździły na rowerach po całej dolinie i spędzały mnóstwo czasu, spływając na dętkach z nurtem rzeki Pilchuck. Późnym popołudniem wyciągały się na małych ręczniczkach w kolorowych szydełkowych bikini, nasmarowane mieszanką oliwki dla dzieci z jodyną, i słuchały listy Top 40 na tranzystorowym radiu, bez którego nigdzie się nie ruszały. Rozmawiały o wszystkim: o modzie, muzyce, chłopakach, wojnie i tym, co tam się nadal działo, o tym, jak im się będzie pracować w reporterskim duecie, o filmach. Nie miały żadnych tabu, dozwolone były wszystkie pytania.

Był koniec sierpnia, gdy w pokoju Kate pakowały kosmetyki przed wyprawą na festyn. Kate jak zwykle musiała zmienić ubranie i umalować się dopiero po wyjściu z domu. W każdym razie jeśli chciała wyglądać cool. Jej mama nadal uważała, że jest na wszystko za młoda.

– Masz obcisły top bez ramiączek? – zapytała Tully.

– Mam.

Szczerząc zęby, zadowolone ze swojego genialnego planu, zbiegły na dół, gdzie tata siedział na sofie i oglądał telewizję.

– Idziemy na festyn – powiedziała Kate, ciesząc się, że mamy nie ma w domu. Ona zauważyłaby bagaż za duży jak na taką okazję. Rentgenem, który miała w oczach, prześwietliłaby sznurkową torbę i dostrzegła ubranie, buty i kosmetyki.

– Bądźcie ostrożne – odparł tata, nie podnosząc wzroku.

Zawsze tak teraz mówił, odkąd w Seattle zaczęły znikać dziewczęta. Dziennikarze nazywali mordercę Tedem, bo jakiejś dziewczynie w parku stanowym nad jeziorem Sammamish udało się uciec i podała policji jego rysopis i imię. Dziewczyny

w całym stanie były przerażone. Na widok żółtego volkswagena garbusa każda myślała, że to auto Teda.

– Będziemy superostrożne – odpowiedziała Tully z uśmiechem.

Uwielbiała, gdy rodzice Kate troszczyli się o nie obie.

Kate podeszła do taty, żeby go pocałować na do widzenia. Objął ją ramieniem i wręczył jej dziesięciodolarowy banknot.

– Bawcie się dobrze.

– Dzięki, tato.

Zeszły z Tully podjazdem, wymachując torbami.

– Myślisz, że Kenny Markson będzie na festynie? – zapytała Kate.

– Za bardzo się przejmujesz chłopakami.

Kate trąciła przyjaciółkę biodrem.

– Wpadłaś mu w oko.

– Wielkie mi halo. Jest niższy ode mnie.

Tully zatrzymała się tak gwałtownie, że Kate na nią wpadła.

– Jezu, Tully, pogięło cię? Mało się nie wywaliłam…

– O nie – szepnęła Tully.

– O co chodzi?

I wtedy Kate zobaczyła policyjny radiowóz zaparkowany na podjeździe przed domem przyjaciółki.

Tully chwyciła Kate za rękę i pociągnęła ją za sobą w dół do ulicy, a potem na drugą stronę, pod drzwi, które stały otworem.

W salonie czekał na nie policjant.

Gdy je zobaczył, jego mięsista twarz pomarszczyła się niczym oblicze klauna.

– Cześć, dziewczyny. Jestem posterunkowy Dan Myers.

– Co tym razem zrobiła? – zapytała Tully.

– Protest w obronie puszczyka plamistego nad jeziorem Quinault wymknął się wczoraj spod kontroli. Twoja matka i parę innych osób zorganizowali strajk okupacyjny, który

kosztował firmę Weyerhaeusera cały dzień pracy. Co gorsza, ktoś rzucił niedopałek w lesie. – Po chwili policjant dodał: – Dopiero teraz udało się zapanować nad pożarem.

– Niech zgadnę: idzie do więzienia.

– Jej prawnik szuka miejsca, gdzie przyjęliby ją na odwyk. Jeśli będzie mieć szczęście, trafi na jakiś czas do szpitala. Jeśli nie… – Nie dokończył zdania.

– Czy ktoś powiadomił moją babcię?

Policjant skinął głową.

– Spodziewa się ciebie. Pomóc ci się spakować?

Kate nie rozumiała, co się dzieje. Zwróciła się do przyjaciółki:

– Tully?

W brązowych oczach Tully dostrzegła przerażającą pustkę, która powiedziała jej, że dzieje się coś niezwykle poważnego.

– Muszę wrócić do babci – wyjaśniła Tully, a potem minęła Kate i poszła do swojego pokoju.

Kate pobiegła za nią.

– Nie możesz odejść!

Tully wyciągnęła walizkę z szafy i otworzyła ją.

– Nie mam wyboru.

– Postaram się, żeby twoja mama wróciła. Powiem jej…

Tully przerwała pakowanie i spojrzała na Kate.

– Nic nie poradzisz – powiedziała łagodnie, zupełnie jak dorosła osoba, zmęczonym, przybitym tonem.

Po raz pierwszy dotarł do Kate sens tych wszystkich opowieści o mamie Tully nawalającej w każdej sprawie. Śmiały się z Chmury, żartowały z tego, że ćpa, że dziwnie się ubiera i że mówi dziwne rzeczy, ale to nie było śmieszne. I Tully wiedziała, że tak się w końcu stanie.

– Obiecaj mi – zaczęła Tully łamiącym się głosem – że zawsze będziemy najlepszymi przyjaciółkami.

– Zawsze – tyle tylko zdołała odpowiedzieć Kate.

Tully skończyła się pakować i zamknęła walizkę. Nic nie mówiąc, ruszyła z powrotem do salonu. W radiu leciało *American Pie*, a Kate pomyślała, że ta piosenka już zawsze będzie się jej kojarzyć z tą chwilą. *The day the music died.* „Dzień, w którym umarła muzyka”. Wyszły na podjazd. Tam przylgnęły do siebie, aż posterunkowy Dan delikatnie odciągnął Tully.

Kate nie była w stanie nawet pomachać na pożegnanie. Stała na podjeździe, oniemiała, z łzami spływającymi po policzkach i patrzyła, jak jej najlepsza przyjaciółka odjeżdża.

6

Przez następne trzy lata wiernie pisały do siebie listy. To było coś więcej niż przyzwyczajenie – raczej niezbędny element życia. W każdą niedzielę wieczorem Tully siadała przy białym biurku w swojej lawendowo-różowej sypialni małej dziewczynki i przelewała marzenia, myśli, smutki i frustracje na kartkę papieru z zeszytu. Czasem pisała o rzeczach, które nie miały znaczenia – że obcięła się na Farrah Fawcett i wygląda seksy albo o sukience Gunne Sax, którą włożyła na szkolny bal – ale od czasu do czasu otwierała się i opowiadała Katie, że nie może spać albo że śni się jej, że matka wraca i mówi, że jest z niej dumna. Gdy umarł jej dziadek, Tully zwróciła się właśnie do Kate. Nie płakała po nim, dopóki nie odebrała telefonu od najlepszej przyjaciółki, która powiedziała: „Och, Tully, tak bardzo mi przykro". Tully po raz pierwszy w życiu nie kłamała ani nie koloryzowała (no, może tylko trochę). Była zwykle po prostu sobą, a to Kate wystarczało.

Nadeszło lato 1977 roku. Niedługo znajdą się w maturalnej klasie i będą rządzić w swoich szkołach.

To był dzień, do którego Tully przygotowywała się od wielu miesięcy. Wreszcie miała wejść na drogę, którą pani Mularkey wskazała jej parę lat temu. Zostać następną Jean Enersen. Te słowa stały się jej mantrą, tajnym kodem, który streszczał ogrom jej marzenia, a jednocześnie sprawiał, że wydawało się osiągalne. Ziarno zasiane tak dawno w kuchni domu w hrabstwie Snohomish wykiełkowało bujnie i zakorzeniło się

głęboko w jej sercu. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo potrzebuje jakiegoś marzenia, ale ono ją zmieniło, przekształciło z biednej, pozbawionej matki i porzuconej Tully w dziewczynę gotową zdobywać świat. Cel uczynił jej przeszłość nieistotną, dał coś, ku czemu zmierzała i czego mogła się trzymać. Wiedziała, że Kate podziela to marzenie. Razem zostaną reporterkami, będą śledzić wydarzenia i opisywać je. Będą zespołem.

Stała na chodniku, wpatrując się w budynek przed sobą i czując się jak rabuś patrzący na Fort Knox.

Zaskoczyło ją, że oddział ABC, pomimo wielkiej sławy i wpływów, mieści się w małym budynku w dzielnicy Denny Regrade. Żadnych ciekawych widoków, żadnej imponującej ściany okien czy wypełnionego dziełami sztuki lobby. Jedynie biurko w kształcie litery L, dość ładna recepcjonistka i trzy musztardowożółte krzesełka z plastiku.

Tully głęboko zaczerpnęła powietrza, wyprostowała się i weszła do środka. W recepcji podała swoje nazwisko, a potem usiadła pod ścianą. Starała się nie wiercić ani nie stukać nogą podczas długiego oczekiwania na rozmowę. Nigdy nie wiadomo, kto cię obserwuje.

– Panna Hart? – powiedziała recepcjonistka, podnosząc wreszcie wzrok. – Teraz panią przyjmie.

Tully posłała jej wystudiowany uśmiech niczym do kamery i wstała.

– Dziękuję.

Poszła za recepcjonistką do kolejnej poczekalni. Tam znalazła się twarzą w twarz z człowiekiem, do którego pisała co tydzień niemal przez rok.

– Dzień dobry, panie Rorbach. – Uścisnęła jego dłoń. – Wspaniale, że wreszcie mogę pana poznać.

Wyglądał na zmęczonego i starszego, niż się spodziewała. Na lśniącej czaszce rosło tylko parę rudo-siwych włosów i to raczej nie tam, gdzie powinny. Jasnoniebieski sportowy garnitur zdobiły białe stębnowania.

– Zapraszam do mojego gabinetu, panno Hart.

– Pani Hart – odpowiedziała.

Należy zacząć właściwie od samego początku. Gloria Steinem mówiła, że nie można zdobyć szacunku, jeśli się go nie będzie domagać.

Pan Rorbach zamrugał.

– Słucham?

– Wolę „pani Hart", jeśli to panu nie przeszkadza, a jestem przekonana, że nie. Bo jak ktoś po literaturze na Uniwersytecie Georgetown mógłby się opierać przed zmianami? Jestem pewna, że jest pan wzorem świadomości społecznej. Widzę to w pańskich oczach. Podobają mi się zresztą pańskie okulary.

Wpatrywał się w nią z lekko rozchylonymi ustami, ale po chwili się otrząsnął.

– Proszę za mną, pani Hart.

Poprowadził ją nijakim białym korytarzem do ostatnich drzwi z udającego drewno laminatu i otworzył je. Gabinet był niewielki, narożny, a okno wychodziło prosto na betonowy wiadukt kolejki jednoszynowej. Ściany były zupełnie puste.

Tully usiadła na czarnym składanym krześle przed jego biurkiem.

Pan Rorbach zajął swoje miejsce i spojrzał na nią.

– Sto dwanaście listów, pani Hart. – Poklepał grubą papierową teczkę na biurku.

Zachował wszystkie listy, które wysłała. To musiało coś znaczyć. Tully wyjęła swój najświeższy życiorys z aktówki i położyła go na biurku.

– Jak pan zapewne zauważył, licealna gazetka raz po raz daje moje teksty na pierwszą stronę. Dołączyłam też szczegółowy artykuł o trzęsieniu ziemi w Gwatemali, poprawioną wersję artykułu o Karen Ann Quinlan i wzruszający esej o ostatnich dniach Freddiego Prinze'a. To dobra próbka moich możliwości.

– Ma pani siedemnaście lat.

– Owszem.

– W przyszłym miesiącu zaczyna pani maturalną klasę w liceum.

Listy zadziałały. Wiedział o niej wszystko.

– Zgadza się. I tak przy okazji uważam, że to może być bardzo ciekawy punkt widzenia. Początek klasy maturalnej, obserwowanie absolwentów z rocznika siedemdziesiąt osiem. To mogłyby być comiesięczne relacje z tego, co tak naprawdę dzieje się za murami lokalnego liceum. Jestem pewna, że wasi widzowie…

– Pani Hart… – Złożył dłonie i oparł podbródek o czubki palców, wpatrując się w nią. Odniosła wrażenie, że próbuje stłumić uśmiech.

– Tak, panie Rorbach?

– To oddział ABC, na litość boską. Nie zatrudniamy licealistek.

– Ale przyjmujecie stażystów.

– Z Uniwersytetu Waszyngtońskiego albo innych college'ów. Nasi stażyści wiedzą, jak funkcjonuje telewizja. Większość z nich pracowała w mediach uczelnianych. Przykro mi, ale nie jest pani gotowa.

– Och.

Wpatrywali się w siebie.

– Wykonuję tę pracę od bardzo dawna, pani Hart, ale rzadko trafia się ktoś tak ambitny jak pani. – Ponownie poklepał teczkę pełną jej listów. – Umówmy się tak. Nadal będzie mi pani przesyłać swoje teksty. A ja będę panią obserwować.

– I gdy będę gotowa, by zostać reporterką, zatrudni mnie pan?

Roześmiał się.

– Proszę przysyłać mi swoje artykuły. Oraz zadbać o dobre oceny i dostać się na studia, dobrze? A wtedy zobaczymy.

Tully poczuła przypływ energii.

– Będę do pana pisać co miesiąc. Pewnego dnia mnie pan zatrudni, panie Rorbach. Zobaczy pan.

– Nie odważyłbym się obstawiać przeciwko pani.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, a potem pan Rorbach odprowadził ją do wyjścia. Gdy zbliżali się do schodów, zatrzymał się przy gablocie z nagrodami, w której lśniły złotem dziesiątki statuetek Emmy.

– Zdobędę kiedyś Emmy – powiedziała Tully, dotykając szyby czubkami palców. Postanowiła, że dzisiejsza porażka jej nie zniechęci. To była tylko komplikacja.

– Wiesz co, Tallulah Hart, ja ci wierzę. A teraz wracaj do liceum i naciesz się ostatnią klasą. Prawdziwe życie nadejdzie naprawdę szybko.

Widok na zewnątrz przypominał Seattle z pocztówki: idealny dzień z niebieskim, bezchmurnym niebem, taki, który przekonuje ludzi z prowincji, żeby sprzedali swoje domy w bardziej pochmurnych i mniej efektownych miejscach i przeprowadzili się tutaj. Gdyby tylko wiedzieli, jak rzadkie są takie dni. W tej części świata lato rozpala się jasno i szybko jak raca i równie szybko gaśnie.

Przyciskając grubą czarną aktówkę dziadka do piersi, Tully szła ulicą do przystanku autobusowego. Po wiadukcie nad jej głową przemknęła z hukiem kolejka jednoszynowa, sprawiając, że ziemia zadrżała.

Przez całą drogę do domu Tully powtarzała sobie, że to naprawdę jest szansa. Będzie teraz mogła pokazać w college'u,

ile jest warta, a potem dostanie jeszcze lepszą pracę. Ale choć bardzo starała się widzieć to z takiej perspektywy, nie opuszczało jej poczucie porażki. Gdy dotarła do domu, wydała się sobie jakaś mniejsza i smętnie opuściła ramiona.

Otworzyła drzwi od frontu i weszła do środka. Teczkę rzuciła na kuchenny stół. Babcia była w salonie. Siedziała na wytartej starej sofie, stopy oparła na pufie obitym marszczonym aksamitem, a na kolanach trzymała niedokończoną robótkę. Spała i delikatnie pochrapywała. Na jej widok Tully zmusiła się do uśmiechu.

– Cześć, babciu – powiedziała łagodnie, podeszła do sofy i pochyliła się, by dotknąć kościstej dłoni staruszki. Usiadła obok niej.

Babcia budziła się powoli. Jej zamglony wzrok przytomniał za grubymi, staromodnymi okularami.

– Jak poszło?

– Zastępca dyrektora działu wiadomości uznał, że mam za wysokie kwalifikacje, wyobrażasz sobie? Powiedział, że to stanowisko to dla kogoś z moimi umiejętnościami ślepa uliczka.

Babcia uścisnęła jej rękę.

– Jesteś za młoda, tak?

Tully poczuła, że pieką ją łzy, które wstrzymywała. Zażenowana szybko je otarła.

– Wiem, że zaproponują mi pracę, gdy tylko dostanę się do college'u. Zobaczysz. Będziesz ze mnie dumna.

Babcia popatrzyła na nią ze współczuciem.

– Ja już jestem dumna. A ty pragniesz uwagi ze strony Dorothy.

Tully oparła się o szczupłe ramię babci i pozwoliła się przytulić. Wiedziała, że za parę chwil ten ból osłabnie. Zagoi się, niczym oparzenie słoneczne, a ona stanie się odrobinę odporniejsza na poparzenia.

– Mam ciebie, babciu, więc ona się nie liczy.

Babcia westchnęła ze znużeniem.

– Może zadzwoń do swojej przyjaciółki Katie? Tylko nie rozmawiaj zbyt długo, to kosztuje.

Tully poprawił się humor na samą myśl o rozmowie z Kate. Rozmowy zamiejscowe były drogie, więc przyjaciółki rzadko do siebie dzwoniły.

– Dziękuję babciu, już dzwonię.

W następnym tygodniu Tully dostała pracę w lokalnym tygodniku „Queen Ann Bee”. Zakres jej obowiązków odpowiadał z grubsza nędznej stawce, którą jej płacili, ale jej to nie przeszkadzało. Pracowała w branży. Latem 1977 roku niemal cały czas spędzała w małych, zagraconych pokoikach, chłonąc tyle wiedzy, ile tylko mogła. Jeśli nie chodziła krok w krok za reporterami albo nie robiła kserokopii czy kawy, była w domu i grała z babcią w remika na zapałki. Co niedziela wieczór, jak w zegarku, pisała do Kate, opowiadając ze szczegółami o swojej pracy.

Siedziała właśnie przy biurku w sypialni i czytała ponownie ośmiostronicowy list z tego tygodnia, a potem go podpisała: *Twoja najlepsza przyjaciółka na zawsze, Tully* ♥ i dokładnie złożyła na trzy.

Na biurku miała najnowszą kartkę od Kate, która wyjechała na doroczną wyprawę kempingową rodziny Mularkeyów. Kate nazywała ją Piekielnym tygodniem z robalami, ale Tully zazdrościła jej tych wszystkich pięknych chwil. Żałowała, że nie mogła pojechać z nimi na wakacje. Odrzucenie tego zaproszenia było jedną z najtrudniejszych decyzji, jakie podjęła

w życiu. Ale ze względu na superważną wakacyjną pracę i coraz słabsze zdrowie babci tak naprawdę nie miała wyboru.

Spojrzała na pocztówkę od przyjaciółki i przeczytała słowa, które znała już na pamięć. *Gramy wieczorami w kierki, pieczemy pianki w ognisku i pływamy w lodowatym jeziorze…* Z trudem odwróciła wzrok. Nie ma sensu wzdychać za czymś, czego mieć nie można. Chmura nauczyła ją przynajmniej tyle. Włożyła list do koperty, zaadresowała ją, a potem zeszła na dół, żeby sprawdzić, jak miewa się babcia. Już spała.

Tully obejrzała więc sama swoje ulubione niedzielne programy *All in the Family*, *Alice* i *Kojaka*, a potem pozamykała na noc drzwi i poszła spać. Gdy powoli zasypiała, jej myśli powędrowały ku Mularkeyom. Zastanawiała się, co właśnie robią.

Następnego ranka obudziła się o zwykłej porze, czyli o szóstej, i ubrała do pracy. Jeśli była w biurze wystarczająco wcześnie, czasami któryś reporter pozwalał jej towarzyszyć sobie podczas opracowywania tematu dnia.

Przebiegła przez korytarz i zastukała do ostatnich drzwi. Choć nie lubiła budzić babci, takie miały zasady. Nie wolno jej było wyjść bez pożegnania.

– Babciu?

Zapukała ponownie i lekko popchnęła drzwi, wołając:

– Babciu, wychodzę do pracy…

Chłodne lawendowe cienie kładły się pod parapetami. Makatki zdobiące ściany zdawały się w półmroku plamami pozbawionymi formy i materii.

Babcia leżała w łóżku. Nawet z odległości Tully widziała zarys jej ciała, splot białych włosów, pogniecioną koszulę nocną… i nieruchomą pierś.

– Babciu?

Podeszła bliżej, dotknęła pomarszczonego, aksamitnego policzka babci. Jej skóra była zimna jak lód. Z rozchylonych ust nie wydobywał się oddech.

Tully poczuła, że świat wokół zadrżał, zachwiał się w posadach. Musiała zebrać wszystkie siły, a zdołała jedynie stać tam i patrzeć na pozbawioną życia twarz babci.

Łzy formowały się powoli. Jakby każda z nich była z krwi i była zbyt gęsta, by spłynąć kanalikami łzowymi. Wspomnienia migotały przed oczami Tully jak w kalejdoskopie: babcia zaplatająca jej włosy na siódme urodziny, mówiąca jej, że mama może się pojawić, jeśli będzie się wystarczająco mocno modlić, a potem, po latach, przyznająca, że czasem Bóg nie odpowiada na modlitwy małych dziewczynek ani dorosłych kobiet; babcia grająca z nią w karty w zeszłym tygodniu, śmiejąca się, gdy wnuczka znowu zgarnęła stos odrzuconych kart, i mówiąca: „Tully, nie musisz mieć cały czas wszystkich kart…”; babcia delikatnie całująca ją na dobranoc.

Nie miała pojęcia, jak długo tak stała, ale gdy pochyliła się i pocałowała pergaminowy policzek, słońce przenikało już przez zasłony, rozświetlając pokój. Ta jasność zaskoczyła Tully. Bez babci pokój powinien pozostać ciemny.

– Weź się w garść, Tully – powiedziała.

Musi zrobić teraz pewne rzeczy, zdawała sobie z tego sprawę. Rozmawiały o tym z babcią, poczyniły przygotowania. Jednak Tully wiedziała, że żadne rozmowy nie mogły jej tak naprawdę na to przygotować.

Podeszła do szafki nocnej babci, gdzie pod zdjęciem dziadka, obok całej baterii leków, stała śliczna szkatułka z drzewa różanego. Uniosła pokrywkę, czując się trochę jak złodziej, choć babcia właśnie tego od niej oczekiwała. „Gdy pójdę do Domu – zawsze powtarzała – zostawię ci coś w szkatułce, którą kupił mi dziadek”.

W środku na stosiku niedrogiej biżuterii, w której Tully raczej babci nie widywała, leżała złożona różowa kartka z imieniem Tully.

Dziewczyna sięgnęła powoli, wzięła liścik i otworzyła go.

Moja najdroższa Tully.

Tak mi przykro. Wiem, jak bardzo się boisz porzucenia i samotności, ale Bóg ma swoje plany wobec każdego z nas. Zostałabym z Tobą dłużej, gdybym mogła. Twój Dziadek i ja zawsze będziemy czuwać nad Tobą z nieba. Nigdy nie będziesz sama, jeśli w to uwierzysz.

Byłaś największą radością mojego życia.

Kocham Cię

Babcia.

„Byłaś".

Babcia odeszła.

Tully stała przed kościołem i patrzyła na mijający ją tłumek starszych ludzi. Kilkoro przyjaciół babci rozpoznało ją i podeszło, żeby złożyć kondolencje.

„Tak mi przykro, moja droga…"

„…jest teraz w lepszym miejscu…"

„…ze swoim ukochanym Winstonem…"

„…nie *chciałaby* twoich łez".

Tully znosiła to, bo wiedziała, że babci by na tym zależało, ale o jedenastej miała już ochotę krzyczeć. Czy nikt z tych dobrodusznych ludzi nie widział, nie rozumiał, że Tully ma siedemnaście lat i jest zupełnie sama na świecie, cała ubrana na czarno?

Gdyby tylko byli tutaj Kate i Mularkeyowie, ale nie miała pojęcia, jak skontaktować się z nimi w Kanadzie. Mieli wrócić do domu dopiero za dwa dni, więc musiała radzić sobie sama. Gdyby byli obok, jako przyszywana rodzina, może wytrzymałaby jakoś tę ceremonię. A bez nich po prostu nie dała rady. Zamiast przeczekać okropne, ściskające serce wspomnienia o babci, wstała w środku pogrzebu i wyszła.

Na zewnątrz, w gorącym sierpniowym słońcu, mogła wreszcie odetchnąć, choć łzy były tuż pod powierzchnią, tak samo jak bezsensowne pytanie „Jak mogłaś mnie tak zostawić?". Otoczona zakurzonymi, starymi limuzynami starała się nie rozpłakać. Przede wszystkim starała się nie wspominać ani nie myśleć o tym, co się z nią teraz stanie.

Gdzieś niedaleko trzasnęła gałązka i Tully podniosła wzrok. W pierwszej chwili widziała tylko zaparkowane bezładnie auta.

A potem zobaczyła ją.

Na skraju posesji, tam gdzie rząd wysokich klonów wyznaczał granicę miejskiego parku, stała w cieniu Chmura. Paliła długiego, cienkiego papierosa. Ubrana w poprzecierane sztruksowe dzwony, brudną marszczoną bluzkę i z potarganą szopą brązowych włosów wydawała się chuda jak szczapa.

Tully nic nie mogła poradzić na ukłucie radości w sercu. Nareszcie nie była sama. Chmura może i jest trochę stuknięta, ale w trudnej chwili się pojawiła. Tully podbiegła do niej z uśmiechem. Była gotowa wybaczyć matce te wszystkie stracone lata i te wszystkie porzucenia. Ważne było to, że jest tutaj teraz, gdy Tully jej najbardziej potrzebuje.

– Dzięki Bogu, że jesteś – powiedziała, zatrzymując się zdyszana. – Wiedziałaś, że cię potrzebuję.

Jej matka ruszyła ku niej i parsknęła śmiechem, gdy się potknęła i o mało nie upadła.

– Jesteś pięknym duchem, Tully. Potrzebujesz jedynie powietrza i wolności.

Tully poczuła ciężar w żołądku.

– Nie znowu – poprosiła z błaganiem w oczach. – Proszę…

– Zawsze. – W głosie Chmury zabrzmiała jakaś twardość, ostrość która zadawała kłam jej szklistemu wzrokowi.

– Jestem twoim dzieckiem i potrzebuję cię. W przeciwnym razie zostanę sama. – Tully zdawała sobie sprawę z tego, że szepcze, ale nie potrafiła nadać swojemu głosowi brzmienia.

Chmura zrobiła chwiejny krok naprzód. Smutek w jej oczach był ewidentny, ale Tully to nie obchodziło. Pseudoemocje jej matki wznosiły się i opadały niczym słońce w Seattle.

– Spójrz na mnie, Tully.

– Patrzę.

– Nie. Spójrz. Nie mogę ci pomóc.

– Ale ja cię potrzebuję.

– I na tym polega cała tragedia – odparła jej matka, zaciągając się papierosem i wydmuchując po chwili dym.

– Dlaczego? – zapytała Tully. Chciała dodać: „Nie kochasz mnie?”, ale zanim zdołała przekuć ból w słowa, pogrzeb się skończył i ubrani na czarno ludzie wysypali się na parking. Tully spojrzała w bok, by jej łzy zdążyły obeschnąć. Gdy się z powrotem odwróciła, matki już nie było.

Kobieta z opieki społecznej była sztywna jak kołek. Starała się mówić to, co trzeba, ale Tully zauważyła, że stojąc w korytarzu przed jej pokojem, co chwila zerka na zegarek.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego miałabym się pakować. Mam prawie osiemnaście lat. Ten dom nie jest obciążony hipoteką.

Wiem, bo przez cały rok to ja płaciłam rachunki. Jestem wystarczająco dorosła, żeby mieszkać sama.

– Prawnicy na nas czekają – odpowiedziała krótko kobieta. – Jesteś gotowa?

Tully schowała do walizki plik listów od Kate, zamknęła wieko i zatrzasnęła zamki. Nie była w stanie wypowiedzieć słów „Jestem gotowa", więc chwyciła walizkę, a potem zarzuciła sobie na ramię sznurkową torbę.

– Chyba tak.

– To dobrze – odpowiedziała kobieta, odwracając się szybko i ruszając ku schodom.

Tully z wahaniem obrzuciła swój pokój ostatnim spojrzeniem, widząc nagle rzeczy, których nie dostrzegała przez lata: marszczoną lawendową kapę na dużym białym łóżku, rząd plastikowych koników – teraz pokrytych kurzem – ustawionych na parapecie, gadającą lalkę pani Beasley na komodzie i szkatułkę na biżuterię Miss America z różową primabaleriną.

Babcia urządziła ten pokój dla małej dziewczynki, którą porzucono w tym domu wiele lat temu. Wszystkie drobiazgi zostały starannie dobrane, lecz teraz pozostawały w cieniu wraz ze wspomnieniami, które wywoływały. Tully zaczęła się zastanawiać, kiedy będzie w stanie pomyśleć o babci bez łez.

Zamknęła za sobą drzwi i poszła za pracownicą opieki społecznej przez cichy teraz dom, po schodach i na zewnątrz, na ulicę, gdzie stał poobijany żółty ford pinto.

– Połóż walizkę z tyłu.

Tully zrobiła to i usiadła na miejscu pasażera.

Gdy kobieta włączyła silnik, z głośników huknęła muzyka. To było *Don't Give Up on Us* Davida Soula. Natychmiast ściszyła, mamrocząc przeprosiny.

Tully uznała, że za każdą piosenkę należałyby się przeprosiny, więc tylko wzruszyła ramionami i spojrzała przez okno.

– Przykro mi z powodu twojej babci, bo chyba jeszcze tego nie powiedziałam.

Dziewczyna wpatrywała się w swoje dziwne odbicie w szybie. Jej twarz wyglądała w niej jak negatyw, pozbawiony kolorów, nierzeczywisty. Tak naprawdę tak właśnie Tully się czuła.

– Wszyscy twierdzą, że była wyjątkową kobietą.

Tully nie reagowała. I tak raczej nie wydobyłaby z siebie głosu. Od spotkania z matką była w środku wyschnięta. Pusta.

– No i jesteśmy.

Zaparkowały przed dobrze utrzymanym domem w stylu wiktoriańskim w centrum Ballard. Ręcznie namalowana tabliczka na froncie głosiła: KANCELARIA ADWOKACKA BAKER I MONTGOMERY.

Minęła chwila, zanim Tully wysiadła z samochodu. Gdy już znalazła się na zewnątrz, powitał ją łagodny, pełen zrozumienia uśmiech kobiety.

– Nie musisz brać walizki.

– Wolałabym to zrobić, dziękuję.

Jeśli Tully była pewna czegokolwiek, to tego, jak ważny jest spakowany bagaż.

Kobieta skinęła głową i ruszyła pierwsza poprzerastaną trawą betonową ścieżką ku białemu frontowi domu. W przesadnie uroczym holu Tully zajęła miejsce blisko pustego biurka recepcjonistki. Tapety na ścianach zdobiły słodkie rysunki wielkookich dzieci. Punktualnie o szesnastej pulchny mężczyzna z łysiną i okularami w rogowych oprawkach wyszedł, by je przywitać.

– Witaj, Tallulah. Jestem Elmer Baker, prawnik twojej babci, pani Hart.

Tully przeszła za nim do małego gabinetu na piętrze z dwoma tapicerowanymi krzesłami i antycznym mahoniowym biurkiem zasypanym żółtymi prawniczymi notatnikami. W rogu stał wiatrak, który brzęczał i terkotał, posyłając ciepłe powietrze w kierunku drzwi. Pracownica opieki społecznej usiadła przy oknie.

– Proszę, proszę. Siadaj – powiedział prawnik, przechodząc do swojego fotela za eleganckim biurkiem. – Posłuchaj, Tallulah…

– Tully – powiedziała cicho.

– Słusznie. Pamiętam, że Ima mówiła, że wolisz Tully. – Oparł łokcie na biurku i pochylił się do przodu. Jego owadzie oczy migotały za grubymi szkłami powiększającymi okularów. – Jak wiesz, twoja matka odmówiła wzięcia cię pod swoją opiekę.

Tully potrzebowała wszystkich sił, żeby skinąć głową, choć zeszłej nocy przećwiczyła cały monolog o tym, że powinni jej pozwolić mieszkać samej. Ale teraz, tutaj czuła się mała i o wiele za młoda.

– Przykro mi – dodał łagodnym głosem, a ona aż się wzdrygnęła. Zaczęła nienawidzić tego głupiego, bezużytecznego zwrotu.

– Tak – odpowiedziała, zaciskając dłonie w pięści.

– Panna Gulligan znalazła dla ciebie cudowną rodzinę. Będziesz jednym z kilkorga nastolatków pod ich opieką. Wspaniała wiadomość jest taka, że będziesz mogła dalej się uczyć w tej samej szkole. Myślę, że będziesz tym zachwycona.

– Wniebowzięta.

Pan Baker wydawał się zaskoczony jej reakcją.

– Oczywiście. Przejdźmy do kwestii spadku. Ima zostawiła cały swój majątek – oba domy, samochód, konta bankowe

i akcje – tobie. Wydała również instrukcję, byś nadal wysyłała comiesięczny przelew dla jej córki Dorothy. Twoja babcia uważała, że to najlepszy i jedyny sposób, by utrzymać z nią kontakt. Okazało się, że Dorothy potrafi dbać o kontakt, jeśli wiąże się on z przypływem pieniędzy. – Prawnik odchrząknął. – A więc… Kiedy sprzedamy oba domy, nie będziesz się musiała martwić o finanse przez dłuższy czas. Możemy się zająć…

– Ale wtedy nie będę miała domu.

– Przykro mi, ale Ima wydała konkretne dyspozycje. Chciała, żebyś mogła pójść do dowolnego college'u. – Podniósł wzrok. – Pewnego dnia zdobędziesz Pulitzera. A przynajmniej tak mi mówiła.

Tully nie mogła uwierzyć, że znowu zbiera jej się na płacz i do tego przy tych ludziach. Wyprostowała się gwałtownie.

– Muszę do łazienki.

Blade czoło pana Bakera przecięła zmarszczka.

– Och. Oczywiście. Jest na dole. Pierwsze drzwi po lewej od drzwi frontowych.

Tully wstała, chwyciła walizkę i ruszyła powoli do drzwi. Gdy znalazła się na korytarzu, zamknęła je za sobą i oparła się o ścianę, powstrzymując łzy.

Nie może trafić do rodziny zastępczej.

Zerknęła na datę na swoim zegarku upamiętniającym dwusetne urodziny Ameryki.

Mularkeyowie jutro będą w domu.

7

Droga powrotna do domu z Kolumbii Brytyjskiej trwała całą wieczność. Klimatyzacja w kamperze się zepsuła, więc z bezużytecznych wentylatorów leciało ciepłe powietrze. Wszyscy byli spoceni, zmęczeni i brudni. A mimo to mama i tata nadal chcieli śpiewać piosenki. I na dodatek przymuszali do tego dzieci. Kate nie mogła już znieść tego całego obciachu.

– Mamo, czy mogłabyś powiedzieć Seanowi, żeby przestał szturchać mnie w ramię?

Brat Kate beknął i zaczął się śmiać. Pies rozszczekał się głośno.

Tata na przednim siedzeniu pochylił się i włączył radio. Z głośników popłynął głos Johna Denvera w *Thank God I'm a Country Boy*.

– To ostatnia, Margie. Jeśli nie chcą się przyłączyć, w porządku.

Kate wróciła do czytania książki. Autem tak bujało, że słowa tańczyły na kartce, ale to nie miało znaczenia. *Władcę Pierścieni* czytała już wiele razy.

„Cieszę się, że jesteś tutaj ze mną, Samie. Tutaj, w ostatniej godzinie świata”[5].

– Katie. Kathleen.

Podniosła wzrok.

– Tak?

– Dojechaliśmy – powiedział tata. – Odłóż tę durną książkę i pomóż nam rozpakować samochód.

– A mogę najpierw zadzwonić do Tully?

– Nie. Najpierw bagaże.

Kate zatrzasnęła książkę. Od siedmiu dni czekała na ten telefon. Ale rozpakowanie kampera było ważniejsze.

– Okej. Ale niech Sean się też przyłoży.

Mama westchnęła.

– Zajmij się sobą, Kathleen.

Wysypali się ze śmierdzącego samochodu i rozpoczęli rytuał kończący każde wakacje. Zanim się z tym uporali, było już ciemno. Kate położyła ostatnie ubrania na stosie na podłodze w pralni, włączyła pierwsze pranie, a potem poszła poszukać mamy, która siedziała na kanapie z tatą. Opierali się o siebie i wyglądali na mało przytomnych.

– Mogę teraz zadzwonić do Tully?

Tata spojrzał na zegarek.

– O dziewiątej trzydzieści? Jej babcia na pewno byłaby zachwycona.

– Ale…

– Dobranoc, Katie – odparł stanowczo tata, obejmując mamę ramieniem i przyciągając ją do siebie.

– To niesprawiedliwe.

Mama się roześmiała.

– A kto ci powiedział, że życie jest sprawiedliwe? Kładź się spać.

Przez niemal cztery godziny Tully stała przy narożniku swojego domu i obserwowała, jak Mularkeyowie rozładowują kampera. Z dziesięć razy myślała, żeby wbiec na wzniesienie i pokazać się im, ale nie była jeszcze gotowa na całą hałaśliwą rodzinę. Chciała być sama z Kate, w jakimś spokojnym miejscu, gdzie

mogłyby porozmawiać. Poczekała więc, aż zgasną światła, a potem przeszła przez ulicę. Na trawniku pod oknem Kate postała jeszcze trzydzieści minut, żeby mieć pewność. Gdzieś po swojej lewej słyszała, że Miodunka rży do niej i grzebie w ziemi kopytami. Stara klacz też najwyraźniej potrzebowała towarzystwa. Podczas rodzinnej wyprawy kempingowej sąsiad karmił konia, ale to nie to samo co miłość.

– Wiem, kochana – powiedziała Tully, siadając.

Przyciągnęła kolana do klatki piersiowej i objęła je ramionami, tuląc samą siebie. Może powinna była zadzwonić, zamiast tak ich nachodzić? Ale pani Mularkey pewnie powiedziałaby jej, żeby wpadła jutro, że są zmęczeni po długiej podróży, a Tully nie mogła już dłużej czekać. Zupełnie nie dawała sobie rady z samotnością.

Wreszcie o jedenastej wieczorem wstała, strzepnęła trawę z dżinsów i rzuciła kamyczkiem w okno Kate. Potrzebowała czterech kamyków, żeby przyjaciółka wystawiła głowę przez okno.

– Tully! – Kate cofnęła się w głąb pokoju i zatrzasnęła okno.

W mniej niż minutę pojawiła się przy domu. Miała na sobie koszulkę nocną z Bionic Woman, stare okulary w czarnych oprawkach i aparat na zębach. Biegła ku Tully z rozpostartymi ramionami. Gdy objęła nimi przyjaciółkę, Tully po raz pierwszy od wielu dni poczuła się bezpieczna.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam – wyznała Kate, wzmacniając uścisk.

Tully nie była w stanie odpowiedzieć. Mogła się jedynie starać powstrzymać płacz. Zastanawiała się, czy Kate wie, czy naprawdę wie, jak ważna jest dla niej ich przyjaźń.

– Wyciągnęłam nasze rowery – powiedziała, cofając się i odwracając wzrok, żeby Kate nie spostrzegła jej mokrych oczu.

– Fajowo.

Po chwili już jechały, sfruwały z Summer Hill z rozpostartymi ramionami, łapiąc wiatr. U podnóża wzniesienia zostawiły rowery pod drzewami i ruszyły długą, krętą drogą nad rzekę. Drzewa wokół nich rozmawiały między sobą, wiatr wzdychał, a liście opadały z gałęzi, przedwcześnie zapowiadając nadchodzącą jesień.

Kate klapnęła na ziemię w ich starym miejscu i oparła plecy o pokryty mchem pień. Wyciągnęła stopy w trawie, która urosła podczas ich nieobecności.

Tully poczuła nagle tęsknotę za ich wspólną młodością. Spędziły tutaj większość jednego lata, splatając swe osobne i samotne życia przyjaźnią. Położyła się obok Kate, przysunąwszy się na tyle blisko, żeby ich ramiona się dotykały. Po tym, co wydarzyło się w ostatnich dniach, musiała poczuć, że przyjaciółka jest wreszcie obok niej. Postawiła na ziemi radio tranzystorowe i pogłośniła.

– Piekielny tydzień z robalami był gorszy niż zwykle – powiedziała Kate. – Ale udało mi się namówić Seana, żeby zjadł ślimaka. Warto było, chociaż straciłam kieszonkowe. – Zachichotała. – Szkoda, że nie widziałaś wyrazu jego twarzy, gdy zaczęłam się śmiać. Ciocia Georgia próbowała rozmawiać ze mną o antykoncepcji. Czaisz? Powiedziała, że powinnam…

– Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jakie masz szczęście? – Te słowa padły, zanim Tully zdołała je powstrzymać, wysypały się jak żelki z automatu.

Kate przekręciła się na bok na trawie, żeby na nią popatrzeć.

– Zwykle chcesz wiedzieć ze szczegółami, co się działo.

– No tak. Ale miałam straszny tydzień.

– Zwolnili cię?

– To miałoby oznaczać straszny tydzień? Chciałabym żyć twoim idealnym życiem chociaż przez jeden dzień.

Kate odchyliła się nieco, marszcząc brwi.

– Brzmisz tak, jakbyś była na mnie wkurzona.

– Nie na ciebie – westchnęła Tully. – Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

– To na kogo się wściekasz?

– Na Chmurę. Na Babcię. Na Boga. Możesz wybrać. – Głęboko zaczerpnęła powietrza i dodała: – Babcia umarła, jak was nie było.

– Och, Tully…

I nadeszło to, na co Tully czekała cały tydzień. Był z nią ktoś, kto ją kochał i kto jej szczerze współczuł. Oczy zapiekły od łez i zanim się zorientowała, już płakała. To był potężny, bulgoczący szloch, który wstrząsał jej ciałem i uniemożliwiał oddychanie, a Kate cały czas ją trzymała, pozwalając się wypłakać i nic nie mówiąc.

Gdy Tully zabrakło łez, uśmiechnęła się, jeszcze roztrzęsiona.

– Dzięki, że nie powiedziałaś, że ci przykro.

– Ale jest mi przykro.

– Wiem.

Tully oparła się z powrotem o pień i zapatrzyła w nocne niebo. Chciała wyznać, że się boi i że choć czasem czuła się w życiu samotna, to dopiero teraz wie, co to prawdziwa samotność, ale nie mogła wypowiedzieć tych słów, nawet do Kate. Myśli – lęki także – to ulotne zjawiska, bezkształtne, dopóki nie uczyni się ich konkretami za pomocą własnego głosu, a gdy już nabiorą ciężaru, mogą nas zmiażdżyć.

Kate poczekała chwilę, a potem powiedziała:

– I co teraz będzie?

Tully otarła oczy i sięgnęła do kieszeni, by wyciągnąć paczkę papierosów. Zapaliła jednego, zaciągnęła się i zakasłała. Lata minęły, odkąd paliła.

– Muszę iść do rodziny zastępczej. Ale tylko na jakiś czas. Jak skończę osiemnaście lat, będę mogła mieszkać sama.

– Nie będziesz mieszkać u obcych – stwierdziła kategorycznie Kate. – Znajdę Chmurę i przemówię jej do rozumu.

Tully nawet nie chciało się odpowiadać. Kochała swoją przyjaciółkę za jej słowa, ale ona i Kate żyły w zupełnie innych światach. W świecie Tully mamy nie pomagały swoim dzieciom. Ważne było to, by radzić sobie samemu. Ważne było to, by się nie przejmować. A najlepszym sposobem, żeby się nie przejmować, było otaczanie się hałasem i ludźmi. Nauczyła się tej sztuczki dawno temu. Nie będzie miała zbyt wiele czasu w Snohomish. Opieka społeczna bardzo szybko ją odnajdzie i zaciągnie z powrotem do ślicznej nowej rodzinki, czyli nastolatków bez żadnych bliskich i ludzi, których opłacano, by ich u siebie gościli.

– Powinnyśmy pójść na tę imprezę jutro wieczorem. Tę, o której pisałaś w ostatnim liście.

– U Karen? Na tę balangę z okazji końca wakacji?

– Właśnie.

Kate zmarszczyła brwi.

– Moi starzy by się wściekli, gdyby się dowiedzieli, że poszłam na imprezę z alkoholem.

– To powiedz im, że będziesz u mnie po drugiej stronie ulicy. Twoja mama będzie myślała, że Chmura wróciła.

– Jak się wyda…

– Nie wyda się.

Tully widziała, że jej przyjaciółka się martwi, i pomyślała, że powinna zrezygnować z tego planu. To było lekkomyślne, a może nawet niebezpieczne. Ale nie potrafiła się powstrzymać. Jeśli nie zrobi czegoś drastycznego, zapadnie się w lepkiej ciemności własnych lęków. Będzie myśleć o matce, która tak często i z takim uporem ją porzucała, o obcych, z którymi wkrótce zamieszka, i o babci, która odeszła.

– Nie wyda się. Obiecuję – powiedziała. – Ufasz mi, prawda?

– Pewnie – odparła powoli Kate.

– Świetnie. W takim razie idziemy na imprezę.

– Dzieci! Śniadanie gotowe!

Kate usiadła przy stole jako pierwsza. Mama właśnie postawiła na nim talerz pankejków, gdy rozległo się pukanie.

Kate aż podskoczyła.

– Ja otworzę. – Podbiegła do drzwi i otworzyła je gwałtownie, udając zaskoczenie. – Mamo, zobacz. To Tully. Jeju, nie widziałam cię od stu lat!

Mama stała przy stole w swojej zapinanej na suwak czerwonej welurowej podomce i różowych kosmatych kapciach.

– Cześć, Tully, miło cię znowu widzieć. Brakowało nam ciebie na kempingu, ale wiemy, jak ważna jest dla ciebie praca.

Tully podeszła bliżej. Podniosła wzrok i chciała coś powiedzieć, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Stała tam tylko, wpatrując się w mamę Kate.

– O co chodzi? – zapytała pani Mularkey, podchodząc do Tully. – Co się dzieje?

– Moja babcia umarła – odpowiedziała cicho Tully.

– Och, skarbie… – Mama porwała Tully w objęcia i przytuliła do siebie na długą chwilę. Wreszcie oderwała się od niej, objęła ją ramieniem i poprowadziła na sofę w salonie. – Wyłącz płytę, Katie – rzuciła, nawet się nie odwracając.

Kate wyłączyła elektryczną płytę do pankejków, a potem ruszyła za nimi do pokoju. Zawahała się i stanęła w łuku oddzielającym kuchnię. Żadna z nich nie zwracała na nią uwagi.

– Spóźniliśmy się na pogrzeb? – zapytała mama łagodnie, trzymając Tully za rękę.

Tully pokiwała głową.

– Wszyscy mówili, że im przykro. Nienawidzę już teraz tych słów.

– Ludzie po prostu nie wiedzą, co powiedzieć.

– Moje ulubione powiedzonko, chyba jeszcze częstsze, to takie, że teraz jest w lepszym miejscu. Jakby śmierć była lepsza od bycia ze mną.

– A twoja mama?

– Powiedzmy, że nie bez powodu każe się nazywać Chmurą. Pojawiła się i zniknęła. – Tully zerknęła na Kate i pospiesznie dodała: – Ale teraz tu jest. Mieszkamy w domu naprzeciwko.

– No pewnie – odpowiedziała mama. – Wie, że jej potrzebujesz.

– Czy mogę dzisiaj u nich przenocować, mamo? – zapytała Kate. Serce biło jej tak szybko i mocno, że była przekonana, że mama je słyszy. Próbowała wyglądać jak najbardziej wiarygodnie, ale ponieważ kłamała, spodziewała się, że mama ją przejrzy.

A ona nawet na nią nie zerknęła.

– Oczywiście. Powinnyście być razem. I pamiętaj, Tully Hart: jesteś następną Jessicą Savitch. Przetrwasz to. Obiecuję.

– Naprawdę tak pani myśli? – zapytała Tully.

– Ja to wiem. Masz rzadki dar, Tully. I możesz być pewna, że twoja babcia jest teraz w niebie i czuwa nad tobą.

Kate poczuła nagłą potrzebę, żeby się wtrącić, wystąpić do przodu i zapytać mamę, czy uważa, że ona też będzie w stanie zmienić świat. Nawet zrobiła krok i otworzyła usta, ale zanim sformułowała pytanie, usłyszała, jak Tully mówi:

– Będzie pani ze mnie dumna, pani M. Obiecuję, że tak będzie.

Kate się zawahała. Nie miała pojęcia, jak sprawić, by mama była dumna z niej. Nie była taka jak Tully. Kate nie miała żadnego szczególnego daru. Problem w tym, że jej własna matka powinna tak uważać i powinna tak mówić. Tymczasem ona – jak wszyscy inni – krążyła wokół promiennego słońca Tully.

– Obie zostaniemy reporterkami – oznajmiła Kate tonem ostrzejszym, niż zamierzała. Widząc ich zaskoczone spojrzenia, poczuła się jak idiotka. – Chodźcie – powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. – Zjedzmy, zanim wszystko wystygnie.

Ta impreza to był zły pomysł. Zły jak szydzenie z Carrie na balu maturalnym.

Tully zdawała sobie z tego sprawę, ale nie potrafiła się wycofać. W ciągu tych dni po pogrzebie babci i ponownym porzuceniu przez Chmurę gniew zaczynał powoli przeważać nad żalem. Krążył w jej krwi niczym drapieżnik, wypełniając ją emocjami, których dziewczyna nie była w stanie stłumić ani okiełznać. Wiedziała, że zachowuje się lekkomyślnie, ale nie potrafiła zmienić kursu. Gdyby zwolniła, nawet na chwilę, dogoniłby ją strach, więc realizowała plan. Były w sypialni jej matki i miały się szykować.

– Jeju! – powiedziała Kate zachwyconym głosem. – Musisz to przeczytać.

Tully podeszła do ozdobionego kiepskim decoupage'em łóżka z materacem wodnym, wyjęła powieść w miękkiej oprawie z rąk Kate i rzuciła ją przez pokój.

– Nie wierzę, że przyniosłaś książkę.

– Hej! – Kate spróbowała usiąść, a materac zafalował. – Wulfgar przywiązywał ją właśnie do łóżka. Muszę się

dowiedzieć…

– Idziemy na imprezę, Kate. Dość tych romansideł. I przy okazji: przywiązywanie kobiety do łóżka jest CHORE.

– Taa – odparła wolno Kate, marszcząc brew. – Wiem, ale…

– Żadnych ale. Ubieraj się.

– Dobra, dobra. – Kate wstała i poczłapała do ubrań, które Tully wcześniej wyjęła z szafy: dżinsów Jordache i brązowego topu z odkrytymi plecami. – Moja mama by umarła, gdyby zobaczyła, że wychodzę w czymś takim.

Tully nie odpowiedziała. Wolałaby tego nie słyszeć. Pani M. była ostatnią osobą, o której miała ochotę teraz myśleć. Skupiła się na swoich ciuchach: dżinsy, różowy obcisły top bez ramiączek i granatowe sznurowane sandały na platformach. Pochyliła się i szczotkowała włosy, by wyglądały jak u Farrah, a potem spryskała je taką ilością lakieru Aqua Net, że zatrzymałaby muchę w locie. Gdy miała pewność, że wygląda idealnie, zwróciła się do Kate:

– Jesteś…

Kate przebrała się na imprezę i znowu czytała na łóżku.

– …po prostu żałosna.

Kate przewróciła się na plecy i uśmiechnęła.

– To takie romantyczne, Tully. Wcale nie żartuję.

Tully znów wyrwała jej książkę. Nie wiedziała dlaczego, ale naprawdę ją to wkurzało. Może to ten niezmącony idealizm Kate. Jak mogła widzieć życie Tully i nadal wierzyć w bajkowe zakończenia?

– Chodźmy.

Nie sprawdzając, czy Kate idzie za nią, Tully przeszła do garażu i otworzyła drzwi, a potem wsunęła się na popękane czarne siedzenie za kierownicą queen victorii należącej do jej babci. Nie zwracała uwagi na to, że sprężyny wbijają jej się w plecy. Zatrzasnęła drzwi.

– Masz jej auto? – zapytała Kate, otwierając drzwi po stronie pasażera i wsuwając głowę do środka.

– Formalnie rzecz biorąc, to jest teraz mój samochód.

Kate wskoczyła na siedzenie i zamknęła drzwi.

Tully wsunęła kasetę Kiss do magnetofonu i podgłośniła. Potem wrzuciła wsteczny i nacisnęła pedał gazu.

Śpiewały najgłośniej, jak się dało, całą drogę do domu Karen Abner. Parkowało tam już co najmniej pięć aut. Niektóre stały między drzewami i były słabo widoczne. Gdy jacyś rodzice wyjeżdżali na weekend, wieść szybko się rozchodziła i imprezowicze pojawiali się jak grzyby po deszczu.

W środku było gęsto od dymu. Słodki zapach marihuany i kadzidełek był wręcz odurzający. Muzyka grała tak głośno, że Tully rozbolały uszy. Chwyciła Kate za rękę i poprowadziła ją po schodach do pokoju rekreacyjnego w piwnicy.

Ściany olbrzymiego pomieszczenia wyłożono laminowanymi płytami, a podłogę pokrywała limonkowoozielona wykładzina. Na samym środku znajdował się stożkowy kominek otoczony pomarańczową sofą w kształcie półksiężyca i kilkoma brązowymi workowatymi pufami. W głębi po lewej chłopcy grali w piłkarzyki, wrzeszcząc przy każdym ruchu rączką. Inni goście tańczyli dziko, śpiewając do muzyki. Paru najaranych chłopaków siedziało na sofie, a obok drzwi jakaś dziewczyna nalewała piwo pod olbrzymim obrazem przedstawiającym hiszpańskiego matadora.

– Tully!

Zanim zdołała odpowiedzieć, krąg znajomych z dawnych czasów otoczył ją i odciągnął od Kate. Najpierw podeszli do beczki z piwem, gdzie jakiś chłopak podał jej plastikowy kubek pełen pienistego złotego rainiera. Spojrzała na nie, wstrząśnięta nagłym wspomnieniem tego, jak Pat popchnął ją na ziemię… Rozejrzała się za Kate, ale nigdzie nie dostrzegła przyjaciółki.

A wtedy wszyscy zaczęli skandować jej imię: „Tu-lly, Tu-lly”. Nikt nie zamierzał jej skrzywdzić. Nie tutaj; może jutro, gdy przyjadą po nią funkcjonariusze, ale nie teraz. Wypiła całe piwo i uniosła kubek po następne, wykrzykując imię Kate. Przyjaciółka pojawiła się natychmiast, jakby tylko czekała na to, by ją wezwano. Tully podała jej piwo.

– Proszę.

Kate potrząsnęła głową. To był bardzo delikatny ruch, ale Tully go dostrzegła i poczuła wstyd, że zaproponowała Kate alkohol, a potem złość, że jej przyjaciółka jest taka niewinna. Tully nigdy nie była niewinna; w każdym razie nie pamiętała tego.

– Ka-tie, Ka-tie – zawołała rytmicznie, sprawiając, że wszyscy do niej dołączyli. – No dalej, Katie – powiedziała cicho. – Jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami, nie?

Kate popatrzyła nerwowo na ludzi dokoła siebie. Tully znów poczuła wstyd i znów poczuła zazdrość. Mogła to natychmiast przerwać, ochronić Katie…

Przyjaciółka wzięła piwo i wypiła do dna. Ponad połowa spłynęła jej po brodzie i ściekła na top, sprawiając, że lśniący materiał oblepił jej piersi, ale ona nie zwróciła na to uwagi. Akurat zmieniła się muzyka. Z głośników popłynęło *Dancing Queen* Abby. *You can dance, you can j-ive…*

– Uwielbiam tę piosenkę – powiedziała Kate.

Tully złapała ją za rękę i pociągnęła w stronę tańczących. Tam puściła ją i poddała się rytmowi.

Zanim muzyka się zmieniła i zwolniła, ciężko dyszała i śmiała się bez powodu. Ale to nastrój Kate bardziej się zmienił. Czy to z powodu jednego piwa, czy to z powodu pulsującego rytmu muzyki – Tully nie umiała stwierdzić. Wiedziała tylko, że Kate wygląda cudownie: jej jasne włosy lśniły w blasku

padającego z góry światła, a blada, delikatna twarz była zarumieniona.

Gdy Neal Stewart podszedł do nich i poprosił Kate do tańca, tylko Kate była tym zaskoczona. Odwróciła się do Tully.

– Neal chce ze mną zatańczyć – zawołała w cichszym momencie piosenki. – Chyba jest pijany.

Unosząc dłonie, odeszła tanecznym krokiem z Nealem, zostawiając Tully samą w tłumie.

Przycisnęła policzek do miękkiej koszulki Neala. Było jej tak dobrze, gdy ją obejmował, trzymając dłonie tuż nad jej pośladkami. Czuła, jak ociera się o nią biodrami. Tętno jej przyśpieszyło, zaczęła szybciej oddychać. Ogarnęło ją nowe uczucie, coś w rodzaju oczekiwania bez tchu. Pragnęła… Czego?

– Kate?

Usłyszała wahanie, z jakim wypowiedział jej imię, i nagle ją uderzyło: czy on też to wszystko czuje? Powoli uniosła wzrok.

Neal uśmiechał się do niej z góry. Leciutko się zachwiał.

– Jesteś piękna – powiedział, a potem ją pocałował, właśnie tam, pośrodku parkietu.

Kate gwałtownie wciągnęła powietrze i zesztywniała w jego ramionach. To było tak niespodziewane, że nie wiedziała, co powinna zrobić.

Neal wsunął język do jej ust, zmuszając ją do rozchylenia warg.

– No, no – powiedział cicho, gdy się już wycofał.

„No, no” co? „No, no, ale z ciebie debilka” czy „No, no, co za pocałunek!”?

Ktoś za nią wrzasnął:

– Gliny!

Neal zniknął w jednej chwili, a obok niej znów była Tully, która wzięła ją za rękę. Szybko wyskoczyły z domu, pobiegły na wzgórze, przez niskie zarośla, a potem między drzewami ku drodze. Zanim dotarły do auta, Kate była przerażona, a jej żołądek mocno się buntował.

– Zrzygam się.

– Nie, nie teraz. – Tully gwałtownie otworzyła drzwi od strony pasażera i wepchnęła Kate do środka. – Nie możesz trafić do aresztu.

Tully obiegła auto z przodu i otworzyła drzwi. Wsuwając się na miejsce kierowcy, włożyła kluczyk do stacyjki, szarpnęła dźwignię na wsteczny i wcisnęła pedał gazu. Zakołysało nimi do tyłu i uderzyły o coś twardego. Kate poleciała do przodu jak kukła i rozbiła sobie czoło o deskę rozdzielczą, a potem osunęła się na fotel. Oszołomiona otworzyła oczy i spróbowała się skupić. Tully była obok i otwierała korbką okno od strony kierowcy.

A tam w ciemności stał stary, dobry posterunkowy Dan, człowiek, który wywiózł Tully ze Snohomish trzy lata temu.

– Wiedziałem, że wy, dziewczyny z Firefly Lane, dacie mi jeszcze popalić.

– Żeż kurwa – powiedziała Tully.

– Niełądnie, Tallulah. A teraz wysiądź, proszę, z samochodu.

Pochylił się i spojrzał na Kate.

– Ty też, Kate Mularkey. Koniec imprezy.

Na posterunku od razu je rozdzielono.

– Ktoś przyjdzie z tobą porozmawiać – powiedział posterunkowy Dan, prowadząc Tully do pokoju na końcu korytarza.

Stalowoszare biurko i dwa krzesła stały samotnie pod zwisającą z sufitu mocną żarówką. Ściany miały obrzydliwy zielony kolor, a podłoga była ze zwykłego, nierównego betonu. W pomieszczeniu dało się wyczuć smutny odór: połączenie potu, uryny i dawno rozlanej kawy. Całą lewą ścianę zajmowało lustro. Wystarczyło obejrzeć jeden odcinek serialu *Starsky i Hutch*, żeby wiedzieć, że to tak naprawdę okno. Tully zastanawiała się, czy po drugiej stronie weneckiego lustra jest już pracownica opieki społecznej, która kręci głową rozczarowana i mówi: „Tamta fajna rodzina już jej nie zechce", albo prawnik, który nie będzie wiedział, co powiedzieć.

Albo Mularkeyowie.

W tym momencie aż jęknęła z przestrachu. Jak mogła być taka głupia? Mularkeyowie lubili ją aż do dziś, a ona wszystko to zniszczyła. I dlaczego? Bo była przygnębiona odrzuceniem przez matkę? Powinna się już była do tego przyzwyczaić. Czy to coś nowego?

– Już nie będę taka głupia – powiedziała, patrząc prosto w lustro. – Jeśli dostanę jeszcze jedną szansę. Będę grzeczna.

Potem czekała, aż ktoś wpadnie do środka, może z kajdankami, ale minuty mijały w tej cuchnącej ciszy. Tully przestawiła jedno z czarnych plastikowych krzeseł w róg pokoju i usiadła.

Powinnam była wiedzieć lepiej. Zamknęła oczy, myśląc cały czas o tym samym. A tej myśli, niczym cień formujący się o zmierzchu, towarzyszyła inna: *Czy będziesz dla Katie dobrą przyjaciółką?*

– Jak mogłam być taka głupia? – Tym razem Tully nawet nie zerknęła na lustro. Nikogo za nim nie było. Kto miałby na nią patrzeć, na dziecko, którego nikt nie chce?

Po drugiej stronie pokoju przekręciła się gałka drzwi. Tully się spięła. Wbiła palce w uda. *Bądź grzeczna, Tully. Zgadzaj się*

ze wszystkim, co powiedzą. Rodzina zastępcza jest lepsza niż poprawczak.

Drzwi się otwarły i do pokoju weszła pani Mularkey. W spranej kwiecistej sukience i znoszonych białych tenisówkach wyglądała na zmęczoną i rozbitą, jakby obudzono ją w środku nocy i ubrała się w to, na co natrafiła po omacku.

I tak pewnie było.

Pani Mularkey sięgnęła do kieszeni sukienki po papierosy. Gdy je znalazła, zapaliła jednego. Przez kłąb dymu przyglądała się Tully. Jej smutek i rozczarowanie były równie widoczne jak papierosowy dym. Tully ogarnął przemożny wstyd. Oto jedna z bardzo niewielu osób, które kiedykolwiek w nią wierzyły, a ona ją zawiodła.

– Co z Kate?

Pani Mularkey wydmuchnęła dym.

– Bud zabrał ją do domu. W najbliższym czasie raczej nie będzie z niego wychodzić.

– Och. – Tully jęknęła.

Czuła się okropnie. Wszystkie jej przewiny były ewidentne, na pewno, od kłamstw, które opowiadała, przez sekrety, które utrzymywała, po łzy, które wypłakała. Pani M. to wszystko widziała.

I nie podobało jej się to, co widzi. Tully nie mogła jej winić.

– Wiem, że was zawiodłam.

– Owszem, zawiodłaś. – Pani Mularkey odsunęła krzesło od biurka i usiadła przed Tully. – Chcą cię wysłać do poprawczaka.

Tully spuściła wzrok na swoje dłonie, bo nie mogła wytrzymać rozczarowania, które dostrzegała na twarzy pani M.

– Rodzina zastępcza mnie już teraz nie zechce.

– Rozumiem, że twoja matka odmówiła wzięcia cię pod opiekę.

– Co za niespodzianka. – Tully usłyszała, że głos jej się łamie. Wiedziała, że to zdradza, jak bardzo czuje się zraniona, ale nie potrafiła tego ukryć. Nie przed panią M.

– Katie uważa, że powinni ci znaleźć inną rodzinę.

– Cóż, Katie żyje w innym świecie niż ja.

Pani Mularkey odchyliła się do tyłu. Zaciągnęła się papierosem, wypuściła dym i powiedziała cicho:

– Chce, żebyś zamieszkała z nami.

Te słowa były niczym cios prosto w serce. Tully wiedziała, że będzie potrzebować bardzo dużo czasu, by o tym zapomnieć.

– Taa, pewnie.

Pani Mularkey powiedziała:

– Dziewczyna, która mieszkałaby w naszym domu, musiałaby pomagać w domowych obowiązkach i przestrzegać reguł. Pan Mularkey i ja nie tolerujemy nieposłuszeństwa.

Tully gwałtownie podniosła wzrok.

– O czym pani mówi? – Nie potrafiłaby nawet ubrać w słowa tej nagłej nadziei.

– I z całą pewnością żadnego palenia.

Tully wpatrywała się w nią, a łzy piekły ją w oczy, ale ten ból był niczym w porównaniu z tym, co działo się wewnątrz niej. Czuła, jakby się miała zaraz przewrócić.

– Czy to znaczy, że mogę zamieszkać z wami?

Pani M. nachyliła się i dotknęła policzka Tully.

– Wiem, jakie ciężkie miałaś dotąd życie, Tully, i nie zniosłabym, gdyby znowu się takie stało.

Zamiast upaść, Tully poczuła, jakby się uniosła. Rozszlochała się. Płakała nad wszystkim – nad babcią, nad rodziną zastępczą, nad Chmurą. Odczuwana przez nią w tej chwili ulga była najpotężniejszym uczuciem, jakiego Tully w życiu doznała. Drżącymi dłońmi wyciągnęła pogniecioną i opróżnioną do połowy paczkę papierosów z torebki i podała ją pani Mularkey.

– Witamy w naszej rodzinie, Tully – powiedziała pani M. po chwili ciszy.

Przyciągnęła Tully do siebie i pozwoliła jej się wypłakać.

Przez następne lata Tully będzie wspominać ten moment jako początek czegoś nowego w swoim życiu, chwilę, w której stała się kimś innym. Gdy mieszkała u głośnej, zwariowanej, kochającej rodziny Mularkeyów, odnalazła w sobie zupełnie nową osobę. Nie miała już tajemnic, nie kłamała, nie udawała kogoś innego, a oni ani razu nie zachowali się tak, jakby była niemile widziana albo niewystarczająco dobra.

Gdziekolwiek się potem znalazła, zawsze pamiętała tamten moment i tamte słowa: „Witamy w naszej rodzinie, Tully”. Już zawsze myślała o tym ostatnim roku w liceum, gdy były z Kate nierozłączne i stanowiły część jednej rodziny, jak o najlepszym roku w swoim życiu.

---

5 J.R.R. Tolkien, *Powrót króla*, tłum. Maria Skibniewska, Warszawa 1990, s. 288.

8

– Dziewczyny! Przestańcie się guzdrać. Trafimy na korki, jeśli zaraz nie wyjedziemy.

W skrzypiącej sypialni na poddaszu Kate stała przy podwójnym łóżku i wpatrywała się w otwartą walizkę, do której włożyła wszystkie swoje cenne rzeczy. Na samym wierzchu leżała oprawiona w ramkę fotografia dziadków, wsunięta między związany wstążką pakiet starych listów od Tully i ich wspólną fotografię z zakończenia liceum.

Choć od miesięcy wyczekiwała tej chwili (razem z Tully bez końca snuły wieczorami marzenia o tym, co będzie, „gdy będziemy już w college'u"), teraz, gdy ten moment nadszedł, poczuła jakiś opór przed opuszczeniem domu.

W ostatniej klasie liceum stały się nierozłączne. TullyiKate. Wszyscy w szkole wymawiali ich imiona jak jedno. Gdy Tully została redaktorką szkolnej gazetki, Kate była tuż obok, pomagając w redagowaniu artykułów. Uczestniczyła w sukcesach przyjaciółki, płynęła na fali jej popularności, ale to wszystko działo się w świecie, który znała, w miejscu, w którym czuła się bezpieczna.

– A jak o czymś zapomniałam?

Tully przeszła przez pokój i stanęła obok Kate. Zamknęła walizkę i zatrzasnęła zamki.

– Jesteś gotowa.

– Nie. To ty jesteś gotowa. Ty zawsze jesteś gotowa – powiedziała Kate, starając się, by głos nie zdradził, jak bardzo

się boi. Nagle wyraźnie odczuła, jak mocno będzie tęsknić za rodzicami i nawet za młodszym bratem.

Tully spojrzała na nią.

– Jesteśmy drużyną, nie? Dziewczynami z Firefly Lane.

– Jesteśmy, ale…

– Żadnych ale. Idziemy na studia razem, wybieramy ten sam akademik i znajdziemy pracę w tej samej stacji telewizyjnej. Koniec i kropka. Damy radę.

Kate wiedziała, czego oczekuje od niej Tully i wszyscy inni. Powinna być silna i dzielna. Ale ona tego nie czuła. A skoro nie czuła, zrobiła to, co często ostatnio robiła w towarzystwie Tully. Uśmiechnęła się i udawała.

– Masz rację. Chodźmy.

Jazda ze Snohomish do centrum Seattle, która zwykle zajmowała trzydzieści pięć minut, minęła jak z bicza strzelił. Kate prawie się nie odzywała, nie wiedziała, co mówić, choć Tully i jej mama nawijały o zbliżającym się tygodniu naboru do korporacji studentek i akademików. Wyglądało na to, że mama jest bardziej podekscytowana ich studencką przygodą od samej Kate.

W wysokim budynku Hagget Hall dotarły głośnymi, zatłoczonymi korytarzami do małego, obskurnego pokoiku na dziesiątym piętrze. Tu miały spać podczas tygodnia naboru. Gdy dobiegnie końca, przeniosą się do akademika swojej korporacji.

– No to jesteśmy – powiedział pan Mularkey.

Kate podeszła do rodziców i objęła ich, tworząc słynny uścisk rodziny Mularkeyów.

Tully nie przyłączyła się. Jakby o niej zapomniano.

– Jeju, Tully, chodź tutaj! – zawołała mama.

Tully podbiegła i wszyscy ją przytulili.

Potem przez godzinę rozpakowywali się, rozmawiali i robili zdjęcia. Wreszcie tata powiedział:

– Margie, już czas. Nie chcemy utknąć w korkach.

Nastąpiła kolejna fala uścisków. Kate przylgnęła do matki, walcząc ze łzami.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała pani Mularkey. – Zaufaj swoim marzeniom. Ty i Tully zostaniecie najlepszymi reporterkami, jakie wydał ten stan. Jesteśmy z was z tatą tacy dumni.

Kate pokiwała głową i spojrzała na mamę przez gorące łzy.

– Kocham cię, mamo.

Dla niej to pożegnanie trwało o wiele za krótko.

– Będziemy dzwonić w każdą niedzielę! – zawołała za nimi Tully. – Zaraz po tym, jak wrócicie z kościoła.

I już ich nie było.

Tully wskoczyła na łóżko.

– Ciekawa jestem, jak będzie wyglądać nabór. Założę się, że każdy akademik będzie nas chciał. No bo jak inaczej?

– Ciebie tak – odpowiedziała cicho Kate i po raz pierwszy od miesięcy poczuła się jak tamta dziewczyna, którą wiele lat temu nazywali Kootie, ta w okularach jak denka butelek i w przykrótkich dżinsach Sears. Nieważne, że teraz nosiła soczewki kontaktowe, nie potrzebowała już aparatu i nauczyła się nakładać makijaż tak, by podkreślał jej urodę. Dziewczyny z korporacji studentek od razu ją przejrzą.

Tully usiadła.

– Wiesz, że nie dołączę do żadnej korporacji, jeśli nie trafimy do niej razem, prawda?

– Ale to nie fair wobec ciebie. – Kate podeszła do łóżka i usiadła obok przyjaciółki.

– Pamiętasz Firefly Lane? – powiedziała Tully, ściszając głos.

Przez lata te słowa stały się hasłem, rodzajem wytrycha do wspólnych wspomnień. To był ich sposób mówienia sobie, że przyjaźń, która narodziła się, gdy miały czternaście lat – wtedy, gdy modny był David Cassidy i jedna piosenka wystarczała, by się popłakać – będzie trwać zawsze.

– Nie zapomniałam.

– Ale nie rozumiesz – stwierdziła Tully.

– Czego nie rozumiem?

– Kiedy moja mama mnie porzuciła, kto był przy mnie? Gdy moja babcia umarła, kto trzymał mnie za rękę i przyjął do siebie? Ty. I to jest odpowiedź. Jesteśmy drużyną. Przyjaciółkami na zawsze, bez względu na wszystko. Okej? – Szturchnęła Kate, sprawiając, że ta się uśmiechnęła.

– Zawsze stawiasz na swoim.

Tully się roześmiała.

– Oczywiście, że tak. To jedna z moich najbardziej ujmujących cech. A teraz skupmy się na tym, w co się ubrać w ten pierwszy dzień…

Uniwersytet Waszyngtoński w Seattle spełnił wszystkie oczekiwania Tully. Kompleks rozciągał się na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych i składał z setek neogotyckich budynków, tworząc odrębny świat. Ten ogrom przerażał Kate, ale nie Tully, która uznała, że jeśli odniesie sukces tutaj, to zdoła odnieść go wszędzie. Gdy tylko wprowadziły się do akademika, zaczęła się przygotowywać do pracy reporterki telewizyjnej. Poza wybraniem głównych przedmiotów na wydziale mediów czytała co najmniej cztery gazety dziennie i oglądała tyle wiadomości, ile mogła. Gdy nadejdzie przełomowy moment, będzie gotowa.

Większość czasu w pierwszych kilku tygodniach studiów zajęło jej oswajanie się i zorientowanie, jak powinna wyglądać wstępna faza jej uniwersyteckiego planu. Spotykała się z doradcą studentów wydziału mediów tyle razy, że on czasem starał się jej unikać, widząc ją na korytarzu, ale nic sobie z tego nie robiła. Jeśli miała pytania, chciała odpowiedzi.

Znowu przeszkodą był jej młody wiek. Nie mogła zapisać się na zaawansowane zajęcia z mediów czy dziennikarstwa. Żadne prośby ani perswazje nie były w stanie przyśpieszyć działania trybów biurokracji na stanowej uczelni. Tully musiała czekać na swoją kolej. A to przychodziło jej z trudem.

Przechyliła się na bok i szepnęła do Kate:

– Dlaczego trzeba zaliczyć jakiś przedmiot przyrodniczy? Nie trzeba znać geologii, żeby być reporterem.

– Ćśśś…

Tully zmarszczyła brwi i się wyprostowała. Były w Kane Hall, jednym z największych audytoriów w kampusie. Z miejsca w najwyższym rzędzie, w tłumie niemal pięciuset studentów, ledwo widziała profesora, który okazał się wcale nie profesorem, tylko jego asystentem.

– Możemy kupić notatki z wykładu. Chodźmy stąd. Redakcję gazety otwierają o dziesiątej.

Kate nawet na nią nie spojrzała, tylko dalej notowała. Tully jęknęła, odchyliła się do tyłu i skrzyżowała ramiona na znak dezaprobaty, czekając minuta po minucie na koniec zajęć. Gdy tylko zadzwonił dzwonek, zerwała się z miejsca.

– Dzięki Bogu. Lecimy.

Kate dokończyła notatki i zebrała wszystkie kartki, układając je po kolei w notatniku.

– Czy ty produkujesz ten papier? No chodź. Chcę złapać redaktora.

Kate wstała i zarzuciła sobie plecak na ramię.

– Nie dostaniemy pracy w redakcji gazety, Tully.

– Mama ci mówiła, żebyś porzuciła to negatywne podejście, pamiętasz?

Zeszły na dół i wmieszały się w głośny tłum studentów.

Na zewnątrz jaskrawe słońce oświetlało brukowane cegłami podwórze, zwane Placem Czerwonym. Pod biblioteką Suzzallo grupka długowłosych studentów zgromadziła się pod transparentem z hasłem: SPRZĄTNIJCIE PO ELEKTROWNI ATOMOWEJ HANFORD!

– A ty przestań skarżyć się mojej mamie, gdy coś nie idzie po twojej myśli – odparła Kate, gdy zmierzały ku skwerowi Quad. – Nie możemy zapisać się na zajęcia z dziennikarstwa, dopóki nie będziemy na trzecim roku.

Tully się zatrzymała.

– Naprawdę ze mną nie pójdziesz?

Kate uśmiechnęła się, idąc dalej.

– Nie dostaniemy tej pracy.

– Ale pójdziesz ze mną, prawda? Jesteśmy drużyną.

– Oczywiście, że pójdę.

– Wiedziałam. Tylko się ze mną drażniłaś.

Rozmawiały, przechodząc przez obsadzony wiśniowymi drzewkami i porośnięty bujną trawą skwer Quad. Dziesiątki studentów w kolorowych szortach i T-shirtach grało we frisebee i zośkę.

Przed redakcją gazety Tully się zatrzymała.

– Ja będę gadać.

– No co za niespodzianka, jestem w szoku.

Ze śmiechem weszły do środka, przedstawiły się jakiemuś rozczochranemu młodzieńcowi w recepcji i zostały skierowane do gabinetu redaktora.

Całe spotkanie nie trwało nawet dziesięciu minut.

– Mówiłam ci, że jesteśmy za młode – powiedziała Kate, gdy wracały do akademika.

– Spadaj. Czasami myślę, że ty chyba w ogóle nie chcesz zostać reporterką.

– To absolutne kłamstwo. Ty nie myślisz nigdy.

– Świnia.

– Wiedźma.

Kate objęła przyjaciółkę.

– Chodź, Barbaro Walters, odprowadzę cię do domu.

Tully była tak przygnębiona rozmową w redakcji gazety, że Kate przez resztę dnia starała się poprawić jej humor.

– No już – powiedziała po paru godzinach, w ich malutkim pokoju w akademiku. – Przygotujmy się. Na pewno chcesz wyglądać jak najlepiej na toga party.

– Co mnie obchodzi jakaś głupia przebierana impreza? Chłopak z akademika to nie jest mój ideał.

Kate stłumiła uśmiech. Wszystko w Tully było ekstremalne – zarówno radość, jak i smutek. Pobyt na uniwersytecie jeszcze pogłębił tę tendencję. Zabawny był fakt, że ten olbrzymi i zatłoczony kampus podkreślał ekstrawagancje Tully, natomiast na Kate miał przeciwny, uspokajający wpływ. Z każdym dniem czuła się silniejsza, coraz bardziej gotowa do tego, by stać się dorosła.

– Prawdziwa z ciebie królowa dramatu. Pozwolę ci zrobić mi makijaż.

Tully podniosła wzrok.

– Naprawdę?

– To oferta ograniczona czasowo. Lepiej rusz tyłek.

Tully zerwała się, chwyciła Kate za rękę i pociągnęła ją korytarzem do łazienki, gdzie mnóstwo dziewcząt brało prysznic, wycierało się i suszyło włosy.

Poczekały na swoją kolej, wzięły prysznic i wróciły do pokoju. Na szczęście pozostałych dwóch współlokatorek nie było. W maleńkiej przestrzeni, wypełnionej toaletkami, biurkami i piętrowym łóżkiem dla studentek starszych lat, ledwo mogły się obrócić. Ich wąskie jednoosobowe łóżka stały na dużej werandzie w głębi korytarza.

Tully niemal godzinę zajmowała się ich włosami i makijażem, a potem wyciągnęła materiał, który kupiły na swoje togi – złoty dla Tully i srebrny dla Kate, i wyczarowała dwa stroje, które przytrzymywały w miejscu cieniutkie paski i broszki zdobione górskimi kryształami.

Kate przyjrzała się swojemu odbiciu, gdy skończyły. Błyszczący srebrny materiał podkreślał jej jasną cerę, złote włosy i zieleń oczu. Po tych wszystkich latach w roli dziwadła nadal bywała zaskoczona tym, że potrafi nieźle wyglądać.

– Jesteś geniuszem – powiedziała.

Tully obróciła się przed lustrem.

– Jak wyglądam?

Złota toga podkreślała jej bujny biust i wąską talię, a burza kręconych, natapirowanych i polakierowanych mahoniowych włosów spływała na ramiona, jak u Jane Fondy w *Barbarelli*. Niebieski cień i grube czarne kreski na powiekach sprawiały, że wyglądała egzotycznie.

– Wyglądasz fantastycznie – powiedziała Kate. – Chłopaki padną trupem.

– Przywiązujesz za dużą wagę do miłości. To pewnie przez te wszystkie romanse, które czytasz. To jest nasz wieczór. Pieprzyć chłopaków.

– Nie chcę ich pieprzyć, ale na randkę to bym poszła.

Tully złapała Kate za rękę i wyprowadziła ją na korytarz, pełen roześmianych i rozgadanych dziewczyn na różnych etapach ubierania się. Biegały we wszystkie strony z lokówkami, suszarkami i prześcieradłami. Na dole we wspólnym salonie jedna z dziewcząt uczyła inne, jak tańczyć disco.

Na zewnątrz Kate i Tully dołączyły do tłumu. W tę łagodną wrześniową noc było tam pełno ludzi. Większość korporacji studenckich organizowała imprezy. Były dziewczyny w kostiumach, w zwykłych ubraniach oraz półnagie, a wszystkie zmierzały ze swoimi koleżankami do różnych akademików.

Siedziba bractwa Phi Delt była duża oraz przysadzista i stanowiła dość nowoczesną mieszankę szkła, metalu i cegieł. Budynek zajmował narożnik ulic. Ściany wewnątrz były obdrapane, meble połamane, obdarte i brzydkie, a wystrój przypominał więzienie z lat pięćdziesiątych. Ale z powodu tłoku nie było tego widać.

Goście, ściśnięci jak sardynki, pili piwo z plastikowych kubków i kołysali się do muzyki. *Shout!* – zaryczało z głośników i wszyscy dołączyli, śpiewając i podskakując do rytmu.

A little bit softer now…

Ludzie przykucnęli, zamarli, a potem unieśli ręce i poderwali się z głośnym śpiewem.

Tully, jak zawsze gdy tylko znalazła się na imprezie, od razu dołączyła do zabawy. Natychmiast zniknęły groźba depresji, pełen wahania uśmiech, niepokój związany ze stratą pracy. Kate patrzyła na nią z podziwem; jej przyjaciółka od razu przykuła uwagę wszystkich.

– *Shout*! – zawołała Tully głośno i ze śmiechem.

Chłopcy przysuwali się coraz bliżej, niczym ćmy ciągnące do ognia, lecz Tully ich nie zauważała. Wpadła na parkiet, ciągnąc

za sobą Kate.

Kate od lat się tak dobrze nie bawiła.

Gdy zatańczyła w grupie do *Brick House*, *Twistin' the Night Away* i *Louie Louie*, była zgrzana i spocona.

– Zaraz wracam – zawołała do Tully, która pokiwała głową, i wyszła na zewnątrz, by przysiąść na niskim ceglanym murku otaczającym posesję. Chłodne nocne powietrze owiewało jej spoconą twarz. Zamknęła oczy i zakołysała się do muzyki.

– Wiesz, że impreza jest tam, w środku?

Otworzyła oczy.

Chłopak, który to powiedział, był wysoki, barczysty i miał włosy w kolorze pszenicy, które opadały mu na intensywnie niebieskie oczy.

– Mogę się dosiąść?

– Pewnie.

– Jestem Brandt Hanover.

– Kate Mularkey.

– To twoja pierwsza impreza w bractwie?

– Aż tak widać?

Uśmiechnął się, co sprawiło, że z przystojniaka zamienił się w bóstwo.

– Tylko trochę. Pamiętam swój pierwszy rok tutaj. Jakbym wylądował na Marsie. Pochodzę z Moses Lake – dodał, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Małe miasteczko?

– Kropka na mapie.

– To faktycznie jest trochę przytłaczające.

I rozmowa się potoczyła. Mówił o rzeczach, do których potrafiła się odnieść. Dorastał na farmie, karmił krowy przed świtem, woził siano ciągnikiem ojca, gdy miał trzynaście lat. Wiedział, co znaczy uczucie, jakby się człowiek jednocześnie

zgubił i odnalazł w miejscu tak wielkim i przestronnym jak Uniwersytet Waszyngtoński.

Muzyka się zmieniła. I stała głośniejsza. To było *Dancing Queen* Abby.

Tully wybiegła z budynku.

– Kate! – zawołała roześmiana. – Tu jesteś.

Brandt natychmiast wstał.

Tully zmarszczyła brwi.

– A to kto?

– Brandt Hanover.

Kate wiedziała dokładnie, co się zaraz stanie. Z powodu tego, co przydarzyło się Tully lata temu w ciemnym lesie nad rzeką, nie ufała chłopakom, nie chciała mieć z nimi nic wspólnego i starała się chronić Kate przed zranieniem i złamanym sercem. Tyle że Kate się wcale nie bała. Chciała randkować, bawić się i może nawet zakochać. Ale jak miała to powiedzieć, skoro Tully próbowała ją przecież tylko chronić?

Przyjaciółka chwyciła Kate za rękę i pociągnęła do siebie.

– Przykro mi, Brandt – powiedziała, śmiejąc się odrobinę zbyt głośno, gdy zabierała Kate. – Ale to nasza piosenka.

– Widziałam Brandta w HUB-ie. Uśmiechnął się do mnie.

Tully powstrzymała się od przewrócenia oczami. W ciągu sześciu miesięcy od tamtej toga party w Phi Delta Kate co najmniej raz dziennie wspominała o Brandcie Hanoverze. Jego imię padało tak często, że można by pomyśleć, że ze sobą chodzą.

– Niech zgadnę: pewnie udawałaś, że go nie zauważasz.

– Odwzajemniłam uśmiech.

– No, no. Historyczny dzień.

– Pomyślałam, żeby zaprosić go na wiosenne tańce. Moglibyśmy zrobić podwójną randkę.

– Muszę napisać artykuł o ajatollahu Chomeinim. Nauczyłam się już, że jeśli wysyłam do gazety teksty, to zawsze w końcu coś publikują. Nie zaszkodziłoby, jakbyś ty się trochę bardziej postarała…

Kate odwróciła się do przyjaciółki.

– Dość tego. Wypowiadam naszą przyjaźń. Wiem, że życie towarzyskie cię nie interesuje, ale mnie tak. Jeśli nie pójdziesz…

Tully się roześmiała.

– Dałaś się nabrać!

Kate też nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Świnia.

Objęła Tully ramieniem. Razem ruszyły porośniętym kępkami trawy chodnikiem Dwudziestej Pierwszej w kierunku kampusu. Przy budce wartownika Kate powiedziała:

– Ja idę do Meany. A ty?

– Na wydział telewizyjny.

– No właśnie! Twoje pierwsze zajęcia z dziennikarstwa telewizyjnego – i do tego z tym słynnym facetem, którego prześladujesz, odkąd się tu znalazłyśmy.

– Z Chadem Wileyem.

– Ile listów musiałaś napisać, żeby się dostać?

– Z tysiąc. A ty powinnaś chodzić tam ze mną. Obie potrzebujemy tych zajęć.

– Zapiszę się na nie na trzecim roku. Odprowadzić cię?

Tully uwielbiała swoją przyjaciółkę. Kate domyślała się, że pomimo pozorów odwagi Tully się denerwuje. Wszystko, co sobie wymarzyła, mogło się rozpocząć tego właśnie dnia.

– Nie, dzięki. Jak miałabym zrobić swoje wielkie wejście z kimś u boku?

Patrzyła, jak Kate odchodzi. Stojąc tam, sama pośród tłumu studentów kręcących się między budynkami, wzięła głęboki, relaksujący wdech, próbując się uspokoić. Musiała wyglądać na opanowaną.

Pewnym krokiem minęła fontannę Frosh Pond i weszła do budynku Wydziału Telewizji, żeby najpierw pójść do łazienki. Tam zatrzymała się przed lustrami. Jej kręcone, polakierowane włosy były idealne, podobnie jak makijaż. Obcisłe, rozszerzane na dole dżinsy i lśniąca biała tunika ze stójką i złotym paskiem sprawiały, że wyglądała jednocześnie atrakcyjnie i profesjonalnie.

Gdy zadzwonił dzwonek, pośpieszyła korytarzem. Plecak odbijał się od jej pośladków przy każdym kroku. W audytorium Tully zeszła śmiało na sam dół i usiadła w pierwszym rzędzie.

Profesor siedział niedbale przed widownią na metalowym krześle.

– Jestem Chad Wiley – powiedział seksownym, lekko ochrypłym głosem. – Ci, którzy kojarzą moje nazwisko, dostaną piątki.

Na sali rozległy się nieśmiałe śmiechy. Tully śmiała się najgłośniej. Kojarzyła nie tylko jego nazwisko. Znała cały życiorys. Prosto po college'u niczym cudowne dziecko rozpoczął karierę w telewizji. Szybko awansował, przed trzydziestką został głównym prezenterem sieci. A potem tak po prostu to stracił. Parę razy prowadził po spożyciu, spowodował wypadek, w którym złamał obie nogi i zranił dziecko, i jego gwiazda zgasła. Przez kilka lat było o nim zupełnie cicho, a potem wypłynął jako wykładowca na Uniwersytecie Waszyngtońskim.

Wiley wstał. Jego długie, ciemne włosy były rozczochrane, szpakowatego zarostu nie golił od co najmniej trzech dni, ale nic nie mogło przyćmić błysku inteligencji w jego oczach. Wciąż miał w sobie jakąś wielkość. Nic dziwnego, że odniósł sukces.

Podał Tully program zajęć i kontynuował.

– Pański materiał o sprawie Karen Silkwood był bardzo inspirujący – powiedziała z szerokim uśmiechem.

Zawahał się i spojrzał na nią. Było coś niepokojącego w jego spojrzeniu – intensywnym, ale tylko przez sekundę; jak włączona i wyłączona wiązka lasera – ale potem minął ją i podszedł do następnego studenta. Pomyślał pewnie, że jest kolejną lizuską z pierwszego rzędu, która chce się wkupić w łaski wykładowcy. Musi być ostrożniejsza. Nic nie liczyło się teraz dla niej bardziej niż zaimponowanie Chadowi Wileyemu. Zamierzała nauczyć się od niego wszystkiego, czego się da.

CZĘŚĆ II

Lata osiemdziesiąte

Love is a Battlefield

heartache to heartache,
we stand

9

Pod koniec drugiego roku studiów Tully nie miała już wątpliwości, że Chad Wiley powinien się na niej poznać. Chodziła do niego na dwa wykłady: Dziennikarstwo telewizyjne I i II. Słuchała, co mówił, i robiła, czego chciał. Błyskawicznie. Z pełnym zaangażowaniem.

Problem polegał na tym, że on zdawał się nie dostrzegać jej talentu. Spędzili niemal cały zeszły tydzień na czytaniu wiadomości z promptera. Za każdym razem, gdy kończyła, natychmiast przenosiła wzrok na niego, ale on nie odrywał oczu od swoich notatek. Wydawał ocenę w taki sposób, jakby niechętnie zdradzał przepis namolnej sąsiadce, a potem wołał: „Następny".

Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, zajęcia po zajęciach Tully czekała, aż Wiley zareaguje na jej ewidentny talent, aż powie: „Jesteś gotowa na KVTS". Był już pierwszy tydzień maja. Zostało zaledwie sześć tygodni do końca drugiego roku, a ona nadal czekała.

W ciągu ostatnich dwóch lat w jej życiu mnóstwo się zmieniło. Ścięła włosy do ramion i zdecydowała się na grzywkę. Ikoną stylu nie była już dla niej Farrah Fawcett-Majors, tylko Jessica Savitch. Rok 1980 był jak stworzony dla Tully: trwała, jaskrawy makijaż, lśniące tkaniny i poduszki na ramionach. Bezbarwność i styl grzecznej studentki nie były dla niej. Gdy gdzieś wchodziła, ludzie natychmiast ją zauważali.

Oczywiście poza Chadem Wileyem.

Ale to miało się zmienić. Tym razem Tully była pewna. W zeszłym tygodniu wreszcie zebrała tyle punktów, że mogła się ubiegać o letni staż w KVTS, lokalnej stacji telewizyjnej, która mieściła się w kampusie. Wstała o szóstej, żeby jej imię pojawiło się na liście obecności na samej górze. Gdy dano jej próbny tekst, wróciła do domu i ćwiczyła go nieustannie, próbując kilkunastu różnych sposobów, aż znalazła ton głosu, który idealnie odpowiadał brzmieniu tej historii. Wczoraj wygrała przesłuchanie. Była tego pewna. A teraz pora się dowiedzieć, jakie stanowisko udało jej się zdobyć na stażu.

– Jak wyglądam?

Kate nie oderwała wzroku od *Ptaków ciernistych krzewów*.

– Cudownie.

Tully poczuła irytację, co ostatnio coraz częściej się zdarzało. Czasem wystarczyło, że spojrzała na Kate, i już czuła, że rośnie jej ciśnienie. Miała ochotę na nią nakrzyczeć.

Problemem była miłość. Kate spędziła cały pierwszy rok, rozmyślając o tym Brandcie z kiepską fryzurą. Gdy w końcu się umówili, okazał się porażką i sprawa szybko się skończyła. Ale Kate to nie zraziło. Większość drugiego roku chodziła z Tedem, który ją ponoć kochał, a potem z Erikiem, o którym na pewno nie można było tego powiedzieć. Kate biegała z jednej imprezy w akademiku na drugą i choć nigdy nie zakochała się w żadnym z matołów, z którymi randkowała – i nie uprawiała z nimi seksu – to nieustannie o nich mówiła. Niemal każde jej zdanie zaczynało się ostatnio od imienia jakiegoś chłopaka. Co gorsza, prawie nie wspominała o zajęciach dziennikarskich. Wydawała się zupełnie zadowolona z zajęć na innych wydziałach. Gdy którakolwiek z jej koleżanek z korporacji się zaręczyła, Kate biegła, by być częścią tłumku, który zachwycał się pierścionkiem.

Tully naprawdę robiło się od tego niedobrze. Pisała artykuły, których uczelniana gazetka nie chciała publikować, i kręciła się po akademickiej stacji telewizyjnej, gdzie nikt nie zwracał na nią uwagi, a wobec całej tej porażki, gdy naprawdę przydałaby jej się najlepsza przyjaciółka, Kate potrafiła tylko narzekać na swojego ostatniego chłopaka.

– Nawet nie spojrzałaś.

– Nie muszę.

– Nie wiesz, jakie to dla mnie ważne.

Kate wreszcie podniosła wzrok.

– Ćwiczyłaś jeden tekst przez dwa tygodnie. Nawet kiedy wstawałam w nocy się wysikać, to słyszałam, jak go powtarzasz. Wierz mi, naprawdę wiem, jaka z ciebie psycholka.

– To dlaczego tak to olewasz?

– Wcale nie olewam. Tylko wiem, że dostaniesz najlepsze stanowisko.

Tully się uśmiechnęła.

– Dostanę, prawda?

– Oczywiście. Jesteś cholernie dobra. Zostaniesz pierwszą studentką trzeciego roku na wizji.

– Profesor Wiley będzie to wreszcie musiał przyznać. – Tully chwyciła plecak i zarzuciła go sobie na ramię. – Pójdziesz ze mną?

– Nie mogę. Spotykam się z Joshem, będziemy się uczyć w grupie w bibliotece Suzzallo.

– To chyba najgorsza możliwa odmiana randki, ale o gustach się nie dyskutuje. – Tully porwała okulary przeciwsłoneczne z komody i już jej nie było.

Kampus skąpany był w chłodnym popołudniowym majowym słońcu. Kwitły wszystkie drzewa i krzewy, a trawa była tak gęsta i bujna, że przypominała płachty zielonego aksamitu starannie ułożone pomiędzy pasami betonu. Tully szła pewnym

krokiem przez miasteczko uniwersyteckie do budynku, w którym mieściła się KVTS. Tam zatrzymała się na chwilę, by wygładzić polakierowane włosy, a potem weszła do cichego, praktycznie urządzonego holu. Po lewej znajdowała się tablica pełna ogłoszeń. „Poszukiwany współlokator: tylko jarający" brzmiało pierwsze, które przyciągnęło spojrzenie Tully. Zauważyła, że wszystkie paski z numerem telefonu zostały oderwane, natomiast ogłoszenie obok pozostało nietknięte („Poszukiwany współlokator: najlepiej z ruchu odnowy ekumenicznej").

Pokój nr 214 był zamknięty. Spod drzwi nie padało nawet światło. Do tablicy obok przypięto kartkę.

WAKACYJNY STAŻ: STANOWISKO/DZIAŁ
Prezentacja wiadomości ..... Steve Landis
Pogoda ..... Jane Turner
Marketing & PR ..... Gretchen Lauber
Sport ..... Dan Bluto
Zebrania redakcyjne ..... Eileen Hutton
Analiza i weryfikacja źródeł ..... Tully Hart

Tully poczuła najpierw rozczarowanie, a potem gniew. Gwałtownie otworzyła drzwi i wsunęła się do pustego audytorium, gdzie nikt nie mógł jej zobaczyć, mamrocząc: „Chadzie Wiley, ty żałosny cieniasie. Nie rozpoznałbyś talentu, nawet gdyby złapał cię za twojego malutkiego fiutka i ścisnął…".

– Domyślam się, że masz na myśli mnie.

Aż podskoczyła na dźwięk jego głosu.

Stał w cieniu kilka metrów od niej. Jego ciemne włosy były jeszcze bardziej potargane niż zwykle. Opadały w poskręcanym

niełądzie na ramiona. Podszedł bliżej, przesuwając palcami po oparciu krzesła po prawej.

– Zapytaj, dlaczego nie masz stażu w wieczornych wiadomościach, a ja ci odpowiem.

– W ogóle mnie to nie obchodzi.

– Doprawdy? – Patrzył na nią przez chwilę bez uśmiechu, a potem ruszył przejściem w kierunku sceny.

Mogła albo zachować dumę, albo zaryzykować swoją przyszłość. Zanim podjęła decyzję i popędziła za nim, był już za sceną.

– Okej… – Słowa jakby utknęły jej w gardle. – Dlaczego?

Zrobił krok w jej stronę. Po raz pierwszy dostrzegła zmarszczki na jego twarzy, bruzdy na policzkach. Przyćmione światło z góry podkreślało wszystkie skazy, najmniejsze zagłębienie i znamię na jego skórze.

– Za każdym razem, gdy przychodzisz na zajęcia, wiem, że starannie dobrałaś ubranie i spędziłaś mnóstwo czasu nad fryzurą i makijażem.

Teraz na nią patrzył, teraz ją widział. A ona widziała jego. Pod zaniedbanym wyglądem dostrzegła mocny kościec, który czynił go kiedyś tak przystojnym. Ale to jego oczy ją zachwyciły; ten głęboki brąz i ukryty w nim smutek przemawiały wprost do pustki w jej wnętrzu.

– Tak. I?

– Wiesz, że jesteś piękna – powiedział.

Nie jąkał się, nie był zdesperowany. Był chłodny i opanowany. W przeciwieństwie do chłopców, których poznawała na imprezach w akademikach, w kampusie czy grających w bilard w knajpach, nie był podpity i napalony.

– Jestem też utalentowana.

– Może kiedyś będziesz.

Sposób, w jaki to powiedział, wkurzył ją. Próbowała wymyślić jakąś trafną ripostę, gdy on nagle się zbliżył. Miała czas wyjąkać tylko pełne zaskoczenia: „Co pan…”, zanim ją pocałował.

Dotyk jego warg, delikatny, ale stanowczy, sprawił, że miała wrażenie, jakby w jej wnętrzu zakwitł wyjątkowy i subtelny kwiat. I zupełnie bez powodu zaczęła płakać. Chad chyba poczuł jej łzy, bo cofnął się i zmarszczył brwi.

– Jesteś kobietą, Tully Hart, czy dziewczynką?

Wiedziała, o co pyta. Choć bardzo starała się ukrywać swą niewinność, wyczuł ją, poczuł jej smak.

– Kobietą – skłamała z ledwo słyszalnym wahaniem w pierwszej głosce. Wiedziała już, po tym jednym pocałunku, że jeśli chodzi o seks, to tamten żałosny gwałt w zagajniku niczego jej nie nauczył. Choć nie była dziewicą, była czymś jeszcze gorszym, zbiornikiem złych i bolesnych wspomnień, a mimo to w tej chwili, z nim, po raz pierwszy zapragnęła więcej.

To samo czuła tamtej nocy z Patem.

Nie. To było coś innego. Nie była już tamtą zdesperowaną, samotną dziewczyną, która gotowa była pójść w ciemny las, byle ktoś ją pokochał.

Wiley pocałował ją znowu, mrucząc: „To dobrze”. Tym razem pocałunek trwał i trwał, pogłębiał się, aż poruszył coś w jej wnętrzu i sprawił, że pragnienie zabolało. Gdy przylgnął do niej biodrami, rozpalając ogień pomiędzy jej udami, zdążyła zupełnie zapomnieć o strachu.

– Chcesz więcej? – szepnął.

– Tak.

Wziął ją na ręce i zaniósł na zapadniętą sofę w ciemnym kącie pod tylną ścianą. Ułożył ją na szorstkich, niewygodnych poduszkach i zaczął powoli i delikatnie rozbierać. Usłyszała, jakby z daleka, dźwięk rozpinanego stanika i ściąganych fig.

A Wiley cały czas ją całował, pobudzając płonący w niej ogień. Gdy już oboje byli nadzy, nachylił się i objął ją. Sprężyny ugięły się pod ich ciężarem, jęknęły w proteście.

– Nikt nie poświęcił ci czasu, co, Tully?

Zobaczyła odbicie własnego pożądania w jego oczach i po raz pierwszy nie bała się, będąc w ramionach mężczyzny.

– To właśnie masz zamiar robić, nie śpieszyć się?

Odsunął wilgotne włosy z jej twarzy.

– Nauczę cię różnych rzeczy, Tully. Czy nie tego właśnie ode mnie chciałaś?

Tully dopiero po dwóch godzinach znalazła Kate. Rozpoczęła poszukiwania od stołów do nauki w piwnicy akademika. Potem pokręciła się po wspólnym salonie i ich pokoju, zajrzała nawet na oszkloną werandę z łóżkami, choć o czwartej po południu w słoneczny majowy dzień pomieszczenie było oczywiście puste. Sprawdziła bibliotekę dla studentów college'u i ulubione w niej miejsce Kate, a potem czytelnię uniwersytecką, gdzie paru starszych studentów o wyglądzie hipisów zaczęło ją uciszać tylko dlatego, że przeszła między regałami. Już miała się poddać, gdy przypomniał jej się Aneks.

No jasne.

Pobiegła przez rozległy kampus do małego, piętrowego budynku o skośnym dachu, który nazywali Aneksem. Co kwartał szesnaście szczęśliwych dziewczyn ze starszego roku mogło przeprowadzić się tutaj z głównego akademika. To była najlepsza imprezownia. Żadnych opiekunek roku, nikogo, kto pilnowałby drzwi. Nigdzie indziej życie nie było tak bliskie tego, co czeka je, gdy już skończą studia.

Otworzyła frontowe drzwi i zawołała Kate. Z któregoś pokoju odpowiedział czyjś głos:

– Chyba jest na dachu.

Tully złapała kilka puszek napoju Tab z lodówki i weszła po schodach. W sypialni na końcu okno było otwarte. Wychyliła się przez nie i wyjrzała na dach wiaty poniżej. Kate była tam zupełnie sama, w skąpym, białym sznurkowym bikini. Leżała na plażowym ręczniku i czytała jakąś powieść w miękkiej oprawie. Tully wspięła się na parapet i przeszła po dachu wiaty, który nazywali Czarną Plażą.

– Hej – powiedziała, podając przyjaciółce puszkę. – Niech zgadnę. Czytasz romans.

Kate uniosła głowę i zmrużyła oczy w słońcu, uśmiechając się.

– *Obietnica* Danielle Steel. Naprawdę smutna.

– Chcesz posłuchać o prawdziwym romansie?

– Że niby ty coś o tym wiesz? Nie byłaś na żadnej randce, odkąd tu jesteśmy.

– Nie trzeba chodzić na randki, żeby uprawiać seks.

– Większość ludzi tak właśnie robi.

– Ale ja nie jestem większość. Przecież wiesz.

– Ta, pewnie – odparła Kate. – Mam uwierzyć, że ktoś cię przeleciał.

Tully chwyciła jeden z zostawionych przez kogoś ręczników i wyciągnęła się na nim. Starając się nie uśmiechać, wpatrzyła się w błękit nieba i powiedziała:

– I to trzy razy.

– Przecież miałaś tylko sprawdzić, co z letnim stażem… – Kate aż się zachłysnęła i usiadła. – Nie wierzę!

– Pewnie powiesz, że nie wolno nam uprawiać seksu z profesorami. Wydaje mi się, że to tylko zalecenie. Wskazówka. Ale i tak nikomu nie mów.

– Uprawiałaś seks z Chadem Wileyem.

Tully westchnęła z rozmarzeniem.

– Było totalnie odlotowo, Katie. Naprawdę.

– Kurczę! Co robiłaś? Co on robił? Bolało? Bałaś się?

– Bałam – odpowiedziała cicho Tully. – Na początku nie mogłam myśleć o niczym innym… wiesz… tylko o nocy z Patem. Myślałam, że mnie zemdli albo ucieknę, ale wtedy on mnie pocałował.

– I?

– I… jakbym się roztopiła. Zdjął ze mnie ubranie, zanim zdążyłam się zorientować.

– Bolało?

– Tak, ale nie tak jak wtedy. – Tully była zaskoczona, że nagle z taką łatwością potrafi mówić o nocy, w której została zgwałcona. Po raz pierwszy stało się to odległym wspomnieniem, czymś złym, co przydarzyło się jej jako dziecku. Delikatność Chada pokazała jej, że seks nie musi boleć, że może być piękny. – Po chwili czułam się wspaniale. Teraz już wiem, o czym są te wszystkie artykuły w „Cosmo”.

– Powiedział, że cię kocha?

Tully roześmiała się, ale w głębi duszy poczuła, że to wcale nie jest takie zabawne, jak by chciała.

– Nie.

– Cóż, tak lepiej.

– Dlaczego? Nie jestem dość dobra, żeby się we mnie zakochać? To zarezerwowane dla takich grzecznych katolickich dziewcząt jak ty?

– On jest twoim wykładowcą, Tully.

– Ach, to. Mnie to w ogóle nie obchodzi. – Spojrzała na przyjaciółkę. – Myślałam, że potraktujesz to wszystko jak historię z romansu i stwierdzisz, że brzmi bajkowo.

– Muszę go poznać – oznajmiła stanowczo Kate.

– Na podwójną randkę raczej się nie umówimy.

– W takim razie będę waszą przyzwoitką. Ej, on powinien mieć zniżkę dla emerytów w restauracji.

Tully się roześmiała.

– Suka.

– Suka, nie suka, chcę poznać więcej szczegółów. Chcę wiedzieć dosłownie wszystko. Mogę robić notatki?

Kate wysiadła z autobusu i stanęła na chodniku, żeby sprawdzić zapisany adres.

To było to miejsce.

Dokoła niej tłoczyli się ludzie. Kilka osób potrąciło ją, przechodząc obok. Kate wyprostowała plecy i ruszyła do drzwi. Nie powinna się denerwować tym spotkaniem – denerwowała się przez miesiąc, wiercąc o nie dziurę w brzuchu przyjaciółce. Niełatwo było skłonić Tully, żeby zgodziła się na ten dzisiejszy wieczór. Ale ostatecznie Kate wypowiedziała magiczne słowa: rzuciła hasło „Nie ufasz mi?”. Potem to już była tylko kwestia dogadania terminu.

I teraz, w ten ciepły wieczór, szła w kierunku przypominającego tawernę budynku, by wypełnić misję uratowania swojej najlepszej przyjaciółki przed popełnieniem największego błędu w życiu.

Sypianiem ze swoim profesorem.

Naprawdę, co dobrego mogło z tego wyniknąć?

W kawiarni Last Exit on Brooklyn Kate znalazła się w świecie zupełnie odmiennym od wszystkiego, co dotąd widziała. To miejsce było ogromne. Stolików było chyba siedemdziesiąt pięć – marmurowe wzdłuż ścian i duże proste z drewna pośrodku. Pianino na podwyższeniu i scena. Na ścianie obok pianina

zwrócił jej uwagę poszarzały, zwijający się plakat z poematem *Dezyderata*. „Przechodź spokojnie przez zgiełk i pośpiech i pamiętaj, jaki spokój znaleźć można w ciszy”[6].

Nie żeby były tu spokój czy cisza. Albo chociaż powietrze do oddychania.

Salę wypełniał gęsty, niebieskoszary dym, który zbierał się pod wysokim sufitem. Palili prawie wszyscy. Wszędzie poruszały się rozżarzone końcówki papierosów w palcach dłoni, które gestykulowały przy każdym słowie. W pierwszej chwili Kate nie dostrzegła żadnego pustego stolika; wszystkie zajmowali ludzie grający w szachy, czytający z kart tarota albo dyskutujący o polityce. Kilka osób siedziało na krzesłach wokół mikrofonu, strojąc gitary.

Przeszła między stolikami do narożnika w głębi. Przez otwarte drzwi dostrzegła następną salę wypełnioną stołami piknikowymi, wokół których siedziało, rozmawiało i paliło jeszcze więcej ludzi.

Tully zajmowała stolik schowany w ciemnym rogu. Gdy zobaczyła przyjaciółkę, wstała i pomachała. Kate minęła kobietę palącą papierosa z goździkami i wyszła zza kolumny. I wtedy go zobaczyła.

Chada Wileya.

Był zupełnie inny, niż się spodziewała. Siedział w swobodnej pozie na krześle, z jedną nogą wysuniętą przed siebie. Nawet w ciemności i dymie dostrzegła, jaki jest przystojny. W ogóle nie wyglądał staro. Raczej sprawiał wrażenie zmęczonego czy może znużonego światem. Jak starzejący się rewolwerowiec albo gwiazda rocka. Uśmiech, który do niej skierował, zaczął się powoli, od zmarszczek wokół oczu, a w tych oczach Kate dostrzegła wiedzę, która ją zaskoczyła, sprawiła, że dziewczyna się potknęła.

On wiedział, dlaczego ona tu jest: przybyła, by ratować swoją najlepszą przyjaciółkę przed błędem randkowania z niewłaściwym mężczyzną.

– Pewnie jesteś Chad – powiedziała.

– A ty musisz być Katie.

Wzdrygnęła się, słysząc niespodziewanie zdrobnienie swojego imienia. Wyraźne przypomnienie, że Chad też zna Tully.

– Siadaj – powiedziała Tully. – Zawołam kelnerkę. – Zerwała się i zniknęła, zanim Kate zdążyła ją powstrzymać.

Kate spojrzała na Chada; odwzajemnił spojrzenie i uśmiechnął się tak, jakby dzielili jakiś sekret.

– Ciekawe miejsce – powiedziała, żeby zagaić rozmowę.

– Jak tawerna bez piwa – odparł. – Miejsce, w którym można zmienić to, kim się jest.

– A myślałam, że zmiana zaczyna się od naszego wnętrza.

– Czasami. Ale czasami jest nam narzucana.

Te słowa sprawiły, że oczy mu pociemniały, jakby pod wpływem jakichś emocji. Kate przypomniała się nagle jego historię, błyskotliwą karierę i jej koniec.

– Zwolniliby cię, uniwersytet, gdyby się dowiedzieli o tobie i Tully, prawda?

Schował wysuniętą nogę i wyprostował się na krześle.

– Czyli tak chcesz to rozegrać. Dobrze. Lubię bezpośredniość. Tak, ta kariera też byłaby dla mnie skończona.

– Jesteś uzależniony od ryzyka?

– Nie.

– Spałeś już ze swoimi studentkami?

Roześmiał się.

– Raczej nie.

– Więc dlaczego?

Zerknął w bok na Tully, która stała przy zatłoczonym barze kawowym, próbując złożyć zamówienie.

– Akurat ty powinnaś to wiedzieć. Dlaczego jest twoją najlepszą przyjaciółką?

– Jest wyjątkowa.

– W rzeczy samej.

– A co z jej karierą? Nic z niej nie będzie, jeśli rozejdzie się wiadomość, że sypiała z tobą. Powiedzą, że zdobyła dyplom przez łóżko.

– Masz słuszność, Katie. Powinnaś o nią dbać. Potrzebuje tego. Jest… delikatna, ta nasza Tully.

Kate nie wiedziała, co irytuje ją bardziej – określenie Tully jako delikatnej czy sposób, w jaki powiedział „nasza Tully".

– Ona jest jak walec parowy. Nie bez powodu nazywam ją Huraganem Tully.

– To na zewnątrz. Na pokaz.

Kate odchyliła się do tyłu zaskoczona.

– Tobie naprawdę na niej zależy.

– Tym gorzej, jak przypuszczam. Co jej powiesz?

– O czym?

– Przyszłaś tutaj, bo szukasz sposobu przekonania jej, żeby już się ze mną nie spotykała, prawda? Na pewno możesz jej powiedzieć, że jestem za stary. Argument, że jestem jej profesorem, też się zawsze sprawdzi. Na wszelki wypadek dodam, że za dużo piję.

– Chcesz, żebym jej to wszystko powiedziała?

Spojrzał na nią.

– Nie. Nie chcę, żebyś jej to wszystko mówiła.

Za nimi rozczochrany młody mężczyzna w wyświechtanych spodniach podszedł do mikrofonu. Przedstawił się jako Kenny Gorelick i zaczął grać na saksofonie. Jego muzyka była bardzo żywiołowa i romantyczna; na chwilę umilkły wszystkie

rozmowy. Kate czuła, że melodia ją unosi, porywa ze sobą. Ale stopniowo muzyka stała się tłem i Kate znów spojrzała na Chada. Intensywnie się jej przyglądał. Rozumiała, jak wiele znaczy dla niego ta rozmowa i jak wiele znaczy dla niego Tully. To zupełnie odwróciło sytuację; była zaskoczona tą nagłą zmianą. Teraz siedziała tam i martwiła się, że przyjaciółka zniszczy tego człowieka, który naprawdę wyglądał tak, jakby nie miał dość siły, by znieść kolejny taki cios. Zanim zdołała odpowiedzieć na pytanie, które zadał, Tully wróciła, prowadząc za sobą kelnerkę o fioletowych włosach.

– To jak? – zapytała zdyszana, marszcząc brwi. – Zaprzyjaźniliście się już?

Chad pierwszy podniósł wzrok.

– Tak.

– Doskonale – powiedziała Tully, siadając mu na kolanach. – Kto chce szarlotkę?

Chad wysadził je dwie przecznice od akademika, na ciemnej ulicy otoczonej starymi pensjonatami. Mieszkali w nich tacy studenci, których zupełnie nie interesowało, co robią dziewczyny z akademika.

– Miło było cię poznać – powiedziała Kate, gdy wysiadła z auta.

Stała na chodniku, czekając, aż Tully skończy się z nim migdalić. Wreszcie przyjaciółka też wysiadła i pomachała na pożegnanie, gdy czarny ford mustang Chada odjeżdżał.

– No i? – zapytała nagle. – Przystojny jest, co?

Kate pokiwała głową.

– Owszem.

– I fajny, co?

– Zdecydowanie fajny. – Kate zaczęła iść, ale Tully chwyciła ją za rękaw, zatrzymała i obróciła ku sobie.

– Polubiłaś go?

– Oczywiście, że go polubiłam. Ma wspaniałe poczucie humoru.

– Ale?

Kate przygryzła wargę i znieruchomiała. Nie chciała urazić uczuć Tully ani jej wkurzyć, ale jaką byłaby przyjaciółką, gdyby skłamała? Prawda była taka, że polubiła Chada i uwierzyła, że naprawdę zależy mu na Tully, ale prawdą było też to, że miała złe przeczucia co do ich związku, a to spotkanie tylko je pogłębiło.

– No weź, Katie, zaczynam się bać.

– Nie chciałam nic mówić, Tully, ale skoro mnie zmuszasz… Myślę, że nie powinnaś się z nim spotykać. – Gdy tama została przerwana, słowa zaczęły się z Kate wylewać. – Po pierwsze, on ma trzydzieści jeden lat. Po drugie, ma byłą żonę i czteroletnią córkę, której w ogóle nie widuje. Nie możesz się z nim nigdzie pokazać, bo go zwolnią. Co to za związek? Marnujesz najlepsze lata.

Tully cofnęła się o krok.

– Marnuję najlepsze lata? Masz na myśli wygibasy w tahitańskich strojach i żłopanie piwa? Czy chodzenie na randki z takimi debilami, jakich ty wybierasz? Większość z nich ma inteligencję otoczaka.

– Może po prostu ustalmy, że się nie zgadzamy…

– Myślisz, że jestem z nim dla kariery, tak? Żeby co – dostać lepsze oceny czy posadę w telewizji?

– A nie jest tak? Chociaż trochę? – Kate od razu wiedziała, że nie powinna była tego mówić. – Przepraszam – powiedziała, wyciągając rękę do przyjaciółki. – Nie chciałam.

Tully się odsunęła.

– Oczywiście, że chciałaś. Panna Idealna z najlepszą rodziną i wspaniałymi ocenami. Nawet nie wiem, dlaczego się ze mną zadajesz, skoro jestem taką puszczalską karierowiczką.

– Czekaj! – zawołała Kate, ale Tully już nie było. Pobiegła w głąb ciemnej ulicy.

---

6 Max Ehrmann, tłum. Andrzej Jakubowicz.

10

Tully biegła całą drogę do przystanku przy Czterdziestej Piątej.

– Suka – burknęła, ocierając oczy.

Gdy nadjechał autobus, zapłaciła za bilet i wsiadła, powtórzywszy „Suka” jeszcze dwa razy, zanim znalazła wolne miejsce i je zajęła. Jak Kate mogła powiedzieć coś takiego?

– Suka – mruknęła znowu, ale tym razem słowo zabrzmiało jakoś smutno, jakby wymknęło się jej mimo woli.

Autobus zatrzymał się przecznicę od domu Chada. Pośpieszyła chodnikiem w kierunku niewielkiego budynku w stylu arts & crafts i zapukała do drzwi. Otworzył niemal natychmiast. Miał na sobie stare szare spodnie dresowe i T-shirt z Rolling Stones. Po sposobie, w jaki się uśmiechnął, rozpoznała, że się jej spodziewał.

– Hej, Tully.

– Zabierz mnie do łóżka – szepnęła gardłowo, wsuwając dłonie pod jego podkoszulek.

Przytulając się i całując, przeszli przez dom do małej sypialni. Tully była cały czas blisko niego, zamknięta w jego ramionach, całując go namiętnie. Nie patrzyła na niego, nie mogła, ale to nie miało znaczenia. Zanim opadli na łóżko, oboje byli nadzy i złaknieni.

Tully zatraciła siebie i swój ból w rozkoszy płynącej z jego dłoni i ust, a gdy skończyli i leżeli spleceni ze sobą, starała się nie myśleć o niczym poza tym, ile dał jej przyjemności.

– Chcesz o tym pogadać?

Spojrzała na gładki, wysoki sufit, który znała już równie dobrze jak własne sny.

– Co masz na myśli?

– Daj spokój, Tully.

Przewróciła się na bok i popatrzyła na niego, podpierając głowę na ręce.

Pogładził ją delikatnie po twarzy.

– Pokłóciłyście się z Kate o mnie, a ja wiem, jak bardzo liczysz się z jej opinią.

Zaskoczyły ją te słowa, chociaż nie powinny. Odkąd ze sobą sypiali, stopniowo się przed nim odkrywała. To się zaczęło przypadkowo, jakaś uwaga po seksie czy po alkoholu, a potem już poszło. Tully czuła się bezpieczna w jego łóżku, wolna od jakichkolwiek osądów i cenzury. Byli kochankami, którzy się nie kochali, a to ułatwiało mówienie. Ale teraz zrozumiała, że on słuchał tego jej paplania i stworzył sobie ze słów cały obraz. Ta świadomość sprawiła, że nagle poczuła się o wiele mniej samotna i choć to też ją przerażało, nic nie mogła poradzić na to, że niesie jej pociechę.

– Ona uważa, że to błąd.

– Bo to jest błąd, Tully. I oboje to wiemy.

– Nieważne – powiedziała gwałtownie, ocierając oczy. – Jest moją najlepszą przyjaciółką. Powinna mnie wspierać bez względu na wszystko – głos jej się załamał przy ostatnich słowach, słowach obietnicy, którą złożyły sobie lata temu.

– Ona ma rację, Tully. Powinnaś jej posłuchać.

Usłyszała coś w jego głosie, ledwo słyszalne drżenie, które sprawiło, że głębiej spojrzała mu w oczy. Dostrzegła w nich smutek, który ją zdezorientował.

– Jak możesz tak mówić?

– Zakochuję się w tobie, Tully, a wolałbym nie. – Uśmiechnął się niezbyt wesoło. – Nie bądź taka przerażona. Wiem, że nie

wierzysz w miłość.

Przytłoczył ją ciężar tej prawdy, która sprawiła, że poczuła się nagle staro.

– Może kiedyś uwierzę. – Chciała wierzyć przynajmniej w to.

– Mam nadzieję. – Pocałował ją delikatnie w usta. – I co zamierzasz zrobić z Kate?

– Ona nie będzie ze mną rozmawiać, mamo. – Kate oparła się o tapicerowaną ściankę małego kącika zwanego pokojem telefonicznym. W niedzielne popołudnie musiała czekać niemal godzinę na dostęp do aparatu.

– Wiem. Po prostu przy niej bądź.

Tully oczywiście już dzwoniła. Kate nie wiedziała dlaczego, ale zirytowało ją to. Usłyszała w słuchawce charakterystyczny dźwięk zapalanego papierosa.

– Co ci powiedziała?

– Że nie lubisz jej chłopaka.

– To wszystko?

Kate musiała być ostrożna. Gdyby mama dowiedziała się, ile Chad ma lat, wściekłaby się, a Tully dopiero by się wkurzyła, gdyby pomyślała, że to Kate nastawiła mamę przeciwko niej.

– A jest coś jeszcze?

– Nie – zapewniła szybko Kate. – Ale to z jej strony błąd, mamo.

– I mówi ci to twoje bogate doświadczenie z mężczyznami?

– Nie poszła na ostatnią imprezę, bo on nie chciał. Przegapi całe studenckie życie.

– Naprawdę myślałaś, że Tully będzie przeciętną dziewczyną z akademika? Daj spokój, Katie. Ona… jest żywiołowa. Pełna marzeń. Tobie zresztą nie zaszkodziłaby odrobina tego ognia.

Kate przewróciła oczami. Zawsze te subtelne – i niezbyt subtelne – sugestie, żeby była jak Tully.

– Nie rozmawiamy teraz o mojej przyszłości, mamo. Skup się.

– Mówię tylko…

– Słyszałam. To co mam robić? Ona mnie totalnie unika. Starałam się być dobrą przyjaciółką.

– Czasem bycie dobrą przyjaciółką polega na milczeniu.

– Mam po prostu patrzeć, jak popełnia błąd?

– Czasami tak. A potem pomożesz pozbierać okruchy. Tully to taka silna osobowość. Łatwo zapomnieć, jaką ma przeszłość i jak łatwo ją zranić.

– To co mam robić?

– Tylko ty potrafisz na to odpowiedzieć. Już od dawna nie jestem twoim Świerszczem Jiminim.

– Nie będzie już przemów o życiu, hę? Cudownie. Akurat kiedy tak by mi się jedna przydała.

Ze słuchawki dobiegł ją syk wypuszczanego dymu.

– Wiem, że będzie w montażowni w KVTS o pierwszej.

– Jesteś pewna?

– Tak powiedziała.

– Dzięki, mamo. Kocham cię.

– Też cię kocham.

Kate rozłączyła się i pobiegła do pokoju, żeby szybko się ubrać i umalować. Przede wszystkim korektor, głównie po to, by ukryć pryszcze, które wyskoczyły jej na całym czole po ich kłótni.

W rekordowym czasie przemierzyła kampus. To nie było trudne, bo pod koniec trymestru ludzie uczyli się do egzaminów. Pod drzwiami telewizji Kate zatrzymała się i przygotowała wewnętrznie do bitwy, a potem weszła do środka.

Znalazła Tully dokładnie tam, gdzie mówiła mama: zgarbioną nad monitorem, tnącą surowy materiał filmowy i wywiady. Gdy Kate weszła, przyjaciółka podniosła wzrok.

– Proszę, proszę – zaprosiła, wstając. – Moralna wyższość we własnej osobie.

– Przepraszam – powiedziała Kate.

Wyraz twarzy Tully zmienił się w tym samym momencie. Jakby wstrzymywała oddech i nagle odetchnęła.

– Zachowałaś się jak prawdziwa suka.

– Nie powinnam była tego mówić. Tylko że… nigdy niczego przed sobą nie ukrywałyśmy.

– To znaczy, że popełniałyśmy błąd. – Tully przełknęła ślinę i spróbowała się uśmiechnąć, ale jej nie wyszło.

– Za nic nie chciałam cię zranić. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Przepraszam.

– Przysięgnij, że to się nigdy nie powtórzy. Że żaden facet już nigdy między nami nie stanie.

– Przysięgam. – Kate powiedziała to z największą powagą. Choćby miała sobie odciąć język. Ich przyjaźń była ważniejsza niż jakikolwiek związek. Faceci będą przychodzić i odchodzić, a przyjaciółki są na zawsze. Wiedziały o tym. – Teraz ty.

– To znaczy?

– Przysięgnij, że już nigdy nie zostawisz mnie bez słowa. Te ostatnie trzy dni były koszmarem.

– Przysięgam.

Tully nie wiedziała, jak to się stało, ale sypianie z profesorem przerodziło się w prawdziwy romans. Gorący. Może Kate miała rację i to rzeczywiście rozpoczęło się dla niej jako krok

w karierze; już nawet nie pamiętała. Wiedziała tylko, że w jego ramionach czuje zadowolenie, a to było dla niej nowe uczucie.

I oczywiście był też jej mentorem. W trakcie wspólnie spędzanego czasu uczył ją rzeczy, których samodzielne poznanie zajęłoby jej całe lata.

Co ważniejsze, pokazał jej, na czym polega uprawianie miłości. Jego łóżko stało się jej przystanią, a jego ramiona kołem ratunkowym. Gdy go całowała i pozwalała mu dotykać się w niewyobrażalnie intymny sposób, zapominała, że nie wierzy w miłość. Jej pierwszy raz, wtedy, w tamtym ciemnym lesie w Snohomish, blakł w jej pamięci coraz bardziej z każdym dniem, aż pewnego razu odkryła, że już go w sobie nie nosi. Zawsze pozostanie jej częścią, szramą na duszy, lecz jak wszystkie blizny z czasem stracił jaskrawoczerwoną, palącą barwę i stał się cienką srebrzystą linią, widoczną tylko czasami.

Lecz nawet to wszystko, to wszystko, co jej pokazał i co jej dał Chad, przestawało wystarczać. Gdy nadszedł pierwszy trymestr ostatniego roku, wysublimowany akademicki świat zaczął ją irytować. CNN zmieniało oblicze telewizji. Gdzieś tam w prawdziwym świecie coś się działo, coś ważnego. John Lennon został zastrzelony pod swoim nowojorskim apartamentem; mężczyzna o nazwisku Hinckley postrzelił prezydenta Reagana w żałosnej próbie zaimponowania Jodie Foster; Sandra Day O'Conner została pierwszą kobietą w Sądzie Najwyższym, a Diana Spencer wyszła za mąż za księcia Karola podczas ceremonii tak bajkowej, że przez całe lato każda amerykańska dziewczyna wierzyła w miłość i szczęśliwe zakończenia. Kate tak często i z takimi szczegółami opowiadała o tym ślubie, jakby osobiście brała udział w uroczystości.

To wszystko było tematem newsów, gdy Tully wciąż jeszcze się uczyła, więc działo się to jakby poza nią. Och, oczywiście, pisała artykuły do studenckiej gazety i czasami zdarzało jej się

odczytać zdanie czy dwa na antenie, ale to były pozory, zaledwie rozgrzewki przed grą, w którą nie wolno jej było jeszcze grać.

Pragnęła wypłynąć na otwarte wody lokalnych czy krajowych wiadomości. Coraz bardziej nudziły ją imprezy w dziewczyńskim akademiku czy u chłopaków oraz najbardziej archaiczny panieński rytuał – obyczaj przekazywania sobie w kręgu świecy z zaręczynowym pierścionkiem, by zgadnąć, która z dziewcząt wyjdzie za mąż. Nie mogła pojąć, dlaczego jej koleżanki tak bardzo chcą się zaręczyć. Czy nie wiedzą, co dzieje się na świecie, nie dostrzegają istniejących możliwości?

Korzystała ze wszystkiego, co oferował Uniwersytet Waszyngtoński, chodziła na wszystkie ważne zajęcia z dziennikarstwa i telewizji i nauczyła się, ile mogła podczas rocznego stażu w telewizji publicznej. Pora była wkroczyć do bezwzględnego świata wiadomości telewizyjnych. Chciała się wedrzeć w tłum reporterów i łokciami przepchnąć się na sam przód.

– Nie jesteś gotowa – powiedział z westchnieniem Chad.

Powtórzył to trzeci raz w ciągu ostatnich trzech minut.

– Mylisz się – odparła, pochylając się do lustra nad jego komodą i nakładając kolejną warstwę tuszu do rzęs. – Przygotowałeś mnie i oboje o tym wiemy. Przekonałeś mnie, żebym zmieniła fryzurę na tego nudnego boba à la Jane Pauley. Wszystkie moje kostiumy są czarne i noszę pantofle jak gospodyni domowa z przedmieścia. – Zakręciła tusz i odwróciła się powoli, przyglądając się tipsom, które zrobiła tego ranka. – Czego mi jeszcze potrzeba?

Usiadł na łóżku. Wydał się jej albo smutny z powodu ich dyskusji, albo zmęczony; nie była pewna.

– Znasz odpowiedź na to pytanie – powiedział łagodnie.

Grzebała w torebce w poszukiwaniu pomadki innego koloru.

– Mam już dość college'u. Chcę wejść w prawdziwy świat.

– Nie jesteś gotowa, Tully. Reporter musi łączyć w sobie idealne proporcje obiektywizmu i zaangażowania. Ty jesteś zbyt obiektywna, zbyt chłodna.

To był jedyny przytyk, który ją irytował. Całe lata starała się nie czuć nic. A teraz miała być nagle współczująca i obiektywna jednocześnie. Empatyczna, ale profesjonalna. Nie do końca to potrafiła i oboje o tym wiedzieli.

– Ja nie mówię o stanowisku w sieci telewizyjnej. To tylko rozmowa o pracę na część etatu, dopóki nie skończę studiów.

Podeszła do łóżka. W czarnym kostiumie i białej bluzce wyglądała jak szykowna konserwatystka. Poskromiła nawet swoje efektowne, sięgające ramion włosy, spinając je w klasyczny kok. Usiadła na skraju materaca i odsunęła długi kosmyk włosów z oczu Chada.

– To ty nie jesteś gotowy, żeby mnie wypuścić w świat.

Westchnął i delikatnie przesunął kostkami dłoni po jej podbródku.

– To prawda. Wolę cię w swoim łóżku niż poza nim.

– Przyznaj, że jestem gotowa. – Chciała, by zabrzmiało to seksownie i dojrzale, ale zdradziło ją nieznaczne drżenie głosu.

Potrzebowała jego aprobaty tak samo, jak potrzebowała słońca i powietrza. Poradzi sobie bez niej, oczywiście, ale nie będzie miała takiej pewności, a dziś potrzebowała jej maksymalnie dużo.

– Ach, Tully – powiedział wreszcie Chad. – Ty się urodziłaś gotowa.

Z triumfalnym uśmiechem pocałowała go – mocno – a potem wstała i chwyciła winylową teczkę. W środku miała kilka kopii swojego CV wydrukowanego na grubym kremowym papierze, kilka wizytówek *Tallulah Hart, reporter telewizyjny* i kasetę wideo z materiałem, który zrobiła na żywo dla KVTS.

– Połamania nóg – powiedział Chad.

– Jasne.

Złapała autobus przed barem z hamburgerami Kidd Valley. Choć studiowała na ostatnim roku, nie jeździła na uczelnię samochodem. Parkowanie dużo kosztowało i zawsze był kłopot ze znalezieniem miejsca. Poza tym Mularkeyowie uwielbiali jeździć starą limuzyną jej babci.

Całą drogę przez dzielnicę uniwersytecką i do centrum zastanawiała się, co wie o człowieku, z którym ma się spotkać. Miał dwadzieścia sześć lat, a już był uznanym byłym reporterem telewizyjnym, który zdobył ważną nagrodę dziennikarską podczas konfliktu w Ameryce Łacińskiej. Coś – żaden artykuł nie wyjaśniał co – sprowadziło go z powrotem do kraju, gdzie nagle zmienił ścieżkę kariery. Teraz był producentem w pomniejszym oddziale jednej z lokalnych telewizji. Tully milion razy powtarzała sobie, co mu powie.

„Mnie również miło pana poznać, panie Ryan".

„Tak, mam rzeczywiście imponujące doświadczenie, jak na kobietę w moim wieku".

„Zamierzam zostać pierwszorzędną reporterką i mam nadzieję, nie, spodziewam się, że…".

Autobus, dymiąc i rzężąc, zatrzymał się na rogu Pierwszej i Broad.

Tully wysiadła. Gdy stała na przystanku i sprawdzała adres, zaczęło padać. Nie na tyle, by potrzebna była parasolka lub kaptur, ale wystarczająco, żeby zrujnować jej fryzurę i nakapać do oczu. Pochyliła głowę, by chronić makijaż, i pobiegła ulicą we właściwą stronę.

Mały betonowy budynek z pozbawionymi zasłon oknami znajdował się w połowie przecznicy i sąsiadował z parkingiem. Wewnątrz sprawdziła listę najemców i zorientowała się, że KCPO mieści się pod numerem 201. Wyprostowała się,

uśmiechnęła jak profesjonalistka i weszła na górę pod 201. Otworzyła drzwi i niemal na kogoś wpadła.

Na moment zaniemówiła. Mężczyzna, który przed nią stał, był oszałamiający – niesforne czarne włosy, elektryzujące spojrzenie błękitnych oczu, cień zarostu na brodzie. Zupełnie się czegoś takiego nie spodziewała.

– Tallulah Hart?

Wyciągnęła rękę.

– Tak, to ja. Pan Ryan?

– Tak. – Uścisnął jej dłoń. – Zapraszam.

Przeprowadził ją przez małe pomieszczenie zawalone dokumentami, kamerami i stosami gazet. Kilkoro pootwieranych drzwi ukazywało kolejne puste biura. Jakiś mężczyzna stał w rogu i palił papierosa. Był olbrzymi, miał ze dwa metry wzrostu, zmierzwione jasne włosy i ubranie, które wyglądało tak, jakby w nim spał. Jego T-shirt zdobił nadruk gigantycznego liścia marihuany. Gdy weszli, mężczyzna podniósł wzrok.

– To Tallulah Hart – powiedział Ryan.

– Ta od listów? – burknął wielki facet.

– Ta sama. – Ryan uśmiechnął się do Tully. – To Mutt. Nasz kamerzysta.

– Miło mi pana poznać, panie Mutt.

Obaj się roześmiali, a brzmienie ich śmiechu tylko wzmocniło obawę Tully, że jest na to wszystko za młoda.

Ryan zaprowadził ją do narożnego gabinetu i wskazał metalowe krzesło stojące przed drewnianym biurkiem.

– Proszę usiąść – powiedział, zamykając za sobą drzwi.

Sam usiadł za biurkiem i spojrzał na nią. Wyprostowała się, starając wyglądać dojrzale.

– Czyli to pani zasypywała moją skrzynkę pocztową swoimi taśmami i artykułami. Jestem pewien, że tak ambitna osoba jak

pani wie o nas wszystko. Jesteśmy oddziałem w Seattle KCPO z Tacomy. Nie oferujemy praktyk.

– Tak mi odpisano.

– Wiem, bo to ja pani odpowiadałem. – Odchylił się do tyłu i założył ręce za głowę.

– Czytał pan moje artykuły i oglądał materiały?

– Właśnie dlatego tu pani jest. Gdy uświadomiłem sobie, że nie przestanie pani przysyłać mi swoich próbnych nagrań, uznałem, że mogę jedno obejrzeć.

– I?

– I kiedyś będzie pani w tym dobra. Ma pani w sobie to coś.

„Kiedyś? Będzie?".

– Ale jeszcze długo nie będzie pani na to gotowa.

– Dlatego potrzebuję tego stażu.

– Tego nieistniejącego, tak?

– Będę pracować dwadzieścia do trzydziestu godzin tygodniowo za darmo i nieważne, czy dostanę za to punkty na uczelni, czy nie. Mogę redagować, weryfikować dane, robić research. Cokolwiek. Nic na tym nie stracicie.

– Cokolwiek? – Intensywnie się w nią wpatrywał. – Będzie pani robić kawę i odkurzać, i sprzątać łazienkę?

– A kto to robi teraz?

– Ja i Mutt. I Carol, jeśli nie kręci materiału.

– W takim razie oczywiście będę.

– Czyli jest pani gotowa robić wszystko?

– Tak.

Wyprostował się na krześle, uważnie się jej przyglądając.

– Rozumie pani, że będzie wykonywać najgorszą robotę i to nieodpłatnie?

– Rozumiem. Mogę pracować w poniedziałki, środy i piątki.

W końcu powiedział:

– Okej, Tallulah Hart. – Wstał. – Niech mi pani pokaże, co potrafi.

– Zrobię to. – Uśmiechnęła się. – I wolę Tully.

Odprowadził ją przez biuro.

– Hej, Mutt, to nasza nowa stażystka, Tully Hart.

– Spoko – odparł Mutt, nie podnosząc wzroku znad kamery, którą trzymał na kolanach.

W drzwiach Ryan zatrzymał się i spojrzał na Tully.

– Mam nadzieję, że potraktuje pani tę pracę poważnie, pani Hart. Albo będzie to eksperyment o okresie trwałości krótszym niż mleko na sklepowej półce.

– Może pan na mnie polegać, panie Ryan.

– Mów mi Johnny. Do zobaczenia w piątek. Powiedzmy o ósmej rano?

– Będę na pewno.

Gdy wracała energicznym krokiem na przystanek, a potem jechała autobusem, raz po raz odtwarzała w głowie to spotkanie.

Stworzyła sobie swój własny staż. Pewnego dnia, gdy będzie udzielać wywiadu Philowi Donahue, opowie tę historię, by zademonstrować swą pełną brawury determinację. „Tak, Phil. To był odważny ruch, ale wiesz, jaka jest telewizja. W tym świecie panuje bezwzględna konkurencja, a ja byłam dziewczyną z ogromnymi ambicjami". Ale najpierw opowie Kate. Nic nie było idealne, dopóki nie podzieliła się tym z przyjaciółką.

To był początek realizacji ich marzenia.

Drzewa wiśniowe na skwerze Quad lepiej pokazywały upływ czasu niż jakikolwiek kalendarz. Obsypane różowym kwieciem

wiosną, bujne i zielone w ciepłe i ciche letnie dni, cudownie kolorowe na początku roku akademickiego, a teraz, w ten listopadowy dzień 1981 roku, całkiem nagie.

Dla Kate życie toczyło się o wiele za szybko. Była odległa o lata świetlne od tamtej cichej, nieśmiałej dziewczyny, która przyjechała tu na studia. Teraz reżyserowała skecze przygotowywane na tydzień naboru, planowała i organizowała imprezy na trzysta osób, potrafiła wytrąbić kufel piwa i połknąć surową ostrygę, prowadzić spotkania w akademikach i czuć się dobrze wśród ludzi, których nie zna, pisać chwytliwe artykuły i pewną ręką nagrywać do nich materiały. Wykładowcy dziennikarstwa oceniali ją wysoko i powtarzali, że ma talent.

Ale chyba nie miała do tego serca. W przeciwieństwie do Tully, która parła do przodu gotowa zadać każde pytanie, Kate nie potrafiła wchodzić z butami w życie ludzi pogrążonych w żałobie. Ostatnio coraz częściej nie pisała własnych tekstów, tylko redagowała te stworzone przez Tully. Nie miała w sobie tego, co pozwala zostać producentem wiadomości czy pierwszorzędnym reporterem. Każdego dnia, gdy siedziała na zajęciach z mediów i komunikacji, okłamywała samą siebie.

Ostatnio marzyła o innych rzeczach, o studiach prawniczych, żeby móc walczyć z niesprawiedliwością, którą opisywała, albo o pisaniu powieści, które sprawiłyby, że ludzie widzieliby świat w lepszym, bardziej pozytywnym świetle, albo o… – i to było marzenie najbardziej skryte ze wszystkich – zakochaniu się. Ale jak miała powiedzieć o tym Tully?

Tully, która przez te wszystkie lata, gdy nie było nikogo innego, trzymała ją za rękę, która snuła ich marzenie o pracy w zespole z Kate w telewizyjnych wiadomościach. Jak miała powiedzieć swojej najlepszej przyjaciółce, że nie dzieli już z nią tego marzenia?

A przecież to nie powinno stanowić trudności. Były dziewczynkami, gdy lata temu postanowiły pracować w duecie. Tymczasem świat się bardzo zmienił. Przegrano wojnę w Wietnamie, Nixon zrezygnował, wybuchł wulkan Mount St. Helens, a dla nowego pokolenia imprezowiczów używką stała się kokaina. Amerykańska drużyna hokejowa odniosła cudowne zwycięstwo na igrzyskach olimpijskich, a aktor z filmów klasy B został prezydentem. Nie można mieć stałych marzeń w tak zmiennych czasach. Po prostu musiała wreszcie stawić czoło Tully i wyznać jej prawdę, powiedzieć: „To są twoje marzenia, Tully, i jestem z ciebie dumna, ale nie mam już czternastu lat i nie mogę cały czas iść za tobą".

– Może dzisiaj – powiedziała na głos, idąc z plecakiem przez szary i mglisty kampus.

Gdyby tylko miała jakieś swoje marzenie, coś, co mogłoby zastąpić pomysł na duet gwiazd telewizyjnego dziennikarstwa. Tully mogłaby to zaakceptować. Ale mętne „sama nie wiem" nie przekona Huraganu Tully.

Na skraju kampusu włączyła się w tłum studentów i przeszła na drugą stronę ulicy, uśmiechając się i machając do mijanych znajomych. W akademiku poszła prosto do salonu, gdzie dziewczyny siedziały w ścisku na kanapach i krzesłach oraz na każdym skrawku seledynowej wykładziny.

Rzuciła plecak na podłogę i znalazła wolne miejsce między Charlotte i Mary Kay.

– Zaczęło się?

Ze trzydzieści osób uciszyło ją, bo zaczęła się już początkowa muzyka *Szpitala miejskiego*. Ekran wypełniła twarz Laury. Wyglądała pięknie z lśniącymi oczami i w białym stroiku na głowie. W pokoju rozległo się zbiorowe westchnienie. A wtedy pojawił się Luke w szarym wizytowym garniturze i uśmiechnął do swojej przyszłej żony.

I dokładnie w tym momencie drzwi akademika gwałtownie się otwarły.

– Kate! – zawołała Tully, wchodząc do sali.

– Ćśśś! – odezwali się wszyscy.

Tully przykucnęła obok Kate.

– Musimy pogadać.

– Cicho… Luke i Laura biorą ślub. Opowiesz mi o swojej rozmowie później. Widzę, że dostałaś tę pracę, gratuluję. A teraz bądź cicho.

– Ale…

– Ćśś…

Tully opadła na podłogę, mamrocząc:

– Jak można mieć hopla na punkcie jakiegoś chudego białasa z kiepską trwałą? I do tego to gwałciciel. Moim zdaniem…

– Cicho!!!

Tully westchnęła ostentacyjnie i skrzyżowała ramiona.

Gdy tylko serial się skończył i znów rozległa się muzyka, zerwała się z podłogi.

– Chodź. Musimy pogadać.

Chwyciła Kate za rękę i wyciągnęła z sali telewizyjnej. Poprowadziła ją korytarzem i po schodach do małego, brzydkiego sekretu ich akademika: palarni. To było maleńkie pomieszczenie, schowane za kuchnią, z dwiema dwuosobowymi kanapami, stolikiem do kawy zastawionym pełnymi popielniczkami i powietrzem tak siwym i gęstym od dymu, że aż oczy piekły, nawet gdy nikt tu nie palił. To było idealne miejsce na plotki po imprezie albo chichoty późną nocą.

Kate nienawidziła tego miejsca. Nawyk palenia, który wydawał się taki cool i buntowniczy, gdy miała trzynaście lat, teraz był według niej głupi i obrzydliwy.

– No to powiedz mi wszystko. Dostałaś ten staż, prawda?

Tully szeroko się uśmiechnęła.

– Dostałam. Poniedziałki, środy i piątki. I niektóre weekendy. Jesteśmy na dobrej drodze, Kate. Będę się trzymać tej roboty, a gdy obronimy dyplomy, przekonam ich, żeby zatrudnili też ciebie. Będziemy zespołem, tak jak zawsze to planowałyśmy.

Kate głęboko zaczerpnęła powietrza. *Zrób to. Powiedz jej.*

– Nie powinnaś się martwić o mnie, Tully. To twój dzień, twój dobry początek.

– Nie bądź śmieszna. Chyba dalej chcesz tworzyć ze mną zespół, co? – Tully zawahała się, spojrzała na Kate, która właśnie zebrała się na odwagę i otworzyła usta. Lecz Tully się roześmiała. – Oczywiście, że chcesz. Wiedziałam. Tylko się ze mną drażnisz. Bardzo zabawne. Pogadam z Ryanem – to mój nowy szef – jak tylko nie będzie już potrafił beze mnie żyć. A teraz muszę lecieć. Chad też chciał posłuchać, jak mi poszło, ale tobie musiałam opowiedzieć najpierw.

Tully uścisnęła ją mocno i wyszła.

Kate stała tam, w tym małym, brzydkim pokoju, w którym cuchnęło petami, i wpatrywała się w otwarte drzwi.

– Nie – powiedziała cicho. – Właśnie, że nie chcę.

Ale nikt jej nie słuchał.

11

Święto Dziękczynienia zawsze było u Mularkeyów wielkim wydarzeniem. Ciocia Georgia i wujek Ralph przyjeżdżali ze wschodniej części stanu Waszyngton, przywożąc tyle jedzenia, że wystarczyłoby dla całego miasteczka. Dawniej zabierali ze sobą czwórkę dzieci, ale teraz one dorosły i odwiedzały w święta inne rodziny. W tym roku Georgia i Ralph byli sami i wydawali się nieco oszołomieni tą sytuacją. Georgia nalała sobie drinka, jeszcze zanim przywitała się z którymkolwiek z domowników.

Kate przysiadła na przetartym oparciu wiśniowej sofy, która od zawsze stanowiła centrum rodzinnego salonu. Tully usadowiła się ze skrzyżowanymi nogami na podłodze u stóp mamy. To było jej zwyczajowe miejsce podczas świąt. Tully nie lubiła być z dala od kobiety, którą uważała za idealną matkę. Mama siedziała na fotelu La-Z-Boy taty naprzeciwko Georgii rozpartej na sofie.

To była dziewczyńska godzina – taka tradycja w ich rodzinie. Georgia wymyśliła ją lata temu – zanim pojawiły się dzieci, którymi trzeba się było zajmować – a przynajmniej tak głosiła rodzinna legenda. W każde święto przez godzinę, gdy panowie oglądali futbol, panie zbierały się w salonie na koktajl i pogawędki. Wiedziały, że zaraz czekają je herkulesowe prace w kuchni, ale przez sześćdziesiąt minut nikt o tym nie myślał.

W tym roku, po raz pierwszy w historii, mama nalała białego wina dla Kate i Tully. Kate czuła się bardzo dorosła, gdy tak

siedziała na oparciu kanapy i popijała wino z kieliszka. Na gramofonie była już płyta z bożonarodzeniowego albumu puszczanego pierwszy raz w tym roku. Oczywiście Elvis śpiewający o małym chłopczyku w chicagowskim getcie.

Zabawne, jak płyta, czy nawet jedna piosenka, może przypomnieć komuś tyle momentów z jego życia. Kate miała wrażenie, że żadna rodzinna uroczystość – Boże Narodzenie, Święto Dziękczynienia, Wielkanoc, coroczny wyjazd na kemping – nie mogła się odbyć bez Elvisa. Bez niego rodzinne chwile Mularkeyów po prostu nie istniały. Mama i Georgia zawsze tego pilnowały. Jego śmierć nie zmieniła tej tradycji, ale czasami, gdy sporo wypiły, przytulały się i płakały nad tą stratą.

– Muszę wam opowiedzieć, czym się w tym tygodniu zajmowałam – zaczęła Tully, unosząc się z podekscytowania na kolana. Kate nie mogła się oprzeć wrażeniu, że przyjaciółka wygląda jak wyznawca błagający mamę o błogosławieństwo. – Słyszeliście o gwałcicielu ze Spokane? I… – zwiesiła dramatycznie głos – o człowieku, którego w związku z tą sprawą aresztowano? Jego matka wynajęła kogoś, żeby zabił sędziego i prokuratora. Dacie wiarę? A Johnny, mój szef, pozwolił mi przygotować wstępną wersję materiału. Wykorzystali nawet jedno zdanie, które napisałam. To było takie niesamowite. W przyszłym tygodniu zabierze mnie na wywiad z facetem, który wymyślił jakiś nowy komputer.

– Realizujesz swoje marzenia, Tully – powiedziała mama, uśmiechając się do niej z góry.

– Nie tylko ja, pani M. – odpowiedziała Tully. – Z Kate też się uda. Załatwię jej staż w stacji, przekona się pani. Już zaczęłam o tym wspominać. Pewnego dnia zobaczy nas pani obie w telewizji. Pierwszy tandem prezenterek w głównych wiadomościach.

– Wyobraź to sobie, Margie – powiedziała rozmarzonym głosem Georgia.

– Prezenterek? – zapytała Kate, prostując się. – Myślałam, że mamy zostać reporterkami?

Tully uśmiechnęła się szeroko.

– Z twoimi ambicjami? Żartujesz? Będziemy na samym szczycie, Katie.

Kate powinna coś powiedzieć. To się wymykało spod kontroli, a trzeba przyznać, że moment był dobry na wyklarowanie sytuacji. Kolejka drinków wszystkich nastroiła pozytywnie.

– Muszę ci coś powiedzieć…

– Będziemy słynniejsze niż Jean Enersen, pani M. – oznajmiła ze śmiechem Tully. – I na pewno bogatsze.

– Pomyśleć coś takiego – powiedziała mama.

Ciocia Georgia poklepała Kate po udzie.

– Cała rodzina jest z ciebie taka dumna, Katie. Rozsławisz nas wszystkich.

Kate westchnęła. Znów zmarnowała szansę. Wstała, przeszła przez pokój, minęła kąt, w którym niedługo stanie choinka, i zatrzymała się przy oknie, by wyjrzeć na pastwisko. Lśniąca biel okrywała pole, tworząc błyszczące kopczyki na słupkach ogrodzenia. Księżycowy blask nadawał wszystkiemu odcień pięknego, mroźnego błękitu; z aksamitnoczarnym niebem w tle widok był jak z pocztówki. Jako mała dziewczynka niecierpliwie wyczekiwała takiej pogody, modliła się o nią od miesięcy i nic dziwnego. Pokryta śniegiem Firefly Lane wyglądała bajkowo. Jak miejsce, w którym nic nie może się nie udać, jak miejsce, gdzie dziewczyna powinna móc tak po prostu powiedzieć swojej rodzinie, że zmieniła zdanie.

Końcowe miesiące ostatniego roku studiów były czasem idealnym. Choć Tully spędzała ponad dwadzieścia pięć godzin w tygodniu na stażu, a Kate tyle samo, pracując w Starbucksie, nowej modnej kawiarni w Pike Place Market, większość weekendów starały się spędzać wspólnie, grając w bilard i pijąc piwo w Goldies albo słuchając muzyki w Blue Moon Tavern. Tully zwykle nocowała u Chada, a Kate tego nie komentowała. Szczerze mówiąc, za dobrze sama się bawiła na randkach, żeby wypominać Tully jej wybór.

Jedynym problemem w życiu Kate – i to poważnym – była zbliżająca się obrona dyplomu. Zamierzała się obronić w przyszłym miesiącu, z wyróżnieniem, i uzyskać stopień licencjata dziennikarstwa, ale nadal nie powiedziała nikomu, że to wcale nie jest jej wymarzona praca. Teraz miała to wreszcie wyjaśnić. Siedziała w jednej z ciasnych kabin telefonicznych na drugim piętrze i wykręcała numer do domu.

Mama odebrała po drugim sygnale.

– Halo?

– Cześć, mamo.

– Katie? Co za niespodzianka! Nie pamiętam, kiedy ostatnio dzwoniłaś w środku tygodnia. Chyba masz jakieś zdolności parapsychiczne: przed sekundą wróciliśmy z tatą z galerii. Powinnaś zobaczyć sukienkę, którą kupiłam sobie na twoje rozdanie dyplomów. Jest piękna. Nie daj sobie wmówić, że u JC Penny nie ma świetnych ciuchów.

– Jak wygląda? – Kate grała na zwłokę.

Jednym uchem słuchała opisu sukienki. Mama powiedziała właśnie coś o poduszkach na ramionach i brokacie, gdy Kate wtrąciła:

– Złożyłam podanie o pracę w Nordstrom, mamo. W dziale reklamy.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła wymowna cisza, a potem rozległ się znajomy dźwięk zapalanego papierosa.

– Myślałam, że ty i Tully chcecie zostać…

– Wiem. – Kate oparła się o ścianę. – Duetem dziennikarskim. Słynnym na cały świat i bogatym.

– O co tak naprawdę chodzi, Katie?

Kate spróbowała ubrać swoje niezdecydowanie w słowa. Po prostu nie wiedziała, co chce robić w życiu. Wierzyła, że czeka ją coś wyjątkowego, jakaś ścieżka, która jest tylko dla niej i która wiedzie do szczęścia, ale gdzie ona się zaczynała?

– Nie jestem jak Tully – powiedziała ostatecznie, przyznając coś, z czego zdawała sobie sprawę już od dłuższego czasu. – Nie żyję jedynie wiadomościami. Oczywiście jestem na tyle dobra, żeby dostawać piątki i wykładowcy mnie uwielbiają, bo nigdy nie spóźniam się z oddaniem prac, ale dziennikarstwo – czy to telewizyjne, czy prasowe – to prawdziwa dżungla. Zjedzą mnie w niej ludzie tacy jak Tully, którzy zrobiliby wszystko dla newsa, o którym nie wiedzą inne redakcje. To nierealistyczne oczekiwać, że dałabym radę.

– Nierealistyczne? Realistyczne to jest to, że ja i tata staramy się oszczędzać, bo obcinają mu godziny w fabryce. Realistyczne jest to, że jestem inteligentną kobietą, która nie może znaleźć pracy za stawkę wyższą niż płaca minimalna, bo nie mam wykształcenia i jedyne, czego dokonałam, to wychowanie dzieci. Wierz mi, Katie, nie chcesz być realistyczna w twoim wieku. Masz na to mnóstwo czasu. Teraz powinnaś mieć wielkie marzenia i wielkie ambicje.

– Ja po prostu chcę czegoś innego.

– Czego?

– Chciałabym to wiedzieć.

– Och, Katie… Myślę, że boisz się sięgnąć po swoją szansę. Nie bój się.

Zanim Katie zdążyła odpowiedzieć, ktoś zapukał do drzwi.

– Zajęte! – zawołała.

Drzwi otwarły się gwałtownie i ukazała się w nich Tully.

– Tutaj jesteś. Szukałam cię. Z kim rozmawiasz?

– Z mamą.

Tully wyrwała Kate słuchawkę i powiedziała:

– Dzień dobry, pani M. Porywam pani córkę. Odezwiemy się później. Do widzenia. – Rozłączyła się i zwróciła do Kate. – Idziesz ze mną.

– Dokąd?

– Zobaczysz. – Tully wyprowadziła ją z akademika na parking, gdzie czekał jej nowy niebieski volkswagen garbus.

Całą drogę przez centrum Kate pytała, dokąd jadą i o co chodzi, aż zaparkowały przed małym biurowcem.

– Tutaj pracuję – powiedziała Tully, gdy wyłączyła silnik. – Aż nie mogę uwierzyć, że nigdy tu nie byłaś. No cóż, ale teraz jesteś!

Kate przewróciła oczami. Teraz już wiedziała, co się dzieje: Tully chciała się pochwalić jakimś swoim kolejnym triumfem – nową szpulą, kasetą, materiałem, który zrobiła i który został puszczony na antenie. Kate jak zwykle szła za nią.

– Posłuchaj, Tully – zaczęła, gdy przemierzyły bezbarwny korytarz i weszły do małej, zagraconej przestrzeni, którą zajmował oddział telewizji KCPO. – Muszę ci coś powiedzieć.

Tully otworzyła drzwi.

– Pewnie. Później. A przy okazji, to jest Mutt. – Wskazała wielkiego, długowłosego, przygarbionego mężczyznę, który stał przy otwartym oknie, wydmuchując na zewnątrz dym z papierosa.

– Hej – mruknął, unosząc na powitanie mały palec.

– Carol Mansour – nasza reporterka – jest na zebraniu w ratuszu – opowiadała Tully, prowadząc Kate ku zamkniętym

drzwiom.

Jakby Kate nie słyszała ciągle opowieści o Carol Mansour.

Tully zatrzymała się pod drzwiami i zapukała. Gdy odpowiedział męski głos, otworzyła drzwi i wciągnęła Kate do środka.

– Johnny, to moja przyjaciółka Kate.

Mężczyzna za biurkiem podniósł wzrok.

– Kate Mularkey, tak?

Kate musiała przyznać, że to najprzystojniejszy facet, jakiego kiedykolwiek widziała. Był starszy od nich, ale niewiele; może pięć albo sześć lat. Długie, czarne włosy, gęste i zaczesane do tyłu, leciutko zakręcały się na samych końcach. Mocno zaznaczone kości policzkowe i dość mały podbródek dodawały mu urody, ale nie było w nim nic kobiecego. Gdy uśmiechnął się do niej, gwałtownie wciągnęła powietrze, czując dreszcz fizycznej fascynacji, jakiej nigdy dotąd nie zaznała.

A stała tam ubrana do pracy, w grzecznych dżinsach Glorii Vanderbilt, tanich mokasynach i czerwonym sweterku w serek. Włosy od wczoraj się wyprostowały, a dzisiaj ich nie kręciła. Nie zrobiła nawet makijażu. Postanowiła, że zabije Tully.

– Zostawię was samych – zdecydowała przyjaciółka, wymykając się z gabinetu i zamykając za sobą drzwi.

– Siadaj, proszę – powiedział Ryan, wskazując puste krzesło naprzeciwko biurka.

Przysiadła nerwowo na samym brzeżku.

– Tully mówiła mi, że jesteś geniuszem.

– Cóż, jest moją najlepszą przyjaciółką.

– Masz szczęście. To wyjątkowa dziewczyna.

– Tak, proszę pana. To prawda.

Roześmiał się. To był głęboki, zaraźliwy śmiech, który sprawił, że się uśmiechnęła.

– Nie zwracaj się tak do mnie, proszę. Mam wtedy wrażenie, jakby stał za mną jakiś starzec. – Nachylił się do przodu. – To co ty o tym myślisz, Kate?

– O czym?

– O tej pracy.

– Jakiej pracy?

Zerknął na drzwi i powiedział:

– Hm… To ciekawe. – Przeniósł wzrok na nią. – Mamy wolną posadę sekretarki. Carol zajmowała się dotąd telefonami i dokumentami, ale spodziewa się dziecka, więc sknerowaty dyrektor stacji zgodził się na zatrudnienie kogoś do pomocy.

– Ale Tully…

– Ona chce pozostać stażystką. Twierdzi, że dzięki babci nie potrzebuje pieniędzy. Tak między nami, to ona niezbyt nadaje się do odbierania telefonów.

To wszystko działo się dla Kate zbyt szybko. Zaledwie godzinę temu wreszcie się przyznała, że nie chce się zajmować dziennikarstwem, a teraz oferowano jej pracę, za którą każdy student jej wydziału dałby się pokroić.

– Jaka byłaby pensja? – zapytała, by zyskać na czasie.

– Minimalna oczywiście.

Obliczyła to sobie w głowie. Dzięki napiwkom w Starbucksie zarabiała prawie dwa razy tyle.

– Daj spokój – powiedział Ryan z uśmiechem. – Chyba mi nie odmówisz? Możesz zostać recepcjonistką w brzydkim biurze za prawie zerowe pieniądze. Czy to nie marzenie każdego absolwenta college’u?

Nie potrafiła się nie roześmiać.

– Skoro tak to pan przedstawia, jak mogłabym odmówić?

– Pierwszy krok w cudownym świecie wiadomości telewizyjnych, co?

Jego uśmiech miał w sobie jakąś niezwykłą moc, która kompletnie mieszała jej w głowie.

– A rzeczywiście taki jest? Cudowny?

Wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem i po raz pierwszy naprawdę na nią spojrzał. Jego udawany uśmiech zbladł, a spojrzenie błękitnych oczu stało się twarde i cyniczne.

– Nie w tym oddziale.

Poruszył w niej coś. Nie wiedziała dlaczego, ale czuła potężne przyciąganie. Coś zupełnie innego niż wobec chłopaków z college'u. Kolejny powód, by nie brać tej pracy.

Drzwi za nią otworzyły się. Weszła Tully, niemal podskakując przy każdym kroku.

– No i zgodziłaś się?

To szaleństwo przyjąć pracę, dlatego że szef zawrócił ci w głowie. Ale z drugiej strony miała dwadzieścia jeden lat, a on oferował jej zatrudnienie w telewizji.

Nie spojrzała na Tully. Gdyby to zrobiła, poczułaby, że się zaprzedaje, że znowu idzie jedynie czyimś śladem i to z zupełnie fałszywych powodów.

Ale jak mogła odmówić? Może w prawdziwej pracy odnajdzie tę pasję i olśnienie, których potrzebowała. Im intensywniej o tym myślała, tym bardziej wydawało jej się to możliwe. Szkoła to nie jest prawdziwy świat. Może dlatego tworzenie wiadomości jej nie porwało. Tutaj te historie są naprawdę ważne.

– Pewnie – oznajmiła w końcu. – Spróbuję, panie Ryan.

– Mów mi Johnny. – Uśmiech, którym ją obdarzył, był tak niepokojący, że Kate musiała odwrócić wzrok. Była pewna, że ją przejrzał albo słyszy, jak przez niego szybko bije jej serce.

– Okej, Johnny.

– Doskonale – powiedziała Tully, składając dłonie.

Kate nie mogła nie zauważyć, że jej przyjaciółka natychmiast skupiła na sobie całą uwagę Johnny'ego. Siedział przy biurku i wpatrywał się w Tully.

I wtedy Kate zrozumiała, że popełniła błąd.

Przyjrzała się swojemu odbiciu w małym, owalnym lusterku nad komodą. Jej długie, proste włosy z pasemkami były ściągnięte do tyłu czarną aksamitną opaską. Jasnoniebieski cień na powiekach i dwie warstwy zielonego tuszu do rzęs podkreślały barwę jej oczu, a różowy błyszczyk do ust i róż dodały cerze koloru.

– Nauczysz się kochać wiadomości – powiedziała do swojego odbicia. – I nie idziesz tylko śladem Tully.

– Pośpiesz się, Kate – zawołała przyjaciółka, pukając mocno do drzwi sypialni. – Nie chcesz się spóźnić do pracy w pierwszy dzień. Będę na dole na parkingu.

– Okej, może jednak idziesz jej śladem.

Kate chwyciła teczkę ze swojego podwójnego łóżka, wyszła z sypialni i zbiegła po schodach.

W ten ostatni tydzień roku akademickiego korytarze były pełne studentek uczących się do końcowych egzaminów, żegnających się albo pakujących swoje rzeczy. Kate przedarła się przez ten chaos i wyszła na mały parking za budynkiem, gdzie Tully siedziała już w swoim nowym garbusie z włączonym silnikiem.

Gdy tylko Kate wsiadła i zatrzasnęła drzwi, ruszyły. Z malutkich głośników rozległo się ogłuszająco *Purple Rain* Prince'a. Tully musiała przekrzykiwać muzykę.

– Ale cudownie, co? My dwie wreszcie jedziemy razem do pracy.

Kate pokiwała głową.

– Pewnie.

Musiała przyznać, że jest podekscytowana. W końcu była absolwentką college'u – albo już wkrótce nią będzie – i znalazła doskonałą pierwszą posadę w swojej branży. Nieważne, że to Tully załatwiła jej tę pracę ani to, że Kate tak naprawdę jedynie podąża śladem przyjaciółki. Liczyło się tylko, że będzie wykonywać tę pracę najlepiej, jak potrafi, i przekona się, że dziennikarstwo telewizyjne jest dla niej.

– Opowiedz mi o swoim szefie – powiedziała, ściszając stereo.

– O Johnnym? Jest świetny w tym, co robi. Był kiedyś korespondentem wojennym. W Salwadorze albo Libii, kto go tam wie. Podobno tęskni za reportażem wojennym, ale jest znakomitym producentem. Możesz się od niego wiele nauczyć.

– Myślałaś kiedyś, żeby się z nim umówić?

Tully się roześmiała.

– To, że śpię ze swoim wykładowcą, nie oznacza, że poluję na wszystkich swoich szefów.

Kate ulżyło, chyba bardziej niż powinno. Chciała zapytać, czy Johnny jest żonaty – chciała o to zapytać niemal od tygodnia – ale nie wiedziała, jak sformułować to pytanie. Zbyt wiele by zdradziło.

– Jesteśmy. – Tully podjechała do krawężnika przed budynkiem i zaparkowała.

W drodze po schodach i przez korytarz mówiła o tym, jak cudownie będzie razem pracować, ale gdy znalazły się w małym, zagraconym biurze, ruszyła prosto do Mutta i zaczęła z nim rozmawiać. Kate została sama. Stała, przyciskając teczkę ze sztucznej skóry do piersi, i nie wiedziała, co robić. Właśnie postanowiła zdjąć marynarkę, gdy pojawił się Johnny. Wyglądał niewiarygodnie przystojnie i jednocześnie sprawiał wrażenie mocno wkurzonego.

– Mutt! Carol! – wrzasnął, choć wszyscy byli na miejscu. – Ta nowa spółka, Microsoft, ma coś ogłosić. Nie mam pojęcia co. Mike faksuje właśnie info. Chcą, żebyście pojechali do siedziby firmy i spróbowali porozmawiać z prezesem. Nazywa się Bill Gates.

Tully natychmiast się wysunęła.

– Mogę z nimi?

– A proszę bardzo. To gówniany news – stwierdził Johnny, po czym wrócił do swojego gabinetu i zatrzasnął drzwi.

Następne chwile to był wir chaotycznych ruchów. Carol, Tully i Mutt zebrali swoje rzeczy i wybiegli z biura.

Po ich wyjściu Kate została sama w cichym i pustym biurze, głowiąc się, co miałaby robić.

Obok niej rozdzwonił się telefon.

Zdjęła marynarkę, odwiesiła ją na oparcie krzesła, usiadła i odebrała.

– Wiadomości KCPO. Tu Kathleen. Czym mogę służyć?

– Cześć, skarbie, tu mama i tata. Chcieliśmy tylko zadzwonić i życzyć ci powodzenia w pierwszym dniu pracy. Jesteśmy z ciebie tacy dumni.

Kate nie była zaskoczona. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają, a jej rodzina do nich należała. I kochała ich za to.

– Dzięki, kochani.

Przez kolejnych kilka godzin nie miała żadnego problemu ze znalezieniem sobie zajęcia. Telefon dzwonił niemal bez przerwy, a półka z przychodzącymi dokumentami na jej biurku wyglądała tak, jakby nikt nie zaglądał do nich od lat. W papierach panował totalny bałagan.

Była tak zajęta pracą, że gdy spojrzała na zegarek, okazało się, że jest pierwsza. Umierała z głodu. Chyba może wyjść na lunch? Wstała od biurka i przeszła przez puste biuro. Przed drzwiami gabinetu Johnny’ego zatrzymała się i zebrała na

odwagę, by zapukać, ale zanim to zrobiła, usłyszała podniesiony głos z drugiej strony. Ryan rozmawiał przez telefon i z kimś się kłócił. Lepiej mu nie przeszkadzać.

Kate ustawiła w telefonie automatyczną sekretarkę i zbiegła na dół do delikatesów. Kupiła pół kanapki z serem i szynką. Pod wpływem impulsu dołożyła zupę z małży i kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorem. Dodała jeszcze kilka puszek coli. Z torbą w ręku pobiegła na górę i z powrotem włączyła telefon.

A potem znów podeszła do drzwi Johnny'ego. Po drugiej stronie panowała cisza.

Nieśmiało zapukała.

– Proszę.

Otworzyła drzwi.

Siedział za biurkiem i wyglądał na zmęczonego. Jego długie włosy były w nieładzie, jakby nieustannie mierzwił je palcami. Biurko było zasypane gazetami. Nie widać było spod nich nawet telefonu.

– Mularkey – powiedział z westchnieniem. – Cholera. Zapomniałem, że dzisiaj zaczynasz.

Kate już miała sobie z tego zażartować, lecz głos odmówił jej posłuszeństwa. Podczas gdy ona była tak świadoma jego obecności tuż za ścianą, on nawet nie zauważył, że ona tu jest. Trochę ją to ukłuło.

– Wejdź. Co tam masz?

– Lunch. Pomyślałam, że możesz być głodny.

– Kupiłaś mi lunch?

– To źle? Przepraszam, ja…

– Siadaj. – Wskazał krzesło naprzeciwko biurka. – Doceniam to, naprawdę. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłem.

Podeszła i zaczęła wypakowywać lunch. Cały czas czuła, że Johnny ją obserwuje, czuła na sobie te intensywnie błękitne

oczy i ich przenikliwe spojrzenie. Była tym tak zdenerwowana, że omal nie rozlała zupy.

– Gorąca zupa – powiedział niskim, poufałym tonem. – Czyli jesteś jedną z nich.

Usiadła, patrząc na niego, bo nie potrafiła oderwać oczu.

– Jedną z nich?

– Opiekunką. – Wziął do ręki łyżkę. – Niech zgadnę: dorastałaś w szczęśliwej rodzinie. Dwoje dzieci i pies. Żadnego rozwodu.

Roześmiała się.

– Przyznaję się do winy. A ty?

– Bez psa. Nie tak szczęśliwie.

– Och. – Pomyślała, że powinna zmienić temat. – Jesteś żonaty? – wyrwało się jej, zanim się powstrzymała.

– Nie. Nigdy nie byłem. A ty? Masz męża?

Uśmiechnęła się.

– Nie.

– I dobrze. To praca, która wymaga skupienia.

Kate czuła się jak oszustka. Siedziała tutaj, naprzeciwko szefa, starając się powiedzieć coś, co sprawi, że mu zaimponuje, a nie potrafiła nawet nawiązać kontaktu wzrokowego. To było szaleństwo. On jest taki przystojny. Coś w nim tak mocno do niej przemawiało, że Kate nie była w stanie myśleć. Wreszcie powiedziała:

– Myślisz, że przyniosą jakąś dobrą historię z Microsoftu?

– Izrael dokonał wczoraj inwazji na Liban. Wiesz o tym? Wypchnęli Palestyńczyków z powrotem do Bejrutu. To jest prawdziwa historia. Ale my siedzimy w gównianym biurze i pierdolimy się z jakimiś newsikami. – Westchnął. – Przepraszam. Mam zły dzień. A to twój pierwszy. – Uśmiechnął się, ale uśmiech nie rozświetlił jego oczu. – I kupiłaś mi zupę. Jutro będę grzeczny, obiecuję.

– Tully wspomniała mi, że byłeś korespondentem wojennym.

– Tak.

– Kochałeś to, prawda?

Dostrzegła jakiś błysk w jego oczach. W pierwszej chwili była gotowa uznać, że to smutek, ale skąd mogła mieć pewność.

– To było szaleństwo.

– Dlaczego zrezygnowałeś?

– Jesteś za młoda, żeby zrozumieć.

– Nie jestem dużo młodsza od ciebie. Daj mi szansę.

Westchnął.

– Czasami życie potrafi mocno dokopać i tyle. Jak u Stonesów: Nie zawsze możesz dostać to, czego chcesz.

– Ale ta piosenka mówi o dostawaniu tego, czego potrzebujesz.

Spojrzał na nią i wiedziała, że w tym momencie przykuła jego uwagę.

– Miałaś co robić przez dzisiejszy ranek?

– W dokumentach jest bałagan. Tak samo z pocztą. Poukładałam też te wszystkie taśmy, które leżały w kącie.

Roześmiał się. Jego twarz się zmieniła, był tak przystojny, że aż zabrakło jej tchu.

– Od miesięcy prosiliśmy o to Tully.

– Nie chciałam…

– Nie martw się. Nie będzie miała przez ciebie kłopotów. Wierz mi, wiem, czego można po niej oczekiwać.

– To znaczy?

– Pasji – odparł po prostu, wkładając papier po kanapce do styropianowej miski po zupie.

Kate niemal się wzdrygnęła na ton jego głosu i już wiedziała, że znalazła się w tarapatach. Nieważne, ile razy upominała się, że Johnny jest jej szefem – wszystko na nic. Ostatecznie liczyło się to, jak się czuła, gdy była obok niego.

Jakbym spadała. Inaczej nie dało się tego opisać.

A mimo to przez resztę dnia, gdy Kate odbierała telefony i uzupełniała formularze, przypominała sobie w myślach tę ostatnią chwilę z nim i prosty, bezpośredni sposób, w jaki odpowiedział na jej pytanie o Tully: „Pasja”.

Najbardziej utkwił jej w pamięci pełen zachwytu uśmiech, gdy to mówił.

12

Lato po ukończeniu college'u było dla Tully prawdziwym rajem. Razem z Kate znalazły tanie mieszkanie w stylu lat sześćdziesiątych w doskonałym miejscu – tuż obok Pike Place Market. Ściągnęły meble z domu babci i wypełniły kuchnię czterdziestoletnimi garnkami Revereware i angielską ceramiką Spode. Na ścianach przykleiły ulubione plakaty, a na stolikach porozstawiały swoje zdjęcia. Pani Mularkey zaskoczyła je pewnego dnia, przywożąc torbę zakupów spożywczych i kilka doniczek ze sztucznymi roślinami, żeby zrobiło się bardziej przytulnie.

Sąsiedztwo określiło ich styl życia. Na piechotę mogły dojść do kilku barów – ich ulubionymi były Athenian na Pike Place Market i stary, zadymiony Virginia Inn na rogu. O szóstej rano pośród pikania dostawczych półciężarówek i trąbienia klaksonów szły na drugą stronę ulicy po latte do Starbucksa i kupowały croissanty we francuskiej piekarni La Panier.

Jako pracujące singielki, szybko wpadły w rutynę. Co rano wychodziły na śniadanie, siadały przy kutych z żelaza stolikach na chodniku i czytały gazety. Ich biblią stały się „The New York Times", „The Wall Street Journal", „Seattle Times" i „Post-Intelligencer". Gdy kończyły, jechały do pracy, gdzie codziennie uczyły się czegoś nowego o tworzeniu wiadomości telewizyjnych, a po pracy wskakiwały w lśniące bluzki z watowanymi ramionami i spodnie piramidy i szły do jednego z wielu klubów w centrum. Każdej nocy mogły wybrać taką

muzykę, na jaką miały ochotę: punk rock, new wave, rock'n'roll czy pop. Tully nie musiała już ukrywać Chada, więc często zabierał gdzieś je obie i naprawdę dobrze się bawili. Było dokładnie tak, jak to sobie z Kate wymarzyły lata temu nad ciemnym brzegiem rzeki Pilchuck. We dwie cieszyły się każdą chwilą.

Właśnie podjechały pod biuro. Gadały przez całą drogę i teraz też, wchodząc do budynku. Lecz gdy tylko Tully otworzyła drzwi, wiedziała, że coś się stało. Mutt pakował pośpiesznie swój sprzęt. Johnny był w swoim gabinecie i wrzeszczał na kogoś przez telefon.

– Co się dzieje? – zapytała Tully, rzucając torebkę na idealnie uporządkowane biurko Kate.

Mutt spojrzał na nie.

– Jest demonstracja. To nasz news.

– Gdzie Carol?

– W szpitalu. Rodzi.

To była szansa. Tully weszła do gabinetu Johnny'ego, nawet nie pukając.

– Wpuść mnie na wizję. Wiem, że uważasz, że nie jestem gotowa, ale jestem. A poza tym nie masz nikogo.

Odłożył telefon i spojrzał na nią.

– Już powiedziałem oddziałowi, że ty przygotujesz relację. Przez to właśnie tyle krzyku. – Obszedł biurko, żeby do niej podejść. – Nie zawiedź mnie, Tully.

Wiedziała, że to nieprofesjonalne, ale nie mogła się powstrzymać: uściskała go.

– Jesteś cudowny. Będziesz ze mnie dumny. Zobaczysz.

Była w połowie drogi do drzwi, gdy odchrząknął i wypowiedział jej imię. Zatrzymała się i odwróciła.

– Nie chcesz przeczytać wstępnych informacji? Pójdziesz na oślep?

Tully poczuła, że się rumieni.

– Ojej. Przeczytam.

Wręczył jej stos śliskich kartek z faksu.

– Chodzi o jakąś kurę domową z Yelm, która kontaktuje się z duchami. J.Z. Knight.

Tully zmarszczyła brwi.

– To jakiś problem? – spytał Johnny.

– Nie. Ja tylko… znam kogoś, kto tam mieszka. I tyle.

– Cóż, na wizyty u znajomych nie znajdziesz czasu. Leć. Musisz być z powrotem przed drugą, żebyśmy zdążyli z montażem.

Bez Mutta i Tully w biurze panowała cisza. To był dopiero drugi raz w ciągu tego lata, gdy Kate znalazła się w pracy sama z Johnnym. Nieco zdenerwowana panującą ciszą – a także otwartymi drzwiami do jego gabinetu i świadomością, że on jest tuż za nimi – zbyt szybko odbierała telefony i słychać było, że jest zdyszana.

Tully zawsze wprowadzała tu hałas i rozgardiasz. Żyła wiadomościami telewizyjnymi i fascynowało ją w nich wszystko. Codziennie zasypywała Johnny'ego, Carol i Mutta gradem pytań i w każdej sprawie zwracała się do nich po radę. Kate niezliczoną ilość razy widziała, jak Mutt przewraca oczami, a Tully nagle odchodzi w środku rozmowy. Carol była jeszcze mniej uprzejma; ostatnio prawie nie rozmawiała z Tully. Nie żeby Tully to obeszło. Dla niej liczyły się newsy, zawsze były na pierwszym miejscu.

Natomiast Kate bardziej obchodzili ludzie w biurze niż tematy, które przygotowywali. Niemal natychmiast zaprzyjaźniła się z Carol, która często zabierała ją na lunch, by

poopowiadać o zbliżającym się porodzie, i równie często prosiła ją o zredagowanie swojego materiału albo przygotowanie researchu. Mutt też wybrał Kate na swoją powierniczkę. Całymi godzinami opowiadał jej o swoich problemach rodzinnych i kobiecie, która nie chciała za niego wyjść.

Jedyną osobą, z którą Kate nie nawiązała relacji, był Johnny. W jego obecności stawała się kłębkiem nerwów. Wystarczyło, by spojrzał na nią i się uśmiechnął, a jej wszystko leciało z rąk. Zawsze się jąkała, gdy przekazywała mu wiadomości, i potykała się o podartą wykładzinę w jego gabinecie. To było żałosne.

Najpierw Kate myślała, że to przez jego wygląd. Był ideałem chłopaka z katolickiej rodziny o irlandzkich korzeniach, z czarnymi włosami i niebieskimi oczami. Gdy się uśmiechał, cała jego twarz się zmieniała, sprawiając, że oddech wiązł jej w gardle. Zakładała, że jej zadurzenie nie potrwa długo, że z czasem, gdy go bliżej pozna, jego wygląd przestanie ją oszałamiać. Myślała, że przynajmniej uodporni się na jego uśmiech. Nic z tego. Wszystko, co mówił i co robił, sprawiało, że zamierało w niej serce. Pod cyniczną powłoką dostrzegała idealistę, więcej nawet, zranionego idealistę. Coś złamało Johnny'ego, wyrzuciło go tutaj, na skraj wielkiej opowieści, a ta tajemnica ją fascynowała.

Kate podeszła do narożnika pokoju, gdzie leżał stos taśm czekających na uporządkowanie. Podniosła właśnie całe naręcze, gdy Johnny pojawił się w drzwiach gabinetu.

– Hej – powiedział. – Jesteś zajęta?

Taśmy wysunęły jej się z ramion. *Idiotka.*

– Nie – odpowiedziała. – Nie bardzo.

– To chodźmy na prawdziwy lunch. Dzisiaj spokojny dzień, a ja mam dość kanapek z delikatesów.

– Hm… Jasne.

Skupiła się na podstawowych czynnościach: włączeniu automatycznej sekretarki, włożeniu swetra, zabraniu torebki.

Podszedł do niej.

– Gotowa?

– Możemy iść.

Szli obok siebie chodnikiem, przecięli ulicę. Od czasu do czasu ich ciała przypadkiem się dotykały, a Kate dotkliwie odczuwała każdy taki kontakt. Gdy wreszcie dotarli do restauracji, Johnny poprowadził ją do stolika w rogu, z którego roztaczał się widok na zatokę Elliott i sklepy przy Pier 70. Kelnerka zjawiła się niemal natychmiast, by przyjąć zamówienie.

– Mularkey, masz już tyle lat, że możesz pić alkohol? – zapytał z uśmiechem.

– Bardzo śmieszne. Ale w pracy nie piję. – Po tych słowach, które chyba nie mogły zabrzmieć bardziej sztywno, skrzywiła się i znowu pomyślała: *Idiotka.*

– Jesteś bardzo odpowiedzialną dziewczyną – powiedział, gdy kelnerka odeszła. Widać było, że z trudem powstrzymuje uśmiech.

– Kobietą – poprawiła stanowczo, mając nadzieję, że się nie rumieni.

Uśmiechnął się.

– Chciałem ci powiedzieć komplement.

– I wybrałeś słowo „odpowiedzialna”?

– A co byś wolała?

– Seksowna. Bystra. Piękna. – Roześmiała się nerwowo i bardziej dziewczęco, niżby chciała. – Wiesz, takie słowa, które lubi słyszeć każda kobieta. – Uśmiechnęła się. To była jej szansa, by mu zaimponować, skupić na sobie jego uwagę, tak jak on skupiał na sobie jej. Nie mogła tego zepsuć.

Odchylił się do tyłu. Miała nadzieję, że nie dlatego, że nagle zapragnął się od niej zdystansować. W tym momencie zaczęła gorączkowo żałować, że nie przespała się z żadnym ze swoich chłopaków z college'u. Była pewna, że widać po niej, że jest dziewicą.

– Pracujesz u nas ile… ze dwa miesiące?

– Prawie trzy.

– Jak ci się podoba?

– W porządku.

– W porządku? Dziwna odpowiedź. To raczej działka, którą się kocha albo której się nienawidzi. – Nachylił się, kładąc łokcie na stole. – Czujesz do tego pasję?

Znowu to słowo: to, które odróżniało ją od Tully tak wyraźnie jak ziarno od plew.

– T-tak.

Przyglądał się jej, a potem uśmiechnął porozumiewawczo. Zastanawiała się, jak głęboko do jej wnętrza sięga spojrzenie jego niebieskich oczu.

– Tully na pewno.

– Tak.

– Czy ona się z kimś spotyka? – zapytał, siląc się na obojętny ton.

Kate uznała to za sukces, że udało jej się nie drgnąć i nie zmarszczyć brwi. Teraz przynajmniej wiedziała, po co zaprosił ją na lunch. Powinna się była domyślić. Chciała powiedzieć: „Tak, od lat ma tego samego faceta", ale się nie odważyła. Tully może nie ukrywała już Chada, ale też się z nim nie afiszowała.

– A jak myślisz?

– Myślę, że spotyka się z wieloma mężczyznami.

Dzięki Bogu kelnerka wróciła z zamówieniem i Kate mogła udać, że zafascynował ją jej talerz.

– A ty? – zapytała. – Mam wrażenie, że tobie brakuje pasji do tego zawodu.

Gwałtownie podniósł wzrok.

– Dlaczego tak mówisz?

Wzruszyła ramionami i jadła dalej, ale jednocześnie uważnie go obserwowała.

– Może masz rację – powiedział cicho.

Zamarła. Jej widelec zawisł w powietrzu. Po raz pierwszy rozmawiali naprawdę. Właśnie wyznał coś ważnego, była tego pewna.

– Opowiedz mi o Salwadorze.

– Wiesz, co się tam działo? O masakrze w El Mozote? To była rzeź. Ostatnio znowu jest gorzej. Szwadrony śmierci zabijają cywilów, księży, zakonnice.

Kate niewiele o tym wszystkim wiedziała, ale pokiwała głową, obserwując emocje przemykające przez jego twarz. Nigdy nie widziała, by był tak ożywiony, tak zaangażowany. W jego oczach znów pojawił się ten trudny do zidentyfikowania wyraz.

– Brzmi tak, jakbyś to uwielbiał. Dlaczego wyjechałeś?

– Nie rozmawiam o tym. – Dopił piwo i wstał. – Wracajmy lepiej do biura.

Spojrzała na ledwo tknięte potrawy. Najwyraźniej posunęła się za daleko, drążyła zbyt głęboko.

– Jeśli to było zbyt osobiste pytanie, to przepraszam…

– Ależ skąd. To prahistoria. Chodźmy.

Przez całą drogę powrotną nie powiedział słowa. Weszli szybko po schodach i do cichego biura. Tam nie mogła się już powstrzymać i dotknęła jego ramienia.

– Naprawdę przepraszam. Nie chciałam cię zdenerwować.

– Jak już mówiłem, to dawne dzieje.

– Tyle że tak wcale nie jest, prawda? – powiedziała cicho i natychmiast wiedziała, że znów przesadziła.

– Wracaj do pracy – odparł szorstko, wszedł do swojego gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Yelm spało spokojnie w zielonej dolinie między Olympią i Tacomą. Zawsze było tego rodzaju miasteczkiem, którego mieszkańcy chodzą we flanelowych koszulach i wyblakłych dżinsach i witają się, gdy się mijają.

To wszystko zmieniło się kilka lat temu, w dniu, gdy liczący sobie trzydzieści pięć tysięcy lat wojownik z Atlantydy pojawił się rzekomo w kuchni najzwyklejszej gospodyni domowej.

Miejscowi, którzy wierzyli w kredo Północnego Zachodu „żyj i pozwól żyć”, przez długi czas starali się odwracać wzrok. Ignorowali dziwaków, którzy zjeżdżali do Yelm (wielu z nich w drogich autach i dizajnerskich ciuchach, typ prosto z Hollywood), i nie zwracali uwagi na tablice SPRZEDANO pojawiające się na najlepszych działkach w mieście.

Gdy rozeszła się wieść, że J.Z. Knight zamierza wybudować cały kompleks budynków na szkołę dla swoich wyznawców, miejscowi powiedzieli „dość”. Według szefa oddziału South Sound telewizji KCPO zorganizowali pikietę na terenie posiadłości Knight.

„Tłum” protestujący przeciwko planowanej budowie okazał się grupką dziesięciu osób, które trzymały transparenty i rozmawiały między sobą. Wyglądało to bardziej na pogawędkę przy kawie niż zgromadzenie polityczne – dopóki nie pojawił się wóz telewizyjny. Wtedy tłumek zaczął maszerować i skandować.

– Ach – mruknął Mutt. – Ta siła mediów.

Zaparkował na poboczu i zwrócił się do Tully:

– Powiem ci teraz coś, czego nie nauczyli cię na studiach: wkrocz w sam środek, wejdź w to. Jeśli będzie się zbierało na bójkę, chcę, żebyś tam była, jasne? Cały czas zadawaj pytania, cały czas rozmawiaj. A gdy dam ci znak, natychmiast zniknij z kadru.

Gdy Tully ruszyła za kamerzystą, serce łomotało jej w piersi. Protestujący natychmiast się ku nim zwrócili. Wszyscy mówili naraz, starając się przedstawić swoje racje i przepychając się przed innych. Mutt mocno popchnął Tully do przodu. Potknęła się i niemal walnęła nosem w klatkę piersiową olbrzymiego, tęgiego mężczyzny z brodą jak Święty Mikołaj i transparentem: POWIEDZCIE RAMCIE „NIE".

– Jestem Tallulah Hart z KCPO. Dlaczego zebraliście się tutaj dzisiaj?

– Zapytaj, jak się nazywa – krzyknął Mutt.

Tully się skrzywiła. „Cholera".

Mężczyzna odpowiedział:

– Nazywam się Ben Nettleman. Moja rodzina mieszka w Yelm od prawie osiemdziesięciu lat. Nie chcemy, żeby zmieniło się w jakiś supermarket dla dziwolągów z New Age.

– Mają od tego Kalifornię! – wrzasnął ktoś inny.

– Niech mi pan opowie o Yelm, które pan zna – powiedziała Tully.

– To spokojne miejsce, miejsce, w którym ludzie się o siebie troszczą. Rozpoczynamy dzień od modlitwy i zasadniczo nie interesujemy się tym, co robią nasi sąsiedzi… dopóki nie zaczną budować gówna, które tu nie pasuje, i sprowadzać wariatów całymi autokarami.

– Używa pan określenia „wariaci", dlatego że…

– Dlatego że to są wariaci! Ta kobieta kontaktuje się z jakimś umarlakiem, który twierdzi, że mieszkał na Atlantydzie.

– Ja też umiem udawać hinduski akcent. To nie czyni ze mnie Ramthy! – krzyknął ktoś z tłumku.

Przez kolejne dwadzieścia minut Tully robiła to, co umiała najlepiej: rozmawiała z ludźmi. Po sześciu czy siedmiu minutach odnalazła się w tym i przypomniała sobie to, czego ją uczono. Słuchała i zadawała pytania, takie, jakie zadałaby komukolwiek w zwykły dzień. Nie miała pojęcia, czy to właściwe pytania albo czy na pewno stoi w dobrym miejscu, ale przy trzeciej osobie Mutt przestał jej dawać instrukcje i pozwolił przejąć prowadzenie. Wiedziała też, że dobrze się w tym czuje. Ludzie naprawdę się przed nią otwierali, dzielili swoimi odczuciami, troskami i obawami.

– Okej, Tully – powiedział z tyłu Mutt. – Mamy to. Kończymy.

W chwili, gdy kamera została wyłączona, tłumek się rozproszył.

– Zrobiłam to – szepnęła Tully. Tylko tyle, choć tak naprawdę miała ochotę skakać z radości. – Co za szaleństwo.

– Dobrze ci poszło – docenił Mutt, posyłając jej uśmiech, którego miała nigdy nie zapomnieć.

Błyskawicznie spakował sprzęt i wskoczył do wozu.

Tully była nakręcona adrenaliną. I wtedy zobaczyła tablicę kempingu.

– Skręć tutaj – poprosiła, zaskakując samą siebie.

– Po co? – zapytał Mutt.

– Moja mama… jest tutaj na wakacjach. Na tym kempingu. Daj mi pięć minut, żebym się chociaż przywitała.

– Zrobię sobie przerwę na papierosa. To zajmie z kwadrans. Ale potem lecimy.

Wóz podjechał pod recepcję kempingu. Tully podeszła tam i zapytała o swoją matkę. Dyżurujący mężczyzna pokiwał głową.

– Numer trzydzieści sześć. Jak będziesz z nią rozmawiać, to przypomnij jej, że zalega z opłatą.

Idąc ścieżką wśród drzew, Tully z dziesięć razy miała ochotę zawrócić. Szczerze mówiąc, sama nie rozumiała, dlaczego tam jest. Nie widziała swojej matki ani nie rozmawiała z nią od pogrzebu babci i choć stała się wykonawcą testamentu babci, gdy skończyła osiemnaście lat, czyli odpowiadała za comiesięczny przekaz dla Chmury, nigdy nie dostała nawet podziękowania za pieniądze. Tylko kolejne pocztówki z informacją: „Przeprowadziłam się, proszę kierować przekazy na adres taki a taki". Ten kemping w Yelm to był ostatni adres.

Zobaczyła matkę stojącą przy rzędzie przenośnych toalet i palącą papierosa. W szarym szorstkim swetrze w indiański wzór i spodniach jak od piżamy przypominała uciekinierkę z więzienia. Upływ lat przygasił jej urodę i wyrył sieć cieniutkich zmarszczek na jej zapadniętych policzkach.

– Cześć, Chmuro – powiedziała Tully, podchodząc bliżej.

Kobieta zaciągnęła się papierosem i powoli wypuściła dym, patrząc na nią spod na wpół przymkniętych powiek. Tully dostrzegła, jak jej matka postarzała się od narkotyków. Nie mając nawet czterdziestu lat, Chmura wyglądała na co najmniej pięćdziesiąt. Jej oczy jak zwykle miały szkliste, niewidzące spojrzenie narkomanki.

– Przyjechałam tu zrobić reportaż dla wiadomości KCPO. – Tully starała się ukryć dumę w głosie, bo wiedziała, że głupotą byłoby spodziewać się czegokolwiek po matce, ale to i tak w niej tkwiło. Mgliste wspomnienie żałosnej małej dziewczynki, która wypełniła dwanaście albumów, żeby któregoś dnia jej matka mogła ją poznać i być z niej dumna. – To był mój pierwszy reportaż na antenie. Mówiłam ci, że będę kiedyś w telewizji.

Ciało Chmury zakołysało się lekko, jakby do unoszącej się w powietrzu muzyki, którą słyszała tylko ona.

– Telewizja to opium dla mas.

– Cóż, na narkotykach to się na pewno znasz.

– À propos, skończyła mi się kasa na ten miesiąc. Masz jakąś gotówkę?

Tully pogrzebała w torebce, znalazła pięćdziesięciodolarowy banknot, który trzymała w portfelu na wszelki wypadek, i podała go matce.

– Nie oddaj wszystkiego dilerowi.

Chmura zrobiła chwiejny krok do przodu i zgarnęła banknot.

Tully żałowała, że tu przyszła. Wiedziała, czego może się spodziewać po matce: niczego. Dlaczego nie potrafi się tego trzymać?

– Przyślę ci pieniądze na kolejny odwyk, Chmuro. Każda rodzina ma swoje tradycje, prawda? – Po tych słowach odwróciła się i poszła do wozu telewizyjnego.

Mutt czekał na nią. Rzucił niedopałek, zdeptał go obcasem i uśmiechnął się do niej.

– Mamusia dumna z córeczki po college'u?

– A jak myślisz? – odpowiedziała Tully, uśmiechając się szeroko i ocierając oczy. – Ryczała jak bóbr.

Gdy Tully i Mutt wrócili, wszyscy rzucili się do intensywnej pracy. Cała czwórka ścieśniła się w montażowni, by zamienić dwadzieścia sześć minut nagrania w wyrazistą i bezstronną półminutową relację. Kate starała się skupić na materiale, ale lunch z Johnnym przytępił jej zmysły, a może raczej je wyostrzył. Sama już nie była pewna. Wiedziała tylko, że dziewczęce zauroczenie, które czuła wobec niego, zanim zaprosił ją na lunch, zmieniło się w coś głębszego.

Gdy skończyli pracę, Johnny zadzwonił do dyrektora oddziału w Tacomie. Rozmawiał z nim przez chwilę, a potem rozłączył się i spojrzał na Tully.

– Puszczą to dzisiaj o dziesiątej, chyba że wydarzy się coś innego.

Tully podskoczyła i klasnęła.

– Udało nam się!

Kate poczuła ukłucie zazdrości. Pragnęła, by choć raz Johnny spojrzał na nią tak, jak patrzył na Tully. Gdyby tylko była taka jak jej przyjaciółka – pewna siebie, seksowna i gotowa zdobyć wszystko, czego chce, i każdego, kogo zapragnie. Wtedy mogłaby mieć szansę, ale na myśl o odrzuceniu przez Johnny'ego, o jego zdziwionym i jednocześnie pozbawionym wyrazu spojrzeniu wolała pozostać w cieniu.

W cieniu Tully, dokładnie rzecz biorąc. Jak zawsze Kate tylko śpiewała w chórku i nigdy nie padało na nią światło reflektorów.

– Chodźmy to oblać – powiedziała Tully. – Stawiam kolację.

– Ja nie mogę – rzucił Mutt. – Darla na mnie czeka.

– Na kolację nie dam rady, ale może na drinka koło dziewiątej? – zaproponował Johnny.

– Może być – odparła Tully.

Kate wiedziała, że powinna odmówić. Ostatnią rzeczą, której potrzebowała, było siedzenie przy stoliku i obserwowanie, jak Johnny patrzy na Tully – ale czy miała wybór? Była pomagierem. Rhodą Morgenstern. A dokądkolwiek szła Mary, Rhoda szła z nią, nawet jeśli to cholernie bolało.

Kate starannie wybrała ubranie: biała bluzka bez rękawów, czarna żakardowa kamizelka vintage i obcisłe dżinsy wsunięte

w krótkie marszczone kozaczki. Zakręciwszy włosy, zaczesała je na bok i spięła w kucyk. Myślała, że wygląda ładnie, dopóki nie weszła do salonu i nie zobaczyła tam kołyszącej się do muzyki Tully ubranej w sukienkę z zielonego dżerseju z głębokim dekoltem, watowanymi ramionami i szerokim metalicznym paskiem.

– Tully? Gotowa jesteś?

Tully zatrzymała się, wyłączyła stereo i wzięła Kate pod rękę.

– Chodź. Spadamy.

Na ulicy pod ich domem Johnny opierał się o swojego czarnego chevroleta el camino. W spłowiałych dżinsach i starym podkoszulku z Aerosmith wyglądał obłędnie seksownie w swobodny, lekko niechlujny sposób.

– Dokąd się wybieramy? – zapytała Tully. Natychmiast wzięła go pod ramię.

– Mam plan – oznajmił Johnny.

– Kocham, jak mężczyzna ma plan – powiedziała Tully. – A ty nie, Kate?

Słowo „kocham” w odniesieniu do Johnny’ego to było trochę zbyt wiele, więc Kate nie spojrzała na niego, gdy odpowiadała:

– Ja też.

Z Tully trzymającą ich pod ręce ruszyli brukowaną kocimi łbami uliczką przy pustym rynku. Koło oświetlonego neonem sex-shopu na rogu Johnny skręcił w prawo. Kate zmarszczyła brwi. Wzdłuż Pike ciągnęła się niewidzialna linia, niczym równik. Na południe od niej szybko robiło się nieprzyjemnie. Turyści się tu nie zapuszczali, chyba że szukali narkotyków albo prostytutek. Sklepy i firmy po obu stronach ulicy wyglądały bardzo podejrzanie.

Minęli dwie księgarnie dla dorosłych i kino dla widzów od osiemnastu lat, gdzie grano sequel porno o chearleaderkach

Debbie Does Dallas i parodię pod tytułem *Kuciapa Sobotniej Nocy*.

– Fantastycznie! – powiedziała Tully. – Z Kate nigdy się tu nie zapuszczamy.

Johnny zatrzymał się przed obdrapanymi drzwiami, które dawno temu pomalowano na czerwono.

– Gotowe? – zapytał z uśmiechem.

Tully pokiwała głową, a on otworzył drzwi. Muzyka niemal rozsadziła im bębenki.

Na stołku przy wejściu siedział olbrzymi czarnoskóry mężczyzna.

– Dowody tożsamości poproszę – powiedział, włączając latarkę, by obejrzeć ich prawa jazdy. – Zapraszam.

Tully i Kate pokazały dokumenty, a potem ruszyły ciemnym i wąskim korytarzem oklejonym ulotkami, plakatami i naklejkami na zderzaki. Korytarz przeszedł w długie, prostokątne pomieszczenie wypełnione ludźmi ubranymi w zdobione metalem czarne skóry. Kate nigdy nie widziała tylu przedziwnych fryzur w jednym miejscu. Były tam dziesiątki ludzi z dwudziestocentymetrowymi idealnie wyżelowanymi irokezami ufarbowanymi na wszystkie kolory tęczy.

Johnny poprowadził je przez parkiet i wzdłuż paru drewnianych stołów do baru, gdzie dziewczyna z postawionymi na sztorc krótkimi włosami w kolorze intensywnego różu i agrafką w policzku przyjmowała zamówienia. Przy końcu baru wisiał w rogu spory telewizor włączony na MTV. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Gdy barmanka podała im drinki, Johnny obdarzył ją hojnym napiwkiem i szerokim uśmiechem, a potem zaprowadził Kate i Tully do stolika w rogu pod telewizorem. Tully natychmiast uniosła margaritę w toaście.

– Za nas. Daliśmy dzisiaj czadu.

Stuknęli się kieliszkami i wypili.

A potem znowu wypili.

Po trzeciej kolejce Tully była już pijana. Gdy zaczynała się jej ulubiona piosenka – *Call Me* albo *Sweet Dreams (Are Made of This),* albo *Do You Really Want to Hurt Me?* – zrywała się i tańczyła sama obok stolika. Kate żałowała, że nie ma w sobie takiej swobody, ale dwa drinki nie wystarczyły, żeby ją odmienić. Siedziała więc tylko i obserwowała, jak Johnny patrzy na Tully. Nawet nie spojrzał na Kate, dopóki Tully nie poszła do łazienki.

– Ona nigdy nie zwalnia, prawda?

Kate starała się wymyślić taką odpowiedź, która skierowałaby rozmowę na inny temat niż jej przyjaciółka, a może nawet pozwoliła pokazać jej własną pasję, ale kogo chciała oszukać? Nie miała w sobie takiej pasji. Tully była jak ciemnoczerwony jedwab, a ona jak beżowa bawełna.

– Taa.

Tully wróciła z łazienki i chwiejnym krokiem podeszła do baru.

– Hej, jest dziesiąta. Możemy zmienić program? I tak nikt nie ogląda.

– Proszę bardzo. – Barmanka, która wyglądała jak statystka z jakiegoś filmu o postapokaliptycznej wojnie, wspięła się na schodki i zmieniła kanał.

Tully zbliżyła się do telewizora niczym przejęty czcią wierny do świętego obrazu.

A potem jej twarz wypełniła ekran.

Tallulah Hart z Yelm w stanie Waszyngton. W tym sennym miasteczku miała dziś miejsce demonstracja, podczas której wyznawcy J.Z. Knight i liczącego sobie trzydzieści pięć tysięcy lat ducha, którego Knight nazywa Ramthą, starli się z mieszkańcami z powodu budowy kompleksu…

Gdy materiał się skończył, Tully zwróciła się do przyjaciółki cichym, zdenerwowanym głosem:

– No i?

– Byłaś absolutnie odjazdowa – odpowiedziała z powagą Kate. – Poszło ci świetnie.

Tully zarzuciła jej ręce na szyję i mocno ją przytuliła, a potem chwyciła za rękę.

– Chodź. Chcę zatańczyć. Ty też, Johnny. Zatańczmy wszyscy razem.

Byli tam tańczący ze sobą mężczyźni i kobiety migdalące się do siebie przy utworach Sex Pistols. Dziewczyna obok Kate w czarnej plastikowej mini, kabaretkach i wojskowych butach tańczyła solo.

Tully pierwsza zaczęła tańczyć, potem Johnny, a na końcu Kate. Najpierw czuła się niezręcznie – jak piąte koło u wozu – ale pod koniec piosenki rozluźniła się. Alkohol podziałał niczym smar, sprawiając, że jej ciało poruszało się płynniej, a gdy muzyka się zmieniła i zwolniła, nie zawahała się przed wejściem w objęcia Tully i Johnny'ego. Poruszali się we trójkę w naturalny i zaskakująco seksowny sposób. Kate patrzyła na Johnny'ego, który wpatrywał się w jej przyjaciółkę, i nie mogła przestać pragnąć, by choć raz spojrzał tak na nią.

– Nigdy nie zapomnę tej nocy – oznajmiła Tully.

Johnny pochylił się i pocałował ją. Kate była na tyle pijana, że dopiero po chwili zorientowała się, co widzi. I wtedy nadszedł ból.

Tully odsunęła się od Johnny'ego.

– Niegrzeczny Johnny. – Roześmiała się i odepchnęła go.

Przesunął dłoń w dół jej pleców, próbując ją do siebie przyciągnąć.

– A nie mogę być niegrzeczny?

Zanim Tully odpowiedziała, ktoś zawołał jej imię, więc się odwróciła.

To Chad przedzierał się przez wirujący i tańczący pogo tłum. Z długimi włosami i w spłowiałym T-shirtcie z Brucem Springsteenem wyglądał jak hardrockowiec w świecie new wave.

Tully podbiegła do niego. Pocałowali się tak, jakby byli tam tylko we dwoje, a potem Kate usłyszała, jak jej przyjaciółka mówi:

– Zabierz mnie do łóżka, staruchu.

Wyszli bez słowa, nawet nie pomachawszy na pożegnanie. Kate wciąż znajdowała się w objęciach Johnny'ego. Wpatrywał się w drzwi, jakby spodziewał się, że Tully wróci, krzyknie „prima aprilis" i znowu zacznie z nimi tańczyć.

– Ona nie wróci – powiedziała Kate.

Johnny jakby się otrząsnął. Puścił ją, wrócił do stolika i zamówił dwa drinki. Zapadła cisza. Kate patrzyła na niego i myślała: „Spójrz na mnie".

– To był Chad Wiley – rzekł.

Kate skinęła głową.

– Nic dziwnego… – Johnny wbił wzrok w pusty korytarz po drugiej stronie parkietu.

– Są razem od dłuższego czasu.

Przyglądała się jego profilowi. W chwili szaleństwa pomyślała, by zrobić ruch, dotknąć go. Może potrafiłaby sprawić, żeby zapomniał o Tully albo zmienił zdanie; może dziś nie przejmowałaby się tym, że jest dla niego drugim wyborem albo że to przez alkohol. Miłość potrafi się narodzić z pijackiej namiętności, czyż nie?

– Myślałeś, że ty i Tully moglibyście…

Pokiwał głową, zanim dokończyła, i rzucił:

– Chodź, Mularkey. Odprowadzę cię do domu.

Po drodze do mieszkania cały czas powtarzała sobie, że tak jest lepiej.

– Cóż, dobranoc, Johnny – powiedziała pod drzwiami mieszkania.

– Dobranoc. – Ruszył ku windzie. W połowie drogi zatrzymał się i odwrócił. – Mularkey?

Zawahała się i spojrzała na niego.

– Tak?

– Byłaś dzisiaj naprawdę świetna. Mówiłem ci to? Mało kto pisze tak dobrze, jak ty.

– Dzięki.

Później, leżąc w łóżku i wpatrując się w ciemność, przypominała sobie jego słowa i to, jak wyglądał, gdy je wypowiadał. Jednak w jakiś drobny sposób ją dzisiaj zauważył. Może to nie jest aż tak beznadziejna sprawa, jak jej się wydawało?

13

W chwili gdy Tully zrobiła swój pierwszy program na antenę, wszystko się zmieniło. Stali się nierozłączną czwórką; Kate, Tully, Mutt i Johnny. Przez dwa lata przebywali bez przerwy razem, albo w biurze, pracując nad materiałami, albo przemieszczając się z miejsca na miejsce niczym Cyganie. Druga relacja Tully dotyczyła sowy śnieżnej, która zamieszkała na latarni ulicznej w dzielnicy Capitol Hill. Potem Tully śledziła kampanię Bootha Gardnera w wyborach na gubernatora i choć była jedną z dziesiątków reporterów zajmujących się tym tematem, to Gardner często w pierwszej kolejności odpowiadał na jej pytania. Zanim pierwsi milionerzy z Microsoftu zaczęli jeździć po centrum swoimi nowymi ferrari, słuchając przez wielkie słuchawki muzyki dla maniaków komputerowych, wszyscy w KCPO wiedzieli, że czas Tully w maleńkiej lokalnej stacji dobiega końca.

Wszyscy się tego domyślali, a najmocniej Johnny. Więc choć nie rozmawiali o przyszłości, nieustannie czuli jej zbliżający się cień, co sprawiało, że czas spędzany razem wydawał się słodszy i bardziej intensywny. W te rzadkie wieczory, gdy nie pracowali nad materiałem, Johnny, Tully i Kate spotykali się w Goldies, by wypić piwo i pograć w bilard. Pod koniec drugiego wspólnego roku wiedzieli już o sobie wszystko, co trzeba, a przynajmniej wszystko, czym chcieli się nawzajem podzielić. Poza tym co liczyło się najbardziej. Kate często myślała, jaka to ironia, że troje ludzi, którzy grzebią w gruzach życia w poszukiwaniu

kamyczków prawdy, jest tak uparcie ślepych na to, co dzieje się w ich własnym życiu.

Tully nie miała pojęcia, że Johnny jej pragnie, a on był zupełnie nieświadomy, że jego pragnie Kate. I tak ich dziwny milczący trójkąt trwał, dzień po dniu, noc po nocy. Tully ciągle pytała Kate, dlaczego nie chodzi na randki, a ona chciała to wyjaśnić, powiedzieć Tully prawdę, ale za każdym razem, gdy zaczynała, wycofywała się. Jak mogła powiedzieć prawdę o Johnnym po tym całym swoim gadaniu na Chada? Szef to przecież jeszcze gorzej niż wykładowca. A poza tym co Tully mogła wiedzieć o nieodwzajemnionej miłości? Przyjaciółka zaczęłaby ją zachęcać, żeby zaprosiła gdzieś Johnny'ego. I co wtedy powiedziałaby Kate? „Nie mogę. On kocha ciebie"? W głębi duszy, w ciemnym miejscu, o którym starała się nie pamiętać, drzemał jeszcze inny lęk, lęk, który dostrzegała jedynie w snach i koszmarach. W zimnym świetle dnia nie wierzyła w to, ale w nocy, gdy była sama, martwiła się, że gdyby Tully dowiedziała się o jej uczuciu, uczyniłoby to Johnny'ego atrakcyjniejszym w jej oczach. Taka właśnie była jej najlepsza przyjaciółka; nie chodziło o to, że pragnie tego, czego nie może mieć. On pragnęła wszystkiego i prędzej czy później to zdobywała. Kate nie chciała ryzykować. Mogła żyć bez Johnny'ego, ale gdyby straciła go dla Tully, nie zniosłaby tego. Więc Kate nic nie mówiła, dużo pracowała i odsuwała marzenia o miłości. Uśmiechała się, gdy mama, tata albo przyjaciółka wypominali jej brak życia towarzyskiego, żartowała, że ma wyższe wymagania niż niektórzy, na co zawsze wszyscy wybuchali śmiechem.

Starała się nie przebywać z Johnnym zbyt wiele sam na sam, tak na wszelki wypadek. Choć już nie upuszczała przedmiotów ani nie plątał jej się przy nim język, to zawsze wiedziała, że on jest bardzo spostrzegawczy i że mając wiele okazji, może

wyczuć to, co ona tak skrzętnie ukrywa. Jej plan sprawdzał się całkiem nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności, aż do pewnego chłodnego listopadowego dnia 1984 roku, gdy Johnny zawołał ją do swojego gabinetu.

Tego dnia znowu byli sami w biurze. Tully i Mutt nagrywali relację z rzekomego pojawienia się Wielkiej Stopy w lesie deszczowym na półwyspie Olympic. Kate wygładziła sweterek z angory i przywołała na twarz obojętny uśmiech. Gdy weszła do gabinetu, Johnny stał przy brudnym oknie.

– O co chodzi, Johnny?

Wyglądał okropnie. Wręcz nędznie.

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o Salwadorze?

– Pewnie.

– Wciąż mam tam przyjaciół. Jeden z nich, ojciec Ramón zaginął. Jego siostra sądzi, że zabrali go gdzieś na tortury albo że go zabili. Chce, żebym przyjechał i spróbował pomóc.

– Ale to ryzykowne…

– Ryzyko to moje drugie imię. – Uśmiechnął się, lecz ten uśmiech był niczym odbicie w lustrze wody, zaburzone i nieprawdziwe.

– Nie ma z czego żartować. Możesz zginąć. Albo zniknąć, jak ten dziennikarz podczas puczu w Chile. Nigdy go nie odnaleziono.

– Wierz mi – powiedział Johnny – wcale nie żartuję. Byłem tam, pamiętasz? Wiem, co to znaczy, gdy zawiązują ci oczy albo strzelają do ciebie. – Odwrócił głowę. Jego spojrzenie stało się niewyraźne, mgliste, a Kate zaczęła się zastanawiać, co mu się w tej chwili przypomina. – Nie mogę odwrócić się od ludzi, którzy mnie chronili. Czy mogłabyś odwrócić się od Tully, gdyby błagała cię o pomoc?

– Pomogłabym jej, o czym doskonale wiesz. Choć nie spodziewam się jej w strefie wojennej, chyba że masz na myśli

doroczną wyprzedaż w Nordstrom.

– Wiedziałem, że zrozumiesz. Czyli poprowadzisz biuro, gdy mnie nie będzie?

– Ja?

– Jak już kiedyś powiedziałem, odpowiedzialna z ciebie dziewczyna.

Nie mogła się powstrzymać. Podeszła do niego, spojrzała mu w oczy. On wyjeżdżał, mógł zostać ranny albo jeszcze gorzej.

– Kobieta – powiedziała.

Spojrzał na nią bez uśmiechu. Poczuła, że dzielą ich zaledwie centymetry. Wystarczyłby drobny ruch, by się dotknęli.

– Kobieta – powtórzył.

A potem zostawił ją otoczoną duchami słów, które mogła była powiedzieć.

Gdy Johnny wyjechał, Kate odczuła, jak elastyczny może być czas – potrafił rozciągnąć się tak, że minuty wydawały się godzinami. Ale wystarczyłby jeden telefon, urzędnik oznajmiający, że mu przykro, by czas pękł niczym gumka. Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, Kate cała się spinała. Pod koniec pierwszego dnia dostała koszmarnej migreny.

W tamtym pierwszym tygodniu nauczyła się jeszcze czegoś. Że życie toczy się dalej. Bonzowie z Tacomy wciąż dzwonili, wyznaczono producenta, który miał nadzorować projekty zlecone ich zespołowi, ale tak naprawdę to Kate zaczęła przejmować niektóre zadania producenta. Mutt i Tully ufali jej, a ona wiedziała, jak sprawić, by wszystko działało pomimo skromnego budżetu, który im przyznano. Całe to zadurzenie wyszło jej na dobre; obserwowała Johnny'ego tak uważnie, że umiała wykonywać jego pracę. Była niczym czeladnik przy

mistrzu; zdobyła odpowiednie kompetencje. Już w czwartek pierwszego tygodnia przysłany producent uniósł dłonie, stwierdził, że ma lepsze rzeczy do roboty niż bieganie za jakimiś wariatami przez cały dzień, i wrócił do Tacomy.

W piątek Kate wyprodukowała swój pierwszy materiał. To było coś lekkiego i nieistotnego – informacja o dawnej dziecięcej gwieździe telewizji, Brakemanie Billu – ale mimo wszystko był jej i został wyemitowany.

Poczuła przypływ adrenaliny, gdy zobaczyła swoje dzieło na ekranie, nawet jeśli wszyscy zapamiętali z niego twarz i głos Tully. Zadzwoniła do rodziców, a oni przyjechali, by obejrzeć emisję razem z nimi. Potem wznieśli toast za ich „marzenie" i zgodzili się, że dziewczyny są coraz bliżej jego realizacji.

– Zawsze myślałam, że Katie i ja będziemy razem występować na antenie jako duet prezenterski, ale chyba się myliłam – powiedziała Tully. – Ona będzie kiedyś producentką mojego show. A gdy będę udzielać wywiadu Barbarze Walters, powiem, że bez Kate nigdy bym tego nie osiągnęła.

Kate wznosiła ze wszystkimi toasty i uśmiechała się w odpowiednich momentach paplaniny Tully. Była z siebie dumna, naprawdę, z radością zrobiła ten materiał i szczerze świętowała jego emisję z rodzicami. Szczególnie wzruszający był moment, gdy mama wzięła ją na bok i powiedziała: „Jestem z ciebie dumna, Katie. Ruszyłaś swoją drogą. Nie cieszysz się, że nie zrezygnowałaś?". Ale jednocześnie ciągle zerkała na zegar i myślała o tym, jak wolno płynie czas.

– Wyglądasz okropnie – powiedziała Tully następnego dnia, rzucając stos taśm na biurko przyjaciółki.

Metaliczny brzęk zaskoczył Kate. Uświadomiła sobie, że znowu wpatrywała się w zegar.

– Taa, cóż, ty za to beznadziejnie śpiewasz.

Tully się roześmiała.

– Każdy ma jakiś słaby punkt. – Oparła dłonie o biurko Kate i nachyliła się. – Wybieramy się dzisiaj z Chadem do Backstage. Gra Junior Cadillac. Idziesz z nami?

– Nie dzisiaj.

Tully uważnie się jej przyjrzała.

– Co się z tobą, do diabła, dzieje? Od ponad tygodnia jesteś przygnębiona. Wiem, że źle śpisz – słyszę, jak kręcisz się w środku nocy – i nigdzie nie wychodzisz. Jakbym mieszkała z Człowiekiem Słoniem.

Kate nie mogła się powstrzymać przed zerknięciem na drzwi gabinetu Johnny'ego, a potem spojrzała na przyjaciółkę. Wezbrała w niej tęsknota, ostra i obezwładniająca. Gdyby tylko mogła powiedzieć Tully prawdę: że przypadkiem zakochała się w Johnnym i teraz się o niego martwi. Bardzo by jej wtedy ulżyło. W ciągu tych dziesięciu lat to była pierwsza rzecz, jaką ukryła przed Tully, i ten sekret sprawiał jej wręcz fizyczny ból. Lecz jej uczucia wobec Johnny'ego były tak delikatne. Wiedziała, że Huragan Tully stratowałby je i zniszczył.

– Jestem po prostu zmęczona – powiedziała. – Praca producenta jest bardzo wymagająca. To wszystko.

– Ale podoba ci się, prawda?

– Pewnie. Jest cudownie. A teraz leć już do Chada. Ja pozamykam.

Gdy Tully wyszła, Kate została dłużej w ciemnym, cichym biurze. Dziwne, ale lubiła tam być. Czuła się bliżej niego.

– Ale z ciebie idiotka – powiedziała na głos.

Szczerze mówiąc, powtarzała to sobie ostatnio co najmniej dwa razy dziennie. Zachowywała się i – czuła – jakby wyjechał jej chłopak, ale to była tylko wyobraźnia. Na szczęście nie zwariowała na tyle, by o tym zapomnieć.

Wróciła do pustego mieszkania. Z autobusu wysiadła na rogu Pierwszej i Pine. Pośród kolorowego tłumu turystów, dziwaków

i hipisów kupiła jakieś jedzenie na wynos. W domu usiadła z podwiniętymi nogami na kanapie, zjadła kolację prosto z białych kartonowych pudełek i obejrzała wieczorne wydanie wiadomości. Potem zapisała trochę pomysłów na nowe tematy, zadzwoniła do mamy i przełączyła na NBC, żeby obejrzeć *Dynastię* i *St. Elsewhere*.

W połowie odcinka serialu o szpitalu zadzwonił dzwonek do drzwi.

Kate zmarszczyła brwi i wstała.

– Kto tam?

– Johnny Ryan.

Kate jakby raził prąd. Poczuła jednocześnie ulgę, radość i strach. W ułamku sekundy odczuła wszystkie trzy emocje. Zerknęła w lustro wiszące na ścianie i aż wciągnęła gwałtownie powietrze. Wyglądała jak zdjęcie z magazynu z modą w kategorii „przed metamorfozą” – oklapnięte włosy, zero makijażu, niewyregulowane brwi.

Znów zapukał do drzwi.

Otworzyła.

Stał tam, opierając się całym ciężarem o framugę, ubrany w brudne levisy i koszulkę z trasy *Born in the USA*. Długie włosy miał rozczochrane i choć był opalony, jego twarz wydawała się starsza i zmęczona. Czuć było od niego alkohol.

– Hej – rzucił i oderwał palce od framugi na powitanie. W tym momencie omal się nie przewrócił.

Kate podeszła do niego. Podtrzymując go, wprowadziła do mieszkania, zatrzaskując stopą drzwi, i posadziła na kanapie, na którą niezgrabnie się osunął.

– Siedziałem w Athenian – powiedział – i zbierałem się na odwagę, żeby tu przyjść. – Rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem. – Gdzie Tully?

– Nie ma jej – odpowiedziała Kate, czując ucisk w sercu.

– Och.

Usiadła obok niego.

– Jak poszło w Salwadorze?

Zwrócił się ku niej, a w jego oczach było tyle rozpaczy, że wyciągnęła ręce, objęła go i przyciągnęła do siebie.

– Już nie żył – odpowiedział po dłuższej chwili. – Zanim w ogóle tam dotarłem, on już nie żył. Ale musiałem go znaleźć… – Wyjął piersiówkę z tylnej kieszeni spodni i pociągnął spory łyk. – Chcesz trochę?

Napiła się odrobinę, poczuła, jak alkohol pali ją w gardle i osadza się niczym gorące węgle w żołądku.

– To potworne, co się tam dzieje. I za mało się o tym mówi. Nikogo to nie obchodzi.

– Mógłbyś zrobić o tym reportaż – powiedziała, choć wcale jej się ten pomysł nie podobał.

– Chciałbym… – Jego głos przycichł, a potem się wyostrzył. – Stare dzieje. – Znowu napił się z piersiówki.

– Powinieneś trochę zwolnić.

Spróbowała odebrać mu butelkę, ale on chwycił Kate za nadgarstek i pociągnął na swoje kolana. Drugą dłonią objął jej twarz, dotykając policzka tak, jakby był niewidomy i próbował wyobrazić sobie, jak wygląda.

– Jesteś piękna – szepnął.

– A ty jesteś pijany.

– I tak jesteś piękna. – Przesunął jedną dłonią po jej ramieniu, a drugą po szyi, aż znalazła się w jego ramionach.

Wiedziała, że chce ją pocałować, czuła to każdą komórką nerwową ciała. Wiedziała też, że go powstrzyma. Przyciągnął ją bliżej siebie i jej silna wola wyparowała. Kate poddała się naciskowi jego dłoni, pozwoliła przyciągnąć się aż do jego ust.

Ten pocałunek był inny niż te, których dotąd doświadczyła: najpierw czuły i słodki, a potem poszukujący i żądający.

Poddała mu się tak całkowicie, jak o tym marzyła. Jego język elektryzował ją, wzbudził nową, bolesną falę pożądania. Była go głodna, zdesperowana. Nie namyślając się, wsunęła dłonie pod jego T-shirt, poczuła jego ciepłą skórę i przemożną potrzebę bycia jeszcze bliżej… Jej dłonie dotarły do jego obojczyków, ciągnąc w górę miękką i ciepłą bawełnę, gdy uświadomiła sobie, że przestał się poruszać.

Jej zmysły były w takim stanie, że potrzebowała chwili, żeby się otrząsnąć. Ciężko dysząc, obolała od pragnienia, odchyliła się, by mu się przyjrzeć. Leżał oparty o podłokietnik kanapy z półprzymkniętymi oczami. Powoli uniósł dłoń – urywanym ruchem, jakby nie do końca panował nad kończynami – i dotknął jej ust, przesuwając po nich opuszką palca.

– Tully – szepnął. – Wiedziałem, że będziesz dobrze smakować.

Zadawszy jej cios prosto w serce, zasnął.

Kate nie wiedziała, jak długo pozostała na jego kolanach, wpatrując się w twarz śpiącego. I znów czas między nimi zdawał się rozciągać w nieskończoność. Czuła się tak, jakby krwawiła, ale to nie krew z niej wypływała, to nie było coś, co dałoby się uzupełnić dzięki transfuzji. Kate traciła swoje marzenia. Traciła wyobrażony kwiat miłości, który sama zasadziła i który tak troskliwie pielęgnowała.

Zeszła z kolan Johnny’ego i ułożyła go na kanapie, ściągnęła mu buty i przykryła go kocem.

Już w swoim łóżku, za zamkniętymi drzwiami, leżała długi czas, starając się nie przypominać sobie tego, co się wydarzyło, ale nie potrafiła. Cały czas czuła smak jego warg, czuła jego język na swoim i słyszała, jak szepcze „Tully”.

Gdy wreszcie zasnęła, było już dobrze po północy, a ranek nadszedł zbyt szybko. O szóstej uciszyła budzik, umyła zęby, rozczesała włosy, włożyła szlafrok i pośpieszyła do salonu.

Johnny już nie spał, siedział przy stole w kuchni i pił kawę. Gdy weszła, odstawił kubek i wstał.

– Hej – powiedział, przeczesując dłonią włosy.

– Hej.

Patrzyli na siebie. Zacisnęła mocniej pasek frotowego szlafroka. Johnny zerknął na drzwi sypialni Tully.

– Nie ma jej – poinformowała Kate. – Spała dziś u Chada.

– A ty położyłaś mnie na kanapie i przykryłaś kocem?

– Owszem.

Podszedł do niej.

– Nieźle się wczoraj wstawiłem. Przepraszam. Nie powinienem był tu przychodzić.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Mularkey – odezwał się. – Wiem, że nie byłem wczoraj sobą…

– Zgadza się.

– Czy… do czegoś doszło? To znaczy nie chciałbym…

– Między nami? Skąd! – przerwała mu, zanim zdążył powiedzieć, jak bardzo żałowałby ich zbliżenia. – Nie martw się. Nic się nie wydarzyło.

Uśmiech, którym ją obdarzył, był tak pełen ulgi, że zebrało jej się na płacz.

– W takim razie widzimy się później w pracy, co? I dzięki, że się mną zaopiekowałaś.

– Spoko. – Skrzyżowała ramiona. – Od czego ma się przyjaciół?

14

Pod koniec 1985 roku w karierze Tully nastąpił przełom. Miała poprowadzić relację na żywo z Beacon Hill. Zaskoczyło ją, że się aż tak denerwuje – drżały jej dłonie i załamywał się głos – ale po zakończeniu transmisji poczuła się niezwyciężona. Dobrze jej poszło. Może nawet znakomicie.

Siedziała teraz na miejscu pasażera w wozie transmisyjnym – pojeździe urządzonym tak, by spełniał techniczne wymogi nadawania na żywo – i podrygiwała lekko z ekscytacji. Gdy zamykała oczy, znowu widziała to wszystko przed sobą: jak przepchnęła się na czoło tłumu i zadawała pytania, jak idealnie zakończyła transmisję, ujęcie przed rozświetlonym bankiem z migającymi w ciemności czerwonymi i żółtymi światłami radiowozów. Potem bardzo długo pakowali sprzęt i wyjeżdżali na trasę, ale to nie miało znaczenia. Im dłużej trwał ten wieczór, tym lepiej. Nawet nie odczepiła słuchawki, baterii, bezprzewodowego mikrofonu i walkie-talkie. Były dla niej jak chwalebne odznaczenia.

– Zjedź przy 7-Eleven – powiedział Johnny z tyłu wozu. – Pić mi się chce. Mutt, kupmy parę puszek na orzeźwienie. Twoja kolej, Tully, żeby po nie wyskoczyć.

Mutt skręcił na parking.

– Spoko.

Gdy zaparkowali, Tully zebrała od nich drobne, wysiadła z wozu i ruszyła w kierunku jaskrawo oświetlonego minimarketu.

– Pamiętaj, że nie lubię tej nowej coli – przypomniał jej Johnny przez słuchawkę.

Odpięła walkie-talkie od paska, włączyła i odpowiedziała:

– Mówisz mi to za każdym razem. Nie jestem idiotką.

W jasno oświetlonym sklepie rozejrzała się za chłodziarką z napojami, dostrzegła ją i ruszyła alejką z lekarstwami.

– Hej, posłuchajcie – powiedziała do walkie-talkie. – Mają geriavit. Wziąć ci, Johnny?

– Mądrala – stwierdził jego głos w słuchawce.

Ze śmiechem sięgnęła po uchwyt drzwi chłodziarki, gdy zauważyła w szybie poruszający się cień. Odwróciła się i zobaczyła mężczyznę w szarej kominiarce, który mierzył z pistoletu do sprzedawcy.

– O mój Boże.

– To do mnie? – przekomarzał się Johnny. – No nareszcie…

Drżącymi palcami poszukała przełącznika na walkie-talkie i wyłączyła je, zanim napastnik coś usłyszał. Przypięła urządzenie do paska i naciągnęła na nie marynarkę, ukrywając jednocześnie baterię nadajnika.

Człowiek z bronią przy kasie obrócił się w jej kierunku.

– Ty tam! Na podłogę. – Wycelował pistolet w sufit i pociągnął za spust.

– Tully? Co tam się, do cholery, dzieje? – Usłyszała w słuchawce głos Johnny’ego.

Tully upchnęła kabel słuchawki pod marynarką. A potem włączyła nadawanie na walkie-talkie, mając nadzieję, że Johnny odbierze dźwięk.

– Tu jest napad – szepnęła, naciskając przycisk nadawania.

W słuchawce usłyszała, jak Johnny mówi:

– Cholera jasna. Mutt, dzwoń na dziewięćset jedenaście, a potem zacznij kręcić. Tully, zachowaj spokój i połóż się na

podłodze. Mogą nam to puścić na żywo. Włącz mikrofon. Skontaktuję się ze stacją. Akurat nadają. Stan, słyszysz mnie?

Kilka sekund później Johnny powiedział:

– Okej, Tully. Puścimy to do Mike'a. Jest teraz na wizji w wiadomościach o dziesiątej. Będziesz mówiła na żywo. Nie będziesz mogła go słyszeć, ale on usłyszy ciebie.

Tully włączyła mikrofon i szepnęła:

– Nie wiem, Johnny. Jak mam…

– Twój mikrofon jest podłączony, Tully – rzucił szybko. – Jesteś na wizji. Już.

Zamaskowany mężczyzna musiał coś usłyszeć, bo nagle znów się ku niej obrócił i wycelował w nią broń.

– Mówiłem na podłogę, do diabła.

Zdołała jeszcze usłyszeć: „Mam dość tego gówna", a potem napastnik pociągnął za spust. Rozległ się głośny huk. Tully nie zdążyła krzyknąć, gdy kula trafiła ją w ramię. Przewróciła się na półki za sobą, dokoła mignęły spadające kolorowe pudełka. Mocno uderzyła głową o pokrytą linoleum podłogę.

Przez chwilę leżała, z trudem oddychając i wpatrując się w kręte linie jaskrawego oświetlenia.

– Tully?

To był głos Johnny'ego. W jej uchu. Powoli, bardzo powoli przekręciła się na bok. Ramię okropnie ją bolało, ale zacisnęła zęby i poruszała się dalej. Podpełzła do końca alejki, otworzyła opakowanie podpasek, przyłożyła jedną do rany i mocno przycisnęła. Ucisk cholernie zabolał, sprawiając, że zakręciło jej się w głowie.

– Tully? Co się stało? Odezwij się. Wszystko w porządku?

– Jestem – odpowiedziała. – Tylko założyłam sobie… opatrunek na ranę. Chyba wszystko okej.

– Dzięki Bogu – powiedział Johnny. – Chcesz wyłączyć mikrofon?

– Nie ma mowy.

– Okej. Jesteś na żywo, pamiętasz? Mów cały czas. Oni mnie nie słyszą, ale ciebie tak. To twoja przełomowa chwila, dziecino, a ja jestem tu, by ci pomagać. Możesz opisać, co się tam dzieje?

Przykucnęła, krzywiąc się z bólu, i powoli ruszyła do przodu, starając się ocenić, czy może się już wychylić.

– Przed chwilą zamaskowany mężczyzna wszedł do minimarketu w dzielnicy Baecon Hill i wymachując pistoletem, zażądał pieniędzy od kasjera. Wystrzelił raz w powietrze, a drugi raz do mnie. – Starała się szeptać wyraźnie.

Usłyszała jakiś dźwięk. Jakby płacz. Nisko pochylona wychyliła się za róg i zobaczyła małego chłopca skulonego w kolorowej alejce ze słodyczami.

– Hej – powiedziała, wyciągając rękę. Chwycił ją natychmiast i ścisnął tak mocno, jakby nigdy nie zamierzał jej puścić. – Jak masz na imię?

– Gabe. Jestem tu z dziadkiem. Widziałaś, jak ten człowiek strzelił?

– Widziałam. Zaraz poszukam twojego dziadka i sprawdzę, czy wszystko z nim w porządku. Ty zostań tutaj. Jak się nazywasz, Gabe, i ile masz lat?

– Linklater. W lipcu skończę siedem lat.

– Okej, Gabe Linklater. Zostań na podłodze i bądź cichutko. Żadnego płakania, okej? Bądź dzielnym chłopcem.

– Spróbuję.

Przycisnęła brodę do klatki piersiowej i zaczęła cicho mówić do mikrofonu. Nie wiedziała, czy w stacji ją słyszą, ale mówiła dalej.

– W alejce ze słodyczami natknęłam się na siedmioletniego Gabe’a Linklatera. Przyszedł tu z dziadkiem, którego teraz szukam. Słyszę, że mężczyzna z bronią stoi przy kasie i grozi sprzedawcy. Przekażcie policji, że jest tylko jeden napastnik.

Skręciła za róg i zobaczyła starszego człowieka, który siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i ściskał pudełko karmy dla psów Purina.

– Jest pan dziadkiem Gabe'a? – szepnęła.

– Nic mu nie jest?

– Trochę wystraszony, ale cały. Jest w alejce ze słodyczami. Co pan widział?

– Napastnik podjechał niebieskim samochodem. Widziałem go przez okno. – Spojrzał na jej ramię. – Czy nie powinna pani…

– Podejdę bliżej. – Przycisnęła podpaskę do rany, skrzywiła się z bólu i poczekała aż mdłości miną. Tym razem dłoń miała całą we krwi. Nie przejmując się tym, powtórzyła do mikrofonu do prezentera, że go nie słyszy i powiedziała: – Mike, wygląda na to, że napastnik przyjechał tu niebieskim samochodem, który powinien stać pod którymś z okien. Cieszę się, że mogę przekazać, że dziadkowi Gabe'a też nic nie jest. Spróbuję zbliżyć się do kasy. Słyszę, jak napastnik wrzeszczy, że pieniędzy powinno być więcej, a kasjer odpowiada, że nie potrafi otworzyć sejfu. Widzę migające światła na zewnątrz. Czyli policja już tu jest. Oświetlają sklep i mówią, żeby wyszedł z podniesionymi rękami. – Wysunęła się w górę na ułamek sekundy, a potem schowała za stojak reklamowy przedstawiający gimnastyczkę Mary Lou Retton jedzącą płatki śniadaniowe Wheaties. – Mike, powiedz policji, że on zdjął kominiarkę. Ma jasne włosy i tatuaż węża, który oplata mu szyję. Jest bardzo pobudzony. Wykrzykuje przekleństwa i wymachuje pistoletem. Myślę, że…

Rozległ się kolejny strzał. Prysnęło szkło. Zaraz potem oddział SWAT wpadł przez szklane drzwi.

– Tully! – To Johnny ją wołał.

– Nic mi nie jest. – Podniosła się powoli, czując falę bólu i mdłości. Przez wybite okno zobaczyła wóz transmisyjny. Mutt

stał tam z kamerą i wszystko nagrywał, ale nie dostrzegła Johnny'ego. – Funkcjonariusze SWAT ze Seattle rozbili właśnie kulami szyby i wbiegli do środka. Powalili już napastnika na ziemię. Sprawdzę, czy da się podejść bliżej i zadać im parę pytań.

Ominęła stojak reklamowy i powoli ruszyła do przodu. Była teraz przy alejce z płatkami i nagle przypomniały jej się sobotnie śniadania u Mularkeyów. Pani M. pozwalała jej jeść słodkie płatki Quisp. Ale tylko w weekendy.

To była jej ostatnia myśl, zanim straciła przytomność.

Jazda do szpitala zdawała się nie mieć końca. Przez całą drogę zatłoczonymi ulicami Kate siedziała w cuchnącej taksówce i modliła się, żeby Tully nic się nie stało. Wreszcie tuż po jedenastej dotarli pod szpital. Kate zapłaciła kierowcy i wbiegła do jasno oświetlonego holu.

Johnny i Mutt już tam byli, siedzieli na niewygodnych plastikowych krzesełkach i wyglądali bardzo kiepsko. Gdy weszła, Johnny wstał. Podbiegła do niego.

– Widziałam wiadomości. Co się stało?

– Została postrzelona w ramię, ale dalej relacjonowała. Szkoda, że jej nie widziałaś, Mularkey, była genialna. Nieustraszona.

Kate słyszała podziw w jego głosie, widziała go w jego oczach. W innych okolicznościach zraniłoby ją to, ta ewidentna duma, ale teraz ją tylko wkurzyła.

– I właśnie dlatego się w niej zakochałeś, prawda? Bo ma jaja, których tobie brakuje. Więc naraziłeś ją, sprawiłeś, że została ranna i jesteś dumny z jej „pasji". – Kate drżącym głosem przeciągnęła ostatnie słowo, jakby to był kawałek zatrutego

toffi. – Mam gdzieś bohaterstwo. Nie pytałam o wiadomości. Pytałam o to, czy żyje. Czy zapytaliście chociaż, co z nią?

Wydawał się zdumiony jej wybuchem.

– Jest na sali operacyjnej. I…

– Katie!

Usłyszała, że Chad woła jej imię, i odwróciła się, by zobaczyć, jak wbiega do holu. Przypadli do siebie w tak naturalny sposób, jakby byli wiatrem i deszczem.

– Co z nią? – szepnął jej do ucha głosem równie kruchym, jak jej samopoczucie.

Odsunęła się.

– Operują ją. Wiem tylko tyle. Ale wszystko będzie dobrze. Żadna kula nie powstrzyma huraganu.

– Ona nie jest tak twarda, jak udaje. Oboje o tym wiemy, prawda, Kate?

Przełknęła ślinę i skinęła głową. Zapadła niezręczna cisza, a oni stali tam połączeni niewidzialnymi więzami wspólnej troski. Widziała to w jego oczach i nie miała wątpliwości: naprawdę kochał Tully i był przerażony.

– Pójdę zadzwonić do rodziców. Na pewno chcieliby tu być.

Poczekała na odpowiedź, ale on tylko stał, z zamglonym wzrokiem, zaciskając dłonie w pięści przy bokach, niczym rewolwerowiec gotowy wyciągnąć broń. Odeszła z zafrasowanym uśmiechem. Gdy mijała Johnny’ego, nie mogła się powstrzymać i powiedziała:

– Tak właśnie prawdziwi ludzie pomagają sobie w trudnych momentach.

Znalazła automat telefoniczny, wrzuciła cztery ćwierćdolarówki i wybrała domowy numer. Gdy odebrał tata (dzięki Bogu, że nie mama, bo Kate zupełnie by się wtedy rozsypała), przekazała mu wieści i rozłączyła się.

Odwróciła się i zobaczyła Johnny’ego, który na nią czekał.

– Przepraszam.

– I słusznie.

– W tej branży, Katie, człowiek uczy się odsuwać wszystko inne i stawiać newsy na pierwszym miejscu. Ryzyko zawodowe.

– Newsy! Ludziom takim jak ty i Tully zawsze chodzi o newsy.

Zostawiła go tam i podeszła do kanapy, by na niej usiąść. Pochyliła głowę i znów zaczęła się modlić. Po chwili wyczuła, że podszedł. Nic nie mówił, więc podniosła wzrok. Nie poruszył się, nawet nie mrugnął, ale widziała, że jest spięty. Sprawiał wrażenie, jakby panował nad sobą ostatkiem sił.

– Jesteś twardsza, niż się wydaje, Mularkey.

– Czasami. – Chciała powiedzieć, że to miłość dodaje jej sił, zwłaszcza w takich chwilach, ale bała się wymówić to słowo, gdy na niego patrzyła.

Usiadł powoli obok niej.

– Kiedy zdążyłaś tak dobrze mnie poznać?

– To małe biuro.

– To nie dlatego. Nikt nie zna mnie tak dobrze jak ty. – Westchnął i odchylił się do tyłu. – Naraziłem ją na niebezpieczeństwo.

– Sama też by to zrobiła – przyznała pojednawczo Kate. – Oboje to wiemy.

– Tak, ale…

Gdy urwał, spojrzała na niego.

– Kochasz ją?

Nie zareagował, siedział tylko, odchylony do tyłu, z zamkniętymi oczami. Nie mogła tego znieść. Teraz, gdy wreszcie odważyła się zadać to pytanie, chciała odpowiedzi.

– Johnny?

Wyciągnął rękę, objął jej ramiona i przyciągnął do siebie. Skorzystała z pociechy. Bycie tak blisko niego przychodziło jej

naturalnie jak oddychanie, choć wiedziała, że to niebezpieczne odczucie.

I tak, nic już nie mówiąc, przesiedzieli długie, puste godziny tej nocy. Czekali.

Tully budziła się powoli, rejestrując otoczenie: biały podwieszany sufit, rzędy jarzeniówek, srebrna poręcz łóżka i stojąca obok taca.

Zaczęły powoli wracać wspomnienia: Beacon Hill. Minimarket. Skierowana w nią lufa pistoletu. I ból.

– Zrobiłabyś wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę, co?

Kate stała w drzwiach w luźnym dresie Uniwersytetu Waszyngtońskiego i starym T-shircie z greckiego tygodnia w college'u. Gdy podeszła do łóżka, miała łzy w oczach. Otarła je niecierpliwym gestem.

– Niech to. Miałam nie płakać.

– Dzięki Bogu, że tu jesteś. – Tully nacisnęła przycisk, żeby oparcie łóżka się podniosło.

– Pewnie, że jestem, głupolu. Wszyscy tu są. Chad, Mutt, mama, tata. Johnny. On i mój tata od paru godzin grają w karty i gadają o wiadomościach. Mama zrobiła co najmniej dwa nowe szale na drutach. Tak się o ciebie martwiliśmy.

– Dobrze wypadłam?

Kate roześmiała się, choć łzy spłynęły jej po policzkach.

– No to jest najważniejsze. Johnny powiedział, że skopałaś tyłek Jessice Savitch.

– Ciekawe, czy będą chcieli zrobić ze mną wywiad w *60 Minutes*.

Kate przysunęła się bliżej.

– Nie strasz mnie już tak więcej, okej?

– Postaram się.

Zanim Kate zdołała coś powiedzieć, drzwi się otworzyły i pojawił się w nich Chad z dwoma styropianowymi kubkami kawy.

– Obudziła się – powiedział cicho i odstawił kubki na stolik.

– Właśnie otworzyła oczy. Oczywiście bardziej interesują ją szanse na Emmy niż jej stan zdrowia. – Kate spojrzała na przyjaciółkę. – Zostawię was na chwilę.

– Ale będziesz tutaj? – zapytała Tully.

– Wrócę później, jak już wszyscy pójdą do domu.

– Dobrze – powiedziała Tully. – Bo cię potrzebuję.

Gdy Kate wyszła, Chad podszedł bliżej.

– Myślałem, że cię straciłem.

– Nic mi nie jest – odparła niecierpliwie. – Widziałeś te wiadomości? Co myślisz?

– Myślę, że jednak coś ci jest, Tully – odparł łagodnie. – I to coś poważnego, ale kocham cię. I przez całą noc myślałem o tym, czym byłoby moje życie bez ciebie, i nie podobało mi się to, co widziałem.

– Dlaczego miałbyś mnie stracić? Przecież jestem.

– Wyjdź za mnie, Tully.

Omal się nie roześmiała, wziąwszy to za żart. Ale potem dostrzegła lęk w jego oczach. On naprawdę bał się ją stracić.

– Ty naprawdę mówisz poważnie – stwierdziła, marszcząc brwi.

– Zaproponowano mi pracę na Uniwersytecie Vanderbilta w Tennessee. Chciałbym, żebyś ze mną pojechała. Kochasz mnie, Tully, nawet jeśli o tym nie wiesz. I potrzebujesz mnie.

– Oczywiście, że cię potrzebuję. Czy Tennessee nie jest przypadkiem w pierwszej czterdziestce rynków medialnych?

Jego zmęczona twarz stężała, a uśmiech zniknął.

– Kocham cię – powtórzył, tym razem delikatnie i bez pocałunku, który przypieczętowałby te słowa i nadał im wagę.

Drzwi do sali się otworzyły. Stojąca w nich pani Mularkey wzięła się pod boki. Miała na sobie tanią dżinsową spódnicę i prostą bluzkę z okrągłym kołnierzykiem. Wyglądała jak statystka z *Footloose*.

– Pielęgniarka powiedziała, że jeszcze pięć minut dla gości i wszystkich nas stąd wyrzuci.

Chad pochylił się i pocałował Tully. To był piękny, niezapomniany pocałunek, który jednocześnie ich połączył i podkreślił, jak bardzo mogą być od siebie daleko.

– Kochałem cię, Tully – szepnął.

„Kochałem?”. Czy on powiedział „kochałem”? W czasie przeszłym?

– Chad…

Odwrócił się od łóżka.

– Jest cała twoja, Margie.

– Przepraszam, że cię wyrzucam – zmieszała się pani Mularkey.

– Proszę się nie przejmować. Myślę, że mój czas się skończył. Do widzenia, Tully. – Minął matkę Kate i wyszedł z sali, pozwalając, by drzwi się za nim zatrzasnęły.

– Hej, mała – powiedziała pani Mularkey.

Tully zaskoczyła samą siebie, wybuchając płaczem.

Pani Mularkey głaskała ją po włosach i pozwoliła się jej wypłakać.

– Ja się tam chyba naprawdę przestraszyłam.

– Ćśśś – uspokajała ją pani Mularkey, ocierając jej łzy chusteczką higieniczną. – Oczywiście, że tak, ale teraz jesteś tutaj. I nie jesteś sama.

Tully płakała, aż przestało ją tak bardzo ściskać w piersi, a łzy się skończyły. Gdy poczuła się lepiej, otarła oczy

i spróbowała się uśmiechnąć.

– Okej. To teraz jestem gotowa na pogadankę.

Pani Mularkey zgromiła ją spojrzeniem.

– To twój profesor, Tallulah?

– Były profesor. Dlatego nic nie mówiłam. I tak by pani stwierdziła, że jest dla mnie za stary.

– Kochasz go?

– Skąd mam wiedzieć?

– Wiedziałabyś.

Tully spojrzała na panią M. Po raz pierwszy poczuła się, jakby była tą starszą, tą z większym doświadczeniem. Wszyscy Mularkeyowie uważali, że miłość to coś trwałego, pewnego i łatwego do rozpoznania. Tully może i była młoda, ale wiedziała, że się mylą. Miłość jest bardziej krucha niż kości wróbla. Ale nie powiedziała tego na głos. Powiedziała tylko:

– Może.

Z dnia na dzień Tully stała się sensacją medialną w Seattle. Felietonista Emmet Watson odstąpił od rytualnego narzekania na kalifornizację stanu Waszyngton i poświęcił swój tekst odwadze Tallulah Hart w obliczu niebezpieczeństwa, wyrażając dumę z jej zaangażowanego dziennikarstwa. Stacja radiowa KJR dedykowała wszystkie puszczane tego dnia rockandrollowe piosenki „lasce z wiadomości, która przy pomocy mikrofonu udaremniła napad" i nawet w *Almost Live*, lokalnym serialu komediowym, wyprodukowano odcinek, w którym naśmiewano się z mamroczącego napastnika, a Tully przedstawiono w kostiumie Wonder Woman.

Do jej sali szpitalnej napływały kwiaty i baloniki; wiele z nich podpisali ludzie, którzy sami tworzyli wiadomości. W środę

Tully zaczęła przekazywać piękne bukiety i upominki innym pacjentom. Opiekujące się nią pielęgniarki, oprócz zwykłych obowiązków, musiały jednocześnie pełnić funkcję ochroniarzy.

– Ty tu jesteś geniuszem. Co mam robić? – spytała.

Siedziała na łóżku, przeglądając stos różowych karteczek z zapisanymi wiadomościami telefonicznymi, które Kate przyniosła jej z biura. Tworzyły imponującą listę nazwisk, ale Tully trudno się było skupić. Ramię ją bolało, a temblak utrudniał najprostsze czynności. Najgorsze było to, że nie mogła przestać myśleć o zaskakującej propozycji Chada.

– Bo wiesz, Tennessee… Równie dobrze to mogłaby być Nebraska.

– Z całą pewnością.

– Jak mogę zrobić karierę w takim miejscu? A może to właśnie tam dotarłabym na szczyt i zostałabym zauważona przez główne sieci?

Kate siedziała po drugiej stronie łóżka z nogami wyciągniętymi wzdłuż nóg Tully.

– Posłuchaj. Rozmawiamy o tym chyba od godziny. Może się na tym nie znam, ale w którymś momencie powinnaś chociaż wspomnieć o miłości.

– Twoja mama powiedziała, że wiedziałabym, gdybym go kochała.

Spojrzała na swoją lewą dłoń, próbując tam sobie wyobrazić pierścionek z diamentem.

– Mówiłaś, że mam cię zastrzelić, jeśli choć pomyślisz o małżeństwie przed trzydziestką – przypomniała jej Kate. – Chciałabyś wnieść poprawkę?

– Bardzo zabawne.

Zadzwonił telefon obok łóżka. Wciąż wpatrując się w swoją dłoń, Tully szybko odebrała, mając nadzieję, że to Chad.

– Słucham?

– Tallulah Hart?

Westchnęła rozczarowana.

– Przy telefonie.

– Nazywam się Fred Rorbach. Może mnie pani pamięta…

– Oczywiście, że pana pamiętam. KILO-TV. Wysyłałam panu artykuły co tydzień przez całą klasę maturalną, a potem taśmy z college'u. Co u pana?

– Wszystko w porządku, dziękuję, ale teraz pracuję dla KLUE-TV, nie KILO. Prowadzę wieczorne wiadomości.

– Gratuluję.

– I dlatego właśnie dzwonię. Pewnie nie jesteśmy pierwszą stacją, która się do pani zwraca, ale jestem przekonany, że zaoferujemy pani najlepsze warunki.

Tully nadstawiła uszu.

– Och, naprawdę?

Kate zsunęła się z łóżka i stanęła obok przyjaciółki, mówiąc szeptem: „Co jest?".

Tully tylko machnęła ręką.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Zrobimy wszystko, żeby dołączyła pani do wiadomości KLUE-TV. Kiedy mogłaby pani przyjść, żeby o tym porozmawiać?

– Właśnie wypisują mnie ze szpitala. Może jutro? O dziesiątej.

– W takim razie do zobaczenia.

Tully odłożyła słuchawkę i głośno pisnęła:

– To było KLUE-TV. Chcą mnie zatrudnić!

– Och, mój Boże – powiedziała Kate, prawie podskakując. – Będziesz gwiazdą. Wiedziałam. Nie mogę się doczekać, żeby po… – urwała w połowie zdania, a jej uśmiech zgasł.

– Co?

– Chad.

Tully poczuła skurcz głęboko w trzewiach. Chciała udawać, że ma się nad czym zastanawiać, zanim podejmie decyzję, ale znała prawdę, podobnie jak Kate.

– Będziesz wielką gwiazdą – stwierdziła stanowczo Kate. – On zrozumie.

15

Kate udawała, że skupia całą uwagę na kierowaniu samochodem Tully, ale to nie było łatwe. Odkąd odebrała ją z rozmowy o pracę, Tully bez przerwy trajkotała, snując ich dawne dziewczęce marzenia. „Jesteśmy na dobrej drodze, Kate. Gdy tylko zacznę prowadzić wiadomości, zadbam o to, żeby zatrudnili cię jako reporterkę”.

Kate wiedziała, że powinna – w końcu – postawić tamę tym opowieściom o wspólnej przyszłości. Była zmęczona podążaniem za Tully, a poza tym nie chciała rezygnować z obecnej pracy. Miała wreszcie powód, by zostać tam, gdzie była.

Johnny’ego.

Ależ to żałosne… On jej nie kochał, ale ona i tak liczyła, że może będzie mieć jakąś szansę, gdy Tully odejdzie. To było komiczne i żenujące, ale jej marzenia koncentrowały się bardziej na nim niż na dziennikarstwie. Oczywiście nikomu by o tym nie powiedziała. Dwudziestopięcioletnie absolwentki college’u miały marzyć o wyższych zarobkach, kolejnych stanowiskach na korporacyjnej drabinie i prowadzeniu firm, które kiedyś nie chciały zatrudnić ich matek. Przed trzydziestką należało unikać zamążpójścia. Na małżeństwo i dzieci zawsze będzie czas, jak często powtarzano. Nie można dla nich rezygnować z siebie.

A jeśli pragnęło się ich bardziej niż lepszej i potężniejszej samej siebie? Nikt nigdy o tym nie mówił. Kate wiedziała, że

Tully wyśmiałaby takie rozważania, stwierdziłaby, że Kate utknęła mentalnie w latach pięćdziesiątych. Nawet mama odmówiłaby jej racji i użyłaby tego znamiennego słowa: „żal". Wyrecytowałaby slogany jak ze stron czasopisma „Ms.", że bycie tylko matką to marnowanie talentów. Jej mama nawet nie zauważała, jak smutno wygląda, gdy to mówi, jakby życie, które wybrała, było do niczego.

– Hej, przegapiłaś ulicę.

– Och, przepraszam Tully. – Kate skręciła w kolejną przecznicę i zawróciła, by zaparkować pod domem Chada. – Poczekam tutaj. Mam *Talizman* Kinga do dokończenia.

Tully nadal nie wysiadała.

– On zrozumie, dlaczego nie mogę za niego wyjść. Wie, ile to dla mnie znaczy.

– Wie na pewno – zgodziła się Kate.

– Życz mi powodzenia.

– Jak zawsze!

Tully wysiadła i podeszła do drzwi domu.

Kate otworzyła książkę i zanurzyła się w świecie powieści. Gdy dużo później podniosła wzrok, okazało się, że zaczęło padać.

Tully powinna była już wrócić, powiedzieć jej, żeby jechała do domu, bo ona zostanie na noc u Chada. Kate zamknęła książkę i wysiadła z auta. Gdy szła betonową ścieżką, ogarnęło ją złe przeczucie. Coś było nie tak. Zapukała dwa razy, a potem otworzyła drzwi.

Tully była w pustym salonie. Klęczała przed kominkiem i płakała. Podała Kate zalaną łzami kartkę papieru.

– Przeczytaj.

Kate przykucnęła na piętach i spojrzała na napisany odręcznie tuszem list.

Kochana Tully,

to ja poleciłem Cię do KLUE, więc wiem wszystko o pracy, o której chcesz mi opowiedzieć, i jestem z Ciebie dumny, skarbie. Wiedziałem, że Ci się uda.

Gdy przyjmowałem ofertę Vanderbilta, zdawałem sobie sprawę z tego, co to dla nas oznacza. Miałem nadzieję… ale tak naprawdę wiedziałem.

Chcesz mnóstwo od świata, Tully. A ja… ja pragnę tylko Ciebie. To nie jest idealne dopasowanie, prawda?

Ale najważniejsze jest to, że zawsze będę Cię kochać.

Spraw, by świat stanął w ogniu.

Zamiast podpisu, tylko „C”.

– Myślałam, że mnie kocha – powiedziała Tully, gdy Kate oddała jej list.

– Wygląda na to, że właśnie tak jest.

– To dlaczego mnie zostawił?

Kate spojrzała na przyjaciółkę, odnosząc wrażenie, jakby słyszała echo tamtych czasów, gdy Tully porzucała jej matka.

– Powiedziałaś mu kiedykolwiek, że go kochasz?

– Nie potrafiłam.

– To może go nie kochasz.

– A może tak – westchnęła Tully. – Tylko tak cholernie trudno w to uwierzyć.

To była fundamentalna różnica między nimi. Kate wierzyła w miłość całym sercem, ale niestety, zakochała się w mężczyźnie, który nie zauważał jej istnienia.

– Teraz i tak liczy się twoja kariera. Na miłość i ślub zawsze jest czas.

– Tak. Kiedy mi się uda.

– Właśnie.

– Ktoś mnie wtedy na pewno pokocha.

– Cały świat będzie cię kochać.

Ale później, długo po tym, jak Tully powiedziała: „Pieprzyć go” i roześmiała się nieco żałośnie, Kate nie potrafiła wyrzucić z głowy tych słów. Nagle zaczęła się martwić.

A co, jeśli pewnego dnia cały świat pokocha Tully, ale to nadal nie wystarczy?

Tully zapomniała, jak długie i samotne mogą być noce. Przez tyle lat Chad był jej osłoną i przystanią. Z nim nauczyła się przesypiać całe noce, oddychając spokojnie i śniąc jedynie o wspaniałej przyszłości. Kochał ją, więc spała też dobrze we własnym łóżku, gdy nie byli razem, bo pociechę niosła świadomość, że w każdej chwili może do niego pójść.

Odrzuciła kołdrę i wstała. Zerknęła na budzik na nocnym stoliku, żeby zorientować się, że jest tuż po drugiej nad ranem.

Tak jak myślała: długie i samotne.

W kuchni nastawiła czajnik i czekała, stojąc przy kuchence, aż woda się zagotuje.

Może popełniła błąd. Może pustka, którą teraz odczuwała, to właśnie miłość. Biorąc pod uwagę życie, które dotąd prowadziła, nic dziwnego, że dostrzegała minusy tego uczucia, a nie plusy. Ale gdyby go kochała, jaka byłaby różnica? Co by zrobiła? Pojechała za nim do Tennesse, żeby zamieszkać w profesorskim domu i być panią Wiley? Jak miałaby wtedy zostać kolejną Jean Enersen albo Jessicą Savitch?

Wyjęła z szafki duży firmowy kubek KVTS i zrobiła sobie herbaty, a potem przeszła do salonu, gdzie usiadła na kanapie, podciągnęła stopy i zaczęła ogrzewać zimne dłonie o ciepłą porcelanę. Z kubka unosiła się aromatyczna para. Tully zamknęła oczy i spróbowała oczyścić umysł.

– Nie możesz spać?

Podniosła wzrok i zobaczyła Kate, która stała przed swoją sypialnią, w tej samej flanelowej koszuli nocnej, którą nosiła od lat. Tully zwykle dokuczała jej, że wygląda jak jedna z bohaterek serialu *Waltonowie*, ale dziś ucieszył ją ten znajomy widok. Zabawne, że drobny element garderoby może przypominać o wspólnie przeżytych latach – nocowaniu u koleżanki, przebierankach, oglądaniu kreskówek w sobotni poranek.

– Przepraszam, jeśli cię obudziłam.

– Hałasujesz jak słoń. Zostało wody na herbatę?

– Chyba tak.

Kate poszła do kuchni i wróciła z kubkiem herbaty i opakowaniem popcornu w cukrze. Rzuciła pudełko Screaming Yellow Zonkers na środek kanapy i usiadła na niej przodem do Tully, opierając się o podłokietnik.

– Wszystko w porządku?

– Ramię boli jak diabli.

– A kiedy ostatnio brałaś tabletkę przeciwbólową?

– Zapomniałam.

Kate odstawiła kubek, poszła do łazienki i przyniosła oksykodon i szklankę wody.

Tully połknęła tabletkę i popiła.

– No to – powiedziała Kate, siadając z powrotem na kanapie – chcesz pogadać o tym, co się kompletnie posypało?

– Nie.

– Daj spokój, Tully. Wiem, że myślisz o Chadzie i zastanawiasz się, czy dobrze zrobiłaś.

– Na tym właśnie polega problem z wieloletnimi przyjaciółkami. Za dużo o tobie wiedzą.

– Możliwe.

– A zresztą co ty i ja możemy wiedzieć o miłości?

Twarz Kate przybrała ten smutny, na wpół osądzający wyraz, którego Tully nienawidziła. Był niemal jak mina „biedna Tully”.

– Ja wiem, co to miłość – powiedziała cicho Kate. – Może nie co to znaczy kochać i być kochaną, ale wiem, co to znaczy kochać kogoś i jak to może boleć. Myślę, że gdybyś naprawdę kochała Chada, wiedziałabyś o tym i byłabyś teraz w Tennessee. A przynajmniej gdybym ja kogoś kochała, tobym wiedziała.

– Dla ciebie wszystko jest zawsze czarne albo białe. Skąd zawsze wiesz, czego chcesz?

– To ty wiesz, czego chcesz, Tully. Zawsze wiedziałaś.

– Czyli ja się nie zakocham? To cena sukcesu i sławy? Zawsze będę sama?

– Oczywiście, że możesz się zakochać. Tylko musisz sobie na to pozwolić. Nie bez powodu mówi się „stracić dla kogoś głowę”.

Te słowa powinny pocieszyć Tully. Miały dać jej nadzieję, wiedziała o tym, ale w tym momencie, słysząc je od Kate, nie poczuła się pokrzepiona. Raczej zimna i pusta.

– Czegoś mi brakuje – powiedziała cicho. – Najpierw dostrzegł to mój tata. Kimkolwiek, do cholery, był, wystarczyło, że raz na mnie spojrzał, i uciekł. O mojej kochającej matce nawet nie wspomnę… Tak łatwo mnie porzucić. Dlaczego?

Kate przesunęła się na kanapie, oparła o Tully tak, jak to dawniej robiły, lata temu nad brzegiem Pilchuck River. Pudełko z popcornem gniotło ją w plecy, więc wyciągnęła je i rzuciła na zasypany gazetami stolik do kawy.

– Niczego ci nie brakuje, Tully. Jest wręcz odwrotnie. Masz w sobie więcej niż większość ludzi. Jesteś naprawdę, naprawdę wyjątkowa i jeśli Chad tego nie widział – albo nie mógł poczekać, aż będziesz na niego gotowa – to po prostu nie był facetem dla ciebie. Może to typowy problem, gdy jest się ze starszym od siebie mężczyzną. On jest gotowy lądować, gdy ty dopiero zaczynasz wznosić się w powietrze.

– To prawda. Jestem młoda. Zapomniałam o tym. Powinien to zrozumieć i poczekać na mnie. Bo gdyby mnie naprawdę kochał, to przecież nie mógłby mnie zostawić. Czy mogłabyś zostawić kogoś, kogo kochasz?

– To zależy.

– Od czego?

– Gdybym uważała, że on mnie nigdy nie pokocha.

– Ile byś czekała?

– Długo.

Te słowa sprawiły, że Tully poczuła się lepiej po raz pierwszy, odkąd przeczytała list od Chada.

– Masz rację. Kochałam go, ale on chyba nie kochał mnie. W każdym razie nie dość mocno.

Kate zmarszczyła brwi.

– Ja nic takiego nie powiedziałam.

– Ale coś w tym stylu. Jesteśmy o wiele za młode, by dać się usidlić miłości. Jak mogłam o tym zapomnieć? – Uścisnęła Kate. – Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Dopiero dużo później, po długiej i bezsennej nocy, gdy Tully leżała w łóżku i patrzyła przez okno na wstający świt, wróciły do niej jej własne słowa z niedającą się zbyć intensywnością. „Tak łatwo mnie porzucić”.

16

Od chwili gdy Tully rozpoczęła nową pracę, Kate miała wrażenie, jakby obserwowała życie przyjaciółki z dystansu. Mijał miesiąc za miesiącem, a one żyły osobno. Łączyło je tylko wspólne lokum. Pod koniec następnego lata ich malutkie mieszkanie, kiedyś centrum ich życia, stało się czymś w rodzaju przystanku. Tully spędzała w pracy dwanaście godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu. Gdy nie była w pracy fizycznie, śledziła tematy, analizowała wątki, starała się robić wszystko – dosłownie wszystko – żeby trafić przed kamerę.

Bez Tully życie Kate jakby straciło kształt i zaczęło przypominać sprany sweter, któremu żadne zabiegi nie zdołają przywrócić dawnej formy. Mama ciągle jej powtarzała, żeby spróbowała otrząsnąć się z przygnębienia i zaczęła chodzić na randki i imprezować, ale jak mogła umówić się na randkę, skoro nie interesował jej żaden z tych mężczyzn, którzy interesowali się nią?

Tully nie miała takich problemów. Wciąż opłakiwała Chada, gdy piły późnymi wieczorami, ale spotykała się z facetami i sprowadzała ich do domu. Kate jeszcze nie zdarzyło się zobaczyć u niej dwa razy tego samego mężczyzny. Tully twierdziła, że taki jest plan. Nie miała zamiaru się zakochać. A przynajmniej tak twierdziła. Z biegiem czasu oczywiście zaczęła wierzyć, że kochała Chada tak szaleńczo, że nikt nie mógłby go zastąpić. Ale nie na tyle szaleńczo, jak nieustannie wytykała jej Kate, by do niego zadzwonić albo przenieść się do

Tennessee. Szczerze mówiąc, Kate męczyły już pijackie wspominki przyjaciółki o cudownej miłości, która łączyła ją z Chadem.

Kate wiedziała, czym jest miłość, jak potrafi wywrócić wszystko do góry nogami i złamać serce. Nieodwzajemniona miłość to coś przeraźliwie smutnego. Przez cały dzień, codziennie, Kate poruszała się niczym satelita wokół Johnny'ego, obserwując go, pragnąc go i rozpaczliwie tęskniąc. W samotności i milczeniu.

Po tamtej długiej nocy, którą spędzili razem w poczekalni szpitala, Kate myślała, że może jest jakaś nadzieja. Czuła, że otwarły się między nimi jakieś drzwi; dobrze im się rozmawiało i to o ważnych rzeczach. Ale jakiekolwiek ścieżki udało się wydeptać w jaskrawym świetle szpitalnej poczekalni, z nadejściem świtu zniknęły. Kate nigdy nie zapomni wyrazu jego twarzy, gdy dowiedział się, że Tully nic nie będzie. To było coś więcej niż ulga.

I wtedy właśnie się od niej odsunął.

A teraz nadszedł czas, by i ona się od niego odsunęła. Pora zostawić dziecięce marzenia w piaskownicy razem z zapomnianymi zabawkami i pójść dalej. On jej nie kochał. Wszelkie marzenia o tym, by było inaczej, to mrzonki. To nie może już dłużej trwać. Taką decyzję Kate podjęła dziś w biurze, stojąc w drzwiach do jego gabinetu i czekając, by zauważył jej obecność.

Gdy tylko skończyła pracę, poszła do kiosku w Public Market i kupiła wszystkie lokalne gazety. Miała zamiar zmienić kurs swojego życia, gdy Tully wyjdzie powłóczyć się po barach ze swoim jednodniowym chłopakiem albo zostanie w pracy do późna.

Siedząc przy kuchennym stole, z niedojedzoną kolacją w pudełkach porozstawianych na blacie, otworzyła „Seattle

Times” i przeszła do działu ogłoszeń. Znalazła tam kilka ciekawych propozycji. Sięgnęła po długopis i już miała zaznaczyć jedną z nich, gdy drzwi się otwarły.

Odwróciła się i zobaczyła w nich Tully. Jej przyjaciółka ubrała się jak na randkę – artystycznie podarta bluza odsłaniająca jedno ramię, dżinsy wpuszczone w opadające kozaczki i szeroki, nisko zapięty pasek. Włosy natapirowane dokoła twarzy i zebrane kolorową spinką nad lewym uchem. Na szyi kilka naszyjników z krzyżykami.

I oczywiście facet, na którym się uwiesiła.

– Hej, Katie – powiedziała, rozciągając głoski tak, jakby wypiła już ze trzy margarity.

Mężczyzna wyłonił się zza framugi.

Johnny.

– Cześć, Mularkey – rzucił z uśmiechem. – Tully chce, żebyś poszła z nami potańczyć.

Kate starannie poskładała gazetę.

– Nie, dziękuję.

– No weź, Kate. Będzie jak za dawnych czasów – namawiała Tully. – Jak trzej muszkieterowie.

– Nie sądzę.

Tully puściła dłoń Johnny’ego i potykając się, przypadła do niej.

– Proszę – powiedziała. – Miałam dziś kiepski dzień. Potrzebuję cię.

– Nie… – zaczęła Kate, ale Tully jej nie słuchała.

– Pójdziemy do Kells.

– No chodź, Mularkey – powiedział Johnny, podchodząc bliżej. – Będzie fajnie.

Sposób, w jaki się uśmiechnął, nie pozwolił Kate odmówić, choć wiedziała, że to zły pomysł, by do nich dołączać.

– Okej – powiedziała. – Przebiorę się.

Poszła do sypialni i włożyła błyszczącą niebieską sukienkę z poduszkami na ramionach i paskiem z klamrą. Zanim wyszła ze swojego pokoju, Johnny przycisnął Tully do ściany, przytrzymując jej dłonie nad głową i zaczął ją całować.

– Jestem gotowa – powiedziała głucho Kate.

Tully wywinęła się spod Johnny'ego i uśmiechnęła do niej.

– Doskonale. Zaszalejmy.

Wyszli z mieszkania i ruszyli pustą, wyłożoną kocimi łbami ulicą, trzymając się pod ręce. W irlandzkim pubie Kells znaleźli pusty stolik obok parkietu.

Gdy tylko Johnny poszedł po drinki, Kate spojrzała na Tully.

– Co ty z nim wyprawiasz?

Tully się roześmiała.

– Co mam powiedzieć? Wpadliśmy na siebie po pracy i wypiliśmy parę drinków. I tak się jakoś potoczyło… – Spojrzała uważnie na Kate. – A przeszkadza ci to, że z nim śpię?

O to właśnie chodziło. To było istotne pytanie. Kate nie miała wątpliwości, że gdyby odsłoniła swoje serce i powiedziała prawdę, ta koszmarna noc dobiegłaby końca. Tully odtrąciłaby Johnny'ego szybciej, niż huragan zatrzaskuje drzwi i nie powiedziałaby mu dlaczego. Tylko co dobrego by to przyniosło? Kate wiedziała, co Johnny czuje do Tully, co zawsze do niej czuł. Pragnął kobiety obdarzonej pasją i ogniem; gdyby stracił Tully, wcale nie zwróciłby się ku Kate. Może nadeszła już pora na drastyczne, ostateczne rozwiązanie. Kate długo wytrwała w nadziei, ale to – on w łóżku z Tully – to był koniec.

Podniosła wzrok, modląc się, by nie było widać jej łez.

– Daj spokój, Tully, przecież wiesz, że nie.

– Jesteś pewna? Może chcesz…

– Nie. Ale… Jemu na tobie zależy, zdajesz sobie z tego sprawę? Możesz mu złamać serce.

Tully się roześmiała.

– Wy, katolickie dziewczyny, często zamartwiacie się o wszystkich, co?

Zanim Kate odpowiedziała, Johnny wrócił do stolika z dwiema margaritami i butelką piwa. Postawił je, wziął Tully za rękę i pociągnął na parkiet. Tam wtopili się w tłum, a on objął ją i pocałował.

Kate sięgnęła po drinka. Nie miała pojęcia, co ten pocałunek znaczy dla Tully, ale wiedziała, jakie znaczenie ma dla Johnny'ego, i ta świadomość wsączała się w nią niczym trucizna.

Przez następne dwie godziny siedziała z nimi, dużo piła i udawała, że dobrze się bawi. Tymczasem wewnątrz niej coś powoli umierało.

W którymś momencie tego niekończącego się koszmarnego wieczoru Tully wyszła do łazienki i zostawiła Kate i Johnny'ego samych. Kate chciałaby się odezwać, ale nie miała nawet odwagi nawiązać kontaktu wzrokowego. Z wilgotnymi, poskręcanymi włosami i zarumienionymi policzkami wyglądał tak cholernie seksownie, że aż kłuło ją w piersi.

– Ona jest naprawdę wyjątkowa – powiedział. Zespół skończył piosenkę i szukał inspiracji w kartkach z nutami. – A już myślałem, że nic z tego nigdy nie będzie… To znaczy z nas – dodał, popijając piwo i zerkając w kierunku łazienki, jakby był w stanie ściągnąć Tully z powrotem siłą woli.

– Lepiej uważaj – szepnęła Kate tak cicho, że nie dało się jej usłyszeć.

Wiedziała, że te słowa, to ostrzeżenie, odsłaniają jej serce, ale nie potrafiła się powstrzymać. W pracy Johnny mógł przybierać maskę cynika, ale wtedy w szpitalu Kate poznała prawdę. W głębi duszy, czyli tam, gdzie to się liczy, był idealistą. A najłatwiej zranić kogoś, kto wierzy. Doskonale o tym wiedziała.

Johnny nachylił się ku niej.

– Co mówiłaś, Mularkey?

Potrząsnęła głową. Nie ma mowy, żeby to powtórzyła, a poza tym właśnie wróciła Tully.

Dużo później, gdy Kate leżała sama w sypialni, słuchając odgłosów miłości uprawianej w drugim pokoju, wreszcie pozwoliła sobie na płacz.

Po tamtym wyjściu do pubu Kells w Johnnym zaszła przemiana, którą zauważyła nie tylko Kate. Gdy do miasta zawitała jesień, pozbawiając je barw, nastroje w biurze przycichły i sposępniały. Mutt zupełnie się odseparował, czyszcząc sprzęt i porządkując negatywy. Carol, którą skłoniono do powrotu po odejściu Tully, siedziała w swoim gabinecie za zamkniętymi drzwiami, prawie do nikogo się nie odzywając, nawet gdy przynoszono jej kawę. Nikt nie komentował wyglądu Johnny'ego, ale wszyscy widzieli, że ostatnio gramoli się z łóżka i przychodzi prosto do pracy. Jego włosy były za długie i wiły się na wszystkie strony. Od wielu dni się nie golił, ciemny zarost pokrywał wychudzone policzki, a elementy garderoby często do siebie nie pasowały.

Gdy przyszedł tak do biura kilka razy, otoczyli go troskliwie niczym stadko gęsi. Ale on spokojnie i zdecydowanie zamknął za sobą drzwi gabinetu, twierdząc, że nic mu nie jest. Mutt zorganizował własną ofensywę, którą rozpoczął od zaproponowania jointa, a skończył na: „Jak sobie chcesz, stary. Gdybyś chciał pogadać, to jestem". Carol też na swój sposób próbowała pokonać niewidzialną fosę, którą Johnny wykopał dokoła siebie, ale również i jej wysiłki spełzły na niczym.

Jedyną osobą, która nie starała się zbliżyć do Johnny'ego, była Kate, a tylko ona wiedziała, w czym tkwi problem.

Tully.

Właśnie tego ranka, gdy jadły śniadanie, Tully powiedziała:

– Johnny ciągle do mnie wydzwania. Umówić się z nim jeszcze raz?

Na szczęście dla Kate okazało się, że to pytanie retoryczne. Tully sama sobie odpowiedziała:

– Nie ma mowy. Związek tak mi potrzebny, jak zeszłoroczny śnieg. Myślałam, że on wie.

Kate siedziała teraz przy swoim biurku i miała wypełnić nowy formularz ubezpieczeniowy. Ona i Johnny byli sami w biurze po raz pierwszy od wielu dni. Carol i Mutt wyszli nagrać jakiś materiał. Wstała i powoli podeszła do zamkniętych drzwi jego gabinetu. Zagadywanie Johnny'ego nie miało sensu. Gdyby sytuacja była odwrotna, on by się nią nie zainteresował, ale w tej chwili cierpiał, a ona nie mogła tego znieść. Po dłuższej chwili zapukała.

– Proszę.

Otworzyła drzwi.

Siedział zgarbiony przy biurku i notował coś gorączkowo w żółtym notatniku. Włosy zasłaniały mu twarz. Niecierpliwym gestem założył je za uszy i spojrzał na nią.

– Tak, Mularkey?

Kate podeszła do lodówki w rogu jego gabinetu i wyjęła dwa piwa Henry Weinhard's. Otworzyła je, podała mu jedno i usiadła na krawędzi zagraconego biurka.

– Wyglądasz, jakbyś tonął – powiedziała wprost.

Wziął piwo.

– Aż tak widać?

– Owszem.

Zerknął na drzwi.

– Jesteśmy sami?

– Mutt i Carol wyszli z dziesięć minut temu.

Johnny pociągnął spory łyk piwa, usiadł i odchylił się na oparcie fotela.

– Nie odbiera ode mnie telefonów.

– Wiem.

– Nie rozumiem. Tamta noc… to znaczy tamta nasza wspólna noc… myślałem…

– Chcesz usłyszeć prawdę?

– Znam prawdę.

Siedzieli w milczeniu przez dłuższy czas, popijając piwo.

– To cholerny koszmar, pragnąć kogoś, kogo nie możesz mieć.

Po tych kilku słowach Kate zorientowała się, że nigdy nie miała u niego żadnych szans.

– Tak, to prawda – zawahała się. Nadeszła pora, nastąpiło to zresztą już dawno, by porzuciła to marzenie i ruszyła dalej. – Przepraszam, Johnny – zdecydowała się wreszcie, wstając z biurka.

– Za co przepraszasz?

Chciała mieć odwagę mu odpowiedzieć, wyjaśnić, co czuje, ale pewnych słów lepiej nigdy nie wypowiadać.

Siedząc bezczynnie na niewygodnym krześle w obcym biurze, Kate wyjrzała przez okno na nagie, bezlistne drzewo i szare niebo w tle. Zaczęła się zastanawiać, kiedy opadły ostatnie kolorowe liście.

– Cóż, pani Mularkey, ma pani imponujący życiorys, jak na tak młodą osobę. Mogę zapytać, dlaczego zdecydowała się pani na zmianę branży i przejście do reklamy?

Kate starała się wyglądać na rozluźnioną. Ubrała się dziś starannie w prosty czarny kostium z gabardyny, białą bluzkę i jedwabną apaszkę w turecki wzór zawiązaną pod szyją w kokardę. Miała nadzieję, że wygląda na profesjonalistkę w każdym calu.

– Podczas pracy w wiadomościach telewizyjnych sporo dowiedziałam się i o sobie, i o świecie. Jak pani wie, newsy to nieustanny pośpiech. Zawsze pracujemy na najwyższych obrotach, przedstawiamy fakty i biegniemy dalej. A mnie często bardziej interesowało nie to, co podawano w wiadomościach, tylko to, co działo się później. Wydaje mi się, że jestem lepsza w długofalowym myśleniu i planowaniu. W szczegółach, a nie w pobieżnej analizie. I dobrze piszę. Chciałabym to podszlifować, ale nie da się tego zrobić, przygotowując dziesięciosekundowe materiały.

– Dobrze to pani sobie przemyślała.

– Owszem.

Kobieta po drugiej stronie biurka odchyliła się do tyłu, przyglądając się Kate przez modne, zdobione koralikami okulary. Chyba spodobało jej się to, co widzi.

– W porządku, pani Mularkey. Omówię to z moimi partnerami i odezwiemy się do pani. Na wszelki wypadek, kiedy mogłaby pani zacząć?

– Muszę złożyć dwutygodniowe wypowiedzenie i będę do dyspozycji.

– Doskonale. – Kobieta wstała. – Potrzebuje pani podbić bilet parkingowy?

– Nie, dziękuję.

Kate mocno uścisnęła dłoń rozmówczyni i wyszła z jej biura.

Na zewnątrz dzielnica Pionieer Square kuliła się pod surowym, grafitowym niebem. Samochody utknęły w wąskich, staroświeckich uliczkach, a nieliczni piesi przemieszczali się

wzdłuż ceglanych fasad. Nawet bezdomni, którzy zwykle spali na ławkach w parku i sępili papierosy i drobne od przechodniów, zniknęli gdzieś w to zimne popołudnie.

Kate ruszyła szybko First Avenue, zapinając swój stary studencki płaszczyk. Złapała autobus do centrum i wysiadła na przystanku przed biurem dokładnie o piętnastej pięćdziesiąt siedem. Ku jej zaskoczeniu główne pomieszczenie było puste. Kate odwiesiła płaszcz, wrzuciła torebkę i aktówkę pod biurko, a potem zajrzała do gabinetu Johnny'ego.

– Już jestem.

Rozmawiał przez telefon, ale skinął na nią, by weszła.

– Daj spokój – powiedział zdesperowanym tonem. – W jaki sposób miałbym ci z tym pomóc? – Milczał przez chwilę, marszcząc brwi. A potem: – Okej. Ale jesteś moim dłużnikiem. – Rozłączył się i uśmiechnął do Kate, ale to nie był jego dawny uśmiech, ten, który zapierał Kate dech w piersiach. Tamtego nie widziała od owej nocy z Tully.

– Masz na sobie kostium – stwierdził. – Nie myśl, że nie zauważyłem. Tutaj to może oznaczać dwie rzeczy, a ponieważ wiem, że nie będziesz prowadzić wiadomości…

– Mogelgaard i Wspólnicy.

– Agencja reklamowa? Na jakie stanowisko aplikujesz?

– Menedżer klienta.

– Będziesz w tym dobra.

– Dzięki, ale jeszcze nie dostałam tej pracy.

– Dostaniesz.

Czekała, aż Johnny powie coś jeszcze, ale on tylko na nią patrzył, jakby go coś trapiło. Bez wątpienia przypominała mu tamtą noc z Tully.

– To wracam do pracy.

– Poczekaj. Przygotowuję ten materiał dla Mike'a Hurta. Przydałaby mi się pomoc.

– Pewnie.

Przez kilka godzin siedzieli pochyleni przy jego biurku, pracując nad scenariuszem. Kate starała się utrzymywać fizyczny dystans i unikać kontaktu wzrokowego. Nie udało się jej. Zanim skończyli, zapadła już noc; ciche biura dokoła wypełniły cienie.

– Jestem ci winien kolację – oznajmił Johnny, odkładając papiery. – Jest prawie ósma.

– Nic mi nie jesteś winien – odparła. – Przecież to moja praca.

Spojrzał na nią.

– Jak ja sobie dam radę bez ciebie?

Parę miesięcy temu, gdy tliła się w niej jeszcze nadzieja, zarumieniłaby się w takiej chwili. Może nawet jeszcze tydzień temu.

– Pomogę ci kogoś znaleźć.

– Myślisz, że tak łatwo cię zastąpić?

Nic nie odpowiedziała.

– Pójdę już…

– Jestem ci winien kolację. Tak po prostu. Weź płaszcz. Proszę.

– Okej.

Zeszli na dół i wsiedli do jego samochodu. Po paru minutach podjechali pod pięknie zaadaptowany do celów mieszkalnych hangar na łodzie pokryty cedrowym gontem tuż nad brzegiem Lake Union.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Kate.

– To mój dom. Nie martw się, nie będę gotował kolacji. Chcę się tylko przebrać. Ty jesteś elegancka.

Kate zapanowała nad rodzącymi się w niej emocjami. Nie dopuści do tego. Za długo pozwalała, by niszczyły ją marzenia o nierealnym szczęśliwym zakończeniu. Poszła za nim pomostem i weszła do budynku, który okazał się zaskakująco

przestronny. Johnny natychmiast podszedł do kominka, w którym drewno było już przygotowane. Pochylił się, podpalił gazety i rozpalił ogień. A potem odwrócił się do niej.

– Co ci podać do picia?

– Rum z colą.

– Doskonale.

Przeszedł do kuchni, nalał dwa drinki i wrócił.

– Proszę. Zaraz wracam.

Stała tam przez chwilę, nie wiedząc, co robić. Rozejrzała się po salonie i zauważyła kilka fotografii. Na szafce z telewizorem stało zdjęcie pary w średnim wieku, w bardzo kolorowych ubraniach, przykucniętej w jakiejś dżungli pośród zgromadzonych dokoła dzieci.

– To moi rodzice – powiedział Johnny, podchodząc do niej. – Myrna i William.

Obróciła się, czując się tak, jakby ją przyłapano na wścibstwie.

– Gdzie mieszkają? – zapytała i podeszła do sofy, by usiąść. Potrzebowała dystansu.

– Byli misjonarzami. Zostali zamordowani w Ugandzie przez szwadron śmierci Amina.

– Gdzie ty wtedy byłeś?

– Jak miałem szesnaście lat, wysłali mnie do szkoły z internatem w Nowym Jorku. Wtedy widziałem ich ostatni raz.

– Czyli oni też byli idealistami.

– Co znaczy „też”?

Nie widziała powodu, by wyrazić słowami to, czego dowiedziała się od niego przez wszystkie lata wspólnej pracy, i z czego ułożyła obraz jego dotychczasowego życia.

– Nieważne. Miałeś szczęście, że wychowali cię ludzie, którzy w coś wierzyli.

Spojrzał na nią, marszcząc brwi.

– To dlatego zostałeś korespondentem wojennym? Żeby walczyć na swój sposób? – zapytała.

Westchnął i pokręcił głową, a potem podszedł do sofy i usiadł obok Kate. To, jak na nią spojrzał – jakby mu umykała, jakby się rozmywała – sprawiło, że serce zaczęło jej szybciej bić.

– Jak ty to robisz? – zapytał.

– Co?

– Że tak dobrze mnie znasz.

Wysiliła się na uśmiech.

– Pracujemy razem od tak dawna.

Po bardzo długiej chwili milczenia powiedział:

– Mularkey, dlaczego tak naprawdę odchodzisz?

Odchyliła się nieco do tyłu.

– Pamiętasz, jak powiedziałeś, że to okropne, pragnąć czegoś, czego nie można mieć? Nigdy nie będę wyjątkową reporterką ani pierwszorzędnym producentem. Newsy nie są dla mnie wszystkim. Zmęczyło mnie bycie nie dość dobrą.

– Mówiłem, że okropne jest pragnąć kogoś, kogo nie można mieć.

– Cóż… To to samo.

– Czyżby? – Odstawił drinka na stolik.

Przesunęła się, by siedzieć naprzeciwko niego, i podciągnęła nogi.

– Wiem, jak to jest kogoś pragnąć.

Nie wyglądał na przekonanego. Bez wątpienia przypomniał sobie, jak Tully ciągle wypominała jej, że nie chodzi na randki.

– Kogo?

Wiedziała, że powinna skłamać, zbyć to pytanie, ale w tym momencie, będąc tak blisko niego, poczuła przemożną falę tęsknoty. Niech Bóg ma ją w swojej opiece, ale te drzwi znowu się otworzyły. I choć wiedziała, że tak nie jest, że to iluzja, zdecydowała się przez nie przejść.

– Ciebie.

Odchylił się nieco; najwyraźniej nigdy nie przyszło mu to do głowy.

– Ale ty nigdy…

– Jak mogłabym? Wiem, co czujesz do Tully.

Czekała, aż Johnny coś powie, ale on tylko na nią patrzył. W tej ciszy mogła się jedynie domyślać. Nie powiedział „nie”, nie roześmiał się. Może to coś znaczyło. Przez całe lata starała się trzymać swe pragnienia na wodzy, ale teraz, gdy był tak blisko, już nie mogła się hamować. To była jej ostatnia szansa.

– Pocałuj mnie, Johnny. Pokaż mi, że się mylę, pragnąc cię.

– Nie chciałbym cię zranić. Jesteś taką miłą dziewczyną, a ja nie szukam…

– A jeśli zrani mnie brak pocałunku?

– Katie…

Pierwszy raz nie zwrócił się do niej po nazwisku. Nachyliła się ku niemu.

– A teraz kto się boi? Pocałuj mnie, Johnny.

Tuż zanim jej usta dotknęły jego warg, wydało jej się, że słyszy, jak on mówi: „To nie jest dobry pomysł”, ale zanim zdążyła go uciszyć, już oddawał jej pocałunek.

Kate nie pierwszy raz się całowała. To nawet nie był pierwszy raz, gdy całowała się z mężczyzną, na którym jej zależało, a mimo to, nie wiadomo dlaczego, zaczęła płakać. Spróbował się odsunąć, gdy zauważył jej łzy, ale nie puściła go. Zaraz potem znaleźli się oboje na sofie, pieszcząc się niczym nastolatki, a po chwili zorientowała się, że leży na podłodze przed kominkiem. Naga.

Przyklęknął obok niej, wciąż ubrany. Do połowy krył się w cieniu, który podkreślał ostre rysy i bruzdy na jego twarzy.

– Jesteś pewna?

– To byłoby dobre pytanie, gdyby padło, zanim zostałam bez ubrania.

Uśmiechając się, zwróciła się ku niemu i zaczęła mu rozpinać koszulę. Wydał dźwięk, w którym zabrzmiały i desperacja, i uległość, i pozwolił jej się rozebrać. A potem znowu wziął ją w ramiona.

Teraz jego pocałunki były inne, gwałtowniejsze, głębsze, bardziej erotyczne. Kate czuła, że jej ciało reaguje tak jak nigdy dotąd; jakby stawała się jednocześnie niczym i wszystkim, jedynie zbiorem postrzępionych końcówek nerwów. Jego dotyk był dla niej torturą i wybawieniem.

Doznania zmysłowe wyparły wszystko, stały się całą nią, tylko one się liczyły: ból, rozkosz, frustracja. Nawet oddech nie był jej. Gwałtownie wciągała powietrze, dusiła się, wołała, by przestał, żeby nie przestawał, żeby to trwało i żeby minęło.

Czuła, że jej ciało wygina się w łuk, jakby całe ku czemuś sięgało, czegoś pragnęło tak rozpaczliwie, że aż bolało, ale sama nie wiedziała, co to jest.

I wtedy znalazł się w niej, sprawiając ból. Zaparło jej dech w piersiach, ale nic nie powiedziała. Przywarła tylko do niego, całując go i poruszając się z nim, aż ból zniknął i ona cała zniknęła; było tylko to – poczucie zbliżenia, ostre, bolesne pragnienie czegoś więcej.

Kocham cię – pomyślała, obejmując go i unosząc się ku niemu. Niewypowiedziane słowa wypełniły jej umysł, stały się niczym muzyczne tło dla rytmu ich poruszających się ciał.

– Katie! – krzyknął, eksplodując głęboko w niej.

Jej ciało wybuchło niczym gwiazda w przestrzeni kosmicznej, rozpadło się, uniosło w dal. Czas na chwilę się zatrzymał, a potem powoli wrócił na swój tor.

– Ojej – szepnęła, osuwając się na ciepły dywan. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała, o co tyle szumu.

Johnny wyciągnął się obok niej, wtulając się w nią mokrym od potu ciałem. Objąwszy ją jednym ramieniem, wpatrywał się w sufit. Też był zdyszany.

– Byłaś dziewicą – odezwał się, a jego głos wydawał się niepokojąco odległy.

– Tak. – Tyle tylko zdołała powiedzieć. Przekręciła się na bok, przesuwając na niego nagie udo. – Zawsze tak jest?

Wtedy on zwrócił się ku niej, a Kate dostrzegła w jego oczach coś, co ją zdezorientowało: lęk.

– Nie, Katie – odrzekła po dłuższej chwili milczenia. – Nie zawsze.

Obudziła się z głową na ramieniu Johnny'ego. Oboje leżeli na plecach, z prześcieradłami owiniętymi wokół bioder. Kate wpatrywała się w drewniany sufit, czując zaskakujący ciężar męskiej dłoni między swoimi piersiami.

Blady blask świtu wpadał ukośnie przez otwarte okno, powlekając podłogę z twardego drewna lśniącą, jakby maślaną poświatą. Nieustanne chlupotanie fal o filary niczym echo odwzorowywało powolny i miarowy rytm jej serca.

Nie wiedziała, co ma teraz zrobić, jak powinna się zachowywać. Od pierwszego pocałunku to był magiczny, niespodziewany dar. Kochali się trzy razy tej nocy, ostatni raz parę godzin temu. Całowali się, zrobili sobie omlety i zjedli je przed kominkiem, rozmawiali o swoich rodzinach, pracy i marzeniach. Johnny opowiedział nawet parę bardzo głupich dowcipów. Ale nie rozmawiali o jutrze, a ono właśnie nadeszło, i było tak samo obecne jak miękka pościel i dźwięk ich oddechów.

Cieszyła się, że czekała z seksem, nawet jeśli czekanie na tego właściwego mężczyznę było dziś niemodne. Ostatni wieczór wstrząsnął jej światem, tak jak to opisują poeci. Ale co jeśli Johnny nie uważał jej za tę właściwą osobę? Nie powiedział, że ją kocha – nie kochał oczywiście – a bez tych słów jak kobieta ma rozumieć namiętność?

Czy powinna się ubrać, wymknąć i udawać, że to się nigdy nie stało? A może ma zejść na dół, zrobić śniadanie i modlić się, by ta noc była początkiem, a nie końcem?

Gdy poczuła, że on porusza się obok niej, cała się spięła.

– Dzień dobry – powiedział zachrypłym głosem.

Nie wiedziała, jak robić uniki czy symulować obojętność. Kochała go zbyt długo, by udawać, że jest inaczej. Teraz liczyło się to, żeby nie wstali i nie rozeszli się odrębnymi drogami.

– Powiedz mi coś, czego o tobie nie wiem.

Pogładził jej ramię.

– Hm… Byłem ministrantem.

Zaskakująco łatwo wyobraziła go sobie w tej roli: młodego, chudego chłopca, z włosami zaczesanymi na bok i ulizanymi na mokro, idącego z powagą wzdłuż nawy. Aż zachichotała.

– Moja mama byłaby tobą zachwycona.

– Teraz ty powiedz mi coś o sobie.

– Jestem fanką SF. *Gwiezdne wojny*, *Star Trek*, *Diuna*. Uwielbiam je wszystkie.

– A podejrzewałbym, że czytujesz romanse.

– To też. A teraz powiedz mi coś ważnego. Dlaczego przestałeś być reporterem?

– Ty zawsze skaczesz na głęboką wodę, co? – Westchnął. – Przypuszczam, że już się domyśliłaś. Salwador. Pojechałem tam niczym rycerz na białym koniu, gotów naświetlić prawdę. A potem zobaczyłem, co się dzieje…

Nic nie odpowiedziała, tylko pocałowała go w ramię.

– Ludzie tam tyle przede mną ukrywali. Myślałem, że jestem przygotowany, ale nie byłem. To krew, śmierć, kawałki ciał. Martwe dzieci na ulicach i chłopcy z karabinami. Schwytano mnie… – Jego głos ucichł. Odchrząknął i kontynuował: – Nie wiem, dlaczego pozwolili mi żyć, ale tak zrobili. Miałem szczęście. Podkuliłem ogon i uciekłem do domu.

– Nie zrobiłeś niczego, czego miałbyś się wstydzić.

– Uciekłem jak tchórz. I zawiodłem. To teraz już wiesz wszystko, wiesz, dlaczego jestem w Seattle.

– Myślisz, że to zmienia moje uczucia do ciebie?

Dopiero po chwili odpowiedział:

– Nie powinniśmy się śpieszyć, Katie.

– Wiem. – Przekręciła się, by się do niego przytulić.

Starała się dokładnie zachować w pamięci obraz jego twarzy, to, jak wygląda o poranku. Widziała cień zarostu, który pojawił się, gdy spali, i pomyślała: *I już zmiany*.

Wsunął sobie włosy za ucho.

– Nie chcę cię zranić.

Miała ochotę odpowiedzieć po prostu: „To nie rań”, ale to nie był czas na proste odpowiedzi czy gierki. Liczyła się szczerość.

– Jestem gotowa ponieść to ryzyko, jeśli i ty jesteś gotów – odpowiedziała spokojnie.

Kąciki jego ust leciutko się uniosły, lecz w jego oczach nie dostrzegła uśmiechu. Wyglądał na raczej zmartwionego.

– Wiedziałem, że będziesz niebezpieczna – powiedział.

Nie zrozumiała.

– Ja? Chyba żartujesz. Nikt nigdy nie uważał mnie za niebezpieczną.

– Ja tak.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział, tylko nachylił się na tyle blisko, by ją pocałować. Zamknęła oczy, czekając na to. Nie była pewna, ale

może – tylko może – zanim dotknął wargami jej ust, powiedział:

– Bo jesteś taką dziewczyną, w jakiej facet może się zakochać.

Mówiąc to, nie wydawał się szczególnie uradowany.

Kate przystanęła przed drzwiami swojego mieszkania. Dopiero co unosiła się wysoko, upajała nocą spędzoną w ramionach Johnny'ego, a teraz wróciła do rzeczywistości: właśnie przespała się z mężczyzną, którego najpierw miała jej najlepsza przyjaciółka. *Jak zareaguje Tully?*

Otworzyła drzwi i weszła do środka. W ten szary, deszczowy poranek mieszkanie było zaskakująco ciche. Rzuciła torebkę na stół w kuchni i zrobiła sobie kubek herbaty.

– Gdzie ty, do diabła, byłaś?

Wzdrygnęła się i odwróciła. Tully stała z ociekającymi włosami, owinięta ręcznikiem.

– Mało co nie zadzwoniłam wczoraj wieczorem na policję. Gdzie… Masz na sobie wczorajszy kostium. – Na jej twarz wypłynął powoli porozumiewawczy uśmiech. – Spędziłaś z kimś tę noc? O, mój Boże, zrobiłaś to! Rumienisz się. – Tully się roześmiała. – A ja myślałam, że umrzesz jako dziewica. – Chwyciła Kate za ramię i pociągnęła ją na sofę. – Opowiadaj.

Kate spojrzała na swoją najlepszą przyjaciółkę, żałując, że nie wróciła do domu już po jej wyjściu do pracy. Powinna to przemyśleć, zaplanować. Tully mogła to wszystko zepsuć jednym słowem, jednym spojrzeniem. „On jest mój" – mogła stwierdzić i co Kate by wtedy zrobiła?

– Opowiadaj – powtórzyła Tully, szturchając ją.

Kate głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Zakochałam się.

– Hola, hola, Strusiu Pędziwiatrze. Miłość? Po jednej nocy?

Teraz albo nigdy i choć „nigdy” brzmiało bardzo dobrze, nie było sensu odkładać tego, co nieuniknione.

– Nie – powiedziała. – Kocham go od lat.

– Kogo?

– Johnny’ego.

– Naszego Johnny’ego?

Kate nie pozwoliła, by użyty przez Tully zaimek ją zranił.

– Tak. Tej nocy…

– Ale on przespał się ze mną… Ile? Parę miesięcy temu, a potem ciągle wydzwaniał. Odbija sobie tylko, Katie. Nie mógł się w tobie zakochać.

Kate starała się odeprzeć tę sugestię, ale nie udało się jej.

– Wiedziałam, że jak zwykle skupisz uwagę na sobie.

– Przecież… on jest twoim szefem, na litość boską.

– Odchodzę. Za dwa tygodnie zaczynam pracę w agencji reklamowej.

– Och, cudownie. Do tego jeszcze zrezygnowałaś z kariery dla faceta.

– Obie wiemy, że nie jestem wystarczająco dobra, żeby się przebić w telewizji. To twoje marzenie, Tully. Zawsze było twoje. – Widziała, że przyjaciółka chce zaoponować, ale wiedziała też, że każdy argument byłby kłamstwem. – Kocham go, Tully – powiedziała. – Kocham go od lat.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Bałam się.

– Czego?

Katie nie potrafiła odpowiedzieć. Tully wpatrywała się w nią i w jej ciemnych, pełnych wyrazu oczach Kate dostrzegała wszystko: strach, troskę i zazdrość.

– To się bardzo źle skończy.

– Nie ufałam Chadowi lata temu, pamiętasz? Ale starałam się o tym nie myśleć, bo ty tego potrzebowałaś.

– Akurat à propos miłosnych katastrof.

– Możesz się cieszyć moim szczęściem?

Tully spojrzała na nią i choć ostatecznie się uśmiechnęła, to nie był szczery uśmiech i obie zdawały sobie z tego sprawę.

– Spróbuję.

„Odbija sobie”. To wyrażenie przychodziło Kate na myśl nieustannie, niczym odbijana piłeczka. „Przespał się ze mną… Ile? Parę miesięcy temu…” „Nie mógł się w tobie zakochać…”.

Gdy tylko Tully wyszła z mieszkania, Kate zadzwoniła do pracy powiedzieć, że jest chora, i wpełzła do łóżka. Już po dwudziestu minutach z zamyślenia wyrwało ją pukanie do drzwi.

– Cholera, Tully – mruknęła, wkładając różowy welurowy szlafrok i puchate kapcie. – Ciągle zapominasz kluczy.

Otworzyła drzwi.

To był Johnny.

– Nie wyglądasz na chorą.

– Kłamczuch. Wyglądam okropnie.

Sięgnął dłonią, rozwiązał pasek szlafroka i zsunął go z jej ramion. Welur opadł, tworząc wokół jej stóp puszystą różową kałużę.

– Flanelowa koszula nocna. Jak seksownie.

Zamknął za sobą drzwi.

Starała się nie myśleć o swojej rozmowie z Tully – „odbija sobie”, „nie mógł się w tobie zakochać” – lecz te słowa przebiegały jej przez głowę, od czasu do czasu potykając się o te wypowiedziane przez niego: „nie chcę cię zranić”. Nagle dostrzegła niebezpieczeństwo, na które tak naiwnie przystała.

Mógł roztrzaskać jej serce, a ona nie była w stanie się przed tym uchronić.

– Myślałem, że ucieszysz się na mój widok.

– Powiedziałam Tully o nas.

– Och. I był jakiś problem?

– Ona uważa, że tylko sobie odbijasz.

– Doprawdy?

Kate z trudem przełknęła ślinę.

– Kochasz ją?

– O to w tym chodzi? – Chwycił ją na ręce i zaniósł do sypialni, jakby nic nie ważyła. Gdy znaleźli się w łóżku, zaczął rozpinać jej koszulę, całując odsłanianą skórę. – To nieistotne – szepnął w jej dekolt. – Ona mnie nie pokochała.

Kate zamknęła oczy i pozwoliła, by rozkołysał jej świat, ale gdy skończyli i znowu się w niego wtuliła, niepewność wróciła. Może Kate nie była zbyt doświadczona, ale nie była też kompletnie naiwna, a co do jednego miała pewność: istotne było to, czy Johnny pokochał Tully.

I to ogromnie.

17

Miłość była dokładnie taka, jak Kate sobie wymarzyła. Zanim nadeszła wiosna, by pomalować krajobraz żywymi barwami, ona i Johnny stali się najprawdziwszą parą; spędzali ze sobą większość weekendów i tyle wieczorów w tygodniu, ile mogli. W marcu zabrała go ze sobą do rodziców. Byli nim zachwyceni. Miły katolicki chłopak o irlandzkich korzeniach, ze świetną karierą i poczuciem humoru, który lubił grać w karty i gry planszowe. Tata nazwał go „strzałem w dziesiątkę", a mama oznajmiła, że jest idealny.

– Zdecydowanie warto było na niego czekać – szepnęła pod koniec pierwszego spotkania.

Johnny wpasował się w klan Mularkeyów, jakby się w nim urodził. Nigdy tego nie przyznał, ale Kate była pewna, że lubi znów być częścią rodziny, po tylu samotnych latach. Choć nie rozmawiali o przyszłości, cieszyli się każdą chwilą teraźniejszości.

Tyle że to wszystko właśnie miało się zmienić.

Leżała w łóżku i wpatrywała się w sufit. Johnny spał obok niej. Minęła czwarta nad ranem, a ona wymiotowała już dwa razy. Nie było sensu dłużej odkładać tego, czego nie da się uniknąć. Delikatnie wysunęła się z pościeli tak, żeby go nie obudzić, i wstała z łóżka. Boso przeszła po grubym dywanie do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Pogrzebała w torebce i wyciągnęła pudełko, które kupiła wczoraj. Otworzyła je i postępowała według instrukcji.

Po niecałych dwóch godzinach miała odpowiedź. Kolor różowy. Ciąża.

Johnny nie będzie zachwycony. W ogóle nie był gotowy na ojcostwo. Nawet jej jeszcze nie powiedział, że ją kocha. A ona kochała go tak bardzo i wszystko układało się tak cudownie przez ostatnie miesiące. Mimo to nie mogła pozbyć się wrażenia, że ich relacja jest bardzo krucha, że balansują na cienkiej linie. Dziecko mogło to wszystko zniszczyć.

Schowała opakowanie i test do torebki – niezwykły element wśród okruchów jej codziennego życia – i wzięła długi, gorący prysznic. Zanim się ubrała i była gotowa do pracy, zdążyła się uspokoić. Podeszła do łóżka i usiadła obok Johnny'ego. Pogłaskała go po włosach, gdy się budził. Uśmiechnął się do niej i powiedział sennie:

– Hej.

Chciała odpowiedzieć po prostu: „Jestem w ciąży", ale nie potrafiła. Zamiast tego zrobiła unik:

– Muszę być dzisiaj wcześniej. Robimy kampanię dla sieci restauracji Red Robin.

Objął ją za szyję i przyciągnął, by pocałować. Gdy skończył, chciała się wyswobodzić.

– Kocham cię – szepnęła.

Znowu ją pocałował.

– To mnie czyni najszczęśliwszym facetem na świecie.

Pożegnała się, jakby to był kolejny zwykły poranek, gdy budzili się razem, a potem szli do pracy. W swoim biurze mocno zatrzasnęła za sobą drzwi i starała się nie rozpłakać.

– Jestem w ciąży – ogłosiła obwieszonym reklamami ścianom.

Gdyby tylko potrafiła to powiedzieć Johnny'emu. Powinna móc rozmawiać z nim o wszystkim, czy nie na tym polega miłość? Bóg jeden wie, jak bardzo go kochała, może aż za bardzo. Nie potrafiła już sobie wyobrazić życia bez niego.

Kochała ich codzienną rutynę – to, że często jedli razem śniadanie w kuchni jego domu w starym hangarze, że stali obok siebie przy zlewie albo to, jak siadali wieczorem w łóżku, tulili się do siebie i oglądali Arsenia Halla. Gdy ją całował, czy to był spokojny pocałunek na dobranoc, czy namiętne zaproszenie, jej serce zawsze włączało wyższy bieg. Rozmawiali przez cały czas, o wszystkim i o niczym; aż do dziś Kate uważała, że nie ma nic, czego nie mogłaby mu powiedzieć.

Przez większość dnia funkcjonowała na autopilocie, ale gdzieś koło szesnastej poddała się. Podniosła słuchawkę, wybrała numer i niecierpliwie czekała.

– Tak? – zapytała Tully.

– To ja. Mam kryzys.

– Będę za dwadzieścia minut – odpowiedziała przyjaciółka bez wahania.

Kate uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia. Samo towarzystwo Tully jej pomoże, zawsze pomagało. Kwadrans później ogarnęła i tak uporządkowane biurko, złapała torebkę i wyszła z biura.

Słońce było niczym biała, blada kula na rozmytym błękicie nieba. Kilku wytrwałych turystów kręciło się po Pioneer Square. Po drugiej stronie ulicy bezdomni, którzy mieszkali w Occidental Park, powyciągali się na kocich łbach i kutych żelaznych ławkach, otuleni brudnymi kocami i starymi śpiworami. Drzewa dokoła były w pełni rozkwitu.

Kate właśnie zapinała płaszcz, gdy Tully podjechała swoją nową corvettą w kolorze blue metallic. Jak zwykle na widok tego samochodu Kate uśmiechnęła się i pokręciła głową. Był tak cholernie… falliczny, a mimo to jakoś idealnie pasował do Tully. Jej wełniane spodnie i jedwabna bluzka miały nawet ten sam odcień niebieskiego.

Kate obeszła auto i wsiadła od strony pasażera.

– Gdzie chcesz pojechać?

– Zaskocz mnie – poprosiła Kate.

– Nie ma sprawy.

Szybko przedarły się przez śródmiejskie korki, śmignęły przez most West Seattle i dotarły do restauracji przy plaży Alki Beach. Późnym popołudniem tego wiosennego dnia było tam pusto, więc natychmiast posadzono je przy stoliku z widokiem na stalowoszarą zatokę Puget.

– Dzięki Bogu, że zadzwoniłaś – zaczęła Tully. – To był piekielny tydzień. Kazali mi jeździć po całym stanie, wysłali chyba do każdej dziury. W zeszłym tygodniu robiłam wywiad z facetem w Cheney, który skonstruował ciężarówkę napędzaną drewnem. Wcale nie żartuję. Ma na pace piec wielkości lotniskowca i spala dwa metry sześcienne drewna na tydzień. Kopciło to tak, że ledwo tę ciężarówkę było widać, ale gość twierdzi, że jego odkrycie to przyszłość. Jutro mam jechać do Lynden, żeby porozmawiać z jakąś młodą huterytką, która zdobyła trzydzieści dwie nagrody na targach rolniczych. Hura! A zeszłotygodniowe…

– Jestem w ciąży.

Tully aż otworzyła usta.

– Żarty sobie ze mnie robisz?

– A wyglądam, jakbym sobie robiła żarty?

– Jasna cholera… – Tully odchyliła się na krześle, zupełnie zaskoczona. – Myślałam, że bierzesz pigułki.

– Biorę. I nigdy nie zapomniałam.

– Ciąża. Kurczę. Co na to Johnny?

– Jeszcze mu nie powiedziałam.

– I co zrobisz?

To było trudne pytanie, któremu wagi dodawała niewypowiedziana alternatywa.

– Nie wiem. – Kate spojrzała Tully w oczy. – Ale wiem, czego nie zrobię.

Tully patrzyła na nią przez chwilę, nic nie mówiąc. W jej cudownych, pełnych wyrazu ciemnych oczach Kate dostrzegła całą paletę emocji – niedowierzanie, strach, smutek, troskę i wreszcie miłość.

– Będziesz wspaniałą mamą, Katie.

Kate poczuła łzy w oczach. Tego właśnie pragnęła; tu i teraz po raz pierwszy odważyła się przyznać to przed samą sobą. To właśnie robi najlepszy przyjaciel: stawia lustro i pokazuje ci twoje własne serce.

– Tully, on mi nigdy nie powiedział, że mnie kocha.

– Och. Cóż… Wiesz, jaki jest Johnny.

Kate poczuła, że w tym momencie rozdziela je przeszłość. Wiedziała, że Tully też to poczuła, to, o czym bardzo starały się zapomnieć: że obie tak dobrze znają Johnny'ego.

– Jesteś do niego podobna – stwierdziła po chwili. – Jak on się poczuje, gdy się dowie?

– Jak w pułapce.

Kate dokładnie tego się spodziewała.

– To co mam zrobić?

– Mnie pytasz? Kobietę, która nie umie przez tydzień utrzymać przy życiu rybki w akwarium? – roześmiała się Tully. W jej śmiechu była tylko odrobina goryczy. – Idź do domu i powiedz mężczyźnie, którego kochasz, że zostanie tatą.

– Kiedy to mówisz, to się wydaje takie proste.

Tully sięgnęła przez stół i wzięła ją za rękę.

– Zaufaj mu, Katie.

Wiedziała, że to najlepsza rada, jaką mogła dostać.

– Dzięki.

– A teraz pogadajmy o czymś istotnym, jak na przykład imię. Nie musisz nazywać jej po mnie. Tallulah to beznadziejne imię.

Nic dziwnego, bo wybrała mi je ćpunka, ale na drugie mam Rose. To już nie jest takie złe…

Resztę popołudnia spędziły na spokojnej rozmowie. Unikały mówienia o dziecku i skupiały się na błahostkach. Gdy wyszły z restauracji i wróciły do centrum, Kate nie była już taka zdesperowana. Wciąż czuła niepokój, ale pomogło jej to, że ma plan.

Gdy Tully zaparkowała za hangarem, Kate mocno ją uściskała i pożegnały się.

W pustym domu Johnny'ego przebrała się w spodnie dresowe i stary T-shirt, a potem przeszła do salonu, żeby tam na niego zaczekać. Siedziała, zaciskając uda (trochę na to za późno) i ze złożonymi rękoma i wsłuchiwała się w dźwięki zwyczajnego życia, do których przywykła – chlupotanie wody o filary, krzyk mew, nieustanny warkot przepływających motorówek. Nigdy dotąd nie czuła, że to wszystko jest takie kruche. I słodko-gorzkie. Przez całe życie wyobrażała sobie, że miłość to coś trwałego, poliestrowe uczucie, które opiera się zniszczeniu przez codzienność, ale teraz widziała, jakie to było ryzykowne podejście. Usypiało, narażało na niebezpieczeństwo.

Po drugiej stronie pokoju szczęknął zamek. Johnny wszedł i uśmiechnął się na jej widok.

– Hej tam. Dzwoniłem do ciebie przed wyjściem z biura. Gdzie byłaś?

– Wagarowałam z Tully.

– Happy hour, co? – Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Wtuliła się w niego. Objęła go ramionami i poczuła, że nie może wypuścić. Trzymała się go tak mocno, że musiał ją od siebie odsunąć.

– Katie? – zapytał, cofając się tyle, by móc na nią spojrzeć. – Co się dzieje?

Przez ostatnią godzinę wyobrażała sobie dziesiątki sposobów, jak mu to powiedzieć, jak ułatwić mu przyjęcie tej nowiny, ale teraz, gdy stała tuż przed nim, zrozumiała, że to nie ma sensu. To nie był prezent, który można owinąć w ładny papier, a ona nie była kobietą, która potrafiłaby milczeć.

– Jestem w ciąży – powiedziała tak zdecydowanym głosem, na jaki było ją stać.

Johnny wpatrywał się w nią przez całą wieczność, jakby nie rozumiał.

– Że co? Jak to się mogło stać?

– W tradycyjny sposób z całą pewnością.

Wydał z siebie długie, powolne westchnienie i opadł na sofę.

– Dziecko.

– Nie planowałam tego. – Usiadła obok. – Nie chcę, żebyś się poczuł jak w pułapce.

Uśmiech, którym ją obdarzył, był uśmiechem kogoś obcego, nie mężczyzny, którego kochała; nie był tym uśmiechem, przy którym marszczyły mu się kąciki oczu, a ona nie potrafiła się powstrzymać, by go nie odwzajemnić.

– Wiesz, jak bardzo chcę się wreszcie zebrać i wyjechać, gdy tylko będę gotowy. Pójść za wielką opowieścią i odkupić samego siebie. Mam to w głowie od tak dawna… Odkąd spieprzyłem wszystko w Salwadorze.

Przełknęła z trudem ślinę i pokiwała głową. Szczypały ją oczy, ale nie chciała ich ocierać, żeby nie ujawnić łez.

– Wiem.

Sięgnął ręką i dotknął jej płaskiego brzucha.

– Ale już nie mógłbym wyjechać, prawda?

– Przez dziecko?

– Przez to, że cię kocham – odpowiedział.

– Ja też cię kocham, ale nie chcę…

Zsunął się z kanapy, przyklęknął na jedno kolano, a ona gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Kathleen Scarlett Mularkey, wyjdziesz za mnie?

Chciała powiedzieć „tak”, wykrzyczeć to, ale nie miała śmiałości. Zbyt dużo było lęku w tym, co odczuwała. Więc zamiast tego zapytała:

– Jesteś pewien, Johnny?

I wtedy, wreszcie, zobaczyła jego uśmiech.

– Jestem pewien.

Kate posłuchała – oczywiście – rady Tully i postawiła na ponadczasową elegancję. Jej ślubna suknia z jedwabiu w kolorze kości słoniowej miała wyszywany koralikami gorset i odsłaniała ramiona. Włosy, ze starannie zrobionymi pasemkami w trzech odcieniach blond, upięła z tyłu w kok w stylu Grace Kelly. Welon okrywał jej twarz i ramiona niczym lśniąca mgiełka. Pierwszy raz w życiu Kate czuła się piękna jak gwiazda filmowa. Jej mama była chyba tego samego zdania; tylko raz na nią spojrzała i rozpłakała się. Właśnie przed chwilą mocno uścisnęła córkę, pocałowała ją w policzek i weszła do kościoła, zostawiając Kate i Tully same po raz pierwszy tego dnia.

Stojąc przed wysokim lustrem, które odbijało jej bajkowy wizerunek, Kate zerknęła na Tully, która była dziwnie cicha pośród całego tego zamieszania wokół fryzur i makijażu. Ubrana w bladoróżową suknię druhny, z tafty i bez ramiączek, wyglądała tak, jakby się niepokoiła i czuła nie na miejscu.

– Sprawiasz wrażenie, jakbyś się szykowała na pogrzeb, a nie na wesele – powiedziała Kate.

Tully spojrzała na nią i spróbowała się uśmiechnąć, lecz zbyt długo były przyjaciółkami, by mogły ukryć przed sobą emocje.

– Jesteś pewna z tym ślubem? Naprawdę pewna? Bo…

– Jestem pewna.

Tully nie wyglądała na przekonaną; więcej – wyglądała na przestraszoną.

– To dobrze – powiedziała, przygryzając wargę i sztywno kiwając głową. – Bo to na zawsze.

– A wiesz, co jeszcze jest na zawsze?

– Brudne pieluchy.

Kate wzięła Tully za rękę i zauważyła, że jej dłoń jest chłodna. Jak miała przekonać przyjaciółkę, że to jedynie rozgałęzienie na ich życiowej drodze, nieuniknione rozstanie, ale nie koniec?

– My – powiedziała z naciskiem. – Pozostaniemy przyjaciółkami bez względu na nasze prace, dzieci i śluby. – Uśmiechnęła się. – Ty na pewno zaliczysz niejeden.

– Och, bardzo to miłe – zaśmiała się Tully, szturchając Kate ramieniem. – Uważasz, że nie wytrzymam w małżeństwie.

Kate oparła się o przyjaciółkę.

– Uważam, że zrobisz, co będziesz chciała, Tully. Jaśniejesz jak gwiazda. A ja pragnę tylko Johnny’ego. Kocham go tak bardzo, że to czasem aż boli.

– Jak możesz mówić, że pragniesz tylko Johnny’ego? Robisz wspaniałą karierę. Kiedyś będziesz prowadzić agencję. Ta ciąża nie strąci cię z kursu. W dzisiejszych czasach kobiety mogą wszystko.

Kate się uśmiechnęła.

– To właśnie ty, Tully. A ja aż pękam z dumy. Czasem w supermarkecie opowiadam obcym ludziom, że się z tobą przyjaźnię. Ale ty też musisz być ze mnie dumna. Bez względu na to, co robię. Albo czego nie robię.

– Zawsze będę przy tobie. Przecież wiesz.

– Wiem.

Spojrzały sobie w oczy i w tym momencie, stojąc przed lustrem ubrane jak księżniczki, znów miały po czternaście lat i planowały całe swoje życie.

Tully się uśmiechnęła. Tym razem naprawdę.

– Kiedy powiesz mamie o dziecku?

– Po ślubie. – Kate się zaśmiała. – Przyznałam się Bogu, ale mamie dopiero wtedy, gdy będę panią Ryan.

Na krótką, cudowną chwilę czas się po prostu zatrzymał. Znów były TullyiKate, dziewczynkami, które dzielą swoje sekrety.

I wtedy otworzyły się drzwi.

– Już pora – powiedział tata. – Kościół jest wypełniony po brzegi. Tully, twoja kolej.

Tully uściskała Kate, a potem wybiegła z zakrystii.

Kate popatrzyła na tatę w wypożyczonym smokingu i ze świeżo ostrzyżonymi włosami i ogarnęła ją fala czułości. Usłyszeli, że za drzwiami rozległa się muzyka.

– Pięknie wyglądasz – oświadczył po chwili tata. Głos mu się załamywał, brzmiał inaczej niż zwykle.

Kate podeszła do niego, spojrzała mu w oczy i w ułamku sekundy przypomniała sobie setki scen. To, jak czytał jej bajki przed snem, gdy była mała, jak wsuwał banknoty do kieszeni, gdy była starsza, albo to, jak fałszował, gdy śpiewali w kościele.

Dotknął jej podbródka, uniósł twarz. I wtedy dostrzegła w jego oczach łzy.

– Zawsze będziesz moją małą dziewczynką, Katie Scarlett. Nie zapomnij o tym.

– Nigdy nie zapomnę.

Muzyka wewnątrz zmieniła się na *Here Comes the Bride*. Kate wzięła ojca pod rękę i przeszli przez podwójne drzwi kościoła.

Uroczystym, powolnym krokiem przeszli całą nawę.

Johnny stał pod ołtarzem i czekał na nią. Gdy ujął jej dłoń i uśmiechnął się, Kate znów poczuła w piersi to coś, słodycz świadomości, że to jest jej mężczyzna. Nieważne, co jeszcze przydarzy jej się w życiu; wiedziała, że wychodzi za mąż za swoją prawdziwą miłość, a to czyniło ją szczęśliwą.

Od tego momentu wieczór przybrał mgliste, rozmyte kształty niczym we śnie. Stali przed kolejką gości, całując przyjaciół i krewnych i odbierając od nich życzenia.

Świat stał przed nimi otworem. Wszystko było możliwe. Kate czuła, że nie może przestać się śmiać. I płakać jednocześnie. Gdy zabrzmiała muzyka – *Crazy for You* Madonny – Johnny odszukał ją w tłumie i wziął za rękę.

– Hej, pani Ryan.

Touch me once and you'll know it's true…

Znalazła się w jego objęciach, uszczęśliwiona, że jest tak blisko niego.

Ludzie wokół nich cofnęli się, robiąc miejsce do tańca dla młodej pary. Czuła, że ich obserwują, uśmiechają się, komentują, jaka to romantyczna piosenka i jak pięknie wygląda panna młoda. To była chwila jak z bajki o Kopciuszku na balu, o której Kate marzyła całe życie.

– Kocham cię – powiedziała.

– No myślę – odszepnął, całując ją delikatnie.

Gdy piosenka dobiegła końca, publiczność nagrodziła ich brawami. Uniesiono kieliszki z szampanem, a także butelki piwa i szklanki z drinkami. Goście zawołali:

– Za państwa Ryanów!

Dopiero pod koniec tej magicznej nocy Kate przestała się uśmiechać. Stała przy barze, czekając na kolejny kieliszek cydru, i rozmawiała z ciocią Georgią, gdy to się stało.

Później, w ciągu kolejnych lat, szczególnie w trudnych chwilach, zastanawiała się, dlaczego spojrzała akurat w tym momencie, dlaczego pośród tylu wypełniających salę ludzi, tańczących i śmiejących się, musiała spojrzeć akurat na Johnny'ego, który stał tam zupełnie sam, popijając piwo.

I patrzył na Tully.

18

– Nie wiem, kto pisze te instrukcje, ale angielskiego to oni na pewno nie znają.

Kate uśmiechnęła się i ostrożnie zeszła z drabiny. Były w sypialni na dole i szykowały pokój dla dziecka. Widziała, że Tully zaraz ciśnie śrubokrętem w świeżo pomalowaną ścianę.

– Daj spojrzeć.

Tully, siedząca na podłodze w otoczeniu białych desek, kołków i stosików różnych śrubek i podkładek, podała jej długą i pomiętą instrukcję.

– A proszę cię bardzo.

Kate zagłębiła się w absurdalnie skomplikowane wskazówki.

– Zaczynamy od długiego, płaskiego kawałka. Wchodzi ładnie w ten, widzisz? A potem trzeba przykręcić ten element…

Przez następne dwie godziny siadały, wstawały, przykucały i nachylały się, montując najbardziej skomplikowaną kołyskę świata. Gdy skończyły i ustawiły ją na miejscu pod słonecznie żółtą ścianą z dekoracyjnym paskiem z Kubusiem Puchatkiem, cofnęły się trochę i podziwiały swoje dzieło.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła, Tully?

Przyjaciółka objęła Kate ramieniem.

– Na szczęście nigdy nie będziesz się musiała dowiedzieć. Chodź, zrobię nam margarity.

– Nie mogę pić. Przecież wiesz.

Tully się uśmiechnęła.

– Niezmierne mi przykro, ale jak widać, we mnie żadna fasolka nie rośnie. I raczej długo nie wyrośnie. Więc nie tylko mogę wypić margaritę, ale wręcz sobie na nią zasłużyłam. Złożeniem tej kołyski, bo warto wspomnieć, że to była ewidentnie robota dla Johnny'ego. Bez męskiego DNA to prawdziwy cud, że zajęło nam to mniej niż cały dzień. A ty, o Zaokrąglająca się, możesz dostać dziewiczą wersję. Co za ironia, nie sądzisz?

Pod rękę poszły do kuchni i przygotowały sobie drinki. Wróciły do salonu i usiadły przed kominkiem, cały czas rozmawiając. Głównie o drobnostkach – mandacie Tully za przekroczenie prędkości z zeszłego tygodnia, nowej dziewczynie Seana, kursie, na który mama zapisała się do college'u.

– Jak to jest – zapytała Tully, gdy Kate wstała, by dołożyć drew do kominka – być mężatką?

– Cóż, minęły dopiero trzy miesiące, więc nie mam dużego doświadczenia, ale na razie jest wspaniale. – Usiadła i oparła stopy na stoliku do kawy. Dłoń położyła na ledwo widocznym zaokrągleniu brzucha. – Pomyślisz, że zwariowałam, ale podoba mi się ta codzienna rutyna, to, że jemy razem śniadanie, każde pochylone nad swoją lekturą; uwielbiam to, że on jest pierwszą osobą, którą widzę każdego ranka, i to, że całuje mnie na dobranoc, zanim zasnę. – Uśmiechnęła się do Tully. – Ale tęsknię za wspólną łazienką z tobą. On ciągle przestawia i chowa moje rzeczy, a potem zapomina, gdzie je wsadził. A ty? Jak ci się mieszka w naszym starym mieszkaniu?

– Samotnie – odpowiedziała Tully, wzruszając ramionami i uśmiechając się, jakby było jej wszystko jedno. – Przyzwyczajam się.

– W każdej chwili możesz wpadać, wiesz przecież.

– I tak robię. – Tully roześmiała się i nalała sobie drugą margaritę. – Macie już jakiś plan na czas po narodzinach mojego chrześniaka? Dostaniecie urlopy?

To był temat, którego Kate wolałaby uniknąć. Wiedziała, co chce zrobić, od chwili, gdy wyszła za Johnny'ego, ale nie miała odwagi powiedzieć o tym Tully. Zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Ja odchodzę.

– Co? Dlaczego? Masz najlepszych klientów i razem z Johnnym dobrze zarabiacie. Jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty siódmy! Nie musisz rezygnować z pracy, żeby być matką. Możecie zatrudnić nianię.

– Nie chcę, żeby ktoś inny wychowywał moje dziecko. Przynajmniej nie do czasu, aż pójdzie do zerówki.

Tully dosłownie ścięło z nóg.

– Zerówki? Czyli ile to lat, osiem?

Kate się uśmiechnęła.

– Pięć.

– Ale…

– Żadnych ale. Zależy mi na tym, by być dobrą matką. A ty akurat powinnaś najlepiej rozumieć, jakie to ważne dla dziecka.

Tully usiadła. Obie zdawały sobie sprawę, że nie zdoła na ten argument odpowiedzieć. Wciąż nosiła blizny po ranach zadanych przez okropną matkę.

– Kobiety robią teraz jedno i drugie. To nie są lata pięćdziesiąte.

– Moja mama zawsze jeździła na wszystkie wycieczki. Pomagała nawet w klasie, dopóki jej nie ubłagałam, żeby przestała przychodzić. Autobusem zaczęłam jeździć dopiero w gimnazjum i do dziś pamiętam rozmowy z mamą w drodze ze szkoły, gdy odbierała mnie samochodem. Chcę, żeby moje dziecko też to wszystko miało. Do pracy zawsze mogę wrócić potem.

– I myślisz, że to ci wystarczy: podwożenie autem, wycieczki i wolontariat w szkole?

– Jeśli nie, to coś sobie znajdę. Daj spokój, przecież ja nie latam w kosmos. – Uśmiechnęła się. – Opowiedz mi lepiej o swojej pracy. Będę teraz żyła pośrednio przez ciebie, więc niech to będą dobre historie.

Tully natychmiast zaczęła interesująco opowiadać o ostatnio kręconym materiale. Kate odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy, słuchając.

– Kate? Kate?

Tak się zatopiła w myślach, że dopiero po chwili się zorientowała, że Tully ją woła. Roześmiała się.

– Przepraszam. Co mówiłaś?

– Zasnęłaś. Opowiadałam ci o tym facecie, który zaprosił mnie na randkę, spojrzałam na ciebie, a ty sobie kimnęłaś.

– Wcale nie – powiedziała szybko Kate, ale prawda była taka, że czuła się lekko oszołomiona i senna. – Chyba przyda mi się filiżanka herbaty. – Wstała i zachwiała się niebezpiecznie, chwytając za oparcie sofy. – Rany, co za… – W połowie zdania spojrzała na przyjaciółkę i zmarszczyła brwi. – Tully?

Tully zerwała się z sofy tak szybko, że strąciła margaritę. Objęła Kate i podtrzymała ją.

– Jestem tu.

Coś było nie tak. Kate zakręciło się w głowie tak mocno, że aż się zatoczyła.

– Trzymaj się, skarbie – prosiła Tully, prowadząc ją ostrożnie do drzwi. – Musimy zadzwonić.

Zadzwonić? Zdezorientowana Kate kilka razy potrząsnęła głową, wszystko rozmazywało się jej przed oczami.

– Nie wiem, co się dzieje – wymamrotała. – Czy to jakieś przyjęcie niespodzianka? Mam dzisiaj urodziny?

Tully spojrzała na sofę, na której siedziały.

Ciemna kałuża krwi wsiąkała w obicie i skapywała na podłogę.

– Och nie – szepnęła Kate, dotykając brzucha.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, pomodlić się do Boga o pomoc, ale gdy rozpaczliwie szukała słów, świat wokół zawirował i straciła przytomność.

Tully nie pozwoliła wyrzucić się z karetki. Siedziała przy Kate i powtarzała raz po raz: „Jestem przy tobie, jestem”. Kate była ledwo przytomna. Skórę miała bladą niczym stare, sprane prześcieradło. Nawet jej zielone oczy, zwykle promienne, były mętne i szkliste. Łzy ściekały jej po skroniach.

Karetka podjechała pod szpital. Tully odsunięto w pośpiechu, by przenieść Kate z ambulansu do jasno oświetlonej izby przyjęć. Stała w otwartych drzwiach i patrzyła, jak zabierają gdzieś jej najlepszą przyjaciółkę. Nagle poczuła cały ciężar tego, co właśnie się działo. Kobiety w trakcie poronienia mogą się wykrwawić na śmierć.

– Błagam, Boże – powiedziała, po raz pierwszy w życiu żałując, że nie nauczyła się modlić. – Nie pozwól, żebym ją straciła.

Wiedziała, że to niedobra modlitwa, nie taka, jakiej chciałaby Kate.

– I opiekuj się jej dzieckiem.

Miała wrażenie, jakby ciskała diamenty do rzeki, modląc się do Boga, który nigdy jej nie wysłuchał.

– Katie chodzi do kościoła co niedziela – przypomniała mu, tak na wszelki wypadek.

Kate spała w małym, zielonym szpitalnym pokoju, który wychodził na parking. Pani M. siedziała obok na plastikowym krzesełku i czytała książkę. Czytając, jak zwykle poruszała ustami. Tully podeszła do niej i dotknęła jej ramienia.

– Przyniosłam kawę.

Zostawiła dłoń na ramieniu pani M. trochę dłużej. Minęły prawie dwie godziny, odkąd Kate straciła dziecko, i choć natychmiast zadzwoniono po Johnny'ego, jeszcze nie dotarł ze Spokane, na drugim krańcu stanu, gdzie był służbowo.

– Dobrze, że to się stało wcześnie – powiedziała Tully.

– Cztery miesiące to nie jest wcześnie – stwierdziła cicho pani Mularkey. – Mówią tak ci, którzy nigdy nie przeżyli poronienia. Bud mi tak powiedział. Dwa razy. – Podniosła wzrok. – Nigdy nie czułam, żeby było w tym cokolwiek dobrego. To strata kogoś, kogo się kocha. Chyba wiesz, jak to jest, prawda?

– Dziękuję – odpowiedziała Tully, ścisnąwszy ramię pani Mularkey, i podeszła bliżej łóżka. – Teraz już wiem, czego nie mówić. Szkoda, że nie wiem, jak pomóc.

Kate otworzyła oczy i zobaczyła je.

Pani Mularkey wstała, zbliżyła się do łóżka, przy którym stanęły z Tully ramię w ramię.

– Hej – szepnęła Kate. – Kiedy Johnny… – Głos jej się załamał, gdy wypowiadała imię męża, i zaczęła drżeć.

– Czy ktoś mnie wołał?

Tully się obróciła.

Stał w otwartych drzwiach, trzymając bukiet kwiatów, które lekko przywiędły. Cały był w nieładzie – bladość skóry nieogolonej twarzy kontrastowała z czarnym zarostem, długie włosy miał poplątane, a w oczach odbijało się wielkie zmęczenie. Jego znoszone levisy były brudne, koszula khaki bardziej wymięta niż nieposłane łóżko.

– Wynająłem prywatny samolot. To dopiero będzie rachunek.

Rzucił kwiaty na krzesło i podszedł do żony.

– Hej, skarbie – szepnął. – Przepraszam, że jestem dopiero teraz.

– To był chłopiec – powiedziała Katie, wybuchając płaczem i tuląc się do niego.

Tully usłyszała, że Johnny zaczął płakać razem z Kate.

Pani Mularkey podeszła do niej i objęła ją w pasie.

– On ją kocha. – Zrozumiała Tully.

Wspomnienie nocy spędzonej z Johnnym zaślepiało ją, unieruchomiło niczym owada w bursztynie zapomnianego czasu. Wyobrażała sobie, że Kate jest dla niego drugim wyborem, wicemiss miłości. Ale to… To nie był drugi wybór.

Pani Mularkey odciągnęła ją od łóżka.

– Oczywiście, że ją kocha. Chodź, zostawmy ich samych.

Wzięły kawę i wyszły na korytarz, gdzie pan Mularkey siedział na niewygodnym krzesełku. Gdy na nie spojrzał, widać było, że oczy ma nadbiegłe krwią.

– Co z nią?

– Johnny jest tam teraz – odpowiedziała pani Mularkey, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Tully po raz pierwszy od wielu lat poczuła się w tej rodzinie jak intruz.

– Powinnam z nią być.

– Nie martw się, Tully – zapewniła pani M., uważnie się jej przyglądając. – Zawsze będzie cię potrzebować.

– Ale teraz jest inaczej.

– Oczywiście, że tak. Katie jest mężatką. Każda z was poszła swoją ścieżką, ale zawsze pozostaniecie najlepszymi przyjaciółkami.

Osobne ścieżki. O to chodziło. Coś, co powinna była dostrzec, ale nie dostrzegła.

Zmieniali się przy Kate przez następne dni. W czwartek był dyżur Tully. W pracy powiedziała, że jest chora, i spędziła cały dzień z przyjaciółką w jej domu. Grały w karty, oglądały telewizję i rozmawiały. Przez większość czasu Tully tylko słuchała. Gdy musiała coś powiedzieć, starała się dobierać właściwe słowa, ale była przekonana, że rzadko jej się to udaje. W jej przyjaciółce był teraz jakiś smutek, jakaś szarość, które były dla Tully tak nieznane, że miała wrażenie, jakby obcowała z negatywem ich przyjaźni. Nic, co mówiła, nie było takie jak trzeba.

Wreszcie koło ósmej wieczorem Kate powiedziała:

– Wiem, że pomyślisz, że zwariowałam, ale idę spać. Johnny będzie w domu za godzinę. Możesz iść. Idź i miej upojny seks z tym nowym facetem, Tedem.

– Toddem. I nie bardzo mam ochotę się teraz migdalić. Chociaż… – Z uśmiechem pomogła Kate wejść po schodach i położyć się do łóżka. A potem spojrzała na nią.

– Nie wiesz nawet, jak bardzo chciałabym powiedzieć coś, co sprawiłoby, żebyś poczuła się lepiej.

– Mówisz. Dziękuję. – Kate zamknęła oczy.

Tully stała tam przez chwilę, czując nietypową dla siebie niemoc. Z westchnieniem zeszła po schodach i zajęła się brudnymi naczyniami. Wycierała ostatnią szklankę, gdy drzwi cicho się otworzyły, a następnie zamknęły.

To był Johnny. Z bukietem różowych róż. Ze świeżo przyciętymi włosami, w spranych dżinsach i białych adidasach z wielkimi językami wyglądał na dwudziestolatka. Ale nigdy, odkąd go znała, nie sprawiał wrażenia tak smutnego i wykończonego.

– Hej – zagadnął, odkładając kwiaty na stolik do kawy.

– Coś mi się wydaje, że przydałby ci się drink.

– Chyba raczej kroplówka. – Starał się uśmiechnąć. – Śpi?

– Tak. – Tully wzięła butelkę szkockiej z barku i nalała mu porządną porcję, dla siebie wzięła wino i podeszła do Johnny'ego.

– Usiądźmy na pomoście – zaproponował, odbierając szklankę. – Nie chcę jej obudzić.

Tully wzięła płaszcz i wyszła za nim na zewnątrz. Usiedli obok siebie na pomoście, jakby byli dziećmi, z nogami zwisającymi nad czarnymi wodami Lake Union. Było cicho i spokojnie. Na niebie zawisł księżyc w pełni, oświetlając dachy i odbijając się w oknach. Odległy szum samochodów na moście zagłuszało chlupotanie wody o filary.

– Jak się czujesz, ale tak naprawdę? – zapytała Tully.

– Martwię się o Katie.

– Wiem – odparła – ale ja pytam o ciebie.

– Bywało lepiej. – Upił szkockiej.

Tully oparła się o niego.

– Szczęściarz z ciebie. Ona cię kocha, a jak Mularkey kocha, to na całe życie.

W chwili gdy to powiedziała, znów ogarnęło ją poczucie, że coś się kończy. Samotność, której jeszcze nie widać, ale już się do niej zbliża. Tully po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, jakie byłoby jej życie, gdyby była taka jak Kate i wybrała miłość. Czy wtedy wiedziałaby, co to znaczy naprawdę przynależeć do jakiegoś miejsca, do kogoś? Popatrzyła daleko nad wodą.

– O co chodzi, Tully?

– Chyba jestem zazdrosna o ciebie i Kate.

– Nie chcesz takiego życia.

– A jakiego chcę?

Objął ją ramieniem.

– Takiego jak zawsze. Telewizji.

– Czy to znaczy, że jestem płytka?

Roześmiał się.

– Chyba nie jestem dobrym adresatem tego pytania. Coś ci powiem: podzwonię trochę. Wcześniej czy później znajdziemy ci pracę w którejś z wielkich sieci.

– Zrobiłbyś to?

– Oczywiście. Ale musisz być cierpliwa. To potrwa.

Obróciła się i przytuliła go, szepcząc:

– Dzięki, Johnny.

Tak dobrze ją znał. Zanim ona sama się zorientowała, on już wiedział. Nadeszła pora, by ruszyć dalej.

Choć Kate była zmęczona, nie mogła zasnąć. Leżała w łóżku, wpatrując się w spadzisty sufit, i czekała na męża.

Jej niepokój tkwił w samym jądrze ich związku. Gdy coś szło źle, przypominała sobie, że jest jego drugim wyborem, i choćby powtarzała sobie milion razy, że to nieprawda, jakaś jej drobna, mroczna część wierzyła w to i się tym zamartwiała. To była destrukcyjna neuroza. Niczym podnosząca się woda rzeki Pilchuck, niszczyła wszystko wokół, odrywając z brzegów kawały ziemi.

Kate usłyszała coś na dole. Wrócił. *Dzięki Bogu*. Pomimo bólu wstała z łóżka i zeszła na parter.

Światła były zgaszone. Ogień w kominku niemal wygasł, rzucał jedynie delikatną pomarańczową poświatę. W pierwszej chwili pomyślała, że się przesłyszała, że Johnny wcale nie wrócił, ale potem spostrzegła cienie na tarasie. Dwoje ludzi siedzących na tyle blisko siebie, by dotykać się ramionami. Księżyc ukazywał ich sylwetki, srebrzył je na tle czarnej wody.

Po cichu przeszła przez salon, otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Leciutka bryza rozwiała jej włosy i koszulę nocną.

Tully obróciła się, przytuliła Johnny'ego i szepnęła mu coś do ucha. Jego odpowiedź zagłuszyła woda chlupocząca o pomost. Może się roześmiał; Kate nie była pewna.

– Robicie imprezę beze mnie? – Usłyszała, że głos jej się łamie, i głęboko wciągnęła powietrze, by to ukryć.

W głębi serca wiedziała, że Johnny nie odwrócił się, by pocałować Tully, ale jej mroczna część nie była tego pewna. Brzydka, toksyczna myśl była mniejsza niż kropla krwi, ale zatruła cały strumień.

Johnny natychmiast znalazł się u jej boku. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Gdy się odsunął, rozejrzała się za Tully, ale byli na pomoście sami.

Po raz pierwszy w życiu Kate pożałowała, że tak mocno go kocha. To uczucie było niebezpieczne, czyniło z niej bezbronne niemowlę wystawione na działanie sił natury. Kruche i przerażone. Mógł ją kiedyś zniszczyć. Nie miała co do tego wątpliwości.

Mijały miesiące, rozpoczął się nowy rok, a Tully starała się być cierpliwa i nie tracić wiary, ale pod koniec maja omal się nie poddała. Wyglądało na to, że rok 1988 nie będzie dla niej dobry. Był wczesny ranek ciepłego wiosennego dnia, a ona ciężko pracowała, bo udało jej się poprowadzić program w zastępstwie. Po emisji wróciła do biura.

Siedziała przy swoim biurku, gdy usłyszała:

– Druga linia, Tully.

Podniosła słuchawkę i wcisnęła biały kwadratowy guzik, który natychmiast się zaświecił.

– Tallulah Hart.

– Dzień dobry, pani Hart. Tu Dick Emerson. Jestem wiceprezesem NBC w Nowym Jorku odpowiedzialnym za ramówkę. Rozumiem, że rozważa pani przejście do większej sieci.

Tully aż zaparło dech w piersiach.

– To prawda.

– Szukamy kandydatów na stanowisko reportera do porannego programu.

– Naprawdę?

– W przyszłym tygodniu spotkam się z około pięćdziesięcioma kandydatami. To będzie potężna konkurencja, pani Hart.

– Zupełnie jak ja, panie Emerson.

– Podoba mi się takie ambitne podejście. – Usłyszała w słuchawce szelest papierów. – Poproszę sekretarkę, żeby przesłała pani bilet. Zadzwoni do pani w sprawie noclegu oraz dokładnego terminu rozmowy. Czy to pani odpowiada?

– Bardzo. Ogromnie panu dziękuję. Nie rozczaruję pana.

– Świetnie. Nie lubię marnować czasu – zawahał się. – I proszę pozdrowić ode mnie Johnny'ego Ryana.

Tully rozłączyła się i wybrała numer Kate i Johnny'ego.

Kate odebrała natychmiast.

– Halo?

– Kocham twojego męża.

Ułamek sekundy ciszy.

– Och, naprawdę?

– Załatwił mi rozmowę w NBC.

– W przyszłym tygodniu, tak?

– Wiedziałaś?

Kate się roześmiała.

– Oczywiście, że tak. Pracował nad tym od dłuższego czasu. A ja osobiście wysyłałam twoje taśmy.

– Mimo wszystkich swoich kłopotów zajmowałaś się moimi sprawami? – zapytała z podziwem Tully.

– Ty i ja kontra cały świat, Tully. Niektóre rzeczy są niezmienne.

– Tym razem naprawdę sprawię, że świat stanie w ogniu – odpowiedziała ze śmiechem. – Wreszcie dostałam tę cholerną zapałkę.

Nowy Jork był dokładnie taki, jak w marzeniach Tully. W pierwszym tygodniu, z dłonią zaciśniętą na nowych wizytówkach NBC ze swoim nazwiskiem, przemierzała zatłoczone ulice miasta niczym Alicja w Krainie Czarów, nieustannie zadzierając głowę. Zachwycały ją sięgające nieba wieżowce, restauracje, których nie zamykano przez całą dobę, konne dorożki przy parku i tłumy ubranych na czarno ludzi, którzy wypełniali chodniki.

Przez dwa tygodnie poznawała miasto, wybierała dzielnicę, szukała mieszkania i uczyła się korzystać z metra. Mogłaby się czuć samotna – kto by chciał zwiedzać takie magiczne miasto jak Nowy Jork w pojedynkę? Jednak ona była tak podekscytowana nową pracą, że samotność zupełnie jej nie doskwierała. Poza tym w mieście, które nigdy nie śpi, wcale nie jesteś tak naprawdę sam. Zawsze są ludzie na ulicach, nawet w środku nocy.

A poza tym miała pracę. Od chwili gdy weszła do budynku NBC jako reporterka, była jak uzależniona. Wstawała o wpół do trzeciej w nocy, żeby być w studiu o czwartej. Choć nie musiała przychodzić aż tak wcześnie, uwielbiała kręcić się tam

i pomagać. Uważnie przyglądała się każdemu ruchowi Jane Pauley.

Tully zatrudniono jako reporterkę do zadań ogólnych, co znaczyło, że dostawała do zrobienia fragmenty materiałów dla innych. W którymś momencie, jeśli się jej poszczęści, dostanie większy temat, którego ważni dziennikarze nie będą chcieli tknąć – na przykład o największej tegorocznej dyni w Indianie albo o czymś równie istotnym. Nie mogła się doczekać. Gdy zrobi, co trzeba, dostanie prawdziwy temat do opracowania, a gdy wreszcie to nastąpi, pokaże, co potrafi. Szczerze mówiąc, gdy obserwowała takich ludzi jak Pauley czy Bryant Gumbel, widziała, ile ma jeszcze do zrobienia. Byli w jej oczach bogami i w każdej wolnej minucie starała się przyglądać, jak pracują. W domu analizowała emitowane programy, nagrywała je na kasety i w kółko odtwarzała.

Jesienią 1989 roku złapała rytm i już nie czuła się jak żółtodziób, lecz jak młoda kobieta, której dane będzie się wykazać. W zeszłym miesiącu dostała swój pierwszy prawdziwy temat: poleciała do Arkansas, żeby nakręcić materiał o zwyciężającym wszystkie konkursy wieprzu. Nie puścili go potem na antenie, ale ona wykonała swoje zadanie. Zrobiła to dobrze i dużo się przy okazji nauczyła.

Była przekonana, że i w studiu nauczyłaby się więcej, gdyby w porannym show nie toczyła się wojna. Cały kraj o niej wiedział. W zeszłym tygodniu robili nowe zdjęcie reklamowe. Na kanapie siedziała Deborah Norville, gospodyni bardzo wcześnie nadawanego programu, razem z Jane i Bryantem. To zdjęcie wstrząsnęło całą siecią i krajem. Pisano artykuł za artykułem i we wszystkich twierdzono, że Norville stara się wypchnąć Pauley.

Tully nie mieszała się do tego i unikała plotek. Nie pozwoli, by jakieś pogłoski zepsuły jej szanse na sukces. Skupiała się

wyłącznie na pracy. Jeśli będzie pracować ciężej niż inni, może uda jej się dostać kiedyś zastępstwo w nadawanym niemal o świcie programie *NBC News at Sunrise*. Stamtąd na pewno uda jej się kiedyś przebić do wiadomości *Today*, a wtedy droga do podboju świata stanie przed nią otworem.

Osiemnaście godzin pracy dziennie nie pozostawiało wiele miejsca na życie osobiste, ale Tully wciąż miała Katie, choć dzieliły je tysiące kilometrów. Rozmawiały przez telefon co najmniej dwa razy w tygodniu, a co niedziela Tully dzwoniła do pani M. Obu opowiadała o swojej pracy, spotkanych celebrytach i życiu na Manhattanie, a one odwzajemniały się szczegółami na temat nowego domu, który kupili sobie Kate i Johnny, podróży, którą pan i pani M. zaplanowali na wiosnę i – najważniejsze – o tym, że Kate znowu jest w ciąży i że wszystko jest w porządku.

Dni przesypywały się niczym karty w talii, tak szybko, że zlewały się w ciąg dźwięków i obrazów. Ale Tully podążała właściwą drogą. Wiedziała o tym i to jej pomagało.

W ten lodowaty dzień pod koniec grudnia, podobnie jak w wiele poprzednich, spędziła w telewizji czternaście godzin, a potem zmęczona wróciła do domu. Po drodze zachwycił ją widok świątecznego Rockefeller Center. Pomimo szarości zapadającego wieczoru wszędzie kręcili się ludzie, robiąc zakupy, fotografując olbrzymią choinkę, jeżdżąc na łyżwach na otwieranym co sezon lodowisku.

Już miała ruszyć dalej, gdy dostrzegła neon restauracji Rainbow Room i pomyślała: *A co mi tam*. Mieszkała w Nowym Jorku od ponad roku i choć poznawała mnóstwo ludzi, w ogóle nie chodziła na randki.

Może to przez świąteczne dekoracje, a może przez to, jak jej szef się roześmiał, gdy poprosiła o wolne na święta. Nie była pewna. Ale wiedziała, że jest piątkowy wieczór, parę dni przed

Bożym Narodzeniem, a ona nie miała ochoty wracać do pustego mieszkania. CNN może poczekać.

Widok z restauracji był jeszcze piękniejszy, niż się spodziewała. Tully czuła się jak na mostku jakiegoś wielkiego statku z przyszłości unoszącego się nad barwnym splendorem nocnego Manhattanu.

Było dość wcześnie, więc przy barze i przy stolikach było mnóstwo wolnych miejsc. Wybrała stolik przy oknie, usiadła i zamówiła margaritę. Właśnie miała poprosić o kolejną, gdy restauracja zaczęła się zapełniać. Kobiety i mężczyźni z Wall Street i Midtown zbierali się w grupkach obok wystrojonych turystów, zajmując krzesła i stoliki i ustawiając w potrójną kolejkę przy barze.

– Czy mógłbym się do pani przysiąść?

Tully podniosła wzrok. Przystojny blondyn w drogim garniturze uśmiechał się do niej z góry.

– Zmęczyło mnie przepychanie się przez tłumek japiszonów po drinka.

Angielski akcent. Uwielbiała to.

– Napoić spragnionego… – Przesunęła stopą krzesło naprzeciwko tak, by zrobić mu miejsce.

– Dzięki Bogu. – Pomachał na kelnera, zamówił szkocką z lodem dla siebie i kolejną margaritę dla niej, a potem opadł na krzesło. – Co za targowisko próżności. A tak przy okazji, mam na imię Grant.

Spodobał jej się jego uśmiech, więc go odwzajemniła.

– Tully.

– Żadnych nazwisk. Doskonale. To znaczy, że nie będziemy się musieli wymieniać życiorysami. Możemy się tylko bawić.

Kelner przyniósł drinki i odszedł.

– Zdrowie – powiedział Grant, stukając się z nią szklaneczką. – Widok stąd jest lepszy niż mi opowiadano. – Nachylił się ku

niej. – Jesteś piękna, ale zapewne o tym wiesz.

Słyszała te słowa przez całe życie. Zwykle nic dla niej nie znaczyły, odbijały się od niej niczym krople deszczu od blaszanego dachu, ale z jakiegoś powodu w tej sali, parę dni przed świętami taki komplement był akurat tym czymś, co pragnęła usłyszeć.

– Na długo przyjechałeś?

– Mniej więcej tydzień. Pracuję dla Virgin Entertainment.

– Zmyślasz?

– Nie, naprawdę. To jedna z firm Richarda Bransona. Sprawdzamy amerykańskie lokalizacje dla sklepów Virgin Megastores.

– Aż boję się zapytać, co sprzedajecie.

– To było niemiłe. To sklepy z muzyką, przynajmniej na razie.

Upiła łyk drinka, przyglądając się Grantowi znad oprószonej solą krawędzi kieliszka, i uśmiechnęła się. Kate zawsze jej powtarzała, że powinna częściej wychodzić i poznawać ludzi. W tym momencie wydawało się, że to cholernie dobra rada.

– Hotel masz gdzieś blisko?

CZĘŚĆ III

Lata dziewięćdziesiąte

I’m Every Woman

it’s all in me

19

– Przyłóż mi czymś. Mówię serio. Jeśli mnie nie znieczulą, idź po kij bejsbolowy i mnie walnij. To całe oddychanie to jedna wielka… aaa! – Kate poczuła, jak ból przewierca się przez jej trzewia i rozrywa ją od środka.

Johnny tuż obok powtarzał:

– Trzymaj się… Hu, hu… Dasz radę. Oddychaj… Ha… ha… właśnie tak. Pamiętasz zajęcia? Skoncentruj się. Wizualizuj. Chcesz może…

Złapała go za kołnierz i szarpnęła ku sobie.

– Na litość boską, jeśli jeszcze raz powiesz coś o oddychaniu, to cię zabiję. Chcę znieczulenie…

I znów ten ból, który przebijał się przez nią, ściskał i wykręcał, aż musiała krzyczeć. Przez pierwsze sześć godzin szło całkiem nieźle. Koncentrowała się, oddychała, całowała męża, gdy pochylał się nad nią, i dziękowała, gdy przyciskał chłodną szmatkę do jej czoła. W trakcie kolejnych sześciu straciła swój wrodzony optymizm. Bezlitosny, miażdżący ból był potworem, który wgryzał się w jej ciało, zjadając je po kawałku. Po siedemnastu godzinach Kate była jak wściekła suka. Nawet położna wchodziła i wychodziła niczym Speed Racer.

– No dalej, skarbie, oddychaj. Jest za późno na znieczulenie. Słyszałaś, co mówił lekarz. To już nie potrwa długo.

Zauważyła, że nawet starając się ją pocieszyć, Johnny już się do niej nie zbliża. Był jak przerażony żołnierz na polu

minowym, który właśnie zobaczył rozniesionego na strzępy kolegę. Bał się wykonać najdrobniejszy ruch.

– Gdzie mama?

– Chyba wyszła, żeby znowu zadzwonić do Tully.

Kate starała się skoncentrować na oddychaniu, ale to nie pomagało. Ból znów nadchodził, potężniał. Zacisnęła mokre od potu dłonie na poręczach łóżka.

– Przy… nieś… mi… kost… ki… loooduuu! – Ostatnie słowo wykrzyczała.

Widok Johnny'ego śmigającego do drzwi byłby zabawny, gdyby Kate nie czuła się jak rozszarpywana przez rekina bohaterka *Szczęk*.

Drzwi do jej prywatnej sali szpitalnej otwarły się gwałtownie.

– Ktoś tu strasznie na wszystkich pokrzykuje.

Kate spróbowała się uśmiechnąć, ale zaczynał się kolejny skurcz.

– Ja… już… tego… nie… chcę.

– Zmieniłaś zdanie? W samą porę.

Tully podeszła do łóżka.

Ból znów uderzył.

– Krzycz – powiedziała Tully, głaszcząc ją po czole.

– Mam… w trakcie… oddychać.

– Wal to. Krzycz.

Krzyknęła i poczuła się lepiej. Gdy fala bólu opadła, roześmiała się cichutko.

– Tully Hart kontra doktor Lamaze.

– Raczej nie jestem fanką naturalnych porodów. – Spojrzała na wzdęty brzuch Kate i jej bladą, spoconą twarz. – A to najlepsza reklama antykoncepcji, jaką widziałam. Od teraz będę używać trzech prezerwatyw naraz. – Tully się uśmiechnęła, ale w jej oczach malowała się troska. – Na pewno wszystko z tobą okej? Zawołać lekarza?

Kate z trudem pokręciła głową.

– Mów do mnie. Rozpraszaj.

– Poznałam w zeszłym miesiącu jednego faceta.

– Jak ma na imię?

– Wiedziałam, że o to zapytasz. Grant. I zanim polecisz listą pytań jak z ankiety w „Cosmo" *Jak dobrze znasz swojego faceta*, to pozwól, że wyjaśnię: nic o nim nie wiem, poza tym, że całuje jak bóg, a pieprzy jak diabeł.

Kolejny skurcz. Kate wygięła się i znowu krzyknęła. Słyszała głos Tully jak z oddali, czuła, że przyjaciółka gładzi ją po czole, ale ból był tak wszechogarniający, że mogła tylko gwałtownie wciągnąć powietrze.

– Oż kurwa – jęknęła, gdy ból zelżał. – Następnym razem, jak Johnny się do mnie zbliży, to go stłukę.

– To ty chciałaś dziecka.

– Znajdę sobie nową przyjaciółkę. Taką z gorszą pamięcią.

– Ale ja mam słabą pamięć. Mówiłam ci już, że się z kimś spotykam? Jest dla mnie idealny.

– Bo? – zapytała Kate, dysząc.

– Mieszka w Londynie. Widujemy się tylko w weekendy. Żeby uprawiać odjazdowy seks.

– To dlatego nie odbierałaś, gdy mama dzwoniła?

– Akurat byliśmy w samym środku, ale gdy tylko skończyliśmy, od razu zaczęłam się pakować.

– Cieszę się, że… o cholera… masz dobrze ustawione priorytety.

Kate była w połowie kolejnego skurczu, gdy drzwi do pokoju znów się otwarły. Pierwsza weszła położna, a za nią mama Kate i Johnny. Tully cofnęła się, przepuszczając ich wszystkich. Położna sprawdziła rozwarcie i zawołała lekarza. Wpadł do sali, uśmiechnął się do pacjentki przelotnie, jakby spotkali się

przypadkiem w spożywczaku, i założył rękawiczki. Wysunięto podpory pod nogi i się zaczęło.

– Przyj – powiedział spokojnym, wolnym od emocji tonem, który sprawił, że Kate miała ochotę wydrapać mu oczy.

Krzyczała i parła, i dalej krzyczała, aż rozdzierający ból minął tak nagle, jak się pojawił.

– Śliczna dziewczynka – oznajmił lekarz. – Czy tata chce przeciąć pępowinę?

Kate spróbowała się unieść, ale była za słaba. Zaraz potem obok niej pojawił się Johnny i podał jej maleńki, różowy tobołek. Wzięła swoją nowo narodzoną córkę w ramiona i popatrzyła na jej buzię przypominającą kształtem serce. Miała gęstwinę mokrych, czarnych loków, bardzo jasną cerę matki i najpiękniejsze usteczka na świecie. Kate nie potrafiłaby opisać potęgi miłości, która ją ogarnęła.

– Cześć, Marah Rose – szepnęła, ujmując w palce maleńką piąstkę dziecka. – Witaj w domu, malutka.

Gdy spojrzała na Johnny'ego, płakał. Pochylił się i obdarzył ją pocałunkiem lekkim jak muśnięcie motyla.

– Kocham cię, Katie.

Wszystko na świecie było w tym momencie na swoim miejscu i Kate wiedziała, że cokolwiek się wydarzy, cokolwiek życie trzyma dla niej w zanadrzu, ona na zawsze zapamięta tę jedną jaśniejącą chwilę. Dotknęła nieba.

Tully wybłagała w pracy dwa dodatkowe dni wolne, by pomóc Kate urządzić się w domu. Gdy dzwoniła w tej sprawie, wydawało jej się to ważne i konieczne. Ale teraz, zaledwie parę godzin po wypisaniu Kate i Marah ze szpitala, Tully dostrzegła prawdę. Była równie przydatna jak niedziałający mikrofon.

Pani Mularkey krzątała się jak automat. Karmiła Kate, zanim ta nawet wspomniała, że jest głodna, zmieniała dziecku pieluszki wielkości chusteczek higienicznych jak jakiś magik i uczyła Kate, jak karmić córkę piersią. Najwyraźniej to wcale nie była tak instynktowna czynność, jak się Tully wydawało.

A jej wkład? Jeśli się udało, sprawiała, że Kate się śmiała. Ale zwykle przyjaciółka tylko wzdychała. Wyglądała przy tym jednocześnie na zakochaną w swoim dziecku i absolutnie wykończoną. Leżała teraz w łóżku, trzymając noworodka w ramionach.

– Czy nie jest piękna?

Tully spojrzała na maleńkie, różowe zawiniątko.

– Pewnie, że jest.

Kate pogłaskała policzek córki, uśmiechając się do niej.

– Powinnaś wracać do domu, Tully. Naprawdę. Przyjedź, jak dojdę do siebie.

Tully starała się nie okazać ulgi, którą odczuła.

– Naprawdę jestem im potrzebna w studiu. Beze mnie panuje tam prawdziwy chaos.

Kate uśmiechnęła się znacząco.

– Bez ciebie nie dałabym rady, wiesz o tym.

– Naprawdę?

– Naprawdę. A teraz pocałuj swoją chrześnicę i leć do pracy.

– Wrócę na chrzciny. – Tully pochyliła się i pocałowała aksamitny policzek Marah, a potem czoło Kate. Zanim szepnęła „do widzenia” i dotarła do drzwi, miała wrażenie, że Kate już o niej zupełnie zapomniała.

Na dole zobaczyła Johnny’ego, półleżącego w fotelu przy kominku. Włosy miał w totalnym nieładzie, koszulkę włożoną tyłem do przodu, a skarpetki nie do pary. Pił piwo o jedenastej rano.

– Wyglądasz koszmarnie – powiedziała, siadając obok niego.

– Budziła się w nocy co godzinę. Lepiej spałem w Salwadorze. – Upił łyk piwa. – Ale jest piękna, co?

– Cudowna.

– Katie chce się przenieść na przedmieście. Uświadomiła sobie, że ten dom otacza woda, więc przenosimy się na jakąś zaciszną ulicę, gdzie sąsiedzi organizują sprzedaż wypieków i wspólne zabawy dla dzieci. – Skrzywił się. – Wyobrażasz sobie mnie w Bellevue albo Kirkland z tymi wszystkimi japiszonami?

Zabawne, że nie miała z tym żadnego problemu.

– A co z pracą?

– Wracam do KILO. Będę się zajmował produkcją wiadomości w dziale polityki i spraw międzynarodowych.

– To do ciebie nie pasuje.

Chyba go zaskoczyła. Gdy spojrzał na nią, spostrzegła w jego oczach przebłysk wspomnienia; przywołała ich przeszłość.

– Mam trzydzieści pięć lat, Tully. I mam żonę i dziecko. Teraz co innego będzie mnie uszczęśliwiać.

Nie mogła nie zauważyć, że użył czasu przyszłego.

– Ale ty kochasz dziennikarstwo zaangażowane. Pola bitew, wybuchy pocisków, to, gdy do ciebie strzelają. Oboje wiemy, że nie możesz z tego na amen zrezygnować.

– Tylko ci się wydaje, że mnie znasz, Tully. Nie powierzaliśmy sobie sekretów.

Przypomniała sobie nagle i z wielką ostrością coś, o czym miała zapomnieć.

– Próbowałeś.

– Próbowałem – potwierdził.

– Katie chciałaby twojego szczęścia. Skopałbyś im tyłki w CNN.

– W Atlancie? – Roześmiał się. – Kiedyś zrozumiesz.

– To znaczy jak będę mieć męża i dzieci?

– Jak się zakochasz. To zmienia człowieka.

– Tak jak zmieniło ciebie? Będę miała kiedyś dziecko i będę chciała znowu pisać do *Queen Ann Bee*, o to chodzi?

– Najpierw musiałabyś się zakochać, prawda?

Spojrzenie, którym ją obdarzył, było tak przenikliwe i pełne zrozumienia, że niemal fizycznie poczuła, jak ją przeszywa. Nie tylko ona pamiętała przeszłość.

Wstała.

– Muszę wracać na Manhattan. Wiesz, jak to jest z newsami. Nigdy nie śpią.

Johnny odstawił piwo, podniósł się i podszedł do niej.

– Zrób coś dla mnie, Tully. Zdobądź świat.

Powiedział to tak, że zabrzmiało smutno. Nie wiedziała tylko, czy to żal nad samym sobą czy smutek z jej powodu.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Zdobędę.

Dwa tygodnie po powrocie Tully z Seattle na Manhattanie rozpętała się śnieżyca, unieruchamiając miasto. Przynajmniej na kilka godzin. Nieustanny ruch zamarł, biały śnieg zasypał ulice i chodniki i zamienił Central Park w zimową krainę czarów.

Mimo to Tully dotarła do pracy na czwartą. W swoim zimnym mieszkaniu w budynku bez windy, z grzechoczącym kaloryferem i szronem na cieniutkich oknach, włożyła rajstopy, czarne welurowe spodnie z zapiętkami, śniegowce i dwa swetry. Na to wszystko narzuciła granatowy wełniany płaszcz, wciągnęła szare rękawiczki i wyruszyła walczyć z żywiołem. Parła ulicą, pochylając się pod silnym wiatrem. Mróz szczypał ją w policzki, a śnieg sypał prosto w oczy. Nie zrażało jej to.

Uwielbiała swoją pracę, więc była gotowa na wszystko, by dotrzeć tam wcześnie.

W holu otupała z butów śnieg, wpisała się na listę i weszła po schodach. Niemal natychmiast zorientowała się, że większość pracowników nie dotarła. Obecny był zaledwie szkielet ekipy.

Przy biurku Tully od razu zabrała się do pracy nad tematem, który przydzielono jej wczoraj. Zajmowała się sprawą puszczyka plamistego na północnym zachodzie stanu. Żeby ulepszyć materiał, czytała wszystko, co się dało – raporty senackiej podkomisji, wyniki badań środowiskowych, dane statystyczne dotyczące wyrębów i liczebności populacji ptaków w starych lasach.

– Pilnie pracujesz.

Tully gwałtownie podniosła wzrok. Zatopiona w lekturze nie zauważyła, że ktoś podszedł do jej biurka.

A to nie był byle kto.

Edna Guber, w charakterystycznym dla siebie czarnym kostiumie, stała przy jej biurku z zapalonym papierosem w palcach, lekko wysunąwszy do przodu jedno biodro. Przenikliwe szare oczy patrzyły spod obciętej jak u Anny Wintour granatowoczarnej grzywki. Edna była sławą telewizyjnych wiadomości, jedną z tych kobiet, które wywalczyły sobie drogę na szczyt w czasach, gdy inne przedstawicielki jej płci nie mogły wejść do firmy frontowymi drzwiami, chyba że były sekretarkami. Edna (zawsze wystarczało samo imię) miała ponoć w swoim obrotowym wizytowniku numery telefonów do wszystkich, od Fidela Castro po Clinta Eastwooda. Nie było wywiadu, którego nie mogłaby zrobić, i nie było miejsca, do którego nie dotarłaby, żeby dowiedzieć się tego, czego chciała.

– Połknęłaś język? – zapytała, wydmuchując dym.

Tully raptownie się zerwała.

– Przepraszam, Edno. Pani Guber. Proszę pani.

– Nie znoszę, gdy ludzie mówią mi per pani. Czuję się wtedy staro. Uważasz, że jestem stara?

– Nie, pr…

– To dobrze. Jak się tu dostałaś? Autobusy i taksówki właściwie nie jeżdżą.

– Przyszłam na piechotę.

– Nazwisko?

– Tully Hart. Tallulah.

Edna zmrużyła oczy. Powoli zmierzyła wzrokiem Tully od stóp do głów.

– Chodź ze mną.

Obróciła się na pięcie i pomaszerowała korytarzem w kierunku narożnego gabinetu.

Ojej.

Serce Tully łomotało. Nigdy jej jeszcze nie zaproszono do tego gabinetu, nie poznała nawet dotąd Maury'ego Steina, wielkiego guru porannych wiadomości.

Gabinet z dwiema przeszklonymi ścianami okazał się olbrzymi. Padający śnieg sprawiał, że wszystko na zewnątrz stało się szarobiałe i dziwne. Można się tu było poczuć jak wewnątrz szklanej kuli.

– Ta da radę – powiedziała Edna, wskazując głową na Tully.

Maury oderwał wzrok od dokumentów. Ledwo zerknął na Tully, a potem skinął i rzucił: – Okej.

Edna wyszła z gabinetu.

Tully stała zdezorientowana. A potem usłyszała, jak Edna mówi:

– Masz padaczkę? Albo śpiączkę?

Tully wyszła za nią na korytarz.

– Masz papier i długopis?

– Tak.

– Nie potrzebuję odpowiedzi, po prostu rób, co mówię, i to szybko.

Tully pogrzebała w kieszeniach, by wyjąć długopis, i chwyciła kartkę z sąsiedniego biurka.

– Jestem gotowa.

– Po pierwsze, potrzebny mi szczegółowy raport o nadchodzących wyborach w Nikaragui. Wiesz, co tam się dzieje?

– Oczywiście – skłamała.

– Chcę wiedzieć wszystko o sandinistach, o polityce Busha wobec Nikaragui, o blokadzie, o ludziach, którzy tam mieszkają. Chcę wiedzieć, kiedy Violeta Chamorro straciła dziewictwo. Masz na to dwanaście dni.

– Tak… – Tully w ostatniej chwili nie dodała „proszę pani”.

Edna zatrzymała się przy biurku Tully.

– Masz paszport?

– Tak. Kazano mi go wyrobić, gdy zaczynałam tu pracę.

– Oczywiście. Wylatujemy szesnastego. Zanim wyruszymy…

– My?

– A jak myślisz, dlaczego z tobą rozmawiam? To dla ciebie problem?

– Nie. Żaden problem. Dziękuję. Ja naprawdę…

– Trzeba się zaszczepić. Sprowadź tu lekarza, żeby się zajął nami i ekipą. A potem możesz zacząć umawiać wstępne wywiady. Jasne? – Spojrzała na zegarek. – Jest pierwsza. Spotkamy się w piątek, powiedzmy o piątej rano?

– Już się do tego biorę. I dziękuję, Edno.

– Nie dziękuj mi, Hart. Tylko wykonaj swoją robotę i zrób to lepiej, niż zrobiłby ktokolwiek inny.

– Tak jest.

Tully podeszła do swojego biurka i podniosła słuchawkę telefonu. Zanim wystukała numer, Edny już nie było.

– Halo? – zapytała mało przytomnym głosem Kate.

Tully zerknęła na zegarek. Była dziewiąta. Czyli w Seattle szósta.

– Ups. Znowu to zrobiłam. Przepraszam.

– Twoja chrześnica nie śpi. Ona jest jakimś wybrykiem natury. Mogę do ciebie oddzwonić za parę godzin?

– Tak naprawdę chcę porozmawiać z Johnnym.

– Z Johnnym? – W chwili ciszy przed tym pytaniem Tully usłyszała płaczące dziecko.

– Edna Guber wysyła mnie do Nikaragui. Chciałabym go trochę podpytać.

– Sekunda. – Kate oddała słuchawkę. Rozległ się jakiś szelest i szepty, a potem po drugiej stronie zgłosił się Johnny.

– Hej, Tully, gratuluję. Edna to legenda.

– To mój wielki przełom, Johnny, i nie chcę tego spieprzyć. Pomyślałam, że skorzystam z twojej wiedzy.

– Nie spałem od co najmniej miesiąca, więc nie wiem, na ile się przydam, ale zrobię, co w mojej mocy – zawahał się. – Wiesz, że tam jest niebezpiecznie. To prawdziwa beczka prochu. Tam giną ludzie.

– Martwisz się o mnie?

– Oczywiście, że tak. Zacznijmy od najistotniejszego. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym albo sześćdziesiątym pierwszym powstał Sandinistowski Front Wyzwolenia Narodowego, FSLN…

Tully notowała najszybciej, jak umiała.

Harowała niemal przez dwa tygodnie. Przez osiemnaście, dwadzieścia godzin na dobę czytała, pisała, dzwoniła, umawiała spotkania. W te nieliczne godziny, gdy nie pracowała

ani nie próbowała spać, chodziła do sklepów, w których nigdy dotąd nie bywała – ze sprzętem turystycznym, wojskowym i tak dalej. Kupowała scyzoryki, tropikalne kapelusze i buty trapery. Wszystko, co przyszło jej do głowy. Gdy będą w dżungli, a Edna zażyczy sobie łapki na muchy, to Tully będzie ją mieć na podorędziu.

Zanim wyruszyły, zaczęła się denerwować. Na lotnisku Edna, w idealnie odprasowanych lnianych spodniach i białej bawełnianej bluzce, spojrzała na wyposażony w mnóstwo kieszeni kombinezon Tully w kolorze khaki i parsknęła śmiechem.

W trakcie niekończącej się podróży przez Dallas i Mexico City, a potem małym samolotem z Managui, Edna zasypywała Tully pytaniami.

Samolot wylądował na lotnisku, które w oczach Tully wyglądało jak większe podwórko. Mężczyźni – a właściwie chłopcy – w maskujących strojach stali dokoła z karabinami w rękach. Z dżungli wybiegły dzieci, ciesząc się podmuchami powietrza wzbijanego przez śmigła. Tully wiedziała, że symbolika tego obrazu zapadnie jej w pamięć, ale od chwili, gdy wysiadła z samolotu, aż do momentu, gdy znalazła się na pokładzie w drodze powrotnej pięć dni później, nie miała czasu myśleć o obrazach.

Edna ciągle gdzieś pędziła. Przemierzały dżunglę rojącą się od oddziałów *guerilla*, słuchały krzyków wyjców, opędzały się od komarów i spływały rzekami pełnymi aligatorów. Czasem zawiązywano im oczy, czasem mogły wszystko obserwować. Głęboko w dżungli, gdy Edna nagrywała wywiad z *el jefe*, najważniejszym generałem, Tully rozmawiała ze zwykłymi partyzantami.

Ta podróż otworzyła jej oczy na świat, którego dotąd nie dostrzegała. Co więcej, pokazała jej, kim naprawdę jest. Strach,

przypływ adrenaliny, historie – to wszystko nakręcało ją jak nic do tej pory.

Później, gdy materiał był gotowy, a ona i Edna znalazły się z powrotem w hotelu w Mexico City i siedziały na balkonie w pokoju Edny, pijając tequilę, Tully powiedziała:

– Nie wiem, jak ci dziękować, Edno.

Edna opróżniła kolejny kieliszek i odchyliła się na oparcie krzesła. Noc była cicha. Po raz pierwszy od wielu dni nie słyszały strzałów.

– Dobrze sobie poradziłaś, dziecko.

Duma wręcz rozpierała Tully.

– Dziękuję. Przez ostatnie parę tygodni nauczyłam się od ciebie więcej niż przez cztery lata college'u.

– To może będziesz chciała pojechać ze mną kręcić kolejny materiał?

– Zawsze i wszędzie.

– Będę robić wywiad z Nelsonem Mandelą.

– Jadę.

Edna zwróciła się ku niej. Ciemnożółte światło z brudnej gołej żarówki na balkonie podkreślało jej zmarszczki i worki pod oczami. W tej poświacie wyglądała na dziesięć lat starszą niż zwykle i zmęczoną; może też trochę pijaną.

– Masz chłopaka?

– Z moimi godzinami pracy? – Tully roześmiała się i nalała kolejną porcję tequili. – Marne szanse.

– No tak – powiedziała Edna. – Tak właśnie wygląda moje życie.

– Żałujesz? – zapytała Tully. Gdyby nie piły, nigdy nie zadałaby tak osobistego pytania, ale tequila na chwilę rozmyła granice między nimi. Tully mogła udawać, że ona i Edna są koleżankami, a nie sławą i żółtodziobem. – Że to jest całym twoim życiem?

– Płaci się za to pewną cenę, bez wątpienia. Przynajmniej w moim pokoleniu nie można było wykonywać tej pracy i być mężatką. Można wyjść za mąż – ja to zrobiłam, trzy razy – ale to nie trwa długo. A o dzieciach w ogóle zapomnij. Gdy pojawiał się jakiś news, musiałam być na miejscu i kropka. Więc żyłam sama. – Spojrzała na Tully. – I uwielbiałam to. Każdą cholerną chwilę. Jeśli umrę samotnie w domu opieki, pal licho. Byłam tam, gdzie chciałam, w każdym momencie swojego życia, i robiłam coś, co miało znaczenie.

Tully poczuła się tak, jakby przyjmowała chrzest w obrządku religii, którą zawsze wyznawała.

– Amen.

– No to co wiesz o Afryce Południowej?

20

Pierwsze dwanaście miesięcy macierzyństwa było niczym ciemny i zimny nurt, który zbyt często wciągał Kate pod powierzchnię. To było wręcz żenujące, jak nieprzygotowana się okazała do błogosławieństwa, o którym skrycie marzyła, odkąd była dziewczynką. Tak żenujące, że nikomu nie mówiła, jak przytłoczona się czasami czuje. Gdy ją pytano, uśmiechała się promiennie i mówiła, że macierzyństwo jest najlepszą rzeczą, która jej się przydarzyła. I to nawet była prawda.

Tylko czasami nie była.

Nie da się zaprzeczyć, że jej cudowna, jasnoskóra, ciemnowłosa i brązowooka córka nieustannie sprawiała kłopoty. Chorowała od chwili, gdy znalazła się w domu. Zapalenie ucha następowało jedno po drugim, jak wagony pociągu; gdy jedno się kończyło, natychmiast zaczynało się następne. Kolka sprawiała, że Marah płakała nieustannie przez wiele godzin. Kate niezliczoną ilość razy tuliła w salonie w środku nocy rozkrzyczaną i czerwoną na buzi córkę i sama płakała.

Marah miała skończyć roczek za trzy dni, a jeszcze nie przesypiała całej nocy. Na razie rekord wynosił cztery godziny. Czyli w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy Kate nie przespała ani jednej pełnej nocy. Johnny zawsze oferował, że on wstanie. Na początku nawet zdążał odsunąć kołdrę, ale Kate zawsze go powstrzymywała. Nie chciała odgrywać męczennicy, ale często tak właśnie się czuła.

Johnny pracował. I tyle. Kate zrezygnowała z kariery, żeby być mamą. Więc wstawanie w nocy to była jej działka. Najpierw robiła to chętnie, a przynajmniej z uśmiechem. Później jednak, gdy Marah zaczynała pierwszy koncert już o jedenastej, Kate prosiła Boga o siłę.

Były też inne problemy. Po pierwsze, wyglądała okropnie. Była pewna, że to jeden ze skutków nieprzespanych nocy. Nie pomagała żadna ilość kremów nawilżających i makijażu. Jej skóra, zawsze bardzo jasna, teraz była biała jak u klauna, poza cieniami pod oczyma, które przybrały piękny odcień brązu. Po ciąży zostało jej tylko pięć dodatkowych kilogramów, ale gdy ma się metr sześćdziesiąt wzrostu, to prawie dwa rozmiary. Przez rok nosiła niemal wyłącznie dresy.

Musiała zacząć ćwiczyć. W zeszłym tygodniu znalazła stare kasety z treningami Jane Fondy, swój trykot i getry. Wystarczyło wcisnąć guzik i wziąć się do ćwiczeń.

– Dziś jest ten dzień – powiedziała na głos, odnosząc córkę do łóżeczka i delikatnie otulając ją luksusowym, biało-różowym kaszmirowym kocykiem, który podarowała jej Tully. Był cudownie miękki i Marah lubiła z nim spać. Żadna zabawka czy inny kocyk nie miały szans z tym od Tully.

– Postaraj się pospać do siódmej. Mamie przyda się wolna chwila.

Kate ziewnęła, wróciła do łóżka i wsunęła się pod kołdrę obok męża. Johnny pocałował ją w usta, zawahał się, jakby chciał coś rozpocząć, ale potem mruknął:

– Jesteś taka piękna.

Otworzyła oczy i wbiła w niego wzrok.

– Okej, kim ona jest? Tylko z powodu wyrzutów sumienia możesz twierdzić, że jestem piękna o tej koszmarnej godzinie.

– Żartujesz? Masz ostatnio taką huśtawkę nastrojów, że czuję się, jakbym miał trzy żony. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję,

byłaby kolejna kobieta.

– Ale trochę seksu by nie zaszkodziło.

– Owszem. Zabawne, że o tym wspominasz.

– Zabawne: ha ha, czy zabawne: nie pamiętam, kiedy się ostatnio kochaliśmy?

– Zabawne, że poszczęści ci się w ten weekend.

– To znaczy?

– Rozmawiałem z twoją mamą. Zabierze Marah po przyjęciu urodzinowym, a ty i ja spędzimy romantyczny wieczór w centrum Seattle.

– A jeśli nie zmieszczę się w żadne ładne ubranie?

– Wierz mi, nie mam najmniejszego problemu z nagością. Możemy zamówić dostawę do domu, zamiast wychodzić. Chociaż tylko ty nie widzisz, że schudłaś. Przymierz coś, a zobaczysz.

– Nic dziwnego, że tak cię kocham.

– Jestem boski. Bez wątpienia.

Uśmiechnęła się, otoczyła go ramionami i czule pocałowała. Ledwo zamknęli oczy, zadzwonił telefon. Kate powoli się podniosła i spojrzała na zegarek: piąta czterdzieści siedem.

Odebrała po drugim sygnale i powiedziała:

– Cześć, Tully.

– Hej, Katie – odpowiedziała przyjaciółka. – Skąd wiedziałaś, że to ja?

– Szczęśliwy traf. – Kate potarła nasadę nosa, czując, że zaczyna ją boleć głowa.

Johnny obok niej wymamrotał coś o ludziach, którzy nie wiedzą, która jest godzina.

– Dziś ten wielki dzień, pamiętasz? Mój materiał o rezerwistach, których Bush powołał do czynnej służby. Moja pierwsza naprawdę ważna historia.

– No tak. Racja.

– Nie brzmisz na podekscytowaną, Katie.

– Jest wpół do szóstej rano.

– Och. Myślałam, że będziesz chciała zobaczyć emisję. Przepraszam, że przeszkadzam. Do widzenia.

– Tully, czekaj…

Ale było za późno. W słuchawce rozległ się głuchy sygnał.

Kate zaklęła pod nosem i odłożyła słuchawkę. Wszystko ostatnio robiła źle. Ją i Tully tak niewiele teraz łączyło, że nie bardzo miały o czym rozmawiać. Tully nie paliła się do wysłuchiwania matczynych opowieści, a Kate brakowało cierpliwości do anegdot o rozwijającej się karierze przyjaciółki. Pocztówki i telefony z dalekich egzotycznych miejsc zaczynały być nieco irytujące.

– Ma być dziś rano w *Sunrise*, pamiętasz? – powiedziała Kate. – Chciała nam przypomnieć.

Johnny odrzucił kołdrę i włączył telewizor. Usiedli razem i wysłuchali raportu Norville'a o narastającym konflikcie w Iraku i reakcji prezydenta. A potem na wizji pojawiła się Tully. Stała przed jakimś zniszczonym betonowym budynkiem i rozmawiała z bardzo młodym, piegowatym chłopakiem o krótko ostrzyżonych rudych włosach. Wyglądał, jakby przed chwilą zdjął aparat na zęby i bejsbolową kurtkę. Ale to Tully przyciągała uwagę. Była w formie, wyglądała bardzo pięknie i profesjonalnie. Ujarzmiła kręcone kasztanowe włosy w gładkiego, eleganckiego boba i nałożyła akurat tyle makijażu, by podkreślić oczy.

– Ojej – szepnęła Kate.

Kiedy nastąpiła ta przemiana? To już nie była tamta przerysowana Tallulah, dziecko blichtru i kokainy z lat osiemdziesiątych. To była dziennikarka Tallulah Hart, piękna jak Paulina Porizkova i profesjonalna jak Diane Sawyer.

– Faktycznie ojej – przyznał Johnny. – Wygląda fantastycznie.

Obejrzeli resztę programu. A potem Johnny pocałował Kate w policzek i wyszedł do łazienki. Po chwili usłyszała wodę spod prysznica.

– Wygląda fantastycznie – mruknęła Kate, sięgając po telefon.

Wystukała numer Tully. Odebrała recepcjonistka z NBC i powiedziała, że Kate będzie musiała zostawić wiadomość. Czyli Tully się wkurzyła.

– Proszę przekazać, że dzwoniła Katie i że materiał był świetny.

Tully pewnie tam była, stała obok telefonu, w drogiej, dizajnerskiej spódnicy i bluzce, grzebała w modnej pikowanej torebce i patrzyła, jak lampka jej telefonu mruga.

Kate wstała z łóżka i poszła do łazienki. Nie było sensu próbować zasnąć. Marah obudzi się lada chwila. Jej mąż pod prysznicem masakrował piosenkę Stonesów.

Nie powinna była tego robić, ale spojrzała w lustro. Para zamgliła obraz jej twarzy, ale nie przesłoniła go całkiem. Włosy były za długie i rozczochrane. Ciemnoblond odrosty wskazywały, od jak dawna ich nie farbowała. Pod oczami miała worki wielkości parasolek, a biustem mogłaby obdarzyć dwie kobiety. Nic dziwnego, że unikała luster. Z westchnieniem sięgnęła po pastę i zaczęła szczotkować zęby. Zanim skończyła, pomyślała, że Marah się obudziła. Zakręciła wodę i otworzyła drzwi. Oczywiście, dziecko płakało.

Dla Katie rozpoczynał się nowy dzień.

Gdy nadeszły urodziny Marah, Kate nie mogła się nadziwić, dlaczego zaplanowała tak kretyńską imprezę dla swojej córki. Rano, po kolejnej nieprzespanej nocy, wstała i zaczęła przygotowania, kończąc dekorowanie tortu w kształcie różowej

lalki Barbie i pakowanie prezentów. W chwili ewidentnego szaleństwa zaprosiła wszystkie dzieci z grupy Mamusia i Ja, do której należały z Marah, a także dwie koleżanki z akademika, które miały córki w tym samym wieku, oraz swoich rodziców. Nawet Johnny wziął na rano wolne z pracy. Gdy wszyscy przybyli z prezentami, Kate natychmiast poczuła ból głowy. To, że Marah wybrała akurat ten moment, by zacząć płakać, nie pomógł.

Mimo wszystko impreza trwała, mamy znajdowały się w salonie, a dzieci na podłodze, hałasując bardziej niż Sherman wkraczający do Atlanty.

– Widziałam Tully w tym bardzo wczesnym programie – powiedziała Mary Kay. – Nie spałam przez Danny'ego.

– Ja też – odpowiedziała Charlotte, sięgając po kawę. – Świetnie wygląda, prawda?

– Bo śpi w nocy – stwierdziła Vicki. – I nie ma zarzyganych ubrań.

Kate miała ochotę dołączyć do rozmowy, ale nie była w stanie. Ból głowy ją wykańczał, a do tego dręczyło ją poczucie, że coś jest nie tak. Było do tego stopnia niepokojące, że gdy Johnny wychodził tuż po pierwszej, omal nie poprosiła, by został.

– Jesteś dzisiaj strasznie cicha – zwróciła uwagę jej mama, gdy wyszli ostatni goście.

– Marah prawie w ogóle tej nocy nie spała.

– Nigdy nie śpi. A dlaczego? Bo…

– Wiem, wiem. Muszę pozwolić się jej wypłakać. – Kate wrzuciła ostatni papierowy talerzyk do śmieci. – Tylko nie potrafię.

– Ja ci pozwoliłam płakać. To trwało trzy noce, ale potem nigdy się już w środku nocy nie budziłaś.

– Ale ja jestem geniuszem. Najwyraźniej moja córka nie jest taka bystra.

– Nie, to ja jestem geniuszem. I najwyraźniej moja córka nie jest tak bystra. – Mama objęła Kate ramieniem i zaprowadziła ją na sofę.

Usiadły obok siebie. Kate oparła się o matkę, a ona pogłaskała ją po włosach. Ten delikatny, uspokajający gest cofnął Kate o całe dekady.

– Pamiętasz, jak chciałam zostać kosmonautką, a ty powiedziałaś, że mam szczęście, bo moje pokolenie może robić wszystko? Że mogę mieć trójkę dzieci, męża, a i tak polecieć na Księżyc. Ale to była bzdura. – Westchnęła. – Bardzo trudno jest być dobrą matką.

– Trudno jest być dobrym w czymkolwiek.

– Amen – odparła Kate.

Prawda była taka, że kochała swoją córeczkę tak mocno, że to czasem aż bolało, ale przytłaczała ją odpowiedzialność, a nawał obowiązków wyczerpywał.

– Wiem, jaka jesteś zmęczona. Będzie lepiej. Obiecuję.

Gdy tylko mama wypowiedziała te słowa, do pokoju wszedł tata Kate. Większość urodzinowego przyjęcia spędził na ukrywaniu się w sypialni i oglądaniu sportu w telewizji.

– Lepiej ruszajmy, Margie. Nie chcę utknąć w korkach. Przyszykuj Marah.

Kate poczuła przypływ paniki. Czy była gotowa rozstać się z córką na całą noc?

– Nie wiem, mamo.

Jej matka delikatnie dotknęła jej dłoni.

– Twój tata i ja wychowaliśmy dwoje dzieci, Katie. Potrafimy zająć się wnuczką przez jedną noc. Wyjdź gdzieś z mężem. Zabawcie się, odprężcie. Marah będzie z nami bezpieczna.

Kate wiedziała, że mama ma rację, wiedziała nawet, że powinni to zrobić. Więc dlaczego aż ściskało ją w żołądku?

– Całe życie będziesz się bała – powiedział tata. – Na tym polega rodzicielstwo. Pogódź się z tym, dziecino.

Kate starała się dzielnie uśmiechnąć.

– Czyli to tak jest? I wy to czuliście cały czas?

– Do dziś czujemy – odpowiedział tata.

Mama wzięła Kate za rękę.

– Chodźmy spakować rzeczy Marah. Johnny wróci po ciebie za parę godzin.

Kate przygotowała wszystko dla Marah, nie zapominając o różowym kocyku, smoczkach i ukochanym pluszowym Kubusiu Puchatku. Spakowała też mleko w proszku, butelki i malutkie słoiczki przetartych owoców i warzyw. Wypisała wskazówki dotyczące karmienia i spania, które przypominały instrukcje dla kontrolera ruchu lotniczego.

Gdy ostatni raz trzymała na rękach Marah i całowała jej miękki policzek, z trudem powstrzymywała łzy. To było żałosne i śmieszne, ale nieuniknione, bo nieważne, jak dokuczyło jej macierzyństwo, jak bardzo podkopało jej pewność siebie, jednocześnie obdarzyło ją takim ogromem miłości, że teraz bez córki była połową człowieka.

Kate stała na ganku ich nowego domu przy plaży na wyspie Bainbridge, dłonią osłaniając oczy długo po tym, gdy samochód zniknął z podjazdu. Potem, już wewnątrz, kręciła się chwilę bez celu, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Spróbowała znowu dodzwonić się do Tully, zostawiła kolejną wiadomość. Wreszcie zawędrowała do swojej garderoby, popatrzyła na ciążowe ubrania, starając się znaleźć coś, w czym wyglądałaby seksownie, jak dorosła osoba, i w co by się zmieściła. Kończyła się pakować, gdy usłyszała, że drzwi na dole otwierają się

i zamykają, a potem rozległy się kroki męża na drewnianej podłodze.

Zeszła na dół.

– Dokąd się wybieramy, panie Ryan?

– Zobaczysz.

Wziął ją za rękę, przejął spakowaną torbę i zamknął dom. W samochodzie grała muzyka. Głośno, jak za dawnych czasów. Bruce Springsteen śpiewał: *Hey, little girl, is your daddy home…* Kate roześmiała się i znowu poczuła młodo.

Pojechali w dół do przystani i wjechali na prom. Zamiast siedzieć w aucie w trakcie przeprawy, jak to zwykle robili, otulili się płaszczami, włożyli czapki i stanęli na mostku z turystami. Była piąta po południu w zimny styczniowy dzień, a niebo i zatoka Puget przybrały barwy różu i lawendy jak na obrazie Moneta. W oddali Seattle migotało tysiącami świateł.

– Powiesz mi, dokąd jedziemy?

– Nie, ale powiem ci, co będziemy robić.

Roześmiała się.

– Wiem, co będziemy robić.

Gdy prom wpłynął do portu, wrócili do auta. Potem Johnny przeprowadził ich przez popołudniowe korki i podjechał przed hotel Inn at the Market, gdzie ubrany w liberię portier otworzył jej drzwi i wziął ich torby. Johnny obszedł samochód i ujął Kate za rękę.

– Jesteśmy już zameldowani.

Podał portierowi numer pokoju: czterysta szesnaście.

Przeszli przez cichy, brukowany cegłą dziedziniec i znaleźli się w przytulnym lobby w stylu europejskim. Na czwartym piętrze weszli do swojego pokoju, narożnego apartamentu z oszałamiającym widokiem na zatokę. Wyspa Bainbridge wydawała się niemal fioletowa, woda miała szarobłękitny odcień, a dalekie góry oświetlało różowe światło. Na stoliku

przy oknie w srebrnym wiaderku z lodem stała butelka szampana, a obok talerz z truskawkami.

Kate się uśmiechnęła.

– Wygląda na to, że komuś bardzo zależy na seksie.

– Wygląda na to, że jakiś mężczyzna kocha swoją żonę.

Objął ją i pocałował.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, odsunęli się od siebie jak przyłapane nastolatki i zaśmiali z własnej namiętności. Kate niecierpliwie czekała, aż boy wyjdzie. Gdy tylko znalazł się za drzwiami, zaczęła rozpinać sobie bluzkę.

– Nie wiem, w co się ubrać dziś wieczorem.

Gdy Johnny spojrzał na nią (już się nie uśmiechał; wyglądał na równie złaknionego jak ona), rozpięła spodnie i pozwoliła, by zsunęły się na podłogę. Po raz pierwszy od miesięcy nie martwiła się tym, że przytyła. Lustrem było dla niej jego spojrzenie. Rozpięła biustonosz, pozwoliła, by zawisł na moment na czubkach palców i upuściła go.

– Nie zaczynaj beze mnie – powiedział, ściągając koszulę, rzucił ją na bok i rozpiął spodnie.

Upadli na łóżko i kochali się, jakby nie robili tego od miesięcy, a nie od tygodni, każdą cząstką ciał i umysłów. Kate dała się ponieść zmysłom. Gdy wreszcie wszedł w nią ze skumulowaną mocą zbyt wielu pozbawionych namiętności nocy, krzyknęła z radości i całym wnętrzem, całą sobą, stopiła się z mężczyzną, którego kochała nad życie. Gdy doszła, drżąc i przytrzymując go przy swoim mokrym ciele, była absolutnie wykończona.

Przyciągnął ją do siebie. Nadzy i zdyszani leżeli splątani, z drogą hotelową pościelą zmierzwioną wokół nóg.

– Wiesz, jak bardzo cię kocham? – powiedział cicho.

To były słowa, które mówił już setki razy, tak często, że wiedziała, jak powinny brzmieć. Przewróciła się na bok, natychmiast zaniepokojona.

– Co się stało?

– Jak to? – Odsunął się od niej i podszedł do stolika, by nalać dwa kieliszki szampana. – Chcesz truskawki?

– Spójrz na mnie, Johnny.

Powoli – zbyt powoli – obrócił się, ale nie spojrzał jej w oczy.

– Przerażasz mnie.

Podszedł do okna i wyjrzał przez nie. Jego profil wydał się jej nagle ostry i obcy. Wilgotne, splątane włosy opadały mu na policzek. Nie widziała, czy się uśmiecha.

– Nie zajmujmy się tym teraz, Katie. Mamy całą noc i cały jutrzejszy dzień na rozmowy. Na razie…

– Powiedz.

Odstawił kieliszek z szampanem na parapet i odwrócił się do niej. Nareszcie spojrzał jej w twarz, a w jego błękitnych oczach spostrzegła smutek, który sprawił, że aż zaparło jej dech w piersiach. Podszedł do łóżka i przyklęknął obok tak, by na nią popatrzeć.

– Wiesz, co się dzieje na Bliskim Wschodzie.

Jego słowa były tak niespodziewane, że Kate tylko wbiła w niego wzrok.

– Co?

– Będzie wojna, Katie. Wiesz o tym. Cały świat to wie.

Wojna.

Te kilka liter łączyło się w coś wielkiego i ciemnego niczym burzowa chmura. Już wiedziała, o co chodzi.

– Muszę tam jechać. – Prosty, cichy sposób, w jaki to powiedział, był gorszy od najgłośniejszego krzyku.

– Mówiłeś, że nie masz odwagi.

– W tym cała ironia. Ty mi ją przywróciłaś. Mam dość poczucia, że zawiodłem, Katie. Muszę udowodnić samemu sobie, że tym razem dam radę.

– I chcesz mojego błogosławieństwa – stwierdziła głuchym tonem.

– Potrzebuję go.

– Pojedziesz bez względu na to, co powiem, więc po co tyle zachodu?

Zbliżył się na kolanach, ujął jej twarz w dłonie i przytrzymał. Spróbowała się odsunąć, ale nie pozwolił.

– Potrzebują mnie. Mam doświadczenie.

– Ja cię potrzebuję. Marah cię potrzebuje, ale to nie ma znaczenia, prawda?

– Ma.

Poczuła ciepło napływających do oczu łez; zamazały jej widok.

– Jeśli się nie zgodzisz, nie pojadę.

– Okej, nie zgadzam się. Nie możesz jechać. Nie pozwolę ci. Kocham cię, Johnny. Mógłbyś tam zginąć.

Puścił ją, przysiadł na piętach i spojrzał na nią.

– Tak brzmi twoja odpowiedź?

Łzy popłynęły strumieniami po jej policzkach. Otarła je zirytowana. Chciała powiedzieć: „Tak. Do cholery, tak. Taka jest moja odpowiedź”. Ale jak mogła mu tego odmówić? Nie chodziło tylko o to, że tego pragnął, lecz o coś głębszego, coś innego, co ją dręczyło, brzydkie resztki strachu, które czasem wypływały na powierzchnię i przypominały jej, że najpierw kochał Tully. To sprawiało, że Katie bała się odmówić mu czegokolwiek. Ponownie otarła łzy.

– Obiecaj mi, że nie zginiesz, Johnny.

Wspiął się na łóżko i wziął ją w ramiona. Przytulała go najmocniej, jak mogła, ale już w tym momencie poczuła brak bezpieczeństwa. Miała wrażenie, jakby rozpływał się w jej objęciach, znikał kawałek po kawałku.

– Obiecuję, że nie zginę.

To były puste słowa, jeszcze gorsze przez pośpiech, z jakim zostały wypowiedziane.

Nie mogła przestać myśleć o dzisiejszym poranku, gdy obudziła się z przeczuciem, że tego dnia stanie się coś złego.

– Mówię poważnie, Johnny. Jeśli tam zginiesz, na zawsze cię znienawidzę. Przysięgam na Boga, że tak będzie.

– Wiem, że zawsze będziesz mnie kochać.

Te słowa i lekki, triumfalny sposób, w jaki je wypowiedział, sprawiły, że miała ochotę znowu się rozpłakać. Dopiero dużo później, gdy zjedli romantyczną kolację w swoim pokoju, kochali się znowu i wtulali w swe wytęsknione ramiona, pomyślała o tym, co mu powiedziała, o miażdżącym ciężarze swej straszliwej groźby. O rękawicy, którą rzuciła Bogu.

Tully oderwała się od nagiego ciała Granta i opadła na łóżko, ciężko dysząc.

– Ech – westchnęła rozkosznie, zamykając oczy. – To było świetne.

– W rzeczy samej.

– Cieszę się, że mogłeś tu być w ten weekend. Dokładnie tego potrzebowałam.

– Ja też, mój skarbie.

Uwielbiała słuchać jego akcentu, czując obok jego nagie ciało. To była chwila, którą warto przedłużyć, której warto się trzymać, bo wiedziała, że gdy tylko on zniknie z jej łóżka, niepokój powróci. Zmagała się z nim od telefonu do Kate. Nic nie potrafiło podważyć jej pewności siebie ani zepsuć humoru tak jak złość na najlepszą przyjaciółkę.

Grant usiadł na łóżku. Dotknęła jego pleców, pomyślała, by poprosić go, by znów został na noc, by odłożył spotkanie, ale nie

łączyła ich relacja tego typu. Byli przyjaciółmi, którzy spotykali się, by uprawiać seks i dobrze się bawić przez parę godzin, a potem rozchodzili się swoimi drogami.

Zadzwonił telefon obok łóżka. Grant sięgnął po słuchawkę.

– Nie odbieraj. Nie chcę z nikim rozmawiać.

– Podałem w biurze ten numer. – Podniósł słuchawkę i odebrał.

– Halo?… Grant – powiedział. – A kim pani jest? Och, rozumiem – zawahał się, marszcząc brwi, a potem roześmiał. – Jak najbardziej. – Przyłożył słuchawkę do swojej nagiej klatki piersiowej i zwrócił się do Tully. – Twoja najlepsza przyjaciółka na zawsze mówi, cytuję, że masz ruszyć swoje blade dupsko z łóżka i podejść do telefonu. Powiedziała też, że jak będziesz chciała jej w ten koszmarny dzień przygadać, to złoi cię tak, że będziesz błagać o litość. – Zachichotał znowu. – To zabrzmiało bardzo poważnie.

– Odbiorę.

Grant podał jej słuchawkę i poszedł nagi do łazienki. Gdy zamknął drzwi, Tully przyłożyła słuchawkę do ucha i powiedziała:

– Kto tam?

– Bardzo śmieszne.

– Kiedyś miałam najlepszą przyjaciółkę na zawsze, ale była dla mnie taką suką, że uznałam…

– Posłuchaj, Tully, normalnie płaszczyłabym się przed tobą z pokorą i uniżeniem, ale nie mam dziś czasu na te rytuały. Przepraszam. Zadzwoniłaś w złym momencie i byłam niemiła. Okej?

– O co chodzi?

– O Johnny’ego. Leci jutro do Bagdadu.

Tully powinna się była tego spodziewać. W całej stacji aż huczało o tym, co dzieje się na Bliskim Wschodzie. Wszyscy

w telewizji i na całym świecie starali się przewidzieć, kiedy prezydent Bush zrzuci pierwszą bombę.

– Wybiera się tam mnóstwo dziennikarzy, Katie. Nic mu nie będzie.

– Boję się, Tully. A co jeśli…

– Nie – przerwała jej gwałtownie Tully. – Nawet o tym nie myśl. Będę go obserwować. Większość wiadomości dostajemy jako pierwsi. Będę go dla ciebie pilnować.

– I będziesz mi mówić prawdę, bez względu na wszystko?

Tully westchnęła. Złożona dawno temu obietnica nie brzmiała już tak ufnie i beztrosko jak zwykle. Nagle dziewczyna odkryła w niej coś ciemnego i groźnego. Zmusiła się, by to zignorować.

– Bez względu na wszystko, Katie. Ale nie martw się. Ta wojna długo nie potrwa. Wróci, zanim Marah zrobi pierwszy kroczek.

– Obyś miała rację.

– Zawsze mam. Przecież wiesz.

Tully odłożyła słuchawkę i usłyszała, że Grant włącza prysznic. Jego nucenie tym razem nie sprawiło, że się uśmiechnęła. Po raz pierwszy od dawna czuła strach.

Johnny w Bagdadzie.

Kate dostała pierwszą wiadomość od męża dwa dni po jego wyjeździe. Do tego czasu krążyła po domu jak w gorączce, zawsze blisko nowego faksu, który ustawili na kuchennym blacie. Gdy zajmowała się codziennymi obowiązkami – zmianą pieluch, czytaniem książeczek, obserwowaniem, jak Marah raczkuje od jednego potencjalnie niebezpiecznego mebla do drugiego – myślała: *Dobra, Johnny, daj mi znać, że żyjesz*

i wszystko okej. Uprzedził ją, że dzwonić można tylko w razie pilnej potrzeby (na co odparła, że jej potrzeba jest pilna i dlaczego to się nie liczy?), ale za to faks stosunkowo łatwo wysłać.

Więc czekała.

Gdy telefon zadzwonił o czwartej nad ranem, odrzuciła kołdrę, stoczyła się półprzytomna z łóżka i pośpieszyła do kuchni, żeby czekać, aż faks wypluje wiadomość.

Zanim zdążyła przeczytać choć słowo, rozpłakała się. Sam widok odręcznego pisma Johnny'ego sprawił, że poczuła nieznośną tęsknotę.

Kochana Kate,

panuje tu istne szaleństwo. Absolutne szaleństwo. Nawet nie wiemy dokładnie, co się dzieje, tylko czekamy. Wszyscy dziennikarze są w hotelu Al-Rashid w centrum Bagdadu i to niesamowite, że mamy dostęp do obu stron. Relacjonowanie tej wojny zmieni wszystko. Jutro po raz pierwszy wyjeżdżamy z miasta. Nie martw się, będę ostrożny.

Muszę lecieć. Ucałuj ode mnie M.

KC

J.

Potem faksy przychodziły mniej więcej raz na tydzień. O wiele za rzadko.

K,

Zeszłej nocy zaczęło się bombardowanie. A może to było już dziś rano? Mieliśmy widok z wysoka z hotelu i to było fascynujące i przerażające. Piękna, gwieździsta noc w Bagdadzie i bomby zamieniające to miasto w piekło. Niedaleko hotelu eksplodował biurowiec, było gorąco jak w piekarniku.

Uważam na siebie.
Kocham
J.

K,
Siedemnaście godzin bombardowania i nadal trwa. Gdy się skończy, tu już nic nie będzie. Wracam do pracy.

K,
Przepraszam, że tyle czasu nie pisałem. Nasza ekipa ma tyle pracy, że nie mam nawet pięciu sekund dla siebie. Ale wszystko u mnie dobrze. Jestem tylko zmęczony. Do diabła, to coś więcej, jestem wykończony. Pierwsza Amerykanka dostała się wczoraj do niewoli i muszę przyznać, że trochę to nami wstrząsnęło. Mam nadzieję, że kiedyś będę Ci mógł opowiedzieć, jak to wszystko tutaj wygląda, ale nie mogę teraz, bo muszę się przespać. W każdym razie chodzą słuchy, że Irakijczycy mają podpalić szyby naftowe w Kuwejcie, a my mamy to relacjonować. Całusy dla Marah i Ciebie.

Kate spojrzała na ostatni faks, który dostała. Nosił datę 21 lutego 1991. Prawie tydzień temu.

Siedziała w salonie i oglądała relację z wojny w telewizji. Ostatnie sześć tygodni to był najtrudniejszy i ciągnący się w nieskończoność okres w jej życiu. Czekała, nieustannie czekała, na telefon, który zapowie jego powrót do domu albo na specjalne wydanie wiadomości, w którym ogłoszą zakończenie wojny. A teraz mówili, że ostateczna ofensywa aliancka może nastąpić w każdej chwili. Ofensywa lądowa. To przerażało ją najbardziej ze wszystkiego, bo znała Johnny'ego jak nikt. W jakiś sposób dostanie się do czołgu i będzie nagrywał materiał, którego nie potrafiłby zrobić nikt inny.

To ciągłe oczekiwanie ją dobijało. Schudła ponad siedem kilogramów i nie przespała ani jednej nocy od tamtej, którą spędzili razem w hotelu.

Złożyła ostatni faks na pół i położyła go na kupce pozostałych. Codziennie mówiła sobie, że nie będzie ich znowu czytać, ale co dzień wracała do jego słów. Dziś zaczęła robić parę rzeczy, ale wszystkie zostawiała w połowie. Głównie siedziała na sofie i oglądała telewizję. Robiła to już od dwóch godzin.

Marah stała przy stoliku do kawy, zaciskając pulchne różowe rączki na jego drewnianej krawędzi, przykucała, jakby tańczyła break dance, i gaworzyła coś po dziecięcemu. Wreszcie klapnęła na pupę i natychmiast zaczęła pełznąć w przeciwnym kierunku.

– Zostań przy mamie – rzuciła automatycznie Kate.

W telewizji szyby naftowe płonęły, a powietrze nad nimi było gęste od czarnego dymu.

Marah znalazła coś po drugiej stronie pokoju. Kate domyśliła się tego, bo nagle zapadła cisza. Zerwała się i podeszła do fotela przy kominku. Fotela Johnny'ego. *Nie myśl o tym* – upomniała się. Wróci lada dzień i usiądzie w nim, by poczytać gazetę po pracy.

Pochyliła się i podniosła ciekawską córeczkę, która spojrzała na nią swoimi olbrzymimi, bystrymi, brązowymi oczami i zaczęła gaworzyć. Kate nie mogła się nie uśmiechnąć, widząc, z jaką powagą Marah stara się coś zakomunikować, i jak zwykle radość córki poprawiła jej humor.

– Hej, co tam masz, krasnalku?

Zabrała Marah z powrotem do sofy, wyłączając po drodze telewizor. Już wystarczy. Włączyła za to radio. Było ustawione na stację nadającą stare przeboje. Zawsze kręciła przy tym głową. Dla niej lata siedemdziesiąte nie były wcale takie

odległe. The Eagles śpiewali *Desperado*. Kate pozwoliła muzyce, by zabrała ją w przyjemniejszy czas. Tuląc do siebie córkę, zatańczyła w salonie, śpiewając razem z zespołem. Marah chichotała i kołysała się w jej ramionach, aż Kate zaśmiała się po raz pierwszy od wielu dni. Pocałowała pulchny policzek córki, musnęła jej aksamitny kark nosem i połaskotała ją, aż ta zaczęła piszczeć z radości.

Tak dobrze się bawiły, że Kate nie od razu usłyszała dzwonek telefonu. Gdy jego dźwięk do niej dotarł, podbiegła do radia, wyłączyła je i odebrała.

– Pani Ryan?

Połączenie było słabe. Międzynarodowa. *Tylko w razie pilnej potrzeby.* Kate zamarła i mocniej ścisnęła Marah, która zaczęła się wić w jej ramionach.

– Tak.

– Z tej strony Lenny Golliher. Jestem przyjacielem pani męża. Jestem tu z nim w Bagdadzie. Bardzo mi przykro, że muszę to pani powiedzieć, pani Ryan, ale wczoraj w trakcie bombardowania…

Kierownik sali prowadził Ednę do jej stolika, a Tully szła za nimi, starając się nie gapić na wszystkie szychy i celebrytów, którzy jedli tu dzisiaj lunch. Najwyraźniej 21 Club był miejscem, w którym na Manhattanie wypadało bywać. Edna przystawała przy niemal każdym stoliku, żeby się z kimś przywitać, i wszystkim przedstawiała Tully, mówiąc: „To dziewczyna, którą warto mieć na oku”.

Zanim usiadły, Tully czuła się jak w niebie. Nie mogła się doczekać, aż opowie Kate, że poznała samego Johna

Kennedy'ego Juniora. Wiedziała, jak bardzo się coś takiego liczy. Edna właśnie zapewniła jej rozpoznawalność.

– Dlaczego ja? – zapytała, gdy kelner odszedł.

Edna zapaliła papierosa i odchyliła się do tyłu. Skinęła komuś po drugiej stronie sali, jakby nie usłyszała pytania. Tully miała zadać je znowu, ale Edna powiedziała cicho:

– Przypominasz mi mnie. Widzę, że jesteś zaskoczona.

– To mi pochlebia.

– Pochodzę z małego miasteczka w Oklahomie. Gdy trafiłam do Nowego Jorku, z dyplomem z dziennikarstwa i pracą sekretarki, odkryłam brzydką prawdę o tym zawodzie. Niemal każdy jest kimś albo jest z kimś ważnym powiązany. Ktoś, kto jest nikim, musi się cholernie napracować. Przez dziesięć lat spałam po pięć godzin na dobę, nie odwiedzałam rodziny i nie uprawiałam seksu, który by cokolwiek znaczył.

Kelner przyniósł ich talerze, postawił je, kłaniając się usłużnie, i znowu zniknął. Z dymiącym papierosem w ręku Edna zaczęła kroić stek.

– Kiedy cię zobaczyłam, pomyślałam: „Oto dziewczyna, której pomogę". Nie wiem dlaczego, poza tym, że, jak już wspomniałam, przypominałaś mi mnie samą.

– Miałam fart.

Edna pokiwała głową i zajęła się jedzeniem.

– Pani Guber? – To znowu kierownik sali. Tym razem przyniósł telefon. – Jest do pani pilna rozmowa.

Edna wzięła słuchawkę i powiedziała:

– Mów. – A potem długo słuchała. – Nazwiska? Jak? Bomba? – Zaczęła robić notatki. – Zginął dziennikarz z Seattle, a producent został ranny.

Tully po słowie „producent" nie usłyszała już nic. Głos Edny stał się białym szumem. Nachyliła się do przodu.

– Kto?

Edna przycisnęła słuchawkę do piersi.

– Dwóch pracowników telewizji z Seattle zostało rannych w bombardowaniu. Dziennikarz zmarł. Producent, John Ryan, jest w stanie krytycznym. – Wróciła do rozmowy. – Jak się nazywał ten reporter?

Tully gwałtownie wciągnęła powietrze. Myślała tylko o jednym. *Johnny*. Zamknęła oczy, ale to nie pomogło. W ciemności ujrzała szereg bolesnych wspomnień: gdy siedzieli na pomoście jego domu, rozmawiając o jej przyszłości… gdy tańczyli w tamtym komicznym nocnym klubie w podejrzanej części miasta lata temu… to, jak popatrzył na Marah pierwszy raz, ze łzami w oczach.

– O mój Boże! – krzyknęła, zrywając się od stolika. – Muszę iść.

Edna spojrzała na nią i zapytała bezgłośnie:

– Co jest?

Tully z trudem wypowiadała słowa, jakby ją paliły.

– Johnny Ryan to mąż mojej najlepszej przyjaciółki.

– Naprawdę? – Edna spojrzała na nią, a potem powiedziała do telefonu: – Maury, daj ten temat Tully. Ma kontakt. Odzwonię. – Rozłączyła się. – Siadaj, Tully.

Oszołomiona Tully posłuchała. Nogi właściwie się pod nią ugięły. Cały czas przychodziły do niej wspomnienia.

– Muszę pomóc Katie – wymamrotała.

– To duży temat – podkreśliła Edna.

Tully się żachnęła.

– Nic mnie to nie obchodzi. To moja najlepsza przyjaciółka.

– Nie obchodzi cię? – powiedziała ostrym tonem Edna. – Och, obchodzi. Każdy chciałby ten temat, ale to ty masz kontakt. Wiesz, co to znaczy?

Tully zmarszczyła brwi, próbując się skupić. Wydawało jej się nie w porządku, myśleć teraz o swojej karierze.

– Nie wiem.

– W takim razie nie jesteś tą osobą, za którą cię uważałam. Nie możesz jednocześnie zrobić wywiadu na wyłączność i pocieszyć przyjaciółki?

Tully się zamyśliła.

– Gdy tak to przedstawiasz…

– A jak można inaczej? Masz szansę zdobyć wywiad, którego nie będzie miał nikt inny. Wyrobisz sobie nazwisko. Dostaniesz miejsce w kąciku wiadomości.

Tully nic nie mogła na to poradzić – dała się uwieść. Kącik wiadomości to było biurko na planie porannego programu, przy którym omawiano najważniejsze wiadomości dnia. Każdy, kto tam trafił, stawał się rozpoznawalny. Codzienna emisja na krajowej antenie. Parę osób przeskoczyło z takiego kącika do prowadzenia programu informacyjnego.

– Będąc tam, będę mogła chronić Kate.

– Właśnie. – Edna podniosła słuchawkę i wybrała numer. – Hart zdobędzie dla nas wywiad na wyłączność, Maury. Właściwie już go ma. Daję za to głowę. – Gdy się rozłączyła, obrzuciła Tully lodowatym spojrzeniem. – Nie zawiedź mnie.

Całą drogę z restauracji z powrotem do pracy Tully przekonywała samą siebie, że postąpiła słusznie. Przy biurku rzuciła płaszcz na oparcie krzesła i zadzwoniła do Kate. Nikt nie odbierał. Wreszcie odezwała się automatyczna sekretarka: *Tu dom Ryanów. Żadne z nas nie może podejść do telefonu, ale proszę zostawić wiadomość, a oddzwonimy.*

Po sygnale Tully powiedziała:

– Hej, Katie, to ja. Właśnie usłyszałam…

Kate odebrała telefon i wyłączyła sekretarkę.

– Hej – wyszeptała. Wydawała się zupełnie rozbita. – Odebrałaś wiadomość. Przepraszam za automat. Te dziennikarskie sępy nie dają mi spokoju.

– Katie, jak…

– Jest w szpitalu w Niemczech. Lecę wojskowym samolotem za dwie godziny. Zadzwonię, jak wyląduję.

– Nie trzeba. Będę w szpitalu.

– W Niemczech?

– Oczywiście. Nie pozwolę, żebyś była tam sama. Twoja mama zajmie się Marah, prawda?

– Tak. Mówisz poważnie, Tully? – Ton głosu Kate uniósł się lekko przy tym pytaniu, jakby nabrała nadziei.

– Najlepsze przyjaciółki na zawsze, prawda?

– Bez względu na wszystko. – I wtedy głos Kate się załamał. – Dzięki, Tully.

Tully chciała powiedzieć: „Od tego ma się przyjaciół”, ale słowa utknęły jej w gardle. Przypomniała sobie o wywiadzie na wyłączność, który obiecała Ednie.

21

Przez szesnaście godzin Kate targały emocje od rozpaczy po nadzieję. Najpierw skupiła się na szczegółach – telefonie do rodziców, pakowaniu rzeczy Marah, wypełnianiu dokumentów. Natłok zajęć był dla niej wybawieniem; gdyby nie on, wyłącznie by się martwiła. Podczas lotu pierwszy raz w życiu wzięła tabletki nasenne i choć jej sen był ciężki, mroczny i niespokojny, to i tak był nieskończenie lepszy niż czuwanie.

Przywieziono ją właśnie pod szpital. Gdy podeszła do wejścia, zobaczyła blokujących je reporterów. Ktoś z tłumu musiał ją rozpoznać, bo wszyscy odwrócili się jak na zawołanie, niczym obudzona nagle bestia, i ruszyli w jej kierunku.

– Pani Ryan, co pani wie o jego stanie?

– Czy został ranny w głowę?

– Czy on może mówić?

– Czy otworzył już oczy?

Nie zwolniła. Jako żona producenta wiedziała, jak zachowywać się wobec prasy. Okazywali tyle szacunku, ile mogli, biorąc pod uwagę wymagania swojej profesji. Choć Johnny był jednym z nich i zdawali sobie sprawę, że to mogło się przydarzyć każdemu, gorący temat to gorący temat.

– Bez komentarza.

Przepchnęła się przez tłum i weszła do szpitala. Wyglądał tak, jak wszystkie tego rodzaju instytucje – puste ściany, praktyczne linoleum na podłodze, kręcący się po szerokich korytarzach ludzie w idealnie czystych fartuchach.

Najwyraźniej uprzedzono ich o jej przybyciu, bo przysadzista kobieta w białym fartuchu i pielęgniarskim czepku podeszła do niej, uśmiechając się ze współczuciem.

– Zapewne pani Ryan – powiedziała po angielsku z ciężkim akcentem.

– Tak.

– Zaprowadzę panią do pokoju męża. Lekarz zaraz przyjdzie z panią porozmawiać.

Kate pokiwała głową.

Na szczęście pielęgniarka nie próbowała jej zagadywać, gdy jechały windą. Na drugim piętrze minęły pokój pielęgniarski i weszły do pokoju Johnny'ego.

Johnny wydawał się taki drobny i kruchy, jak dziecko w łóżku rodziców. Zatrzymała się, bo o sekundę za późno uświadomiła sobie, że za długo przeżywała to spotkanie w wyobraźni, nie myśląc o realiach. Ten człowiek ledwo przypominał jej energicznego, przystojnego męża.

Głowę miał obwiązaną białym bandażem. Cała lewa strona twarzy była opuchnięta i pobladła. Oczy też miał zabandażowane. Otaczały go kroplówki, rurki i urządzenia.

Pielęgniarka poklepała ją po ramieniu i delikatnie popchnęła w stronę łóżka.

– On żyje – odezwała się. – To powinna pani widzieć, gdy na niego patrzy.

Kate postawiła krok, najtrudniejszy w jej życiu. Dopiero w tym momencie zorientowała się, że wcześniej znieruchomiała.

– On jest zwykle taki silny.

– Teraz pani musi być silna dla niego.

Takich właśnie słów potrzebowała Kate. Miała tu do wykonania zadanie; czas na poddanie się i załamanie pod naporem emocji będzie później, gdy zostanie sama.

– Dziękuję – powiedziała do pielęgniarki i podeszła do łóżka.

Drzwi za nią zamknęły się cicho i wiedziała, że zostali sami. Ona i mężczyzna, który był, a jednocześnie nie był jej Johnnym.

– Nie tak się umawialiśmy – zaczęła. – Dokładnie pamiętam, że obiecałeś, że nic ci się nie stanie. Więc zakładam, że dotrzymasz słowa. – Otarła oczy i pochyliła się, by pocałować jego opuchnięty policzek. – Mama i tata modlą się za ciebie. Marah jest teraz u nich. A Tully przyleci, żeby być z nami; wiesz, jaka będzie wkurzona, jeśli nie poświęcisz jej całej swojej uwagi. Lepiej się ocknij, zanim zamęczy cię o to na śmierć. – Utknęła na tym ostatnim słowie, skrzywiła się i wyprostowała siłą woli. – Nie to chciałam powiedzieć – szepnęła, zaciskając dłonie na poręczy łóżka. – Słyszysz mnie, Johnie Ryan? Daj znać, że tam jesteś. – Sięgnęła, by wziąć w ręce jego dłoń. – Uściśnij mi rękę, skarbie. Dasz radę. – A potem: – Powiedz coś, do cholery. Nie będę się złościć, że mnie nastraszyłeś. W każdym razie nie w tej chwili.

– Pani Ryan?

Kate nie usłyszała otwieranych drzwi. Gdy się odwróciła, zobaczyła stojącego za sobą mężczyznę.

– Jestem doktor Carl Schmidt. Opiekuję się pani mężem.

Grzecznie byłoby puścić rękę Johnny’ego, przejść przez pokój i uścisnąć dłoń doktora Schmidta. Przez całe życie Kate tak właśnie robiła, wszystko, jak trzeba, ale teraz nie mogła się ruszyć, nie potrafiła udawać, że jest okej.

– I? – zdołała tylko zapytać.

– Ma poważne obrażenia głowy, jak pani bez wątpienia wie. Utrzymujemy go w stanie śpiączki, więc nie możemy sprawdzić funkcjonowania mózgu. W Bagdadzie doskonale się nim zajęto. Lekarze usunęli fragment czaszki…

– Co zrobili?

– Usunęli fragment czaszki, żeby zmniejszyć ciśnienie. Proszę się nie martwić. To rutynowy zabieg przy takich obrażeniach.

Chciała powiedzieć, że rutynowy zabieg to wycięcie wyrostka, ale nie miała odwagi.

– Dlaczego ma zabandażowane oczy?

– Nie wiemy jeszcze, czy…

Drzwi za nimi gwałtownie się otwarły i uderzyły o ścianę. Tully wpadła do pokoju – inaczej nie da się tego określić – i gwałtownie się zatrzymała. Ciężko dyszała, a jej twarz była dziwnie blada.

– Przepraszam, że tyle mi to zajęło, Katie. Nikt nie chciał mi powiedzieć, gdzie jesteś.

– Przepraszam – zaprotestował lekarz. – Tu może przebywać tylko rodzina.

– Ona należy do rodziny – odpowiedziała Kate, wyciągając rękę do Tully. Ta odsunęła ją i mocno objęła przyjaciółkę. Obie się rozpłakały, tuląc się do siebie, aż Kate się odchyliła, by otrzeć oczy.

Lekarz dokończył:

– Nadal nie wiemy, czy stracił wzrok. Dowiemy się tego, kiedy się obudzi.

– Jeśli się obudzi – powiedziała Tully nerwowym tonem.

– Najbliższe czterdzieści osiem godzin będzie decydujące – odparł spokojnie lekarz, jakby mu wcale nie przerwano.

Czterdzieści osiem godzin. To jak wieczność.

– Proszę do niego mówić – zalecił lekarz. – Bo to na pewno nie zaszkodzi.

Kate pokiwała głową i odsunęła się, gdy lekarz podszedł do Johnny’ego, by go zbadać. Zapisał coś na karcie pacjenta i wyszedł. Gdy tylko zniknął za drzwiami, Tully chwyciła Kate za ramiona i lekko nią potrząsnęła.

– Nie będziemy wierzyć w żadne bzdury. Herr Doktor nie zna Johnny'ego Ryana. A my tak. Obiecał, że wróci do domu do ciebie i do Marah, a to człowiek, który dotrzymuje obietnic.

Sama obecność Tully podniosła Kate na duchu, pozwoliła jej utrzymać się na powierzchni. Siły, które tak szybko ją opuściły, zaczęły wracać.

– Lepiej jej posłuchaj, Johnny. Wiesz, jak się potrafi wściec, jeśli się pomyli.

Przez następne sześć godzin siedziały przy jego łóżku. Kate mówiła, ile mogła; gdy wyczerpywała się jej energia albo zaczynała płakać, zastępowała ją Tully. Gdzieś w środku nocy – Kate nie miała pojęcia, która jest godzina – zeszły do kafeterii, w której nikogo nie było, kupiły jedzenie w automacie i usiadły przy stoliku pod oknem.

Same pośród pustych stołów popatrzyły na siebie.

– Co zamierzasz zrobić z prasą? – spytała Tully.

Kate spojrzała jej prosto w oczy.

– Co masz na myśli?

Przyjaciółka wzruszyła ramionami i upiła kawy.

– Widziałaś tych dziennikarzy przed wejściem. To gorący temat, Katie.

– Pielęgniarka powiedziała mi, że próbowali mu robić zdjęcia, gdy go tutaj wwozili. Jeden reporter usiłował nawet przekupić salową na jego piętrze, żeby zdobyć zdjęcie jego zabandażowanej twarzy. Co za hieny. Bez urazy.

– Daj spokój. I nie wszyscy tacy jesteśmy, Katie.

– Nie chciałby, żeby o tym pisali.

– Żartujesz? On jest dziennikarzem. Na pewno uznałby, że trzeba podzielić się tą historią z kolegami po fachu, choćby z jedną osobą.

– Uważasz, że chciałby, żeby świat wiedział, że może oślepnąć albo mieć uszkodzony mózg? Jak wtedy zdobędzie pracę? Nie

ma mowy. Nic nie powiem prasie, dopóki nie będę znała jego stanu.

– Mówili, że może mieć uszkodzony mózg?

– Usunęli mu fragment czaszki. To jak myślisz? – Kate wzruszyła ramionami. – Nikt nie ma prawa zaglądać mu pod bandaż.

– Tak działają newsy, Kate – wyjaśniła łagodnie Tully. – Jeśli dasz mi wywiad na wyłączność, będę cię mogła chronić.

– Gdyby nie te cholerne newsy, nie walczyłby teraz o życie.

– Dla mnie też są ważne.

Tully przywołała w ten sposób coś, co zawsze łączyło ją z Johnnym, więź, z której jej przyjaciółka była wykluczona. Kate chciała odpowiedzieć jakąś inteligentną ripostą, ale była zbyt zmęczona. Źle spała od wielu tygodni, bolały ją wszystkie stawy i mięśnie.

Tully położyła rękę na jej dłoni.

– Pozwól, że zajmę się mediami w twoim imieniu. Daj mi wyłączność. Dzięki temu w ogóle nie będziesz musiała o tym myśleć.

Kate uśmiechnęła się po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła, Tully?

– Żarty sobie stroisz? Od trzech dni czekam na twój telefon, a jak już jesteś łaskawa zadzwonić, to po to, żeby powiedzieć, że potrzebujesz więcej czasu?

Tully przysunęła się bliżej automatu telefonicznego, starając się stworzyć odrobinę prywatnej przestrzeni w publicznym miejscu.

– Rodzina nie jest jeszcze gotowa na kontakty z prasą, Maury. Lekarze respektują jej życzenia. Chyba to rozumiesz.

– Czy ja to rozumiem? Kogo obchodzi, czy ja to rozumiem? To są wiadomości ze świata, Tully, a nie jakieś plotkarskie kółko w akademiku. CNN doniosło, że ma obrażenia głowy…

– To nie zostało oficjalnie potwierdzone.

– Do diabła, Tully. Stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji. Góra jest wkurzona. Dziś rano rozmawiano o tym, żeby odebrać ci ten temat. Dick chce wysłać…

– Dostarczę ci coś.

– Dostarcz mi ten materiał dzisiaj, a w przyszłym tygodniu przeniosę cię do kącika wiadomości.

Tully wydało się, że się przesłyszała.

– Mówisz poważnie?

– Masz dwadzieścia cztery godziny, Tully. Po tym terminie będziesz albo zerem albo bohaterem. Wszystko zależy od ciebie.

Tully usłyszała trzask odkładanej słuchawki. Za przeszkloną ścianą szpitalnego holu widziała dziennikarzy zgromadzonych na chodniku. Od trzech dni czekali na oficjalne informacje o stanie Johnny'ego. Na razie relacjonowali znane fakty – bombardowanie, pierwsze wiadomości o obrażeniach Ryana oraz jego działalności w Ameryce Środkowej. Przeskakiwali na powiązane z tym ogólne tematy, jak ryzyko, które ponoszą dziennikarze relacjonujący konflikty zbrojne, specyfikę Pustynnej Burzy i miliony rodzajów obrażeń, jakich mogą doznać ofiary bombardowań.

Tully stała tam i zastanawiała się, jak ma to, do diabła, zrobić. Musi zadziałać tak, żeby oboje, Maury i Kate, byli usatysfakcjonowani. Wszystko zależało od Tully; jeśli jej się uda i tę jedną rzecz zrobi dobrze, to może zmienić jej przyszłość. Wolałaby umrzeć, niż zawieść Ednę i, jak mówiła Edna, mogła

jednocześnie wykonać zadanie i chronić Kate. Będzie musiała zrobić ten materiał, ale ważne było, jak go zrobi. Ostrożnie. Z taktem. Bez wspominania o uszkodzeniach mózgu i potencjalnej utracie wzroku. W ten sposób każdy dostanie to, czego chce.

Kącik wiadomości! Całe życie marzyła o tym stanowisku, wyobrażała sobie, że to będzie początek wszystkiego. Nie mogła przepuścić okazji, by go zdobyć. Kate na pewno zrozumie, jakie to ważne.

Oczywiście.

Z uśmiechem zaczęła się rozglądać za swoim operatorem. Zaczną od ujęć tła – szpitala od zewnątrz i wewnątrz i tak dalej. Nie będą się afiszować z kamerą. Na szczęście wszystkie ważne osoby wiedziały, że Kate pozwoliła jej na nieograniczony dostęp do Johnny'ego. Podeszła do frontowych drzwi i wyszła w chłodne, szare popołudnie. Jej współpracownik stał z boku, z daleka od grupy dziennikarzy. Na znak Tully schował kamerę pod dłuższą puchową kurtką i ruszył w jej kierunku.

Kate siedziała w gabinecie doktora Schmidta i słuchała.

– Czyli obrzęk nie mija – powiedziała, starając się nie wykręcać spoconych dłoni. Była tak zmęczona, że z trudem walczyła z przemożną potrzebą zamknięcia oczu.

– Nie tak szybko, jak byśmy chcieli. Jeśli wkrótce nie będzie poprawy, myślę, że znowu zrobimy operację.

Pokiwała głową.

– Proszę się na razie nie martwić, pani Ryan. Pani mąż jest bardzo silny. Widać, że mocno walczy.

– Skąd pan wie?

– Cóż, bo nadal żyje. Słabszego człowieka już by tu nie było.

Starała się czerpać z tego siłę, naprawdę w to wierzyć, ale nadzieja jej się wymykała. Każdy mijający dzień przygnębiał ją, osłabiał mur wyparcia, którym się otoczyła. Miejscami przebijał się przez niego strach, krzycząc, że jest prawdą.

Doktor Schmidt wstał.

– Muszę teraz zajrzeć do pacjenta. Odprowadzę panią kawałek z powrotem do pokoju pana Ryana.

Skinęła głową i poszła z nim. Przez moment, idąc obok lekarza, który mówił do niej łagodnym, pełnym autorytetu głosem, zatęskniła za ojcem.

– Tu muszę skręcić – powiedział doktor Schmidt, wskazując korytarz prowadzący na radiologię.

Kate znów pokiwała głową. Wymamrotałaby zwykłe „do widzenia", ale bała się, że głos ją zawiedzie, a za nic nie chciała okazać słabości.

Stała tam przez chwilę i patrzyła za odchodzącym lekarzem. Na końcu korytarza wtopił się w grupkę odzianych na biało postaci i zniknął jej z oczu. Kate z westchnieniem ruszyła do pokoju Johnny'ego. Jeśli będzie miała szczęście, zastanie tam Tully. Już sama obecność przyjaciółki była ogromną pomocą. Szczerze mówiąc, Kate nie miała pojęcia, jak dałaby sobie radę w ostatnich dniach bez Tully. Grały w karty, rozmawiały, a nawet śpiewały piosenki, mając nadzieję, że Johnny obudzi się, bo będzie je chciał uciszyć. Zeszłej nocy Tully natrafiła na jakiś stary odcinek *Rodziny Partridge'ów* po niemiecku. Rozśmieszyła Kate wymyślonym dialogiem, w którym David Cassidy podrywał swoją telewizyjną siostrę, tak że aż przyszły pielęgniarki i kazały im się uspokoić.

Kate skręciła i zobaczyła, że w drzwiach pokoju Johnny'ego stoi wysoki, długowłosy mężczyzna w niebieskiej puchowej kurtce i postrzępionych dżinsach. Na ramieniu trzymał czarną kamerę. Kręcił w tym momencie; rozpoznała to po świecącej się

czerwonej lampce kamery. Ruszyła biegiem, chwyciła go za rękaw kurtki i gwałtownie obróciła.

– Co pan tu, do cholery, wyprawia?

Szarpnęła go tak mocno, że zachwiał się i omal nie przewrócił. Dobrze się z tym poczuła, tak dobrze, że pożałowała, że nie uderzyła go w twarz.

– Hiena – syknęła, wyłączając kamerę jednym palcem.

I wtedy zobaczyła Tully. Jej najlepsza przyjaciółka stała w nogach łóżka Johnny'ego, ubrana w czerwony sweter z dekoltem w serek i czarne spodnie. Miała profesjonalną fryzurę i makijaż i trzymała w ręku mikrofon.

– O mój Boże… – szepnęła Kate.

– To nie tak, jak myślisz.

– Nie nagrywałaś materiału o Johnnym?

– Owszem, przecież wiesz, ale miałam zamiar o tym z tobą porozmawiać. Wyjaśnić ci wszystko. Chciałam cię poprosić…

– Z kamerzystą – westchnęła Kate, cofając się o krok.

Tully podbiegła do niej i zaczęła błagać.

– Dzwonił mój szef. Zwolnią mnie, jeśli nie zrobię tego materiału. Wiedziałam, że zrozumiesz, jeśli powiem ci prawdę. Wiesz, jak działają media i ile to dla mnie znaczy, ale nigdy nie zrobiłabym czegoś, co skrzywdziłoby ciebie albo Johnny'ego.

– Jak śmiesz! I uważasz się za moją przyjaciółkę!

– Jestem twoją przyjaciółką. – W głosie Tully zabrzmiała panika. W jej oczach Kate dostrzegła coś tak niezwykłego, że rozpoznała to dopiero po chwili: strach. – Nie powinnam była zaczynać kręcenia, przyznaję, ale nie myślałam, że będziesz miała coś przeciwko. Johnny na pewno by nie miał. To człowiek mediów, jak ja. Jak ty kiedyś. On wie, że ten news…

Kate z całej siły uderzyła Tully w twarz.

– On nie jest twoim newsem. To mój mąż! – Przy ostatnim słowie Kate załamał się głos. – Idź stąd. Wyjdź. – Gdy Tully się

nie ruszyła, Kate wrzasnęła: – Już! Wynocha stąd! Tu ma wstęp tylko rodzina.

W którymś z urządzeń przy łóżku Johnny'ego włączył się alarm. Ubrane na biało pielęgniarki wpadły do pokoju, odsuwając na bok Kate i Tully. Przeniosły go na nosze na kółkach i wywiozły w pośpiechu z pokoju.

Kate stała nieruchomo, wpatrując się w pościel na pustym łóżku.

– Katie… – zaczęła Tully.

– Wynoś się…

Tully chwyciła ją za rękaw.

– Daj spokój, Katie. Jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami na zawsze. Bez względu na wszystko. Pamiętasz? Potrzebujesz mnie.

– Na pewno nie jesteś taką przyjaciółką, jakiej potrzebuję. – Kate wyrwała się i wybiegła z pokoju.

Dopiero na pierwszym piętrze, gdy znalazła się w damskiej toalecie i spojrzała na pomalowane na zielono metalowe drzwi ustępu, rozpłakała się.

Kilka godzin później Kate siedziała sama w poczekalni dla rodzin. W ciągu dnia bywali tu inni ludzie, skupione razem grupki osób o szklistym wzroku, które czekały na wiadomości o swoich najbliższych. Teraz wolontariuszka przy biurku poszła już do domu i poczekalnia była pusta.

Nigdy dotąd czas jej się tak koszmarnie nie dłużył. Nie miała nic do zrobienia, żadnego sposobu, by oszukać umysł i skłonić go do myślenia o czymś innym. Próbowała przeglądać czasopisma, ale nie były po angielsku, a zdjęcia nie przyciągnęły jej uwagi. Nawet telefon do domu nie pomógł. Bez

Tully, która umiałaby ją z tego wyciągnąć, czuła, że tonie w rozpaczy.

– Pani Ryan?

Kate natychmiast się zerwała.

– Panie doktorze. Jak poszła operacja?

– Właściwie dobrze. Doszło do intensywnego krwawienia do mózgu, co prawdopodobnie powodowało utrzymujący się obrzęk. Zatrzymaliśmy je. To może dać nam nową nadzieję, prawda? Odprowadzić panią z powrotem do jego pokoju?

Najważniejsze, że żyje.

– Dziękuję.

Gdy mijali pokój pielęgniarek, zapytał:

– Wezwać pagerem pani przyjaciółkę? Pewnie nie chce pani być teraz sama.

– Nie chcę być sama, to prawda – odpowiedziała Kate. – Ale Tallulah nie jest tu już mile widziana.

– Ach. Cóż. Musi pani wierzyć, że on się obudzi. Przez lata pracy tutaj widziałem już wiele tak zwanych cudów. Wydaje mi się, że wiara często odgrywa przy tym istotną rolę.

– Boję się mieć nadzieję – wyznała cicho.

Lekarz zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami pokoju Johnny'ego i spojrzał na nią.

– Nie powiedziałem, że łatwo jest wierzyć, tylko że to niezbędne. A pani tu jest, prawda? Tu, u jego boku. To też wymaga odwagi, prawda? – Poklepał ją po ramieniu i zostawił pod drzwiami.

Nie wiedziała, ile czasu tam stała, sama w idealnie białym szpitalnym korytarzu. Ale po jakimś czasie weszła do środka i usiadła. Zamknęła oczy i cichym, urywanym głosem zaczęła do niego mówić. O czym, nie umiałaby powiedzieć. Wiedziała tylko, że głos to światło w ciemności, a światło pomaga wydostać się na zewnątrz.

A potem był już ranek. Słońce wpadało przez okno, oświetlając beżowe linoleum podłogi i biało-szare ściany. Kate wstała z krzesła i stanęła przy łóżku, sztywna i obolała.

– Hej, przystojniaku – mruknęła i pochyliła się, by pocałować Johnny'ego w policzek. Zdjęto mu bandaże z twarzy, widać było, jak podsiniałe i spuchnięte jest jego lewe oko. – Żadnego krwawienia do mózgu, okej? Jak będziesz potrzebował uwagi, to wypróbuj stary sposób, rozzłość się albo mnie pocałuj.

Mówiła cały czas, aż wyczerpały się jej pomysły. Wreszcie włączyła telewizor, który wisiał w kącie. Włączył się z głośnym trzaskiem, zaczął szumieć i pokazywać ziarnisty czarno-biały obraz.

– Twoja ulubiona zabawka – rzuciła gorzko i sięgnęła po jego dłoń.

Wzięła do ręki suche, bezwładne palce męża i uścisnęła je. Pochyliła się, pocałowała go w policzek i zawahała się. Choć czuć było od niego szpital, środki dezynfekujące i lekarstwa, ale gdy się mocno postarała, wydało jej się, że czuje też jego znajomy zapach.

– Telewizor włączony – powiedziała. – A ty jesteś największym newsem.

Brak reakcji.

Powoli przełączała kanały, szukając czegoś po angielsku.

Nagle ekran wypełniła twarz Tully, która stała przed szpitalem z mikrofonem przy ustach. Napisy na dole ekranu były tłumaczeniem jej słów: „Od wielu dni świat martwi się o Johna Patricka Ryana, producenta telewizyjnych wiadomości, który został ciężko ranny, gdy niedaleko hotelu Al-Rashid wybuchła bomba. Wczoraj odbył się pogrzeb reportera Arthura Guldera, który był z nim w Bagdadzie, lecz rodzina Ryanów i niemiecki szpital odmawiają kontaktów z dziennikarzami. Czy można im się dziwić? To wielka osobista tragedia dla rodziny

Ryanów. John – dla przyjaciół Johnny – doznał wskutek wybuchu bardzo poważnych obrażeń głowy. W szpitalu wojskowym niedaleko Bagdadu przeprowadzono skomplikowaną operację. Zdaniem specjalistów, gdyby nie ten ratujący życie zabieg tam na miejscu, John Ryan by nie przeżył". Obraz na ekranie zmienił się. Teraz Tully stała obok łóżka Johnny'ego, który leżał w bezruchu pod białym prześcieradłem, z obandażowaną głową i oczami. Choć kamera zatrzymała się na Johnnym tylko na ułamek sekundy, zanim skierowała się znów na Tully, trudno było zapomnieć ten widok. „Prognozy co do stanu zdrowia Johna Ryana są niepewne. Specjaliści, z którymi rozmawiałam, twierdzą, że trzeba poczekać, czy ustąpi obrzęk mózgu. Jeśli tak, szanse na powrót do zdrowia będą bardzo duże. Jeśli nie…". Jej głos ucichł, gdy Tully podchodziła do nóg łóżka. Tam spojrzała prosto w kamerę. „W tej chwili nic nie jest pewne, poza tym że jest to historia o bohaterach, zarówno tych w domu, jak i tych na wojnie. John Ryan chciał informować Amerykanów o tym, co się tam dzieje. A ja znam go na tyle dobrze, by móc powiedzieć, że wiedział, co ryzykuje, i nie mógł zdecydować inaczej. Gdy John Ryan relacjonował wojnę, jego żona Kathleen została w domu z ich roczną córeczką, wierząc, że jej mąż robi coś ważnego. Jak w przypadku każdej żony żołnierza jej poświęcenie jest równe temu, jakie okazał on, by móc wykonywać swoją pracę".

Nastąpiło cięcie i na ekranie pojawiła się Tully, teraz na schodach szpitala. „Tu Tallulah Hart z Niemiec. Jeśli można, Bryant, to dodam, że nasze myśli i modlitwy są dziś z rodziną Ryanów".

Kate wpatrywała się w telewizor na długo po zakończeniu programu.

– Pokazała nas jako bohaterów – powiedziała w pustkę pokoju. – Nawet mnie.

Poczuła delikatne muśnięcie wewnątrz dłoni. Tak delikatne, że omal go nie zauważyła. Zmarszczyła brwi i spojrzała w dół.

Johnny powoli otwierał oczy.

– Johnny? – szepnęła, obawiając się, że to sobie wmawia, że to efekt stresu. – Widzisz mnie?

Uścisnął jej dłoń. Trudno to było nazwać uściskiem, trudno to było nazwać nawet dotykiem, ale Kate aż się roześmiała i rozpłakała jednocześnie.

– Widzisz mnie? – zapytała znowu, pochylając się nad nim. – Zamknij na chwilę oczy, jeśli mnie widzisz.

Powoli zamknął oczy.

Pocałowała go w policzek, w czoło, w spierzchnięte, suche usta.

– Wiesz, gdzie jesteś? – zapytała, odchylając się i naciskając przycisk wzywający pielęgniarkę.

Zobaczyła dezorientację w jego oczach i przestraszyła się.

– A ja? Wiesz, kim jestem?

Spojrzał na nią i głośno przełknął. Powoli rozchylił usta i powiedział:

– Moja… Katie.

– Tak – odpowiedziała, nie panując nad płaczem. – Twoja Katie.

Następne siedemdziesiąt dwie godziny to był wir badań, zabiegów, testów i dobierania leków. Kate towarzyszyła Johnny’emu podczas wizyt u okulisty, psychiatry, fizjoterapeuty, logopedy, terapeuty zajęciowego i oczywiście u doktora Schmidta. Wyglądało na to, że każdy z nich musi potwierdzić polepszenie się stanu Johnny’ego, zanim będzie mogła przenieść go do ośrodka rehabilitacji bliżej domu.

– Szczęściarz z niego, że panią ma – powiedział doktor Schmidt na koniec rozmowy.

Kate się uśmiechnęła.

– To ja jestem szczęściarą, że mam jego.

– Tak. A teraz proponuję, żeby poszła pani do kafeterii i zjadła lunch. Za dużo pani schudła przez ten tydzień.

– Naprawdę?

– Oczywiście. A teraz proszę iść. Ja odprowadzę pani męża do pokoju, gdy skończymy badanie.

Kate wstała.

– Dziękuję panu, doktorze. Za wszystko.

Machnął lekceważąco ręką.

– To moja praca.

Z uśmiechem ruszyła do drzwi. Była tuż przy nich, gdy ją zawołał. Odwróciła się.

– Tak?

– Niewielu już zostało dziennikarzy, ale czy możemy zacząć informować o stanie zdrowia pani męża? Bardzo byśmy chcieli, żeby sobie wreszcie poszli.

– Zastanowię się.

– Doskonale.

Kate wyszła z gabinetu i poszła do windy na końcu korytarza. W to późne czwartkowe popołudnie kafeteria była prawie pusta. Kilka grupek pracowników siedziało wokół prostokątnych stołów, a parę rodzin zamawiało jedzenie. Łatwo było odróżnić jednych od drugich. Pracownicy szpitala śmiali się i rozmawiali, jedząc, natomiast bliscy pacjentów byli cisi i milczący, wpatrywali się w jedzenie i co kilka minut zerkali na zegar.

Kate przeszła między stolikami do okna. Na zewnątrz niebo było ciemne, stalowoszare; w każdej chwili mógł zacząć padać deszcz lub śnieg.

Choć jej odbicie w szybie było niewyraźne, widziała, jak jest zmęczona, wycieńczona. To dziwne, ale jakoś trudniej było znosić samotność, gdy czuła ulgę, niż gdy była w rozpaczy. Wtedy najchętniej siedziałaby w ciszy, wyłączyła umysł i starała się wyobrażać sobie najlepsze. Teraz miała ochotę pośmiać się z kimś, uśmiechać się, unieść kieliszek w toaście i powiedzieć, że od dawna wiedziała, że tak będzie.

Nie. Nie z kimś. Z Tully.

Przez całe życie Kate dzieliła z nią swe radości. Tully była niczym impreza, która tylko czeka, żeby się rozpocząć. Jej najlepsza przyjaciółka byłaby gotowa świętować bezpieczne przejście przez pasy, gdyby tylko Kate sobie tego życzyła.

Odwróciła się od okna, podeszła do stolika i usiadła.

– Wygląda na to, że dobrze zrobiłby ci drink.

Kate podniosła wzrok. Tully stała obok niej, ubrana w czarne dżinsy i sweterek w łódkę z białej angory. Choć miała idealną fryzurę i makijaż, wyglądała na zmęczoną. I zdenerwowaną.

– Wciąż tu jesteś?

– Myślałaś, że cię zostawię? – Tully spróbowała się uśmiechnąć, ale jej nie wyszło. – Przyniosłam ci herbatę.

Kate spojrzała na styropianowy kubek w dłoniach Tully. Wiedziała, że to jej ulubiony rodzaj – earl grey – z idealną ilością cukru.

Tully tylko w ten sposób umiała przeprosić za to, co zrobiła. Jeśli Kate przyjmie herbatę, będzie musiała zapomnieć o tym, co się stało – zdrada i policzek będą musiały pójść w niepamięć, żeby one mogły z powrotem znaleźć się na ścieżce, która je łączyła. Żadnego żalu, żadnych pretensji. Znów będą TullyiKate, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe w przypadku dwóch dorosłych kobiet.

– To był dobry materiał – przyznała Kate spokojnym tonem.

Tully błagała wzrokiem o wybaczenie i zrozumienie, ale powiedziała tylko:

– W przyszłym tygodniu prowadzę kącik wiadomości. To jedynie zastępstwo, ale zawsze coś na początek.

Kate pomyślała: „Czyli za tyle mnie sprzedałaś", ale wiedziała, że nie powinna tego mówić. Rzuciła tylko:

– Gratulacje.

Tully wyciągnęła rękę z kubkiem.

– Weź, Katie. Proszę.

Kate długi czas przyglądała się przyjaciółce. Pragnęła słowa „Przepraszam", ale miała świadomość, że ono nigdy nie padnie. Tully po prostu taka nie była. Kate nie wiedziała dokładnie, jak to się stało, ale Tully nie umiała przepraszać. Podejrzewała, że ma to coś wspólnego z Chmurą. Coś w jej przyjaciółce zostało zniszczone, gdy była dzieckiem, i nie dało się tego naprawić. Było jak blizna. Kate ostatecznie sięgnęła po kubek i powiedziała:

– Dzięki.

Tully uśmiechnęła się szeroko i usiadła obok niej. Zanim przysunęła się do stolika, już trajkotała.

Bardzo szybko zdołała wywołać śmiech Kate. Takie właśnie są najlepsze przyjaciółki. Podobnie jak siostry i matki, potrafią wkurzyć, skłonić do płaczu, złamać serce, ale ostatecznie, w krytycznej sytuacji, są przy nas i sprawiają, że śmiejesz się nawet w najciemniejszej godzinie.

22

Choć to był bardzo zły rok, Kate przez cały czas zdawała sobie sprawę z tego, że mógł być jeszcze gorszy. Mężczyzna, którego przywiozła do domu z Niemiec, przez pierwsze miesiące ledwie przypominał jej męża. Jego mózg goił się powoli, czasem Johnny tracił cierpliwość, gdy uciekało mu jakieś słowo albo myśl. Kate spędziła mnóstwo godzin na rehabilitacji, pracując z nim i fizjoterapeutą albo czekając w holu z córeczką.

Gdy tylko wrócili do domu, Marah jakby wyczuła, że z tatą jest coś nie tak, i żadne przytulanie nie mogło jej ukoić. Często budziła się w nocy z krzykiem i nie potrafiła się uciszyć, dopóki Kate nie zabrała jej do ich łóżka (zwyczaj ten sprawiał, że mama Kate przewracała oczami, zapalała papierosa i mówiła: „Będziesz tego żałować").

Przed świętami Kate z zapałem przystąpiła do dekorowania domu, mając nadzieję, że widok ulubionych ozdób połączy ich jakoś znowu i sprawi, że będą taką rodziną jak kiedyś.

W trakcie dziewczyńskiej godziny, gdy popijała wino, opowiadając cioci Georgii i mamie, jak świetnie sobie radzi, nagle zaczęła płakać.

Mama wzięła ją za rękę.

– Wszystko w porządku, kochanie. Wyrzuć to z siebie.

Ale ona się bała.

– Nic mi nie jest – powiedziała. – To był po prostu trudny rok i tyle.

Zadzwonił dzwonek u drzwi.

Ciocia Georgia wstała.

– To pewnie Rick i Kelli.

Ale to była Tully. Stała na ganku w białym kaszmirowym płaszczyku trzy czwarte i takich samych spodniach i wyglądała szałowo. Trzymała na rękach tyle prezentów, że wystarczyłoby dla trzech rodzin.

– Nie mówcie, że zaczęłyście dziewczyńską godzinę beze mnie. Jeśli tak, to będziecie musiały zacząć ją od nowa.

– Mówiłaś, że musisz lecieć do Berlina – powiedziała Kate, żałując, że nie ubrała się lepiej i nie zrobiła makijażu.

– I przegapić święta? W życiu. – Tully położyła prezenty pod choinką i przyciągnęła do siebie przyjaciółkę.

Kate aż do tej chwili nie uświadamiała sobie, jak bardzo za nią tęskniła.

Tully zmieniła spokojną dziewczyńską godzinę w prawdziwą imprezę. O pierwszej, długo po tym, jak powinny były zacząć piec indyka, mama, ciocia Georgia i Tully wciąż tańczyły do piosenek ABBY i Eltona Johna, śpiewając na cały głos.

Kate stała przy choince. Pokój jakby się nagle rozjaśnił. Jak to się działo, że Tully zawsze ożywiała każde spotkanie? Może dlatego że nie wykonywała żadnej z mniej przyjemnych prac. Tully nie zajmowała się ani sprzątaniem, ani gotowaniem, ani praniem.

Johnny podszedł do Kate. Zauważyła, że już prawie nie utyka.

– Hej – rzucił.

– Hej.

Wszyscy wokół nich rozmawiali i śpiewali. Ciocia Georgia tańczyła do *Time Warp* z Seanem, jego dziewczyną i wujkiem Ralphem. Mama i tata rozmawiali z Tully, która kołysała się w rytm muzyki z Marah w ramionach.

Johnny sięgnął pod choinkę i podniósł małe pudełko zapakowane w srebrno-złoty papier i ozdobione za dużą

czerwoną kokardą. Podał je Kate.

– Chcesz, żebym otworzyła już teraz?

Pokiwał głową.

Kate odczepiła kokardę, rozerwała papier i zobaczyła niebieskie zamszowe pudełko. Gdy je otworzyła, aż zaparło jej dech w piersiach. To był piękny złoty naszyjnik z wysadzanym diamentami medalionem w kształcie serca.

– Johnny…

– Zrobiłem w życiu parę głupich rzeczy, Katie, i za większość z nich zapłaciłem wysoką cenę. Ostatnio ty też ją płaciłaś. Wiem, jak trudny był dla ciebie ten ostatni rok. I chcę, żebyś wiedziała jedno: ty jesteś tym, co zrobiłem w życiu dobrze. – Wyjął naszyjnik z pudełka i założył go jej. – Przyjąłem stanowisko w mojej dawnej stacji. Już nie będziesz się musiała o mnie martwić. Jesteś całym moim sercem, Katie Scarlett, i zawsze będę przy tobie. Kocham cię.

Kate aż ścisnęło w gardle z emocji.

– Ja ciebie też.

Gdy były w college'u, upływ czasu pokazywały drzewka wiśniowe na skwerze Quad. Każda pora roku objawiała się na ich patykowatych, szarobrązowych gałęziach. W latach osiemdziesiątych wyznacznikiem czasu były latarnie uliczne przy brukowanej kocimi łbami ulicy przed Public Market. Gdy pojawiały się na nich bożonarodzeniowe ozdoby, Kate wiedziała, że minął kolejny rok.

W latach dziewięćdziesiątych takim wyznacznikiem stały się włosy Tully. Co rano, gdy Kate karmiła i kąpała Marah, oglądała poranny program w telewizji. Fryzura Tully zmieniała się dokładnie co pół roku. Najpierw to była bardzo krótka grzywka

w stylu Jane Pauley, potem rozwichrzone loki Meg Ryan, następnie bardzo krótkie włosy z dłuższą grzywką, w których wyglądała niewiarygodnie młodo, a ostatnio fryzura à la Rachel z *Przyjaciół*.

Za każdym razem, gdy Kate widziała nową fryzurę, krzywiła się, uświadamiając sobie, że czas mija tak szybko. Lata nie upływały, one pędziły na łeb na szyję. Już był ostatni dzień sierpnia 1997 roku. Za niewiele ponad tydzień jej dziecko pójdzie do drugiej klasy.

Aż było jej wstyd przyznać, że nie może się doczekać tego dnia.

Przez ostatnie siedem lat była najlepszą matką, jaką potrafiła być. Pilnie odnotowywała każdy milowy krok w rozwoju Marah w albumie, robiąc tyle zdjęć, jakby z naukową precyzją dokumentowała nową formę życia. Nawet więcej, tak się cieszyła z córeczki, że czasami czuła się wręcz zagubiona w morzu otaczającej je miłości. Razem z Johnnym latami starali się o kolejne dziecko, ale nie mieli tyle szczęścia. Kate trudno się było z tym pogodzić, z czasem zaakceptowała jednak fakt, że tworzą niewielką rodzinę, i skupiła się na sprawianiu, by każda chwila była idealna. Wreszcie znalazła swoją pasję: macierzyństwo.

Ale gdy mijały lata, zaczęła odczuwać drobne ukłucia niezadowolenia. Na początku tłumiła je w sobie – ostatecznie na co miałaby narzekać? Uwielbiała swoje życie. Rzadkie wolne godziny spędzała na wolontariacie w szkole i w Helper House, lokalnym centrum pomocy dla kobiet w potrzebie. Wzięła nawet udział w kilku zajęciach artystycznych. To nie wystarczało, nie wypełniło niewidzialnej pustki, ale sprawiało,

że czuła się przydatna i użyteczna. I choć ci, którzy ją kochali – Johnny, Tully i mama – raz po raz powtarzali, że powinna poszukać czegoś więcej, ignorowała ich uwagi. O wiele łatwiej było skupić się na teraźniejszości, na córce. Później będzie miała mnóstwo czasu, żeby poszukać czegoś dla siebie.

Stała przy oknie w salonie, ubrana we flanelową piżamę, i wyglądała na pogrążony w ciemności ogród. Nawet po ciemku dostrzegała zabawki porozrzucane na tarasie i podwórku. Barbie. Pluszaki Beanie. Trójkołowy rower leżący na boku. Różową plastikową corvettę, którą przypływ unosił tam i z powrotem.

Potrząsnęła głową, odwróciła się od okna i podeszła do telewizora, by go włączyć. Gdy tylko Marah się obudzi, Kate każe jej wyjść na zewnątrz i posprzątać zabawki. Może się spodziewać ataku wściekłości.

Telewizor włączył się z trzaskiem. Pod poważną twarzą Bernarda Shawa przesuwał się pasek z najnowszą wiadomością. W tle puszczano serię zdjęć księżnej Diany, jedno za drugim.

– Informacja dla tych, którzy dopiero włączyli telewizor – powiedział Bernard. – Według wiadomości z Francji księżna Diana nie żyje…

Kate wpatrywała się w ekran, nie bardzo rozumiejąc. Księżna Diana. Ich księżna? Nie żyje?

Zadzwonił telefon. Nie odrywając wzroku od telewizora, Kate odebrała.

– Tak?

– Oglądasz wiadomości?

– To prawda?

– Jestem w Londynie, robię o tym materiał.

– O mój Boże. – Kate wpatrywała się w obrazy na ekranie – młoda, nieśmiała Diana w prostej spódnicy i kurtce bomberce,

z opuszczonym wzrokiem; szczęśliwa Diana w ciąży, z wyrazem nadziei na twarzy; elegancka Diana w pięknej sukni odsłaniającej ramiona, gdy tańczyła z Johnem Travoltą w Białym Domu; roześmiana Diana na wycieczce do Disneylandu ze swoimi synkami; wreszcie Diana sama, w szpitalu, daleko od domu, z wychudzonym czarnoskórym niemowlęciem. W tych kilku obrazach zawarto całe życie kobiety.

– To się może tak szybko skończyć – powiedziała Kate, bardziej do siebie niż do Tully. Nie zorientowała się, że Tully cały czas mówiła, a ona jej przerwała.

– Ona też próbowała odnaleźć swoje miejsce w życiu.

Może zbyt długo czekała, by spróbować. Kate to rozumiała, wiedziała, jak przerażające może być obserwowanie, jak dzieci dorastają, a mąż wychodzi do pracy, i zastanawianie się, co zrobić z tym okruchem życia, który należy do nas.

Znajome zdjęcie wypełniło ekran: Diana, sama na jakiejś imprezie, machająca do tłumu, a potem brama jednego z pałaców, gdzie składano już kwiaty na znak żałoby. Życie może się zmienić tak błyskawicznie. Zupełnie o tym zapomniała.

– Kate? Wszystko okej?

– Chyba zapiszę się na zajęcia z pisania na Uniwersytecie Waszyngtońskim – powiedziała powoli. Jakby wyciągała z siebie te słowa.

– Naprawdę? To cudownie. Zawsze cholernie dobrze pisałaś.

Kate nie odpowiedziała. Opadła na sofę i patrzyła w telewizor. Zaskoczyło ją to, że zaczęła płakać.

Kate niemal natychmiast pożałowała decyzji, którą podjęła. Cóż, może nie do końca. Tak naprawdę to żałowała tego, że powiedziała Tully, która powiedziała mamie, która powiedziała Johnny'emu.

– A wiesz, że to świetny pomysł? – zagadnął Johnny kilka wieczorów później, gdy leżeli w łóżku i oglądali telewizję. – Będę ci pomagał, w czymkolwiek trzeba.

Kate miała ochotę podać mu całą listę powodów, dla których byłoby to dla niej zbyt obciążające. On i Tully sprawiali wrażenie, że dla nich wszystko jest takie łatwe jak zamówienie dania w restauracji. Kate wiedziała, że bardzo się mylą, znała to uczucie, gdy człowiek odkrywa, że nie jest wystarczająco dobry. Jednak ostatecznie nie mogła już dłużej okłamywać samej siebie i znajdować wymówek. Gdy Marah wychodziła do szkoły, energicznie machając na pożegnanie, Kate zostawała z wolnymi godzinami w ciągu dnia. Obowiązki wypełniały tylko część tego czasu.

Tak więc pewnego ranka w połowie upalnego września podrzuciła Marah do szkoły, wjechała na prom i włączyła się do ruchu w centrum Seattle. O dziesiątej trzydzieści zaparkowała na parkingu dla gości Uniwersytetu Waszyngtońskiego, podeszła do budynku rejestracji i zapisała się na zajęcia z kreatywnego pisania.

Przez tydzień dzielący ją od rozpoczęcia zajęć była emocjonalnym wrakiem.

– Nie dam rady – jęczała do męża, czując, jak przewraca się jej w żołądku w dniu pierwszych zajęć.

– Dasz radę. Zabiorę Marah do szkoły, żebyś się nie denerwowała, że nie złapiesz promu.

– Ale i tak się denerwuję.

Pochylił się, pocałował ją, a potem się wyprostował i uśmiechnął.

– Zbieraj dupsko z łóżka.

Potem robiła wszystko jak na autopilocie – wzięła prysznic, ubrała się, spakowała plecak. Przez całą drogę na uniwersytet myślała: *Co ja wyprawiam? Mam trzydzieści siedem lat. Nie mogę wrócić do college'u.*

I już siedziała w sali. Jako jedyna osoba po trzydziestce, nawet uwzględniając wykładowcę. Nie była pewna, kiedy się odprężyła, ale stopniowo napięcie ustępowało. Im więcej prowadzący mówił o pisaniu, o darze opowiadania, tym bardziej Kate czuła się na miejscu.

Zza swojego biurka w kąciku wiadomości Tully skończyła nadawaną na żywo wymianę żarcików z gospodarzami programu, a potem skupiła wzrok na teleprompterze i gładko odczytała wiadomości.

– Tom Koby, szef policji w Denver, przyznał dziś, że popełniono błędy na wczesnym etapie śledztwa w sprawie śmierci małej miss piękności JonBenét Ramsey. Źródła bliskie sprawy twierdzą, że…

Gdy skończyła, posłała do kamery swój charakterystyczny uśmiech i przekazała głos Byrantowi i Katie. Gdy zbierała swój scenariusz i notatki, podszedł asystent producenta i szepnął jej do ucha:

– Dzwoni twój agent, Tully. Mówi, że to pilne.

– Dzięki.

Po drodze ze studia do swojego biura zamieniła po parę słów z innymi członkami obsady programu i ekipy. Zamknęła za sobą drzwi, podniosła słuchawkę i wcisnęła guzik linii numer jeden.

– Tu Tully. Cześć, George.

– Przed budynkiem czeka na ciebie samochód. Spotkamy się w Plaza za piętnaście minut.

– Co się dzieje?

– Popraw makijaż i pośpiesz się.

Rozłączyła się, powiedziała wszystkim, którzy powinni o tym wiedzieć, że wychodzi na spotkanie, i wyszła z budynku.

Pod hotelem natychmiast pojawił się portier w liberii, by otworzyć jej drzwi ze słowami:

– Witamy w hotelu Plaza, pani Hart.

– Dziękuję. – Wręczyła mu dziesięć dolarów napiwku i weszła do kremowo-złotego lobby wyłożonego marmurem.

Jej agent, George Davison, czekał na nią. Wyglądał bardzo elegancko w szarym garniturze od Armaniego.

– Jesteś gotowa spełnić swoje marzenia?

– Wreszcie się udało? Tak?

Poprowadził ją korytarzem pełnym szklanych gablot z drogimi przedmiotami, oferowanymi przez sklepy z pamiątkami i jubilerów, do przestronnej restauracji z bardzo wysokim sufitem. Tully natychmiast się zorientowała, z kim się spotykają. W rogu sali, ukryty za eleganckim bufetem siedział prezes CBS. Wstał, gdy podeszła.

– Dzień dobry, Tallulah. Dziękuję, że przyszłaś.

Nogi się pod nią uginały, ale dzielnie się uśmiechnęła.

– Dzień dobry.

Usiadła naprzeciwko niego i spojrzała na George'a, który zajął miejsce między nimi.

– Nie będę owijać w bawełnę. Jak wiesz, *Today Show* bije w rankingach nasz program na głowę.

– Owszem.

– W CBS uważamy, że to między innymi ty przyczyniasz się do tego sukcesu. Zwróciliśmy uwagę zwłaszcza na twój talent do wywiadów. Amy Fisher i Joey Buttafuoco, ocaleni po

zamachu w Oklahoma City. Obrońcy O.J. Simpsona czy Lyle Menendez. Byłaś świetna.

– Dziękuję.

– Chcielibyśmy zaproponować ci współprowadzenie naszego programu, począwszy od pierwszego wydania w 1998. Przeprowadzone przez nas badania rynku wskazują, że widzowie do ciebie lgną. Lubią cię i ufają ci. A dokładnie tego potrzebujemy, żeby poprawić nasze sondaże. Co ty na to?

Tully czuła, jakby się uniosła razem z krzesłem. Nic nie mogło powstrzymać jej radości ani szerokiego uśmiechu.

– Jestem zachwycona. I zaszczycona.

– Jaka gaża? – zapytał George.

– Milion dolarów rocznie, kontrakt na pięć lat.

– Dwa miliony – powiedział George.

– Załatwione. Co powiesz, Tully?

Tully nawet nie spojrzała na swojego agenta. Nie musiała; oboje marzyli o takiej ofercie od lat.

– A ja powiem… do diabła, tak. Mogę zacząć już jutro?

Pisząc, Kate jakby odzyskała głos. Wstawała codziennie o szóstej i szła do gabinetu, który urządziła sobie w pokoju gościnnym. Tam pilnie pracowała, tworząc i przekształcając zdania, wygładzając akapity, aż oddawały to, co chciała przekazać. W którymś momencie przychodził Johnny, by pocałować ją na do widzenia, a potem była sama, aż budziła się Marah i zaczynało się prawdziwe życie.

Kate była taka pewna siebie, gdy przebywała w swoim zaimprowizowanym gabinecie, trzymając palce na klawiaturze komputera. Gdyby tylko potrafiła czuć się równie pewnie w tej chwili…

Stała w sali, mając za sobą czarną tablicę. W ławkach przed nią kilkunastu znudzonych młodych ludzi osuwało się na krzesłach; kilku wyglądało tak, jakby naprawdę spało. Profesor obok niej – młody mężczyzna z długimi, zmierzwionymi włosami, w air jordanach i bojówkach moro – czekał cierpliwie. Kate głęboko zaczerpnęła powietrza i zaczęła czytać:

– Dziewczynka w małym pokoju w starym domu znów była sama. A przynajmniej tak myślała. W miejscu, w którym nie paliło się światło, a okna były oklejone czarnym papierem, trudno było stwierdzić, co jest prawdą. Czy powinna zaryzykować i spróbować uciec? To było istotne pytanie. Ostatnim razem, gdy próbowała uciec, przeliczyła się i sporo ją to kosztowało. Mimowolnie pomasowała wciąż bolącą szczękę…

Zatraciła się w słowach, które napisała, w opowiadaniu, które było tylko jej. Zbyt szybko się skończyło. Kate przeczytała ostatnie zdanie i podniosła wzrok, spodziewając się dostrzec szacunek we wpatrzonych w nią twarzach.

Nic z tego.

– Cóż – powiedział profesor, występując do przodu. – To było bardzo ciekawe. Najwyraźniej mamy wśród nas początkującą pisarkę. Ktoś zechce skomentować?

Przez dwadzieścia minut rozkładali opowiadanie Kate na czynniki pierwsze, szukając wad. Słuchała uważnie, starając się nie obrażać na krytykę. Kogo obchodziło, że spędziła niemal cztery tygodnie, pisząc te sześć stron? Liczyło się to, że mogła się poprawić. Mogła zagęścić historię, lepiej zapanować nad perspektywą i być ostrożniejsza z dialogami. Pod koniec zajęć zamiast czuć się zraniona czy odrzucona, czuła się wzmocniona, jakby ukazała się przed nią niewidoczna dotąd ścieżka. Nie mogła się doczekać, kiedy wróci do domu i napisze to opowiadanie jeszcze raz.

Gdy pakowała się przed wyjściem, profesor podszedł do niej i pochwalił:

– To naprawdę obiecujące, Kate.

– Dziękuję.

Rozpromieniona wyszła z sali. Przez całą drogę przez kampus i parking dla studentów wyobrażała sobie nowe kierunki dla swojej opowieści, sposoby, jak ją ulepszyć. Była tak pochłonięta wyobrażonym światem, że przegapiła swój samochód i musiała zawrócić.

Tuż po pierwszej dwadzieścia zaparkowała pod betonowym wiaduktem i przeszła przez ulicę do restauracji Ivar's. Jej mama siedziała już przy stoliku w rogu. Za przeszkloną ścianą migotała w promieniach słońca zatoka Elliott. Mewy krążyły, opadały i nurkowały, łapiąc frytki, które rzucali turyści na przystani.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała Kate, siadając naprzeciwko mamy. Odpięła torebkę nerkę i położyła ją sobie na kolanach. – Nienawidzę jeździć po centrum.

– Zamówiłam nam krewetki. Wiem, że musisz zdążyć na prom o drugiej dziesięć. – Mama nachyliła się, opierając łokcie na stole. – No i? Czy profesor uznał, że piszesz lepiej niż John Grisham?

Kate nie mogła się nie roześmiać.

– Może nie użył dokładnie takich słów, ale przyznał, że mam talent.

– Och. – Mama odchyliła się wyraźnie rozczarowana. – Ja uważam, że twoje opowiadanie jest genialne. Nawet tata jest tego zdania.

– Tata też myśli, że jestem lepsza niż John Grisham? I to od pierwszego opowiadania? No to chyba jestem geniuszem.

– Uważasz, że moja ocena jest przesadzona?

– Tak trochę. Ale kocham cię za to.

– Jestem z ciebie dumna, Katie – powiedziała mama z czułością. – Zawsze chciałam znaleźć coś takiego dla siebie. Ale zamiast tego dziergałam narzuty.

– Wychowałaś dwoje wspaniałych dzieci – cóż, jedno wspaniałe i drugie całkiem niezłe – zażartowała Kate. – Utrzymałaś małżeństwo i wszystkich nas uszczęśliwiałaś. Powinnaś być z tego dumna.

– Jestem, tylko że…

Kate położyła dłoń na ręce mamy. Obie to rozumiały; rozumiały to wszystkie zajmujące się domem matki na świecie. Każda kobieta ostatecznie płaci za wybór, którego dokonała.

– Jesteś moją bohaterką, mamo – powiedziała po prostu Kate.

Gdy mama na nią spojrzała, w jej oczach zalśniły łzy. Zanim zdołała odpowiedzieć, kelnerka przyniosła ich sałatki i lemoniadę.

Kate podniosła widelec i zaczęła jeść. Nagłe mdłości zupełnie ją zaskoczyły.

– Przepraszam – wymamrotała, upuściła widelec i pobiegła do toalety z dłonią przytkniętą do ust. Tam w koszmarnie ciasnej kabinie zwymiotowała. Gdy już nic nie zostało jej w żołądku, podeszła do umywalki, obmyła dłonie i twarz i wypłukała usta. Jej ciało było drżące i słabe, a twarz w lustrze blada i ściągnięta. Zauważyła też cienie pod oczami. *Może bierze mnie grypa żołądkowa* – pomyślała. W zeszłym tygodniu chorowały prawie wszystkie znajome dzieci. Wciąż nieco rozdygotana wróciła do stolika, gdzie napotkała uważne spojrzenie matki.

– Nic mi nie jest – oznajmiła, zajmując swoje miejsce. – Zabrałam w ten weekend Marah na wspólną zabawę ze znajomymi dziećmi. Prawie wszystkie się pochorowały. – Czekała na reakcję mamy. Gdy cisza trwała i trwała, Kate uniosła wzrok. – No co?

– Majonez – stwierdziła mama. – Jak byłaś w ciąży z Marah, też cię od niego mdliło.

Kate miała wrażenie, jakby jej krzesło wyparowało – puf! Nagle zniknęło, a ona zaczęła spadać. Kilka drobiazgów ułożyło się w całość: tkliwe piersi, choć nie miała okresu, problemy ze snem, zmęczenie. Zamknęła oczy i z westchnieniem potrząsnęła głową. Pragnęła kolejnego dziecka – oboje z Johnnym go pragnęli – ale to było tak dawno, że zdążyli się już poddać. A teraz tak dobrze jej szło z pisaniem. Nie chciała powrotu do nieprzespanych nocy, niemowlęcego krzyku i dni, po których była tak zmęczona, że nie potrafiła odpowiedzieć na najprostsze pytanie przy kolacji, a co dopiero napisać opowiadanie.

– Po prostu zaczniesz publikować trochę później – powiedziała mama. – Dasz radę i z tym, i z tym.

– Chcieliśmy drugiego dziecka – wyznała Kate, próbując się uśmiechnąć. – I cały czas będę pisać. Zobaczysz. – Niemal przekonała samą siebie. – Dam radę z dwójką dzieci.

W czwartek dwa dni później dowiedziała się, że spodziewa się bliźniąt.

CZĘŚĆ IV

Nowe tysiąclecie

A Moment Like This

some people wait a lifetime

23

Do roku 2000 Kate zbyt rzadko przystawała w chaotycznym pośpiechu codzienności, by zauważyć, jak szybko upływa czas. Zaduma i refleksja, podobnie jak relaks, to były koncepcje z innej epoki, z innego życia. Z drogi, której nie wybrała, jak mawiają. Matka trójki dzieci – dziesięcioletniej dziewczynki, która zbliżała się do wieku dojrzewania, i prawie dwuletnich bliźniaków – po prostu nie miała czasu, by pomyśleć o sobie, a różnica wieku między dziećmi sprawiała, że miała jakby dwie rodziny. Teraz rozumiała, dlaczego kobiety mają dzieci jedno po drugim. Zaczynanie wszystkiego od początku podwajało poziom matczynego wyczerpania.

Całe dnie schodziły jej na drobiazgach i ten zaskakująco słoneczny poranek w połowie marca nie należał do wyjątków. Obowiązek za obowiązkiem, prawdziwa gonitwa, która zajmowała ją od wschodu słońca do późnego wieczoru. Paskudne było to, że nie robiła niczego istotnego, a prawie nigdy nie miała dla siebie nawet godziny. Życie matki prowadzącej dom to wyścig bez mety. O tym właśnie rozmawiali, gdy stali w korku przed szkołą, czekając na córkę. O tym i o rozwodzie. W ostatnich miesiącach podwaliny ich tak z pozoru solidnego małżeństwa zaczęły się kruszyć.

Tyle że ten dzień nie był kolejnym ogniwem niekończącego się łańcuszka. Dziś Tully przyjeżdżała do Seattle na promocyjne tournée. Zobaczą się po raz pierwszy od wielu miesięcy i Kate

nie mogła się doczekać. Potrzebowała czasu spędzonego z przyjaciółką.

Odhaczyła wszystkie obowiązki – odwiozła Marah do szkoły, spędziła aż za dużo czasu na zakupach w Safewayu, kupiła parę kosmetyków w drogerii Rite Aid, zdążyła na czytanie dzieciom w bibliotece, odebrała z pralni ubrania Johnny'ego, położyła chłopców na drzemkę i posprzątała dom. O drugiej trzydzieści, gdy wyjeżdżała z korka pod szkołą – znowu – była wykończona.

– Ciocia Tully dzisiaj do nas przyjeżdża, tak, mamo? – zapytała Marah z tylnego siedzenia. Była tak drobna, gdy siedziała wciśnięta między wielkie niczym ciężarówki foteliki samochodowe chłopców.

– Zgadza się.

– Umalujesz się?

Kate nie mogła się nie uśmiechnąć. Nie wiedziała, jak to się stało, ale wychowała małą królową piękności. W wieku dziesięciu lat Marah miała więcej wyczucia stylu i wrażliwości na modę niż Kate osiągnęła kiedykolwiek. Ze zdumieniem obserwowała, jak jej wysoka i szczupła dziesięciolatka pochłania magazyny o modzie dla nastolatek i zapamiętuje nazwiska projektantów. Kupowanie ubrań do szkoły to był koszmar. Jeśli Marah nie znalazła dokładnie tego, czego chciała, wpadała w szał. Kate raczej nie miała wątpliwości co do tego, że córka ocenia jej wygląd. I dostrzega niedostatki.

– Z całą pewnością się umaluję. Może nawet zakręcę włosy, co ty na to?

– A czy ja mogę użyć błyszczyka? Tylko ten jeden raz? Wszystkie dziewczyny…

– Nie. Już o tym rozmawiałyśmy, Marah. Jesteś za mała.

Marah skrzyżowała ręce.

– Nie jestem maluchem.

– Ale nastolatką też nie. Wierz mi, masz na to jeszcze mnóstwo czasu.

Wjechała do garażu i zaparkowała. Marah wysiadła z samochodu i weszła do domu, zanim Kate zdążyła ją poprosić o pomoc przy wniesieniu zakupów.

– Dzięki za pomoc – mruknęła, odpinając chłopców z fotelików. Lucas i William, jak to dwulatki, byli bardzo energiczni. Osobno, bo we dwóch tworzyli tornado.

Przez następne godziny Kate spełniała popołudniowe obowiązki; poza tymi standardowymi porozstawiała wazony z kwiatami po całym domu, rozmieściła też i zapaliła świeczki zapachowe na meblach na tyle wysokich, by chłopcy ich nie dosięgli, i starannie wysprzątała pokój gościnny na wypadek, gdyby Tully mogła zostać. A potem, wstawiwszy kolację do piekarnika, poszła z kręcącymi się wokół niej chłopcami na górę, by się przyszykować. Gdy mijała pokój Marah, usłyszała charakterystyczne dreptanie, co oznaczało, że córka wyciąga z szafy jeden strój za drugim. Kate uśmiechnęła się i weszła do sypialni, wsadziła chłopców do kojca i ignorując ich wrzaski, wzięła prysznic. Gdy skończyła suszyć włosy (starając się nie dostrzegać wyraźnych ciemnych odrostów), otworzyła drzwi.

– Jak sobie radzicie, chłopcy?

Lucas i William siedzieli jeden przy drugim, wyciągnąwszy do przodu pulchne, nagie nóżki, i paplali coś do siebie po dziecięcemu.

– Doskonale – stwierdziła Kate i mijając kojec, pogładziła ich po główkach.

W garderobie westchnęła. Wszystkie jej ciuchy były albo niemodne, albo za małe. Wciąż miała parę pociążowych kilogramów do zrzucenia – bliźniaki zmieniły jej brzuch w kopułę stadionu Kingdome; niełatwo po czymś takim wrócić

do formy. Pomogłoby jej ćwiczenie i bardzo teraz żałowała, że tej zimy nie zmieściła treningów w swoim grafiku.

Ale było za późno.

Wybrała swoje ulubione, choć znoszone levisy i śliczny czarny sweterek z angory, który Johnny podarował jej na Boże Narodzenie parę lat temu, zaraz po tym, jak przyjął pracę w KLUE. To był jeden z niewielu dizajnerskich ciuchów, jakie miała.

– Chodźcie, chłopcy – powiedziała, wyjmując ich z wprawą z kojca. Każdego posadziła sobie na biodrze i zaniosła do ich pokoju. Zmieniła im pieluchy i ubrała ich w śliczne marynarskie ubranka, które Tully przysłała im na urodziny. Potem zniosła ich na dół, bo samodzielne zejście po schodach zajęłoby im wieczność, posadziła na podłodze salonu przed stosem zabawek i włączyła wideo z Kubusiem Puchatkiem. Przy pomyślnych wiatrach będzie miała dwadzieścia minut. Zamknęła bramkę na dole schodów i poszła do kuchni, by nakryć do stołu. Jak zawsze robiąc coś, jednym okiem patrzyła na chłopców.

– Mamo! – krzyknęła Marah. – Już są!

Zbiegła z tupotem po schodach, przeskoczyła bramkę i podbiegła do okna, by przycisnąć nosek do szyby. Kate dołączyła do córki, odsuwając zasłonę. Ciemność przecięły światła samochodu. Najpierw jechało auto Johnny'ego, a za nim długim podjazdem pod drzewami sunęła czarna limuzyna. Samochody zaparkowały przed garażem.

– Jeju! – powiedziała Marah.

Szofer w liberii wysiadł z limuzyny i obszedł auto, by otworzyć drzwi od strony pasażera. Tully wysiadła powoli, jakby wiedziała, że jest obserwowana. Ubrana w markowe dżinsy z niskim stanem i śnieżnobiałą prostą bluzkę pod granatowym żakietem wyglądała jak uosobienie swobodnej

elegancji. Jej włosy, podcięte i prawdopodobnie uczesane przez jednego z najlepszych fryzjerów na Manhattanie, miały cudowny kasztanowy odcień i lśniły w świetle padającym od garażu.

– Jeju – powtórzyła Marah.

Kate spróbowała wciągnąć brzuch.

– Z liposukcją już chyba nie zdążę.

Johnny wysiadł z samochodu i podszedł do Tully. Stali na tyle blisko siebie, że dotykali się ramionami. Śmiejąc się z czegoś, co powiedział szofer, Tully spojrzała na Johnny'ego i przyłożyła mu dłoń do piersi, by coś powiedzieć. Wyglądali razem idealnie, niczym modele prosto ze stron magazynu o modzie.

– Tatuś chyba lubi ciocię Tully – stwierdziła Marah.

– Z całą pewnością – mruknęła Kate, ale Marah już nie było.

Dziewczynka otworzyła drzwi i podbiegła do swojej matki chrzestnej, która od razu porwała ją w ramiona i zakręciła dokoła w powietrzu.

Tully weszła do domu tak, jak robiła wszystko: wnosząc ze sobą światło i dźwięki. Uściskała mocno Kate, ucałowała pucołowate policzki chłopców, rozdała więcej prezentów, niż było w całej rodzinie Ryanów na święta, i zażądała drinka.

Przez całą kolację zabawiała ich, opowiadała historie o pobycie w Paryżu w związku z nadejściem roku dwutysięcznego i związaną z nim paniką, o ostatniej ceremonii rozdania Oscarów, na której była, i o tym, jak przykleili jej taśmą sukienkę do biustu i jak się ta taśma odkleiła na imprezie, gdy wypijała drinka do dna.

– Wszyscy tak robili – powiedziała ze śmiechem. – I nie tylko to.

Marah spijała z ust Tully każde słowo.

– Czy to była sukienka od Armaniego? – zapytała.

Kate była kompletnie zdumiona, a Tully odpowiedziała:

– Tak, Marah. Widzę, że znasz się na projektantach mody. Jestem z ciebie dumna.

– Widziałam zdjęcia w czasopiśmie. Pisali, że byłaś jedną z najlepiej ubranych gwiazd.

– Trzeba się nad tym mocno napracować – odparła rozpromieniona Tully. – Cały sztab ludzi pracuje nad tym, żebym dobrze wyglądała.

– Jeju – powiedziała kolejny raz Marah. – Ale to jest super.

Gdy Tully skończyły się opowieści o modzie wśród celebrytów, przeszła na temat światowej polityki. Ona i Johnny omawiali szczegółowo skandal z Clintonem i Lewinsky i prasowe doniesienia na ten temat, a Marah co chwila wtrącała się z całą serią pytań o nastoletnich celebrytów, których Tully znała osobiście, a o których Kate nigdy nie słyszała. Szczerze mówiąc, dbanie o to, by chłopcy byli cicho, zajmowało całą jej uwagę i pozbawiało energii. Kate chciała coś powiedzieć, coś skomentować, ale chłopcy akurat w ten wieczór wymyślili sobie zabawę polegającą na rzucaniu w siebie jedzeniem, więc musiała nieustannie ich obserwować. Miała wrażenie, że kolacja trwała ułamek sekundy. Gdy skończyli, Marah, w ewidentnej próbie zaimponowania Tully, zaczęła sprzątać ze stołu.

– Ja pozmywam – zaoferował się Johnny. – Może weźmiecie sobie z Tully koce i posiedzicie na zewnątrz?

– Jesteś kochany – powiedziała Tully. – Przyszykuję nam margarity, Katie, a ty połóż Hyzia i Dyzia do łóżka i spotkamy się na zewnątrz za piętnaście minut.

Kate pokiwała głową i zaniosła chłopców na górę. Zanim skończyła ich kąpać, przebierać i czytać im książeczkę, była prawie ósma.

Znużona, zeszła na dół, gdzie zobaczyła Marah siedzącą na kolanach u Tully.

Johnny wyszedł do niej pod schody.

– Margarita jest gotowa w mikserze. Położę Marah spać.

– Kocham cię.

Klepnął ją lekko w pośladek, a potem zwrócił się do córki:

– Wiem, wiem, ale chodź, króliczku. Pora spać.

– Oj tato, muszę? Opowiadam właśnie cioci Tully o pani Hermann.

– Raz-dwa po schodach i wskakuj w piżamę. Przyjdę za minutę, żeby ci poczytać.

Marah mocno uściskała Tully, pocałowała ją w policzek i podreptała w kierunku schodów i rodziców. Mimochodem pocałowała Kate na dobranoc i poszła na górę.

Tully wstała i stanęła obok Johnny'ego.

– Okej, byłam bardzo cierpliwa, co, jak wiecie, nie jest moją mocną stroną, ale dzieci już nie ma, więc mówcie otwarcie.

Kate zmarszczyła brwi.

– O czym?

– Wyglądasz okropnie – powiedziała Tully łagodnym tonem. – Co się dzieje?

– To tylko hormony. Albo brak snu. Chłopcy mnie wykańczają. – Kate sama się roześmiała z ciągu tak typowych wymówek. – Nic mi nie jest.

– Ona chyba nie rozumie, co jest nie tak – powiedział Johnny do Tully, jakby Kate tam w ogóle nie było.

– Jak ci idzie pisanie? – zapytała Tully.

Kate się skrzywiła.

– Świetnie.

– Ona wcale nie pisze – oznajmił Johnny, a Kate miała ochotę za to go udusić.

Tully nie mogła uwierzyć.

– Wcale?

– Mnie w każdym razie nic o tym nie wiadomo – odparł Johnny.

– Przestańcie mówić o mnie, jakby mnie tutaj nie było – zażądała Kate. – Mam na głowie dziesięcioletnią królową dramatu, która uprawia każdy możliwy sport, bierze lekcje tańca trzy razy w tygodniu i ma kalendarz wypełniony większą liczbą spotkań towarzyskich niż bohaterki *Seksu w wielkim mieście*. Byłabym zapomniała o dwóch chłopcach, którzy rzadko kiedy śpią w tym samym czasie i psują każdą rzecz, której się dotkną. Jak mam, do diabła, zajmować się tym wszystkim, robić obiad, pranie, sprzątać i jednocześnie pisać książkę? – Spojrzała na nich. – Wiem, co myślicie. Co myśli chyba każdy. Powinnam znaleźć czas, by poszukać samej siebie. Powinnam potrzebować czegoś więcej niż macierzyństwo. I potrzebuję, do cholery, tylko nie wiem, jak miałabym to wszystko robić, a jednocześnie zdążać na czas pod szkołę.

W ciszy, która zapadła po jej wybuchu, drewno w kominku poruszyło się z głośnym trzaskiem. Tully popatrzyła na Johnny'ego.

– Ty dupku.

– Co?

Wyglądał na tak zaskoczonego, że Kate omal się nie roześmiała.

– Ona sprząta dom i pierze twoje rzeczy? Na litość boską, nie możesz do tego kogoś zatrudnić?

– Nigdy nie mówiła, że potrzebuje pomocy.

Kate aż do tej chwili nie uświadamiała sobie tak do końca, jak bardzo czuje się przytłoczona. Ogarnęła ją przemożna ulga, rozluźniły się mięśnie pleców.

– Potrzebuję – przyznała wreszcie mężowi.

Johnny przyciągnął ją do siebie, pocałował i wyszeptał:

– Wystarczyłoby, żebyś mi powiedziała.

Oddała pocałunek i przytuliła się do niego.

– Dość tego migdalenia się – oznajmiła Tully, łapiąc Kate za ramię. – Teraz potrzebujemy margarity. Johnny, przynieś nam drinki na taras.

Kate pozwoliła wyprowadzić się na zewnątrz. Dopiero tam uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– Dzięki, Tul. Nie wiem, dlaczego po prostu nie poprosiłam o pomoc.

– Żartujesz? Uwielbiam strofować Johnny'ego. – Tully usiadła na drewnianym fotelu Adirondack. Przed nimi, tuż za zagraconym ogrodem, rozciągała się srebrna wstążka fal. Cichy, szumiący dźwięk unoszącej się i opadającej wody wypełniał noc. Kate usiadła na fotelu obok Tully.

Pojawił się Johnny, wręczył każdej z nich drinka i zniknął.

Po dłuższej chwili milczenia Tully powiedziała:

– Mówię to, bo cię kocham, Katie: nie musisz być na każdej wyciecze i na każdym konkursie wypieków. Musisz znaleźć czas dla siebie.

– Powiedz mi lepiej coś, czego nie wiem.

– Czytam czasopisma i oglądam telewizję. Wśród matek zajmujących się domem jest o czterdzieści procent wyższe…

– Nie. Mówię poważnie. Powiedz mi coś, czego nie wiem. Coś zabawnego.

– Opowiadałam ci o Paryżu w sylwestra? I nie chodzi mi o fajerwerki. Był tam taki jeden Brazylijczyk…

Pierwszego lipca 2000 roku budzik zadzwonił jak każdego innego dnia tygodnia, czyli o trzeciej trzydzieści. Tully jęknęła, wcisnęła przycisk drzemki, pragnąc choć ten jeden raz pospać dziesięć minut dłużej, i przytuliła się do Granta. Uwielbiała

budzić się blisko niego, choć rzadko w jego ramionach. Za bardzo byli samotnikami, by dobrze się do siebie dopasować, nawet we śnie. Przez lata swojej luźnej relacji byli już razem na całym świecie, uczestniczyli w dziesiątkach eleganckich przyjęć i szykownych imprez charytatywnych. Prasa nazwała go „byłą miłością" Tully, a ona uznała, że to równie dobry pseudonim jak każdy inny. Ale ostatnio zaczęła zmieniać zdanie.

Obudził się powoli, pogłaskał ją po ramieniu.

– Dzień dobry, moja ukochana – powiedział mocno ochrypłym głosem, co oznaczało, że zeszłego wieczoru palił cygara.

– Na pewno? – zapytała cicho, podpierając się na łokciu.

– Na pewno co?

Powstrzymał się od przewrócenia oczami, ale i tak to dostrzegła.

– Znowu to samo? Masz trzydzieści dziewięć lat. Wiem. Ale to nie zmienia tego, kim jesteśmy, Tully. Nie niszczmy czegoś dobrego, okej?

Zachowywał się tak, jakby mu się oświadczyła albo była w ciąży, a przecież nic takiego nie nastąpiło. Tully wstała z łóżka i przeszła przez swój przestronny apartament do łazienki. Tam włączyła światło.

– O Boże.

Wyglądała, jakby spała w śmietniku. Włosy, obcięte obecnie na krótko i rozjaśnione blond pasemkami, sterczały dokoła twarzy co najmniej jak u Anette Bening albo Sharon Stone, a cienie pod oczami to były prawdziwe worki.

Koniec z męczącymi lotami z Zachodniego Wybrzeża. Do cholery, była za stara, żeby imprezować cały weekend w Los Angeles, a w poniedziałek rano iść do pracy. Miała nadzieję, że nikt nie zrobił jej zdjęcia, gdy wracała wczoraj wieczorem. Od czasu tragicznej śmierci Johna Kennedy'ego Juniora wszędzie

aż się roiło od paparazzich. Wiadomości o znanych osobach – czy celebrytach – to był teraz wielki biznes.

Wzięła długi, gorący prysznic, umyła i wysuszyła włosy i ubrała się w dizajnerski dres. Gdy wyszła z zaparowanej łazienki, Grant czekał już przy drzwiach. W garniturze z poprzedniego wieczoru i z włosami rozczochranymi w wystudiowany sposób wyglądał niesamowicie przystojnie.

– Zróbmy sobie wagary – zaproponowała, obejmując go w pasie.

– Przykro mi, kochanie. Mam samolot do Londynu za parę godzin. Muszę się z kimś spotkać.

Pokiwała głową. Nie była zaskoczona. Zawsze miał jakiś powód, by wyjechać. Zamknęła drzwi i poszli do windy. Przy ich podobnych czarnych limuzynach zaparkowanych jedna przed drugą przy Central Park West pocałowała go na do widzenia i popatrzyła, jak odjeżdża. Kiedyś uwielbiała to, jak pojawiał się i znikał z jej życia, zawsze przybywając niespodziewanie i odchodząc, zanim zdążyła się znudzić albo zakochać. Lecz przez ostatnie miesiące czuła się przy nim równie samotna jak bez niego.

Jej szofer podał jej podwójną latte.

– Dzień dobry, pani Hart.

Z wdzięcznością przyjęła kawę.

– Dzięki, Hans – powiedziała, wsiadając do samochodu.

Moszcząc się na kanapie, starała się nie myśleć o Grancie i o swoim życiu. Wyglądała przez przyciemnianą szybę na pogrążone w mroku ulice Manhattanu. O tej porze dnia miasto było najspokojniejsze. Na ulicach byli tylko najtwardsi – śmieciarze, piekarze, dostarczyciele gazet.

Żyła w ten sposób już zbyt długo. Niemal od pierwszego dnia w Nowym Jorku wstawała do pracy o trzeciej trzydzieści. Sukces sprawił, że jej dni były dłuższe. Odkąd ściągnęła ją do

siebie telewizja CBS, oprócz prowadzenia programu rano miała też popołudniowe spotkania. Sława, rozpoznawalność i pieniądze powinny pozwolić jej zwolnić i cieszyć się karierą, ale stało się odwrotnie. Im więcej miała, tym więcej pragnęła, tym bardziej bała się to stracić i tym intensywniej pracowała. Brała każde zlecenie, które wpadło jej w ręce – podłożenie głosu do filmu dokumentalnego o raku piersi, gościnne współprowadzenie nowego teleturnieju, a nawet udział w jury podczas wyborów Miss Universe. Poza tym gościnne występy u Jaya Leno, Davida Lettermana, Rosie O'Donnell i tak dalej. Wszelakie świąteczne parady, które potrzebowały kogoś w roli wielkiego marszałka. Starała się, by nie dało się o niej zapomnieć.

Tuż po trzydziestce taki natłok zajęć nie przeszkadzał. Wtedy była w stanie pracować wiele godzin, przespać się po południu, imprezować całą noc i obudzić się rano w świetnej formie. Ale teraz zbliżała się do czterdziestki i zaczynała bywać zmęczona, czuła się za stara, by biegać od jednej pracy do drugiej, na dodatek w obcasach. Coraz częściej, gdy wracała do domu, zwijała się w kłębek na sofie i dzwoniła do Kate, do pani M. albo do Edny. Bycie zauważoną – i sfotografowaną – w nowym klubie It albo na czerwonym dywanie przy okazji jakiejś premiery straciło swój urok. Tęskniła raczej za przebywaniem z ludźmi, którzy naprawdę ją znali i których naprawdę obchodziła.

Edna nieustannie powtarzała, że to jest układ, na który się zdecydowała. Takie życie to cena sukcesu. Ale po co komu sukces, pytała Tully przy drinku, jeśli nie ma kogoś, z kim można się nim dzielić? Edna tylko kręciła głową i mówiła: „Dlatego nazywają to poświęceniem. Nie można mieć wszystkiego".

Ale jeśli tego się właśnie pragnęło: wszystkiego?

Pod budynkiem CBS poczekała, aż szofer otworzy jej drzwi samochodu, a potem wyszła we wciąż pogrążony w mroku letni poranek. Już czuła ciepło bijące od ulicy; to będzie bardzo upalny dzień. Skądś dobiegł hurgot śmieciarki. Pośpieszyła ku drzwiom i weszła do środka. Skinęła głową portierowi, gdy mijała go w drodze do windy. Na górze przy toaletce czekał już na nią jej zbawca. Tank, ubrany w zbyt obcisły czerwony T-shirt, który podkreślał wytrenowane mięśnie, i w wąskie, czarne skórzane spodnie, położył dłoń na biodrze i pokręcił głową.

– Ktoś tu dziś wygląda jak kupa.

– Zbyt surowo się oceniasz – odparła Tully, opadając na krzesło. Zatrudniła Tanka jakieś pięć lat temu, żeby ją czesał i malował. Prawie codziennie żałowała tej decyzji.

Ściągnął jej z głowy chustkę od Hermésa i zdjął ciemne okulary.

– Wiesz, że cię kocham, skarbie, ale nie możesz się tak przepracowywać. I znowu schudłaś.

– Zamknij się i działaj.

Jak zwykle zaczął od włosów. Lubił rozmawiać podczas pracy. Czasem zwierzali się sobie nawzajem; tak to wyglądało w branży, w której pracowali. Spędzany razem czas tworzył bliskość, która jednak nie przeradzała się w przyjaźń. To był bardzo nowojorski rodzaj relacji. Jednak dziś Tully prowadziła lekką i bezosobową rozmowę. Nie chciała pokazać, że czuje się nieszczęśliwa. Od razu zacząłby jej doradzać, jak powinna zmienić swoje życie.

O piątej wyglądała o dziesięć lat młodziej.

– Jesteś geniuszem – powiedziała, wstając z krzesła.

– Jeśli nie zmienisz trybu życia, panienko, to będziesz potrzebować chirurga, a nie geniusza od makijażu.

– Dzięki. – Posłała mu uśmiech jak do kamery i odeszła, zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze.

Na planie spojrzała w kamerę i znowu się uśmiechnęła. Tu, w tym sztucznym świecie, była ideałem. Mówiła z łatwością, śmiała się z żartów współprowadzących i gości i sprawiała, że każdy, kto ją widział, myślał, że mogłaby być jego przyjaciółką. Zdawała sobie sprawę, że nikt w całej Ameryce nie wie, jak ona się naprawdę czuje. Trudno było sobie wyobrazić, że Tallulah Hart mogłaby pragnąć czegoś więcej, niż ma.

Zakupy z bliźniakami i Marah zawsze wywoływały u Kate ból głowy. Zanim zaliczyła supermarket Safeway, bibliotekę, aptekę i sklep z tkaninami, padała z nóg, a nie było jeszcze nawet trzeciej. Przez całą drogę do domu chłopcy płakali, a Marah demonstrowała obrazę. Skończywszy dziesięć lat, uznała, że jest za duża, żeby siedzieć w samochodzie z tyłu z maluchami i teraz wpadała w złość podczas każdej przejażdżki. Najwyraźniej miała zamiar zamęczać o to matkę do skutku.

– Przestań się ze mną kłócić, Marah – powiedziała Kate co najmniej dwunasty raz, odkąd wyszli ze sklepu spożywczego.

– Ja się nie kłócę. Tylko wyjaśniam. Emily może jeździć z przodu i Rachel też. Jesteś jedyną mamą, która nie…

Kate wjechała do garażu i nacisnęła hamulec tak gwałtownie, że torby z zakupami poleciały do przodu. Warto było, bo Marah się wreszcie zamknęła.

– Pomóż mi wnieść zakupy.

Marah złapała jedną torbę i ruszyła do domu. Zanim Kate zdążyła zwrócić jej uwagę, Johnny wszedł do garażu i zgarnął większość rzeczy. Kate i chłopcy podreptali za nim do środka.

Jak zwykle telewizor był włączony – zbyt głośno, jak na gust Kate – i ustawiony na CNN.

– Położę chłopców na drzemkę – powiedział Johnny, gdy wszystkie torby znalazły się już na kuchennym blacie. – A potem podzielę się z tobą dobrą nowiną.

Kate posłała mu znużony uśmiech.

– Przydałoby się. Fajnie.

Trzydzieści minut później zszedł po schodach. Kate rozkładała na stole w jadalni materiał na ostatnie trzy kostiumy baletowe, które miała uszyć. Dziewięć było już gotowych.

– Jestem idiotką – odezwała się, bardziej do siebie niż do niego. – Następnym razem, gdy zapytają o ochotników, absolutnie nie podniosę ręki.

Podszedł do niej od tyłu, przyciągnął i obrócił ku sobie.

– Mówisz tak za każdym razem.

– Już wspomniałam, że jestem idiotką. To jaka jest ta dobra nowina? Zrobisz kolację?

– Tully dzwoniła.

– To ma być dobra nowina? Dzwoni co sobotę.

– Przyjedzie na występ baletowy Marah i chce urządzić swojej chrześnicy małe przyjęcie niespodziankę.

Kate wyswobodziła się z objęć męża.

– Nie uśmiechasz się – stwierdził, marszcząc brwi.

Kate była zaskoczona siłą gniewu, który poczuła.

– Taniec to jedyna rzecz, którą robimy z Marah razem. Chciałam urządzić przyjęcie tutaj.

– Och.

Widziała, że Johnny chce coś jeszcze powiedzieć, ale był zbyt mądry, by to zrobić. Wiedział, że nie powinien się wtrącać.

Wreszcie Kate westchnęła. Była samolubna i oboje zdawali sobie z tego sprawę. Marah uwielbiała swoją matkę chrzestną i będzie zachwycona przyjęciem niespodzianką.

– O której dotrze?

24

W dniu występu Marah była tak zdenerwowana i podekscytowana, że ledwo panowała nad emocjami. Jak zwykle stres zmienił ją w małą diwę z wielkimi atakami złości. Stała teraz przy stole w jadalni, z jedną ręką opartą na biodrze, ubrana w spłowiałe dżinsy z niskim stanem i różowy top z błyszczącym napisem *Baby One More Time*. Między bluzeczką a spodniami widać było parę centymetrów skóry.

– Gdzie schowałaś moje spinki z motylkami?

Pochylona nad maszyną do szycia Kate nawet nie podniosła wzroku.

– Są w twojej szufladzie w łazience. Tej u góry. I nie wyjdziesz w tej bluzce z domu.

Marah szeroko otworzyła usta.

– Ale to mój prezent urodzinowy.

– Cóż, ciocia Tully jest kretynką.

– Wszyscy się tak teraz ubierają.

– Szalenie mi przykro. Naprawdę. A teraz idź się przebrać. Nie mam czasu na kłótnie.

Marah westchnęła melodramatycznie i wbiegła na schody.

Kate potrząsnęła głową. Nie chodziło tylko o występ. Córka ostatnio dramatyzowała o wszystko. Albo radośnie chichotała, albo była wściekła. Gdy mama Kate widziała wnuczkę, śmiała się, zapalała papierosa i mówiła: „Och, z nastolatką to dopiero będzie zabawa. Zacznij pić, zanim będzie za późno”.

Kate pochyliła się niżej nad maszyną, oparła stopę na pedale i wróciła do pracy. Oderwała się od niej dopiero po dwóch godzinach. Gdy tylko skończyła szycie kostiumów na występ, rzuciła się w wir kolejnych zadań – poszukała wieszaków, załadowała samochód, pomogła chłopcom przestać się bić i umyć zęby. Na szczęście Johnny zajął się obiadem i zmywaniem.

O szóstej zapędziła wszystkich do auta, zapięła maluchy w fotelikach i sama wsiadła.

– Zapomniałam o czymś?

Johnny spojrzał na nią.

– Masz sos od spaghetti na czole.

Opuściła osłonę i obejrzała się w maleńkim prostokątnym lusterku. Rzeczywiście miała czerwoną plamę nad brwią.

– Nie wzięłam prysznica – stwierdziła z przerażeniem.

– Trochę mnie to zdziwiło – odpowiedział Johnny.

Odwróciła się ku niemu.

– Wiedziałeś?

– Jak powiedziałem ci, że jest już piąta, mało nie odgryzłaś mi głowy i kazałaś zrobić obiad.

Jęknęła. W tym całym zamieszaniu zapomniała przygotować się do wyjścia. Nadal miała na sobie swoje najstarsze dżinsy, luźną bluzę z uniwersytetu i znoszone adidasy.

– Wyglądam jak bezdomna.

– Ale taka, co była w college'u.

Nie zwracając na niego uwagi, Kate wybiegła z samochodu, słysząc za sobą krzyk Marah:

– Umaluj się, mamo!

Przeszukała szuflady, znalazła parę w miarę nowych czarnych, wąskich spodni z zapiętkiem i długi czarno-biały sweter w serek. Czy takie spodnie nadal są modne? Nie miała pojęcia. Wiążąc włosy w kucyk, użyła białej aksamitki, a potem

umyła zęby i nałożyła tusz i błyszczyk. Z zewnątrz dobiegł dźwięk klaksonu. Chwyciła parę czarnych, jedwabnych skarpetek do kostek i zamszowe baleriny i pobiegła z powrotem do auta.

– Spóźnimy się – marudziła Marah. – Wszyscy już pewnie są na miejscu.

– Zdążymy – odpowiedziała lekko zdyszana Kate.

Przejechali przez miasto i zaparkowali pod Island Auditorium. Wewnątrz panowało istne pandemonium: dwanaście dziewczynek w wieku od siedmiu do jedenastu lat, udręczeni rodzice, chmara hałaśliwego, znudzonego rodzeństwa i panna Parker, siedemdziesięcioletnia nauczycielka tańca, która zawsze wymagała nienagannego zachowania i jakoś potrafiła zapanować nad tą dziką bandą, nawet nie podnosząc głosu. Kate zaniosła kostiumy do przebieralni, tam pomogła dziewczynkom je włożyć, upiąć i polakierować włosy, a nawet nałożyć odrobinę tuszu i błyszczyku.

Gdy skończyła, przyklękła przed swoją córką.

– Gotowa?

– Wzięliście kamerę?

– Oczywiście, że tak.

Marah uśmiechnęła się szeroko, pokazując krzywe i za duże zęby.

– Cieszę się, że tu jesteś, mamusiu – powiedziała.

I nagle Kate poczuła, że było warto: szalony termin, szycie i prasowanie do późnej nocy, zmęczone, pokrwawione palce. Zrobiła to dla tego ułamka sekundy bycia razem.

– Ja też.

Marah ją uścisnęła.

– Kocham cię, mamusiu.

Kate przytuliła ją mocno, wdychając słodki, pudrowy zapach. Pomyślała o tym, że niedługo skończy się okres dzieciństwa, a rozpocznie okres dorastania, i przytrzymała córkę trochę za długo. Takie chwile już teraz były zbyt rzadkie.

Marah wycofała się, uśmiechnęła raz jeszcze i pobiegła za kulisy z koleżankami.

– Pa!

Kate powoli wstała i przeszła do audytorium. Johnny siedział w trzecim rzędzie, pośrodku, z synami po bokach. Rozejrzała się wokół, szukając Tully.

– Nie ma jej jeszcze?

– Nie. I nie dzwoniła. Może coś jej wypadło. – Johnny uśmiechnął się szeroko. – Na przykład randka z George'em Clooneyem.

Kate też się uśmiechnęła i usiadła obok Lucasa. Rodzice i dziadkowie małych baletnic zajmowali miejsca i natychmiast wyjmowali kamery.

Rodzice Kate dotarli w samą porę i usiedli obok niej. Jak zawsze mama miała zawieszony na nadgarstku swój stary czarny Kodak Instamatic.

– Myślałam, że będzie Tully – powiedziała.

– Miała być. Mam nadzieję, że nic się nie stało.

Kate trzymała miejsce dla przyjaciółki tak długo, jak mogła, ale potem zrezygnowała.

Światła zamigotały i publiczność ucichła. Panna Parker, ubrana w czarny obcisły trykot, sięgającą kolan czarną paczkę[7] i różowe rajstopy, wyszła na środek sceny. Uosobienie starej primabaleriny.

– Witam wszystkich – powiedziała swoim łagodnym, nieco płaczliwym głosem. – Jak wiecie, jestem…

Drzwi z tyłu audytorium otworzyły się z hukiem. Publiczność jak jeden mąż obróciła się w tamtą stronę. W drzwiach stanęła

Tully, która wyglądała tak, jakby właśnie wyszła z gali rozdania nagród Grammy. Krótkie, rozjaśnione włosy nadawały jej urodzie figlarny charakter i sprawiały, że uśmiech wyglądał na jeszcze szerszy. Miała na sobie cudowną ciemnozieloną, jedwabną suknię z jednym ramiączkiem, dopasowaną w szczupłej talii. Audytorium wypełniły szepty. „Tallulah Hart… Nawet ładniejsza niż w telewizji…". Nikt nie słuchał słów wstępu panny Parker.

– Jak ona to robi, że wciąż tak dobrze wygląda? – zapytała mama, pochylając się ku Kate.

– Chirurgia plastyczna plus pułk wizażystów.

Mama roześmiała się i uścisnęła dłoń Kate, jakby chciała jej przypomnieć, że jest równie ładna.

Machając do Mularkeyów, Tully podeszła do pustego rzędu na samym przodzie i usiadła.

Światła przygasły i Maggie Levine w stroju błękitnej wróżki tanecznym krokiem wyszła na scenę. Jej siostra Cleo i reszta dziewczynek dołączyły do niej, robiąc piruety i poskakując, w teorii jednocześnie. Młodsze dziewczynki pilnie obserwowały te bardziej doświadczone, wykonując każdy ruch o sekundę za późno. Ale ta niezdarność tylko podkreślała magię występu. Kate z trudem powstrzymywała łzy; Johnny sięgnął nad Lucasem i wziął ją za rękę akurat w momencie, gdy Marah wirowała na scenie. W połowie układu dziewczynka zobaczyła Tully i zatrzymała się pośrodku sceny, by energicznie do niej pomachać. Śmiech rozszedł się po sali, a Tully jej odmachała.

Gdy występ się skończył, rozległy się entuzjastyczne brawa. Dziewczynki wychodziły przed kurtynę kilka razy, a potem z chichotem rozbiegły się do swoich rodzin.

Marah ruszyła prosto do matki chrzestnej. Zeskoczyła ze sceny i wpadła Tully w ramiona. Zgromadził się wokół nich

tłum, ludzie chcieli się przedstawić i poprosić o autograf. Marah przez cały ten czas pękała z dumy.

Gdy się przerzedziło, Tully ruszyła ku Mularkeyom i uściskała ich po kolei. Objęła Kate jedną ręką, a drugą trzymała Marah.

– Mam niespodziankę dla mojej chrześnicy – powiedziała głośno.

Marah zaśmiała się i zaczęła podskakiwać.

– A jaką?

– Zobaczysz – odpowiedziała Tully, mrugając do Kate. Całą grupą ruszyli przejściem między siedzeniami i wyszli na zewnątrz.

A tam przy chodniku stała długa, różowa limuzyna.

Marah krzyknęła.

Kate odwróciła się do Tully.

– Żarty sobie robisz?

– Nie jest fajna? Wiesz, jak trudno było taką znaleźć? No dalej, wsiadajcie wszyscy. – Otworzyła drzwi i cała rodzina rozsiadła się na czarnych pluszowych siedzeniach. Sufit rozświetlały maleńkie czerwone i niebieskie światełka.

Marah przysunęła się do Tully i wzięła ją za rękę.

– To najlepsza niespodzianka w życiu – oznajmiła. – Dobrze tańczyłam?

– Idealnie – odpowiedziała Tully.

Przesiedzieli w limuzynie całą podróż promem. Marah ani na chwilę nie przestawała mówić do Tully.

W Seattle samochód ruszył i jeździli po mieście, jakby byli turystami na wakacjach, a potem wjechali na jasno oświetlony, zadaszony podjazd hotelu, gdzie czekał już na nich portier. Otworzył drzwi i ukłonił się.

– A która z pięknych pań jest Marah Rose?

Marah natychmiast zachichotała i uniosła dłoń.

– To ja.

Portier wysunął zza pleców różową różę i podał ją Marah.

Dziewczynka była zachwycona.

– Jejku.

– Podziękuj, Marah – powiedziała Kate tonem ostrzejszym, niż zamierzała.

Marah rzuciła jej pełne irytacji spojrzenie.

– Dziękuję.

Tully wprowadziła ich do hotelu. Na najwyższym piętrze otworzyła drzwi do gigantycznego apartamentu, w którym porozstawiano różnego rodzaju urządzenia do zabawy – nadmuchiwane domki do skakania, grę wideo z wirtualnym boksem i miniaturowe samochodziki z wesołego miasteczka. Wszystkie dziewczynki z występu były już tam wraz z rodzinami. Pośrodku pokoju stał stół przykryty białym, drapowanym obrusem. A na nim postawiono olbrzymi, piętrowy, różowy tort ozdobiony malutkimi lukrowymi baletnicami.

– Ciociu Tully! – zawołała Marah, ściskając ją. – To jest odjazdowe. Kocham cię!

– Ja ciebie też, królewno. A teraz idź się bawić z koleżankami.

Wszyscy stali tam przez chwilę zdumieni. Johnny oprzytomniał pierwszy. Trzymając Williama na rękach, przysunął się do Tully.

– To nie jest rozpieszczanie?

– Chciałam jej podarować kucyka, ale uznałam, że to byłaby przesada.

Mama się roześmiała. Tata pokręcił głową.

– Chodźcie, Margie, Johnny – powiedział w końcu. – Sprawdźmy bar.

Gdy Kate i Tully zostały same, Kate powiedziała:

– Ty to umiesz zrobić wejście. Marah będzie o tym opowiadać przez lata.

– Przesadziłam? – zapytała Tully.

– Odrobinę.

Tully szeroko się do niej uśmiechnęła, ale to nie był szczery uśmiech. Kate natychmiast to zauważyła.

– O co chodzi?

Zanim Tully zdążyła odpowiedzieć, Marah wróciła w podskokach. Jej buzia promieniała radością.

– Chcemy sobie wszyscy zrobić z tobą zdjęcie, ciociu Tully.

Kate stała tam, patrząc, jak jej córka z uwielbieniem gapi się na swoją matkę chrzestną. Choć wolałaby, żeby tak nie było, czuła ukłucie zazdrości. To powinien być ich wieczór: jej i Marah.

Tully siedziała w limuzynie z głową Marah na kolanach i głaskała jedwabiste, czarne włosy chrześnicy. Kate naprzeciwko spała oparta o Johnny'ego, który także zamknął oczy. Z obu stron tulili się do nich chłopcy. Obraz idealnej rodziny prosto z telewizji.

Limuzyna skręciła w drogę prowadzącą wzdłuż plaży.

Tully pocałowała miękki, różowy policzek Marah.

– Jesteśmy już prawie w domu, królewno.

Marah obudziła się, mrugając powoli powiekami.

– Kocham cię, ciociu.

Serce Tully zacisnęło się wokół tych słów niczym pięść. Ogarnęła ją niemal bolesna fala emocji. Myślała, że sukces jest jak samorodek złota, wart przesiewania mnóstwa piasku, a miłość zawsze będzie gdzieś na nią czekać na brzegu rzeki, gdy już skończy poszukiwania. Teraz nie mogła zrozumieć,

dlaczego tak myślała, skoro miała taką przeszłość. Powinna była wcześnie się zorientować, jaką rzadkością jest miłość. Jeśli sukces to złoto, które można znaleźć w rzece, to miłość jest diamentem ukrytym setki metrów pod powierzchnią ziemi i trudnym do rozpoznania w swej naturalnej postaci. Nic dziwnego, że tak głęboko wzruszyły ją słowa Marah. Tak rzadko padały w jej życiu.

– Też cię kocham, Marah Rose.

Limuzyna wjechała na podjazd, opony zachrzęściły na żwirze i zaparkowali. Całej rodzinie wygramolenie się z auta i dotarcie do domu zajęło mnóstwo czasu. Wszyscy od razu poszli na górę.

Tully stanęła w pustym salonie, nie wiedząc, co robić. Słyszała skrzypienie desek podłogi nad sobą. Próbowała włączyć się jakoś w wieczorną rutynę rodziny, ale tylko by przeszkadzała, więc zrezygnowała.

Wreszcie Kate zeszła po schodach, wzdychając ze znużenia, ze stosem dzierganych narzut w ramionach.

– Okej, Tully. Co się dzieje?

– Co masz na myśli?

Kate chwyciła ją za ramię i poprowadziła między porozrzucanymi na podłodze zabawkami. W kuchni nalała dwa kieliszki białego wina, a potem wyszły na zewnątrz, gdzie na trawie stały fotele. Cichy szmer fal cofnął Tully o ponad dwadzieścia lat, do tamtych nocy, gdy wymykały się z domów, by posiedzieć nad rzeką, rozmawiając o chłopakach i popalając papierosa.

Tully usiadła na jednym z mocno sfatygowanych foteli Adirondack i przykryła się narzutą. Po tych wszystkich latach i po bez wątpienia wielu praniach, wciąż pachniała mentolowymi papierosami pani M. i jej perfumami.

Kate podciągnęła przykryte narzutą kolana i oparła na nich podbródek, a potem spojrzała na Tully.

– Mów – powiedziała.

– O czym?

– Od jak dawna jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami?

– Od czasów, jak się słuchało Davida Cassidy'ego.

– I uważasz, że nie rozpoznam, gdy coś jest nie tak?

Tully odchyliła się do tyłu i napiła się wina. Prawda była taka, że chciała o tym porozmawiać – przecież to był jeden z powodów, dla których przyleciała tutaj z drugiego krańca kontynentu – ale teraz, gdy znalazła się sam na sam z najlepszą przyjaciółką, nie wiedziała, od czego zacząć. Nawet gorzej, poczułaby się jak idiotka, narzekając na to, czego brakuje jej w życiu. Miała przecież tak wiele.

– Myślałam, że zwariowałaś, rezygnując z kariery. Przez cztery lata za każdym razem, gdy do ciebie dzwoniłam, Marah płakała gdzieś w tle. Wydawało mi się, że chybabym się zabiła, gdyby tak wyglądało moje życie, ale ty wydawałaś się sfrustrowana, wkurzona i… niezwykle szczęśliwa. Nie mogłam tego do końca pojąć.

– Pewnego dnia zrozumiesz, jak to jest.

– Nie, nie zrozumiem. Mam prawie czterdzieści lat, Kate. – Wreszcie spojrzała przyjaciółce w oczy. – Wydaje mi się, że to ja zwariowałam, nie pragnąc niczego poza karierą.

– Cholernie udaną karierą.

– No tak. Tylko że czasem… to nie wystarcza. Wiem, że to może zabrzmieć dziwnie, ale mam dość pracowania po osiemnaście godzin na dobę i wracania do pustego domu.

– Przecież możesz zmienić swoje życie. Tylko musisz naprawdę tego chcieć.

– Dziękuję, Obi-Wan.

Kate popatrzyła na fale obmywające brzeg.

– W zeszłym tygodniu tabloidy pisały o sześćdziesięciolatce, która urodziła.

Tully się roześmiała.

– Ale z ciebie suka.

– Wiem. No chodź, biedna megabogata dziewczynko. Zaprowadzę cię do twojego pokoju.

– Będę żałować, że się poskarżyłam, co?

– O tak.

Przeszły przez pogrążony w ciemności dom. W drzwiach pokoju gościnnego Kate zwróciła się do Tully.

– Koniec rozpieszczania Marah, okej? Ona już uważa cię za bóstwo.

– Daj spokój, Katie. Zarobiłam w zeszłym roku ponad dwa miliony dolarów, co mam z tym niby zrobić?

– Przekaż na cele charytatywne. Tylko już żadnych różowych limuzyn, okej?

– Ty w ogóle nie umiesz się bawić, wiesz o tym?

Tully dopiero jakiś czas później, gdy leżała na nierównym, zapadniętym materacu rozkładanej kanapy i patrzyła przez okno na Wielki Wóz, przypomniała sobie, że nie zapytała Kate o jej życie.

Kate wpatrywała się w kalendarz wiszący na ścianie obok lodówki. Trudno było uwierzyć, że czas mija tak szybko, ale dowód miała tuż przed oczami. Był listopad 2002 roku, a ostatnie czternaście miesięcy zmieniło świat. We wrześniu zeszłego roku terroryści wbili się samolotami w wieże World Trade Center i Pentagon, zabijając tysiące ludzi. Jeszcze jeden samolot został porwany i rozbił się, a wszyscy pasażerowie zginęli. Samochody pułapki i terroryści samobójcy stali się

stałym elementem wieczornych wiadomości; rozpoczęto poszukiwanie broni masowej zagłady. Słowa takie jak „Al-Kaida”, „talibowie” czy „Pakistan” padały w niemal każdej rozmowie, nieustannie powtarzano je w mediach.

Strach zmienił wszystko i wszystkich, a mimo to, jak zawsze, życie toczyło się dalej. Godzina po godzinie, dzień po dniu i podczas gdy politycy i wojskowi szukali bomb i terrorystów, a Departament Sprawiedliwości rozbijał w pył papierowe mury Enronu[8], rodziny prowadziły zupełnie zwyczajne życie. Kate dalej załatwiała sprawunki, wychowywała dzieci i kochała męża. A jeśli zdawała się trzymać ich wszystkich bliżej siebie i bliżej domu, nikt się nie dziwił: świat nie był już taki bezpieczny jak dawniej.

Za tydzień wypadało Święto Dziękczynienia i już można było wyczekiwać Bożego Narodzenia.

Świąteczny czas to był ten okres w roku, gdy kobiety zmieniały się w chodzące karty kredytowe z rozdwojeniem jaźni. Kate rozdarta między świąteczną radością a ogromem pracy, jakiej wymagały przygotowania, nie potrafiła zwolnić i pamiętać, by doceniać cenne chwile. Trzeba było mnóstwo piec – na przyjęcia szkolne, na wyprzedaż wypieków do szkoły baletowej, na dary w Helper House – i oczywiście robić zakupy. Choć wyspa Bainbridge była cudowna, to jeśli chodzi o traktowany z powagą zakup prezentów, okazywała się zaledwie kawałkiem ziemi otoczonym wodą. Galerie handlowe i sklepy znajdowały się daleko. Kate czuła się czasem jak himalaista, który wyrusza pionową ścianą w górę bez tlenu. Jej docelowym szczytem był elegancki dom towarowy Nordstrom. Z trójką dzieci naprawdę niełatwo wybrać prezenty, a czasu jak zawsze brakowało.

Teraz Kate, siedząc za kierownicą swojego auta na pierwszym miejscu w kolejce pod szkołą, zaczęła robić

przedświąteczną listę sprawunków. Zdążyła zapisać tylko kilka punktów, gdy dzwonek zadzwonił i dzieci wysypały się z gimnazjum.

Marah zwykle wychodziła z ceglanego budynku szkoły w grupce koleżanek. Młodsze nastolatki przeważnie przemieszczają się w stadach. Ale dzisiaj była sama, szła szybko z opuszczoną głową i skrzyżowanymi ramionami. Kate od razu wiedziała, że coś jest nie tak. Pytanie tylko, jak bardzo nie tak. Jej córka miała dwanaście lat, a to oznaczało, że hormony buzują w jej ciele, zamieniając odczuwane przez nią emocje w wybuchowy kocioł czarownicy. Ostatnio niemal wszystko mogło wywołać dramat.

– Hej – powiedziała ostrożnie Kate, wiedząc, że niewłaściwe słowo spowoduje kłótnię.

– Hej. – Marah usiadła na przednim siedzeniu, sięgnęła po pas i zapięła go. – Gdzie rozrabiaki?

– Na urodzinach Evana. Tata ich odbierze po drodze z pracy.

– Och.

Kate wyjechała spod szkoły i włączyła się w gęsty ruch na Sportsman’s Club Road. Przez całą drogę do domu próbowała nawiązać rozmowę, ale jej podania okazywały się niecelne. W najlepszym przypadku Marah odpowiadała monosylabami, a w najgorszym przewracała oczami z dramatycznym westchnieniem. Gdy wjechały do garażu, Kate spróbowała raz jeszcze.

– Będę piec ciasteczka na jutrzejsze przyjęcie chłopców z okazji Święta Dziękczynienia. Pomożesz mi?

Marah wreszcie na nią spojrzała.

– Te w kształcie dyni z pomarańczową polewą i zieloną posypką?

Przez ułamek sekundy jej córka znów wyglądała jak mała dziewczynka, w jej ciemnych oczach zajaśniała nadzieja, a usta

ułożyły się w nieśmiały uśmiech. Łączyły je lata wspólnych zajęć i imprez, sieć wspólnych wspomnień.

– Pewnie – odpowiedziała Kate.

– Uwielbiam te ciasteczka.

Kate na to właśnie liczyła.

– A pamiętasz tamten rok, gdy pani Norman przyniosła takie same i tak się wściekłaś, że kazałaś wszystkim spróbować obu rodzajów, żeby udowodnić, że nasze są lepsze?

Marah wreszcie się uśmiechnęła.

– Pan Robbins bardzo się na mnie zdenerwował. Musiałam mu potem pomóc posprzątać po imprezie.

– Emily została, żeby ci pomóc.

Uśmiech zniknął z twarzy Marah.

– Taa.

– To jak, pomożesz mi?

– Jasne.

Kate postanowiła nie reagować zbyt gwałtownie. Choć miała ochotę uśmiechnąć się i powiedzieć, że się bardzo cieszy, tylko skinęła głową i weszła za córką do domu, a potem do kuchni. W ciągu ostatniego burzliwego roku nauczyła się, jak postępować z dziewczynkami w wieku Marah. Choć życie z córką przypominało emocjonalny roller coaster, należało zachować spokój. Zawsze.

Przez trzy godziny pracowały ramię w ramię w dużej kuchni urządzonej w rustykalnym stylu. Kate przypomniała córce, jak łączyć składniki i jak wysmarować tłuszczem blachę staroświeckim sposobem. Rozmawiały o drobiazgach, o tym i tamtym, o niczym istotnym. Kate obserwowała sytuację czujnie niczym drapieżnik. Instynktownie wyczuła odpowiednią chwilę. Właśnie polukrowały ostatnie ciasteczka i odkładały brudne naczynia obok zlewu, gdy powiedziała:

– Zrobimy jeszcze jedną porcję? Mogłybyśmy zanieść Ashley.

Marah natychmiast zmarkotniała.

– Nie – powiedziała tak cicho, że ledwo było ją słychać.

– Ale Ash je uwielbia. Pamiętam, jak…

– Ona mnie nie cierpi – powiedziała Marah i jakby się odblokowała. Łzy zebrały jej się w oczach.

– Pokłóciłyście się?

– Nie wiem.

– Jak możesz nie wiedzieć?

– Po prostu nie wiem, okej? – Marah wybuchnęła płaczem i odwróciła się.

Kate sięgnęła ku córce, złapała ją za rękaw i przyciągnęła, by mocno przytulić.

– Jestem przy tobie, Marah – szepnęła.

Marah wtuliła się w nią.

– Nie wiem, co zrobiłam źle – wydukała przez łzy.

– Ćśśś… – szepnęła Kate, gładząc córkę po głowie, jakby ta nadal była malutkim dzieckiem. Gdy szloch przycichł, odchyliła się, by móc na nią spojrzeć. – Czasami życie…

Drzwi za nimi otwarły się gwałtownie. Bliźniacy wpadli do domu, pokrzykując na siebie w walce zabawkowymi dinozaurami. Johnny wbiegł za nimi w pogoni. William wpadł na mały stolik i przewrócił szklankę z wodą, której nie powinno tam być. Brzęk rozbijanego szkła rozległ się po całym pomieszczeniu.

– Ojoj – powiedział chłopiec, spoglądając na Kate.

Lucas się zaśmiał.

– Willie ma kłopoty, Willie ma kłopoty! – zaczął.

Marah wyrwała się z objęć matki, wbiegła po schodach i zatrzasnęła za sobą drzwi swojego pokoju.

– Lucas – powiedział Johnny. – Przestań dokuczać bratu. I uważaj na szkło na podłodze.

Kate westchnęła i sięgnęła po ścierkę.

Następnego dnia Kate podjechała pod szkołę na trzy minuty przed przerwą obiadową. Zaparkowawszy niezgodnie z przepisami, wbiegła do sekretariatu, zwolniła Marah z pozostałych lekcji, a potem poszła do jej klasy. Wieczorem po tamtej krótkiej rozmowie i chwili bliskości córka znowu się przed nią zamknęła. Nic nie mogło tego oporu przełamać, więc Kate musiała przystąpić do planu B. I zaatakować z zaskoczenia.

Zajrzała przez prostokątną szybkę drzwi do klasy, zapukała, zobaczyła, że nauczycielka robi zapraszający gest, i weszła do środka. Większość dzieci uśmiechnęła się do niej, mówiąc „dzień dobry”. To jedna z zalet wolontariatu: wszyscy cię znają. Dzieciaki wydawały się ucieszone na jej widok – a przynajmniej ucieszone z przerwy w lekcji.

Wszystkie oprócz jednego.

Na twarzy Marah pojawił się charakterystyczny grymas zakłopotania mówiący: „Co ty tutaj robisz?”. Kate doskonale go znała. Wiedziała, jakie zasady panują w gimnazjum: rodzice powinni być niewidzialni.

Zadzwonił dzwonek i dzieci wybiegły z klasy, głośno rozmawiając.

Gdy zostały same, Marah podeszła do Kate.

– Co ty tu robisz?

– Zobaczysz. Zabierz rzeczy. Wychodzimy.

Marah spojrzała na nią, najwyraźniej oceniając sytuację pod każdym możliwym kątem.

– Okej, spotkamy się przy samochodzie, dobrze?

W normalnych okolicznościach Kate zwróciłaby jej uwagę i kazała wyjść ze sobą, ale córka była teraz taka przewrażliwiona. I właśnie dlatego Kate tu przyszła.

– Dobrze.

Tak łatwe zwycięstwo zaskoczyło Marah. Kate uśmiechnęła się do niej i dotknęła jej ramienia.

– Do zobaczenia za chwilkę.

Potrwało to trochę dłużej, ale niewiele. Wkrótce Marah mościła się na siedzeniu samochodu i zapinała pas.

– Dokąd jedziemy?

– Najpierw na lunch.

– Zwolniłaś mnie ze szkoły na lunch?

– I coś jeszcze. Ale to niespodzianka.

Kate podjechała do baru szybkiej obsługi, który sąsiadował z otwartym niedawno na wyspie kinopleksem.

– Ja wezmę cheeseburgera, frytki i shake truskawkowy – oznajmiła, gdy usiadły przy stoliku.

– Ja też.

Gdy kelnerka przyjęła zamówienie i odeszła, Kate popatrzyła na córkę. Zgarbiona w niebieskim plastikowym boksie Marah wydawała się szczupła i kanciasta, w sposób typowy dla dzieci wkraczających w okres dorastania. Jej czarne włosy, teraz splątane i nieujarzmione, będą kiedyś jej prawdziwą ozdobą. W brązowych oczach dziewczynki odbijały się wszystkie jej emocje. Teraz było to chyba poczucie straty.

Kelnerka przyniosła zimne shaki. Kate napiła się swojego. To były chyba pierwsze lody, jakich próbowała od urodzenia bliźniaków. Shake miał smak raju.

– Ashley nadal jest dla ciebie okropna? – zapytała wreszcie.

– Ona mnie nienawidzi. A ja nawet nie wiem, co takiego zrobiłam.

Kate sporo myślała o tym, co powiedzieć, jak poradzić sobie z tą pierwszą sercową tragedią. Jak każda matka zrobiłaby wszystko, co możliwie, by chronić córkę, ale przed niektórymi zagrożeniami nie da się nikogo uchronić. Trzeba je przeżyć,

a potem zrozumieć. To jedna z lekcji, jakich ich kraj doświadczył w tym roku, i choć pewne rzeczy zmieniły się dla nich już na zawsze, inne pozostały takie same.

– W piątej klasie miałam dwie najlepsze przyjaciółki. Przez całe lata wszystko robiłyśmy razem: paradowałyśmy na naszych koniach na jarmarku, nocowałyśmy u siebie, spędzałyśmy latem czas nad jeziorem. Babcia nazywała nas trzema muszkieterkami. I pewnego lata, gdy miałam prawie czternaście lat, one przestały mnie lubić. Do dziś nie wiem dlaczego. Zaczęły spędzać czas z chłopakami, chodzić na imprezy i nigdy już do mnie nie zadzwoniły. Codziennie szłam do szkoły i siedziałam w autobusie sama, sama jadłam lunch i co wieczór płakałam przed snem.

– Naprawdę?

Kate pokiwała głową.

– Nadal pamiętam, jak bardzo mnie to bolało.

– I co potem?

– Cóż, byłam w tragicznym stanie, takim naprawdę tragicznym, gdybyś mnie zobaczyła z tym aparatem na zębach i w okularach w grubych oprawkach…

Marah zachichotała.

– Ale wstawałam rano i szłam do szkoły.

– I?

– I pewnego dnia ciocia Tully czekała na przystanku. Była najfajniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałam. Uznałam, że nigdy nie zechce się ze mną zaprzyjaźnić. Ale wiesz, co się okazało?

– Co?

– W środku, tam, gdzie to się liczy, była równie przestraszona i samotna jak ja. W tamtym roku zostałyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Prawdziwymi przyjaciółkami. Takimi, które nie

ranią się nawzajem celowo ani nie przestają się lubić bez żadnego powodu.

– Jak się znajduje takich przyjaciół?

– W tym właśnie szkopuł, Marah. Żeby nawiązać prawdziwą przyjaźń, trzeba wyjść do ludzi. Czasem nas zawiodą – dziewczyny potrafią być wobec siebie naprawdę podłe – ale nie można się poddawać. Jeśli cię zranią, pozbieraj się, otrzep i spróbuj znowu. Gdzieś w twojej klasie jest dziewczyna, z którą będziesz się przyjaźnić przez całe liceum. Obiecuję. Tylko musisz ją znaleźć.

Marah zamyśliła się, marszcząc brwi.

Kelnerka przyniosła jedzenie, zostawiła rachunek i odeszła.

Marah, zanim ugryzła cheeseburgera, powiedziała:

– Emily jest miła.

Kate miała nadzieję, że córka sobie o tym przypomni. W podstawówce były z Emily nierozłączne, ale ostatnio się od siebie oddaliły.

– Tak, to prawda.

Kate zobaczyła, że Marah wreszcie się uśmiecha, i ta maleńka zmiana aż rozgrzała Kate od środka. Gadały podczas lunchu o drobiazgach, o modzie, na której punkcie dziewczynka miała wręcz obsesję, a o której jej mama nie wiedziała prawie nic. Gdy Kate zapłaciła rachunek i zbierały się do wyjścia, powiedziała:

– Jeszcze jedna rzecz.

Sięgnęła do torebki i wyjęła mały pakunek.

– To dla ciebie.

Marah rozdarła lśniący papier i wyjęła z niego książkę.

– *Hobbit* – przeczytała i spojrzała na matkę.

– W tamtym roku, gdy nie miałam przyjaciółek, nie byłam zupełnie sama. Towarzystwa dotrzymywały mi książki, a to jest wstęp do mojej najulubieńszej serii. Przeczytałam *Władcę*

Pierścieni pewnie z dziesięć razy. Chyba nie jesteś jeszcze gotowa na *Hobbita*, ale niedługo, może za kilka lat, znowu coś cię zrani. Może będziesz się czuła samotna ze swoim smutkiem, a nie będziesz chciała podzielić się nim ze mną czy z tatą, więc jeśli się tak zdarzy, przypomnij sobie, że masz tę książkę przy łóżku. Będziesz ją mogła wtedy przeczytać. Mam nadzieję, że cię porwie. Wiem, że to głupio brzmi, ale ona naprawdę mi pomogła, gdy miałam trzynaście lat.

Marah wydawała się zaskoczona prezentem, na który była zbyt młoda, ale powiedziała:

– Dziękuję.

Kate patrzyła na córkę jeszcze przez chwilę, czując kłucie w piersi. To się działo tak szybko. Marah przestawała być małą dziewczynką.

– Kocham cię, mamusiu.

Dla świata to była być może zwykła chwila zwykłego dnia, ale dla Kate to był moment wyjątkowy. Właśnie dlatego została w domu zamiast pójść do pracy. Za nic nie oddałaby tej chwili.

– Ja też cię kocham. I dlatego na resztę dnia idziemy na wagary. Obejrzymy sobie zaraz *Harry'ego Pottera i Komnatę Tajemnic*.

Marah wysunęła się z boksu z szerokim uśmiechem.

– Jesteś najlepszą mamą na świecie.

Kate się roześmiała.

– Mam tylko nadzieję, że będziesz o tym pamiętała jako nastolatka.

---

7 Paczka – dłuższa od tutu spódnica baletowa z muślinu lub tiulu, charakterystyczna dla baletu romantycznego.

8 Enron – amerykańska firma energetyczna, która w 2001 ogłosiła bankructwo po skandalu dotyczącym fałszowania dokumentacji finansowej

przedsiębiorstwa (tzw. kreatywna księgowość).

25

Dla Tully upływ lat wyznaczały tematy, nad którymi pracowała. W 2002 roku była na wakacjach w Europie, w Tajlandii i na St. Barts. Uczestniczyła w rozdaniu Oscarów, dostała nagrodę Emmy, pojawiła się na okładce magazynu „People” i zmieniła wystrój swojego apartamentu, ale to wszystko poszło w niepamięć. Pamiętała tylko najważniejsze wydarzenia, które relacjonowała. Czyli operację Anaconda przeciwko talibom, narastający konflikt w tamtym regionie, proces Miloševića za zbrodnie przeciwko ludzkości i początek wojny w Iraku.

Wiosną 2003 była już wyczerpana, wykończona nadmiarem przemocy. Jednak gdy wreszcie wróciła do domu, wcale nie było lepiej. Wszędzie, gdzie szła, znajdowała się w tłumie, a nigdzie nie czuła się tak wyizolowana jak w grupie ludzi, którzy jej nadskakiwali, ale tak naprawdę wcale jej nie znali.

Choć nikt oglądający telewizję by tego nie zauważał, po cichu się rozsypywała. Grant nie dzwonił do niej od prawie czterech miesięcy, a gdy rozmawiali ostatnim razem, nie wypadło to najlepiej.

– Ja po prostu nie chcę tego co ty, kochanie – powiedział, nawet nie udając żalu z tego powodu.

– Czyli czego? – odwarknęła, zaskoczona łzami, które zapiekły ją w oczy.

– Tego, czego ty zawsze pragniesz: więcej.

Nie powinna była być zaskoczona. Słyszała to już w życiu tyle razy. Była nawet gotowa to przyznać. Ostatnio faktycznie

chciała więcej. Pragnęła prawdziwego życia, a nie tej idealnej, lśniącej waty cukrowej, którą wokół siebie stworzyła. Tyle że nie miała pojęcia, jak zacząć od nowa w tym wieku. Za bardzo kochała pracę, żeby z niej zrezygnować. Poza tym była sławna i bogata od tak dawna, że nie umiała sobie wyobrazić powrotu do zwyczajności.

Teraz w zaskakująco ciepłych promieniach słońca szła ruchliwymi ulicami Manhattanu i obserwowała, jak szybko przemieszczający się mieszkańcy miasta przemykają pomiędzy kolorowo ubranymi turystami. To był pierwszy słoneczny dzień po długiej, śnieżnej zimie, a nic tak nie zmienia atmosfery Nowego Jorku jak słońce. Ludzie zakładali buty trekkingowe i wychodzili na zewnątrz ze swoich ciasnych mieszkań. Po prawej ręce Tully rozciągała się zielona oaza Central Parku. Patrząc na niego, ujrzała na moment swoją przeszłość: skwer Quad na Uniwersytecie Waszyngtońskim, młodych ludzi kręcących się dokoła, rzucających frisbee albo grających w zośkę. Minęło dwadzieścia lat, odkąd ostatni raz była w kampusie. Tyle się wydarzyło przez te wszystkie lata, ale teraz tamto życie wydawało się równie bliskie jak jej własny cień.

Z uśmiechem potrząsnęła głową, żeby oczyścić myśli. Powinna zadzwonić dzisiaj wieczorem do Katie i opowiedzieć jej o wspomnieniach z czasów studenckich, które ją nagle naszły.

Już miała ruszyć dalej, gdy nagle go zobaczyła. Stał pod niewysokim zielonym wzniesieniem na asfaltowej ścieżce i obserwował dwie nastolatki jeżdżące na rolkach.

– Chad.

Po raz pierwszy od lat wypowiedziała na głos jego imię; miało słodki posmak amaretto. Jego widok zdarł z niej pancerz minionych lat i sprawił, że znów poczuła się młodo. Podeszła

bliżej i obróciła się ku niemu. Olbrzymie drzewo rozpościerało się nad nią niczym parasol, osłaniając przed słońcem i sprawiając, że natychmiast poczuła zimno.

Co mu powie po tych wszystkich latach? Co on powie jej? Gdy się poprzednio widzieli, prosił, żeby za niego wyszła. Od tamtej pory się nie spotkali. Tak dobrze ją wtedy znał, tak dobrze, że nie czekał, by usłyszeć „nie". Ale kochali się. Wiedziała to dzięki mądrości czasu i upływowi lat. Wiedziała też, że miłość nie znika. Blaknie, możliwe, traci ciężar niczym kości spłowiałe na słońcu, ale nie znika. Nagle i gwałtownie uświadomiła sobie, że chce być w kimś zakochana. Jak Johnny i Kate. Nie chce już dłużej czuć się taka samotna.

Zawahała się tylko raz, gdy ruszała w jego kierunku. Wyszła z cienia na słońce.

I oto był, stał przed nią, mężczyzna, którego nigdy do końca nie pozbyła się ze swoich snów. Wypowiedziała jego imię, ale zbyt cicho, by usłyszał.

Podniósł wzrok i spojrzał na nią, a uśmiech na jego twarzy zbladł.

– Tully?

Zobaczyła, że jego usta się poruszają, i domyśliła się, że wypowiedział jej imię, ale zaszczekał akurat jakiś pies i minęło ją z hurgotem dwóch deskorolkarzy.

I już szedł ku niej. Działo się tak, jak w każdym filmie, w każdym jej marzeniu. Wyciągnął ramiona i przytulił ją do siebie.

Ale zbyt szybko puścił ją i odsunął się.

– Wiedziałem, że jeszcze się spotkamy.

– Zawsze miałeś więcej wiary ode mnie.

– O to nietrudno – odparł z uśmiechem. – Co u ciebie?

– Pracuję dla CBS. Robię…

– Wierz mi, wiem – odparł łagodnie. – Jestem z ciebie dumny, Tully. Zawsze wiedziałem, że wejdziesz na sam szczyt. – Przyglądał się jej przez dłuższy czas, a potem zapytał:

– A jak się ma Katie?

– Wyszła za Johnny'ego. Rzadko ich ostatnio widuję.

– Ach – odparł, kiwając głową, jakby to wszystko wyjaśniało.

Miała wrażenie, że jego spojrzenie ją prześwietliło.

– Ach co?

– Jesteś samotna. Świat to jednak za mało.

Zmarszczyła brwi. Stali tak blisko siebie, że mogliby się z łatwością pocałować, ale ten drobny dystans wydawał się niemożliwy do pokonania. Chad wyglądał na młodszego, niż go pamiętała, i przystojniejszego.

– Jak ty to robisz? – szepnęła.

– Co takiego?

– Tato, zobacz!

Dziewczęcy głos dotarł do Tully jakby z daleka. Obróciła się powoli i zobaczyła dwie zbliżające się do nich młode kobiety na rolkach. Pomyliła się wcześniej, to nie były nastolatki. Jedna była niesamowicie podobna do Chada – ostre rysy, czarne włosy, oczy, które zwężały się przy uśmiechu. Ale to druga kobieta przyciągnęła jej uwagę. Miała ze trzydzieści, trzydzieści pięć lat, olśniewający uśmiech i dźwięczny śmiech. Była ubrana jak turystka: nowe dżinsy, gruby, różowy dziergany sweter, niebieska czapka i rękawiczki.

– To moja córka. Studiuje na Uniwersytecie Nowojorskim – oznajmił Chad. – I Clarissa. Moja partnerka.

– Nadal mieszkasz w Nashville? – Wypowiadając te słowa, Tully poczuła się tak, jakby toczyła pod górę kłodę drewna. W ogóle nie chciała prowadzić z nim takiej zwyczajnej rozmowy. – Nadal uczysz zachwycone i naiwne studentki dziennikarstwa?

Wziął ją za ramiona i zwrócił ku sobie.

– Nie chciałaś mnie, Tully – powiedział i tym razem usłyszała pomruk głębokich emocji w jego głosie. – Byłem gotów kochać cię zawsze, ale…

– Nie. Proszę.

Dotknął jej policzka w przelotnym, niemal desperackim geście.

– Powinnam była pojechać z tobą do Tennessee.

Potrząsnął głową.

– Masz wielkie marzenia. Między innymi to w tobie uwielbiałem.

– Uwielbiałeś – powtórzyła, wiedząc, że uraza jest nie na miejscu.

– Czasem coś po prostu nie wychodzi.

Pokiwała głową.

– Zwłaszcza gdy się boisz.

Objął ją znowu i przytulił, z większym żarem niż Grant przez wszystkie lata. Czekała na pocałunek, który nie nastąpił. Chad puścił ją, a potem wziął za rękę i poprowadził ku ulicy.

W cieniu drzewa i nagłym chłodzie Tully zadrżała i oparła się o mężczyznę.

– Poradź mi coś, Wiley. Chyba spieprzyłam sobie życie.

Na zalanym słońcem chodniku on znów popatrzył jej w oczy.

– Odniosłaś sukces większy niż w najśmielszych marzeniach, ale to nadal jest za mało.

Skrzywiła się, widząc spojrzenie jego oczu.

– Wygląda na to, że powinnam była zatrzymać się i posmakować czegoś innego. Do diabła, ja tego nie dostrzegałam.

– Nie jesteś sama, Tully. Każdy ma kogoś w swoim życiu. Rodzinę.

– Chyba zapomniałeś o Chmurze.

– A może to ty zapomniałaś.

– Co masz na myśli?

Popatrzyła na park, gdzie jego córka trzymała za ręce jego dziewczynę; jedna uczyła drugą jazdy do tyłu.

– Straciłem zbyt wiele lat z córką. Pewnego dnia postanowiłem, że to za długo trwa, i zacząłem jej szukać.

– Zawsze byłeś optymistą.

– Zabawne. Bo ty też.

Pochylił się, pocałował ją w policzek i cofnął się.

– Podpalaj świat dalej, Tully – powiedział i odszedł.

To były niemal te same słowa, które napisał do niej lata temu. Nie dostrzegła w nich pełnej rezygnacji rozpaczy, gdy były literami na papierze. Teraz widziała prawdę: były jednocześnie zachętą i oskarżeniem. Po co podpalać świat, skoro łunę musi oglądać sama?

Jedna rzecz zawsze wychodziła Tully znakomicie: unikanie nieprzyjemności. Przez większość życia umiała spakować złe wspomnienia czy rozczarowania i upchnąć je w głębi umysłu, w miejscu tak ciemnym, że nie było ich widać. Oczywiście śniły jej się przykre sytuacje i budziła się czasem oblana zimnym potem, ze wspomnieniami na samej powierzchni świadomości, lecz gdy nadchodził dzień, spychała je z powrotem do kryjówki i z łatwością zapominała.

Teraz, po raz pierwszy, natknęła się na coś, czego nie mogła ani upchnąć w ciemności, ani zapomnieć.

Chad. Jego widok w mieście, które uważała już za swoje, wstrząsnął nią do głębi. Nie potrafiła pozbyć się tego wspomnienia. Tylu rzeczy mu nie powiedziała, o tyle rzeczy nie zapytała.

W ciągu trzech miesięcy po tym, jak na siebie wpadli, nieustannie wspominała szczegóły, badając każdą sekundę spotkania niczym technik kryminalistyczny, szukając wskazówek, co ono mogło oznaczać. Chad stał się symbolem wszystkiego, z czego Tully w swoim życiu zrezygnowała. Drogi, której nie wybrała.

Jeszcze gorsze było to, co powiedział o Chmurze. „Nie jesteś sama, Tully". Każdy ma rodzinę. Może nie użył dokładnie tych słów, ale podobnych. Taki był ich sens.

Ta myśl replikowała się w jej umyśle niczym wirus, przybierając na sile. Tully przyłapała się na tym, że myśli o Chmurze, że naprawdę o niej myśli. Skupiała się na tych momentach, gdy jej matka wracała, a nie na tych, gdy ją porzucała. Wiedziała, że to niebezpieczne, ogniskować wspomnienia na tym, co pozytywne, skoro było tyle złego, ale mimo wszystko zaczęła się zastanawiać, czy to nie był jej błąd. Czy była tak skoncentrowana na nienawidzeniu matki, na upychaniu gdzieś głęboko rozczarowań i zapominaniu o nich, że umknęło jej znaczenie wielu powrotów Chmury?

Ta myśl, ta nadzieja nie da się gdzieś upchnąć, nie pozostanie ukryta w ciemności. W końcu Tully przestała przed nią uciekać, usiadła i zaczęła się zastanawiać. Narodziła się z tego dziwna i napawająca lękiem podróż. Tully wzięła dwa tygodnie wolnego z pracy, nazwała je urlopem, spakowała walizkę i wsiadła w samolot lecący na zachód. W niecałe osiem godzin od opuszczenia Manhattanu znalazła się na wyspie Bainbridge i podjeżdżała lśniącą czarną limuzyną pod dom Ryanów.

Stanęła na podjeździe, wsłuchując się w dźwięk odjeżdżającego samochodu. Opony zachrzęściły na żwirze. Z ogrodu za domem dobiegał ją szmer fal obmywających wysypany malutkimi kamyczkami brzeg. Czyli nadchodził przypływ. W to piękne słoneczne popołudnie wczesnego lata

stary dom w wiejskim stylu wyglądał jak zdjęcie z albumu pod tytułem *Dobre życie*. Świeża warstwa bejcy sprawiała, że gont wyglądał jak z karmelu, a biała, błyszcząca stolarka odbijała słońce. Kwiaty porastały dziko ogród, tworząc plamy jaskrawych barw wszędzie, gdzie się spojrzało. Zabawki i rowerki leżały porozrzucane dokoła i na ich widok Tully bardzo wyraźnie przypomniała sobie dawne dni, czasy, gdy były dziewczynami z Firefly Lane. Ich rowery były latającymi dywanami, którymi mogły się przenieść w inny świat.

Daj spokój, Katie. Odpuść.

Tully się uśmiechnęła. Od lat nie myślała o tamtym lecie. 1974. Początek wszystkiego. Znajomość z Kate zmieniła jej życie. Tylko dlatego że odważyły się otworzyć przed sobą nawzajem, odważyły się powiedzieć: „Chcę być twoją przyjaciółką".

Podeszła poprzerastaną chwastami betonową ścieżką do frontowych drzwi. Jeszcze zanim weszła na ganek, usłyszała hałas dobiegający ze środka. Nie zaskoczyło jej to. Kate wspominała, że pierwsza połowa 2003 roku była dla niej kompletnie szalona. Marah nie przeszła płynnie w wiek nastoletni, skoczyła w niego na główkę. A chłopcy zmienili się z głośnych i ciekawych wszystkiego maluchów w jeszcze głośniejszych i jeszcze bardziej niszczycielskich pięciolatków. Za każdym razem, gdy Tully dzwoniła, miała wrażenie, że Kate gdzieś kogoś podwozi.

Wcisnęła dzwonek. Normalnie weszłaby po prostu do środka. Gdyby była oczekiwana. W tę podróż wybrała się tak spontanicznie, że nie zadzwoniła, by uprzedzić o swoim przyjeździe. Szczerze mówiąc, chyba nie myślała, że to zrobi. Wydawało jej się, że stchórzy gdzieś po drodze. Ale jednak tu dotarła.

Tupot kroków zatrząsł całym domem. Drzwi się otwarły i pokazała się Marah.

– Ciocia Tully! – pisnęła, rzucając się do przodu.

Tully złapała swoją chrześnicę i mocno ją przytuliła. Gdy się od siebie oderwały, spojrzała na stojącą przed sobą dziewczynę nieco zaskoczona. Minęło zaledwie siedem czy osiem miesięcy, odkąd ostatnio widziała Marah – mgnienie oka – ale to była obca osoba. Niemal kobieta, wyższa od Tully, obdarzona jasną, mleczną cerą, przenikliwymi brązowymi oczami, idealnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i gęstymi, czarnymi włosami, które opadały kaskadą na plecy.

– Marah Rose – powiedziała Tully. – Aleś ty wyrosła. Jesteś przepiękna. Nie myślałaś o modelingu?

Uśmiech Marah jeszcze dodawał jej urody.

– Naprawdę? Mama wciąż uważa mnie za dziecko.

Tully się roześmiała.

– Ty, moja droga, już nie jesteś dzieckiem.

Zanim zdołała coś dodać, Johnny zszedł po schodach, niosąc pod każdą pachą wijącego się chłopca. W połowie holu zobaczył ją i zatrzymał się. A potem się uśmiechnął.

– Nie powinnaś była jej wpuszczać, Marah. Ma walizkę.

Tully zaśmiała się i zamknęła za sobą drzwi.

– Katie – zawołał Johnny w górę schodów. – Lepiej tu przyjdź. Nie uwierzysz, kto przyjechał.

Odstawił chłopców na podłogę i podszedł do Tully, żeby ją przytulić. Od razu pomyślała, jak dobrze się czuje, gdy ktoś ją obejmuje. Tak dawno nikt tego nie robił.

– Tully! – Głos Kate zagłuszył wszystkie inne dźwięki, gdy zbiegała po schodach, by przytulić przyjaciółkę. – Opowiadaj, co ty tu, do diabła, robisz – rzuciła z szerokim uśmiechem. – Nie wiesz, że musisz mnie uprzedzać? Zaraz zaczniesz mi wypominać kiepską fryzurę i odrosty.

– Nie zapomnij o makijażu, którego nie masz. Ale mogę popracować nad twoim wizerunkiem. Jestem w tym niezła. To dar.

Przeszłość mrugnęła do nich okiem, sprawiając, że się roześmiały.

Kate wzięła Tully pod rękę i zaprowadziła do sofy. Walizka została przy drzwiach niczym ochroniarz, a one przez co najmniej godzinę wymieniały się opowieściami ze swojego życia. Około trzeciej przeniosły tę imprezę do ogrodu na tyłach, gdzie chłopcy i Marah konkurowali z Kate o uwagę Tully. Gdy zaczął zapadać zmierzch, Johnny rozpalił grilla i na ustawionym na trawie stole piknikowym nad spokojną zatoką Puget, pod niebem pełnym gwiazd Tully zjadła swój pierwszy domowy posiłek od wielu miesięcy. Potem zagrały z chłopcami w ekscytującą planszówkę Candy Land. Gdy Kate i Johnny układali bliźniaków do snu, Tully usiadła w ogrodzie z Marah. Każda z nich owinęła się dla ochrony przed wieczornym chłodem w słynną narzutę pani Mularkey.

– Jak to jest być sławną?

Tully od lat o tym nie myślała, po prostu uważała to za coś oczywistego.

– Całkiem fajnie tak naprawdę. Zawsze dostajesz najlepszy stolik, odwiedzasz najfajniejsze miejsca, ciągle ktoś daje ci coś za darmo. I wszyscy na ciebie cierpliwie czekają. A ponieważ jestem dziennikarką, a nie gwiazdą filmową, paparazzi nie zawracają sobie mną głowy.

– Imprezy?

Tully się uśmiechnęła.

– Od jakiegoś czasu mało mnie interesują, ale tak, dostaję mnóstwo zaproszeń. I nie zapominajmy o ubraniach. Projektanci nieustannie przysyłają mi sukienki. A ja mam je tylko nosić.

– No, no – zachwycała się Marah. – Ale odjazdowo.

Siatkowe drzwi za nimi zaskrzypiały i zamknęły się ze stuknięciem. Rozległ się dźwięk przesuwania czegoś – może stołu – po tarasie. A potem rozbrzmiała muzyka. Jimmy Buffet, *Margaritaville*.

– Wiesz, co to znaczy – powiedziała Kate, pojawiając się obok nich z dwiema margaritami.

Marah od razu zaczęła jęczeć.

– Jestem już dość duża, żeby zostać. Poza tym jutro nie ma lekcji. Nauczyciele mają jakieś szkolenie.

– Pora spać, mała – odpowiedziała Kate, pochylając się, by podać Tully drinka.

Marah spojrzała na Tully, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz? Ona wciąż uważa mnie za dziecko”. Tully nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Twoja mama i ja też kiedyś bardzo chciałyśmy dorosnąć. Wymykałyśmy się z domu i kradłyśmy mojej matce…

– Tully – przerwała jej ostro Kate. – Jej wcale nie interesują takie stare historie.

– Mama wymykała się z domu? I co babcia zrobiła?

– Dała jej szlaban do końca życia. I kazała nosić ubrania z wyprzedaży w supermarkecie Fred Meyer – odpowiedziała Tully.

Marah aż zadrżała na samą myśl.

– Z poliestru – dodała Kate. – Przez całe lato bałam się zbliżyć do ognia.

– Okłamujecie mnie – obruszyła się Marah, krzyżując ramiona.

– My i kłamstwa? Nigdy! – zawołała Tully, popijając drinka.

Marah wstała z fotela, westchnęła cierpiętniczo i ruszyła do domu. Gdy tylko zatrzasnęły się za nią drzwi, Tully i Kate się roześmiały.

– No powiedz, że takie nie byłyśmy – rzuciła Tully.

– Moja mama uważa, że ja tak. Ale ty odgrywałaś przed nią rolę Panny Idealnej. Dopóki nas nie aresztowali.

– Pierwsza rysa na zbroi.

Kate ze śmiechem usiadła w drewnianym fotelu i owinęła się jedną z maminych narzut.

Tully aż do tej chwili, gdy zaczęła się odprężać, nie uświadamiała sobie nawet, jak bardzo jest spięta, jak sztywne ma kark i ramiona. Kate jak zawsze tworzyła jej siatkę bezpieczeństwa, była niczym ochronny koc. Z przyjaciółką u boku mogła zaufać samej sobie. Odchyliła się na oparcie fotela i zapatrzyła w nocne niebo. Nigdy nie należała do ludzi, którzy czują się nieistotni wobec ogromu wszechświata, ale nagle zrozumiała to wrażenie; to była kwestia perspektywy. Ona przez całe życie bez tchu podążała do mety. Gdyby zwracała odrobinę większą uwagę na otoczenie, a odrobinę mniejszą na swój cel, nie byłaby tu, gdzie jest. Nie byłaby czterdziestodwuletnią singielką szukającą żałosnych resztek rodziny.

– To jak, czy muszę cię wypytywać? – odezwała się wreszcie Kate.

Nie było sensu ukrywać prawdy, choć Tully czuła taką instynktowną potrzebę. Zabrzmiało właśnie *Knowing Me, Knowing You* ABBY.

– Widziałam Chada – powiedziała cicho Tully.

– Parę miesięcy temu, tak? W Central Parku?

– Taa.

– I jego widok sprawił, że wsiadłaś teraz do samolotu i przyleciałaś do mnie. To już wszystko rozumiem.

Zanim Tully odpowiedziała, drzwi za nimi znowu się otwarły i na taras wyszedł Johnny z piwem w ręku. Przyciągnął sobie do nich fotel i usiadł. We trójkę tworzyli półokrąg na trawniku

wychodzącym na ciemną zatokę. Księżyc oświetlał fale, które przesuwały się po plaży.

– Powiedziała ci już?

– A wy co, telepaci? – zdziwiła się Tully. – Dopiero zaczynałam.

– Na razie – zdradziła Kate – wspomniała tylko, że parę miesięcy temu spotkała Chada.

– Ach – powiedział Johnny, kiwając głową, jakby to wyjaśniało przyjazd Tully z drugiego końca kraju.

– Co miało znaczyć to „ach”? – zapytała nagle zirytowana Tully.

Chad zrobił dokładnie to samo.

– On jest twoim Moby Dickiem – odpowiedział Johnny.

Tully obrzuciła do spojrzeniem.

– Nigdy nie twierdziłam, że ma wielkiego jak wieloryb.

– Daj spokój, Tully – powiedziała Kate, kładąc dłoń na ramieniu męża. – Co się dzieje?

Tully spojrzała na nich, siedzących tak blisko siebie, żonę i męża, którzy nadal śmiali się do siebie i często się dotykali, pomimo tylu lat małżeństwa, a w piersi aż ścisnęło ją z tęsknoty.

– Mam dość samotności – oznajmiła w końcu. Tak długo wstrzymywała te słowa, że gdy je wreszcie wypowiedziała, zabrzmiały jak wyświechtane, wypolerowane niczym kamyki na plaży.

– A co z Grantem? – zapytał Johnny.

– Myślałam, że mówiłaś, że Chad ma partnerkę – odezwała się Kate, pochylając się do przodu.

– Tu nie chodzi o Chada. To znaczy tak, ale nie w ten sposób, jak myślicie. Przypomniał mi, że mam rodzinę – odparła Tully.

Kate odchyliła się do tyłu.

– To znaczy Chmurę?

– To moja matka.

– Biologiczna owszem. Ale nawet jaszczurki są lepszymi matkami, a tylko zakopują jaja i odchodzą.

– Wiem, że chcesz mnie chronić, Kate, ale tobie łatwo ją wykluczyć. Ty masz rodzinę.

– Raniła cię za każdym razem, gdy się spotykałyście.

– Ale wracała. Może to coś znaczyło.

– To prawda, wracała – powiedziała łagodnie Kate. – I za każdym razem łamała ci serce.

– Teraz jestem silniejsza.

– O czym wy tak właściwie mówicie? Mam wrażenie, jakbyście rozmawiały szyfrem – wtrącił Johnny.

– Chcę ją odnaleźć. Mam jej ostatni adres; wysyłam na niego co miesiąc pieniądze. Pomyślałam, że może gdyby udało mi się namówić ją na leczenie, to miałybyśmy szansę.

– Już wiele razy się leczyła – przypomniała Kate.

– Wiem, ale zawsze bez wsparcia. Może właśnie tego potrzebuje.

– Dużo w tym wszystkim tych „może” – stwierdziła Kate.

Tully przeniosła wzrok z Kate na Johnny’ego, a potem znowu spojrzała na przyjaciółkę.

– Wiem, że to szaleństwo i prawdopodobnie się nie uda, i nie mam wątpliwości, że skończy się na płaczu albo piciu, albo na obu tych rzeczach, ale mam dość tej cholernej samotności, a nie mam ani kochanka, ani dzieci. Mam tylko matkę, obarczoną wieloma wadami. I chciałabym, Katie, żebyś pomogła mi ją odszukać. To nie powinno zająć więcej niż kilka dni.

Kate wydawała się zupełnie zaskoczona.

– Co?

– Chcę ją znaleźć. Nie dam rady sama.

– Ale… Nie mogę tak sobie wyjechać na kilka dni. Jutro jest w szkole piknik. Będę prowadzić zawody dla dzieci. Muszę tam być, żeby je zorganizować, a potem rozdać nagrody.

Tully westchnęła rozczarowana.

– Och. Cóż… A w weekend?

– Przepraszam, Tully. Naprawdę. Prowadzimy z mamą kościelną zbiórkę żywności w sobotę i niedzielę. Jeśli się tam nie pojawię, zapanuje chaos. W poniedziałek i wtorek mam dyżur wolontariacki w Wydziale Parków i Rekreacji, ale może mogłabym wyjechać z tobą na parę dni pod koniec przyszłego tygodnia.

– Jeśli będę zwlekać, nie pojadę – stwierdziła Tully, próbując zebrać się na odwagę, by wyruszyć sama. – Chyba mogę jechać sama. Bałam się tylko…

– Powinnaś pojechać z ekipą – powiedział Johnny.

Tully spojrzała na niego.

– Co masz na myśli?

– Nagraj to. Jesteś wielką gwiazdą, która była kiedyś małą zagubioną dziewczynką. Nie chciałbym wyjść na człowieka pozbawionego wrażliwości, ale twoi widzowie chcieliby wyruszyć w tę podróż z tobą. Mój szef dałby wszystko, żeby to u siebie puścić.

Tully zastanawiała się przez chwilę nad tą nieoczekiwaną sugestią. To było dla niej ryzykowne, z pewnością; matka mogła ją upokorzyć. Ale to mógłby też być triumf. Pojednanie matki z córką to byłby telewizyjny hit. Szczerze mówiąc, zaskoczyło ją, że sama na to nie wpadła. Tego rodzaju intymny portret sprawiłby, że jej rozpoznawalność wystrzeliłaby w górę. Czy warto zaryzykować?

Potrzebowała producenta, który by o nią zadbał.

Spojrzała na Johnny’ego.

– Pojedź ze mną – powiedziała, zwracając się do niego. – Zostań moim producentem.

Kate wyprostowała się gwałtownie.

– Co takiego?

– Błagam cię, Johnny – prosiła Tully. – Muszę cię do tego mieć. Nikomu innemu bym nie zaufała. To cię wyniesie na poziom ogólnokrajowy. Zadzwonię do twojego szefa. Znamy się z Fredem z dawnych czasów. Jak powiedziałeś, dałby się zabić za wyłączność.

Johnny spojrzał na żonę.

– Katie?

Tully wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź przyjaciółki.

– To zależy od ciebie, Johnny – powiedziała w końcu Kate, choć nie wyglądała na zadowoloną.

Johnny odchylił się do tyłu.

– Porozmawiam z Fredem. Jeśli on się zgodzi, zaczniemy jutro. Poproszę Boba Daviesa, żeby był naszym operatorem. – Uśmiechnął się. – W każdym razie fajnie byłoby wyrwać się ze stacji na parę dni.

Tully się roześmiała.

– Cudownie.

Siatkowe drzwi na taras otworzyły się gwałtownie i Marah wypadła na podwórko.

– Mogę z tobą pojechać, tato? Jutro nie ma szkoły, a mówiłeś, że chciałbyś, żebym kiedyś zobaczyła, jak pracujesz.

Tully wzięła Marah za rękę i pociągnęła ją tak, by usiadła na jej kolanach.

– Fantastyczny pomysł. Zobaczysz, jakim wspaniałym producentem jest twój tata, a twoja mama nie będzie się musiała o ciebie martwić, jak będzie na pikniku.

Kate obok niej aż jęknęła.

Tully zwróciła się do przyjaciółki:

– Tak będzie w porządku, Katie, prawda? To tylko kilka dni. A poza tym pokażę Marah, jakie ma szczęście, że ma taką mamę

jak ty. Wróci na czas, żeby pójść do szkoły w poniedziałek. Obiecuję.

Johnny wstał i otworzył klapkę komórki. Wystukując numer, wszedł do domu. Jego głos najpierw zabrzmiał wyraźnie, a potem ucichł w głębi domu.

– Fred? Tu Johnny. Przepraszam, że zawracam głowę, ale…

– Kate? – Tully nachyliła się bliżej. – Powiedz, tak będzie w porządku?

Jej najlepsza przyjaciółka uśmiechnęła się z ociąganiem.

– Pewnie, Tully. Zabierz całą moją rodzinę, jeśli tak właśnie chcesz.

26

– Ona zawsze cię rani – powiedziała Kate kilka godzin później, gdy światła Seattle, lśniące pomiędzy czarną zatoką Puget a bezgwiezdnym niebem, zaczęły przygasać.

Tully westchnęła, wpatrując się w pienisty pas wody rozbijającej się o brzeg. Był ledwo widoczny. Dopiła trzecią margaritę i dostawiła kieliszek na trawę.

– Wiem – przyznała i umilkła. W głowie aż wirowało jej od myśli i cały ten pomysł zaczynał ją przerażać.

– Dlaczego Johnny? – zapytała po chwili Kate. Zawahała się, może jakby nie zamierzała mówić tego na głos.

– On mnie ochroni. Jeśli powiem „cięcie”, zrobi cięcie. Jeśli powiem, wyrzuć to do śmieci, on to zrobi.

– Nie sądzę.

– Zrobi. Dla mnie. A wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Ze względu na ciebie. – Wstała, bo nie miała ochoty dłużej analizować swojej decyzji. Zachwiała się.

Kate natychmiast znalazła się obok, by ją podtrzymać.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła, Katie? – powiedziała Tully, opierając się o przyjaciółkę.

– Na szczęście nigdy się nie dowiemy. Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju. Musisz się przespać.

Kate pomogła jej wejść do domu i zaprowadziła korytarzem do gościnnego pokoju. Tam Tully padła na łóżko i spojrzała mało przytomnym wzrokiem na przyjaciółkę. Teraz, gdy pokój

wirował dokoła niej, uświadomiła sobie, jaki to głupi pomysł z tym filmem dokumentalnym, jakie to dla niej ogromne ryzyko. Może zostać zraniona. Znowu… Gdyby miała takie życie jak Kate, nie musiałaby w ten sposób ryzykować.

– Ale z ciebie szczęściara – mruknęła, powoli zasypiając. – Johnny…

Chciała dodać: „i dzieci cię kochają”, ale słowa się jej poplątały i zanim dokończyła zdanie, zaszlochała, a zaraz potem usnęła.

Następnego ranka obudziła się z koszmarnym bólem głowy. Uczesanie się i umalowanie zajęły o wiele więcej czasu niż zwykle (ciągłe pokrzykiwanie Johnny’ego, żeby się pośpieszyła, wcale nie pomagało), ale wreszcie była gotowa.

Johnny przyciągnął do siebie Kate i pocałował.

– To nie powinno potrwać dłużej niż dwa dni – powiedział tak cicho, że Tully domyśliła się, że miała tego nie słyszeć. – Wrócimy, zanim zdążysz zatęsknić.

– Będzie się dłużyło – odpowiedziała Kate. – Ja już tęsknię.

– Daj spokój, mamo – wtrąciła ostro Marah. – Musimy już iść. Prawda, ciociu?

– Pocałuj mamę na do widzenia – powiedział Johnny.

Marah posłusznie podeszła do Kate i pocałowała ją. Kate przytulała córkę, aż ta zaczęła się wić, i wtedy dopiero ją puściła. Tully poczuła ukłucie zazdrości, widząc tę bliskość; tworzyli taką piękną rodzinę. Johnny zaprowadził Marah do samochodu i zaczął pakować walizki do bagażnika. Tully spojrzała na Kate.

– Jakby co, to jesteś? Mogę zadzwonić?

– Zawsze jestem, Tully. Na tym polega bycie pełnoetatową mamą.

– Bardzo śmieszne.

Tully spojrzała na swoje rzeczy. Na samej górze miała notatki, które zrobiła podczas niedawnej rozmowy ze swoim prawnikiem. To była lista ostatnich adresów Chmury.

– No dobra. Spadam. – Złapała torbę i ruszyła do auta.

Gdy dojechali do końca podjazdu, odwróciła się. Kate nadal stała przed drzwiami, z dwoma uwieszonymi po bokach chłopcami, i machała na pożegnanie.

Pierwszy raz zatrzymali się zaledwie po dwóch godzinach na parkingu dla kamperów w Fall City. To był ostatni adres Chmury. Okazało się, że wyprowadziła się tydzień temu i nikt nie miał do niej kontaktu. Jednak mężczyzna, z którym rozmawiali, powiedział, że Chmura przeniosła się chyba na kemping w Issaquah.

Przez kolejne sześć godzin odwiedzili wiele miejsc, podążając za tropem – Tully, Johnny, Marah i kamerzysta, który nie bez powodu przedstawiał się jako Gruby Bob. Na każdym przystanku nagrywali rozmowy Tully z ludźmi z różnych kempingów i komun. Parę osób kojarzyło Chmurę, ale nikt nie wiedział, gdzie ją znaleźć. Z Issaquah pojechali do Cle Elem, a potem do Ellensburga. Marah dosłownie spijała słowa z ust Tully.

Kończyli późną kolację w North Bend, gdy zadzwonił Fred, żeby donieść, że ostatni comiesięczny czek dla Chmury został zrealizowany w banku na Vashon Island.

– Moglibyśmy tam dotrzeć za godzinę – mruknął Johnny.

– Myślisz, że ją znajdziemy? – zapytała Tully, słodząc kawę.

Po raz pierwszy byli tego dnia sami. Gruby Bob był w vanie, a Marah poszła do łazienki. Johnny spojrzał na Tully.

– Myślę, że nie da się zmusić kogoś, żeby nas kochał.

– Nawet swoich rodziców?

– Zwłaszcza swoich rodziców.

Przypomniała jej się łącząca ich kiedyś więź. To było wspólne doświadczenie. Samotne dzieciństwo.

– Jak to jest być kochanym, Johnny?

– Nie o to chciałaś zapytać. Chcesz wiedzieć, jak to jest kochać kogoś. – Uśmiechnął się do niej tak, że wyglądał jak dzieciak. – Poza samą sobą, oczywiście.

Odchyliła się do tyłu.

– Chyba muszę zmienić przyjaciół.

– Nie dam się zbyć, wiesz o tym. Lepiej się z tym pogódź. Wciągnęłaś mnie w tę historię. Kamera tam będzie i zarejestruje wszystko. Jeśli chcesz się wycofać, to teraz.

– Ty mnie ochronisz.

– O tym właśnie mówię, Tully. Nie ochronię cię. Będę nagrywał materiał. Tak jak ty w Niemczech.

Zrozumiała, o co mu chodzi. Przyjaźń znika, gdy robi się materiał. To podstawa dziennikarstwa.

– Tylko staraj się mnie kręcić z lewego profilu. To ten lepszy.

Johnny uśmiechnął się i zapłacił rachunek.

– Idź po Marah. Jeśli się pośpieszymy, może złapiemy ostatni prom.

Jednak spóźnili się i spędzili noc w trzech pokojach podupadłego hotelu w pobliżu przystani.

Następnego dnia rano Tully obudziła się z bólem głowy, na który nie pomagała żadna ilość aspiryny. Mimo to ubrała się, umalowała i zjadła śniadanie w jakimś podrzędnym barze, który polecił Gruby Bob. O dziewiątej rano byli już na promie i zmierzali ku zajmującej się hodowlą borówek komunie na Vashon Island.

Na każdym kroku, z każdą pokonywaną milą kamera nagrywała Tully. Nagrywała ją też, gdy Tully, wciąż się uśmiechając, rozmawiała z pracownikami banku, gdzie

zrealizowano ostatni czek, i pokazała im stare, pogniecione zdjęcie matki – jedyną jej fotografię, jaką posiadała.

Dopiero gdy przed dziesiątą podjechali pod gospodarstwo SUNSHINE FARMS, Tully zaczęła tracić fason. Komuna miała typowy wygląd: akry ziemi uprawnej, niechlujni ludzie ubrani w jakieś zgrzebne łachy, rzędy przenośnych toalet. Tylko mieszkali inaczej. Tutaj schronienie oferowały nie kampery, ale okrągłe namioty zwane jurtami. Było ich co najmniej trzydzieści, rozstawionych wzdłuż rzeki.

Johnny wjechał na parking i wysiadł z vana. Gruby Bob wysiadł także.

Marah zapytała pełnym troski tonem:

– Wszystko w porządku, ciociu?

– Bądź cicho, Marah – polecił córce Johnny. – Chodź do mnie. Tully wiedziała, że na nią czekają, ale nadal się nie ruszała. Ludzie zawsze na nią czekali, to jeden z przywilejów celebrytów.

– Dasz radę – powiedziała do wystraszonej kobiety we wstecznym lusterku.

Przez całe życie chroniła swoje serce, tworząc wokół niego pancerz, a teraz świadomie go zdejmowała, odsłaniając czułe miejsce. Ale czy mogła postąpić inaczej? Jeśli chce, by ona i jej matka miały kiedykolwiek jakąś szansę, to musi zrobić pierwszy krok.

Ostrożnie otworzyła drzwi auta i wysiadła.

Gruby Bob z kamerą już tam był.

Tully wzięła głęboki oddech i się uśmiechnęła.

– Jesteśmy w komunie Sunshine Farms. Dowiedzieliśmy się, że moja matka mieszka tutaj podobno od tygodnia, choć nie przesłała jeszcze tego adresu prawnikowi, więc nie wiemy, czy zamierza zostać tu dłużej.

Tully podeszła do długiego rzędu stołów z cedrowymi zadaszeniami, przy których zmęczone kobiety sprzedawały różne produkty. Borówki, dżemy, syropy, jagodowe masło i rękodzieło w stylu ilustracji Holly Hobbie. Nikt się nie przejmował tym, że nagrywa ich kamera. Albo że rozmawia z nimi gwiazda.

– Nazywam się Tallulah Hart i szukam tej kobiety. – Pokazała zdjęcie.

Gruby Bob przesunął się na jej lewą stronę i trzymał się blisko. Ludzie nie mają pojęcia, jak blisko musi czasem być kamera, żeby złapać wyraz twarzy.

– Chmura – stwierdziła jedna z kobiet bez uśmiechu.

Serce Tully zaczęło bić szybciej.

– Tak.

– Już jej tu nie ma. Uznała, że to dla niej za dużo pracy. Ostatnio była chyba w Mulberry. A co zrobiła?

– Nic. To moja matka.

– Mówiła, że nie ma dzieci.

Tully wiedziała, że kamera uchwyciła jej reakcję na te słowa, grymas bólu.

– Jakoś mnie to nie zaskakuje. A jak się dostaniemy do tego Mulberry?

Gdy kobieta wyjaśniała, jak tam trafić, Tully ogarnął niepokój. Odeszła i zbliżyła się do płotu, żeby być przez chwilę sama. Johnny podszedł do niej i przysunął się blisko.

– W porządku? – zapytał na tyle cicho, by kamera nie zdołała zarejestrować jego głosu.

– Boję się – szepnęła, patrząc na niego.

– Wszystko będzie okej. Ona nie może cię już skrzywdzić. Jesteś Tallulah Hart, pamiętasz o tym?

Tego właśnie potrzebowała. Uśmiechnęła się, poczuła się silniejsza, więc odsunęła się i ruszyła, patrząc prosto w kamerę.

Nawet nie otarła łez z oczu.

– Ja chyba nadal pragnę, żeby mnie kochała – wyznała cicho. – Chodźmy.

Wsiedli z powrotem do vana i wyjechali na szosę. Przy Mill Road skręcili w lewo i jechali wyboistą żwirową drogą, aż zobaczyli beżową przyczepę kempingową. Stała na betonowych blokach pośród trawy, otoczona pordzewiałymi, zepsutymi samochodami. Z przodu leżała przewrócona na bok lodówka, a obok podarte i połamane krzesło turystyczne. Trzy zaniedbane pitbulteriery były przypięte do płotu łańcuchami. Wściekły się, gdy van wjechał na teren, rzucały się, szczekały i warczały.

– Jak w *Uwolnieniu* – zauważyła Tully, uśmiechając się słabo, gdy sięgała ku klamce w drzwiach auta.

Wysiedli wszyscy i ruszyli: Tully na czele, krocząca z udawaną pewnością siebie, obok Gruby Bob, który rejestrował każdą chwilę na taśmie, a za nimi Johnny, który trzymał Marah za rękę i przypominał, żeby była cicho.

Tully podeszła do drzwi przyczepy i zapukała.

Nikt nie odpowiedział.

Starała się usłyszeć kroki, ale ujadające psy wszystko zagłuszały. Zapukała raz jeszcze i już miała z ulgą stwierdzić: „Mamy pecha!”, gdy drzwi otwarły się gwałtownie, ukazując wielkiego, rozczochranego faceta w bokserkach. Połowę jego pękatego i owłosionego brzucha pokrywał tatuaż przedstawiający kobietę w hawajskiej spódniczce.

– Czego? – zapytał, drapiąc się pod pachą.

– Chciałam się zobaczyć z Chmurą.

Przechylił głowę na bok i wyszedł z przyczepy, minął Tully i skierował się do psów.

Oczy Tully aż zaczęły łzawić od odoru, który dochodził z wnętrza. Miała ochotę odwrócić się do kamery i powiedzieć

coś dowcipnego, ale nie była w stanie nawet przełknąć śliny, tak się denerwowała. W środku walało się mnóstwo starych pojemników po śmieciowym jedzeniu. Wszędzie były muchy i pudełka po pizzy z resztkami. Ale Tully widziała przede wszystkim puste butelki po alkoholu i bonga. Na kuchennym stole leżała spora kupka marihuany.

Tully nie wskazała jej i nic nie powiedziała.

Gruby Bob szedł tuż za nią, filmując jej wędrówkę przez przypominające piekło wnętrze przyczepy.

Podeszła do zamkniętych drzwi za kuchnią, zapukała i otworzyła je, odsłaniając najobrzydliwszą łazienkę na świecie. Zatrzasnęła drzwi i ruszyła do następnych. Tam zapukała dwa razy, a potem przekręciła gałkę. Sypialnia była mała, a pomniejszały ją jeszcze porozrzucane wszędzie ubrania. Trzy puste dwulitrowe butelki po dżinie Monarch stały przy nocnym stoliku.

Jej matka leżała zwinięta na boku na nieposłanym łóżku, otulona zniszczonym niebieskim kocem. Tully nachyliła się i zauważyła, jak bardzo jej skóra pomarszczyła się i poszarzała. „Chmuro?”. – Wypowiedziała jej imię trzy albo cztery razy, ale kobieta nie zareagowała. Wreszcie Tully sięgnęła i dotknęła ramienia matki, najpierw delikatnie, a potem już mniej.

– Chmuro!

Gruby Bob przesunął się i skierował obiektyw kamery na leżącą postać. Matka Tully powoli otworzyła oczy. Potrzebowała sporo czasu, żeby skupić spojrzenie; miała dziwnie nieobecny wyraz twarzy.

– Tallulah?

– Cześć, Chmuro.

– Tully – powiedziała matka, jakby właśnie przypomniała sobie, jak córka lubiła być nazywana. – Co ty tu robisz? I kim, do cholery, jest ten gość z kamerą?

– Szukam cię.

Chmura usiadła powoli i sięgnęła do brudnej kieszeni po papierosa. Gdy go zapaliła, Tully zauważyła, jak niesprawną ma rękę. Potrzebowała trzech prób, by trafić ogniem w końcówkę papierosa.

– Myślałam, że jesteś w Nowym Jorku i zdobywasz sławę albo bogactwo. – Spojrzała nerwowo w kamerę.

– I to, i to – odpowiedziała Tully, nie potrafiąc ukryć dumy w głosie. Niemniej nie było jej miłe to, że nadal, po tylu rozczarowaniach, pragnie podziwu ze strony tej kobiety. – Długo tu mieszkasz?

– A co cię to obchodzi? Ty sobie mieszkasz w jakimś eleganckim miejscu, a ja tu gniję.

Tully przyjrzała się matce, dostrzegając brudne, nieczesane włosy poprzetykane siwizną, workowate, poplamione bojówki z wystrzępionymi nogawkami, znoszoną flanelową koszulę, która miała krzywo zapięte guziki. I ta jej twarz. Pomarszczona, brudna i poszarzała od papierosów, alkoholu i życia w biedzie. Chmura nie miała nawet sześćdziesięciu lat, a wyglądała na siedemdziesiąt pięć. Jej delikatna uroda ulotniła się, zniszczona życiem pełnym ekscesów.

– Nie możesz tego chcieć, Chmuro. Nawet ty…

– Nawet ja – co? Po co mnie szukałaś, Tully?

– Jesteś moją matką.

– Dajmy temu spokój. – Chmura odchrząknęła i odwróciła wzrok. – Muszę się stąd wydostać. Może mogłabym pomieszkać u ciebie parę dni. Wziąć kąpiel. Zjeść coś.

Tully wcale nie spodobało się to, co poczuła po tych słowach. Całe życie czekała na to, by matka chciała pojechać z nią do domu, ale zdawała sobie sprawę, że to bardzo niebezpieczna chwila.

– Okej.

– Naprawdę? – Niedowierzanie na twarzy Chmury dowodziło, jak niewiele miały do siebie zaufania.

– Naprawdę.

Na ułamek sekundy Tully całkowicie zapomniała o obecności kamery. Wyobraziła sobie niewyobrażalne: że mogłyby stać się matką i córką, a nie obcymi sobie osobami.

– Chodź, Chmuro. Zaprowadzę cię do samochodu.

Tully wiedziała, że nie powinna wierzyć w możliwość nawiązania relacji z matką, ale ta perspektywa była niczym oszałamiający koktajl nadziei, którego smak skłaniał do lekkomyślności. Może będzie wreszcie miała swoją rodzinę.

Kamera wszystko to rejestrowała: nadzieję, strach i tęsknotę Tully. Podczas długiej podróży do domu, gdy Chmura spała zwinięta w kącie samochodu, Tully otworzyła się całkowicie. Odpowiadała na pytania Johnny'ego z niespotykaną szczerością, przyznając się choćby do tego, jak bardzo raniła ją nieobecna matka. Tyle że teraz Tully dodała nowe określenie. Uzależniona. Bo odkąd znała swoją matkę, Chmura albo brała dragi, albo piła, albo i jedno, i drugie.

Im więcej Tully o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że to właśnie jest źródłem ich problemów. Jeśli zdoła wysłać matkę na odwyk i pomoże jej przetrwać terapię, to może zaczną wszystko od początku. Tak zapaliła się do tego pomysłu, że zadzwoniła do swojego szefa w CBS i poprosiła o więcej wolnego, żeby móc być dobrą córką i pomóc matce wyzdrowieć.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – zapytał Johnny, gdy się rozłączyła.

Znajdowali się w salonie luksusowego apartamentu Kaskada w hotelu Fairmont Olympic w Seattle. Gruby Bob siedział przy

oknie na wyścielanym krześle i nagrywał całą tę rozmowę na taśmę. Kamery i sprzęt zajmowały większość podłogi; wielkie reflektory oświetlały kanapę, która stała się sceną wydarzeń. Marah umościła się w wygodnym fotelu i czytała książkę.

– Ona mnie potrzebuje – oznajmiła Tully wprost.

Johnny wzruszył ramionami i nic już nie mówił, tylko patrzył na nią.

– Cóż. – Tully wstała i się przeciągnęła. – Chyba się kimnę. – I rzuciła do Grubego Boba: – Na dzisiaj koniec. Wyśpij się. Jutro zaczynamy o ósmej.

Bob pokiwał głową, spakował sprzęt i poszedł do swojego pokoju na tym samym piętrze.

– Czy mogę spać z ciocią Tully? – zapytała Marah, upuszczając książkę na podłogę.

– Ja nie mam nic przeciwko – oznajmił Johnny. – Jeśli Tully się zgodzi.

– Żartujesz? Piżama party z moją ulubioną chrześnicą to idealne zakończenie dnia.

Gdy Johnny poszedł do swojego pokoju, Tully odegrała rolę matki: kazała Marah umyć zęby i twarz oraz przebrać się w piżamę.

– Jestem za duża na piżamę – wymądrzała się Marah, ale gdy położyła się do łóżka, przytuliła się do Tully jak mała dziewczynka, którą była jeszcze tak niedawno.

– To było ekstra, ciociu – powiedziała sennym głosem. – Ja też zostanę gwiazdą telewizji, jak dorosnę.

– Nie mam co do tego wątpliwości.

– O ile mama mi pozwoli, bo pewnie nie.

– Co masz na myśli?

– Mama na nic mi nie pozwala.

– Wiesz, że twoja mama jest moją najlepszą przyjaciółką, prawda?

– Tak – odpowiedziała marudnym tonem Marah.

– A jak myślisz, dlaczego?

Marah obróciła się, by na nią spojrzeć.

– Dlaczego?

– Bo twoja mama jest odjazdowa.

Marah się skrzywiła.

– Moja mama? Ona nigdy nie robi nic fajnego.

Tully potrząsnęła głową.

– Marah, twoja mama kocha cię bez względu na wszystko i jest z ciebie dumna. Wierz mi, królewno, że to najfajniejsza rzecz na świecie.

Następnego ranka Tully wstała wcześnie i wyszła na hotelowy korytarz. Tam zatrzymała się przed jednymi z drzwi, zebrała na odwagę i zapukała. Gdy nikt nie odpowiedział, delikatnie je otworzyła.

Jej matka jeszcze spała. Tully uśmiechnęła się i bezszelestnie wycofała. Potem zapukała do pokoju Johnny'ego. Otworzył szybko, owinięty hotelowym ręcznikiem i z mokrymi włosami.

– Myślałem, że zaczynamy o ósmej.

– Zgadza się. Chcę tylko zorganizować Chmurze trochę ubrań na pobyt w klinice i jakieś śniadanie dla nas wszystkich. Marah jeszcze śpi.

Johnny zmarszczył brwi.

– Strasznie pędzisz, Tully. Sklepy o tej porze są zamknięte.

– Zawsze byłam prędka. Przecież wiesz, Johnny. Poza tym dla Tallulah Hart nie ma zamkniętych drzwi. To jeden z plusów życia celebrytki. Masz klucz do mojego pokoju?

– Tak. Zaraz tam zajrzę. Bądź ostrożna.

Ignorując jego zatroskanie, poszła do Public Market i nakupiła croissantów, pączków i bułeczek cynamonowych. Chmura powinna przytyć parę kilogramów. A potem zajrzała do La Dolce, gdzie kupiła dżinsy, koszulki, buty, majtki i staniki, a także najgrubszą kurtkę, jaką udało jej się znaleźć. O dziewiątej była z powrotem w hotelu.

– Wróciłam – oznajmiła, stopą zatrzaskując za sobą drzwi. – Zobaczcie, co kupiłam. Rzuciła ubrania na oparcie kanapy i odstawiła torby na podłogę. Na małym stoliku w salonie zaczęła układać bułeczki i pączki.

Gruby Bob siedział w kącie i nagrywał jej wejście. Uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Mama musi przytyć parę kilo. To powinno pomóc. Wzięłam prawie wszystkie rodzaje kawy ze Starbucksa. Nie wiem, jaką lubi.

Johnny siedział na sofie i wyglądał na znużonego.

– Nastrój jak w kostnicy – zauważyła Tully, po czym podeszła do drzwi pokoju matki i zapukała. – Chmuro?

Cisza.

Zapukała raz jeszcze.

– Chmuro? Jesteś w łazience? Wchodzę.

Otworzyła drzwi. Poczuła zapach papierosów i zobaczyła otwarte okno. Łóżko było puste.

– Chmuro? – Przeszła do łazienki, w której wciąż było pełno pary. Grube ręczniki z egipskiej bawełny leżały na podłodze. Myjkę i ręcznik do rąk pozostawiono brudne w umywalce.

Tully wycofała się z zaparowanej łazienki i natknęła na Johnny'ego i kamerę.

– Wyszła?

– Pół godziny temu – odpowiedział. – Próbowałem ją zatrzymać.

Tully była zaskoczona tym, jak bardzo czuje się zdradzona. Niczym dziesięcioletnia dziewczynka porzucona na ulicy w Seattle. Oniemiała i niechciana.

Johnny podszedł do niej, objął ją i przytulił. Chciała go zapytać dlaczego, co z nią jest nie tak, że nikt nigdy z nią nie zostaje, ale pytanie uwięzło jej w gardle. Przywarła do Johnny'ego na długo, korzystając z pociechy. Głaskał ją po głowie i szeptał do ucha „ćśśś", jakby była dzieckiem.

Po jakimś czasie Tully przypomniała sobie, gdzie jest, cofnęła się i zmusiła do posłania uśmiechu do kamery.

– Cóż, tak to jest. Koniec filmu. Mam dość, Bob.

Ominęła Johnny'ego i wróciła do swojego pokoju, gdzie usłyszała Marah śpiewającą pod prysznicem. Łzy napłynęły jej do oczu, ale nie pozwoliła im popłynąć. Nie da się złamać matce po raz kolejny. Była idiotką, myśląc, że to mogłoby się skończyć w jakikolwiek inny sposób.

A potem zauważyła pusty stolik nocny.

– Ta dziwka ukradła mi biżuterię.

Tully zamknęła oczy i usiadła na skraju łóżka. Wyciągnęła komórkę z kieszeni, wybrała numer Kate i słuchała sygnału. Gdy przyjaciółka odebrała, Tully nawet się nie przywitała.

– Coś jest ze mną nie tak, Katie – powiedziała cichym i drżącym głosem.

– Odeszła?

– Jak złodziej wykradający się w nocy.

– Tallulah Rose Hart, posłuchaj mnie teraz uważnie. Rozłączysz się i pojedziesz od razu na prom. Ja się tobą zajmę. Jasne? I zabierz ze sobą moją rodzinę.

– Nie musisz krzyczeć. Jadę. Wszyscy jedziemy. Ale lepiej miej dla mnie przyszykowany alkohol. I nie zamierzam go mieszać z tym obrzydliwym sokiem, który piją twoje dzieci.

Kate się roześmiała.

– Jest rano, Tully. Przyszykuję ci śniadanie.

– Dzięki, Kate – powiedziała cicho Tully. – Jestem twoją dłużniczką.

Gdy podniosła wzrok, zobaczyła Grubego Boba. Filmował to wszystko z drzwi, a obok stał Johnny. Ale nie załamała jej ani czerwona lampka kamery, ani świadomość publicznego upokorzenia, ani wszystkowidzący obiektyw.

To Johnny i jego smutne, pełne zrozumienia spojrzenie sprawiło, że w końcu się rozpłakała.

27

Dokument puszczono w telewizji dwa tygodnie później i nawet Kate, przyzwyczajona do sukcesów Tully, była zaskoczona reakcją publiczności. Zapanowała medialna gorączka. Przez całe lata kamera pokazywała Tully jako chłodną i bystrą profesjonalistkę, która z dystansem przedstawia pokazywane historie. A teraz widzowie dowiedzieli się, że została zawiedziona i porzucona. Dostrzegli w tej dziennikarce kobietę i nie mogli przestać o niej mówić. Najczęściej powtarzana fraza brzmiała: „Zupełnie jak ja”. Przed emisją filmu widzowie szanowali Tully Hart. Po niej zaczęli ją uwielbiać. Pojawiła się na okładkach „People” i „Us” w jednym tygodniu. Film – a przynajmniej jego fragmenty – odtwarzano w wielu innych programach. Ameryka nie mogła się napatrzeć na Tully Hart.

Lecz gdy wszyscy inni patrzyli na Tully i widzieli jej smutne spotkanie z obojętną matką, Kate dostrzegała coś zupełnie innego. Ona też obsesyjnie oglądała ten materiał. Nie mogła nie zauważyć, jak Johnny patrzył na Tully na samym końcu, gdy przyjaciółka dowiedziała się o zniknięciu Chmury, jak podszedł do niej i wziął ją w ramiona. A do tego ta cicha rozmowa tych dwojga w gospodarstwie Sunshine Farms. Wycięto ich słowa i po chwili kamera skierowała się na komunę, ale Kate cały czas się zastanawiała, co sobie wtedy powiedzieli. Analizowała mowę ich ciał niczym prymatolog, ale ostatecznie miała tylko to, co na początku: dwoje przyjaciół, którzy pracują razem nad poruszającym dokumentem, i żonę, która od dawna się

niepokoi ich bliskością. I na tym powinno się to skończyć. Skoro nic innego się nie wydarzyło, Kate powinna odłożyć swoją starą zazdrość i schować ją gdzieś głęboko, tak jak już wielokrotnie robiła.

Ale coś się jednak wydarzyło.

Szefowie Syndiworld, drugiej pod względem wielkości firmy handlującej programami na świecie, po obejrzeniu dokumentu zaproponowali Tully jej własny godzinny show, do którego ona miałaby większość praw.

Ta propozycja wstrząsnęła światem Tully, zaoferowała jej możliwość bycia sobą przed kamerą, pokazania, kim tak naprawdę jest i co tak naprawdę czuje. I na dodatek koniec ze wstawaniem o trzeciej nad ranem. Gdy tylko usłyszała tę ofertę, powiedziała, że właśnie tego potrzebuje, ale i tak postawiła dwa warunki: po pierwsze, nagrania muszą się odbywać w Seattle, a po drugie, jej producentem ma być John Ryan. Żadnej z tych rzeczy nie uzgodniła ze swoimi przyjaciółmi.

Kate i Johnny siedzieli na tarasie od ogrodu i rozmawiali przy drinku o minionym dniu, gdy zadzwonił telefon.

Johnny roześmiał się, słysząc propozycję Tully, i powiedział, żeby znalazła sobie producenta, który specjalizuje się w primadonnach. A wtedy Tully wspomniała o milionowej gaży.

I teraz, dwa dni później, Kate wcale nie było do śmiechu. Ona i Johnny rozmawiali w salonie, starając się nie podnosić głosu, bo dzieci poszły już spać. Tully wróciła do Nowego Jorku i bez wątpienia siedziała przy telefonie i czekała, czy jak zwykle wszystko ułoży się po jej myśli.

– Nie wiem, dlaczego się ze mną o to kłócisz, Katie – powiedział Johnny, chodząc w tę i z powrotem wzdłuż okna. – To zmieni nasze życie.

– A teraz nie jest dobre?

– Czy ty nie rozumiesz, ile to pieniędzy? Moglibyśmy spłacić ten dom i wysłać dzieci na Harvard na medycynę. A ja mógłbym zrobić parę programów, które miałyby jakieś znaczenie. Tully powiedziała, że mógłbym pokazać miejsca na świecie, gdzie dzieje się coś złego. Wiesz, ile by to dla mnie znaczyło?

– Na tym ma teraz polegać twoja kariera, że każde zdanie będziesz zaczynał od: „Tully powiedziała”?

– Pytasz, czy dam radę dla niej pracować? Odpowiedź brzmi: tak, do diabła, tak. Pracowałem dla o wiele gorszych ludzi niż Tully Hart.

– Może pytam, czy powinieneś dla niej praco-wać – powiedziała ostrożnie Kate.

Zatrzymał się nagle i spojrzał na nią.

– Chyba sobie żarty robisz. O to w tym wszystkim chodzi? O jedną noc milion lat temu?

– To niewiarygodnie piękna kobieta. Myślę po prostu… – Kate nie mogła dokończyć, nie była w stanie wyrazić słowami swoich dawnych lęków i niepewności.

Spojrzenie, którym obrzucił ją Johnny, było tak gorące, że miała wrażenie, jakby się pod nim topiła, znikała.

– Nie zasłużyłem sobie na to.

Patrzyła, jak wbiega po schodach i usłyszała trzaśnięcie drzwi sypialni.

Siedziała długo, wpatrując się w obrączkę na palcu. Dlaczego niektórych wspomnień nie da się wymazać? Powoli pogasiła światła, zamknęła wszystkie drzwi i poszła na górę. Pod zamkniętymi drzwiami sypialni przystanęła i wzięła głęboki oddech. Wiedziała, co musi teraz zrobić, co powinna powiedzieć. Zraniła jego uczucia i obraziła go. Oboje wiedzieli, że to wyjątkowa szansa. Jej niepewność i zazdrość nie mogą stanąć temu na drodze.

Musiała podejść do męża, przeprosić i powiedzieć, że jej strach jest głupi. Powiedzieć, że wierzy w jego miłość, tak jak wierzy w słońce i deszcz. Bo taka była prawda. Wierzyła. I dlatego powinna być dumna z Johnny'ego i szczęśliwa, że dostał taką szansę i możliwość rozwoju. Na tym polega małżeństwo, to sport drużynowy, a teraz przypadła jej rola cheerleaderki. Lecz nawet mając świadomość tego wszystkiego, Kate nie potrafiła się cieszyć.

Bała się.

Tak, będą bogaci. A może nawet wpływowi.

Ale jakim kosztem?

Tully rozwiązała swój kontrakt, wystąpiła w ostatnim emocjonalnym i pełnym znanych gości programie i pożegnała się z Nowym Jorkiem. Wynajęła penthouse w Seattle, które nazywano Szmaragdowym Miastem, i spędziła miesiąc na spotkaniach za zamkniętymi drzwiami, szykując plany swojego nowego show, który nazwała *Dziewczyńską godziną z Tully Hart* na cześć świątecznej tradycji Mularkeyów. Ona i Johnny spędzali wiele godzin, pracując razem jak za dawnych czasów, uzupełniając ekipę, projektując scenografię i wymieniając się pomysłami na program.

W sierpniu 2003 roku przygotowania były na ukończeniu, a Tully uświadomiła sobie, że znów tak zaangażowała się w pracę, że zapomniała, jak się żyje. Mając Kate po drugiej stronie zatoki, prawie się z nią nie widywała. Wzięła więc telefon i zaprosiła swoją najlepszą przyjaciółkę i chrześnicę, by spędziły z nią cały dzień.

– Przykro mi – powiedziała Kate. – Nie mogę przyjechać do miasta.

– No proszę – błagała Tully. – Wiem, że rzadko dzwoniłam tego lata, ale pracowaliśmy z Johnnym po dwanaście godzin dziennie.

– Jakbym nie wiedziała. Spędzasz z nim więcej czasu niż ja.

– Tęsknię za tobą.

Nastąpiła chwila ciszy. A potem:

– Ja za tobą też, ale dzisiaj nie jest najlepszy dzień. Chłopcy będą mieli gości.

– To może zabiorę gdzieś Marah? – powiedziała Tully, natychmiast ciesząc się z takiej perspektywy. – Mogłabym wziąć ją do Gene Juarez na lekcję manikiuru i makijażu. I może masaż twarzy. Byłoby super. Takie dziewczyńskie wyjście.

– Ona jest za młoda na spa, Tully. – Kate roześmiała się, ale wydawała się nieco spięta. – I zapomnij o makijażu. Do dziewiątej klasy nie wolno jej się malować.

– Nikt nie jest za młody na spa, Kate, i jesteś szalona, że zakazujesz jej się malować. Pamiętasz, jak twoja mama robiła to samo? Malowałyśmy się na przystanku. Nie chcesz, żeby nauczyła się, jak to porządnie robić?

– Na razie nie.

– Daj spokój – upierała się Tully. – Wsadź ją na prom o jedenastej piętnaście. Odbiorę ją z McDonalda. Mówiłaś, że i tak się ciągle kłócicie.

– Cóż… Niech będzie. Ale żadnych filmów od szesnastu lat, choćby nie wiem jak błagała.

– Okej.

– Może to poprawi jej humor. Jutro jedziemy na zakupy do szkoły, co jest tylko odrobinę mniej bolesne od kanałowego leczenia zęba. Bez znieczulenia.

– To może zabiorę ją do Nordstroma i kupię coś ekstra.

– Czterdzieści dolarów.

– Co?

– Tyle możesz wydać i ani grosza więcej. I, Tully, jeśli kupisz jej coś, co odsłania brzuch, to…

– Wiem, wiem. Britney Spears to antychryst. Rozumiem.

– To dobrze. Idę powiedzieć Marah.

Równo godzinę i dwanaście minut później Tully poprosiła szofera, żeby podjechał pod McDonalda przy Alaskan Way. Sądząc po rozlegających się klaksonach, nie wolno tu było parkować, ale co ją to obchodziło?

Opuściła szybę i zobaczyła biegnącą ku nim Marah.

– Tutaj – zawołała Tully i wysiadła z samochodu.

Marah mocno się do niej przytuliła.

– Wielkie dzięki, ciociu, że mogłam się wyrwać z domu. Mama czepia się mnie przez cały dzień. Co będziemy robić?

– Może makijaż w Gene Juarez?

– Ekstra.

– A potem możemy robić, co będziesz chciała.

– Jesteś taka odjazdowa – stwierdziła Marah, patrząc na Tully z najczystszym zachwytem.

Tully się roześmiała.

– Obie jesteśmy odjazdowe. I dlatego stanowimy idealną drużynę.

28

Dziewczyńska godzina okazała się spektakularnym sukcesem od pierwszego dnia emisji. Tully była już kimś więcej niż dziennikarką czy prezenterką porannych wiadomości; stała się prawdziwą gwiazdą. Wszystko w programie zaplanowano tak, by podkreślić jej zalety i pokazać talent.

A miała talent – i to od zawsze – do rozmawiania z ludźmi. Nawiązywała kontakt nie tylko z kamerą, ale także ze swoimi gośćmi, z publicznością w studiu i publicznością przed odbiornikami. W ciągu pierwszych dwóch tygodni nadawania *Dziewczyńskiej godziny* stała się prawdziwą sensacją. Pojawiła się na okładkach magazynów „People", „Entertainment Weekly", „Good Housekeeping" czy „In Style". Syndiworld nie nadążało z realizacją zamówień, tak wiele nowych rynków interesowało się programem Tully.

A najważniejsze, że to był jej własny show. Oczywiście dzieliła udziały z Syndiworld, a drobną część mieli Ryanowie, ale to ona była głównym udziałowcem. Jak wiadomo, sukces choćby w połowie taki jak *Oprah* to fantastyczne osiągnięcie.

Tully siedziała właśnie w swoim gabinecie i przeglądała notatki, przygotowując się do nagrania, które – spojrzała na zegar – miało się zacząć za dwadzieścia pięć minut. Do tego odcinka zaprosiła znaną osobę. To miał być przemiły i pełen uśmiechów wywiad. Szczerze mówiąc, dziennikarka w Tully nadal jeżyła się na te elementy, ale bizneswoman nad nią górowała. Widzowie nie mogli się nasycić byciem blisko swoich

ulubieńców. Johnny wytrzymywał to, bo w zamian miał w programie swoje wstawki poświęcone ratowaniu świata.

Ktoś zapukał do drzwi i zapytał:

– Pani Hart?

Tully obróciła się w fotelu.

– Tak?

– Jest tu pani chrześnica. Ma jej pani chyba pokazać swoją pracę.

– Świetnie! – Tully od razu się zerwała. – Proszę ją wpuścić.

Drzwi otworzyły się szerzej, ukazując Johnny'ego w spłowiałych dżinsach i granatowym kaszmirowym swetrze.

– Hej – powiedział.

– Hej.

Stojąca obok niego Marah nie potrafiła ukryć ekscytacji.

– Cześć, ciociu. Tata powiedział, że mogę z tobą spędzić cały dzień.

Tully podeszła do nich.

– Córka idealna. Chcesz zobaczyć, jak wygląda praca w programie?

– Nie mogę się doczekać.

Tully zwróciła się do Johnny'ego, o ułamek sekundy za późno uświadamiając sobie, że są zbyt blisko. Dostrzegła drobny fragment jego skóry koło ucha, tam, gdzie się niedokładnie ogolił.

– Będę u siebie, gdybyście mnie potrzebowały. Tylko nie kup jej samochodu. Ani konia.

– Ale coś małego mogę?

– Komuś innemu powiedziałbym, że tak, ale u ciebie coś małego to może być na przykład diament.

– Myślałam o firmowej torbie z upominkami od *Dziewczyńskiej godziny*.

– Doskonale.

Tully uśmiechnęła się do niego.

– Jesteś moim producentem. Powinieneś mi nieustannie mówić, że jestem doskonała.

Popatrzył na nią.

– Cały świat tak uważa.

Nagle pojawiły się między nimi te wszystkie lata, chwile, rozmowy, szanse, z których nie skorzystała. Przynajmniej jej się one przypomniały; nie znała go już tak dobrze, by umieć odczytać wyraz jego twarzy. Choć pracowali razem codziennie, zawsze byli otoczeni ludźmi i skupieni na swoich obowiązkach. W weekendy, gdy bywała w jego domu, on był mężem Katie i Tully trzymała się na dystans.

Johnny nie poruszył się, nie uśmiechnął.

Tully za to się uśmiechnęła i cofnęła, mając nadzieję, że jej uśmiech wygląda na szczery.

– Chodź, Marah, poudawajmy mamę i córkę. Lindsay Lohan czeka już w green roomie. Możesz ją zapytać, jakie były jej początki.

W słoneczną środę w pierwszym tygodniu września Kate stała na chodniku przed szkołą podstawową Ordway. Parking, który zaledwie przed chwilą był zapchany podjeżdżającymi do krawężnika autobusami i przesuwającymi się centymetr za centymetrem samochodami – głównie SUV-ami i minivanami – teraz opustoszały. Dzwonek zadzwonił i ucichł, a dyrektor wrócił do ceglanego budynku z płaskim dachem, by rozpocząć nowy dzień zajęć. Na jesiennym wietrze łopotały dwie flagi.

– Jeszcze płaczesz? – Tully chciała ją pocieszyć, ale głos ją zdradził. Za jej słowami kryło się rozbawienie.

– Odwal się. I mówię to bardzo uprzejmie.

– Daj spokój, zabiorę cię do domu.

– Ale… – Kate spojrzała na okno na samym końcu szkoły. – Któryś z nich może mnie potrzebować.

– Poszli do zerówki, a nie na operację na otwartym sercu. A ty masz co robić.

Kate westchnęła i otarła oczy.

– Wiem, że to głupie.

Tully uścisnęła jej dłoń.

– Wcale nie. Pamiętam swój pierwszy dzień w szkole. Bardzo zazdrościłam dzieciom, których mamy płakały.

– Naprawdę doceniam, że tu dziś ze mną jesteś. Wiem, jak trudno ci się wyrwać ze studia.

– Mój producent dał mi dzień wolny – odpowiedziała Tully z uśmiechem. – Chyba leci na moją najlepszą przyjaciółkę.

Ruszyły chodnikiem pod drzewami do samochodu. Kate wsiadła za kierownicę swojego nowego niebieskiego SUV-a i włączyła silnik. Tully nachyliła się z siedzenia pasażera i wsunęła płytę CD do odtwarzacza. Z głośników popłynęła *Jessie's Girl* Ricka Springfielda. Kate się roześmiała.

Wyjechały ze szkolnego parkingu, kupiły sobie po latte w drive-through i zanim dotarły do domu, czuła się już dużo lepiej. W zagraconym, zarzuconym zabawkami salonie opadła na ulubiony fotel Johnny'ego i położyła nogi na pufie.

– I co teraz, nieustraszona liderko? Idziemy na zakupy?

– Na te żałosne trzy godziny, które mamy do dyspozycji, to raczej nie. Powinnaś była zapisać ich na całodniowe zajęcia.

Kate już to słyszała.

– Doskonale znam twoją opinię na ten temat. Ale ja akurat lubię przebywać ze swoimi dziećmi.

– W każdym razie mam jeszcze lepszy plan. – Tully klapnęła na sofę. – Pogadamy o twoim pisaniu.

Kate omal nie wypuściła kubka z kawą z ręki.

– M-m-moim pisaniu?

– Zawsze twierdziłaś, że zaczniesz znowu pisać, gdy chłopcy pójdą do szkoły.

– Dałabyś mi trochę czasu, co? Dopiero co zaczęli. Lepiej pomówmy o twoim programie. Johnny wspomniał, że…

– Przejrzałam twoją kiepską taktykę. Myślisz, że jak zaczniesz mówić o mnie, to zapomnę o bożym świecie.

– Bo tak zwykle jest.

– Fakt. Więc o czym będziesz pisać?

Kate poczuła się przyparta do muru.

– To stare marzenie, Tully.

– No wiesz, ty się też starzejesz, więc idealnie się składa.

– Czy ktoś ci już kiedyś powiedział, że jesteś suką bez serca?

– Tylko faceci, z którymi się umawiam. Daj spokój, Katie. Porozmawiaj ze mną. Widzę, że jesteś ciągle zmęczona. Wiem, że potrzebujesz w życiu czegoś więcej.

Tego Kate zupełnie się nie spodziewała. Że Tully, osoba, która dostała się na sam szczyt, dostrzeże jej depresję. Gdy to sobie uświadomiła, przestała się opierać. Tak naprawdę ostatnio była już znużona udawaniem.

– To coś więcej. Ja się czuję… zagubiona. Wszystko, co mam, powinno mi wystarczać, ale jakoś nie wystarcza. I Marah mnie wykańcza. Wszystko robię źle. Tak bardzo ją kocham, a ona traktuje mnie jak stare buty.

– Jest nastolatką.

– Ta wymówka już się trochę zużyła. Może powinnam pozwolić jej wziąć lekcje modelingu, o które się tak kłóciła. Ale nie wyobrażam sobie jej w tym świecie.

– Przypominam: miałyśmy rozmawiać o tobie – wtrąciła Tully. – Posłuchaj mnie, Katie, nie wiem, przez co przechodzisz, ale wiem, co znaczy pragnąć czegoś więcej. Czasem trzeba walczyć o coś, co jest ci niezbędne.

– I mówi to kobieta, która wypożycza moją rodzinę, gdy jej potrzebuje.

Tully się uśmiechnęła.

– Niezła z nas para, co?

Kate roześmiała się, po raz pierwszy od bardzo dawna.

– Zawsze tak było. Powiem ci coś. Pomyślę o pisaniu, jeśli ty pomyślisz o tym, żeby się zakochać.

Tully spojrzała na przyjaciółkę.

– Może łatwiej będzie pomyśleć o spędzeniu całego dnia na plaży – zawahała się. – Grant nie odzywał się do mnie, odkąd się tu przeprowadziłam.

– Wiem – odpowiedziała Kate. – Przykro mi. Ale wydaje mi się, że on nie był dla ciebie. Gdybyście do siebie pasowali, zakochałabyś się.

– Tak myślą ludzie tacy jak ty – powiedziała cicho Tully, a potem się rozpromieniła. – Chodź, zrobimy sobie margaritę.

– No, teraz mówisz z sensem. Upiję się w pierwszy dzień szkoły i to z samego rana. Idealnie.

Do zabawy karnawałowej w szkole Ordway zostało już tylko siedem dni, a Kate jak zwykle bezmyślnie zgłosiła się do zaprojektowania i wykonania dekoracji do zdjęć w trakcie balu. Była przytłoczona kupowaniem materiałów, malowaniem tła i tworzeniem imitacji nawiedzonego domu. Do tego obowiązek wożenia Marah na lekcje modelingu. Kate przez większość czasu znajdowała się na skraju załamania emocjonalnego.

A przecież miała pisać książkę. Johnny i Tully, i mama oczekiwali tego od niej. Ona sama tego od siebie oczekiwała. Była pewna, że gdy chłopcy pójdą do szkoły, będzie miała więcej czasu. Niestety, zapomniała, jak wygląda plan zajęć w zerówce.

Ledwo odstawiła chłopców do szkoły, a już trzeba było ich odbierać, a Johnny, który zawsze chętnie służył pomocą, spędzał więcej czasu w telewizyjnym studiu niż w domu. Więc Kate robiła to, co zawsze: nie ustawała w wysiłkach, mając nadzieję, że nikt nie zauważy, jak rzadko się teraz uśmiecha albo jak źle sypia.

Tego ranka o szóstej rano pocałowała Johnny'ego, żeby go obudzić, a potem poszła obudzić Marah. Od tego momentu miotała się w wirze potrzeb innych ludzi. Podwoziła, robiła zakupy, spotkała się z komitetem dekoracyjnym balu, by przez godzinę pracować z młotkiem i gwoździami. Tak się zaangażowała w pracę, że omal nie zapomniała o odebraniu chłopców. Spóźniona pobiegła do SUV-a i popędziła na drugą stronę wyspy. Ustawiła się w krótkiej kolejce samochodów odbierających dzieci, bo większość już odjechała. Zatrąbiła na chłopców i pomachała do nich.

Zadzwonił jej telefon.

– Halo? – Odebrała, sięgając do tyłu, by otworzyć drzwi.

– Mamo? – odezwała się Marah.

– Co się stało?

Marah się roześmiała, ale w wymuszony sposób.

– Nic. Nie chcę, żebyś się złościła, ale umówiłam dziś na siódmą wieczorem rodzinne spotkanie.

– Co takiego?

– Rodzinne spotkanie. Tak jakby. Bez Lucasa i Williama.

– Czy dobrze rozumiem: chcesz spotkać się ze mną i z tatą o siódmej?

– I z ciocią Tully.

– Masz jakieś kłopoty?

– Ty jak zwykle. Po prostu chcę porozmawiać.

Trzynastolatka, która chce porozmawiać z rodzicami? Marah, która chce porozmawiać z Kate? To jak śnieżyca w lipcu.

– Okej – powiedziała powoli. – Na pewno nie masz kłopotów?

– Na pewno. Do zobaczenia. Pa!

Kate wpatrywała się w telefon w swoim ręku.

– Co się dzieje? – pomyślała na głos, ale zanim cokolwiek mogło przyjść jej do głowy, drzwi z tyłu otwarły się, chłopcy wskoczyli na tylne siedzenie i Kate znów porwała fala codziennego życia.

Miała do zrobienia zakupy i gotowanie, a już o trzeciej była z powrotem pod szkołą, żeby odebrać córkę.

– Jesteś pewna, że teraz nie chcesz pogadać? – zapytała.

Marah opierała się o szybę od strony pasażera, a jej długie, czarne włosy przesłaniały niemal całą twarz. Jak zwykle miała na sobie dżinsy z opuszczonym stanem, japonki (chociaż padało), kusy różowy T-shirt i prezentowała naburmuszoną minę. Bez tego ostatniego dodatku nie ruszała się z domu.

– Gdybym chciała pogadać teraz, to nie umawiałabym spotkania. Jeju. Tak trudno zrozumieć, mamo?

Kate wiedziała, że nie powinna pozwalać córce tak się do siebie zwracać i zwykle nie pozwalała, ale tego dnia nie miała ochoty na kłótnię, więc odpuściła.

W domu poszła prosto do łazienki, wzięła dwie aspiryny i przebrała się w dres. Ignorując ból głowy, posadziła chłopców przy kuchennym stole z książkami z naklejkami i zaczęła szykować obiad. Zanim się zorientowała, była już szósta i Johnny wszedł do domu.

– Hej – powiedział, wprowadzając Tully do środka. – Zobacz, kto przyjechał ze mną na wielkie spotkanie.

Kate podniosła wzrok znad tacos, które przygotowywała.

– Hej – odparła. Przykryła patelnię pokrywką i zmniejszyła temperaturę w piekarniku, a potem wyszła ich przywitać. – Nie wiecie, o co chodzi, co?

– Ja? Ja nic nie wiem – odpowiedziała Tully.

Potem wieczór chwilami zdawał się ciągnąć, a chwilami mijać z zawrotną prędkością. Kate obserwowała córkę podczas obiadu, próbując się domyślić, o co może chodzić, ale pod koniec posiłku nie była ani odrobinę bliżej uzyskania odpowiedzi niż po południu.

– Okej – powiedziała wreszcie Marah, gdy dochodziła siódma, naczynia zostały uprzątnięte, a chłopcy oglądali na górze jakiś film.

Stojąc przy kominku, wyglądała bardzo młodo i wydawała się nieco zdenerwowana.

– Ciocia Tully uważa, że powinnam być…

– Tully wie, o co chodzi? – zapytała Kate.

– Yyy… nie – odpowiedziała szybko Marah. – Tak ogólnie uważa, że nie powinnam być dla ciebie niemiła. Powinnam cię szanować i dawać znać, jeśli coś jest dla mnie ważne.

Kate spojrzała na Johnny'ego, który w odpowiedzi przewrócił oczami.

– Więc tak – zaczęła Marah, składając dłonie. – W Nowym Jorku będzie w listopadzie kurs, na który po prostu muszę pojechać. Mnóstwo agentów i fotografów będzie szukać modelek. Tully uważa, że Eileen Ford mogłaby mnie wybrać. A mój nauczyciel modelingu zaprosił mnie osobiście.

Kate siedziała bez ruchu, zbyt zdumiona, żeby się odezwać. Nowy Jork. „Tully uważa…", „Zaprosił mnie osobiście". Od czego ma zacząć?

– Przypuszczam, że to kosztuje – powiedział Johnny.

– Och. Tak – przytaknęła Marah. – Trzy tysiące dolarów, ale to prawdziwa okazja. Będą tam wszyscy, którzy się liczą.

– Ile to dni?

– Od czternastego do dwudziestego pierwszego listopada.

– W czasie szkoły? – zapytała ostro Kate.

– To tylko tydzień… – zaczęła Marah, lecz Kate jej przerwała.

– Tylko tydzień? Żarty sobie robisz?

Marah nerwowo zerknęła na Tully.

– Mogę zabrać ze sobą podręczniki i robić prace domowe wieczorami i w samolocie, ale jeśli mi się powiedzie, to i tak nie będę musiała kończyć liceum. Będę mieć prywatnych nauczycieli.

– Ile dzieciaków z twojej grupy na zajęciach modelingu zostało zaproszonych? – zapytał Johnny spokojnym i rozsądnym tonem.

– Wszyscy – odpowiedziała Marah.

– Wszyscy? – Kate zerwała się z miejsca. – Wszyscy? W takim razie to nic szczególnego, to jakiś chwyt na wyciąganie od ludzi pieniędzy. Ty naprawdę myślisz…

– Kate – powiedział Johnny, rzucając jej ostrzegawcze spojrzenie.

Zapanowała nad gniewem, wzięła głęboki oddech.

– Nie o to mi chodziło, Marah. Ja po prostu… Nie możesz opuścić całego tygodnia szkoły, a trzy tysiące dolarów to dużo pieniędzy.

– Ja zapłacę – oznajmiła Tully.

Kate nigdy w życiu nie miała takiej ochoty przyłożyć przyjaciółce jak w tej chwili.

– Nie może opuścić szkoły.

– Mogłabym…

Kate uniosła dłoń, by ją uciszyć.

– Nic już nie mów – powiedziała do Tully.

Marah wybuchnęła płaczem.

– Widzisz? – zawołała do Tully. – Ona uważa, że jestem dzieckiem i nigdy mi na nic nie pozwala.

Johnny wstał.

– Marah, daj spokój, masz trzynaście lat.

– Brooke Shields i Kate Moss były milionerkami w wieku czternastu lat, bo ich matki je kochały, prawda, Tully? – Otarła oczy i spojrzała na Johnny'ego. – Proszę, tato.

Potrząsnął głową.

– Przykro mi, skarbie.

Marah obróciła się na pięcie, wbiegła po schodach i zatrzasnęła za sobą drzwi pokoju. Wszyscy słyszeli, że płacze.

– Pójdę z nią porozmawiać – powiedział Johnny i z westchnieniem ruszył do schodów.

Kate zwróciła się do swojej najlepszej przyjaciółki.

– Czy ty kompletnie zwariowałaś?

– To kurs modelingu, a nie meta z prochami.

– Do diabła, Tully, niepotrzebny jej ten popaprany świat. Już ci to mówiłam. Jest niebezpieczny.

– Pomogę jej. Pójdę z nią.

Kate była tak wściekła, że nie mogła oddychać. Tully po raz kolejny przedstawiła ją w oczach córki w złym świetle, a Kate naprawdę nie potrzebowała pomocy w psuciu swojej relacji z Marah.

– Nie jesteś jej matką. Ja nią jestem. Ty możesz z nią szaleć, imprezować i żyć jak w Nibylandii. Ale to ja dbam o jej bezpieczeństwo.

– Bezpieczeństwo to nie wszystko – odpowiedziała Tully. – Czasem trzeba zaryzykować. Kto nie ryzykuje, ten nie ma.

– Tully, ty nie masz pojęcia, o czym mówisz. Moja trzynastoletnia córka nie pojedzie do Nowego Jorku na jakiś modelingowy przekręt z tobą w roli opiekunki. Koniec tematu.

– Okej – wycofała się Tully. – Ja tylko chciałam pomóc.

Kate usłyszała urazę w głosie przyjaciółki, ale była zbyt zmęczona, a sprawa była zbyt ważna, żeby ustąpić.

– Okej. I następnym razem, jak moja córka przyjdzie do ciebie z planem, który przewiduje opuszczenie tygodnia szkoły albo

pracę modelki w jakimś odległym miejscu, to byłabym wdzięczna, gdybyś pozwoliła mi z nią o tym porozmawiać.

– Ale ty z nią nie rozmawiasz. Wy tylko na siebie krzyczycie. Nawet Johnny mówi…

– Rozmawiałaś o tym z Johnnym?

– Martwi się o ciebie i Marah. Mówi, że to jest czasem prawie jak druga wojna światowa.

To był trzeci podły cios tego wieczoru i tak zabolał, że Kate powiedziała:

– Lepiej już idź, Tully. To rodzinne sprawy.

– Ale… Myślałam, że ja też należę do waszej rodziny.

– Dobranoc – powiedziała cicho Kate, a potem wyszła z salonu.

29

Tully powinna była pojechać prosto do domu i spróbować zapomnieć o całej tej sprawie, ale zanim prom przybił do centrum Seattle, miała kompletny mętlik w głowie. Zamiast skręcić w lewo w Alaskan Way, skręciła w prawo i wcisnęła gaz.

W rekordowym czasie dotarła do Snohomish, mijając po drodze miejsca znane z młodości. Dużo się tu zmieniło. Miasto było teraz atrakcją turystyczną, pełną modnych kafejek i eleganckich sklepów z antykami. Dla niej jednak nie miało żadnego znaczenia, czy się coś zmieniło, czy nie. Było jej wszystko jedno. Nawet w lepszych okolicznościach nie przykładała wagi do wspomnień z dawnego życia, a dzisiejszy wieczór był przeciwieństwem dobrych okoliczności. Mimo to gdy znalazła się na Firefly Lane, poczuła się tak, jakby przeniosła się nagle w przeszłość.

Skręciła na wybetonowany podjazd i podjechała pod mały, biały domek w wiejskim stylu z lśniącą, czarną stolarką. W ciągu tych wszystkich lat pani Mularkey zamieniła zaniedbane podwórze w wypełniony kwiatami ogród w stylu angielskim. O tej porze roku, późną jesienią, zdawał się lśnić złotem. Podwórko i wiszące kosze wypełniały czerwone pelargonie oświetlone pomarańczowym światłem z werandy.

Tully zaparkowała auto, podeszła do frontowych drzwi i nacisnęła dzwonek. Otworzył jej pan M. i przez chwilę, gdy tak stała na ganku i patrzyła na niego, miała wrażenie, jakby całe życie przemknęło jej przed oczami. Wyglądał starzej,

oczywiście, miał przerzedzone włosy i zaokrąglony brzuch, ale ubrany w biały T-shirt i znoszone dżinsy wyglądał niemal tak samo jak kiedyś, więc i ona poczuła się młodo.

– Dzień dobry, panie M.

– Późna pora. Coś się stało?

– Muszę po prostu porozmawiać z panią M. Nie zajmę dużo czasu.

– Wiesz, że zawsze jesteś u nas mile widziana. – Pan Mularkey cofnął się, by ją wpuścić, a potem podszedł do schodów i krzyknął w górę: – Margie, zejdź na dół. Tully tu jest. – Uśmiechnął się do niej tak szeroko, że musiała odpowiedzieć uśmiechem.

Pani M. błyskawicznie zeszła po schodach, dopinając suwak czerwonej welurowej podomki, którą nosiła, odkąd Tully ją znała. Choć dostała od Tully przez te lata nie wiadomo ile drogich szlafroków i koszul nocnych, ta stara czerwona pozostała jej ulubioną.

– Tully – powiedziała pani Mularkey, zdejmując wielkie okulary w beżowych oprawkach. – Wszystko w porządku?

Nie było sensu kłamać.

– Nie za bardzo.

Pani M. poszła prosto do barku w salonie – który pojawił się w nim w późnych latach osiemdziesiątych – i nalała dwa kieliszki wina. Podała jeden Tully, wprowadziła ją do salonu i usiadła na kanapie w lamparci wzór. Ściana za nimi zawieszona była teraz rodzinnymi fotografiami. Jezus i Elvis nadal zajmowali centralne miejsce, ale wokół nich wisiały dziesiątki szkolnych zdjęć Marah i bliźniaków, ślubne fotografie Johnny'ego i Kate, zdjęcia z ukończenia studiów przez Seana i kilka przedstawiających Tully.

– Okej, no to w czym problem?

Tully usiadła na najnowszym modelu ulubionego rozkładanego fotela pana Mularkeya.

– Kate jest na mnie wściekła.

– Dlaczego?

– Marah zadzwoniła do mnie w zeszłym tygodniu i chciała porozmawiać o imprezie modelingowej w Nowym Jorku…

– Ajaj…

– Zaoferowałam, że pomogę jej porozmawiać o tym z rodzicami, ale gdy tylko Kate dowiedziała się, o co chodzi, wpadła w szał. Nie chciała nawet wysłuchać Marah.

– Marah ma trzynaście lat.

– To wystarczająco dużo, żeby…

– Nie – powiedziała twardo pani M., a potem łagodnie się uśmiechnęła. – Wiem, że chcesz pomóc, Tully, ale Kate ma rację, że chroni Marah.

– Marah jej nienawidzi.

– Tak to już jest z trzynastolatkami i ich matkami. Możesz tego nie wiedzieć, bo Chmura była zupełnie inna, ale młode dziewczyny i ich mamy często mają ze sobą na pieńku. A pozwalanie dziecku na wszystko z pewnością nie polepsza sprawy.

– Nie uważam, że powinni jej pozwalać na wszystko, ale ona naprawdę ma talent. Mogłaby zostać supermodelką.

– Gdyby tak się stało, jak by to wyglądało?

– Byłaby sławna i bogata. Mogłaby zostać milionerką przed siedemnastymi urodzinami.

Pani M. pochyliła się do przodu.

– Ty jesteś bardzo bogata, prawda?

– Prawda.

– Czy to ci daje spełnienie? Czy sukces jest wart tego, z czego Marah musiałaby zrezygnować – dzieciństwa, niewinności, rodziny? Oglądałam w telewizji parę dokumentów o młodych

modelkach. W tym świecie jest mnóstwo narkotyków, seksu i tak dalej.

– Pilnowałabym jej. Najważniejsze jest to, że znalazła coś, co ją fascynuje. Powinno się to pielęgnować, a nie ignorować. Obawiam się, że Marah i Kate i tak się nie dogadają. Marah tak okropnie się o niej wyraża.

– Martwisz się o Marah – powiedziała pani M., zerkając na Tully znad okularów. – Chyba skupiasz się nie na tej osobie co trzeba. To Kate cię teraz potrzebuje.

– Kate?

– Problemy z Marah ją wykańczają. One muszą nauczyć się ze sobą rozmawiać bez wrzasków i płaczu. – Spojrzała na Tully. – A ty w pierwszej kolejności musisz być przyjaciółką Kate.

– Czyli to moja wina?

– Oczywiście, że nie. Mówię tylko, że Katie potrzebuje u swego boku najlepszej przyjaciółki. Zawsze się nawzajem wspierałyście. Wiem, jak Marah cię ubóstwia. I wiem, jak bardzo lubisz być ubóstwiana. – Pani M. uśmiechnęła się wyrozumiale. – Ale w tym sporze możesz poprzeć tylko Katie.

– Ja chciałam tylko…

– Ona nie jest twoją córką.

No właśnie. Tully nie uświadamiała sobie aż do tej chwili, dlaczego tak bardzo się zaangażowała. Kochała Marah, to oczywiste, ale tu chodziło o coś więcej, prawda? I pani M. to dostrzegła. Marah była idealnym dzieckiem dla Tully – pięknym, ambitnym, trochę samolubnym. A najlepsze było to, że uważała Tully za ideał.

– To co mam powiedzieć Marah?

– Że ma przed sobą całe życie. Jeśli jest w tym tak dobra i utalentowana, jak sądzisz, to odniesie sukces, gdy będzie wystarczająco dojrzała, żeby sobie z nim poradzić.

Tully odchyliła się w fotelu z westchnieniem.

– A jak długo Kate będzie się na mnie gniewać?

Pani M. się roześmiała.

– Wasze relacje są bardziej chwiejne niż kursy akcji internetowych spółek. Wszystko będzie dobrze. Tylko przestań próbować być najlepszą przyjaciółką Marah i wesprzyj Katie.

Kate nigdy się nie nudził widok z tarasu na tyłach ich domu. Tego wieczoru, w rześki dzień pod koniec października, niebo nad Seattle było czarną, usianą gwiazdami nieskończonością. W blasku księżyca każdy wieżowiec był tak wyrazisty, że niemal widziało się poszczególne elementy ze szkła, granitu i stali. Dźwięki tu, nad wodą, też były wyraźniejsze. Liście klonów nabrały kolorów i opadały bezszelestnie z pobliskich drzew na wilgotną ziemię. Wiewiórki śmigały z gałęzi na gałąź, zapewne gromadząc zapasy na zbliżające się chłody. Znów był przypływ, fale zbliżały się i oddalały od brzegu w rytmie powiązanym z odległym Księżycem. Tu, na tarasie, zmieniały się jedynie pory roku, a każda z nich nadawała krajobrazowi nowy, niezwykły wygląd.

Parę metrów za nią, za starymi, drewnianymi drzwiami, zmiany następowały tak szybko, że Kate brakowało tchu. Jej nastoletnia córka dojrzewała tak prędko i niemal co dzień zmieniała koncepcję, kim zostanie w przyszłości. Męczyły ją skrajne nastroje i czasem Marah sprawiała wrażenie, jakby morze dopiero co wyrzuciło ją na brzeg i nie mogła sobie przypomnieć, kim jest i kim chciała być.

Chłopcy też dorastali. Zawierali w szkole przyjaźnie, sami wybierali sobie ubrania i niechętnie odpowiadali na pytania. Oni też za chwilę wejdą w okres dojrzewania, zaczną przypinać plakaty do ścian i domagać się szanowania ich prywatności.

Tak prędko…

Kate postała na tarasie jeszcze kilka minut, aż niebo przybrało barwę grafitu. Potem weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. W domu panowała cisza, na dole nie było nikogo. Przechodząc przez salon, Kate zgarnęła kilka plastikowych dinozaurów, które leżały porzucone przed telewizorem. Na górze cicho przekręciła gałkę i otworzyła drzwi pokoju chłopców, spodziewając się, że będą już spać. Ale zobaczyła namiot z prześcieradła na łóżku Williama i charakterystyczny blask latarki prześwitujący przez granatowo-czerwony wzór z *Gwiezdnych wojen*.

– Znam dwóch małych chłopców, którzy już dawno powinni spać.

Spod prowizorycznego namiotu rozległy się chichoty. Lucas wyłonił się pierwszy. Ze sterczącymi czarnymi włosami i przerwami w uzębieniu wyglądał jak Piotruś Pan przyłapany przez Wendy.

– Cześć, mamo.

– Lucas – syknął z wnętrza namiotu William – udawaj, że śpisz.

Kate podeszła do łóżka i delikatnie odsunęła prześcieradło. William spojrzał na nią, z latarką w jednej dłoni i szarym plastikowym tyranozaurem w drugiej.

– Ups – powiedział, a potem się roześmiał.

Kate wyciągnęła ramiona.

– Przytulcie się do mamy.

Obaj rzucili się na nią jak zwykle pełni entuzjazmu. Mocno ich uścisnęła, wdychając słodki znajomy zapach szamponu z ich włosów.

– Chcecie jeszcze jedną bajkę na dobranoc?

– Poczytaj nam o Maksie, mamusiu – zaproponował Lucas.

Kate sięgnęła po książkę i ułożyła się tak jak zwykle – oparta o wezgłowie, z wyciągniętymi nogami i z chłopcami po obu stronach. A potem otworzyła *Gdzie mieszkają dzikie stwory* i zaczęła czytać. Max był mniej więcej w połowie przygód, gdy chłopcy zasnęli.

Otuliła Williama, pocałowała go w policzek i przeniosła Lucasa na jego łóżko.

– Branoc, mamusiu – wymamrotał, gdy go układała.

– Branoc.

Zgasiła latarkę i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Po drugiej stronie korytarza drzwi pokoju Marah były zamknięte, ale przez szparę przy podłodze sączyło się światło. Kate przystanęła, chcąc wejść, ale to wywołałoby kolejną kłótnię. Wszystko, co robiła lub mówiła, było przecież złe, a od tamtej afery z modelingiem napięcie między nimi jeszcze wzrosło. Zapukała więc tylko do drzwi i powiedziała:

– Zgaś światło, Marah.

Poczekała, aż córka to zrobi, i poszła do swojej sypialni.

Johnny był już w łóżku i czytał. Gdy weszła, podniósł wzrok.

– Wyglądasz na wykończoną – zauważył.

– Marah – powiedziała tylko. Wystarczyło.

– To chyba coś więcej.

– Co masz na myśli?

Zdjął okulary, odłożył je na nocny stolik i zaczął zbierać porozkładane wokół papiery. Nie patrząc na żonę, stwierdził:

– Tully mówiła, że nadal się na nią gniewasz.

Kate domyśliła się po tonie jego głosu i po sposobie, w jaki starannie unikał jej spojrzenia, że chciał o tym wspomnieć już od jakiegoś czasu. *Faceci* – pomyślała. Trzeba być wykwalifikowanym antropologiem, żeby odgadnąć, co sobie myślą.

– To ona nie dzwoni.

– Ale to ty się gniewasz.

Kate nie mogła zaprzeczyć.

– Nie jestem wściekła ani wkurzona, tylko zirytowana. Te jej bzdurne pomysły z modelingiem Marah… Mogła chociaż przyznać, że nie miała racji.

– Tully i przeprosiny?

Kate nie potrafiła się nie uśmiechnąć.

– Wiem, wiem. Ale dlaczego to zawsze ja muszę odpuszczać? Dlaczego to zawsze ja mam zadzwonić pierwsza?

– Bo taka jesteś.

To prawda, zawsze tak było. Przyjaźnie przypominają pod tym względem małżeństwa. Wzorce zachowań tworzą się wcześnie i twardnieją na beton.

Kate weszła do łazienki, umyła zęby i położyła się do łóżka. Johnny wyłączył lampkę i przekręcił się na bok w jej stronę. Przez okno wpadało światło księżyca, oświetlając jego profil. Wyciągnął ramię, by się do niego przytuliła. Poczuła falę miłości, zaskakująco silną, jak na te wszystkie spędzone razem lata. Znał ją tak dobrze, to niosło przyjemną pociechę, która otuliła ją i ogrzała niczym najlepszy kaszmir.

Nic dziwnego, że Tully jest taka ostra i kanciasta – nigdy nie pozwoliła na to, by miłość ją zmiękczyła, wygładziła. Bez dzieci, męża czy miłości matki stała się samolubna. A więc znów Kate przełknie swój gniew, nie usłyszawszy przeprosin. Zresztą nie powinna nosić go w sobie tak długo. To zdumiewające, jak czas szybko płynie. Zdarzało się, że miała wrażenie, jakby się pokłóciły dopiero co. Ale to nie słowa były ważne, te wypowiedziane i te, które nie padły, lecz lata łączącej je więzi.

– Dzięki – szepnęła.

Jutro zadzwoni do Tully i zaprosi ją na kolację. Jak zawsze tak zakończy się ich kłótnia. Gładko wrócą na ścieżkę przyjaźni.

– Za co?

Pocałowała Johnny’ego delikatnie, pogładziła po policzku. Najbardziej na świecie uwielbiała patrzeć na twarz tego mężczyzny.

– Za wszystko.

W szary, mżysty dzień w połowie listopada Kate skręciła na parking pod gimnazjum i ustawiła się w korku SUV-ów i minivanów podjeżdżających pod szkołę. Co chwila zerkała na miejsce pasażera.

Marah osunęła się na siedzeniu z obrażoną miną. Miała zniecierpliwiony wyraz twarzy i ponury nastrój od scysji na temat kursu modelingu w Nowym Jorku. Kate rozumiała, że już wcześniej ją i córkę dzieliły pojedyncze przeszkody, ale teraz wyrósł już między nimi zwarty mur.

Zwykle to Kate przypadała rola wygładzania dziur w drodze, po której podróżowała jej rodzina. To ona łagodziła kłótnie, rozstrzygała spory i mediowała, ale teraz jej słowa nie działały. Marah była zła od paru tygodni, a Kate źle się z tym czuła. Źle spała. Wkurzało ją też to ciągłe milczenie, bo zdawała sobie sprawę, że Marah w ten sposób nią manipuluje, próbuje ją złamać.

– Cieszysz się z bankietu? – Zmusiła się, by zadać to pytanie.

Przynajmniej się odezwała. Cała ósma klasa ekscytowała się zimowym bankietem. Rodzice – w tym Kate – włożyli mnóstwo wysiłku w przygotowanie magicznego wieczoru dla dzieci.

– Może być – odpowiedziała Marah, wyglądając przez szybę i szukając wzrokiem znajomych w tłumie przed szkołą. – Mam nadzieję, że nie zgłosiłaś się na opiekuna?

Kate postanowiła, że nie zrani jej ta uwaga. Wmówiła sobie, że to normalne; często to sobie ostatnio powtarzała.

– Jestem odpowiedzialna za dekoracje. Przecież wiesz. Od dwóch miesięcy nad nimi pracuję i na pewno zamierzam je zobaczyć.

– Czyli będziesz tam – stwierdziła markotnie Marah.

– Oboje z tatą będziemy. Ale na pewno będziesz się dobrze bawić.

– Wszystko jedno.

Kate zatrzymała się w odpowiednim miejscu.

– Autobus szkolny Mularkeyów dojechał na miejsce – powiedziała. Chłopcy z tyłu zachichotali, słysząc stary rodzinny żart.

– Co za obciach – podsumowała Marah, przewracając oczami.

Kate zwróciła się w stronę córki.

– Pa, kochanie. Miłego dnia. Powodzenia na teście z WOS-u.

– Pa – odpowiedziała Marah, wysiadając.

Kate westchnęła i spojrzała we wsteczne lusterko. Bliźniacy bawili się na tylnej kanapie, walcząc plastikowymi dinozaurami.

– Ach, te dziewczyny – szepnęła pod nosem, zastanawiając się, dlaczego nastolatki są takie podłe wobec matek. Najwyraźniej to typowe zachowanie; spędzała dość czasu z koleżankami Marah, jej rówieśnicami, żeby się zorientować. Na tyle typowe, że musiało być efektem ewolucji. Może nasz gatunek z jakichś dziwnych i tajemniczych powodów potrzebuje dziewcząt, które, mając trzynaście lat, uważają, że są dorosłe.

Kilka minut później Kate zostawiła chłopców pod ich szkołą (pocałowawszy obu na do widzenia, i to w miejscu publicznym!) i rozpoczęła swój dzień. Najpierw przystanek w Bainbridge Bakers, gdzie kupiła sobie latte, potem oddanie książek do biblioteki i wycieczka do supermarketu Safeway.

O dziesiątej trzydzieści była już w domu i odstawiała w kuchni zakupy.

Akurat gdy zamykała lodówkę, usłyszała znajomą melodię z czołówki *Dziewczyńskiej godziny* dobiegającą z telewizora w salonie. Poszła tam, bo rzadko miała okazję obejrzeć odcinek programu w całości – niby jak, przy tylu zajęciach? – ale zawsze włączała go w tle, żeby wiedzieć chociaż, o czym jest. Johnny i Tully czasem ją o to wypytywali.

Przysiadła na oparciu kanapy.

Muzyka ucichła i na ekranie pojawiła się Tully. Weszła na przytulnie urządzoną scenę przypominającą miły rodzinny salon, w którym przyjaciółki mogłyby się spotkać na pogaduszki. Jak zwykle wyglądała pięknie. W zeszłym roku zapuściła włosy, które sięgały teraz ramion, i wróciła do ich naturalnego kasztanowobrązowego koloru. Wyrafinowane cięcie w stylu dziewczyny z sąsiedztwa i lśniący kolor podkreślały jej mocno zarysowane kości policzkowe i czekoladowe oczy. Kilka dobrze zrobionych zastrzyków z kolagenu wypełniło usta, które pokryła jedynie delikatnym błyszczykiem.

– Witam ponownie w *Dziewczyńskiej godzinie* – powiedziała, starając się przebić przez aplauz publiczności. Kate słyszała, że ludzie potrafią stać po sześć godzin w kolejce, żeby statystować jako publiczność. Dlaczego nie? *Godzina*, jak mówili w skrócie fani i media, była radosna, zabawna i często inspirująca. Nikt do końca nie wiedział, co Tully zrobi i powie. I dlatego ludzie nadal oglądali jej program, a Johnny dbał o to, by wszystko działało jak w dobrze naoliwionej maszynie. Zgodnie z obietnicą Tully uczyniła ich bogatymi, a Johnny w zamian zawsze przedstawiał ją w dobrym świetle.

Tully usiadła w swoim kremowym fotelu. Jego blady kolor dodatkowo podkreślał jej żywiołowość i energię. Pochyliła się

do przodu, by nawiązać bliższy kontakt zarówno z kamerą, jak i publicznością.

Program natychmiast wciągnął Kate. Oglądając, jak Tully zdradza całej Ameryce sekrety swojej fryzury i makijażu, opłaciła rachunki, odkurzyła żaluzje i poskładała pranie. Po programie wyłączyła telewizor i usiadła, żeby zająć się listą niezbędnych przygotowań do Bożego Narodzenia. Tak się w to zaangażowała, że dopiero po chwili zorientowała się, że dzwoni telefon. Rozejrzała się, dostrzegła bezprzewodową słuchawkę na podłodze pod stosem klocków Lego i odebrała.

– Halo?

– Kate, to pani?

– Tak.

– Dzięki Bogu. Tu Ellen ze szkoły Woodward. Dzwonię, bo Marah nie ma na czwartej lekcji. Jeśli zapomniałaś ją zwolnić, to…

– Nie zapomniałam – powiedziała Kate ostrzejszym tonem, niż zamierzała. – Przepraszam. Marah powinna być teraz w szkole. Niech zgadnę: Emily Allen i Sharyl Burton też pewnie nie ma?

– Faktycznie – odpowiedziała Ellen. – Wiesz, gdzie są?

– Chyba wiem. Jak je znajdę, oddzwonię. Dziękuję pani.

– Przykra sytuacja.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na zegar. Za osiemnaście pierwsza.

Domyślić się, gdzie mogą być dziewczyny, nie było szczególnie trudno. Był czwartek, dzień premier w kinopleksie Pavillion i akurat jakaś idolka nastolatek – Kate nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywa – występowała w jednym z filmów.

Kate chwyciła torebkę, wsiadła do samochodu i dojechała pod Pavillion tuż przed pierwszą. Bardzo się starała, żeby nie

okazywać, jaka jest wkurzona. Porozmawiała z kierownikiem kina, przeszła przez zaciemnioną salę, znalazła dziewczyny i wyprowadziła je z powrotem do holu, już zmęczona tym ukrywaniem emocji.

Lecz jej gniew był niczym w porównaniu z gniewem jej córki.

– Nie wierzę, że to zrobiłaś – oburzyła się Marah, gdy dotarły na parking.

Kate zupełnie zignorowała ton jej głosu i odpowiedziała krótko:

– Zgodziłam się, że możesz pójść na to z koleżankami w sobotę przed południem.

– Jeśli posprzątam swój pokój.

Kate nawet nie zareagowała.

– No dalej, dziewczęta. Do samochodu. W szkole na was czekają.

Koleżanki Marah potulnie usiadły z tyłu, mamrocząc przeprosiny.

– Ja nie przepraszam – oznajmiła Marah, zatrzaskując drzwi i gwałtownie zapinając pas. – Straciłyśmy tylko durną matmę.

Kate włączyła silnik i wyjechała z parkingu na główną drogę.

– Powinnyście być teraz w szkole. I koniec.

– Och, ty byś mnie nigdy w życiu nie zabrała do kina w czasie lekcji – powiedziała z sarkazmem Marah. – Pewnie mi się śniło, że widziałam *Harry'ego Pottera* zamiast być w szkole.

– No i mnie pokarało – podsumowała Kate, starając się nie podnosić głosu.

Marah skrzyżowała ręce.

– Tully by zrozumiała.

Kate wjechała na okrągły podjazd pod gimnazjum i zaparkowała.

– Okej, dziewczyny, czekają na was w sekretariacie.

Emily jęknęła.

– Mama dostanie zawału.

Gdy zostały same w aucie, Kate zwróciła się w stronę córki.

– Tata by zrozumiał – stwierdziła Marah. – On wie, jak wiele znaczą dla mnie filmy i modeling.

– Tak uważasz? – Kate wyciągnęła komórkę, wcisnęła jeden z ostatnio wybieranych numerów i podała telefon Marah. – To mu powiedz.

– T-ty mu powiedz.

– To nie ja uciekłam ze szkoły, żeby pójść do kina. – Kate ponownie wysunęła komórkę w stronę córki.

Marah wzięła ją i przyłożyła do ucha.

– Tato? – Jej głos natychmiast złagodniał, a oczy wypełniły się łzami.

Kate poczuła ukłucie zazdrości. Jak to możliwe, że Johnny utrzymał tak przyjacielską relację z córką, skoro to ona, Kate, niemal na okrągło ją obsługiwała?

– Wiesz co, tato? Pamiętasz ten film, o którym ci mówiłam, ten, w którym bohaterka dowiaduje się, że jej ciocia jest tak naprawdę jej mamą? Poszłam go dzisiaj zobaczyć i był… Co? Och. – Ściszyła głos niemal do szeptu. – Na czwartej lekcji, ale… Wiem. – Słuchała przez chwilę, a potem westchnęła. – Okej. Pa, tato.

Marah rozłączyła się i oddała telefon Kate. Przez ułamek sekundy znów była małą dziewczynką.

– Nie będę mogła pójść na ten film w weekend.

Kate niczego nie pragnęła bardziej, jak wykorzystać tę okazję i mocno przytulić Marah, ukołysać ją i powiedzieć, że ją kocha, ale nie miała odwagi. Macierzyństwo w takich chwilach jak ta – i przez większość czasu – wymagało żelaznego, a nie wiotkiego kręgosłupa.

– Może następnym razem pomyślisz o konsekwencjach swoich działań.

– Kiedyś zostanę słynną aktorką i powiem w telewizji, że w ogóle mi nie pomagałaś. W ogóle. Całą zasługę przypiszę cioci Tully, bo ona we mnie wierzy.

Marah wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę szkoły.

Kate poszła za nią i szybko się z nią zrównała.

– Wierzę w ciebie.

Marah prychnęła.

– Ha. Nigdy na nic mi nie pozwalasz, ale jak tylko będę mogła, przeprowadzę się do cioci Tully.

– Po moim trupie – mruknęła Kate pod nosem. Na szczęście nie mogły prowadzić dalej tej konwersacji. Gdy tylko weszły do szkoły, dyrektor już na nie czekał.

Lato, zanim Marah poszła do liceum, było zdecydowanie najgorszym latem w życiu Kate. Z trzynastoletnią córką w gimnazjum było bardzo źle, ale z perspektywy czasu wyglądało to już inaczej. Czternastolatka szykująca się do liceum była o wiele gorsza. A to, że przez ostatni rok Johnny pracował po sześćdziesiąt godzin w tygodniu, wcale nie pomagało.

– Nie włożysz do szkoły dżinsów, w których widać ci rowek między pośladkami – tłumaczyła Kate, starając się mówić spokojnym tonem.

Wykroiła cztery godziny z napiętego pod koniec wakacji grafiku na zakupy do szkoły. Były w galerii od dwóch godzin, ale zamiast toreb z ubraniami dźwigały brzemię wzajemnej wrogości.

– W liceum wszyscy w takich chodzą.

– W takim razie wszyscy oprócz ciebie. – Kate przyłożyła palce do skroni bolącej głowy. Nawet nie zwracała uwagi na

chłopców, którzy kręcili się po sklepie niczym bąki. Odpuściła. Jeśli dopisze jej szczęście, to może przyjdzie ochrona i zamkną ją za niedopilnowanie dzieci. W tym momencie przymusowe odosobnienie wyglądało jak obietnica raju.

Marah wrzuciła dżinsy na wieszak i odeszła, głośno tupiąc.

– Ty już nawet zapomniałaś, jak się chodzi? – mruknęła Kate, idąc za córką.

Zanim skończyły, Kate czuła się jak Russel Crowe w *Gladiatorze:* pokonany i zakrwawiony, choć żywy. Nikt nie był zadowolony. Chłopcy jęczeli z powodu figurek z *Władcy Pierścieni*, których im nie kupiła, Marah obraziła się o dżinsy, których nie dostała, i niemal przezroczystą bluzkę, która też została odrzucona, a Kate była zła, że szkolne zakupy tak ją wykończyły. Jedynym plusem było to, że wyznaczyła granice i obroniła je. Nie mogła uznać tego dnia za całkowite zwycięstwo, ale Marah też nie.

Gdy jechali do domu z Silverdale, samochód podzielił się na dwie strefy: z tyłu panowały wzburzenie, hałas i ruch, a z przodu lodowata cisza. Kate starała się podtrzymywać rozmowę z córką, ale każde jej zdanie trafiało w próżnię. Zanim skręciła na żwirowany podjazd i zaparkowała w garażu, czuła się całkowicie pokonana. Skromny triumf utrzymania granic i bycia matką, a nie psiapsiółką stracił cały swój urok.

William i Lucas z tyłu porozpinali pasy i zaczęli się przepychać, by wysiąść. Kate wiedziała, że ten, który pierwszy dotrze do salonu, przejmie kontrolę nad pilotem do telewizora.

– Spokojnie, chłopcy – powiedziała, zerkając na nich we wstecznym lusterku.

Zmagali się niczym lwiątka próbujące wydostać się z jaskini.

Kate zwróciła się do Marah.

– Znalazłaś dzisiaj parę ładnych rzeczy.

Córka wzruszyła ramionami.

– Taa.

– Wiesz, Marah, życie jest pełne… – Kate przerwała w połowie zdania, omal nie wybuchając śmiechem. Miała właśnie wygłosić jedną z życiowych porad swojej matki.

– Czego?

– Kompromisów. Możesz cieszyć się tym, co udało ci się zdobyć, albo skupić się na tym, czego się nie udało. Wybór, którego dokonasz, ostatecznie określi, jaką kobietą się staniesz.

– Ja po prostu nie chcę odstawać – powiedziała Marah niespodziewanie cichym głosem. Kate przypomniała sobie, jak młoda jest jej córka i ile można mieć obaw, idąc do liceum.

Sięgnęła i wsunęła Marah kosmyk włosów za ucho.

– Wiesz mi, pamiętam to uczucie. Jak byłam w twoim wieku, musiałam nosić do szkoły tanie ciuchy ze szmateksu. Śmiali się ze mnie.

– Więc wiesz, o co mi chodzi.

– Wiem, ale nie zawsze można mieć wszystko, czego się chce. Po prostu.

– To tylko para dżinsów, mamo. A nie gwiazdka z nieba.

Kate spojrzała na córkę. Ta wreszcie ani się nie krzywiła, ani się od niej nie odwróciła.

– Przykro mi, że tyle się kłócimy.

– No.

– Może jednak zapiszemy cię na te nowe zajęcia z modelingu. Te w Seattle.

Marah rzuciła się na ten ochłap jak wygłodniały pies.

– To wypuścisz mnie wreszcie z wyspy? Następny kurs zaczyna się we wtorek. Sprawdziłam. Tully powiedziała, że odbierze mnie z promu. – Marah uśmiechnęła się nieśmiało. – Gadałyśmy o tym.

– Och, naprawdę?

– Tata powiedział, że się zgodzi, jeśli zadbam o oceny.

– On też wie? I nikt mi nic nie mówi? Kto ja jestem, Hannibal Lecter?

– Ostatnio łatwo wpadasz w złość.

– A czyja to wina?

– To mogę iść na ten kurs?

Kate naprawdę nie miała wyboru.

– Okej. Ale jeśli pogorszą ci się oceny…

Marah wpadła matce w ramiona. Kate mocno ją przytuliła, upajając się tą chwilą. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio córka z własnej woli sama się do niej przytuliła.

Jeszcze długo po tym, jak Marah pobiegła do domu, Kate siedziała w samochodzie, patrzyła za nią i myślała, czy zajęcia z modelingu to dobry pomysł. To jest właśnie podstępna, niszczycielska siła macierzyństwa, która powoduje, że zżera cię poczucie winy i sprawia, że zmieniasz zdanie i obniżasz standardy – jakże łatwo jest ustąpić.

Dokładnie rzecz biorąc, to nie było tak, że Kate nie chciała, żeby Marah robiła ten kurs. Nie chciała tylko, żeby tak wcześnie wkraczała na tę trudną drogę. Odrzucenie, zepsucie, piękno wyłącznie powierzchowne, narkotyki i anoreksja. To wszystko kryło się pod blichtrem świata modelingu. A poczucie własnej wartości i akceptacja własnego ciała są niezwykle kruche u nastolatek. Naprawdę nietrudno się zatracić, nawet bez obciążenia nieustanną oceną swojego wyglądu. Krótko mówiąc, Kate nie bała się tego, że jej córce nie powiedzie się w świecie wybiegów i odważnych strojów. Obawiała się raczej, że tak się stanie, a wtedy Marah utraci dzieciństwo.

Wreszcie wysiadła z samochodu i weszła do domu, mrucząc pod nosem:

– Powinnam była być twarda.

Matczyny lament. Zastanawiała się, jak to odkręcić (co było już niemożliwe), gdy zadzwonił telefon. Kate nawet nie

próbowała odebrać. Jednego nauczyła się bez wątpienia przez te ostatnie tygodnie wakacji: nastolatki dosłownie wiszą na telefonie.

– Mamo! To babcia, do ciebie – zawołała Marah w dół schodów. – Ale nie rozmawiaj za długo. Gabe ma do mnie zadzwonić.

Kate odebrała telefon i usłyszała po drugiej stronie wydychanie dymu. Uśmiechnęła się, ominęła torby z zakupami i klapnęła na kanapę. Podwinęła nogi i okryła się narzutą, która pachniała jej matką.

– Cześć, mamo.

– Brzmisz fatalnie.

– Rozpoznajesz po oddechu?

– Masz nastoletnią córkę, nie?

– Wierz mi, aż tak źle jeszcze nie było.

Mama się roześmiała; to był urywany dźwięk, przypominał nieco rżenie konia.

– Chyba już nie pamiętasz, ile razy kazałaś mi się nie wtrącać do twojego życia, po czym zatrzaskiwałaś mi drzwi przed nosem.

Wspomnienie było bardzo niewyraźne, ale niezaprzeczalne.

– Przepraszam, mamo.

Zapadła cisza. A po chwili mama powiedziała:

– Trzydzieści lat.

– Trzydzieści lat co?

– Też będziesz tyle czekać na przeprosiny, ale wiesz, co jest w tym najlepsze?

Kate jęknęła.

– Że mogę nie dożyć?

– Że będziesz wiedzieć, że ona żałuje, na długo przed nią. – Mama się roześmiała. – A gdy będzie potrzebować opieki do dzieci, to wtedy naprawdę cię pokocha.

Kate zapukała do pokoju Marah i usłyszała przytłumione „Proszę”.

Weszła do środka. Starając się nie patrzeć na porozrzucane wszędzie ubrania, książki i śmieci, podeszła do białego łóżka z kolumienkami, na którym siedziała Marah z podciągniętymi kolanami i gadała przez telefon.

– Możesz ze mną chwilę porozmawiać?

Marah przewróciła oczami.

– Muszę kończyć, Gabe. Mama czegoś ode mnie chce. Nara.

A do Kate powiedziała:

– Co?

Kate usiadła na skraju łóżka, przypominając sobie nagle identyczne sceny ze swojego dzieciństwa. Jej matka każde pojednanie rozpoczynała od przemowy o życiu.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

– No co?

– Wiem, że ostatnio często się kłócimy i przykro mi z tego powodu. Zazwyczaj to wynika z tego, że cię kocham i chcę dla ciebie najlepiej.

– A w innych przypadkach z czego?

– Że mnie naprawdę wkurzasz.

Marah uśmiechnęła się, odrobinę, i przesunęła nieco, żeby zrobić miejsce dla Kate, tak jak i ona robiła kiedyś, rozmawiając ze swoją matką.

Kate usiadła wygodniej i ostrożnie sięgnęła, by wziąć do ręki dłoń córki. Było mnóstwo rzeczy, które mogła teraz powiedzieć, mnóstwo rozmów, które mogłaby rozpocząć, ale zamiast tego siedziała tam tylko i trzymała córkę za rękę. To był pierwszy cichy moment bliskości, jaki zdarzył im się od lat. Napełnił ją nadzieją.

– Kocham cię, Marah – powiedziała wreszcie. – To właśnie ty, najbardziej ze wszystkich, pokazałaś mi, czym może być miłość. Gdy po raz pierwszy w życiu trzymałam cię w ramionach… – przerwała, czując, że ściska ją w gardle. Jej miłość do tego dziecka była tak olbrzymia, tak wszechogarniająca. Czasem w codziennych zmaganiach z nastolatką zdarzało jej się o tym zapomnieć. Uśmiechnęła się. – W każdym razie pomyślałam, że mogłybyśmy razem zrobić coś fajnego.

– Na przykład co?

– Na przykład pójść na tę imprezę z okazji rocznicy programu taty.

– Naprawdę? – Marah błagała o tę możliwość od tygodni, a Kate nieustannie powtarzała, że jest za młoda.

– Mogłybyśmy wybrać się razem na zakupy, do fryzjera, kupić sobie piękne sukienki…

– Kocham cię – powiedziała Marah i przytuliła się do Kate.

Kate przytrzymała córkę, ciesząc się jej bliskością.

– Mogę powiedzieć Emily?

Zanim Kate zdążyła odpowiedzieć, że oczywiście, Marah już sięgnęła po telefon i wystukała numer. Gdy Kate wychodziła i zamykała za sobą drzwi, usłyszała, jak Marah mówi:

– Em, nie uwierzysz. Zgadnij, dokąd się wybieram w sobotę…

Kate poszła do swojego pokoju, rozmyślając o tym, jak z dziećmi wszystko szybko się zmienia. W jednej chwili jesteś niczym Eskimoska na oddalającej się krze, niepotrzebna, zapomniana, a w następnej wspinasz się na Mount Rainier i wbijasz flagę w śnieg. Od tych gwałtownych zmian aż się kręci w głowie; jedyny sposób, by przetrwać, to cieszyć się dobrymi chwilami i nie rozpamiętywać za długo tych złych.

– Uśmiechasz się – stwierdził Johnny, gdy weszła do sypialni. Siedział na łóżku w okularach do czytania, które bardzo niechętnie kupił sobie w aptece.

– To takie dziwne?

– Szczerze mówiąc, tak.

Roześmiała się.

– Pewnie masz rację. Marah i ja miałyśmy kiepski tydzień. Zaproszono ją na całonocną imprezę z chłopcami (wciąż nie mogę w to uwierzyć) i powiedziałam, że nie może iść.

– Więc skąd ten uśmiech?

– Zaprosiłam ją na rocznicowe przyjęcie. Zrobimy sobie dziewczyński wypad na zakupy, manikiur, fryzjera i tak dalej. Trzeba będzie zarezerwować apartament w hotelu i może poprosić o dostawkę.

– Z przyjemnością – odpowiedział.

Kate uśmiechnęła się do niego. Była pełna nadziei, co nie zdarzyło się już od niepamiętnych czasów. Ona i Marah spędzą idealny wieczór jako matka i córka. Może zburzą wreszcie dzielący je mur.

Tully powinna być w siódmym niebie. Trwało przyjęcie z okazji rocznicy jej programu. Dziesiątki ludzi od miesięcy pracowały nad tym, żeby stało się to w Seattle wydarzeniem roku. Gośćmi mieli być nie tylko miejscowi, lista zaproszonych pełna była znanych osobistości. Krótko mówiąc, każdy, kto się liczył, miał być obecny, a wszyscy przybywali po to, by oddać jej cześć i uhonorować jej fantastyczny sukces. Rozejrzała się po lśniącej klasycznej sali balowej hotelu Olympic. Chyba teraz nazywał się jakoś inaczej – sieci hotelowe nieustannie kupowały i sprzedawały różne obiekty – ale dla mieszkańców Szmaragdowego Miasta to zawsze był i będzie Olympic.

Salę wypełniali jej znajomi, koledzy, wspólnicy, goście z listy najbardziej cenionych celebrytów oraz kilku najważniejszych

współpracowników. Wszyscy unosili kieliszki w toaście. Wszyscy ją kochali.

I nikt z nich tak naprawdę jej nie znał.

O to właśnie chodziło. Edna nie mogła przyjść, a Grant nawet nie oddzwonił. W tabloidzie wyczytała, że ma się ożenić z jakąś gwiazdką, i choć ta wiadomość nie powinna jej obejść, to jednak obeszła. Sprawiła, że Tully poczuła się stara i samotna, zwłaszcza w ten wieczór. Jak to możliwe, że była w tym wieku i nikogo nie miała? Nikogo wyjątkowego, z kim mogłaby dzielić życie?

Gdy mijał ją kelner, zatrzymała go i chwyciła z tacy drugi kieliszek szampana.

– Dzięki – powiedziała, obdarzając go słynnym uśmiechem Tallulah Hart, i rozejrzała się po sali w poszukiwaniu Ryanów. Wciąż ich nie było. Otaczało ją morze dalekich znajomych.

Wypiła szampana i ruszyła po kolejnego drinka.

Dzień spędzony z córką na zabiegach upiększających był dokładnie taki, jak Kate sobie wymarzyła. Nie kłóciły się po raz pierwszy od bardzo długiego czasu. Marah nawet słuchała opinii Kate. Gdy wybrały już sobie suknie – czarną, jedwabną na jednym ramiączku dla Kate i piękną, różową, szyfonową bez ramion dla Marah – wpadły do spa Gene Juarez, gdzie zrobiono im manikiur i pedikiur, uczesano je i umalowano.

Teraz były w pokoju Marah w apartamencie hotelu Olympic. Stały blisko siebie w niewielkiej łazience i podziwiały swoje odbicia w lustrze.

Kate wiedziała, że nigdy nie zapomni tego widoku, tego, jak były blisko siebie: wysoka, bardzo szczupła córka o pięknej

twarzy, uśmiechająca się tak szeroko, że aż mrużyła przy tym oczy, i obejmująca ręką nagie ramię matki.

– Ale jesteśmy odjazdowe – stwierdziła Marah.

Kate się uśmiechnęła.

– Absolutnie.

Marah niespodziewanie pocałowała ją w policzek, powiedziała „Dzięki, mamo", chwyciła wyszywaną koralikami torebkę z łóżka i ruszyła ku drzwiom.

– Uwaga, wychodzę, tato – obwieściła, otwierając je i wchodząc do salonu.

– Marah. – Kate usłyszała głos Johnny'ego i ciche gwizdnięcie. – Wyglądasz przepięknie.

Kate weszła do salonu za córką. Wiedziała, że nie jest już tak zgrabna jak kiedyś, ani tak ładna, ale w tej sukni i z diamentowym naszyjnikiem w kształcie serca od Johnny'ego czuła się piękna, a gdy zobaczyła, jak jej mąż uśmiecha się na jej widok, poczuła się też seksowna.

– No, no! – powiedział, podchodząc do niej. Nachylił się i pocałował ją. – Wygląda pani szałowo, pani Ryan.

– Pan również, panie Ryan.

Ze śmiechem wyszli we trójkę z apartamentu i zeszli do sali balowej, gdzie zebrały się już setki gości.

– Spójrz, mamo – szepnęła Marah, przysuwając się do Kate. – To Brad i Jennifer. A tam jest Christina. Wow. Nie mogę się doczekać, aż opowiem Emily.

Johnny wziął Kate za rękę i poprowadził ją przez tłum do baru, gdzie dostali dla siebie drinki i colę dla Marah.

A potem wycofali się i stanęli, by poprzyglądać się tłumowi.

Nawet w wypełnionej po brzegi sali Tully wyróżniała się w powiewnej jedwabnej sukni w szmaragdowym kolorze. Ruszyła ku nim, machając ręką, a suknia popłynęła za nią.

– Wyglądacie cudownie! – oznajmiła głośno i ze śmiechem.

Kate nie mogła nie zauważyć, że Tully już się lekko chwieje.

– Wszystko okej?

– Jak najbardziej. Johnny, powinniśmy powiedzieć parę słów ze sceny po kolacji. A potem wyjdziemy na parkiet, żeby rozkręcić imprezę?

– Nie masz towarzystwa? – zapytał Johnny.

Uśmiech zniknął z twarzy Tully.

– Marah może mi dotrzymać towarzystwa. Nie będzie ci przeszkadzało, że ją od was wypożyczę, Katie?

– Cóż…

– Dlaczego miałaby mieć coś przeciwko? – powiedziała Marah, wpatrując się w Tully z uwielbieniem. – Ma mnie na co dzień.

Tully przysunęła się do Marah.

– Ashton tu jest. Chcesz go poznać?

Pod Marah aż się ugięły nogi.

– Żartujesz?

Kate patrzyła, jak odchodzą, trzymając się za ręce i pochylając ku sobie głowy, niczym para cheerleaderek obgadujących kapitana drużyny futbolowej. Wieczór jakoś stracił dla niej urok. Popijając szampana, szła za mężem przez salę, uśmiechała się, gdy należało, śmiała, gdy wydawało się to stosowne, i mówiła: „Jestem pełnoetatową mamą”, gdy pytano ją, czym się zajmuje. Zorientowała się, że te kilka słów – zdanie, które napawało ją dumą – natychmiast sprawia, że rozmowa zamiera.

Przez cały czas obserwowała, jak Tully udaje, że Marah to jej córka, przedstawia ją kolejnym celebrytom i pozwala popijać szampana ze swojego kieliszka.

Gdy nadeszła pora kolacji, Kate zajęła miejsce przy głównym stole. Z jednej strony miała Johnny’ego, a z drugiej prezesa Syndiworld. Tully skupiała na sobie uwagę przez cały posiłek.

Nie da się tego inaczej opisać. Była energiczna, pobudzona, zabawna; wszyscy siedzący wokół niej – a zwłaszcza Marah – wpatrywali się w nią z zachwytem.

Kate starała się tym nie przejmować. Kilka razy spróbowała przyciągnąć uwagę córki, ale nie dało się konkurować z Tully. W końcu nie mogła już wytrzymać. Przeprosiła Johnny'ego i poszła do łazienki. Wszystkie kobiety stojące w kolejce do toalety zdawały się mówić o Tully i podkreślać, jak wspaniale wygląda.

– A widziałaś tę dziewczynę u jej boku?

– To chyba jej córka.

– Nic dziwnego, że wydają się sobie takie bliskie.

– Chciałabym, żeby moja córka mnie tak traktowała.

– Ja też – mruknęła cicho Kate.

Popatrzyła na siebie w lustrze i zobaczyła kobietę, która zrobiła wszystko, by wyglądać pięknie dla swojego męża i córki, ale była jedynie tłem dla swojej najlepszej przyjaciółki. Wiedziała, że to śmieszne, że czuje się przez to zraniona i wykluczona. To przecież nie był jej wieczór. Ale mimo wszystko… Miała takie wielkie nadzieje.

I to był jej błąd. Uzależniła swoje szczęście od zachowania nastolatki. *Idiotka.* Uświadomiwszy to sobie, omal się nie uśmiechnęła. Powinna być mądrzejsza. Zapanowawszy nad głupimi emocjami, poczuła się lepiej i wróciła na przyjęcie.

30

Tully nie powinna była tyle pić. Stała na scenie i zaciskała dłoń na ręce Johnny'ego, żeby się przytrzymać.

– Dziękuję wam wszystkim – powiedziała, błyskając uśmiechem w stronę tłumu. – *Dziewczyńska godzina* odniosła ten sukces dzięki wam. – Uniosła kieliszek, a goście odpowiedzieli wiwatami.

Pomyślała nagle, że jej słowa nie zabrzmiały najlepiej, a może w ogóle nie miały sensu, ale nie bardzo pamiętała, co dokładnie powiedziała, więc trudno jej było ocenić. Zwróciła się do Johnny'ego, obejmując go ramieniem.

– Teraz pora zatańczyć.

Zespół zaczął grać jakiś powolny utwór. Tully wzięła Johnny'ego za rękę i poprowadziła na parkiet. Wciąż się śmiała, gdy nagle rozpoznała tę melodię. *Crazy For You.* „Touch me once and you'll know it's true". To była piosenka, do której Johnny i Kate tańczyli pierwszy taniec na swoim weselu.

Tully przechyliła głowę i spojrzała na niego. Przypomniało jej się coś, czego nie powinna wspominać. To, gdy ostatnim razem tańczyła w jego ramionach. Wtedy to była piosenka *Didn't We Almost Have It All*, a gdy się skończyła, pocałował ją. Gdyby wtedy podjęła inną decyzję, wybrała miłość, a nie sławę, może by ją kochał, dał jej Marah i dom.

W bladym, złotawym świetle staroświeckich żyrandoli wyglądał niezwykle przystojnie. Miał w sobie jakąś odrobinę mroczną irlandzką aurę, która z upływem lat przybrała na sile.

Coś w jego spojrzeniu, tak pełnym powagi, przypomniało jej dawne czasy, gdy był nieco sponiewierany przez życie, a ona sprawiła, że tamtej jednej romantycznej nocy się śmiał.

– Zawsze dobrze tańczyłeś – powiedziała i zaraz trochę się zmieszała. Była pijana, powinna się wycofać, ale czuła się tak dobrze w ramionach mężczyzny. I przecież nic się i tak nie stanie.

Obrócił ją w tańcu, a potem znowu przyciągnął do siebie. Tłum bił im brawo.

– Nie powinnam była pić tyle szampana. Trudno ci mnie prowadzić.

– Nigdy nie dawałaś się łatwo prowadzić.

Te słowa przypomniały jej wszystko, każdy szczegół. Wspomnienia runęły przez ściany, które wybudowała, by je powstrzymywać. Zatrzymała się i spojrzała na niego.

– Co się z nami stało?

– A czy kiedykolwiek byliśmy jacyś „my”? – zapytał cicho.

Sposób, w jaki to powiedział – tak łatwo, tak szybko – sprawił, że pomyślała, czy nie czekał z zadaniem tego pytania od lat. Nie wiedziała, czy jego uśmiech jest pełen żalu, czy pobłażliwości; wiedziała tylko, że już nie tańczą, ale on nadal ją obejmuje.

– Nie pozwoliłam na to.

– Kate uważa, że nigdy o tobie nie zapomniałem.

Tully wiedziała, zawsze wiedziała. Nigdy nie porozmawiały tak naprawdę o swojej wspólnej przeszłości z Johnnym, odsunęły tę sprawę w imię przyjaźni. Tkwiła w ciemności, tam, gdzie powinna tkwić, ale – jak to zwykle bywało – alkohol i samotność osłabiły Tully, która mimo najlepszych intencji jednak zapytała:

– A nie zapomniałeś?

Zanim Kate wróciła na salę, zespół zaczął już grać.

Crazy For You.

Ta piosenka zawsze wywoływała jej uśmiech. Kate zatrzymała się w drzwiach do sali balowej i rozejrzała. Sprzątano ze stołów. Do baru ustawiła się kolejka. Marah w rogu sali rozmawiała z bardzo chudą dziewczyną w sukience rozmiarów chusteczki do nosa. *No świetnie*. Kate szła dalej, starając się zapanować nad irytacją. I wtedy dostrzegła błysk szmaragdowozielonej sukni i świat wokół niej jakby gwałtownie się oddalił.

Tully była na parkiecie, dosłownie uwieszona na Johnnym. On trzymał ją tak poufale blisko, jakby spędzili ze sobą całe życie. Choć powinni tańczyć, stali tam tylko, nieruchoma para pośród kolorowego tła wirujących tancerzy. Tully patrzyła na Johnny'ego tak, jakby właśnie zaproponowała mu pójście do łóżka.

Kate nie była w stanie oddychać. Pomyślała, że zaraz zwymiotuje.

Zawsze byłaś dla niego drugim wyborem. Wiedziała. Fakt, że się z tym w ciągu lat pogodziła, nic nie zmieniał.

Piosenka dobiegła końca i Johnny cofnął się od Tully. Gdy się odwracał, zobaczył Kate. Ich spojrzenia spotkały się ponad morzem pięknych wieczorowych kreacji. I tam, przed mnóstwem ludzi, którzy mogli to zobaczyć, Kate zaczęła płakać. Zażenowana wyszła z sali.

Okej, wybiegła.

Przy windach niecierpliwie wciskała przycisk.

– No już… No już…

Nie chciała, żeby ktokolwiek widział, że płacze.

Rozległ się dzwonek i drzwi windy się otwarły. Weszła do środka, oparła się o ścianę i skrzyżowała ramiona. Minęły

długie sekundy niecierpliwego oczekiwania, zanim się zorientowała, że nie wybrała piętra.

Drzwi już się miały zamknąć, gdy ktoś wsunął w nie rękę.

– Idź sobie – powiedziała do męża.

– Po prostu tańczyliśmy.

– Ha! – Kate wcisnęła przycisk, a potem otarła oczy.

Johnny wszedł do środka.

– Jesteś śmieszna.

Winda dotarła na ich piętro, drzwi się otwarły i Kate natychmiast wyszła.

– Niech cię szlag – rzuciła do tyłu, szukając klucza i otwierając drzwi. Weszła do apartamentu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

A potem czekała.

I czekała.

Może poszedł do Tully…

Nie. Nie wierzyła w to. Jej mąż może i coś czuł do Tully, ale był człowiekiem honoru, a Tully była jej najlepszą przyjaciółką. W przypływie zazdrości Kate jakoś o tym wszystkim zapomniała.

Otworzyła drzwi i zobaczyła, że Johnny siedzi na podłodze korytarza, z wyciągniętą przed siebie jedną nogą i poluzowanym krawatem.

– Jesteś tu.

– Ty masz klucz. Mam nadzieję, że przeprosisz.

Podeszła do niego i przyklęknęła.

– Przepraszam.

– Nie mogę uwierzyć, że myślisz…

– Nie myślę…

Wzięła go za rękę i pomogła mu wstać.

– Zatańcz ze mną – powiedziała, zła na siebie, że trochę za mocno zaakcentowała słowo „mną”.

– Nie ma muzyki.

Zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła kołysać biodrami, powoli się do niego przysuwając, aż oparł się o ścianę, a ona do niego przylgnęła.

Rozpięła sukienkę i pozwoliła jej opaść na podłogę.

Johnny rozejrzał się po korytarzu.

– Katie!

Sięgnął do jej torebki, wyjął klucz i otworzył drzwi. Wpadli do pokoju i wylądowali na kanapie, całując się z namiętnością, która wydawała się czymś nowym i jednocześnie dobrze znanym.

– Kocham cię – powiedział, przesuwając dłoń w stronę jej fig. – Postaraj się o tym nie zapominać, okej?

Brakowało jej tchu, by odpowiedzieć, więc tylko pokiwała głową i rozpięła mu spodnie. Obiecała sobie, że już nigdy nie podda się uczuciu zwątpienia, że już nigdy nie zapomni o jego miłości.

Dwa tygodnie później Tully stała w swoim olbrzymim gabinecie i wyglądała przez okno. Od dawna wiedziała, że czegoś jej w życiu brakuje. Miała nadzieję, że powrót do Seattle i własny program zapełnią jakoś tę pustkę w jej wnętrzu, ale nie udało się. Teraz była jedynie bardziej sławna, niezmiernie bogata i nadal jakoś niezadowolona.

Jak zawsze, gdy czuła się nieszczęśliwa, rzucała się w wir pracy. Znalezienie odpowiedzi, czyli działania, które będzie stanowić wyzwanie i przyniesie spełnienie, zajęło jej trochę czasu, ale w końcu coś wymyśliła.

– Zwariowałaś – powiedział Johnny, chodząc tam i z powrotem przed oknem, które wychodziło na zatokę Elliott.

– Telewizją rządzi format. Przecież wiesz. Pod względem oglądalności zajmujemy miejsce tuż za *Oprah*, a w zeszłym roku dostałaś nominację do Emmy. Firmy ustawiają się w kolejce, żeby promować się w naszym programie. To są wskaźniki sukcesu.

– Wiem – odpowiedziała trochę rozkojarzona, bo na chwilę skupiła uwagę na swoim odbiciu. W szybie sprawiała wrażenie wychudzonej i zmęczonej. – Ale ja nie lubię trzymać się reguł, wiesz o tym. Muszę trochę namieszać. Potrząsnąć. I w programie na żywo to się uda.

– Po co chcesz to robić? Czego ty więcej potrzebujesz?

Pytanie za sto punktów. Dlaczego nigdy nie miała dość? Jak miała to wytłumaczyć? W dodatku Johnny'emu?

Kate by zrozumiała, nawet gdyby tego nie pochwalała, ale ona była ostatnio zbyt zajęta. Może to też stanowiło część problemu. Tully czuła się odseparowana od przyjaciółki. Ich życie toczyło się tak odmiennymi torami. Właściwie nie rozmawiały ze sobą od czasu rocznicowego przyjęcia.

– Będziesz mi musiał zaufać, Johnny.

– To się w każdej chwili może zmienić w *Jerry Springer Show*, a wtedy diabli wezmą naszą wiarygodność. – Podszedł do niej, marszcząc lekko brwi. – Porozmawiaj ze mną, Tul.

– Nie zrozumiałbyś – powiedziała, oferując mu jedyną prawdę, jaką znała.

– Sprawdź mnie.

– Muszę coś po sobie zostawić.

– Codziennie ogląda cię dwadzieścia milionów widzów. To nic?

– Ty masz Katie i dzieci.

Zobaczyła, że zaczyna rozumieć. Obrzucił ją spojrzeniem „biedna Tully". Dokądkolwiek nie zaszła, jak wysoko się nie wspięła, to spojrzenie nieustannie jej towarzyszyło.

– Och.

– Muszę spróbować, Johnny. Pomożesz mi?

– Czy kiedykolwiek cię zawiodłem?

– Tylko wtedy, gdy ożeniłeś się z moją najlepszą przyjaciółką.

Roześmiał się i ruszył do drzwi.

– Jedna próba, Tully. A potem to ocenimy. W porządku?

– W porządku.

Pamiętała o tej umowie przez następne tygodnie. Rzuciła się w wir pracy z takim zaangażowaniem, że jej i tak ograniczone życie towarzyskie właściwie całkiem zamarło.

Teraz nadszedł wreszcie moment prawdy. Niepokoiła się. A jeśli Johnny miał rację i jej błyskotliwy pomysł przemieni się w ckliwy melodramat?

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu.

– Proszę – powiedziała.

Jej asystentka Helen, świeżo po Uniwersytecie Stanforda, wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

– Przyszedł doktor Tillman. Jest w green roomie. Rodzinę McAdamsów zaprosiłam do kafeterii dla pracowników, a Christy jest w gabinecie Teda.

– Dzięki, Helen – odpowiedziała rozkojarzona Tully, gdy drzwi się zamykały.

Już prawie zapomniała, jak to jest, gdy przeżywasz jednocześnie radość i strach, że zawiedziesz. Przez ostatnie lata zobojętniała. Teraz czuła się, jakby była nowicjuszką, jakby dopiero zaczynała, jakby próbowała zrobić coś, w co wierzy tylko ona.

Po raz ostatni spojrzała na siebie w lustrze, zdjęła ochronny kołnierzyk do makijażu i ruszyła do studia. Na scenie zobaczyła Johnny'ego, który robił sto rzeczy naraz, wydając polecenia.

– Gotowa? – zapytał.

– Szczerze? Nie wiem.

Podszedł do niej, cały czas mówiąc coś do słuchawki. Odsunąwszy mikrofon od ust, powiedział do niej cicho:

– Będziesz świetna, wiesz? Ufam ci.

– Dzięki. Potrzebowałam tych słów.

– Po prostu bądź sobą. Uwielbiają cię.

Na jego znak publiczność zaczęła wchodzić do studia. Tully wycofała się na bok i czekała na sygnał. Gdy zapaliły się czerwone lampki, wyszła na scenę. Jak zawsze stała tam przez chwilę i uśmiechała się, żeby przeniknął ją aplauz od obcych ludzi i wypełnił ją po brzegi.

– Dziś mamy dla was wyjątkowy program. Moim gościem jest doktor Wesley Tillman, znany psychiatra, który specjalizuje się w leczeniu uzależnień i poradnictwie rodzinnym…

Na olbrzymim ekranie za jej plecami pojawił się klip z otyłym mężczyzną o przerzedzonych włosach. Człowiek ten starał się nie płakać, ale mu się nie udawało.

– Moja żona to dobra kobieta, Tallulah. Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu lat i mamy dwoje pięknych dzieci. Problem w tym… – urwał, żeby otrzeć oczy. – Alkohol. Kiedyś to były drinki z przyjaciółkami, ale ostatnio…

Film dźwiękiem i obrazem dokumentował rozpad rodziny.

Gdy się skończył, Tully znów zwróciła się do publiczności. Zauważyła, że widzowie są poruszeni. Kilka kobiet już miało łzy w oczach.

– Pan McAdams jest jednym z nas, żyje w cichej rozpaczy, bo bliska mu osoba jest uzależniona. Przysięga, że próbował wszystkiego, by namówić żonę na leczenie i zerwanie z nałogiem. Dziś z pomocą doktora Tillmana zastosujemy radykalne podejście. Pani McAdams jest w tej chwili za kulisami, sama. Sądzi, że wygrała wycieczkę na Bahamy i właśnie ma ją odebrać. Ale tak naprawdę jej rodzina – z fachową pomocą doktora Tillmana – skonfrontuje ją z jej

alkoholowym nałogiem. Mamy nadzieję, że uda nam się sprawić, by dostrzegła prawdę i zaczęła się leczyć.

Publiczność zamarła. Tully wstrzymała oddech. *Wesprzyjcie mnie.*

I wtedy rozległy się brawa.

Tully starała się nie uśmiechać. Zerknęła na Johnny'ego, który stał przy kamerze numer jeden i uśmiechał się do niej szeroko, pokazując uniesiony kciuk.

To przyniesie zmianę, da jej spełnienie. Ona pomoże tej rodzinie, a Ameryka ją za to pokocha.

Cofnęła się, by przedstawić swoich gości, i od tego momentu program pędził z zawrotną szybkością. Wszyscy dali się porwać, wszystkim się podobało; klaskali, wzdychali, wiwatowali, płakali. Tully kontrolowała te reakcje niczym doświadczony treser. Była w swoim żywiole, bez wątpienia. To był jej najlepszy telewizyjny występ.

Zima przyszła nagle w listopadzie, opadając na wyspę niczym szary, mokry obłok. Niemal nagie drzewa drżały w chłodzie, przytrzymując przy sobie pojedyncze poczerniałe i martwe liście, jakby za nic nie chciały się poddać. Mgła przychodziła znad zatoki Puget każdego ranka, przesłaniając wszystko i zmieniając zwykłe dźwięki w przytłumione, odległe echa. Promy buczały ostrzegawczo, wchodząc i wychodząc z portu – żałobny lament w tumanach mgły.

Idealne tło, by napisać thriller w gotyckim klimacie. A przynajmniej tak powtarzała sobie Kate, gdy zaczęła znowu pisać. W tajemnicy.

Niestety, to nie było tak łatwe, jak jej się kiedyś wydawało.

Przeczytała raz jeszcze to, co napisała, a potem z westchnieniem wcisnęła przycisk kasowania i patrzyła, jak literki znikają jedna za drugą, aż znów miała przed sobą pusty niebieski ekran. Spróbowała wyrazić to w inny sposób, ale przychodziły jej do głowy same wyświechtane frazesy. Malutki, biały kursor czekał, jakby z niej drwił.

Wreszcie odepchnęła się od biurka i wstała. Była zbyt zmęczona, by wyobrażać sobie teraz światy, postacie i dramatyczne wydarzenia. I tak zresztą nadeszła pora przygotować obiad. Ostatnio miała wrażenie, że ciągle jest wykończona, a mimo to, gdy kładła się do łóżka, nie mogła zasnąć.

Wyłączyła światło w gabinecie Johnny'ego, zamknęła laptop i zeszła na dół.

Johnny spojrzał na nią znad „The New York Times".

– Znowu wsiąkłaś w oferty na eBayu?

Roześmiała się.

– Pewnie. Chłopcy byli grzeczni?

Nachylił się ku nim i poczochrał im włosy.

– Dopóki śpiewam z nimi *Wyznanie Urszuli*, są jak aniołki.

Nie mogła się nie uśmiechnąć. *Mała Syrenka* to był ostatnio ich ulubiony film. Oglądaliby go codziennie.

Drzwi frontowe otwarły się gwałtownie i w domu pojawiła się Marah. Wyglądała na podekscytowaną.

– Nie zgadniecie, co mi się dzisiaj przydarzyło.

Johnny odłożył gazetę.

– A co?

– Christopher, Jenny, Josh i ja jedziemy do Tacoma Dome na Nine Inch Nails. Uwierzycie? Josh mnie zaprosił.

Kate wzięła głęboki wdech. Nauczyła się już, by nie reagować pośpiesznie na rewelacje Marah.

– Na koncert, tak? – zapytał Johnny. – A ci znajomi to kto? Ile mają lat?

– Josh i Chris są w trzeciej klasie. I nie musicie się martwić, na pewno zapniemy pasy.

– Kiedy jest ten koncert? – zapytał Johnny.

– We wtorek.

– W środku tygodnia? Myślisz, że możesz iść na randkę, z chłopakiem z trzeciej klasy, na koncert i to w środku tygodnia? – Kate spojrzała na Johnny'ego. – Naprawdę doskonały pomysł.

– O której to się zaczyna? – dalej wypytywał Johnny.

– O dziewiątej. Powinniśmy wrócić przed drugą.

Kate nie mogła się powstrzymać: roześmiała się. Nie miała pojęcia, jak jej mąż potrafi zachować taki spokój.

– „Powinniśmy wrócić przed drugą"? Chyba żartujesz, Marah. Masz czternaście lat.

– Jenny też ma tyle, a jedzie. Tato? – Marah zwróciła się do ojca. – Musisz mnie puścić.

– Jesteś za młoda – odpowiedział. – Przykro mi.

– Nie jestem za młoda! Wszyscy robią takie rzeczy, tylko ja nie.

Kate zrobiło się trochę żal Marah. Pamiętała, jak jej samej śpieszyło się, by dorosnąć, jak intensywna bywa u dziewcząt ta potrzeba.

– Wiem, że uważasz, że jesteśmy zbyt surowi, Marah, ale czasem życie…

– Och, błagam. Tylko nie znowu jakaś lamusiarska przemowa o życiu.

Marah prychnęła, wbiegła po schodach i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Kate ogarnęło nagle takie zmęczenie, że aż się zachwiała. Spojrzała na męża.

– Dobrze, że zeszłam.

Johnny się uśmiechnął. To też robił z łatwością. Jak to możliwe, że toczył z Marah te same bitwy co Kate, ale wychodził z nich bez szwanku, a córka nadal go kochała?

– Jesteście idealnie zsynchronizowane. – Wstał i pocałował żonę. – Kocham cię – powiedział.

Wiedziała, że te słowa miały być niczym plaster, i doceniała je.

– Idę zrobić obiad, a potem spróbuję z nią porozmawiać. Dajmy jej trochę czasu, żeby ochłonęła.

Johnny usiadł i wrócił do lektury gazety.

– Zadzwoń do mamy Jenny i powiedz jej, że jest kretynką.

– Pozostawię to tobie.

Kate weszła do kuchni i zaczęła szykować posiłek. Przez niemal godzinę kroiła warzywa i przygotowywała ulubioną marynatę Marah z sosem teriyaki. O szóstej wymieszała sałatkę, wstawiła bułeczki do piekarnika i nakryła do stołu. Zwykle ten obowiązek należał do Marah, ale tego wieczoru nie było sensu prosić ją o pomoc.

– Okej – rzuciła, wracając do salonu, gdzie Johnny wyciągnął się na podłodze z chłopcami i budowali coś z klocków Lego. – Idę.

Johnny spojrzał na nią.

– Kamizelka z kevlaru jest w szafie w holu.

Czerpiąc pociechę z jego rozbawienia, Kate weszła na górę. Przed zamkniętymi drzwiami pokoju córki z żółtą tabliczką „Zakaz wstępu” zatrzymała się, zebrała w sobie i dopiero po chwili zapukała.

Żadnej reakcji.

– Marah? – zapytała Kate. – Wiem, że jesteś zdenerwowana, ale musimy o tym porozmawiać.

Poczekała, zapukała ponownie i otworzyła drzwi.

Stojąc pośród porozrzucanych ubrań, książek i płyt, dopiero po chwili zorientowała się, co widzi.

Pokój był pusty.

A okno otwarte.

By mieć pewność, sprawdziła każdy kąt – garderobę, łóżko, fotel. Zajrzała też do łazienki, do pokoju chłopców i małżeńskiej sypialni. Gdy przeszukiwała całe piętro, serce łomotało jej tak szybko, że aż zakręciło jej się w głowie. Na szczycie schodów musiała przytrzymać się poręczy.

– Nie ma jej – zakomunikowała, słysząc, że głos jej się łamie.

Johnny spojrzał do góry.

– Co?

– Nie ma jej. Myślę, że wyszła przez okno i zeszła po kracie.

Johnny natychmiast zerwał się z podłogi.

– Cholera jasna.

Wybiegł na zewnątrz. Kate za nim.

Stali pod oknem pokoju córki i patrzyli na nadłamaną białą drewnianą kratę i rozdarty bluszcz.

– Cholera jasna – powtórzył Johnny. – Musimy obdzwonić wszystkich jej znajomych.

Nawet w tak chłodny wieczór jak dziś Tully lubiła siedzieć na tarasie swojego apartamentu. To była duża, wyłożona kamiennymi płytami przestrzeń, którą zaprojektowano na wzór tarasu włoskiej willi. Liściaste drzewka rosły w terakotowych donicach, a ich gałęzie opleciono malutkimi, białymi światełkami.

Tully podeszła do balustrady i spojrzała w dal. Słyszała pomruk miasta w dole i czuła zapach słonego powietrza znad

zatoki. W oddali, za połacią szarej wody, rysował się zalesiony brzeg wyspy Bainbridge.

Co dziś wieczorem robią Ryanowie? – pomyślała. Czy zebrali się wokół tego swojego wielkiego, staroświeckiego stołu na kozłach i grają w planszówki? A może Marah i Kate leżą sobie przytulone na sofie i rozmawiają o chłopakach? A może jej przyjaciółka i Johnny wykradli dla siebie chwilkę i właśnie się całują…

W głębi mieszkania zadzwonił telefon. I dobrze. Rozmyślanie o rodzinie Kate sprawiało tylko, że Tully czuła się jeszcze bardziej samotna.

Weszła do środka, zamknęła za sobą przesuwne drzwi i odebrała telefon.

– Halo?

– Tully? – To był Johnny. Miał dziwny, spięty głos.

Natychmiast się zaniepokoiła.

– Co się stało?

– Marah uciekła. Nie wiemy, kiedy dokładnie, ale prawdopodobnie godzinę i kwadrans temu. Odzywała się do ciebie?

– Nie. Dlaczego uciekła? – Zanim Johnny odpowiedział, Tully usłyszała dzwonek do drzwi. – Chwileczkę, Johnny. Poczekaj.

Podbiegła do domofonu i wcisnęła guzik.

– Czy to ty, Edmondzie?

– Przyszła do pani Marah Ryan.

– Proszę ją wpuścić na górę. – Tully puściła przycisk. – Jest tutaj, Johnny.

– Dzięki Bogu – odparł. – Jest u niej, skarbie – powiedział do Kate. – Zaraz przyjedziemy, Tully. Nie pozwól jej wyjść.

– Bez obaw.

Tully rozłączyła się i podeszła do drzwi. Mieszkała w penthousie, więc to było jedyne mieszkanie na tym piętrze.

Otworzyła drzwi i czekała, starając się wyglądać na zaskoczoną, gdy Marah wysiadała z windy.

– Cześć, ciociu. Przepraszam, że wpadam do ciebie tak późno.

– Wcale nie jest późno. Wchodź.

Cofnęła się i przepuściła Marah pierwszą. Jak zwykle uderzyła ją niezwykła uroda chrześnicy. Jak większość dziewcząt w jej wieku była za szczupła i nieco kanciasta, ale to nie miało znaczenia. Miała ten typ urody, że będzie wyglądać dziewczęco do trzydziestki, kiedy jej ciało nabierze iście królewskich proporcji.

Tully podeszła do Marah.

– Co się stało?

Marah klapnęła na kanapę z dramatycznym westchnieniem.

– Zostałam zaproszona na koncert.

Tully usiadła obok niej.

– Ho, ho.

– W Tacoma Dome.

– Ho, ho.

– W środku tygodnia. – Marah zerknęła na Tully. – A chłopak, który mnie zaprosił, jest w trzeciej klasie.

– To znaczy, że ma szesnaście, siedemnaście lat?

– Siedemnaście.

Tully pokiwała głową.

– Byłam na Wings w Kingdome, gdy byłam w twoim wieku. W czym problem?

– Rodzice uważają, że jestem za młoda.

– Nie zgodzili się?

– No żenada. Wszyscy robią takie rzeczy, tylko nie ja. Moja mama nie pozwala mi nawet jeździć samochodem z chłopakami, którzy mają prawo jazdy. I codziennie odbiera mnie ze szkoły.

– Cóż, szesnastoletni chłopcy są raczej kiepskimi kierowcami, a czasami przebywanie z nimi sam na sam bywa… niebezpieczne. – Przypomniała jej się tamta noc w lesie, wiele lat temu. – Twoja mama po prostu cię chroni.

– Ale ja będę ze znajomymi.

– Aha. To co innego. Nic się nie stanie, jeśli cały czas będziecie trzymać się razem.

– No właśnie. Myślę, że ona się martwi tym, jak oni jeżdżą.

– Hm, mogłabym zabrać was limuzyną.

– Mogłabyś?

– Pewnie. To sprawa załatwiona. Przyzwoitka i kierowca. Ale będzie impreza! I dopilnuję, by nikomu nic się nie stało.

Marah westchnęła.

– To się nie uda.

– Dlaczego?

– Bo moja mama to suka i jej nienawidzę.

Tully była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co powiedzieć.

– Marah…

– Mówię serio. Traktuje mnie jak małe dziecko. Nie szanuje mojej prywatności. Chce wybierać mi przyjaciół i ciągle mi mówi, co mam robić. Zero makijażu, żadnych stringów, żadnego kolczyka w pępku, żadnych tatuaży, w domu o jedenastej. Wierz mi, jak tylko skończę szkołę, to sajonara, mamo. Jadę prosto do Hollywood, żeby zostać taką gwiazdą jak ty.

Ostatnie słowa tak pochlebiły Tully, że mało nie zapomniała tego, co usłyszała wcześniej. Musiała przywołać się do porządku.

– Jesteś niesprawiedliwa wobec swojej mamy. Dziewczyny w twoim wieku są delikatniejsze, niż ci się wydaje. Dawno temu, gdy byłam w twoim wieku i wydawało mi się, że jestem niezwyciężona…

– Ty byś mi pozwoliła iść na koncert, gdybyś była moją mamą.

– Tak, ale…

– Chciałabym, żebyś nią była.

Tully zaskoczyło, jak mocno wzruszyły ją te słowa. Trafiły w czuły punkt.

– Dogadacie się w końcu, Marah. Zobaczysz.

– Nie, nie ma szans.

Przez następną godzinę Tully starała się ostudzić gniew Marah, ale nie była w stanie przebić się przez zapiekłą skorupę złości chrześnicy. Zdumiało ją, z jaką łatwością Marah mówi, że nienawidzi Katie. Bała się, że one już nigdy nie odbudują zniszczonej relacji. A to, jak bardzo rani brak matczynej miłości, Tully akurat wiedziała najlepiej.

Wreszcie rozległ się dzwonek domofonu i głos Edmonda oznajmił:

– Państwo Ryanowie, pani Hart.

– Wiedzą, że tu jestem? – zapytała Marah, zrywając się z sofy.

– Nietrudno się było domyślić – odparła Tully, podchodząc do domofonu. – Wpuść ich, Edmondzie. Dziękuję.

– Zabiją mnie – powiedziała Marah, która zaczęła chodzić tam i z powrotem, załamując ręce. Nagle znów była dzieckiem, za wysokim, tyczkowatym i pięknym, ale wciąż dzieckiem, przestraszonym tarapatami, w jakie się wpakowało.

Johnny pierwszy wszedł do penthouse’u.

– Do cholery, Marah – powiedział. – Śmiertelnie nas wystraszyłaś. Nie wiedzieliśmy, czy uciekłaś, czy cię porwano… – urwał nagle, jakby bał się powiedzieć więcej.

Dołączyła do niego Kate.

Tully zaskoczył widok przyjaciółki. Wyglądała na zmęczoną, chorą i mniejszą, jakby właśnie zebrała cięgi.

– Katie? – zapytała zaniepokojona Tully.

– Dzięki, Tully – odpowiedziała Kate, posyłając jej słaby uśmiech.

– Ciocia Tully obiecała, że zabierze nas na ten koncert swoją limuzyną – oznajmiła Marah. – I będzie nas pilnować.

– Twoja ciotka jest głupia – warknął Johnny. – Jej matka wariatka musiała upuścić ją na głowę. A teraz zbieraj się. Jedziemy do domu.

– Ale…

– Żadnych ale, Marah – zarządziła stanowczo Kate. – Zbieraj się.

Marah odstawiła prawdziwy show – wzdychała, tupała, mamrotała i jęczała. A potem uścisnęła Tully, szepnęła: „Dzięki, że próbowałaś" i wyszła z apartamentu z Johnnym.

Tully czekała, aż Kate coś powie.

– Nie obiecuj jej niczego, zanim nas wcześniej nie zapytasz, okej? – powiedziała jedynie Kate, a jej głos był obojętny. Nawet nie była zła. – Bo to tylko utrudnia.

Odwróciła się, by wyjść.

– Katie, poczekaj…

– Nie dzisiaj, Tul. Jestem wykończona.

31

Tully martwiła się o Kate i Marah. Przez cały zeszły tydzień próbowała wymyślić, jak je pogodzić, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Siedziała teraz przy biurku i przeglądała notatki do scenariusza dzisiejszego programu.

Zadzwonił telefon. To była jej asystentka.

– Tully, są tutaj państwo McAdamsowie. Ci z odcinka o odwyku.

– Wpuść ich.

Para, która weszła do jej gabinetu w ten mroźny listopadowy poranek, ledwo przypominała ludzi, którzy wystąpili w jej pierwszym programie na żywo. Pan McAdams zrzucił co najmniej dziesięć kilogramów i już się nie garbił, nie chował głowy w ramiona. Pani McAdams obcięła włosy, była umalowana i uśmiechnięta.

– Och – powiedziała Tully. – Oboje świetnie wyglądacie. Siadajcie, proszę.

Pan McAdams trzymał żonę za rękę. Razem usiedli na luksusowej sofie z czarnej skóry, która stała naprzeciwko okien.

– Przepraszamy, że przeszkadzamy. Wiemy, jaka jesteś zajęta.

– Dla przyjaciół zawsze mam czas – odpowiedziała Tully, posyłając im swój profesjonalny uśmiech. Przysiadła na skraju biurka i popatrzyła na nich z góry.

– Chcieliśmy tylko podziękować – powiedziała pani McAdams. – Nie wiem, czy znasz kogoś z problemem uzależnienia od narkotyków albo alkoholu…

Uśmiech zniknął z twarzy Tully.

– Owszem, znam.

– Potrafimy być podli, egoistyczni, pełni złości i uparci. Chciałam się zmienić. Bóg jeden wie, że chciałam to rzucić niemal codziennie, ale nie robiłam tego. Dopóki ty nie ustawiłaś mnie w świetle reflektorów i nie sprawiłaś, że dostrzegłam, jak naprawdę wygląda moje życie.

– Nie masz pojęcia, jak nam pomogłaś – dodał pan McAdams. – Chcieliśmy ci tylko podziękować.

Tully była tak wzruszona ich słowami, że odpowiedziała dopiero po chwili.

– To właśnie chciałam osiągnąć za pomocą programu na żywo: zmienić czyjeś życie. To, że się udało, bardzo wiele dla mnie znaczy.

Zadzwonił telefon.

– Przepraszam. – Odebrała. – O co chodzi?

– John na pierwszej linii, Tully.

– Dziękuję. Połącz. – Gdy się odezwał, zapytała: – Nie chce ci się przejść tych piętnastu metrów do mojego biura? Chyba się starzejesz, Johnny.

– Muszę z tobą porozmawiać, ale nie przez telefon. Mogę cię zaprosić na piwo?

– Gdzie i kiedy?

– Virginia Inn?

Roześmiała się.

– Boże, nie byłam tam od lat.

– Kłamczucha. Przyjdź do mojego gabinetu o piętnastej trzydzieści.

Rozłączyła się i skierowała uwagę z powrotem na swoich gości, którzy zdążyli już wstać.

– Cóż – powiedział pan McAdams. – To z naszej strony wszystko. Mam nadzieję, że pomożesz innym, tak jak pomogłaś

nam.

Podeszła do nich, by uścisnąć im dłonie.

– Dziękuję. Jeśli nie macie nic przeciwko, może w przyszłym roku znów zrobimy o was program? Żeby pokazać Ameryce wasze postępy?

– Pewnie.

Odprowadziła ich do drzwi, pożegnała i wróciła do biurka. Przez następne godziny, gdy robiła notatki do odcinka zaplanowanego na następny dzień, raz po raz się uśmiechała. Dzięki swojemu programowi zrobiła coś dobrego. Zmieniła życie McAdamsów.

O trzeciej trzydzieści poskładała papiery, chwyciła płaszcz i poszła do gabinetu Johnny'ego. Omawiając pomysły na następny show, przeszli przecznicę do Public Market i skręcili ku zaparowanemu i zadymionemu barowi na rogu.

Poprowadził ją w głąb sali, by zająć miejsca przy jednym z małych, drewnianych stolików przy oknie. Nie zdążyła usiąść, a już przywołał kelnerkę, zamówił dla siebie piwo Corona, a dla niej dirty martini. Tully poczekała, aż przyniosą im drinki, i dopiero powiedziała:

– Okej, o co chodzi?

– Rozmawiałaś ostatnio z Kate?

– Nie. Myślę, że jest na mnie zła przez ten koncert. A może nadal o tamten kurs modelingu. Dlaczego pytasz?

Przeczesał palcami niesforne włosy.

– Nie wierzę, że powiem to o swojej własnej córce, ale Marah jest po prostu podła. Trzaska drzwiami, wydziera się na braci, ignoruje szlaban, odmawia pomagania w domu. Ona i Kate kłócą się przez cały dzień i to codziennie. To wykańcza Kate. Ona chudnie. Nie śpi.

– Myśleliście o szkole z internatem?

– Kate nie będzie chciała jechać. – Uśmiechnął się ze znużeniem w reakcji na własny żart. – Naprawdę, Tully, martwię się o nią. Porozmawiasz z nią?

– Oczywiście, ale wygląda na to, że potrzebuje czegoś więcej niż rozmowy z przyjaciółką. Może powinna poszukać pomocy?

– Na przykład u psychiatry? Nie wiem.

– Depresja jest częsta u pełnoetatowych matek. Pamiętasz ten odcinek programu, który zrobiliśmy na ten temat?

– To właśnie mnie martwi. Chciałbym, żebyś sprawdziła, czy coś jest na rzeczy. Czy mam się czym martwić, czy nie. Tak dobrze ją znasz.

Tully sięgnęła po drinka.

– Możesz na mnie liczyć.

Uśmiechnął się, ale wyglądał na zmęczonego.

– Wiem.

W sobotę Tully zadzwoniła do Johnny'ego z samego rana.

– Mam pomysł – powiedziała, gdy odebrał.

– Co chcesz zrobić?

– Zabiorę ją do Salish Lodge. Masaż, relaks i tak dalej. I pogadamy.

– Powie ci, że nie ma czasu i każe spadać.

– To ją porwę.

– Naprawdę myślisz, że ci się uda?

– A widziałeś kiedyś, żeby coś mi się nie udało?

– Okej. Spakuję jej torbę i postawię przy drzwiach, a potem zabiorę gdzieś dzieci, żeby nie miała wymówki. – Umilkł na chwilę. – Dzięki, Tully. Ma szczęście, że ma taką przyjaciółkę jak ty.

Tully skończyła rozmowę, a potem zadzwoniła w parę miejsc. Do dziewiątej rano wszystko miała ustalone. Spakowała się szybko, wrzuciła to, co potrzebne, do auta, w sklepie na Capitol Hill dokupiła brakujące rzeczy, a potem pojechała na przystań. Czekanie na nabrzeżu i podróż promem wlokły się niemiłosiernie, ale wreszcie dotarła na podjazd przed domem Kate.

Ogród od frontu był zarośnięty i zapuszczony. Dawno temu młoda matka spędzała w nim całe wiosenne miesiące, sadząc cebulki i byliny, z dziećmi na kocykach rozłożonych na trawie dokoła niej, ale potem, przez lata, gdy dzieci dorastały i same wybierały sobie letnie zajęcia, zabrakło jej czasu na prace ogrodowe. Jednak te wszystkie rośliny dalej kwitły w krótkie, upalne lata północnego zachodu, powracając rok po roku jako wspomnienie dawnych czasów, rozrastając się i zmieniając tak, jak rodzina żyjąca w tym domu. Teraz, w połowie chłodnego i szarego listopada, były tu tylko brązowe badyle. Wszędzie leżały liście, a obumarłe kwiaty tworzyły wyblakłe plamy na krzewach róż.

Tully zaparkowała swojego mercedesa przed garażem i wysiadła. Gdy omijała rowery, deski i figurki porozrzucane na żwirowej ścieżce, nie mogła nie pomyśleć z podziwem, jaki to przytulny dom, nawet o tej porze roku. Pokryty gontem budynek, wzniesiony w latach dwudziestych dla jakiegoś bogatego właściciela tartaków, by mógł spędzać w nim weekendy, był świeżo odmalowany karmelową bejcą, a pod lśniącymi białym obramowaniem oknami ze szprosami umieszczono doniczki z późno kwitnącymi pelargoniami.

Na ganku Tully minęła niski manekin do boksowania w kształcie klauna i zapukała do drzwi. Otworzyła jej Kate, która miała na sobie czarne, znoszone legginsy i za duży T-shirt.

Jej jasne włosy aż wołały o farbę i przycięcie. Wyglądała na zaniedbaną. Wykończoną.

– Och – powiedziała, wsuwając kosmyk włosów za ucho. – Jaka miła niespodzianka.

– Poproszę cię raz i grzecznie, żebyś ze mną wyszła.

– To znaczy? Akurat coś robię. Mała Liga chłopaków organizuje wyprzedaż patchworkowych narzut. Jak tylko skończę…

Tully wyciągnęła z kieszeni żółty, plastikowy pistolet na wodę i wymierzyła z niego w Kate.

– Nie zmuszaj mnie, bym nacisnęła spust.

– Strzelisz do mnie?

– Tak.

– Posłuchaj, wiem, że lubisz przedstawienia, ale ja nie mam dzisiaj na to czasu. Muszę obszyć co najmniej pięćdziesiąt kawałków materiału, zanim…

Tully nacisnęła spust. Strumień zimnej wody trysnął w powietrze i trafił Kate prosto w pierś. Woda przesiąkła przez jej bawełnianą koszulkę, zostawiając wielką plamę.

– Co do…

– To jest porwanie. Nie zmuszaj mnie, żebym wycelowała ci w twarz. Chociaż, tak szczerze, to przydałby ci się prysznic.

– Czy ty chcesz mnie wkurzyć?

Tully podała Kate czarną opaskę na oczy.

– Musiałam pójść do tego obciachowego sex shopu na Capitol Hill, żeby to zdobyć, więc mam nadzieję, że doceniasz.

Kate wyglądała na absolutnie zdezorientowaną, jakby nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy złościć.

– Ja nie mogę tak po prostu wyjść. Johnny i dzieci wrócą za godzinę, a ja muszę…

– Nie, nie wrócą. – Tully zerknęła nad ramieniem Kate do zagraconego salonu. – O, tam jest twoja walizka.

Kate obróciła się gwałtownie.

– Ale…

– Johnny spakował ją dziś rano. Jest moim wspólnikiem. Albo moim alibi, jakbyś robiła problemy. A teraz zabieraj swój bagaż.

– Myślisz, że wybiorę się gdziekolwiek z bagażem spakowanym przez męża? Jak otworzę tę walizkę, znajdę w niej seksowną bieliznę, szczoteczkę do zębów i ubrania, w które nie mieszczę się od dwóch lat.

Tully pomachała opaską.

– Załóż to albo znowu będę musiała do ciebie strzelić.

Położyła palec na spuście.

Kate wreszcie uniosła dłonie.

– Okej. Wygrałaś.

Założyła opaskę i powiedziała:

– Oczywiście wiesz, że inteligentni przestępcy zasłaniają ofiarom oczy przed dokonaniem przestępstwa? Żeby nie mogły ich zidentyfikować.

Tully powstrzymała uśmiech i przeszła do salonu, by chwycić walizkę, a następnie ostrożnie poprowadziła Kate do swojego samochodu.

– Nie każda ofiara porwania ma okazję przejechać się mercedesem.

Tully wrzuciła płytę CD do odtwarzacza. Po paru minutach śmignęły mostem nad Agata Pass i znalazły się na terenie rezerwatu, mijając stojące przy autostradzie drewniane budki, w których członkowie lokalnych plemion sprzedawali sztuczne ognie.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Kate.

– A to już moja sprawa, nie twoja.

Tully pogłośniła dźwięk. Madonna śpiewała *Papa Don't Preach*. Po chwili obie do niej dołączyły. Znały słowa do każdej kolejnej piosenki, które przeniosły przyjaciółki w czas młodości.

Madonna. Chicago. The Boss. The Eagles. Prince. Queen. *Bohemian Rapsody* była ich wyjątkowo ulubionym kawałkiem. Potrząsały głowami do muzyki, idealnie naśladując Gartha i Wayne'a.

Tuż po drugiej Tully wjechała na parking.

– Jesteśmy na miejscu. Portier tak ci się dziwnie przygląda, że może lepiej zdejmij tę opaskę.

Kate zerwała ją z oczu, akurat gdy portier podszedł otworzyć jej drzwi auta. Od razu otoczył je szum wodospadów Snoqualmie, ale z tego miejsca nie było ich widać. Ziemia aż wibrowała od siły spadającej wody. Powietrze było ciężkie i wilgotne.

Tully podeszła do recepcji, zameldowała je i ruszyły za boyem do ich pokoju, czyli narożnego apartamentu z dwiema sypialniami, kominkiem w salonie i widokiem na spienioną rzekę Snoqualmie pędzącą ku wodospadom.

Boy podał im rozkład ich zajęć w spa, a Tully odwdzięczyła się hojnym napiwkiem. Zostały same.

– Najpierw najważniejsze – oznajmiła Tully.

Na tyle długo pracowała w telewizji, że wiedziała, kiedy scenariusz jest niezbędny. Zaplanowała ich pobyt krok po kroku. Otworzyła walizkę, wyjęła dwie limonki, solniczkę i tequilę kupioną za kosmicznie zawyżoną cenę. – Po kielonku.

– Zwariowałaś – powiedziała Kate. – Nie piłam tequili od…

– Bo będę znowu strzelać. A kończy mi się woda.

Kate się roześmiała.

– Okej, polewaj, barmanko.

– I jeszcze jeden – powiedziała od razu Tully.

Kate wzruszyła ramionami i wypiła.

– Dobra. Kostiumy kąpielowe. Włóż swój. W sypialni masz szlafrok.

Kate jak zwykle zrobiła to, o co ją proszono.

– Dokąd się wybieramy? – zapytała, gdy szły wyłożonym lśniącymi kamiennymi płytami korytarzem w kierunku lobby.

– Zobaczysz.

Weszły do spa i kierowały się znakami prowadzącymi do gorących kąpieli.

W samym rogu znalazły piękny, parujący basen otoczony elementami w stylu azjatyckim i etnicznymi ozdobami z Północnego Zachodu. W powietrzu unosił się zapach lawendy i róż. Bujna zieleń roślinności w ceramicznych i brązowych donicach sprawiła, że poczuły się jak w ogrodzie. Weszły do gorącej i pełnej bąbelków wody.

Kate natychmiast westchnęła i oparła się o brzeg.

– Tu jest jak w raju.

Tully przyjrzała się przyjaciółce i dopiero teraz, w delikatnych obłokach pary, dostrzegła, jak bardzo jest zmęczona.

– Wyglądasz okropnie – powiedziała ostrożnie.

Kate powoli otworzyła oczy. Tully widziała, że przez jej twarz przemknął grymas gniewu, ale zaraz zniknął.

– To przez Marah. Czasem, gdy na mnie patrzy, dosłownie widzę nienawiść w jej oczach. Nawet nie wiesz, jak to strasznie boli.

– Wyrośnie z tego.

– Wszyscy tak mówią, ale ja w to nie wierzę. Gdyby istniał jakiś sposób, żebym mogła zmusić ją, żeby ze mną porozmawiała, żeby mnie wysłuchała… Próbowaliśmy z psychologiem, ale odmówiła.

– Nie da się zmusić dziecka, żeby się otwarło. Tylko presja ze strony rówieśników może skłonić nastolatka do czegokolwiek, prawda?

– Och, ale oni się otwierają. I nie dasz wiary, co wtedy mówią. Zdaniem Marah jestem jedyną matką na świecie, która jest tak

koszmarnie nadopiekuńcza.

Tully dostrzegła w oczach przyjaciółki ogromny smutek i choć starała się wierzyć, że to zwykłe matczyne stresy, nagle poczuła niepokój. Nic dziwnego, że Johnny tak się martwi. W zeszłym roku Tully robiła wywiad z młodą matką, która czuła się przybita i przytłoczona. Kilka miesięcy po wywiadzie ta kobieta połknęła całe opakowanie tabletek nasennych. Na samą myśl Tully przeszedł dreszcz przerażenia. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby pomóc Kate.

– Może powinnaś poszukać pomocy.

– Masz na myśli psychiatrę?

Tully pokiwała głową.

– Nie muszę rozmawiać o swoich problemach. Muszę sobie lepiej zorganizować zajęcia i tyle.

– Dobra organizacja to akurat twój atut. Nie masz obowiązku jeździć na każdą wycieczkę, szyć kostiumów do każdego przedstawienia i piec ciasteczek na każdą zbiórkę. A do szkoły mogą sobie jeździć cholernym autobusem.

– Mówisz jak Johnny. Pewnie teraz mi powiesz, że sprawy układałyby się lepiej, gdybym godziła to wszystko z pisaniem książki. Cóż, próbowałam. Naprawdę próbowałam. – Kate załamał się głos. W jej oczach wezbrały łzy. – Gdzie ta tequila?

– Doskonały pomysł. Nie uchlałyśmy się porządnie od lat.

– No jacha. – Kate się roześmiała.

– Ale za pół godziny mamy masaż, więc musimy chwilę poczekać.

– Masaż. – Kate spojrzała na przyjaciółkę. – Dzięki, Tully. Tego mi było trzeba.

Jednak Tully już widziała, że to nie wystarczy. Katie potrzebowała prawdziwej pomocy, a nie paru kieliszków tequili i okładów z błota. Potrzebowała jakiegoś rozwiązania i jej przyjaciółka powinna je znaleźć.

– Gdybyś mogła zmienić jedną rzecz w swoim życiu, co by to było?

– Marah – odpowiedziała łagodnym tonem. – Chciałabym, żeby znów ze mną rozmawiała.

I nagle, jak za sprawą magii, Tully doznała olśnienia.

– A może przyjdziecie do mojego programu? Ty i Marah. Zrobimy odcinek o relacjach matka–córka. Na żywo będzie najlepiej, bo będzie wiedziała, że nic nie zostanie wycięte. Przekona się, jak bardzo ją kochasz i jakie ma szczęście.

Nadzieja sprawiła, że Kate odmłodniała o dziesięć lat.

– Myślisz, że to zadziała?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo Marah pragnie wystąpić w telewizji. I za nic nie będzie chciała źle wypaść przed kamerą. Będzie musiała cię wysłuchać.

Z oczu Kate zniknął wyraz znużenia i głębokiego smutku. Pojawiła się w nich iskierka oczekiwania.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Tully uśmiechała się od ucha do ucha. Mogła pomóc przyjaciółce to przetrwać, może nawet ratowała jej życie. Tak jak sobie obiecały wiele lat temu.

– Nigdy się nie dowiemy.

– Czy twoi spece od makijażu ukryją moje zmarszczki?

Tully się roześmiała.

– Wierz mi, jak skończą, będziesz wyglądała młodziej niż Marah.

– Doskonale.

Kate wróciła ze spa odmieniona. Gdy tylko weszła do domu, Marah napadła na nią, narzekając, że nie mogła iść na jakąś imprezę, bo miała szlaban, ale tym razem jej słowa były niczym

strzały, które mijają cel i opadają bezużyteczne na ziemię. „Już wkrótce – pomyślała Kate, uśmiechając się w duchu – już wkrótce znajdziemy sposób, by do siebie wrócić”.

Wzięła długą, przyjemną kąpiel, a potem ułożyła się z chłopcami, by poczytać im na dobranoc. Właśnie zasypiali, gdy Johnny wsunął głowę przez drzwi.

– Ćśś… – powiedziała, zamykając książkę.

Pocałowawszy obie główki, otuliła synków, a potem wyszła do męża.

– Dobrze się bawiłyście? – zapytał Johnny, przyciągając ją do siebie.

– Fantastycznie. Tully ma plan…

Na dole rozległ się dzwonek do drzwi. A potem głos Marah:

– Ja otworzę!

Johnny i Kate spojrzeli na siebie, marszcząc brwi.

– Jest niedziela wieczór – powiedziała Kate. – Nie wolno jej zapraszać koleżanek, jeśli następnego dnia jest szkoła.

Lecz gdy zeszli na dół, zobaczyli w salonie rodziców z walizkami.

– Mamo? – zdziwiła się Kate. – Co się stało?

– Tully przysłała nas, żebyśmy zajęli się dziećmi przez tydzień. Samochód czeka na zewnątrz i zabierze was dwoje na lotnisko. Tully kazała wam zabrać stroje kąpielowe i krem z filtrem. I to wszystko, co macie wiedzieć.

– Ja nie mogę teraz wyjechać – powiedział Johnny. – Ma u nas wystąpić senator McCain.

– Tully jest twoją szefową, zgadza się? – odparł tata. – Chyba jak ona mówi, że masz urlop, to znaczy, że masz urlop.

Kate i Johnny popatrzyli po sobie. Odkąd zostali rodzicami, nigdy nie byli na urlopie bez dzieci.

– Może być fajnie – stwierdził Johnny z uśmiechem.

Przez następną godzinę biegali po domu, pakując się, robiąc listy ze wskazówkami i wypisując ważne numery telefonów. A potem pocałowali dzieci – nawet Marah – podziękowali rodzicom i wyszli do czekającej na nich limuzyny.

– Tully zawsze idzie na całość – stwierdził Johnny, zajmując miejsce w ciemnym, obitym pluszem wnętrzu samochodu.

Kate wsunęła się do środka i usiadła obok niego.

– Już się czuję odprężona, a jesteśmy jeszcze na naszym podjeździe.

Silnik limuzyny zamruczał.

– Wie pan, dokąd jedziemy? – zapytał Johnny szofera.

– Bilety są w kieszeni naprzeciwko pana.

Johnny sięgnął po kopertę i otworzył ją.

– Kauai – przeczytał.

Tam wyjechali w podróż poślubną. Kate zamknęła oczy, wyobrażając sobie kołyszące się na wietrze palmy i różowawy piasek plaży Anini.

– Ale nie zasypiaj – powiedział Johnny.

– Nie zasypiam. – Obróciła się i usiadła mu na kolanach.

– Dziękuję, że pomogłeś Tully mnie porwać.

– Martwię się o ciebie.

– Ja też się o siebie martwię. Ale czuję się lepiej.

– O ile lepiej?

Zerknęła na okienko, które oddzielało ich od kierowcy.

– Naciśnij przycisk, żeby je zamknąć, to ci pokażę.

– Mówimy o seksie?

– Mówimy o seksie – odpowiedziała, rozpinając mu koszulę. – I poprzestaniemy na rozmowie, jeśli nie wciśniesz tego cholernego przycisku.

Powoli rozciągnął usta w uśmiechu.

– Och, już wciskam.

32

Kate i Johnny wrócili do domu, wypoczęci i zadowoleni, dzień przed emisją. Następnego ranka Kate obudziła się o piątej, skorzystała z toalety i już nie mogła zasnąć.

Dom był cichy i pogrążony w ciemności. Przechodząc z pokoju do pokoju, zbierając i odkładając na miejsce zabawki, nie zapalała światła. Wciąż trudno jej było uwierzyć, że to już dziś. Tak długo czekała, tak mocno się modliła o jakąś zmianę w relacji z córką, że już prawie straciła nadzieję. Tully przywróciła ją Kate dzięki pomysłowi z programem. Nawet Johnny wydawał się nastawiony optymistycznie. Zrobił tak, jak poprosiła (czy też zażądała) Tully: odpuścił sobie ten odcinek. Miał jedynie zasiąść wśród publiczności jako ojciec wspierający swoją rodzinę.

Kate wzięła prysznic i ubrała się w łazience. Spojrzała w lustro i, starając się nie dostrzegać zmarszczek w kącikach oczu, przećwiczyła kwestię, którą miała powiedzieć. „To prawda, Tully. Zrezygnowałam z kariery, żeby być pełnoetatową mamą. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że praca byłaby mniejszym wyzwaniem". W tym momencie publiczność miała się roześmiać. „Nadal chcę zostać pisarką, ale tak trudno pogodzić pracę z macierzyństwem. A Marah potrzebuje mnie dzisiaj bardziej, niż gdy była malutka. Wszyscy mówią o okropnych dwulatkach, ale w moim domu okropne są nastolatki. Tęsknię za tymi czasami, gdy mogłam odłożyć ją do

kojca i wiedziałam, że jest bezpieczna". Po tej uwadze z pewnością rozlegnie się pomruk zrozumienia.

Zeszła na dół, zrobiła śniadanie dla wszystkich i postawiła je na stole. Chłopcy błyskawicznie zjawili się na dole, przepychając się w walce o najlepsze krzesło. Gdy Marah zeszła na dół, wyraźnie przejęta występem w telewizji, Kate nie potrafiła ukryć podekscytowania. To się uda. Była o tym przekonana.

– Przestań się tak szczerzyć, mamo. Aż dreszcze przechodzą – powiedziała Marah, nalewając sobie mleka do płatków owsianych i zabierając je do stołu.

– Daj mamie spokój – poprosił Johnny, mijając córkę.

Zatrzymał się za Kate, objął za ramiona i pocałował w kark.

– Wyglądasz cudownie.

Odwróciła się ku niemu, zarzuciła mu ręce na szyję i spojrzała prosto w oczy.

– Cieszę się, że będziesz dzisiaj moim mężem, a nie jej producentem. Potrzebuję cię na widowni.

– Mnie nie dziękuj. Tully całkiem mnie wykluczyła. Nikomu na planie nie wolno było mi nic powiedzieć ani pokazać scenariusza. Tully chce, żebym był zaskoczony.

Od tego momentu dzień pędził niczym Sokół Millenium w nadprzestrzeni. Dopiero gdy byli na promie, zaczęła się denerwować. Publiczność ją wyśmieje, stwierdzi, że powinna była coś zrobić ze swoim życiem i zostać kimś. I do tego jest gruba. Tak się zatopiła w tych lękach, że gdy zaparkowali, nie była w stanie wysiąść.

– Boję się – powiedziała do Johnny'ego.

Marah przewróciła oczami i ruszyła przed siebie.

Johnny wziął żonę za rękę, rozpiął pas i pomógł jej wysiąść z samochodu.

– Świetnie sobie poradzisz – zapewnił, prowadząc ją do windy.

W studiu było pełno ludzi, którzy biegali tu i tam, wrzeszcząc na siebie nawzajem. Johnny przysunął się bliżej Kate.

– Zupełnie jak za twoich dawnych czasów w wiadomościach, pamiętasz?

– Kate!

Usłyszała, jak jej imię rozbrzmiewa w zatłoczonym holu, i spojrzała w tamtą stronę. Tully, bardzo szczupła i wyglądająca fantastycznie, szła w jej kierunku z szeroko rozpostartymi ramionami. Mocno ją uściskała i Kate wreszcie poczuła odprężenie. To nie był zwykły program telewizyjny, to był program Tully. Jej najlepsza przyjaciółka postara się, żeby Kate dobrze wypadła.

– Trochę się denerwuję – przyznała.

– Trochę? – wtrąciła się Marah. – Zachowuje się jak Rain Man.

Tully się roześmiała i wzięła Kate pod rękę.

– Nie ma się czego obawiać. Świetnie sobie poradzisz. Jesteśmy podekscytowani, że ty i Marah wystąpicie w naszym programie.

Zaprowadziła je do makijażystów i tam zostawiła.

– To takie ekscytujące – powiedziała Kate, siadając przed olbrzymim lustrem. Makijażystka Dora natychmiast zaczęła pracować nad jej twarzą.

Marah usiadła obok. Inna osoba zajęła się jej wyglądem.

Kate patrzyła w lustro. Po chwili obok niej pojawiła się nieznajoma: kobieta, którą Marah wkrótce się stanie. W umalowanej twarzy córki Kate dojrzała przyszłość, dostrzegła prawdę, którą do tej pory zakrywał przed nią muślin dzieciństwa. Niedługo Marah zacznie chodzić na randki, zrobi prawo jazdy, a potem wyjedzie na studia.

– Kocham cię, Manczkinku – odezwała się, celowo używając przezwiska, które przeminęło razem ze śniadaniówkami z Kubusiem Puchatkiem i chichoczącym pluszakiem Elmo. – Pamiętasz, jak tańczyłyśmy do starych piosenek Lindy Ronstadt?

Marah spojrzała na matkę. Przez ułamek sekundy – tylko tyle – były znowu mamusią i Manczkinkiem i choć ta więź nie przetrwała, bo nie mogła ze względu na burze okresu dojrzewania, to jednak ten moment napełnił Kate nadzieją, że po dzisiejszym dniu znów będą razem, tak sobie bliskie jak kiedyś.

Marah uśmiechnęła się z wahaniem.

– Pamiętam – odparła.

Kate miała ochotę uściskać córkę, ale to nie odniosłoby pożądanego skutku. Nauczyła się już, że kontakt fizyczny oddala je od siebie.

– Kathleen i Marah Ryan?

Kate obróciła się na krześle i zobaczyła ładną młodą kobietę z jakąś listą na podkładce z klipsem.

– Czekamy na was.

Kate wyciągnęła rękę do Marah, a ta była tak podekscytowana, że ją ujęła. Poszły za młodą kobietą do green roomu, gdzie kazano im poczekać.

– W lodówce jest woda i częstujcie się, czym chcecie z tego kosza – poinstruowała kobieta. A potem dała Kate przypinany mikrofon i nadajnik do zamocowania w pasie.

– Tallulah mówiła, że pani wie, jak to działa.

– Trochę czasu minęło, ale dam radę. I pokażę Marah. Dzięki.

– Doskonale. Przyjdę po was, gdy będzie pora. Jak wiecie, nadajemy na żywo, ale nie martwcie się tym. Po prostu bądźcie sobą.

I już jej nie było.

To się naprawdę dzieje. I tyle dla niej znaczy ta szansa odbudowania więzi z córką.

Zaraz potem rozległo się pukanie do drzwi.

– Jesteśmy gotowi, Kathleen – poinformowała kobieta. – Marah, ty tu zostań. Za minutę po ciebie przyjdę.

Kate ruszyła do drzwi.

– Mamo! – zaczęła ostro Marah, jakby przypomniała sobie coś ważnego. – Muszę ci coś powiedzieć.

Kate obejrzała się za siebie z uśmiechem.

– Nie martw się, skarbie. Poradzimy sobie.

A potem wyszła za młodą kobietą i ruszyły zatłoczonym korytarzem. Przez ściany dobiegał aplauz, a nawet wybuchy śmiechu.

Kobieta zatrzymała się na skraju sceny.

– Gdy usłyszy pani swoje imię, proszę wyjść.

Oddychaj. Wciągnij brzuch. Wyprostuj się.

Usłyszała, jak Tully mówi:

– A teraz chciałabym, żebyście poznali moją przyjaciółkę Kathleen Ryan…

Kate wyszła zza rogu i stanęła w blasku reflektorów. To było tak dezorientujące, że potrzebowała chwili, żeby dostrzec otoczenie.

Tully stała pośrodku sceny i uśmiechała się do niej. Za nią był doktor Tillman, psychiatra specjalizujący się w poradnictwie rodzinnym.

Tully podeszła do Kate i wzięła ją pod rękę. Publiczność biła brawo, a Tully powiedziała:

– Idziemy na żywo, Katie, więc po prostu daj się ponieść.

Kate zerknęła na ekran za nimi. Widać było na nim dwie krzyczące na siebie kobiety. Potem Kate spojrzała na publiczność. Johnny i jej rodzice siedzieli w pierwszym rzędzie.

Tully stanęła przodem do nich.

– Dziś będziemy rozmawiać o nadopiekuńczych matkach i nastoletnich córkach, które ich nienawidzą. Naszym celem jest umożliwienie dialogu, przerwanie blokady w komunikacji, która wiąże się z okresem dojrzewania, i sprawienie, by znów zaczęły ze sobą rozmawiać.

Kate poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

– Co?

Doktor Tillman wyszedł z cienia w głębi sceny i usiadł na swoim fotelu.

– Niektóre matki, zwłaszcza te o dominującym, kontrolującym charakterze, tak naprawdę niszczą wrażliwą psychikę swoich dzieci, nie zdając sobie sprawy z tego, co czynią. Dzieci są jak kwiaty, które próbują rozkwitnąć w zbyt ciasnej przestrzeni. Muszą się wyrwać, muszą popełniać własne błędy. Nie pomagamy im, otaczając je ścisłymi regułami, nadmiernymi oczekiwaniami i udając, że możemy zapewnić im bezpieczeństwo.

Kate dopiero w tym momencie z całą mocą uświadomiła sobie, co się dzieje. Nazywali ją złą matką, w telewizji o ogólnokrajowym zasięgu, na oczach jej rodziny. Wyrwała rękę Tully.

– Co ty wyprawiasz?

– Potrzebujesz pomocy – powiedziała Tully spokojnym, nieco smutnym głosem. – Obie z Marah jej potrzebujecie. Boję się o ciebie. Twój mąż też. Prosił mnie o pomoc. Marah chce ci to uświadomić, ale się boi.

Marah weszła na scenę, uśmiechając się promiennie do publiczności.

Kate poczuła łzy w oczach, a słabość jeszcze podsyciła jej gniew.

– Nie wierzę, że mogłaś mi to zrobić.

Doktor Tillman podszedł bliżej.

– Daj spokój, Kathleen, Tully jest twoją przyjaciółką. Niszczysz delikatną duszę swojej córki. Tully chce tylko, żebyś zobaczyła, jakim jesteś rodzicem…

– Pomoże mi być lepszą matką? – Odwróciła się do Tully. – Ty?

A potem spojrzała na publiczność.

– Słuchacie rad kobiety, która nie wie zupełnie nic o miłości, o rodzinie czy o trudnych wyborach, jakich muszą dokonywać kobiety. Jedyną osobą, jaką Tully Hart kiedykolwiek kochała, jest ona sama.

– Katie – powiedziała Tully przyciszonym, ostrzegawczym tonem. – To program na żywo.

– Tylko to cię obchodzi, prawda? Jak wypadasz w sondażach. Cóż, mam nadzieję, że odwdzięczą ci się na starość, bo nie będziesz miała nic innego ani nikogo innego. Co ty możesz wiedzieć o macierzyństwie albo miłości? – Kate patrzyła na Tully i było jej tak niedobrze, że bała się, że zwymiotuje. – Twoja własna matka cię nie kochała. I jesteś gotowa sprzedać duszę za sławę. Do diabła, właśnie to zrobiłaś. – Odwróciła się do publiczności. – To wasza ikona, moi drodzy. Kobieta, która jest tak ciepła i troskliwa, że prawdopodobnie nigdy w życiu nie powiedziała nikomu, że go kocha.

Kate wyszarpnęła mikrofon i nadajnik i rzuciła je na podłogę. Gdy wybiegała ze sceny, złapała Marah za ramię i pociągnęła za sobą.

Za kulisami Johnny podbiegł do niej, objął ją i mocno przytulił, ale nawet jego dotyk nie mógł jej uspokoić. Rodzice i chłopcy przybiegli za nim i utworzyli krąg wokół Kate i jej córki.

– Przepraszam, kochanie – powiedział. – Nie wiedziałem…

– Nie mogę uwierzyć, że Tully to zrobiła – odezwała się mama. – Chyba myślała…

– Nie – przerwała jej ostro Kate, ocierając oczy. – Nie interesuje mnie, co myślała, czego chciała ani co jej się wydawało. Już nie.

Tully wybiegła na korytarz, ale Kate już nie było.

Stała tam długo, a potem odwróciła się, weszła z powrotem na scenę i spojrzała na morze obcych twarzy. Próbowała się uśmiechnąć, naprawdę się starała, ale po raz pierwszy jej żelazna wola ją zawiodła. Słyszała cichy pomruk tłumu, to był wyraz współczucia. Doktor Tillman mówił coś, wypełniając ciszę słowami, za którymi Tully nie była w stanie nadążyć i których nie mogła zrozumieć. Uświadomiła sobie, że to on prowadzi teraz program emitowany na żywo.

– Ja tylko chciałam jej pomóc – powiedziała do publiczności, przerywając psychiatrze. Usiadła na skraju sceny. – Czy zrobiłam coś źle?

Bili brawa głośno i długo, aprobata publiczności była niemal tak namacalna jak jej obecność na tej sali. Powinna była wypełnić pustkę we wnętrzu Tully, taką zawsze odgrywała rolę, ale dziś aplauz wcale nie pomagał.

Jakoś dobrnęła do końca programu.

A potem została na scenie zupełnie sama. I tak też się czuła. Publiczność opuściła studio, wyszli też wszyscy pracownicy. Nikt nie odważył się powiedzieć do niej słowa. Wiedziała, że są na nią źli też z tego powodu, że tak zaskoczyła Johnny'ego.

Nagle, jakby z oddali, dobiegły ją czyjeś kroki. Ktoś szedł w jej stronę. Niechętnie podniosła wzrok.

Obok stał Johnny.

– Jak mogłaś jej to zrobić? Ufała ci. Oboje ci ufaliśmy.

– Chciałam tylko pomóc. Mówiłeś, że jest załamana. Doktor Tillman powiedział mi, że skrajne sytuacje wymagają skrajnych działań. Powiedział, że samobójstwo…

– Odchodzę – zakomunikował.

– Ale… Poproś, żeby do mnie zadzwoniła. Wyjaśnię to.

– Nie liczyłbym na telefon od niej.

– To znaczy? Przecież my się przyjaźnimy od trzydziestu lat.

Johnny obrzucił ją tak zimnym spojrzeniem, że przeszedł ją dreszcz.

– To się raczej dzisiaj skończyło.

Blade światło poranka wpadało przez okna, rozświetlając pomalowane na biało parapety. Mewy na zewnątrz krzyczały i nurkowały w powietrzu; te dźwięki wraz z falami pluskającymi o brzeg oznaczały, że prom właśnie mija ich dom.

Zwykle Kate lubiła te poranne hałasy. Choć mieszkała przy tej plaży od lat, nadal uwielbiała obserwować przepływające promy, zwłaszcza w nocy, gdy były rozświetlone i wyglądały jak unoszące się na wodzie szkatułki z biżuterią. Dziś nawet się nie uśmiechnęła. Siedziała w łóżku z otwartą książką na kolanach, żeby mąż nic do niej nie mówił. Wpatrywała się w wydrukowane słowa, ale litery rozmazywały się i tańczyły, przypominając czarne kropki na śmietankowej bieli papieru. Cały czas myślała o wczorajszej katastrofie. Rozpatrywała ją z różnych perspektyw. Tytuł: Nadopiekuńcze matki i nastoletnie córki, które ich nienawidzą.

Nienawidzą.

Niszczysz delikatną duszę swojej córki.

Doktor Tillman, który idzie w jej stronę i mówi, że jest okropną matką. Jej mama w pierwszym rzędzie, która płacze.

Johnny, który zrywa się z miejsca i krzyczy do operatora kamery coś, czego Kate nie słyszy.

Wciąż była wstrząśnięta, oniemiała. Lecz pod tym zdumieniem czaił się surowy, straszny gniew, jakiego nie czuła nigdy dotąd. Miała tak niewielkie doświadczenie z prawdziwym gniewem, że aż ją przerażał. Bała się, że jeśli zacznie krzyczeć, nigdy nie przestanie. Więc starała się stłumić emocje i siedzieć spokojnie.

Co chwila zerkała na komórkę, spodziewając się telefonu od Tully. Postanowiła, że odrzuci połączenie. Była zdecydowana. Właściwie nie mogła się doczekać. Przez te wszystkie lata łączącej je przyjaźni Tully robiła równie gówniane rzeczy jak ta (no może nie aż tak gówniane), ale to Kate przepraszała, nawet jeśli nie zawiniła. Tully nigdy nie mówiła „przepraszam", tylko czekała, aż Kate wszystko załagodzi.

Ale nie tym razem.

Tym razem Kate była zraniona i zła i nie obchodziło jej, czy pozostaną przyjaciółkami, czy nie. Jeśli miałyby się dalej przyjaźnić, to Tully musiałaby na to ciężko zapracować.

Odrzucę połączenie wiele razy. Westchnęła, bo ta myśl nie przyniosła jej, niestety, pociechy. Czuła, że wczorajszy dzień ją załamał…

Rozległo się pukanie do drzwi. To mógł być ktokolwiek z domowników. Zeszłej nocy otoczyli ją kręgiem, traktując jak kruchą księżniczkę, chroniąc ją. Rodzice zostali na noc; Kate miała wrażenie, jakby jej mama pełniła dyżur przy potencjalnej samobójczyni, tak była nadopiekuńcza. Tata poklepywał jej ramię i powtarzał, że ślicznie wygląda, a chłopcy, którzy nie bardzo rozumieli, co się dzieje, ale wyczuwali, że to coś poważnego, cały czas trzymali się blisko niej. Tylko Marah wycofała się ze sceny i obserwowała wszystko z dystansu.

– Proszę – powiedziała Kate, prostując się i starając wyglądać lepiej, niż się czuła.

Do sypialni weszła Marah. Była ubrana do szkoły, w dżinsy z niskim stanem, różowe uggi i szarą bluzę z kapturem. Próbowała się uśmiechnąć, ale nie udało się jej.

– Babcia mówi, że powinnam z tobą porozmawiać.

Kate poczuła ogromną ulgę już z powodu samej obecności córki. Przesunęła się na środek łóżka i poklepała puste miejsce obok siebie. Marah jednak wolała usiąść naprzeciwko niej. Oparła się o obity jedwabiem podnóżek i podciągnęła nogi. W postrzępionych dziurach jej ulubionych dżinsów pokazały się kościste kolana. Kate zatęskniła za czasami, gdy mogła wziąć malutką córkę na ręce i ją przytulić. Brakowało jej tego.

– Wiedziałaś, jak ten program ma wyglądać, prawda?

– Rozmawiałyśmy o tym z Tully. Mówiła, że to nam pomoże.

– I?

Marah wzruszyła ramionami.

– Ja chciałam tylko iść na ten koncert.

Koncert. Kate poczuła się zraniona tą prostą, samolubną odpowiedzią. Zapomniała o koncercie i ucieczce córki. Pobyt na Kauai wszystko to wymazał. Tak jak bez wątpienia zaplanowała to Tully. Pozbyła się też Johnny'ego, który nie mógł jej powstrzymać.

– Powiedz coś – poprosiła Marah.

Ale Kate nie wiedziała, co powiedzieć, co z tym wszystkim zrobić. Chciała, żeby córka zrozumiała, jaka była samolubna i jak bardzo jej egoizm zranił Kate, ale nie chciała jej obwiniać. Ciężar odpowiedzialności za tę całą katastrofę spoczywał na Tully.

– Nie przyszło ci do głowy, gdy razem z Tully obmyślałyście ten plan, że możecie sprawić mi przykrość i wywołać zażenowanie?

– A tobie nie przyszło, że będzie mi przykro i będę zażenowana, gdy nie będę mogła pójść na koncert? Albo na nocne kręgle? Albo…

Kate uniosła dłoń.

– A więc tu cały czas chodzi o ciebie – powiedziała znużonym tonem. – Jeśli to wszystko, co masz do powiedzenia, to możesz wyjść. Nie mam siły się teraz z tobą kłócić. Zachowałaś się samolubnie i zraniłaś moje uczucia i jeśli tego nie widzisz i nie masz zamiaru wziąć odpowiedzialności, to może mi być ciebie tylko żal. Wyjdź. Teraz.

– Jak sobie chcesz. – Marah wstała z łóżka i powoli podeszła do drzwi. Zatrzymała się przy nich i odwróciła.

– Jak Tully przyjedzie…

– Tully nie przyjedzie.

– To znaczy?

– Twoja idolka jest mi winna przeprosiny. A nie jest w tym najlepsza. Kolejna rzecz, w której ją przypominasz.

Marah jakby dopiero teraz się przestraszyła. Tym, że straci Tully.

– Przemyśl sobie to, jak mnie traktujesz, Marah. – Głos Kate załamał się, walczyła, by nad nim zapanować. – Kocham cię najbardziej na świecie, a ty celowo mnie ranisz.

– To nie moja wina.

Kate westchnęła.

– Jakżeby inaczej, Marah. To nigdy nie jest twoja wina.

Tego właśnie nie powinna była mówić. Kate zrozumiała to od razu, ale nie mogła cofnąć wypowiedzianych słów. Marah otworzyła drzwi, wyszła i zatrzasnęła je za sobą.

Po krótkiej chwili ciszy, która nagle zapadła, gdzieś na zewnątrz zapiał kogut i jakieś psy zaczęły się obszczekiwać. Kate słyszała, że ktoś chodzi na dole. Podłogi starego domu skrzypiały przy każdym kroku.

Spojrzała na komórkę, spodziewając się, że zadzwoni w każdej chwili.

– Chyba matka Teresa powiedziała, że samotność to najgorszy rodzaj ubóstwa – odezwała się Tully, popijając dirty martini.

Mężczyzna, do którego mówiła, przez moment sprawiał wrażenie zaskoczonego, jakby jadąc ciemną, pustą drogą, nagle wpadł na jelenia. A potem roześmiał się, a brzmienie jego śmiechu wiele zdradzało: wspólne doświadczenia, lekkie poczucie wyższości, pewność uprzywilejowanej pozycji. Bez wątpienia nauczył się tak śmiać w szacownych murach Harvardu albo Stanfordu.

– A cóż ludzie tacy jak my mogą wiedzieć o ubóstwie albo samotności? Na twoich urodzinach bawi się dzisiaj ze sto osób, a sama przyznasz, że ten szampan i kawior nie należą do tanich.

Tully bezskutecznie próbowała sobie przypomnieć, jak on ma na imię. Był jej gościem, powinna, do cholery, wiedzieć, kim jest. I dlaczego podzieliła się tak żałosną i demaskującą uwagą z kimś obcym?

Zniesmaczona sobą dokończyła martini – już drugie – i podeszła do baru, który zaimprowizowano w rogu jej apartamentu. Za plecami ubranego w smoking barmana panorama Seattle pod morzem gwiazd tworzyła magiczne połącznie jasnych świateł i czarnego nieba.

Czekała niecierpliwie na trzecie martini, prowadząc błahą rozmowę z barmanem. Gdy tylko drink był gotowy, ruszyła na taras, mijając stół zastawiony starannie opakowanymi prezentami. Nie otworzywszy nawet jednego, wiedziała, jakie

podarki dostała: kieliszki do szampana Waterford albo Baccarat, srebrne bransoletki albo ramki na zdjęcia od Tiffany'ego, pióra Montblanc, może kaszmirową narzutę albo komplet świeczników z dmuchanego szkła. Właśnie tego rodzaju kosztowne prezenty obcy ludzie albo współpracownicy wręczają sobie nawzajem, gdy osiągną pewien poziom dochodów. W żadnym z tych pięknych opakowań nie krył się prezent, który miałby osobisty charakter.

Wypiła łyk martini i wyszła na taras. Stanąwszy przy balustradzie, patrzyła na zarys wyspy Bainbridge. Światło księżyca rzucało srebrzysty blask na zalesione wzgórza. Chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła. Minęły trzy tygodnie od tamtego programu na żywo. Dwadzieścia jeden dni. Wciąż miała pęknięte serce. Nieustannie odtwarzała sobie w głowie to, co powiedziała wtedy Kate. A gdy udawało jej się o tym zapomnieć, widziała te słowa w druku, w magazynie „People" albo w internecie. „Nie kochała jej nawet własna matka… To wasza ikona: kobieta tak ciepła i troskliwa, że prawdopodobnie nigdy w życiu nie powiedziała nikomu, że go kocha…".

Jak ona mogła coś takiego powiedzieć? I nawet nie zadzwoniła, żeby przeprosić… W ogóle się nie odezwała… Nawet żeby złożyć jej urodzinowe życzenia.

Tully dopiła drink i odstawiła kieliszek na stolik, cały czas patrząc na drugą stronę czarnego przestworu wody. Usłyszała za sobą dźwięk telefonu. A jednak! Wbiegła do apartamentu, przepchnęła się przez tłum gości w salonie, wpadła do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Halo? – powiedziała zdyszana.

– Hej, Tully, wszystkiego najlepszego!

– Dobry wieczór, pani M. Wiedziałam, że pani zadzwoni. Mogłabym zaraz do państwa wpaść. Moglibyśmy…

– Musisz naprawić sprawy z Katie.

Tully przysiadła na skraju łóżka.

– Ja tylko chciałam pomóc.

– Ale nie pomogłaś. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

– Słyszała pani, co o mnie powiedziała na antenie? Ja starałam się jej pomóc, a ona powiedziała całej Ameryce… – Nawet nie była w stanie tego powtórzyć. Tak ją to nadal bolało. – To ona powinna mnie przeprosić.

Po drugiej stronie na dłuższą chwilę zapadła cisza, a potem rozległo się znużone westchnienie.

– Och, Tully.

Usłyszała rozczarowanie w głosie pani M. i poczuła się znowu jak tamta młoda dziewczyna na komisariacie. Nagle zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

– Kocham cię jak własną córkę – odezwała się po chwili pani M. – Wiesz o tym, ale…

Jak córkę. To jedno słówko mówiło tak wiele, rozpostarło się niczym całe morze dystansu.

– Musisz zrozumieć, jak bardzo ją zraniłaś.

– A ona nie zraniła mnie?

– To, co ci zrobiła twoja matka, to zbrodnia, Tully. – Pani M. westchnęła ze smutkiem, a potem dodała: – Bud mnie woła. Muszę iść. Przepraszam, ale muszę kończyć.

Tully nawet nie powiedziała „do widzenia”. Po prostu w milczeniu się rozłączyła.

Prawda, przed którą chciała uciec, dopadła ją i była tak ciężka, że prawie uniemożliwiała oddychanie. Każdy, kogo Tully kochała, był członkiem rodziny Kate, a nie jej i gdy przychodziło co do czego, wszyscy oni stawali po stronie Kate. A co z Tully? Jak w tej starej piosence, znowu została sama. Naturalnie.

Wstała powoli i wróciła na imprezę. Była zaskoczona, że mogła być tak ślepa. Jeśli życie ją czegoś nauczyło, to na pewno tego: ludzie odchodzą. Rodzice. Kochankowie.

Przyjaciółki.

W salonie pełnym znajomych i kolegów z pracy uśmiechnęła się promiennie, wymieniła z kimś parę słów i poszła prosto do baru. Wcale nie było tak trudno zachowywać się normalnie i udawać, że jest szczęśliwa. Robiła to przez większość życia. Udawała.

Tylko z Katie była naprawdę sobą.

Gdy nadeszła jesień, Kate przestała czekać na telefon od Tully. Podczas długich miesięcy rozłąki urządziła się jakoś – choć niezbyt wygodnie – w zamkniętym, oddalonym od rzeczywistości świecie, w swego rodzaju śnieżnej kuli, którą sama sobie stworzyła. Na początku oczywiście płakała za utraconą przyjaźnią, bolała ją strata tego, co było, ale z czasem pogodziła się z faktem, że ze strony Tully przeprosiny nie nadejdą, że jeśli miałyby nastąpić, to musiałyby – jak zawsze – wyjść od niej.

Tak to już między nimi było.

Ego Kate, zwykle dość uległe i elastyczne, w tym punkcie ustąpić nie chciało. Ten jeden raz się nie podda.

I tak czas mijał, a szklane ściany śnieżnej kuli twardniały. Kate coraz rzadziej myślała o Tully, a nawet gdy się to zdarzało, potrafiła już powstrzymać płacz i żyć dalej. Ale męczyło ją to i wyczerpywało. Kiedy znów nadeszły chłody, Kate miała problem z tym, żeby rano wstać i wziąć prysznic. W listopadzie umycie włosów wydawało jej się już takim wyzwaniem, że przestała to robić. Ugotowanie obiadu i pozmywanie naczyń wysysało z niej tyle energii, że często przysiadała w połowie wykonywanej czynności. Z takim poziomem przygnębienia dałoby się żyć, ale na tym się nie kończyło. W zeszłym tygodniu

była zbyt zmęczona, żeby chociaż umyć zęby, a dzieci do szkoły odwiozła w piżamie.

– Nie wiem, dlaczego to taki problem – powiedziała do męża, gdy wieczorem ją o to zapytał. Johnny przyjął pracę w swojej dawnej stacji, a mniejszy zakres obowiązków sprawiał, że miał czas zauważać wpadki Kate. – Tylko odrobinę się zaniedbałam. Przecież nie dostałam żadnego amoku czy coś.

– Jesteś przygnębiona – odpowiedział, przyciągając ją do siebie na sofie. – I szczerze mówiąc, Kate, nie wyglądasz dobrze.

Zabolało, ale chyba nie tak bardzo, jak powinno.

– To umów mi wizytę u chirurga plastycznego. Bo żadnych badań nie potrzebuję. Chodzę do lekarza regularnie. Wiesz przecież.

– Zawsze lepiej sprawdzić – stwierdził.

Dlatego teraz płynęła promem do miasta. W sumie się nawet cieszyła, choć nie przyznałaby się do tego przed mężem. Męczyło ją to przygnębienie i nieustanne poczucie znużenia. Może przepiszą jej coś, co pomoże, jakąś tabletkę, dzięki której zapomni o trzydziestoletniej przyjaźni, która źle się skończyła.

Gdy prom przybił do portu, zjechała po wyboistej rampie i włączyła się do porannego ruchu. To był szary, ponury dzień, który idealnie pasował do jej nastroju. Przejechała przez centrum i wjechała na wzgórze, na którym stał szpital. Zaparkowała w podziemnym garażu i przeszła przez ulicę, by wejść do holu. Po szybkiej rejestracji ruszyła do windy.

Czterdzieści minut później, gdy przeczytała już cały najnowszy magazyn „Parents”, zaprowadzono ją do pokoju badań, gdzie pielęgniarka wypytała ją o wszystko, co trzeba, i przeprowadziła podstawowe badania.

Gdy Kate znów została sama, sięgnęła po nowy numer „People” i otworzyła na przypadkowej stronie. Zobaczyła tam zdjęcie Tully zwróconej do obiektywu i unoszącej pusty

kieliszek po szampanie. Wyglądała fantastycznie w czarnej sukience od Chanel i lśniącym, wyszywanym koralikami bolerku. Podpis pod fotografią brzmiał: „Tallulah Hart na gali charytatywnej w Chateau Marmont, ze swoim partnerem, potentatem medialnym Thomasem Morganem”.

Otwarły się drzwi i do gabinetu weszła doktor Marcia Silver.

– Dzień dobry, Kate. Miło cię znowu widzieć.

Usiadła na fotelu na kółkach i przesunęła się do przodu, przeglądając kartę Kate.

– Masz jakieś dolegliwości?

– Mąż uważa, że mam depresję.

– A masz?

Kate wzruszyła ramionami.

– Trochę jestem przygnębiona.

Marcia zapisała coś w karcie.

– Minęło niemal dokładnie dwanaście miesięcy od twojej ostatniej wizyty. Co za punktualność.

– Wie pani, my, katoliczki, lubimy trzymać się zasad.

Marcia uśmiechnęła się, odłożyła kartę i sięgnęła po rękawiczki.

– Okej, Kate, zaczniemy od cytologii. Przesuń się na sam brzeg…

Kate poddawała się niedogodnościom związanym z opieką zdrowotną kobiet: wziernik, specjalna szczoteczka, pobranie rozmazu. Przez cały czas prowadziły z doktor Silver lekką, bezosobową rozmowę. O pogodzie, o ostatnim przedstawieniu w teatrze przy Piątej Alei i zbliżających się świętach.

Dopiero niemal pół godziny później, gdy przeszły do badania piersi, Marcia spoważniała.

– Od jak dawna masz to przebarwienie na piersi?

Kate spojrzała na czerwoną plamkę wielkości monety tuż pod brodawką prawej piersi. Skóra była tam trochę pomarszczona,

jak skórka pomarańczy.

– Gdzieś z dziewięć miesięcy. A może i rok. Coś mnie tam chyba ugryzło. Lekarz pierwszego kontaktu uznał, że to infekcja, i dał mi antybiotyk. Ustąpiło, ale potem znowu wróciło. Czasem jest gorąca, dlatego myślę, że to jakieś zapalenie.

Marcia patrzyła na przebarwienie, marszcząc brwi. Kate dodała:

– Robiłam niedawno mammografię. Wszystko było okej.

– Rozumiem. – Marcia podeszła do wiszącego na ścianie telefonu, wystukała jakiś numer i powiedziała: – Chcę, żeby zrobiono Kate USG piersi. Teraz. To proszę im powiedzieć, żeby znaleźli dla niej miejsce między umówionymi pacjentami. Dzięki.

Odwiesiła słuchawkę i się odwróciła.

Kate usiadła prosto.

– Zaczynam się bać, pani doktor.

– Mam nadzieję, że to nic, Kate, ale lepiej mieć pewność, prawda?

– Ale…

– Porozmawiamy, jak będziemy wiedzieć, o co chodzi. Janis zabierze cię na dół na radiologię. W porządku? Mąż jest tu z tobą?

– A powinien być?

– Nie. Jestem pewna, że to nic takiego. O, już jest Janis.

Kate miała mętlik w głowie. Zanim się zorientowała, była już ubrana i prowadzona trzy piętra w dół i dalej korytarzem. Tam po niemiłosiernie długim oczekiwaniu nastąpiło kolejne badanie piersi, cmokanie, marszczenie brwi oraz badanie USG.

– Badam sobie regularnie piersi – oznajmiła. – Nie wyczułam żadnego guzka.

Leżała w ciemnym pokoju, a pielęgniarka i radiolog wymienili nad nią spojrzenia.

– Co? – powiedziała Kate, słysząc strach w swoim głosie.

Gdy badanie się skończyło, zaprowadzono ją z powrotem do poczekalni. Jak inne kobiety w tym niewielkim pomieszczeniu przeglądała czasopisma, próbując skupić się na jakichś przypadkowych zdaniach czy przepisie na babkę, na czymkolwiek, byle nie na wynikach USG.

Nic mi nie będzie – powtarzała sobie w myślach, gdy ogarniał ją niepokój. *Nie ma się czym przejmować*.

Rak to nie jest coś, co wyskakuje nagle. A zwłaszcza nie rak piersi. Są sygnały ostrzegawcze, a ona pilnie ich wypatrywała. Jej ciocia Georgia na to chorowała, więc cała rodzina była wyczulona. Kobiety powoli znikały z poczekalni, tylko Kate nadal czekała.

Wreszcie przyszła po nią pulchna pielęgniarka o sarnich oczach.

– Kathleen Ryan?

Kate wstała.

– Tak?

– Zaprowadzę panią do gabinetu. Doktor Krantz wykona pani biopsję.

– Biopsję?

– Tak na wszelki wypadek. Zapraszam.

Kate jakby sparaliżowało; z trudem skinęła głową. Zaciskając dłonie na torebce, chwiejnym krokiem ruszyła za pielęgniarką.

– Moja ostatnia mammografia była w porządku. I sama się regularnie badam.

Nagle zapragnęła, żeby Johnny tu był, trzymał ją za rękę i zapewniał, że wszystko będzie dobrze.

Albo Tully.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, starając się zapanować nad strachem. Kiedyś, kilka lat temu, miała złe wyniki cytologii i robiono jej biopsję. Cały weekend miała popsuty czekaniem na wyniki, ale okazało się, że wszystko jest w porządku. Uczepiła się tej myśli niczym koła ratunkowego pośrodku zimnej, wzburzonej wody i poszła za milczącą pielęgniarką. Nad drzwiami gabinetu widniał napis: OŚRODEK ONKOLOGICZNY FUNDACJI GOODNO.

33

Tully obudził dźwięk telefonu. Powiodła wkoło nieprzytomnym wzrokiem. Była minuta po drugiej w nocy. Sięgnęła, żeby odebrać.

– Halo?

– Pani Tallulah Hart?

Tully potarła oczy.

– Tak. Kto mówi?

– Nazywam się Lori Witherspoon. Jestem pielęgniarką w szpitalu Harborview. Jest u nas pani matka. Dorothy Hart.

– Co się stało?

– Dokładnie nie wiemy. Wygląda na przedawkowanie narkotyków, ale była też mocno pobita. Policja chce ją przesłuchać.

– Pytała o mnie?

– Jest nieprzytomna. Znaleźliśmy pani nazwisko i numer telefonu w jej rzeczach.

– Zaraz przyjadę.

Tully błyskawicznie się ubrała i o drugiej dwadzieścia była już w drodze. Wjechała na parking pod szpitalem i poszła do recepcji.

– Dzień dobry. Chciałam się zobaczyć z moją matką, Chmu… Dorothy Hart.

– Szóste piętro, pani Hart. Proszę podejść do pokoju pielęgniarek.

– Dziękuję.

Tully wjechała na górę, a tam drobna kobieta w bladopomarańczowym pielęgniarskim fartuchu skierowała ją do sali matki.

W pogrążonym w półmroku pokoju stały dwa łóżka. To bliżej drzwi było puste.

Tully zamknęła za sobą drzwi i ze zdumieniem stwierdziła, że się boi. Matka raniła ją przez całe życie. Jako dziecko Tully ją kochała, nie wiadomo dlaczego, jako nastolatka jej nienawidziła, a jako dorosła kobieta – ignorowała. Chmura niezliczoną ilość razy łamała jej serce i zawodziła przy każdej możliwej okazji, a mimo to, nawet po tym wszystkim, Tully nadal coś do niej czuła.

Chmura spała. Twarz miała całą w siniakach, oko podpuchnięte, a z rozciętej wargi sączyła się krew. Krótkie, siwe włosy, ewidentnie obcięte tępymi nożyczkami, lepiły się do głowy.

W ogóle nie przypominała siebie. Wyglądała jak stara, krucha kobieta, którą zmaltretowały nie tylko czyjeś pięści, ale i samo życie.

– Cześć, Chmuro – powiedziała Tully, zaskoczona tym, że ma ściśnięte gardło.

Delikatnie pogładziła skroń matki, jedyne miejsce na jej twarzy, które nie było poranione ani posiniaczone. Czując aksamitną miękkość skóry, uświadomiła sobie, że ostatni raz dotykała matki w roku 1970, gdy trzymała ją za rękę na zatłoczonej ulicy w Seattle.

Żałowała, że nie wie, co powiedzieć do kobiety, z którą łączyła ją przeszłość, ale nie teraźniejszość. Więc zaczęła mówić cokolwiek. Opowiadała o programie, o swoim życiu i sukcesie. Gdy poczuła, że to brzmi pusto i żałośnie, opowiedziała o Kate, o ich kłótni i o tym, że czuje się przez to bardzo samotna. Gdy słowa te się uformowały i wylały z niej, Tully usłyszała w nich

prawdę. Po utracie Ryanów i Mularkeyów stała się rozpaczliwie samotna. Chmura była jedyną osobą, która jej pozostała. Ależ to żałosne…

– Wszyscy jesteśmy sami na tym świecie, jeszcze się nie zorientowałaś?

Tully nie zauważyła, że matka się obudziła, ale teraz była przytomna i patrzyła na córkę zmęczonym wzrokiem.

– Hej – zaczęła Tully, uśmiechając się i ocierając oczy. – Co się stało?

– Pobili mnie.

– Nie pytam o to, dlaczego trafiłaś do szpitala. Pytam o to, co się stało z tobą.

Chmura drgnęła i odwróciła głowę.

– Och. To. Twoja ukochana babcia nigdy ci nie powiedziała, co? – Westchnęła. – To już nie ma znaczenia.

Tully gwałtownie wciągnęła powietrze. To była najważniejsza rozmowa, jaką kiedykolwiek prowadziły. Czuła, że jest na krawędzi jakiegoś istotnego odkrycia, które umykało jej przez te wszystkie lata.

– Myślę, że ma.

– Idź sobie, Tully. – Chmura wcisnęła bok twarzy w poduszkę.

– Nie, dopóki mi nie powiesz dlaczego. – Głos jej zadrżał, gdy zadawała to pytanie, oczywiście, że zadrżał. – Dlaczego nigdy mnie nie kochałaś?

– Zapomnij o mnie.

– Szczerze mówiąc, żałuję, że nie potrafię. Ale jesteś moją matką.

Chmura odwróciła głowę i popatrzyła na nią. Przez moment, przez ułamek sekundy trwający tyle co mrugnięcie okiem, Tully widziała w oczach matki smutek.

– Łamiesz mi serce – wyznała cicho.

– Ty mi też.

Chmura się uśmiechnęła.

– Żałuję…

– Czego?

– Mogłabym być taka, jak potrzebujesz, ale nie potrafię. Musisz pozwolić mi odejść.

– Nie wiem, jak to zrobić. Mimo wszystko jesteś moją matką.

– Nigdy nią nie byłam. Obie o tym wiemy.

– Zawsze będę wracać – powiedziała Tully, uświadamiając sobie dopiero w tym momencie, że tak właśnie jest. Relacje między nią a matką były zrujnowane, ale nadal łączyła je więź, głęboka i przedziwna. Ten ich wspólny taniec, choć niezmiennie bolesny, jeszcze się nie skończył. – Pewnego dnia będziesz na mnie gotowa.

– Jak się podtrzymuje takie marzenie?

– Obiema rękami. – Dodałaby „bez względu na wszystko”, ale słowa tej przysięgi przypomniałyby jej Kate i za bardzo zabolały, gdyby wypowiedziała je na głos.

Matka Tully westchnęła i zamknęła oczy.

– Idź sobie.

Tully stała tam przez dłuższy czas, z dłońmi zaciśniętymi na metalowej poręczy łóżka. Wiedziała, że matka udaje, że śpi. Zorientowała się też, gdy usnęła naprawdę. Kiedy lekkie pochrapywanie wypełniło pokój, podeszła do szafki i wyjęła z niej koc. Zauważyła stosik równo poskładanych ubrań na dolnej półce. Obok leżała papierowa torba z zawiniętą górną krawędzią.

Przykryła matkę kocem po samą brodę, a potem wróciła do szafki. Nie była pewna, dlaczego przegląda rzeczy Chmury ani czego szuka. Najpierw znalazła to, czego się spodziewała: brudne, znoszone ubrania, buty z dziurami w podeszwach, woreczek strunowy zamiast kosmetyczki, papierosy i zapalniczkę.

A potem zobaczyła coś wciśniętego na samo dno torby – zwinięty, wystrzępiony sznureczek z dwoma kawałkami suchego makaronu i niebieskim koralikiem. Naszyjnik, który Tully zrobiła w szkółce niedzielnej i podarowała matce tamtego dnia, dawno, dawno temu, gdy odjechały z domu babci volkswagenem busem. Jej matka go przechowywała przez cały ten czas.

Tully go nie dotknęła. Bała się przekonać, że istnieje tylko w jej wyobraźni. Odwróciła się w stronę matki i podeszła do łóżka.

– Zatrzymałaś go – powiedziała, czując, że w jej sercu rodzi się coś nowego. Jakiś rodzaj nadziei, nie tego jaśniejącego uczucia małej dziewczynki, lecz czegoś zmatowiałego i wytartego, odzwierciedlającego to, kim obie były i co przeżyły. Ale nadzieja nadal tam istniała, pod całą tą śniedzią i przebarwieniami. – Ty też umiesz podtrzymywać marzenie, prawda, Chmuro?

Usiadła na plastikowym krześle przy łóżku. Miała teraz do matki jedno proste pytanie i zamierzała uzyskać odpowiedź.

Około czwartej osunęła się na krześle i zasnęła.

Obudził ją dzwonek jej telefonu. Wyprostowała się powoli, bo wszystko ją bolało, i czując skurcz szyi, rozmasowała ją sobie. Dopiero po chwili zorientowała się, gdzie jest.

Szpital.

Harborview.

Wstała. Łóżko matki było puste. Szybko otworzyła drzwi szafki.

Pusta. Została tylko zwinięta w kulę papierowa torba.

– Cholera.

Znowu rozległ się dzwonek telefonu. Spojrzała na wyświetlający się numer.

– Cześć, Edno – powiedziała, opadając z powrotem na krzesło.

– Brzmisz fatalnie.

– Kiepska noc. – Tully żałowała, że nie dotknęła resztki naszyjnika. Już teraz jego obraz się zacierał, jakby naszyjnik był snem. – Która godzina?

– Szósta, u ciebie. Siedzisz?

– Akurat tak.

– Nadal planujesz wolne na część listopada i cały grudzień?

– Żeby moja ekipa mogła się cieszyć świętami spędzanymi z rodziną? – zapytała gorzkim tonem. – Owszem.

– Wiem, że zwykle spędzasz wtedy czas z tą swoją przyjaciółką…

– Nie w tym roku.

– To dobrze. Bo może miałabyś ochotę wybrać się ze mną na Antarktydę. Robię dokument o globalnym ociepleniu. Myślę, że to ważny temat, Tully. A ktoś taki jak ty podniósłby oglądalność.

Ta propozycja spadła jej jak z nieba. Właśnie marzyła o tym, by porzucić swoje życie. A nie da się uciec dalej niż na Antarktydę.

– Jak długo nas nie będzie?

– Sześć tygodni, może siedem. Mogłabyś też latać tam i z powrotem, ale to kawał drogi.

– Brzmi idealnie. Potrzebuję się wyrwać. Kiedy ruszamy?

Kate stała nago przed lustrem w łazience i przyglądała się swojemu ciału. Przez całe życie toczyła wojnę podjazdową z własnym wizerunkiem. Jej uda zawsze były zbyt masywne, nawet gdy chudła, a brzuch po ciążach mocno wystawał. Robiła brzuszki na siłowni, ale i tak miała oponkę. Ze trzy lata temu przestała nosić koszulki bez rękawów – przez motylki. A jej piersi… Nie da się ukryć, że po urodzeniu chłopców zaczęła

nosić bardziej zabudowane, mniej seksowne staniki i skracała ramiączka, żeby podciągnąć biust na właściwe miejsce.

Teraz, gdy na siebie patrzyła, widziała, że to wszystko nie ma żadnego znaczenia, że tylko marnowała czas.

Przysunęła się bliżej lustra, ćwicząc słowa, które wybrała, robiąc próbę generalną. Jeśli kiedykolwiek w życiu był moment, w którym musiała być silna, to właśnie teraz.

Sięgnęła po stos ubrań na blacie umywalki i zaczęła się ubierać. Wybrała śliczny, różowy kaszmirowy sweter w serek – prezent od dzieci z ubiegłych świąt – i znoszone, mięciutkie levisy. A potem rozczesała włosy, odgarnęła je z twarzy i związała w kucyk. Zrobiła nawet lekki makijaż. Musiała wyglądać zdrowo. Gdy już nie pozostało nic do zrobienia, wyszła z łazienki i poszła do sypialni.

Johnny, który siedział na brzegu łóżka, wstał szybko i zwrócił się ku niej. Widziała, jak bardzo stara się być dzielny. W jego oczach dostrzegła łzy. To powinno skłonić ją do płaczu, ten migoczący dowód jego miłości i lęku, ale tylko dodało jej sił.

– Mam raka – powiedziała.

On już wiedział oczywiście. Te ostatnie kilka dni oczekiwania na wyniki testów to była udręka. Zeszłego wieczoru lekarka wreszcie zadzwoniła. Trzymali się za ręce, gdy przekazywała im informacje, a wcześniej zapewniali się nawzajem, że wszystko będzie dobrze. Ale nie było. Było bardzo źle. „Przykro mi, Kate… Czwarte stadium… Rak zapalny piersi… Inwazyjny… Rozprzestrzenił się już…”.

Najpierw Kate była wściekła – zawsze robiła wszystko, co trzeba, sprawdzała, czy nie ma guzków, robiła mammografię – ale potem ogarnął ją lęk.

Johnny przeżył to nawet mocniej od niej i szybko się zorientowała, że musi być silna dla niego. Zeszłej nocy nie mogli zasnąć, tulili się do siebie, płakali, modlili się i obiecywali

sobie nawzajem, że jakoś sobie z tym poradzą. Ale teraz zastanawiała się, jak to zrobią.

Podeszła do niego. Otoczył ją ramionami i przycisnął do siebie z całej siły, ale to i tak nie było dość mocno.

– Muszę im powiedzieć.

– My musimy. – Cofnął się nieco i rozluźnił uścisk na tyle, by móc na nią spojrzeć. – Nic się nie zmieni. Pamiętaj o tym.

– Żartujesz? Usuną mi piersi. – Głos się jej załamał; strach był niczym kamień w drodze, o który nagle się potknęła. – A potem będą mnie truć i smażyć. I to mają być niby dobre wieści.

Patrzył na nią, a miłość w jego oczach była czymś najpiękniejszym i najbardziej wzruszającym w jej życiu.

– Między nami nic się nie zmieni. To nieważne, jak wyglądasz, jak się czujesz albo jak się zachowujesz. Zawsze będę cię kochać, tak jak kocham cię w tej chwili.

Emocje, nad którymi bardzo starała się zapanować, znów wypłynęły i omal nią nie zawładnęły.

– Chodźmy – odezwała się cicho. – Póki jeszcze mam odwagę.

Trzymając się za ręce, wyszli z sypialni i zeszli na dół, gdzie miały na nich czekać dzieci.

Ale salon był pusty. Kate usłyszała telewizor w pokoju obok. Dochodziła z niego hałaśliwa muzyka. Puściła męża i podeszła do drzwi.

– Chłopcy, chodźcie tutaj.

– Oj mamo – jęknął Lucas. – Oglądamy film.

Tak bardzo chciała odpowiedzieć: „Nieważne, oglądajcie dalej”, że aż ją zabolało, gdy powiedziała:

– Chodźcie tutaj, proszę. Teraz.

Usłyszała, że Johnny wszedł do kuchni i podniósł słuchawkę.

– Na dół, Marah. Natychmiast. Nie, nie obchodzi mnie, z kim teraz rozmawiasz.

Kliknięcie.

Kate usłyszała, że odłożył telefon. Zamiast podejść do niego, usiadła sztywno na samym brzegu sofy. Żałowała, że nie włożyła grubszego swetra. Czuła, że marznie.

Chłopcy wpadli do salonu razem, śmiejąc się i wymachując plastikowymi mieczami.

– A masz, kapitanie Hook – powiedział Lucas.

– Ja jestem Piotruś Pan – poskarżył się William, udając, że dźga brata. – *En garde*!

Mieli po siedem lat i zaczynali się zmieniać. Piegi na ich twarzach bladły, zęby mleczne wypadały. Ostatnio za każdym razem, gdy na nich patrzyła, odkrywała, że zgubili gdzieś kolejny dziecięcy rys. Za trzy lata nie będzie ich można poznać.

Ta myśl tak ją przeraziła, że Kate zacisnęła dłoń na oparciu sofy i zamknęła oczy. A co, jeśli nie będzie mogła patrzeć, jak dorastają? A co, jeśli…

Żadnych negatywnych myśli.

To była jej mantra od czterech dni. Johnny podszedł do niej, usiadł blisko i wziął ją za rękę.

– Nie wierzę, że podniosłeś telefon, gdy rozmawiałam – oburzała się Marah, schodząc po schodach. – To totalne naruszenie mojej prywatności. A to był Brian.

Kate policzyła w duchu do dziesięciu, uspokoiła się na tyle, by swobodnie oddychać, i otworzyła oczy. Miała przed sobą swoje dzieci, stały tam i wyglądały na znudzone (chłopcy) lub zirytowane (Marah). Z trudem przełknęła ślinę. Da radę.

– Zamierzacie coś powiedzieć? – zapytała Marah. – Bo jak macie się tylko na nas gapić, to idę z powrotem na górę.

Johnny już miał wstać.

– Do cholery, Marah…

Kate położyła mu dłoń na udzie, by go powstrzymać.

– Usiądź, Marah – powiedziała zaskoczona, że jej głos brzmi tak zwyczajnie. – Wy, chłopcy, też.

Bliźniacy klapnęli obok siebie na dywan niczym marionetki, którym przecięto sznurki.

– Ja postoję – odparła Marah, wysuwając biodro i krzyżując ramiona.

Obrzuciła matkę spojrzeniem „nie będziesz mną rządzić", a Kate poczuła nutkę nostalgii.

– Pamiętacie, jak pojechałam do miasta w piątek? – zaczęła Kate, czując, że przyśpiesza jej puls, a jednocześnie brakuje jej tchu. – No więc byłam u lekarza.

Lucas szepnął coś do Williama, który uśmiechnął się szeroko i szturchnął brata. Marah tęsknie zerkała na schody.

Kate ścisnęła dłoń męża.

– W każdym razie nie macie się czym martwić, ale jestem… chora.

Wszyscy troje spojrzeli na nią jednocześnie.

– Bez obaw. Zoperują mnie, dadzą mi mnóstwo lekarstw i będę zdrowa. Przez parę tygodni będę zmęczona, ale to wszystko.

– Obiecujesz, że wyzdrowiejesz? – zapytał Lucas, patrząc na nią z powagą i odrobiną lęku.

Kate chciała zapewnić: „Oczywiście, że tak", ale nie mogła złożyć takiej obietnicy. William przewrócił oczami i szturchnął brata łokciem.

– Przecież powiedziała, że nic jej nie będzie. Nie pójdziemy do szkoły, żeby móc cię odwiedzić w szpitalu?

– Tak – potwierdziła Kate, której udało się nawet uśmiechnąć.

Lucas pierwszy podbiegł, żeby ją przytulić.

– Kocham cię, mamusiu – szepnął.

Przytrzymała go tak długo, aż musiał się wywinąć z jej objęć. Tak samo było z Williamem. A potem obaj naraz odwrócili się i ruszyli ku schodom.

– Nie skończycie tego waszego filmu? – zapytała Kate.

– Nie – odpowiedział Lucas. – Idziemy na górę.

Kate spojrzała zaniepokojona na męża, który już wstawał.

– Może zagramy w kosza, co chłopcy?

Aż podskoczyli na ten pomysł i wszyscy razem wyszli na zewnątrz.

Kate spojrzała na Marah.

– To nowotwór, tak? – zapytała jej córka po długiej chwili milczenia.

– Tak.

– Pani Murphy miała raka w zeszłym roku i wyzdrowiała. I ciocia Georgia też.

– Właśnie.

Marah drżały usta. Pomimo wysokiego wzrostu, makijażu i całego udawanego wyrafinowania znów wyglądała jak mała dziewczynka, która prosi Kate, żeby nie gasiła na noc światła w jej pokoju. Złożywszy dłonie, podeszła do sofy.

– Nic ci nie będzie, prawda?

Czwarte stadium. Rozprzestrzenił się już. Za późno wykryty. Kate odpędziła te myśli. Nic dobrego jej nie przyniosą. Teraz pora na optymizm.

– Tak. Lekarze mówią, że jestem młoda i zdrowa, więc powinno być okej.

Marah położyła się na sofie i przytuliła głowę do kolan Kate.

– Będę się tobą opiekować, mamo.

Kate zamknęła oczy i pogładziła córkę po włosach. Miała wrażenie, jakby zaledwie wczoraj trzymała ją na rękach i kołysała do snu, jakby zaledwie wczoraj Marah wspięła się na jej kolana i rozpaczliwie szlochała po śmierci ukochanej złotej rybki.

Błagam, Boże – modliła się Kate – *pozwól mi się zestarzeć na tyle, żebyśmy zdążyły zostać przyjaciółkami…* Z trudem przełknęła ślinę.

– Wiem, że tak, skarbie.

Dziewczyny z Firefly Lane…

We śnie Kate jest rok 1974, a ona znów jest nastolatką i o północy jedzie na rowerze z najlepszą przyjaciółką u boku, w ciemnościach tak absolutnych, że czują się, jakby były niewidzialne. Pamięta tamto miejsce z najdrobniejszymi szczegółami: meandrująca wstęga asfaltu, z obu jej stron głębokie rowy z błotnistą wodą i zboczami porośniętymi zmierzwioną trawą. Zanim poznały się z Tully, ta droga zdawała się zmierzać donikąd; zwykła wiejska droga nosząca nazwę owada, którego nikt nigdy nie widział w tym zielono-niebieskim, surowym zakątku świata. A potem każda z nich spojrzała na to miejsce oczami tej drugiej…

Wyluzuj, Katie. Bóg kocha odważnych.

Obudziła się nagle, czując łzy na policzkach. Leżała w łóżku całkiem wybudzona i słuchała szalejącej na zewnątrz śnieżycy. W zeszłym tygodniu straciła umiejętność dystansowania się wobec wspomnień. Zbyt często wracała ostatnio w snach na Firefly Lane. I nic dziwnego.

Najlepsze przyjaciółki na zawsze.

Taką obietnicę złożyły sobie lata temu i wierzyły, że to będzie trwać, wierzyły, że pewnego dnia będą siedzieć jako staruszki w bujanych fotelach na skrzypiących deskach werandy i ze śmiechem rozmawiać o tamtym okresie ich życia.

Teraz już oczywiście wiedziała. Przez ponad rok wmawiała sobie, że jest okej, że da sobie radę bez najlepszej przyjaciółki. Czasem nawet w to wierzyła. Ale potem usłyszała muzykę. Ich muzykę. Wczoraj, gdy robiła zakupy, supermarketowa wersja

You've Got a Friend sprawiła, że popłakała się przy rzodkiewkach.

Odsunęła kołdrę i wstała z łóżka, starając się nie zbudzić śpiącego męża. Przez chwilę wpatrywała się w niego w pełnym cieni półmroku. Nawet we śnie miał zmartwiony wyraz twarzy.

Wzięła telefon, wyszła z sypialni i przeszła pogrążonym w ciszy korytarzem na taras. Patrzyła na szalejącą na zewnątrz burzę i zebrała się na odwagę. Gdy wybierała doskonale znany sobie numer, zaczęła się zastanawiać, co powie swojej niegdyś najlepszej przyjaciółce po tych wszystkich miesiącach milczenia, od czego powinna zacząć. „Miałam koszmarny tydzień…", „Życie mi się rozsypuje…" albo po prostu: „Potrzebuję cię".

Po drugiej stronie czarnej i wzburzonej zatoki Puget zadzwonił telefon.

Dzwonił i dzwonił.

Gdy włączyła się automatyczna sekretarka, Kate spróbowała przekształcić swoją potrzebę w coś tak niepozornego i zwyczajnego jak słowa.

– Hej, Tul. To ja, Kate. Aż trudno mi uwierzyć, że nie zadzwoniłaś, żeby mnie przeprosić…

Rozległ się grzmot, niebo rozdarły jaśniejące jedna za drugą błyskawice. Usłyszała kliknięcie.

– Tully? Słuchasz mnie? Tully?

Nie było odpowiedzi.

Kate westchnęła i mówiła dalej.

– Potrzebuję cię, Tully. Zadzwoń na moją komórkę.

Nagle zabrakło prądu i połączenie zostało przerwane. Sygnał zajętości zabuczał jej w uchu. Kate postanowiła nie traktować tego jak znaku. Wróciła do salonu i zapaliła świecę.

A potem zrobiła coś specjalnego dla każdego członka rodziny. Drobne przypomnienie o jej obecności. Dla Williama odszukała

płytę DVD z filmem *Potwory i spółka*, który mu się gdzieś zapodział. Dla Lucasa przygotowała do poczekalni torbę pełną jego ulubionych przysmaków. Odszukała komórkę Marah i położyła ją obok jej łóżka, wiedząc, jak zagubiona poczuje się córka, jeśli nie będzie mogła zadzwonić do przyjaciół. Na koniec znalazła wszystkie komplety kluczy w domu, oznaczyła je i położyła na blacie dla Johnny'ego. Gubił je niemal codziennie.

Gdy już nie miała więcej pomysłów, podeszła do okna i popatrzyła na cichnącą burzę. Mglisty świat powoli się rozjaśniał. Grafitowe chmury przechodziły w cudownie opalizujący róż. Seattle było jak nowe i lśniło w promieniach wschodzącego słońca.

Kilka godzin później rodzina zaczęła się zbierać wokół niej. Cały czas byli razem, razem zjedli śniadanie i spakowali swoje rzeczy do samochodu, a ona cały czas zerkała na telefon, spodziewając się, że zadzwoni.

Sześć tygodni później, gdy odjęto jej obie piersi, wlano truciznę do krwiobiegu i napromieniowano jej ciało aż do poparzenia, nadal czekała na telefon od Tully.

Drugiego stycznia Tully wróciła do swojego pustego i zimnego mieszkania.

– Kwintesencja mojego życia – stwierdziła gorzko, dając napiwek portierowi, który wniósł jej wielkie, drogie walizki do sypialni.

Gdy wyszedł, stała w miejscu, nie wiedząc, co zrobić. Był poniedziałek, dziewiąta wieczorem i większość ludzi spędzała czas w domu z bliskimi. Jutro Tully wróci do pracy i będzie mogła zanurzyć się w codziennej rutynie imperium, które stworzyła. Błyskawicznie zapomni o obrazach, które

prześladowały ją w czasie urlopu, ścigając ją przez miesiąc nawet na krańcu świata. Dosłownie. Spędziła Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie i Sylwestra na mroźnej Antarktydzie, w grupce skupionej wokół grzejnika, popijającej wino i śpiewającej piosenki. Na pierwszy rzut oka i w obiektywie kamery wyglądało to na dobrą zabawę. Jednak zbyt często zagrzebywała się w swoim śpiworze ubrana w czapkę i rękawiczki i próbowała zasnąć, podczas gdy w głowie słyszała stare piosenki, które wywoływały jej łzy. Nie pierwszy raz obudziła się z lodem na policzkach.

Rzuciła torebkę na sofę i spojrzała na zegar. Czerwone światełka migotały, pokazując 5:55. Chyba kiedy jej nie było, musiał wysiąść prąd.

Nalała sobie kieliszek wina, wyjęła kartkę papieru i długopis i usiadła przy biurku. Światełka automatycznej sekretarki też błyskały.

– Świetnie.

Po przerwie w dostawie prądu nie będzie wiedziała, kto do niej dzwonił. Nacisnęła odtwarzanie i zaczęła długie i nużące odsłuchiwanie nagranych wiadomości. W połowie zrobiła notatkę dla asystentki w sprawie poczty głosowej. Słuchała z coraz mniejszą uwagą, gdy nagle usłyszała głos Kate.

– Hej, Tul. To ja, Kate.

Gwałtownie się wyprostowała i cofnęła nagranie.

– Hej, Tul. To ja, Kate. Aż trudno mi uwierzyć, że nie zadzwoniłaś, żeby mnie przeprosić.

Głośne kliknięcie. A potem:

– Tully? Słuchasz mnie?

I znów kliknięcie, a potem głośny sygnał zajętości. Kate się rozłączyła.

I to było wszystko. Skończyło się. Na automatycznej sekretarce nie było więcej wiadomości.

Tully poczuła tak dotkliwe rozczarowanie, że aż się wzdrygnęła. Odtwarzała nagranie raz za razem, aż słyszała już tylko ton oskarżenia w głosie Kate.

To nie była Kate, którą pamiętała, dziewczyna, która lata temu obiecała, że będą przyjaciółkami na zawsze. Tamta dziewczyna nigdy nie zadzwoniłaby, żeby tak z Tully szydzić, zwymyślać ją, a potem się rozłączyć.

„Aż trudno mi uwierzyć, że nie zadzwoniłaś, żeby mnie przeprosić".

Tully wstała, starając się zdystansować wobec głosu, który wdarł się do jej domu i napełnił złudną nadzieją. Wcisnęła przycisk „skasuj wszystko" i odeszła od telefonu.

– A ja nie mogę uwierzyć, że ty nie zadzwoniłaś do mnie – powiedziała w pustkę mieszkania, starając się nie zauważać chrypki w swoim głosie.

Podeszła do torebki i wygrzebała z panującego w niej bałaganu komórkę. Przejrzała niekończącą się listę kontaktów, by znaleźć nazwisko, które dodała parę miesięcy temu, i wybrała numer.

Gdy Thomas odebrał, starała się brzmieć wesoło i kokieteryjnie, ale trudno jej było udawać. Jakiś ciężar spoczywał na jej piersi, utrudniając oddychanie.

– Cześć, Tom. Właśnie wróciłam z krainy lodu. Co porabiasz dziś wieczorem? Nic? No to wspaniale. Może się spotkamy?

To było żałosne, jak zdesperowana się nagle poczuła. Ale nie mogła być sama dziś wieczorem, nie chciała nawet spać w swoim apartamencie.

– Spotkajmy się w Kells. Może być dziewiąta trzydzieści?

Wyszła, zanim zdążył powiedzieć: „To będzie randka!".

34

W 2006 roku *Dziewczyńska godzina* zyskała jeszcze większą oglądalność. Tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem Tully tworzyła magiczny spektakl dzięki doskonale dobranym gościom i znakomitej relacji z publicznością. Z pewnością wspięła się na wyżyny i panowała nad tym wszystkim. Już nie pozwalała sobie na rozważanie, czego jej w życiu brakuje. Tak jak robiła, mając sześć lat i czternaście, wepchnęła to, co negatywne, do pudełka i ukryła je w mroku.

Żyła dalej. Zawsze tak postępowała, gdy spotykało ją rozczarowanie. Wysuwała podbródek, prostowała ramiona i wyznaczała sobie nowy cel. W tym roku zaczęła wydawać czasopismo. W przyszłym będzie to ośrodek wypoczynkowy dla kobiet. A potem… Kto wie?

Siedziała teraz w nowym narożnym gabinecie, którego okna nie wychodziły już na wyspę Bainbridge. Rozmawiała przez telefon ze swoją sekretarką.

– Żartujesz? Odwołuje obecność w programie na czterdzieści minut przed nagraniem? W studiu jest tłum ludzi, który czeka, żeby go zobaczyć. – Z trzaskiem odłożyła słuchawkę, a potem włączyła interkom. – Wezwij do mnie Teda.

Kilka minut później rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wszedł jej producent. Policzki miał zaróżowione z wysiłku i ciężko dyszał.

– Chciałaś mnie widzieć?

– Jack właśnie odwołał.

– Teraz? – Ted zerknął na zegarek. – Sukinsyn. Mam nadzieję, że mu powiedziałaś, że jak nakręci następny film, to będzie sobie o nim mógł opowiedzieć najwyżej w radiu.

Tully otworzyła kalendarz.

– Jest pierwszy czerwca, tak? Zadzwoń do Nordstrom i Gene Juarez Spa. Zrobimy metamorfozy matek przed wakacjami. Rozdamy trochę ubrań i kosmetyków. Głupie, ale lepsze niż nic.

Od chwili, gdy Ted wyszedł z jej gabinetu, cała ekipa zaczęła pracować na pełnych obrotach. Współpracownicy Tully szukali nowych gości, dzwonili do swoich kontaktów w różnych domach towarowych i spa i cały czas zabawiali publiczność w studiu. Poziom adrenaliny był tak wysoki, że wszyscy, nawet Tully, działali w przyśpieszonym tempie, a nagranie rozpoczęło się z zaledwie godzinnym opóźnieniem. Sądząc po aplauzie na koniec, to był udany odcinek.

Po programie Tully jak zwykle została dłużej, by porozmawiać z fanami. Pozowała do wspólnych zdjęć, rozdawała autografy i wysłuchiwała historii o tym, jak zmieniła czyjeś życie. To był jej ulubiony moment dnia.

Właśnie wróciła do swojego gabinetu, gdy zabrzęczał interkom.

– Tallulah? Kate Ryan na pierwszej linii.

Na moment serce Tully przestało bić. Poczuła nadzieję i to ją rozzłościło. Stanęła przy rogu swojego olbrzymiego biurka i wcisnęła przycisk interkomu.

– Zapytaj, czego chce.

Zaraz potem sekretarka znowu się odezwała.

– Pani Ryan mówi, że jak odbierzesz, to się dowiesz.

– Powiedz jej, żeby spierdalała. – Tully natychmiast pożałowała wypowiedzianych słów, ale nie wiedziała, jak ustąpić. Podczas długiej rozłąki podtrzymywała swoją złość,

żeby jakoś funkcjonować. W przeciwnym razie samotność byłaby nie do zniesienia.

– Pani Ryan mówi, cytuję: „Powiedz tej suce, żeby ruszyła to swoje dupsko w dizajnerskich łachach z absurdalnie drogiego skórzanego fotela i podeszła do telefonu”. Powiedziała też, że jeśli spławisz ją akurat dzisiaj, to sprzeda tabloidom twoje zdjęcie z tamtą koszmarną trwałą.

Tully prawie się uśmiechnęła. Jak to dwa zdania wystarczą, żeby cofnąć się o tyle lat i przebić się przez osad nagromadzony z powodu tylu złych decyzji…

Podniosła słuchawkę.

– Jesteś wredną suką, a ja jestem na ciebie wściekła.

– Oczywiście, że tak. Jesteś zapatrzona w siebie, a ja nie przepraszam, ale to już nie ma żadnego znaczenia.

– Właśnie, że ma. Powinnaś była już dawno zadzwonić…

– Jestem w szpitalu, Tully. Świętego Serca. Czwarte piętro – powiedziała Kate. I rozłączyła się.

„Szybciej” – Tully powtarzała to szoferowi niemal przy każdej przecznicy. Gdy samochód zatrzymał się przed szpitalem, wyskoczyła i podbiegła do szklanych drzwi, które po chwili się rozsunęły. Gdy tylko weszła do środka, otoczyli ją ludzie. Zwykle brała pod uwagę konieczność utrzymywania relacji z fanami (trzydzieści minut w każdym miejscu, gdzie się pojawiała, na powitania i krótkie rozmowy), ale w tej chwili nie miała czasu. Przepchnęła się przez tłum i podeszła do recepcji.

– Przyszłam do Kathleen Ryan.

Recepcjonistka popatrzyła na nią z zachwytem.

– Pani Tallulah Hart!

– Tak, to ja. W której sali leży Kathleen Ryan?

Kobieta pokiwała głową.

– Och, tak. – Zerknęła na ekran komputera, wcisnęła parę klawiszy i powiedziała: – Czterysta dziesięć, wschodnie skrzydło.

– Dzięki.

Tully ruszyła do windy, ale zorientowała się, że ktoś za nią idzie. Jej fani gotowi byli bez skrępowania wsiąść z nią do kabiny. Co odważniejsi zagadnęliby ją w trakcie jazdy. Jakiś wyjątkowo gorliwy mógłby nawet wysiąść za nią na jej piętrze. Wybrała więc schody i na trzecim podeście ucieszyła się, że ma codziennie aerobik i ćwiczy z osobistym trenerem. Ale i tak na czwartym zabrakło jej tchu.

Na samym końcu korytarza znajdowała się malutka poczekalnia. W telewizorze leciał jej program – powtórka odcinka sprzed dwóch lat. Gdy tylko Tully weszła do tego niewielkiego pokoju, od razu się zorientowała, że z Kate musi być bardzo źle. Siedział tam Johnny na małej, brzydkiej, niebieskiej kanapce. Zwinięty obok niego Lukas leżał z głową na kolanach ojca, a William słuchał czytanej przez niego bajki. Marah siedziała na krześle obok Williama, oczy miała zamknięte i przez malutkie słuchawki słuchała czegoś z iPoda. Poruszała się delikatnie do dźwięków muzyki, którą słyszała tylko ona. Chłopcy bardzo urośli. To boleśnie przypomniało Tully, jak długo ich nie widziała. Obok Marah siedziała pani Mularkey, skupiona na robótce. Sean stał koło matki i rozmawiał przez komórkę. Georgia i Ralph oglądali w kącie telewizję.

Wyglądało na to, że są tutaj od dawna.

Tully potrzebowała sporo odwagi, by się odezwać.

– Cześć, Johnny.

Na dźwięk jej głosu wszyscy podnieśli wzrok, ale nikt nic nie powiedział, a Tully przypomniał się ostatni raz, gdy byli razem.

– Kate do mnie zadzwoniła – wyjaśniła.

Johnny wyswobodził się spod śpiącego syna i wstał. Była jakaś niezręczność, chwila wahania, zanim ją objął. Siła tego uścisku wskazywała na to, że on szuka tak naprawdę pociechy dla siebie. Odwzajemniła uścisk, starając się opanować strach.

– Powiedz mi – zażądała, nieco zbyt ostrym tonem, gdy puścił ją i cofnął się o krok.

Westchnął i skinął głową.

– Przejdźmy do pokoju rodzinnego.

Pani M. wstała powoli. Tully uderzyło, jak bardzo się postarzała. Była zgarbiona i wydawała się taka krucha. Przestała farbować włosy i były teraz śnieżnobiałe.

– Katie do ciebie zadzwoniła? – zapytała pani M.

– Od razu przyjechałam – powiedziała Tully, jakby pośpiech miał teraz znaczenie, po tak długim czasie.

I wtedy pani M. zrobiła coś zdumiewającego: przytuliła Tully, otoczyła ją ramionami, z których nadal unosił się zapach perfum Jean Naté i mentolowych papierosów, podkreślony ledwie wyczuwalną nutą lakieru do włosów.

– Chodźmy – ponaglił Johnny, przerywając im, i zaprowadził Tully do innej sali.

Stał tam nieduży fornirowany stół konferencyjny, a wokół niego osiem plastikowych krzesełek. Johnny i pani M. usiedli. Tully wolała stać.

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał, a każda sekunda zdawała się pogarszać sytuację.

– Powiedzcie mi.

– Kate ma raka – oznajmił Johnny. – To zapalny rak piersi.

Tully musiała skupić się na spokojnym oddychaniu, żeby nie zasłabnąć.

– Będzie miała mastektomię, radioterapię i chemioterapię, tak? Mam kilka znajomych, które poradziły sobie…

– Już to wszystko miała – odpowiedział Johnny spokojnie.

– Co? Kiedy?

– Zadzwoniła do ciebie parę miesięcy temu – odparł i tym razem w jego głosie pojawił się ton, którego nigdy dotąd nie słyszała. – Chciała, żebyś była z nią w szpitalu. Nie oddzwoniłaś.

Tully przypomniała sobie nagraną wiadomość, słowo po słowie. „Aż trudno mi uwierzyć, że nie zadzwoniłaś, żeby mnie przeprosić. Tully? Słuchasz mnie? Tully?". I kliknięcie. Czy coś się stało z resztą wiadomości? Zabrakło prądu albo taśma się skończyła?

– Nawet nie wspomniała o chorobie – powiedziała Tully.

– Zadzwoniła do ciebie – podkreśliła pani M.

Tully ogarnęło poczucie winy, przytłoczyło ją. Powinna była wyczuć, że coś jest nie tak. Dlaczego nie oddzwoniła? Straciła tyle czasu.

– O mój Boże. Powinnam była…

– Teraz to już nie ma znaczenia – powiedziała pani M.

Johnny pokiwał głową i wyjaśnił:

– Pojawiły się przerzuty. Zeszłej nocy miała niewielki wylew. Zabrali ją szybko na salę operacyjną, ale jak ją otworzyli, okazało się, że nic nie mogą zrobić. – Głos mu się załamał.

Pani M. położyła mu dłoń na ręce.

– Rak jest już w mózgu.

Tully wydawało się, że wie, co to strach – jak wtedy na ulicy w Seattle, gdy miała dziesięć lat, albo gdy Katie poroniła, albo gdy Johnny został ranny w Iraku – ale czegoś takiego nie czuła nigdy.

– Czy to znaczy…

– Ona umiera – wyszeptała pani M.

Tully pokręciła głową, nie mając pojęcia, co powiedzieć.

– G-g-dzie ona jest? – Zadała to pytanie łamiącym się, urywanym głosem. – Muszę się z nią zobaczyć.

Johnny i pani M. wymienili spojrzenia.

– Co? – zapytała Tully.

– Wpuszczają tylko jedną osobę naraz – wyjaśniła pani M. – Teraz jest tam Bud. Przyprowadzę go.

Gdy tylko pani M. wyszła, Johnny przysunął się bliżej i powiedział:

– Ona jest bardzo osłabiona, Tul. Ma też różne zaburzenia przez raka w mózgu. Są dobre momenty… i takie gorsze.

– Co masz na myśli?

– Może cię nie poznać.

Droga do pokoju Kate była najdłuższą podróżą, jaką Tully kiedykolwiek odbyła. Miała świadomość, że wokół niej są ludzie, którzy cicho rozmawiają, ale nigdy nie czuła się bardziej samotna. Johnny doprowadził ją do drzwi i zatrzymał się.

Tully skinęła głową, starając się zebrać siły, gdy wchodziła do środka. Zamknęła za sobą drzwi i spróbowała się uśmiechnąć. Udało się tylko połowicznie, ale podeszła do łóżka, na którym spała jej przyjaciółka.

Kate znajdowała się w pozycji półsiedzącej i wyglądała na tle białych prześcieradeł i stosu poduszek jak zepsuta lalka. Nie miała włosów ani brwi, a jej łysa głowa tworzyła blady owal, który niemal niknął na tle poszewki.

– Kate? – powiedziała cicho Tully, podchodząc bliżej. W chwili, gdy usłyszała swój głos, aż się skrzywiła. Wydawał się zbyt głośny w tym pomieszczeniu, zbyt żywy.

Kate otworzyła oczy i Tully zobaczyła kobietę, którą znała, dziewczynę, której obiecała, że będzie jej przyjaciółką na zawsze.

„Wyciągnij ramiona, Katie. To jak latanie”.

Jak to się stało, że po dziesiątkach lat razem, tak się od siebie oddaliły?

– Przepraszam, Katie – szepnęła, mając świadomość, że to tylko słowo. Przez całe życie trzymała je w sobie, chowała w głębi serca, jakby wypuszczenie go mogło jej zaszkodzić. Dlaczego od matki nauczyła się akurat czegoś, co tak bardzo szkodziło? I dlaczego nie oddzwoniła, gdy usłyszała głos Kate na automatycznej sekretarce?

– Tak bardzo cię przepraszam – powtórzyła, czując, że łzy pieką ją w oczy.

Kate nie uśmiechnęła się ani w żaden inny sposób nie pokazała, że ją dostrzega albo jest zaskoczona. Nawet przeprosiny – nieistotne i spóźnione – nie wywarły na niej żadnego wrażenia.

– Powiedz, proszę, że mnie pamiętasz.

Kate tylko się w nią wpatrywała.

Tully wyciągnęła rękę i pogładziła wierzchem dłoni ciepły policzek Kate.

– Jestem Tully, ta suka, która była kiedyś twoją najlepszą przyjaciółką. Przepraszam za to, co ci zrobiłam, Katie. Powinnam była powiedzieć ci to już dawno temu. – Wydała z siebie ciche westchnienie rozpaczy. Nie zniesie, jeśli Kate jej sobie nie przypomni, jeśli nie przypomni sobie ich. – Pamiętam, jak zobaczyłam cię pierwszy raz, Katie Mularkey Ryan. Byłaś pierwszą osobą, która naprawdę chciała mnie poznać. Oczywiście najpierw potraktowałam cię jak gówno, ale gdy zostałam zgwałcona, ty mi pomogłaś. – Ogarnęły ją wspomnienia. Otarła oczy. – Uważasz, że cały czas mówię o sobie, prawda? I że to dla mnie typowe. Ale ja cię pamiętam, Katie. Każdą sekundę. Gdy czytałaś *Love Story* i nie wiedziałaś, co znaczy „skurwiel”, bo nie było tego słowa w słowniku… Albo

gdy przysięgałaś, że nigdy nie będziesz się całować z języczkiem, bo to straszne obrzydlistwo.

Tully potrząsnęła głową, żeby się skupić. W tej sali było wraz z nimi całe jej życie.

– Byłyśmy tak cholernie młode, Katie. Ale już nie jesteśmy. Pamiętasz, jak pierwszy raz wyjechałam ze Snohomish i napisałyśmy do siebie z milion listów? Podpisywałyśmy je „Przyjaciółka na zawsze" albo „Najlepsza przyjaciółka na zawsze". I tak było…

Tully opowiadała ich historię, czasem się nawet zaśmiała, jak wtedy, gdy wspominała zjazd na rowerach z Summer Hill albo ucieczkę przed policją tamtej nocy, gdy je aresztowano.

– O, tego na pewno nie zapomniałaś. Pamiętasz, jak poszłyśmy na *Mojego przyjaciela smoka*, bo myślałyśmy, że to film akcji, a to była kreskówka? Byłyśmy najstarsze w kinie, ale wyszłyśmy, śpiewając *You and Me Against the World*, i byłyśmy przekonane, że zawsze tak będzie…

– Przestań.

Tully gwałtownie zaczerpnęła powietrza. W oczach przyjaciółki dostrzegła łzy. Spływały jej też po skroniach, tworząc niewielkie, szare plamy wilgoci na poduszce pod głową.

– Tully – odezwała się Kate cichym, miękkim głosem. – Naprawdę myślałaś, że mogłabym cię zapomnieć?

Tully ogarnęła taka ulga, że aż ugięły się pod nią kolana.

– Hej – powiedziała. – Ale nie musiałaś posuwać się aż tak daleko, by przyciągnąć moją uwagę, wiesz? – Dotknęła łysej głowy przyjaciółki, jej palce przesunęły się po miękkiej jak u dziecka skórze. – Wystarczyło zadzwonić.

– Dzwoniłam.

Tully się wzdrygnęła.

– Tak mi przykro, Kate. Ja…

– Jesteś suką – stwierdziła Kate, uśmiechając się ze znużeniem. – To wiem od zawsze. Zresztą mogłam zadzwonić jeszcze raz. Chyba nie istnieją trwające trzydzieści lat przyjaźnie, w których nie wydarzyłoby się po drodze nic przykrego.

– Jestem suką – przyznała żałosnym głosem Tully, a jej oczy wypełniły się łzami. – Powinnam była zadzwonić. Tylko że… – Nawet nie wiedziała, co powiedzieć, jak wyjaśnić to mroczne rozdarcie w jej wnętrzu.

– Zapomnijmy o tym, okej?

– Czyli skupimy się na tym, co będzie – odparła Tully, a jej słowa były niczym odłamki metalu, ostre i zimne.

– Nie – powiedziała Kate. – Skupimy się na tym, co jest.

– Parę miesięcy temu robiłam program o raku piersi. W Ontario jest pewien lekarz, który dokonuje cudów za pomocą jakiegoś nowego leku. Zadzwonię do niego.

– Skończyłam z leczeniem. Spróbowałam wszystkich terapii i nic nie pomogło. Po prostu… bądź ze mną.

Tully cofnęła się o krok.

– Mam sobie patrzeć, jak umierasz? To chciałaś powiedzieć? To ja ci odpowiem, nie ma, kurwa, mowy. Nie ma mowy.

Kate spojrzała na nią i uśmiechnęła się słabo.

– Tylko to zostało, Tully.

– Ale…

– Naprawdę myślisz, że Johnny by ze mnie zrezygnował? Przecież znasz mojego męża. Jest taki sam jak ty i jesteśmy prawie tak samo bogaci. Przez sześć miesięcy zdążyłam odwiedzić wszystkich specjalistów na świecie. Próbowałam terapii konwencjonalnych, niekonwencjonalnych i naturopatii. Pojechałam nawet do jakiegoś szamana w dżungli. Mam dzieci, zrobiłam wszystko, by odzyskać zdrowie dla nich. Ale nic nie pomogło.

– To co mam robić?

Uśmiech Kate był prawie taki sam jak za dawnych lat.

– No, to jest właśnie moja Tul. Ja umieram na raka, a ona pyta o siebie. – Roześmiała się.

– To nie jest śmieszne.

– Nie wiem, jak sobie z tym poradzić.

Tully otarła oczy. Docierała do niej prawdziwość tego, o czym rozmawiały.

– Zrobimy to tak, jak robiłyśmy wszystko inne, Kate. Razem.

Tully wyszła z pokoju Kate wstrząśnięta. Wydała z siebie dziwny dźwięk, jakby zbyt gwałtownie zaczerpnęła powietrza, i przytknęła dłoń do ust.

– Nie duś tego w sobie – powiedziała pani M., podchodząc do niej.

– Nie potrafię.

– Wiem. – Głos pani M. załamał się i urwał. – Po prostu ją kochaj. Bądź przy niej. Zostało tylko to. Wierz mi, płakałam, kłóciłam się i targowałam z Bogiem, błagałam lekarzy o nadzieję. To się już skończyło. Ona najbardziej martwi się o dzieci. Zwłaszcza o Marah. Tak im było ciężko – sama zresztą wiesz – a Marah jakby się wobec tego wszystkiego teraz zamknęła. Żadnych łez, żadnego dramatu. Jedyne co robi, to słucha muzyki.

Wrócili do poczekalni, a tam okazało się, że nikogo nie ma.

Pani M. spojrzała na zegarek.

– Są w stołówce. Dołączysz do nas?

– Nie, dziękuję. Potrzebuję świeżego powietrza.

Pani M. pokiwała głową.

– Dobrze, że znów z nami jesteś, Tully. Tęskniłam za tobą.

– Powinnam była posłuchać pani rady i zadzwonić do niej.

– Jesteś tu teraz. To się liczy. – Pani M. poklepała Tully po ramieniu i odeszła.

Tully wyszła na zewnątrz i ze zdumieniem stwierdziła, że jest jasno, ciepło i słonecznie. Nie podobało jej się, że słońce wciąż świeci, podczas gdy Kate leży na tamtym wąskim łóżku i umiera. Tully ruszyła ulicą, skrywając załzawione oczy za wielkimi ciemnymi okularami, żeby nikt jej nie rozpoznał. Za nic nie chciała, by coś ją zatrzymało.

Gdy mijała kawiarnię, dobiegła ją muzyka, bo ktoś akurat wychodził i otworzył drzwi. *Bye, Bye, Miss American Pie*. Nogi się pod nią ugięły i gwałtownie osunęła się na chodnik. Uderzyła kolanami o beton, ale nawet tego nie zauważyła, nic jej to nie obchodziło, bo tak mocno płakała. Nigdy dotąd nie czuła się tak obezwładniona przez emocje. Jakby zupełnie sobie z nimi nie radziła. Strach. Smutek. Poczucie winy. Żal.

– Dlaczego do niej nie zadzwoniłam? – łkała. – Tak bardzo cię przepraszam, Katie.

Słyszała daremną desperację w swoim głosie i czuła mdłości na myśl, że teraz słowa przychodzą tak łatwo – teraz, gdy jest za późno, by miały jakiekolwiek znaczenie.

Nie pamiętała, ile czasu klęczała z pochyloną głową, szlochając i wspominając wspólne lata. To była ta ciesząca się złą sławą część dzielnicy Capitol Hill, pełna bezdomnych, więc nikt nie podszedł, by jej pomóc. Wreszcie wykończona i roztrzęsiona Tully wstała. Czuła się tak, jakby ją pobito. Muzyka cofnęła ją w czasie, przypomniała tyle wspólnych chwil.

„Obiecaj, że zawsze będziemy najlepszymi przyjaciółkami”.

– Och, Katie…

I znowu się rozpłakała. Tym razem ciszej.

Ruszyła otępiała ulicą, skręciła w jakąś przecznicę i szła, aż jedna z wystaw przykuła jej uwagę. W sklepie na rogu oferowano coś, co było idealne, a ona nawet o tym nie pomyślała. Poprosiła o zapakowanie prezentu i pobiegła z powrotem do pokoju Kate. Była zdyszana, gdy otwierała drzwi i wchodziła do środka.

Kate uśmiechnęła się ze wysiłkiem.

– Niech zgadnę: przyprowadziłaś swoją ekipę nagraniową.

– Bardzo śmieszne. – Tully ominęła parawan i stanęła przy łóżku. – Twoja mama twierdzi, że nadal masz kłopot z Marah.

– To nie twoja wina. Wystraszyła się tego wszystkiego i nie wie, jak łatwo jest powiedzieć „przepraszam".

– Ja też nie wiedziałam.

– Zawsze byłaś dla niej wzorem. – Kate zamknęła oczy. – Jestem zmęczona, Tully…

– Mam dla ciebie prezent.

Kate uniosła powieki.

– Tego, czego pragnę, nie można kupić.

Tully nic nie odpowiedziała. Wręczyła tylko Kate pięknie opakowany podarek i pomogła jej go otworzyć.

Był to pamiętnik w ręcznie robionej skórzanej oprawie. Na pierwszej stronie Tully napisała: „Historia Katie".

Kate patrzyła na pustą stronę przez długi czas, nic nie mówiąc.

– Katie?

– Nigdy tak naprawdę nie zostałam pisarką – wyznała wreszcie. – Ty i Johnny, i mama, wy wszyscy tego dla mnie chcieliście, ale nie udało mi się. Teraz jest za późno.

Tully dotknęła nadgarstka przyjaciółki. Poczuła, jak szczupła i krucha jest jej ręka. Najlżejszy nacisk spowodowałby siniaki.

– To dla Marah – powiedziała cicho. – I chłopców. Pewnego dnia będą dość duzi, żeby to przeczytać. Będą chcieli wiedzieć,

kim byłaś.

– Skąd mam wiedzieć, co napisać?

Tully nie umiała odpowiedzieć.

– Pisz po prostu to, co pamiętasz.

Kate zamknęła oczy, jakby sama myśl była trudna do zniesienia.

– Dzięki, Tully.

– Już cię nigdy nie zostawię, Katie.

Kate nie otworzyła oczu, ale leciutko się uśmiechnęła.

– Wiem.

Kate nie pamiętała, kiedy zasnęła. W jednej chwili rozmawiała z Tully, a w następnej… obudziła się w ciemnym pokoju, w którym czuć było zapach kwiatów i środka dezynfekującego.

Leżała w tej sali już tak długo, że czuła się tu prawie jak w domu i czasami – gdy nadzieja rodziny stawała się trudna do wytrzymania – cisza tego małego, beżowego pokoiku niosła pociechę. Wśród tych pustych ścian, gdy nikogo nie było, nie musiała udawać, że jest silna.

Ale w tym momencie nie chciała tu być. Chciała być w domu, w swoim łóżku, w ramionach męża, a nie patrzeć, jak on drzemie na szpitalnym łóżku po drugiej stronie pokoju. Albo siedzieć z Tully na błotnistym brzegu Pilchuck River i rozmawiać o najnowszym albumie Davida Cassidy'ego, opróżniając wspólnie torebkę strzelających w ustach cukierków Pop Rocks. Wspomnienie sprawiło, że się uśmiechnęła, a to złagodziło lęk, który ją obudził.

Wiedziała, że bez leków już nie zaśnie, a nie chciała budzić dyżurującej w nocy pielęgniarki. Poza tym zostało jej tak niewiele życia, po co przesypiać ten czas?

Dopiero w ostatnich tygodniach zaczęły ją nachodzić takie ponure myśli. Wcześniej, w miesiącach, które nastąpiły po diagnozie (ten dzień nazywała w myślach swoim D-Day), robiła wszystko, co należy, i robiła to, uśmiechając się do wszystkich dokoła.

Operacja? Oczywiście, rozetnijcie mnie i odejmijcie mi piersi.

Naświetlania? Pewnie. Smażcie mnie, ile wlezie.

Chemioterapia? Poproszę jeszcze jedną dawkę trucizny.

Tofu i zupy miso? Mniam. Mogę dostać dokładkę?

Kryształy. Medytacja. Wizualizacje. Chińskie ziółka.

Robiła to wszystko i to z zapałem. Co więcej, wierzyła w to wszystko, wierzyła, że zdoła się wyleczyć. Od tych starań aż brakło jej tchu, a ta wiara ją złamała.

Westchnęła i potarła oczy. Przechyliła się na bok, żeby zapalić lampkę przy łóżku. Johnny, który przyzwyczaił się już do jej dziwnego rytmu snu i czuwania, przewrócił się na drugi bok i wymamrotał:

– Okej, kochanie?

– Tak. Śpij, śpij.

To zaboli. Co do tego nie miała wątpliwości. Żeby wziąć długopis i opisać swoje życie, musiałaby sobie przypomnieć wszystko – kim była, kim pragnęła być. A te wspomnienia będą bolesne, zranią ją. I te dobre, i te złe.

Lecz jej dzieci zza zasłony choroby ujrzą ją, kobietę, którą zapamiętają na zawsze, ale nie będą miały czasu jej poznać. Tully miała rację. Jedynym darem, jaki Kate mogła im teraz dać, była prawda o sobie.

Otworzyła pamiętnik. Nie miała pomysłu, od czego zacząć, więc po prostu zaczęła pisać.

Panika zawsze zaczyna się u mnie tak samo. Najpierw ściska mnie w żołądku, aż zaczynam mieć mdłości, a potem przyśpiesza

mi tętno i brakuje tchu, choćbym spokojnie i głęboko oddychała. Ale to, co budzi mój strach, codziennie jest inne, nigdy nie wiem, co go wywoła. To może być pocałunek męża albo ślad smutku w jego oczach, gdy odwraca wzrok. Czasem wiem, że już obchodzi po mnie żałobę i tęskni za mną, choć nadal tu jestem. Lecz jeszcze gorsze jest ciche akceptowanie przez Marah wszystkiego, co powiem. Czego bym nie oddała za jedną z naszych dawnych bezpardonowych kłótni. To między innymi chcę Ci powiedzieć jako pierwsze, Marah: te kłótnie to było prawdziwe życie. Walczyłaś o to, by uwolnić się od bycia moją córką, ale jednocześnie nie wiedziałaś, jak być sobą, natomiast ja bałam się Cię wypuścić. To krąg miłości. Żałuję tylko, że wtedy tego nie dostrzegałam. Twoja babcia mówiła mi, że wcześniej od Ciebie będę wiedziała, że żałujesz tamtych lat, i miała rację. Wiem, że żałujesz niektórych rzeczy, które mi powiedziałaś, tak jak ja żałuję swoich słów. Tyle że to nie ma znaczenia. Chcę, żebyś to wiedziała. Kocham Cię i wiem, że Ty kochasz mnie.

Ale to znowu tylko słowa, prawda? A ja chcę dotrzeć głębiej. Więc jeśli dasz radę (tak naprawdę od lat niczego nie napisałam), to mam Ci do opowiedzenia historię. To moja historia, ale też Twoja. Zaczyna się w 1960 roku w małym rolniczym miasteczku na północy, w obitym deskami domu na wzgórzu ponad pastwiskiem dla konia. Ale robi się ciekawa dopiero w 1974 roku, gdy najfajniejsza dziewczyna na świecie wprowadziła się do domu naprzeciwko nas…

35

Tully czekała na makijaż i patrzyła w lustro toaletki. Siedziała w takich miejscach od lat, ale po raz pierwszy dostrzegła, jak wielkie są tutaj lustra. Nic dziwnego, że celebryci zatapiają się we własnym odbiciu. Nagle powiedziała:

– Nie potrzebuję makijażu, Charles. – I wstała.

Wizażysta wpatrywał się w nią z rozchylonymi ustami, a zdecydowanie przestylizowane włosy opadały mu na twarz.

– Żarty sobie ze mnie robisz, tak? Za piętnaście minut idziesz na żywo.

– Niech mnie zobaczą taką, jaka jestem.

Obeszła studio, swoje królestwo, obserwując, jak współpracownicy biegają gorączkowo tu i tam, by wszystko przebiegało bez zakłóceń, co nie było łatwe, bo przecież wezwała wczoraj ekipę o trzeciej, żeby zmienić temat dzisiejszego odcinka na żywo. Wiedziała, że kilkoro z jej producentów i castingowców pracowało do późna w nocy, żeby poskładać całość. Ona sama nie spała aż do drugiej w nocy, robiąc research. Wysłała faksy i mejle do dziesiątków najlepszych onkologów na świecie. Godzinami wisiała na telefonie, przekazując najdrobniejsze szczegóły choroby Kate, jakie tylko udało jej się uzyskać. Wszyscy specjaliści odpowiadali to samo.

Tully nic nie mogła zrobić. Żadna sława ani sukces, ani pieniądze nie mogły jej teraz pomóc. Po raz pierwszy od wielu

lat poczuła się zwyczajna. Mała. Ale przynajmniej miała teraz coś ważnego do powiedzenia.

Gdy wybrzmiała muzyka czołówki, wyszła na scenę.

– Witam w *Dziewczyńskiej godzinie* – powiedziała jak zawsze, ale potem coś poszło nie tak, jakby się zacięło.

Spojrzała na publiczność i zobaczyła obcych ludzi. To był dziwny, niepokojący moment. Przez większość życia szukała aprobaty u tego tłumu, a jego bezwarunkowe wsparcie podnosiło ją na duchu. Widzowie wyczuli, że coś jest inaczej i ucichli.

Tully usiadła na skraju sceny.

– Wszyscy myślicie teraz, że jestem chudsza i starsza. I że nie jestem taka ładna, jak wam się wydawało.

Wśród publiczności rozległy się nerwowe śmiechy.

– Jestem nieumalowana.

Rozległy się brawa.

– Nie szukam komplementów. Jestem po prostu… zmęczona. – Rozejrzała się dokoła. – Od dawna jesteście moim przyjaciółmi. Piszecie do mnie, wysyłacie mejle, przychodzicie na moje spotkania, jeśli jestem w waszym mieście, i ja zawsze to doceniałam. W zamian daję wam siebie i swoją szczerość albo jestem tego tak blisko, jak to tylko możliwe bez uszczerbku na zdrowiu. Pamiętacie program, gdy moja najlepsza przyjaciółka Kate Ryan została zupełnie zaskoczona tu, na tej scenie? I to przeze mnie?

Przez publiczność przeszedł nerwowy szmer, ludzie kiwali głowami.

– Cóż, Kate ma raka piersi.

Pomruk współczucia.

– To wyjątkowo rzadki rodzaj raka, który zaczyna się nie od guzka, tylko od wysypki i przebarwienia. Lekarz rodzinny Kate uznał, że to ugryzienie owada i przepisał antybiotyki. Niestety,

to się zdarza zbyt wielu kobietom, zwłaszcza młodszym. To tak zwany zapalny rak sutka i może być inwazyjny i niestety śmiertelny. Zanim Kate została poprawnie zdiagnozowana, było już za późno.

W studio panowała absolutna cisza. Tully podniosła wzrok. Jej oczy wypełniły łzy.

– Doktor Hilary Carleton jest tu dziś z nami, by porozmawiać o zapalnym raku piersi, by opowiedzieć wam o symptomach, takich jak wysypka, uczucie ciepła w jakimś miejscu, przebarwienia, zmarszczona skóra i wciągnięta brodawka. Uświadomi nam wszystkim, że powinnyśmy uważać nie tylko na guzki. Pani doktor przyprowadziła ze sobą pewną kobietę. To Merrilee Comber z Des Moines w Iowa, która najpierw zauważyła u siebie szorstką plamkę na lewej piersi…

I program potoczył się gładko jak zawsze dzięki osobowości Tully. Rozmawiała z gośćmi, pokazywała zdjęcia i przypominała milionom kobiet wśród swojej telewizyjnej publiczności, żeby nie tylko robiły co roku mammografię, ale też wypatrywały zmian w piersiach. Zamiast zakończyć program tradycyjnym „Porozmawiamy jutro”, spojrzała w obiektyw kamery i powiedziała:

– Katie, jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką miałam, i najlepszą matką, jaką znam. Poza panią M., która też jest świetna. – A potem uśmiechnęła się do publiczności i dodała: – To był na razie ostatni odcinek programu. Nie będzie mnie przez jakiś czas. Biorę wolne, żeby być z Katie. Każdy z was by tak zrobił.

Usłyszała gwałtownie wciągane powietrze. Tym razem zaskoczeni byli ludzie za sceną.

– Ten program to w końcu tylko telewizyjny show. A prawdziwe życie to życie z przyjaciółmi i rodziną. Mój stary przyjaciel przypomniał mi kiedyś, że mam rodzinę. I ona mnie teraz potrzebuje.

Odpięła mikrofon, pozwoliła mu upaść na podłogę i zeszła ze sceny.

Ostatniej nocy, którą Kate spędzała w szpitalu, Tully przekonała Johnny'ego, żeby zabrał dzieci do domu, a ona zajęła jego miejsce na drugim łóżku w sali. Przesunęła je po linoleum, aż przylegało do łóżka Kate.

– Przyniosłam ci nagranie mojego ostatniego programu.

– Bo wydaje ci się, że to jest to, co chciałaby obejrzeć umierająca kobieta.

– Ha, ha.

Tully wsunęła kasetę do odtwarzacza i włączyła ją, a potem położyła się na łóżku. Oglądały nagranie programu niczym para ósmoklasistek na piżama party. Gdy się skończyło, Kate zwróciła się do Tully.

– Cieszę się, że nadal mnie wykorzystujesz, żeby poprawić sobie oglądalność.

– Nie możesz zaprzeczyć, że to było merytoryczne i skuteczne. I ważne.

– Ty uważasz, że wszystko, co robisz, takie jest.

– Nie mów tak.

– Cięta riposta.

– Nie rozpoznałabyś dobrego programu telewizyjnego, nawet jakby cię ugryzł w tyłek.

Kate uśmiechnęła się, ale jej uśmiech był tak samo blady jak jej twarz. Z łysą głową i zapadniętymi oczami wyglądała niezwykle młodo i krucho.

– Zmęczyłaś się? – zapytała Tully, siadając na łóżku. – Może powinnyśmy pójść spać.

– Zauważyłam, że przeprosiłaś mnie w tym programie. Na swój sposób. – Kate uśmiechnęła się szerzej. – To znaczy nie przyznałaś się wcale, że byłaś wredna, ani nie wypowiedziałaś tych konkretnych słów. Zasugerowałaś tylko, że ci przykro.

– No cóż, jesteś na morfinie. Pewnie widziałaś też, jak latam.

Kate roześmiała się, ale od razu dostała napadu kaszlu.

Tully się wyprostowała.

– Wszystko w porządku?

– Nie bardzo. – Kate sięgnęła po plastikowy kubek na stoliku przy swoim łóżku. Tully nachyliła się i pomogła jej wsunąć słomkę do ust. – Zaczęłam pisać pamiętnik.

– Wspaniale.

– Musisz mi pomóc ze wspomnieniami – poprosiła Kate, odstawiając kubek. – Tyle w moim życiu wydarzyło się przy tobie.

– Prawie całe życie. Boże, Katie, byłyśmy takie małe, gdy się poznałyśmy.

– Nadal jesteśmy dzieciakami – odpowiedziała łagodnie Kate.

Tully usłyszała smutek w głosie przyjaciółki. Odczuwała to samo. Za nic nie chciała w tej chwili myśleć o tym, jakie są nadal młode. Przez całe lata dokuczały sobie, że się starzeją.

– Ile już napisałaś?

– Z dziesięć stron.

Gdy Tully milczała, Kate zmarszczyła brwi.

– Nie chcesz, żebym ci pokazała?

– Nie chcę się narzucać.

– Nie rób tego, Tully.

– Czego?

– Nie traktuj mnie, jakbym umierała. Chcę, żebyś była… sobą. To jedyny sposób, żebym ja pamiętała, kim jestem. Zgoda?

– Okej – odparła cicho Tully, obiecując jedyną rzecz, którą mogła zaoferować: siebie. – Zgoda.

Zmusiła się do uśmiechu i obie zdawały sobie z tego sprawę. Oczywiste było, że w najbliższych dniach pewnych kłamstw nie unikną.

– Jasne, że będziesz potrzebować mojego wsparcia – ciągnęła Tully. – Byłam świadkiem każdego ważnego wydarzenia w twoim życiu. A mam fotograficzną pamięć. To dar. Tak samo jak umiejętność nakładania makijażu i rozjaśniania włosów.

Kate się roześmiała.

– To właśnie moja Tully!

Nawet zaopatrzona w niezbędne leki przeciwbólowe Kate obawiała się wyjścia ze szpitala. Po pierwsze, w domu było tłoczno: rodzice, dzieci i mąż, ciocia i wuj, brat i Tully. Po drugie, tyle było przy tym zamieszania: z łóżka na wózek, z wózka do samochodu i z samochodu do domu w ramionach Johnny'ego.

Niósł ją przez ich ładny i wygodny dom na wyspie, w którym czuć było świece zapachowe i wczorajszą kolację, tak jak zawsze. Zrobił poprzedniego dnia spaghetti, od razu poznała. A to znaczy, że jutro będą tacos. Dwa dania Johnny'ego. Oparła policzek o miękką wełnę jego swetra.

Co im będzie gotował, jak mnie już nie będzie?

To pytanie sprawiło, że gwałtownie zaczerpnęła powietrza, ale potem postarała się je wypuścić powoli. Przebywanie w domu będzie chwilami sprawiać głęboki ból, tak samo jak przebywanie z rodziną. To dziwne, ale byłoby jej łatwiej przeżyć ostatnie dni w szpitalu bez tego wszystkiego, co przypominało jej dawne życie. Tyle że teraz nie chodziło o to, by było łatwiej. Teraz liczył się czas spędzony z bliskimi.

Wszyscy byli już na miejscu, oddelegowani do różnych zadań niczym żołnierze. Marah zapędziła chłopców do ich pokoju, żeby oglądali telewizję. Mama robiła zapiekankę, tata prawdopodobnie kosił trawnik. Johnny, Tully i Kate zmierzali do pokoju gościnnego, który przystrojono na jej powitanie.

– Lekarze chcieli, żebyś miała łóżko szpitalne – powiedział Johnny. – Ja też takie mam, widzisz? Będziemy jak Ricky i Lucy w identycznych łóżkach.

– Jasne. – Chciała, żeby zabrzmiało to jak oczywistość, po prostu przyznanie tego, czego oboje mieli świadomość: że trudno jej utrzymać siedzącą pozycję i takie łóżko bardzo pomaga, ale zdradził ją głos. – Odmalowałeś tu – zauważyła.

Ostatnim razem, gdy widziała ten pokój, był ciemnoczerwony z białymi listwami i czerwonymi i niebieskimi meblami. Typowy nadmorski wystrój z mnóstwem malowanych staroświeckich ozdób i muszelek w szklanych misach. Teraz miał odcień jasnej, przybrudzonej zieleni z różowymi akcentami. Wszędzie rozstawiono zdjęcia rodzinne w białych porcelanowych ramkach.

Tully wysunęła się do przodu.

– Właściwie ja to zrobiłam.

– To ma jakiś związek z szakarami – oznajmił Johnny.

– Czakrami – poprawiła go Tully. – Wiem, głupia jestem, ale… – Wzruszyła ramionami. – Zrobiłam kiedyś o tym program. Na pewno nie zaszkodzi.

Johnny położył Kate na jej łóżku i przykrył kołdrą.

– Łazienka na dole też jest dla ciebie urządzona. Zamontowaliśmy wszystko: poręcze, krzesełko pod prysznic i tak dalej. Będzie do ciebie przychodzić pielęgniarka z hospicjum…

Nawet się nie zorientowała, kiedy zamknęła oczy. Wiedziała tylko, że zasypia. Gdzieś radio grało *Sweet Dreams (Are Made of*

This) i słyszała z oddali jakieś rozmowy. A potem Johnny ją pocałował i powiedział, że jest piękna, i mówił o wakacjach, na które kiedyś pojadą.

Obudziła się gwałtownie. W pokoju było ciemno, najwyraźniej przespała resztę dnia. Obok niej paliła się eukaliptusowa świeca zapachowa. Otaczał ją mrok, myślała, że jest sama.

Po drugiej stronie pokoju poruszył się jakiś cień. Ktoś tam oddychał. Kate wcisnęła przycisk i łóżko podniosło ją do pozycji siedzącej.

– Cześć – powiedziała.

– Hej, mamo.

Gdy wzrok Kate przyzwyczaił się do ciemności, dostrzegła swoją córkę siedzącą w fotelu w kącie. Choć Marah wyglądała na zmęczoną, była tak piękna, że Kate aż poczuła ucisk w piersi. Będąc w domu, dostrzegała wszystko i wszystkich z niezwykłą wyrazistością, nawet w półmroku. Gdy spojrzała na swoją nastoletnią córkę, z długimi, czarnymi włosami spiętymi dziecięcymi wsuwkami, dostrzegła krąg życia – dziecko, którym kiedyś była, dziewczynę, którą była potem i kobietę, którą się stała.

– Hej, dziecinko. – Uśmiechnęła się i przechyliła na bok, żeby zapalić lampkę. – Ale nie jesteś już moją dziecinką, co?

Marah wstała i podeszła bliżej, zaciskając dłonie. Choć miała już urodę młodej kobiety, strach w oczach sprawił, że wyglądała jak dziesięciolatka. Kate zastanawiała się, co powiedzieć. Wiedziała, jak Marah pragnie, by wszystko było normalnie, ale to było niemożliwe. Od tej pory każde słowo, które do siebie wypowiedzą, zostanie rozważone i zapamiętane. Takie życie. Czy raczej śmierć.

– Byłam dla ciebie okropna – wyznała Marah.

Kate od lat czekała na tę chwilę, dosłownie śniła o niej w czasach, gdy prowadziły ze sobą wojny. Teraz patrzyła na nie z dystansu i wiedziała, że takie bitwy to po prostu zwyczajne życie – dziewczyna, która chce dorosnąć, i matka, która za nią nie nadąża. Oddałaby teraz wszystko za kolejną kłótnię, bo oznaczałaby, że mają czas.

– Ja też byłam wredna wobec babci. Takie są nastolatki, wyżywają się na swoich matkach. A ciocia Tully była suką wobec wszystkich.

Marah wydała dźwięk, który był na wpół prychnięciem, na wpół chichotem, ale wyrażał ulgę.

– Nie powiem jej, że tak powiedziałaś.

– Wierz mi, kochanie, że wcale by się nie zdziwiła. I chcę, żebyś wiedziała jedno. Jestem dumna, że masz taką silną osobowość i charakter. Dzięki temu wiele w życiu osiągniesz.

Kate dostrzegła, że oczy córki wypełniają się łzami. Wyciągnęła ramiona, a Marah nachyliła się i objęła ją z całych sił.

Kate mogłaby zostać w tych objęciach na zawsze, tak dobrze się w nich czuła. Przez całe lata uściski Marah były powierzchowne, bywało, że stanowiły jedynie nagrodę za to, że udało jej się postawić na swoim. Ale ten był prawdziwy. Gdy Marah się odsunęła, widać było, że płacze.

– Pamiętasz, jak ze mną tańczyłaś?

– Jak byłaś naprawdę mała, obracałam cię tyle razy, aż pękałaś ze śmiechu. Albo tak długo, że na mnie wymiotowałaś.

– Nie powinnyśmy były przestawać – powiedziała Marah. – To znaczy ja nie powinnam była.

– Ćśśś… – uciszyła ją Kate. – Opuść poręcz i usiądź przy mnie.

Marah miała kłopoty z poręczą, ale w końcu udało jej się ją opuścić. Usiadła na łóżku i podciągnęła kolana.

– Jak tam James? – zapytała Kate.

– Teraz podoba mi się Tyler.

– To fajny chłopak?

Marah się roześmiała.

– Bardzo przystojny, jeśli o to ci chodzi. Zaprosił mnie na bal trzecioklasistów. Mogę iść?

– Oczywiście. Ale będziesz musiała wrócić o wyznaczonej godzinie.

Marah westchnęła. Pewne nawyki tkwią w DNA nastolatków, którzy nie potrafią się powstrzymać od pełnych rozczarowania westchnień, nawet w obliczu raka.

– Okej.

Kate pogładziła włosy córki. Wiedziała, że powinna powiedzieć coś głębokiego, coś, co zostanie zapamiętane, ale nic szczególnego nie przychodziło jej do głowy.

– Złożyłaś podanie o tę wakacyjną pracę w teatrze?

– Nie będę pracować w lecie. Będę w domu.

– Nie powinnaś zawieszać swojego życia, skarbie – odpowiedziała cicho Kate. – To tak nie działa. Mówiłaś zresztą, że praca w wakacje pomoże ci się dostać na Uniwersytet Południowej Kalifornii.

Marah wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

– Postanowiłam iść na Waszyngtoński, tak jak ty i ciocia Tully.

Kate starała się mówić spokojnym głosem, sprawiać wrażenie, że to najzwyczajniejsza rozmowa nastolatki z rodzicem, a nie trudne spojrzenie w przyszłość.

– Ale w Kalifornii mają najlepszy wydział aktorski.

– Nie chcesz, żebym wyjeżdżała tak daleko.

To była prawda. Kate starała się wcześniej przekonać upartą córkę, że Kalifornia jest za daleko, a aktorstwo to kiepski kierunek.

– Nie chcę rozmawiać o studiach – oznajmiła Marah, więc Kate na razie odpuściła.

Ich rozmowa popłynęła w innym kierunku. Przez godzinę po prostu ze sobą gadały. Nie o tym czymś, co czai się na horyzoncie i zmieni wkrótce wszystko, ale o chłopcach, o pisaniu i o najnowszych premierach filmowych.

– Dostałam rolę w wakacyjnym przedstawieniu – powiedziała w pewnej chwili Marah. – Miałam nie startować, bo byłaś chora, ale tata mnie namówił.

– Cieszę się, że to zrobiłaś. Wiem, że wspaniale sobie poradzisz.

Marah zaczęła długi monolog o sztuce, kostiumach i swojej roli.

– Nie mogę się doczekać, kiedy to zobaczysz.

Aż otworzyła szeroko oczy, gdy sobie uświadomiła, co właśnie powiedziała, kwestię, którą niechcący poruszyła. Zsunęła się z łóżka, rozpaczliwie próbując zmienić temat.

– Przepraszam.

Kate sięgnęła ręką i dotknęła jej policzka.

– W porządku. Będę tam.

Marah popatrzyła na matkę. Obie wiedziały, że może nie dotrzymać tej obietnicy.

– Pamiętasz, jak byłam w gimnazjum i Ashley przestała się ze mną przyjaźnić i ja nie wiedziałam dlaczego?

– Oczywiście.

– Zabrałaś mnie na lunch i byłyśmy jak przyjaciółki.

Kate z trudem przełknęła ślinę, czując gorycz łez w gardle.

– Zawsze byłyśmy przyjaciółkami, Marah. Nawet gdy o tym nie wiedziałyśmy.

– Kocham cię, mamo.

– Ja ciebie też.

Marah otarła oczy i wybiegła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Otwarły się zaraz potem, tak szybko, że Kate ledwo miała czas, by obetrzeć łzy, zanim usłyszała głos Tully mówiącej:

– Mam plan.

Kate się roześmiała, wdzięczna za przypomnienie, że życie wciąż może być zabawne i zaskakujące, nawet teraz.

– Zawsze masz.

– Zaufasz mi?

– Na mą własną zgubę, tak.

Tully pomogła Kate przenieść się na wózek i otuliła ją kocami.

– Jedziemy na biegun północny?

– Idziemy na zewnątrz – odpowiedziała Tully, otwierając przesuwne drzwi, które prowadziły na taras. – Ciepło ci?

– Aż się pocę. Weź tę saszetkę ze stolika, dobrze?

Tully chwyciła saszetkę, rzuciła ją na kolana Kate i popchnęła wózek.

Ogród w ten chłodny czerwcowy wieczór był zdumiewająco piękny. Niebo usiane gwiazdami rzucało migotliwe refleksy na atramentowo czarną powierzchnię zatoki. Księżyc w pełni zawisł nad lśniącymi w oddali światłami miasta. Trawnik dochodził do samej wody. Niebieskawe światło księżyca rozświetlało szlak zabawek i rowerów porzuconych obok szerokiej i mocno ubitej ścieżki prowadzącej na plażę.

Tully zjechała wózkiem z tarasu nową drewnianą rampą, a potem się zatrzymała.

– Zamknij oczy.

– Jest ciemno, Tully. Nie muszę…

– Nie będę czekać w nieskończoność.

Kate się zaśmiała.

– Dobra. Zrobię to, żebyś nie dostała ataku szału.

– Ja nie dostaję ataków szału. A teraz zamknij oczy i rozłóż ramiona na boki, jak skrzydła samolotu.

Kate zamknęła oczy i wyciągnęła ręce.

Tully zaczęła pchać wózek po nierównym trawniku. Na skraju łagodnego wzniesienia, które opadało ku plaży, zatrzymała się.

– Znowu jesteśmy nastolatkami – szepnęła Kate do ucha. – Są lata siedemdziesiąte, a my właśnie wymknęłyśmy się z twojego domu i wzięłyśmy rowery. – Ponownie popchnęła wózek; jechał wolno, podskakując na trawie i wpadając w dołki, a Tully cały czas mówiła. – Jesteśmy na Summer Hill, jedziemy bez trzymanki, śmiejemy się jak wariatki i myślimy, że jesteśmy niezwyciężone.

Kate poczuła powiew bryzy na nagiej skórze głowy i szum w uszach i do oczu napłynęły jej łzy. Wciągnęła zapach wiecznie zielonych drzew i głęboki aromat czarnej ziemi. Odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się. Przez chwilę, właściwie ułamek sekundy, znów była nastolatką, jechała Firefly Lane ze swoją najlepszą przyjaciółką i wierzyła, że potrafi latać.

Gdy dotarły na plażę, otworzyła oczy i spojrzała na Tully. W tym momencie, uśmiechając się boleśnie, pamiętała wszystko. Gwiazdy wyglądały jak unoszące się w powietrzu świetliki.

Tully pomogła jej przesiąść się na plażowy fotel i usiadła obok niej.

Siedziały blisko siebie, jak często bywało w przeszłości, i rozmawiały o tym i o tamtym, o niczym istotnym. Kate zerknęła do tyłu na dom, sprawdziła, czy nikogo nie ma na tarasie, nachyliła się do Tully i szepnęła:

– Naprawdę chcesz się znowu poczuć jak nastolatka?

– Nie, dzięki. W życiu nie chciałabym się zamienić z Marah. Te wszystkie lęki, dramaty…

– Taa, tobie akurat dramatyzowanie jest obce. – Zadowolona z dowcipu Kate sięgnęła do fioletowej saszetki na kolanach

i wyjęła z niej porządnego jointa. Widząc zdumienie Tully, roześmiała się i zapaliła go. – Na receptę.

Słodki i dziwnie staroświecki zapach marihuany wymieszał się z ostrym zapachem morza. Chmura dymu przemknęła między nimi i zniknęła.

– Nie bądź żyła – powiedziała Tully i obie się roześmiały.

To wyrażenie błyskawicznie przeniosło je w lata siedemdziesiąte. Przekazywały sobie jointa, gadając i śmiejąc się. Były tak pochłonięte tym, co działo się kiedyś, że żadna nie usłyszała zbliżających się kroków.

– Straciłam was z oczu na dziesięć minut, a wy już jaracie zioło.

To była pani Mularkey, ubrana w sprane dżinsy i bluzę z lat dziewięćdziesiątych, a może nawet osiemdziesiątych. Śnieżnobiałe włosy miała związane z boku w kucyk aksamitką. – Wiecie, że potem się sięga po gorsze rzeczy? Jak crack czy LSD.

Tully starała się nie roześmiać, naprawdę się starała.

– Po prostu powiedz nie – zacytowała slogan z rządowej kampanii antynarkotykowej z lat osiemdziesiątych.

– Zawsze tak mówię Marah przed wystawą cukierni – dodała Kate, chichocząc.

Pani M. przyciągnęła sobie fotel Adirondack i postawiła go obok Kate. A potem usiadła i zwróciła się do niej.

Przez chwilę siedziały tak, patrząc na siebie, a dym unosił się nad nimi.

– No i? – zapytała w końcu pani M. – Zawsze wam mówiłam, że trzeba się dzielić, prawda?

– Mamo!

Pani M. machnęła dłonią.

– Wy, dziewczyny z lat siedemdziesiątych, uważacie, że jesteście takie wyluzowane. Coś wam powiem, ja to lata

sześćdziesiąte, więc nie dorastacie mi do pięt. – Wzięła jointa i zaciągnęła się długo i głęboko, wstrzymała powietrze, a potem je wypuściła. – Do diabła, Katie, jak myślisz, jak radziłam sobie z dwiema nastolatkami, które wymykały się z domu w nocy i jeździły rowerami po ciemku?

– Wiedziałaś o tym? – zapytała Tully.

Kate się roześmiała.

– Mówiłaś, że pomagał ci alkohol.

– Och – odparła pani M. – On też.

O pierwszej nad ranem były w kuchni i buszowały w lodówce, gdy wszedł Johnny i spostrzegł stos śmieciowego jedzenia na blacie.

– Ktoś tu jarał maryśkę.

– Tylko nie mów mojej mamie – powiedziała Kate.

Pani M. i Tully wybuchnęły śmiechem.

Kate odchyliła się do tyłu w wózku i uśmiechnęła do męża jak wariatka. Oświetlony bladym światłem padającym z korytarza wyglądał w tych swoich okularach z apteki i starym T-shircie ze Stonesami jak jakiś hipisowski profesor.

– Mam nadzieję, że przyszedłeś dołączyć do imprezy?

Przysunął się do niej, pochylił i szepnął:

– A może zrobimy sobie prywatną imprezę?

Objęła go za szyję.

– Czytasz mi w myślach.

Wziął ją na ręce, powiedział wszystkim „dobranoc” i zaniósł ją do jej nowego pokoju. Mocno się go trzymała, wtulając twarz w zagłębienie jego szyi i wdychając ślad zapachu wody po goleniu, której użył rano. Jakaś taniocha, z tych, które dzieci kupowały mu co roku pod choinkę. W łazience pomógł jej

skorzystać z toalety, a potem służył jako podpora, gdy szczotkowała zęby i przemywała twarz. Zanim przebrała się do snu, była wyczerpana. Dreptała powoli przez pokój, ściskając ramię Johnny'ego. W połowie drogi znów wziął ją na ręce i doniósł do łóżka, a potem otulił kołdrą.

– Nie wiem, jak mogę spać w łóżku, w którym cię nie ma – powiedziała.

– Jestem tutaj. Parę metrów od ciebie. Gdybyś mnie potrzebowała, po prostu zawołaj.

Dotknęła jego twarzy.

– Zawsze będę cię potrzebować. Wiesz o tym.

Johnny'emu jakby w tym momencie przybyło lat. Kate dostrzegła piętno, które odcisnął na nim jej rak. Wyglądał staro.

– A ja potrzebuję ciebie.

Pochylił się i pocałował ją w czoło.

Przeraziło ją to bardziej, niż powinno. Pocałunek w czoło jest dla starców i ludzi obcych. Chwyciła go za rękę i zapewniła gorąco:

– To mnie nie złamie.

Powoli, cały czas na nią patrząc, zbliżył twarz i pocałował ją w usta. Na cudowną chwilę czas przestał płynąć, a przyszłość zniknęła. Byli tylko oni. Kiedy się cofnął, poczuła chłód.

Gdyby tylko było coś, co mogliby powiedzieć, słowa, które pomogłyby im w tych trudnych chwilach.

– Dobranoc, Katie – szepnął w końcu Johnny i odwrócił się.

– Branoc – odszepnęła, patrząc, jak kładzie się do swojego łóżka.

36

W następnym tygodniu Kate chłonęła piękno wczesnego lata; spędzała dni otulona ukochanymi dzierganymi narzutami w fotelu przy plaży i jak szalona pisała pamiętnik albo rozmawiała z dziećmi, mężem i Tully. Wieczory poświęcone były rozmowom; Lucas i William opowiadali długie i niezwykle skomplikowane historie. Gdy kończyli, wszyscy się śmiali. Potem dorośli siadali przy kominku. Coraz częściej mówili o dawnych czasach, o tym, gdy byli zbyt młodzi, by zdawać sobie sprawę, że są młodzi, gdy cały świat stał przed nimi otworem, a marzenia przychodziły jedno za drugim. Najzabawniejsze było obserwowanie Tully próbującej przejąć część obowiązków domowych. Przypalała jedzenie, klęła na życie na wyspie, na której nikt nie dowozi żarcia do domu, mieszała rzeczy do prania i ciągle potrzebowała instrukcji, jak używać odkurzacza. Kate najbardziej lubiła ten moment, gdy jej przyjaciółka burczała: „Ogarnianie domu jest takie trudne. Dlaczego mi nigdy nie mówiłaś? Nic dziwnego, że przez piętnaście lat wyglądałaś na zmęczoną”. W innych okolicznościach to byłby najlepszy okres w życiu Kate. Choć raz była w centrum uwagi.

Ale choć wszyscy bardzo się starali być normalni, ich życie było niczym zabrudzona szyba, której nie da się wyczyścić. Każda chwila naznaczona była chorobą. Jak zawsze to Kate wyznaczała drogę, to ona uśmiechała się i zachowywała optymizm. Inni dobrze sobie radzili, dopóki ona była silna

i odporna. Wtedy potrafili śmiać się, rozmawiać i udawać, że prowadzą zwyczajne życie. To było wyczerpujące, owo nieustanne podtrzymywanie nastroju, ale jaki miała wybór? Czasami, gdy ciężar był zbyt duży, brała leki przeciwbólowe, zwijała się z Johnnym na kanapie i po prostu zasypiała. Budziła się jak zwykle skora do uśmiechu.

Szczególnie trudne były niedzielne poranki, jak ten dzisiejszy. Wszyscy tu byli: mama, tata, Sean i jego dziewczyna, Tully, Johnny, Marah i bliźniaki. Na zmianę opowiadali jakieś historie, rozmowa nigdy nie cichła. Kate słuchała, kiwała głową, uśmiechała się, udawała, że je, choć mdliło ją i dokuczał jej ból.

To Tully się zorientowała. Podając quiche, który zrobiła mama, spojrzała na Kate i powiedziała:

– Wyglądasz koszmarnie.

Wszyscy byli tego samego zdania.

Kate próbowała obrócić to w żart, ale miała zbyt sucho w ustach, żeby cokolwiek odpowiedzieć. Johnny porwał ją z krzesła i zaniósł do pokoju. Gdy znalazła się w łóżku i dostała leki, spojrzała na męża.

– Jak z nią? – zapytała Tully, wchodząc do pokoju i stając obok Johnny'ego.

Kate zobaczyła ich, razem, ramię w ramię, i poczuła taką miłość, że aż ją zabolało. Jak zawsze była w tym też szczypta zazdrości, ale to uczucie było jej tak znajome jak rytm własnego serca.

– Miałam nadzieję, że poczuję się na tyle dobrze, żeby pojechać z wami na zakupy – oznajmiła. – Chciałam pomóc Marah wybrać sukienkę na bal. Ty będziesz musiała to zrobić, Tully. – Spróbowała się uśmiechnąć. – Ale żeby nie była za bardzo wyzywająca, okej? I uważaj na buty. Marah się wydaje, że może nosić szpilki, ale ja uważam… – Kate zmarszczyła brwi. – Słuchacie mnie w ogóle?

Johnny uśmiechnął się do Tully.

– Mówiłaś coś?

Tully przyłożyła dłoń do piersi w geście niewinności Scarlett O'Hary.

– Ja? Wiesz, jak rzadko się odzywam. Wszyscy narzekają, że jestem taka cicha.

Kate nacisnęła przycisk, żeby jej oparcie podniosło się do pozycji siedzącej.

– Co to za komedia? Próbuję wam powiedzieć coś ważnego.

Zadzwonił dzwonek do drzwi.

– Kto to może być? Pójdę sprawdzić – powiedziała Tully.

Marah wsunęła głowę przez drzwi.

– Już tu są. Jest gotowa?

– Kto już tu jest? Na co mam być gotowa?

Ledwo dokończyła to pytanie, a rozpoczęła się parada. Najpierw do jej pokoju wszedł mężczyzna w roboczym kombinezonie, pchając przed sobą długi wieszak na kółkach z sięgającymi podłogi sukniami. Następnie do pokoju wkroczyły Marah, Tully i mama.

– No dobra, tato – oznajmiła Marah. – Panom wstęp wzbroniony.

Johnny pocałował Kate w policzek i wyszedł.

– Jedynym plusem bycia sławną i bogatą… – zaczęła Tully – okej, jest mnóstwo plusów bycia sławną i bogatą, ale jednym z największych jest to, że możesz zadzwonić do Nordstrom i poprosić, żeby przysłali ci wszystkie sukienki balowe, jakie mają w rozmiarze od czwórki do szóstki, i oni to zrobią.

Marah podeszła do łóżka.

– Nie mogłabym wybrać sukienki na mój pierwszy bal bez ciebie, mamo.

Kate nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać, więc zrobiła i to, i to.

– Nie martw się – zastrzegła Tully. – Wyraźnie zaznaczyłam, żeby nie przysyłali takich zbyt seksy.

Wtedy roześmiali się wszyscy.

Mijały tygodnie, a Kate czuła, że słabnie. Pomimo najlepszych starań i optymistycznego podejścia jej ciało zaczęło ją zawodzić na mnóstwo sposobów. Słowo, którego nie mogła sobie przypomnieć, zdanie, którego nie potrafiła dokończyć, słabość i drżenie palców, których nie potrafiła zahamować, mdłości, które zbyt często bywały nie do zniesienia, i chłód. Cały czas czuła, że zimno przenika ją do szpiku kości.

I był też ból. Pod koniec lipca, gdy noce zaczęły się wydłużać i miały zmysłowy, słodki posmak dojrzałych brzoskwiń, Kate niemal podwoiła sobie dawkę morfiny i nikt nie oponował. Jak stwierdził jej lekarz: „Uzależnienie to nie jest teraz twój problem”.

Była na tyle dobrą aktorką, że chyba nikt nie zauważał, jak bardzo słabnie. Och, oczywiście wiedzieli, że musi korzystać z wózka inwalidzkiego, żeby dostać się na plażę, i że często zasypia na długo przed wieczornym filmem, ale w te letnie dni w domu nieustannie coś się działo. Tully wykonywała codzienne obowiązki Kate najlepiej, jak potrafiła, a Kate pisała pamiętnik. Ostatnio zaczęła się martwić, że zabraknie jej czasu, żeby go skończyć, i ta myśl ją przerażała.

Zabawne było to, że nie przerażało jej umieranie. Już nie tak bardzo. Oczywiście wciąż miewała ataki paniki, gdy myślała o tym, że to koniec, ale nie tak częste. Coraz częściej myślała tylko: *Dajcie mi odpocząć.* Ale nie mogła tego powiedzieć. Nawet Tully, która słuchała jej godzinami. Gdy tylko Kate wspominała o przyszłości, Tully wzdrygała się i rzucała jakąś mądrość.

Umiera się w samotności.

– Mamo? – odezwała się Marah, otwierając drzwi.

Kate zmusiła się do uśmiechu.

– Cześć, skarbie. Myślałam, że wybierasz się dzisiaj na Lytle Beach z ekipą.

– Taki miałam zamiar.

– Dlaczego zmieniłaś zdanie?

Marah podeszła bliżej. Przez chwilę Kate była zaskoczona widokiem córki: ona znowu urosła. Mierząc niemal metr osiemdziesiąt, zaczynała też nabierać krągłości. Na oczach Kate stawała się kobietą.

– Muszę coś zrobić.

– Okej. A co?

Marah odwróciła się, sprawdziła korytarz, a potem zapytała Kate:

– Mogłabyś przyjść do salonu?

Kate miała przemożną chęć odmówić, ale odpowiedziała, że oczywiście, włożyła szlafrok, rękawiczki i dzierganą czapkę. Walcząc z mdłościami i zmęczeniem, powoli wstała z łóżka. Marah wzięła ją pod rękę i podtrzymała, jakby sama na chwilę stała się matką. Zaprowadziła Kate do salonu, gdzie pomimo upału w kominku palił się ogień. Lucas i William, nadal w piżamach, siedzieli obok siebie na kanapie.

– Cześć, mamusiu – powiedzieli jednocześnie, pokazując braki w uzębieniu.

Marah posadziła Kate obok chłopców, otuliła jej nogi szlafrokiem, a potem sama usiadła z drugiej jej strony. Kate się uśmiechnęła.

– Zupełnie jak wtedy, gdy byłaś mała i przygotowywałaś żywe obrazy do szkoły.

Marah pokiwała głową i przylgnęła do niej. Lecz gdy spojrzała na Kate, nie uśmiechnęła się.

– Dawno temu – przypomniała drżącym głosem – dałaś mi wyjątkową książkę.

– Dałam ci mnóstwo książek.

– Powiedziałaś, że któregoś dnia będę smutna i zagubiona i wtedy mi się przyda.

Kate miała ochotę się odsunąć, zdystansować, ale dzieci jej to uniemożliwiały.

– Tak – zdołała tylko powiedzieć.

– Przez ostatnie tygodnie próbowałam ją przeczytać, ale nie mogłam.

– Nie szkodzi…

– I zrozumiałam dlaczego. Ona przyda się nam wszystkim.

Sięgnęła do stolika i wzięła egzemplarz *Hobbita*. Kate miała wrażenie, że to było wieki temu, tamten dzień, gdy przekazała córce swoją ulubioną powieść. Wieki temu, a jednocześnie jakby przed chwilą.

– Juhu! – zawołał William. – Marah nam poczyta.

Lucas szturchnął brata łokciem.

– Cicho bądź.

Kate objęła synów ramieniem, spojrzała na poważną i piękną twarz córki.

– Okej.

Marah oparła się wygodnie, przysunęła bliżej Kate i otworzyła książkę. Głos jej trochę drżał na samym początku, ale stopniowo odzyskała nad nim panowanie.

– W pewnej norze ziemnej mieszkał sobie pewien hobbit…[9]

Sierpień skończył się zbyt szybko i przeszedł w leniwy wrzesień. Kate starała się cieszyć każdą chwilą każdego dnia,

ale pomimo pozytywnego nastawienia nie mogła nie dostrzegać przykrej prawdy: była coraz słabsza.

Kurczowo trzymała się ramienia Johnny'ego i skupiała na stawianiu kolejnych kroków. Jedna stopa w kapciu przed drugą. Oddychaj. Była już bardzo znużona tym, że wożono ją na wózku albo noszono jak dziecko, ale chodzenie stawało się coraz trudniejsze. Miała też bóle głowy, czasem tak silne, że brakowało jej tchu i traciła orientację, co się wokół niej dzieje.

– Wziąć ci tlen? – zapytał Johnny, nachylając się do jej ucha, żeby dzieci go nie usłyszały.

– Dyszę, jak Lance Armstrong podczas Tour de France. – Spróbowała się uśmiechnąć. – Nie, dziękuję.

Pomógł jej usiąść na tarasie w jej ulubionym fotelu i otulił wełnianym kocem.

– Jesteś pewna, że nic ci nie będzie, jak zostaniesz sama?

– Pewnie. Marah powinna iść na próbę, a chłopcy za nic nie chcą opuścić spotkania Małej Ligi. Zresztą Tully zaraz powinna być w domu.

Johnny się roześmiał.

– No nie wiem. Zdążyłbym wyprodukować cały film dokumentalny w czasie, który jej zajmuje wypad do spożywczego po parę produktów.

Kate też się uśmiechnęła.

– Uczy się mnóstwa nowych rzeczy.

Gdy wyszedł, w domu za jej plecami zapadła nietypowa cisza. Kate wpatrywała się w lśniący błękit zatoki i przypominający koronę zarys miasta po drugiej stronie. Nagle przypomniała sobie, że kiedyś tam mieszkała, tuż przy Public Market. Młoda, robiąca karierę dziewczyna w bluzce z poduszkami na ramionach, z szerokim paskiem i w kozaczkach z opadającymi cholewkami. Wtedy poznała Johnny'ego i wpadła po uszy. Wciąż pamiętała tyle ich wspólnych chwil – gdy pierwszy raz ją

pocałował, gdy zwrócił się do niej „Katie” i powiedział, że nie chce jej zranić.

Sięgnęła do torby obok fotela, wyjęła pamiętnik i spojrzała na niego, przesuwając palcem po wzorze wytłoczonym na skórzanej okładce. Już prawie skończyła. Spisała wszystko, a przynajmniej wszystko, co zapamiętała, i to pomogło jej tak, jak – miała nadzieję – kiedyś pomoże jej dzieciom.

Otworzyła na stronie, na której skończyła, i zaczęła pisać.

To jest właśnie zabawne w pisaniu historii własnego życia. Zaczynasz, próbując przypomnieć sobie daty, godziny, nazwiska. Sądzisz, że twoje życie to fakty; myślisz, że to, co zobaczysz, gdy obejrzysz się za siebie, to sukcesy i porażki, linia prowadząca przez młodość i wiek średni, ale to wcale nie tak.

Miłość. Rodzina. Radość. To właśnie pamiętam, gdy już wszystko zostało powiedziane i zrobione. Przez większość życia uważałam, że robię za mało albo że pragnę za mało. Chyba można mi wybaczyć moją głupotę. Byłam młoda. Chcę, żeby moje dzieci wiedziały, jaka jestem z nich dumna i jaka jestem dumna z samej siebie. Byliśmy dla siebie wszystkim – Wy, Tata i ja. Miałam wszystko, czego pragnęłam.

Miłość.

To właśnie pamiętamy.

Zamknęła pamiętnik. Nie było już nic więcej do dodania.

Tully wróciła z zakupów z poczuciem triumfu. Odstawiła torby na blat, rozpakowała je, a potem otworzyła puszkę piwa i wyszła na zewnątrz.

– Ten sklep spożywczy jest jak dżungla, Kate. Chyba wjechałam na parking od złej strony. Jakbym była wrogiem publicznym numer jeden. Nigdy tak na mnie nie trąbiono.

– My, pełnoetatowe matki, nie mamy dużo czasu na zakupy.

– Nie wiem, jak ty to wszystko robiłaś. Ja już o dziesiątej rano jestem wykończona.

Kate roześmiała się i zarządziła:

– Siad.

– A jak przewrócę się na plecy i będę udawać, że nie żyję, to dostanę ciasteczko?

Kate podała jej swój pamiętnik.

– Dostaniesz to. Jako pierwsza.

Tully gwałtownie wciągnęła powietrze. Przez całe lato widziała, jak Kate zapisuje te stronice, najpierw szybko i z łatwością, z czasem coraz wolniej. W ostatnich tygodniach wszystko robiła bardzo powoli.

Tully usiadła – a raczej się osunęła – i nie była w stanie powiedzieć słowa, taką miała gulę w gardle. Wiedziała, że popłyną łzy, ale wiedziała też, że to będzie wspaniałe. Sięgając po pamiętnik, przytrzymała dłoń Kate, a potem otworzyła go na pierwszej stronie.

Zdanie, na które padł jej wzrok, było zupełną niespodzianką.

Gdy pierwszy raz zobaczyłam Tully Hart, pomyślałam: – Rany, ale cycki!

Tully roześmiała się i czytała dalej. Stronę za stroną.

Wymkniemy się? Yhy. Bierz rower.

Albo: *Ogolę ci brwi, żeby poprawić ich kształt… Ojej… Niedobrze.*

Włosy ci wychodzą… Może powinnam była przeczytać tę instrukcję…

Roześmiana Tully zwróciła się w stronę przyjaciółki. Te słowa, te wspomnienia sprawiły, że przez krótką cudowną

chwilę wszystko było normalne.

– Jak ty się mogłaś ze mną przyjaźnić?

Kate odwzajemniła uśmiech.

– Jak bym nie mogła?

Tully czuła się jak intruz, gdy kładła się na łóżku w sypialni Kate i Johnny'ego. Wiedziała, że ma powód, żeby tu być, w tym pokoju, ale tego wieczoru jakoś bardziej odczuwała, że to nie jest w porządku. Lektura pamiętnika przypomniała Tully o wszystkim, co dzieliły z Kate. O wszystkim, co traciły.

Wreszcie, jakoś po trzeciej, zapadła w niespokojny sen. Śniło jej się Firefly Lane i dwie dziewczyny zjeżdżające nocą na rowerach z Summer Hill. W powietrzu czuć było zapach świeżo skoszonej trawy, a gwiazdy jasno świeciły.

„Spójrz, Katie, bez trzymanki".

Ale Kate tam nie było. Jej rower stukotał na drodze, białe wstążki łopotały przy plastikowych rączkach kierownicy.

Tully usiadła gwałtownie, ciężko dysząc. Roztrzęsiona wstała i włożyła szlafrok. Na korytarzu minęła mnóstwo pamiątek – zdjęć z życia, które dzieliły od dziesięcioleci, i dwoje zamkniętych drzwi. Spały za nimi dzieci, które miały zapewne równie złe sny.

Na dole zrobiła sobie herbatę i wyszła na taras, gdzie w mroku i chłodnym powietrzu udało jej się wreszcie odetchnąć.

– Koszmary?

Zaskoczył ją głos Johnny'ego, który siedział na jednym z foteli i patrzył na nią. W jego oczach Tully dostrzegła ten sam smutek, który wypełniał każdą komórkę jej ciała, sączył się wszystkimi porami skóry.

– Hej – zagadnęła, siadając na sąsiednim fotelu.

Chłodna bryza powiała znad zatoki, pogwizdując niespokojnie ponad znajomym szumem fal.

– Nie wiem, jak to zrobić – wyznał cicho.

– Katie powiedziała mi dokładnie to samo – odparła Tully i nagłe uświadomienie sobie tego, jak bardzo są do siebie podobni, sprawiło, że znów ogarnęła ją fala bólu. – Wy dwoje to prawdziwa *love story*.

Odwrócił się do niej i w bladym świetle księżyca dostrzegła zarys zaciśniętej szczęki i zmarszczki wokół oczu. Dusił to wszystko w sobie, starając się być silny dla nich.

– Przy mnie nie musisz tego robić, wiesz o tym – zapewniła cicho.

– Czego?

– Nie musisz być silny.

Na te słowa jakby coś w nim pękło. W jego oczach zalśniły łzy, skulił się, nic nie mówiąc, a jego ramiona zadrżały.

Sięgnęła, wzięła go za rękę i mocno ją trzymała, gdy płakał.

– Od dwudziestu lat, gdzie się nie obrócę, jesteście razem.

Tully i Johnny gwałtownie spojrzeli za siebie.

Kate stała w otwartych drzwiach na taras, owinięta olbrzymim szlafrokiem frotté. Łysa i niemożliwie chuda, wyglądała jak dziecko, które przebrało się w ubrania matki. Już wcześniej mówiła im takie rzeczy; wszyscy troje zdawali sobie z tego sprawę, ale teraz się uśmiechała. Wyglądała jednocześnie na smutną i uspokojoną.

– Katie – wyszeptał Johnny ochrypłym głosem i ze łzami w oczach. – Proszę, nie…

– Kocham was oboje – odezwała się, nie podchodząc bliżej. – Pocieszycie się nawzajem… zajmiecie się sobą i dziećmi… gdy mnie już nie będzie.

– Nie mów tak – powiedziała Tully i rozpłakała się.

Johnny zerwał się z miejsca. Delikatnie wziął żonę na ręce i całował ją długo. Bardzo długo.

– Zabierz ją do waszego łóżka, Johnny – zdecydowała Tully, starając się uśmiechnąć. – Ja się prześpię w gościnnym.

Johnny niósł ją po schodach z taką troską, że nie mogła nie myśleć o tym, że jest chora. Położył ją na jej połowie łóżka.

– Włącz kominek.

– Zimno ci?

Do szpiku kości. Skinęła głową i spróbowała ostrożnie usiąść, gdy przechodził przez pokój, by odkręcić gaz w kominku. Niebieskie i pomarańczowe płomienie wystrzeliły ze sztucznego polana z szumem, zalewając pogrążony w mroku pokój łagodną złotą poświatą.

Gdy wrócił i usiadł obok niej, wyciągnęła rękę i powoli obrysowała czubkiem palca kontur jego ust.

– Pierwszy raz wziąłeś mnie na podłodze przed kominkiem, pamiętasz?

Uśmiechnął się. Niczym niewidoma wyczuwała linię jego warg delikatną opuszką.

– Jeśli dobrze pamiętam, to ty wzięłaś mnie.

– A gdybym chciała to zrobić teraz?

Spojrzał na nią z takim przerażeniem, że omal się nie roześmiała, ale to nie było zabawne.

– A możemy?

Wziął ją w ramiona. Wiedziała, że oboje myślą o tym, że schudła tak bardzo, że prawie nic z niej nie zostało.

Nic z niej nie zostało.

Zamknęła oczy i mocniej objęła go za szyję.

Łóżko wydało jej się takie duże jak morze miękkiej białej bawełny w porównaniu z tym, w którym spała teraz na dole. Kate powoli zdjęła szlafrok i pozbyła się koszuli nocnej, starając się nie widzieć tego, jak blade i patykowate są jej nogi. Jeszcze gorsze było pole bitwy, które pozostało po jej piersiach. Wyglądała okropnie, jak mały chłopiec, tyle że z bliznami.

Johnny zdjął z siebie ubranie, kopnął je na bok i wrócił do niej do łóżka, podciągając kołdrę po biodra.

Serce jej łomotało, gdy na niego patrzyła.

– Jesteś taka piękna – powiedział i nachylił się, by pocałować blizny.

Rozlała się w niej fala ulgi i miłości. Pocałowała go i od razu zaczęła ciężej oddychać. Przez dwadzieścia lat małżeństwa kochali się tysiące razy i zawsze było wspaniale, ale teraz było inaczej; musieli być tacy delikatni. Zdawała sobie sprawę, że on się naprawdę boi, że połamie jej kości. Później nie bardzo pamiętała, jak to się stało, jak się znalazła na nim, wiedziała tylko, że pragnie każdej cząstki jego ciała, a wszystko, czym jest, czym kiedykolwiek była, nierozerwalnie wiąże się z tym mężczyzną. Gdy w końcu w nią wszedł, powoli i z łatwością, wypełniając ją, opuściła się ku niemu i w tej cudownej sekundzie znowu była całą sobą. Pochyliła się i pocałowała go, smakując jego łzy.

Zawołał jej imię tak głośno, że uciszyła go, kładąc mu dłoń na ustach; gdyby nie brakowało jej tchu, roześmiałaby się i szepnęła: „Dzieci!”. Ale jej własny orgazm – parę sekund później – sprawił, że zapomniała o wszystkim oprócz rozkoszy płynącej z tego doznania.

Potem z uśmiechem i czując się znów młodo, przytuliła się do męża. Otoczył ją ramieniem i przyciągnął bliżej siebie. Leżeli tak przez długi czas, oparci o stos poduszek, wpatrzeni w ogień, w milczeniu.

A potem Kate wypowiedziała cicho to, co chodziło jej po głowie od dłuższego czasu.

– Nie mogę znieść myśli, że będziesz sam.

– Nigdy nie będę sam. Mamy trójkę dzieci.

– Wiesz, o co mi chodzi. Zrozumiem, jeśli ty i Tully…

– Przestań. – Spojrzał na nią wreszcie, a wtedy w oczach, które znała równie dobrze jak własne, dostrzegła ból tak głęboki, że zebrało się jej na płacz.

– To zawsze byłaś ty. Tylko ty, Katie. Tully była jednorazową przygodą, dawno, dawno temu. Nie kochałem jej ani wtedy, ani nigdy potem. Nawet przez sekundę. Ty jesteś moim sercem i moją duszą. Całym moim światem. Jak możesz tego nie wiedzieć?

Dostrzegła prawdę w jego twarzy, usłyszała ją w drżeniu jego głosu i zrobiło jej się wstyd. Powinna to była wiedzieć od dawna.

– Wiem. Tylko tak się martwię o ciebie i o dzieci. Nie chcę nawet myśleć…

Ta rozmowa była tak bolesna, jakby paliła do żywego mięsa.

– Wiem, kochanie – powiedział wreszcie. – Wiem.

---

9 J.R.R. Tolkien, *Hobbit, czyli tam i z powrotem*, Warszawa 1997, tłum. Maria Skibniewska, s. 5.

37

Dzień letniego spektaklu był rześki i słoneczny. Piękne jesienne popołudnie na amerykańskim północnym zachodzie. Kate chciała pomóc Marah w przygotowaniach do tego wielkiego wydarzenia, ale była zbyt słaba i niewiele mogła zrobić. Samo uśmiechanie się kosztowało ją sporo wysiłku. Ból w głębi czaszki był teraz nieustanny, niczym irytujący dźwięk budzika, którego nie da się wyłączyć. Kate przekazała więc swoje obowiązki Tully, a ona radziła sobie z nimi po mistrzowsku.

Kate głównie spała. Zanim przyszedł wieczór, była na tyle wyspana, na ile to było możliwe, i gotowa na nadchodzące wyzwanie.

– Jesteś pewna, że dasz radę? – zapytała Tully za piętnaście siódma.

– Jestem gotowa. Może umalujesz mnie trochę, żebym nie wystraszyła małych dzieci?

– Już myślałam, że nigdy nie poprosisz. I przyniosłam ci perukę, jeśli będziesz chciała.

– No pewnie. Sama bym o tym pomyślała, gdyby mi jeszcze działały komórki mózgowe.

Sięgnęła po maskę z tlenem i zrobiła kilka wdechów.

Tully wyszła z pokoju i wróciła z kosmetyczką.

Kate podniosła oparcie łóżka i zamknęła oczy.

– Zupełnie jak za dawnych czasów.

Tully cały czas mówiła, czarowała, rysując ołówkiem brwi i przyklejając rzęsy. Kate dała się unieść fali głosu przyjaciółki.

– Mam do tego talent, wiesz? Masz golarkę?

Kate chciała się roześmiać. Może jej się to nawet udało.

– Okej – oznajmiła w końcu Tully. – Pora przymierzyć perukę.

Kate zamrugała oczami, uświadamiając sobie, że zasnęła, i uśmiechnęła się.

– Przepraszam.

– Mną się nie przejmuj. Uwielbiam, jak ludzie zasypiają, gdy do nich mówię.

Kate ściągnęła zimową czapkę i rękawiczki. Cały czas było jej okropnie zimno. Tully założyła jej perukę, poprawiła ją i pomogła Kate ubrać się w czarną wełnianą sukienkę, rajstopy i kozaczki. Otuliła ją kocami na wózku, a potem podjechała do lustra.

– No i?

Kate popatrzyła na swoje odbicie – blada, chuda twarz z oczami, które wydawały się olbrzymie pod narysowanymi brwiami, sięgające ramion jasnoblond włosy, idealne czerwone usta.

– Super – stwierdziła, mając nadzieję, że brzmi to szczerze.

– To dobrze – odpowiedziała Tully. – Zbierzmy wszystkich i jedźmy.

Pół godziny później zaparkowali pod audytorium. Przyjechali tak wcześnie, że na parkingu nie było jeszcze żadnych samochodów.

Idealnie.

Johnny przeniósł Kate na wózek, okrył ją kocami i ruszył do drzwi.

W środku zajęli niemal cały pierwszy rząd i zarezerwowali miejsca dla reszty rodziny. Wózek Kate stał koło przejścia.

– Wracam za trzydzieści minut z rodzicami i chłopakami – powiedział Johnny. – Potrzebujesz czegoś?

– Nie.

Gdy wyszedł, Kate i Tully zostały w półmroku pustego audytorium. Kate zadrżała i otuliła się mocniej kocami. Łupało ją w głowie i czuła mdłości.

– Mów do mnie, Tully. O czymkolwiek.

Tully nie trzeba było prosić dwa razy. Zaczęła opowiadać o wczorajszej próbie, a potem o kłopotach z procedurami dotyczącymi przywożenia innych dzieci.

Kate zamknęła oczy i znów były nastolatkami, siedziały nad Pilchuck River i zastanawiały się, jak potoczy się ich życie.

„Zostaniemy dziennikarkami telewizyjnymi. Pewnego dnia powiem Mike'owi Wallace'owi, że udało mi się, bo trzymałyśmy się razem".

Marzenia. Tyle ich miały i zaskakująco wiele się spełniło. Jakie to dziwne, że nie dość to wszystko doceniała, gdy miała taką możliwość.

Odchyliła się do tyłu i cicho powiedziała:

– Mówiłaś kiedyś, że znasz kogoś, kto prowadzi studium aktorskie na Uniwersytecie Południowej Kalifornii?

– Znam. – Tully spojrzała na nią. – A co?

Kate wyczuła, że Tully uważnie przygląda się jej profilowi. Nie patrząc na przyjaciółkę, poprawiła sobie perukę.

– Może mogłabyś do niego zadzwonić. Marah chciałaby się tam dostać.

Wraz z tymi słowami przyszła myśl: *Nie będzie mnie przy niej.* Już nigdy. Marah pójdzie na studia, gdy jej już nie będzie…

– Myślałam, że nie chcesz, żeby studiowała aktorstwo.

– Przeraża mnie wizja mojego dziecka w Hollywood. Ale ty jesteś gwiazdą telewizji. Jej tata jest producentem wiadomości. To biedne dziecko wyrastało wśród marzycieli. Czy mogło być inaczej? – Sięgnęła po dłoń Tully i uścisnęła ją. Bardzo chciała spojrzeć na przyjaciółkę, ale nie mogła, nie miała odwagi. – Będziesz się opiekować nią i chłopcami, prawda?

– Zawsze.

Przez twarz Kate przemknął cień uśmiechu; to jedno słowo zmniejszyło odrobinę ciążący jej smutek. O Tully można było powiedzieć jedno: dotrzymywała słowa.

– I może znowu poszukasz Chmury?

– Zabawne, że o tym wspominasz. Miałam taki plan. Kiedyś.

– To dobrze – odpowiedziała Kate łagodnie, ale zdecydowanie. – Chad miał rację, a ja się w tej sprawie myliłam. Gdy nadejdzie… koniec, zrozumiesz, że miłość i rodzina to wszystko. Nic innego się nie liczy.

– Ty jesteś moją rodziną, Katie.

– Wiem. Ale będziesz potrzebować Chmury, gdy ja…

– Nie mów tego, proszę.

Kate spojrzała na Tully. Odważną, hałaśliwą i wyjątkową Tully, która pędziła przez lata niczym lew mknący przez dżunglę, zawsze zwycięsko. Teraz była cicha i przestraszona. Na samo wspomnienie o śmierci Kate zaczynała się sypać, maleć.

– Ja umrę, Tully. Niemówienie o tym tego nie zmieni.

– Wiem.

– Chcę, żebyś rozumiała jedno: kochałam swoje życie. Tak długo czekałam, żeby coś się zaczęło, czekałam na coś więcej. Wydawało mi się, że jedyne, co robię, to wożenie dzieci samochodem, zakupy i czekanie. Ale wiesz co? Nie straciłam ani chwili z czasu z rodziną. Ani jednej chwili. Byłam przy tym wszystkim. I to zapamiętam, a oni będą mieli siebie.

– Tak.

– Ale martwię się o ciebie – dodała Kate.

– Też coś.

– Boisz się miłości, a masz jej tyle do zaofiarowania.

– Wiem, że przez całe lata narzekałam na to, że jestem sama, poza tym spotykałam się z nieodpowiednimi albo nieosiągalnymi facetami, ale prawda jest taka, że moją miłością

jest praca i zwykle mi to wystarcza. Jestem szczęśliwa. Chciałabym, żebyś to wiedziała.

Kate posłała jej zmęczony uśmiech.

– Jestem z ciebie dumna, wiesz? Czy powtarzam ci to wystarczająco często?

– A ja jestem dumna z ciebie. – Tully popatrzyła na swoją najlepszą przyjaciółkę i to jedno spojrzenie, obejmujące ponad trzydzieści lat razem, przypomniało im obu o dziewczynach, którymi były, marzeniach, które dzieliły, i kobietach, którymi się stały. – Wszystko zrobiłyśmy jak trzeba, prawda?

Zanim Kate odpowiedziała, drzwi do audytorium otworzyły się gwałtownie i do środka napłynęli widzowie.

Johnny, rodzice Kate i chłopcy zdążyli zająć miejsca, zanim przygasły światła. Zaraz potem oświetlono scenę, ciężka kotara z czerwonego aksamitu rozsunęła się, przesuwając się rąbkiem po drewnianej podłodze i ukazując kiepsko namalowaną scenografię przedstawiającą małe miasteczko.

Marah wyszła na scenę ubrana w licealną wersję dziewiętnastowiecznej sukni.

A gdy zaczęła mówić, pojawiła się magia. Inaczej nie dało się tego określić.

Kate czuła, jak dłoń Tully obejmuje jej rękę i delikatnie ją ściska. Gdy Marah zeszła ze sceny, oklaskująca ją publiczność aż wstała, a serce Kate napełniło się dumą. Nachyliła się do Tully i szepnęła:

– Teraz już wiem, dlaczego dałam jej na drugie twoje imię.

Tully odwróciła głowę w jej stronę.

– Dlaczego?

Kate spróbowała się uśmiechnąć, ale nie mogła. Dopiero po niemal minucie miała dość siły, by powiedzieć:

– Bo ona łączy w sobie to, co w nas obu najlepsze.

Koniec nadszedł pewnego ponurego, deszczowego wieczoru w listopadzie. Wszyscy zgromadzili się wokół jej łóżka i Kate pożegnała się z nimi po kolei, szepcząc każdemu coś wyjątkowego. A potem, gdy krople uderzyły o szybę i nadeszła ciemność, po raz ostatni zamknęła oczy.

Zostawiła im listę rzeczy do zrobienia dotyczącą pogrzebu i Tully zrealizowała ją co do joty. Katolicki kościół na wyspie wypełnił się zdjęciami, kwiatami i bliskimi. Kate wybrała oczywiście ulubione kwiaty przyjaciółki zamiast swoich.

Przez wiele dni Tully nie zajmowała się niczym innym. Pilnowała szczegółów i dbała o wszystko, podczas gdy Ryanowie i Mularkeyowie przesiadywali na plaży, trzymając się za ręce i od czasu do czasu rzucając parę słów.

Tully przygotowywała się na ten dzień, starając się pamiętać, że jest profesjonalistką, że potrafi się uśmiechać bez względu na okoliczności. Lecz gdy nadszedł czas i przyjechali pod kościół, wpadła w panikę.

– Nie dam rady – powiedziała.

Johnny wziął ją za rękę. Czekała na niosące pociechę słowa, ale on chyba nie wiedział, co powiedzieć. Gdy siedzieli tak w samochodzie w milczeniu, z dziećmi na tylnej kanapie, wszyscy wpatrzeni w kościół, na miejsce obok nich wjechali Mularkeyowie.

Już czas. Niczym stado czarnych ptaków zebrali się razem, jakby licząc na to, że wzajemna obecność doda im sił. Trzymając się za ręce, przeszli przez tłum żałobników, a potem po kamiennych schodach do wnętrza kościoła.

– Siedzimy z przodu po lewej – powiedziała pani Mularkey, przesuwając się bliżej.

Tully spojrzała na Marah, która cicho płakała, i ten widok złamał jej serce. Chciała pocieszyć chrześnicę, zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale obie wiedziały, że to nieprawda.

– Ona tak bardzo cię kochała – stwierdziła i nagle, w jakimś dziwnym przebłysku, dostrzegła ich przyszłość.

Kiedyś zostaną przyjaciółkami, ona i Marah. Za jakiś czas Tully przekaże jej pamiętnik i będą opowiadać sobie nawzajem, kim była Kate, a te opowieści zbliżą je do siebie i na kilka bezcennych chwil ona znów z nimi będzie.

– Chodźmy – powiedział Johnny.

Tully nie mogła się ruszyć.

– Wy idźcie. Ja tu sobie chwilkę postoję.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Johnny uścisnął jej ramię, a potem zabrał chłopców i Marah do pierwszej ławki. Państwo Mularkeyowie, Sean, Georgia i reszta rodziny ruszyli za nimi i zajęli miejsca obok.

Organy zaczęły grać powolną, monotonną wersję *You and me against the world* Helen Reddy.

Tully nie chciała tam być. Nie chciała słuchać patetycznej muzyki, która ma wyciskać łzy z oczu, ani księdza, który będzie opowiadał o kobiecie, którą znał, a która była tylko cieniem tej, którą znała Tully. Przede wszystkim nie chciała widzieć sekwencji zdjęć z życia Kate wyświetlanej na wielkim ekranie nad jej trumną.

Zanim zdążyła się nad tym zastanowić, odwróciła się i wyszła z kościoła.

Słodkie świeże powietrze napełniło jej płuca. Wciągała je łapczywie, starając się uspokoić. Przez drzwi usłyszała, że teraz grają *One Sweet Day*. Zamknęła oczy i oparła się o ścianę.

– Pani Hart?

Zaskoczona uniosła powieki i zobaczyła, że kierownik firmy pogrzebowej stoi na najniższym stopniu. Spotkała go już, gdy przyniosła ubranie dla Kate i zdjęcia do wyświetlenia.

– Tak?

– Pani Ryan prosiła mnie, żebym to pani dał. – Wyciągnął ku niej duże, czarne pudełko.

– Nie rozumiem.

– Powierzyła mi to pudełko i poprosiła, żebym przekazał je pani w dniu jej pogrzebu. Powiedziała, że będzie pani stała przed wejściem, gdy się rozpocznie.

Tully uśmiechnęła się, choć to cholernie bolało. Oczywiście, że Kate wiedziała.

– Dziękuję.

Wzięła pudełko, zeszła po schodach i ruszyła przez parking. Po drugiej stronie ulicy usiadła na żeliwnej ławce. Po chwili głęboko zaczerpnęła tchu i otworzyła pudełko. Na samym wierzchu leżał list. Natychmiast rozpoznała zdecydowane i pochylone na lewo pismo Kate.

Kochana Tully!

Wiem, że nie będziesz w stanie znieść tego cholernego pogrzebu. Nie występujesz w głównej roli. Mam nadzieję, że przynajmniej wyretuszowałaś moje zdjęcia. Tyle rzeczy powinnam Ci powiedzieć, ale powiedziałyśmy je sobie już dawno.

Zaopiekuj się Johnnym i dziećmi, dobrze? Naucz chłopców, jak być dżentelmenami, a Marah naucz, jak być silną. Gdy będą gotowi, daj im mój pamiętnik i opowiadaj im o mnie, jeśli będą pytać. Prawdę też. Chcę, żeby wiedziały wszystko.

Teraz będzie Ci bardzo ciężko. To jedna z rzeczy, które najbardziej mnie smucą. Więc w tym liście zza grobu (zabrzmiało dramatycznie, co?) powiem Ci jedno:

Wiem, że uważasz, że Cię zostawiłam, ale to nieprawda. Wystarczy, że przypomnisz sobie Firefly Lane, a będę obok Ciebie.

TullyiKate będą zawsze.

I podpis:

Najlepsze przyjaciółki na zawsze ♥
Kate

Tully przycisnęła list do piersi.

Potem z powrotem spojrzała do pudełka. Znajdowały się w nim trzy rzeczy.

Papieros Virginia Slims z przyklejoną żółtą karteczką z napisem: „Zapal mnie". Zdjęcie Davida Cassidy'ego z notką: „Pocałuj mnie" i iPod ze słuchawkami i karteczką: „Włącz mnie i tańcz".

Tully zaśmiała się przez łzy i zapaliła papierosa. Zaciągnęła się i rozkasłała, wydychając dym. Jego aromat natychmiast przypomniał jej tamte noce nad brzegiem Pilchuck River, gdy leżały, opierając się o przewrócone pnie, i wpatrywały w Drogę Mleczną.

Zamknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu i wystawiła twarz na chłodne jesienne słońce. Podmuch wiatru musnął jej twarz i zwichrzył włosy, a ona pomyślała: *Katie.*

Nagle poczuła obecność przyjaciółki tuż obok siebie, nad sobą, wokół siebie i w środku. Usłyszała Kate w szepcie wiatru nad głową i szumie złotych liści na chodniku. Otworzyła oczy, zaskoczona świadomością, że nie jest sama.

– Hej, Katie – szepnęła, a potem włożyła słuchawki i włączyła iPoda.

Jej uszy wypełniła *Dancing Queen* i porwała ją w przeszłość.

Young and sweet, only seventeen.

Tully wstała, nie wiedząc, czy się śmieje, czy płacze. Tak naprawdę wiedziała tylko to, że nie jest sama, że Katie nie odeszła. Przeżyły razem ponad trzy dekady, okresy dobre, złe i takie pomiędzy i nic nie mogło jej tego odebrać. Miały muzykę i wspomnienia, a w nich zawsze, zawsze będą razem.

Najlepsze przyjaciółki na zawsze.

Stojąc zupełnie sama pośrodku ulicy, zaczęła tańczyć.

Drodzy Czytelnicy,

w ciągu dwóch dekad mojej pisarskiej kariery nigdy dotąd nie kusiło mnie, by dodać jakieś posłowie czy list do powieści, i szczerze mówiąc, tutaj też próbowałam tego uniknąć. Jak jednak widzicie, plan się nie powiódł. A przyczyną jest książka, którą właśnie przeczytaliście.

Jak część z Was zapewne się domyśla, pisanie „Firefly Lane" było dla mnie bardzo osobistą podróżą. Dorastałam w drugiej połowie lat siedemdziesiątych w zachodniej części stanu Waszyngton, w miejscu i czasie, które wydawały się wtedy och-jakże-niebezpieczne i burzliwe, ale w porównaniu z dzisiejszym światem były słodko niewinne. Wszystkie utwory muzyczne wymienione w powieści przypominają mi tamte odległe dni. „Good Bye Yellow Brick" to był pierwszy album, który kupiłam za swoje pieniądze.

Straciłam matkę z powodu raka piersi. Jak wiele kobiet, przez całe życie wypatruję niebezpiecznych objawów. Badam swoje piersi regularnie i co roku chodzę na mammografię – robię wszystko to, co powinnam. Jednak zapalny rak piersi jest przerażający. Atakuje w przebiegły i niespodziewany sposób. Lekarze rodzinni często nie zauważają symptomów albo źle je diagnozują, a jak wszyscy wiemy, w przypadku raka czas jest najważniejszy. Chciałabym więc, żeby kobiety dodały do listy niepokojących je symptomów także sygnały ostrzegawcze dotyczącego tego rodzaju nowotworu. Poza tym jeśli czujecie, że

coś jest nie w porządku, nie bójcie się zadawać pytań czy prosić o opinię innego lekarza. My, kobiety, znamy swoje ciała, wiemy, gdy coś jest z nimi nie tak, gdy coś wygląda inaczej. Musimy korzystać z tego, że znamy same siebie, i nie dawajmy się zbyć.

Wiem, że to straszne i trudne, ale lęk nie może być powodem do odwracania głowy. Jeśli wahacie się albo poddajecie obawom, szukając pomocy i wsparcia, zwróćcie się do przyjaciółki. To najlepsze w byciu kobietą – zawsze się wzajemnie wspieramy. Jak powiedziałyby Tully i Kate: bez względu na wszystko.

Dziękuję, że czytacie moje słowa.

Kristin

Podziękowania

Dziękuję następującym osobom:

Marianne McClary za pomoc w sprawach dotyczących telewizji i dziennikarstwa.
Twoja wiedza jest bezcenna. Dzięki.

Jennifer Enderlin, Jill Marie Landis, Kim Fisk, Andrea Cirillo i Megan Chance. Każda z Was pomogła mi znaleźć ścieżkę tej opowieści. Dziękuję.

Fantastycznej ekipie St. Martin’s Press. Dziękuję Wam za tę możliwość.